



# **GAŁĘZISTE**

**ARTUR URBAŃCOWICZ**

**NOVAE RES**

**ARTUR URBANOWICZ**

# **GAŁĘZISTE**



**NOVAE RES**

***Nie wierz w nic, co widzisz, słyszysz i... w co do tej pory wierzyłeś.***

# SPIS TREŚCI

[PRZEDMOWA](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[EPILOG](#)

[POSŁOWIE](#)

## PRZEDMOWA

1. Wszelkie przedstawione w powieści poglądy na sprawy wiary należą do postaci fikcyjnych i nie powinno się ich utożsamiać z poglądami autora.
2. Wszelkie zastosowane w książce chwytów językowo-literackie, które wyglądają z pozoru na błędy świadczące o kiepskiej edukacji lub lenistwie autora (albo, co gorsza – redaktora), takie jak nieprawidłowe niekiedy odmiany nazw miejscowości w dialogach albo znaki zapytania w nawiasach, które mają unaocznnić, że nawet sam narrator jest przerażony opowiadaną przez siebie historią, zostały użyte z premedytacją i każdy z nich ma swój cel, każdy z nich kryje w sobie swoje tajemnice. Jakże? Liczę, drogi Czytelniku, że sam do tego dojdiesz.

Miłej lektury!

**Art Ur**

## PROLOG

*Jezus opowiedział uczniom tę przypowieść (...).*  
(Mt 25, 14)

\*

Ciężkie krople wiosennego deszczu zaskoczyły Annę dokładnie w tym samym momencie, w którym zakończyła modlitwę „wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie”. Spojrzała na grób swojego ojca jeszcze jeden, ostatni raz.

Był zaniedbany. Suche sosnowe igły, których gruba warstwa pokryła skromny, umieszczony w płycie nagrobnej Edwarda Żukowskiego skrawek ziemi, aż nadto wskazywały, że cmentarz znajduje się tuż przy lesie. Przeznaczeniem rzeczzonego kawałka gruntu w pomniku było oczywiście zasadzenie na nim jakichkolwiek roślin, które nadawałyby mogile jako taki wygląd. Anna nie miała jednak pewności, czy pod suchą, iglastą pierzyną znajduje się jeszcze cokolwiek oprócz czystej gleby bez najmniejszego śladu jakiegokolwiek flory.

W końcu czemu w takim miejscu śmierć miałyby brać we władanie jedynie ludzie?

Jak się do tego dodało te okazałe pokłady brudu i pyłu oraz kilka już dawno zużytych zniczy, obraz nędzy i rozpaczony klarował się w całej okazałości. Była przekonana, że kolorowe szklane naczynia z drobną pozostałością wosku na dnie od dłuższego czasu stały niezmiennie w tej samej dziwnej konstelacji – w chaosie tworzącym wierzchołki nieregularnej figury geometrycznej.

Zaśmiała się lekko w myślach na to poetyckie określenie, które zniecka przyszło jej na myśl.

Z całym tym bałaganem dziwnie kontrastowało wesołe zdjęcie Edwarda umieszczone na marmurze tuż obok jego nazwiska. Zdjęcie z czasów, gdy był jeszcze zdrowy i pełen życiowej energii.

Niemniej i tak stan grobu był lepszy, niż się spodziewała. Nie była w rodzinnych stronach od kilku miesięcy i nie sądziła, by jej schorowana matka choć raz pofatygowała się na cmentarz, a widok, który miała przed sobą, tylko te przypuszczenia potwierdził.

Przez zapracowanie w ogóle rzadko myślała o swojej rodzicielce. W końcu z racji niezłych zarobków mogła sobie pozwolić na luksus zapewnienia jej prawie całodobowej opieki, więc tak naprawdę nie musiała

zawracać sobie nią głowy. Ich relacja sprowadzała się w zasadzie do kilku telefonów w tygodniu z ogólnym pytaniem, jak to się sprawy mają. Było tak – miesiąc w miesiąc – aż do wczoraj, gdy tym razem to ona była tą osobą, która dla odmiany odebrała, a nie wykonywała połączenie na linii Poznań – Nowinka.

Wiadomość o znacznym pogorszeniu się stanu zdrowia matki zmusiła Annę do zostawienia córki w domu byłego męża, wzięcia urlopu na żądanie i wielogodzinnej drogi z Wielkopolski w kierunku Suwalszczyzny. O dziwo czas nie dłużył jej się aż tak bardzo. Przez całą podróż była bowiem pogrążona w myślach.

Jakkolwiek by na to patrzyła i próbowała by rozjaśniać w swoich oczach ponurą, szarą rzeczywistość, Zofia Żukowska miała praktycznie tylko ją. Co prawda nie była jej jedynym dzieckiem, ale nawet gdyby było inaczej, to i tak w porównaniu do obecnego stanu raczej nie odczułaby żadnej różnicy.

Jurek, jeden z jej braci, od ponad dekady próbował podbić Amerykę. *American dream* – od pucybuta do milionera i te sprawy. Z tą drobną różnicą, że na razie jego przygoda za wielką wodą sprowadzała się tak naprawdę tylko do tego, że i matka, i siostra co jakiś czas musiały wysyłać mu pieniądze. Nie to, że był darmozjadem, po prostu takie czasy. Kryzys.

Kamila – jej drugiego brata – pamiętała z kolei jak przez mgłę. Którejś zimy utopił się w Jeziorze Białym, po tym, jak załamał się pod nim lód. Zginął, mimo że wysportowania nie można mu było odmówić. Ot, znalazł się po prostu w sytuacji, w której nie mogła mu pomóc nawet jego wielka klata i grube jak słupy telegraficzne ręce.

No i... popłynął.

Anna miała wtedy zaledwie kilka lat i pojęcie śmierci było dla niej czymś zupełnie obcym. Nie można więc było powiedzieć, że jakoś szczególnie mocno przeżyła tę tragedię. Zwyczajnie – był i go nie ma. Wielka mi rzecz...

Wyglądało to już jednak zupełnie inaczej, gdy wiele lat później, po ciężkiej walce z nowotworem, odszedł jej tata i zgodnie ze swoim życzeniem został pochowany obok swoich rodziców, a jej dziadków w Studzienicznej – małej wiosce niedaleko Augustowa, znanej z sanktuarium Matki Boskiej.

Nie dało się ukryć – Anna i Edward byli bardzo zżyci i świetnie się

dogadywali. Był to jedyny mężczyzna w jej życiu, który ją rozumiał, i nie zmienił tego nawet w najmniejszym stopniu fakt, że zmarł tak dawno temu. Było to jak niewidzialna, nierozzerwana przez jakąkolwiek barierę czy odległość więź. Nigdy nieodcięta ojcowska pępowina. Dlatego właśnie po jego stracie szukała sobie miejsca jeszcze przez bardzo długi czas. Nie mogła się pogodzić, że tata już nigdy nie znajdzie rozwiązania na jej każdy, choćby nawet najmniejszy problem. Że mrugając przy tym filuternie, już nigdy nie nazwie jej „swoją ulubioną córeczką”, a ona nie odpowie mu wtedy ze śmiechem „bo jedyną”, jak to zawsze w takich sytuacjach bywało.

Oj tak, jego śmierć to było coś strasznego...

Szybko jednak wynalazła skuteczne lekarstwo na ból, jakim okazała się praca. Po studiach medycznych i ciężkich praktykach znalazła zatrudnienie w poznańskim szpitalu i ostatecznie, kroczyk po kroczyku, doczołgała się do wymarzonej pozycji ordynatora oddziału onkologii. Mało tego – mówiło się nawet, że jest w swojej dziedzinie jednym z najlepszych specjalistów w Polsce! Od pewnego momentu stykanie się ze śmiercią było więc dla niej praktycznie chlebem powszednim, ale mimo to wspomnienie o odejściu taty, kiedy to czuwała przy jego łóżku aż do samego końca, wciąż powodowało u niej nieprzyjemny ucisk w żołądku.

\*

Silny podmuch lodowatego wiatru wyrwał ją z zamyślenia. Wtuliła się głębiej w płaszcz, schowała dłonie pod pachy i ze złożonymi rękami czym prędzej ruszyła w drogę powrotną do zaparkowanego tuż przy wejściu na cmentarz samochodu. Jako że do grobu miała bardzo blisko, nawet nie zamykała auta, więc nie musiała tracić czasu na szukanie w torebce kluczyka. Gdy tylko dotarła do pojazdu, szybko otworzyła drzwi, by bezpiecznie schronić się przed wichrem. Powietrze szarpało jej włosy i drażniło skórę zimnymi pazurami. Zupełnie tak, jakby coś chciało ją w tym miejscu zatrzymać...

Powoli zapadał zmierzch. Była to już więc najwyższa pora, by wreszcie zakończyć podróż u celu, czyli w Nowince. Być może nieświadomie odwlekała ten moment w czasie tak długo, jak tylko mogła.

Po konsultacji telefonicznej zrobiła wcześniej matce w Augustowie spore zakupy spożywcze. Tak naprawdę z początku planowała jedynie kupić papierosy dla siebie, ale co tam, niech ma. Do tego przytrafiła jej się w tym sklepie śmieszna (choć lepszym określeniem byłoby chyba: żałosna)



sytuacja, bo chłopaczek z za lady najwyraźniej próbował ją poderwać.

Aż tak po niej widać, że jest rozwódką? Naprawdę?

Być może, ale na pewno nie na tyle zdesperowaną! Chłopaczyna coś tam nieudolnie próbował zagaić, „jak minął dzień”, „gdzie szanowna pani jedzie” i tak dalej. Z początku go olewała, ale gdy zaczynał już ją irytować, rzuciła mu średnio uprzejmym tonem, że na cmentarz. Dopiero wtedy dał sobie spokój, bo chyba słusznie uznał, że na co jak na co, ale na romantyczną randkę za dobre miejsce to nie jest.

Nie skłamała. Na finalnej prostej chciała najpierw odwiedzić miejsce ostatniego spoczynku Edwarda, zatem pora na spotkanie z tą jeszcze żyjącą częścią jej najbliższej rodziny dopiero nadchodziła.

Rzuciwszy z za przedniej szyby auta spojrzenie na posępny cmentarz, obiecała sobie, że jak tylko w najbliższych dniach znajdzie czas, przyjedzie i z lekarską wręcz dokładnością doprowadzi grób ojca do porządku.

Deszcz bębnił rytmicznie o blachę jej renault mégane. Zapaliła lampkę i korzystając z lusterka, poprawiła zniszczoną batalią z wiatrem fryzurę. Przed wyjazdem zapaliła jeszcze papierosa, a dym wydmuchiwała przez uchylone okno. Następnie odpaliła samochód, włączyła światła i po chwili była już na jezdni.

Gdy dojechała do skrzyżowania, przyszło jej do głowy, że może przecież znacznie skrócić sobie drogę do Nowinki i jechać do niej z tego miejsca praktycznie w linii prostej przez las. Brzmiało to o wiele lepiej niż nadłożenie tych kilku kilometrów przez powrót do Augustowa i dopiero stamtąd wyjazd na zapchaną tirami drogę krajową na Suwałki. Do tego o niczym w tamtym momencie tak nie marzyła, jak by wreszcie znaleźć się w ciepłym domku z jej nieodłącznym wieczorami kubkiem herbaty w rękę. Z dwóch opcji wybrała więc tę z jej punktu widzenia bardziej korzystną i zamiast w lewo – do Augustowa, skręciła w prawo – w stronę Sejn.

Po kilku minutach jazdy skrajem lasu po lewej stronie zauważyła znajomy skręt. Zwolniła, włączyła kierunkowskaz i już po chwili znajdowała się w morzu zieleni przechodzącej stopniowo w postępującą ciemność w czerń i szarość.

Leśna ścieżka pozostawiała wiele do życzenia. Anna błogosławiła obfity deszcz za to, że ten przynajmniej częściowo, regularnie usuwał z karoserii mniejsze plamy z błota. Prowadzenia samochodu nie ułatwiały też liczne wyboje i koleiny. Przednie światła renault kołysały się

intensywnie w górę i w dół, rysując groteskową żółtą sinusoidę na czarnym tle puszczy.

Po jakimś czasie, gdy droga zaczęła się jej trochę dłużyć, wcisnęła lekko pedał gazu, a wariacje poruszającego się po nierównym podłożu samochodu tylko przybrały na sile.

Za późno zauważyła przed sobą znaczne obniżenie terenu, w którym koleiny zamieniły się w sporych rozmiarów bajora. Auto zatrzymało się gwałtownie z silnym szarpnięciem i zgasło.

– Chol... ERA JASNA!

Odpaliła je od nowa i próbowała ruszyć z miejsca, ale pojazd nie zmienił swego położenia nawet o centymetr. Klnąc pod nosem, wysiadła i zerknęła na koła. Ku jej wściekłości – tkwiły głęboko w błocie. Podświetliła sobie jeszcze telefonem spód samochodu. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że całkowicie osiadł na drodze, gdyż jego zawieszenie było zbyt niskie. Błagała w duchu, by okazało się to jednak nieprawdą.

Z minuty na minutę deszcz padał coraz mocniej. Co prawda miała w samochodzie parasol, ale w tamtej chwili ulewa była chyba ostatnią rzeczą, jaką się przejmowała. I tak była już wystarczająco mokra i spokojnie zrobiłaby furorę w wyborach miss mokrego podkoszulka w najbliższej remizie, więc te kilka kropel wody w tę czy w tamtą nie robiło jej żadnej różnicy.

Z pomocą latarki w telefonie wyszukała w okolicznej ściółce kilka cienkich gałęzi, które ułożyła rzędami obok siebie pod każdym z czterech kół renault. Wsiadła z powrotem za kierownicę i ponownie spróbowała ruszyć. Bez rezultatu. Otworzyła więc drzwi i napierając na nie, starała się rozhuścić samochód siłą. Wydawało jej się, że trochę zaskoczył, więc podwoiła wysiłek. Niestety, w następnej sekundzie poślizgnęła się i wylądowała brzuchem na mokrej i miękkiej jak gąbka ziemi. I tak miała szczęście, gdyż ledwo uniknęła bolesnego uderzenia czołem o drzwi.

„Skrót, kurwa” – pomyślała z wściekłością i podniosła się niezgrabnie. Ponownie wyjęła z kieszeni przemoczonego do suchej nitki płaszcz swój telefon. Brak zasięgu. „Pięknie”.

– Co za pieprzone zadupie! – wrzasnęła najgłośniej, jak tylko mogła. Liczyła, że wylądowanie emocji przyniesie jej choć trochę ulgi, ale srogo się zawiodła. Do tego, choć pewnie jej się zdawało, dałaby sobie głowę uciąć, że...

Nie no, to przecież idiotyczne! Naprawdę odpowiedziało jej wtedy jakieś echo? Do tego bardzo dziwnie brzmiące. Jakoś tak... szyderczo? Ironicznie?

Kiedy poczuła się nagle o wiele mniej pewnie niż jeszcze przed sekundą, zrozpaczona próbowała ponownie ruszyć samochód siłą, ale ani drgnął. W ostatnim akcie desperacji wsiadła za kierownicę i licząc, że zwróci tym uwagę kogoś, kto ewentualnie mógł znajdować się w pobliżu, przez dobrą minutę naciskała klakson. Po blisko kwadransie oczekiwania doszła do wniosku, że to na nic. Jeżeli ktoś miałby się pojawić, byłby tu już dawno temu.

Wzięła głęboki oddech i sięgnęła do torebki po jeszcze jednego papierosa. Jej drżące z zimna i emocji dłonie z trudem poradziły sobie z obsługą zapalniczki.

Wiedziała, że jeżeli chce jak najszybciej dotrzeć do chorej matki, to w tej beznadziejnej sytuacji pozostało jej już tylko jedno rozwiązanie. Brzmiało tym gorzej, im bardziej narastało jej zmęczenie po każdej minucie morderczej walki z błotem.

Nie wspominając już o tym, że była kobietą... A te raczej niechętnie podchodzą do perspektywy samotnej, nocnej wycieczki przez las i to nawet pomimo przeżycia w tych stronach całego swojego dzieciństwa...

Wzięła się jednak w garść i jednocześnie wzięła jeszcze jeden głęboki oddech. W końcu życie doświadczyło ją już o wiele gorzej i z cięższych opresji udawało jej się wychodzić obronną ręką. Bolesna śmierć taty, rozwód i wygrany proces o wyłączną opiekę nad Amelką, nawiedzone rodziny zmarłych pacjentów wytaczające jej od czasu do czasu sprawy sądowe za rzekome niedopatrzania w leczeniu i wiele, wiele innych. Bądźmy szczerzy – zakopany w błocie samochód to przy tym wszystkim pikuś. Bułka z masłem. Drobnostka. Pyszcz.

To pomyślawszy, wysiadła i wygrzebała z walizki z bagażnika suche ubrania. Po przebraniu się na tylnym siedzeniu wyciągnęła parasolkę spod fotela obok kierowcy, by po chwili przypomnieć sobie jeszcze o leżącej obok skrzyni biegów torebce. Zamknąwszy auto, ruszyła drogą w tę samą stronę, w którą uprzednio nim zmierzała. Wydawało jej się, że skoro jechała przez las już tak długo, to całkiem niedaleko powinna znajdować się wieś Strękowizna. Ta myśl wyraźnie dodała jej otuchy. Starając nie oglądać się na boki, energicznym krokiem weszła w ciemność.

Zapadła noc.

\*

Z każdą minutą marszu jej niepokój narastał.

Już nawet nie chodziło o to, że była zmarznięta i głodna, a jej jeszcze niedawno zmienione, suchuteńkie buty nadawały się aktualnie wyłącznie do wyrzucenia. Nie, miała znacznie gorsze powody.

Droga zdawała się nie mieć końca, a las, zamiast rzednąć, stawał się coraz gęstszy... Nie dało się tego nie zauważyć nawet pomimo mroku.

Czyżby jednak pomyliła skręt?

Z początku była stuprocentowo pewna, że podąża właściwą trasą, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej dopuszczała do siebie myśl, że w postępującym wcześniej zmierzchu orientacja w terenie mogła ją zawieść.

Co implikowało z kolei, że nie ma pojęcia, gdzie jest ani gdzie się teraz kieruje...

Starła się o tym nie myśleć, ale kamień na dnie jej żołądka rósł niezależnie od niej.

Tymczasem z góry nieprzerwanie sunęła na ziemię ściana wody.

\*

Po godzinie brodzenia w błotnistej ścieżce coś w niej pękło.

Miała serdecznie dosyć całej tej farsy, widoku lasu, zimna, zmęczenia i głodu. Wszystko to skumulowało się w niej i znalazło swe ujście w desperackim wybuchu. Rozpaczliwe myśli na przemian wchodziły do jej głowy i wychodziły z niej. A wśród nich to jedno, podstawowe, powtarzane co chwilę pytanie.

Dlaczego?! Kurwa, dlacze...

Zamarła, a jej serce w jednej chwili zaczęło walić jak młotem. Niemal rzeczywiście słyszała jego nieoczekiwane przyspieszoną pracę. Dosłownie sekundę wcześniej chmury lekko się przeredziły, a księżyc w idealnej pełni rozświetlił okolicę.

Tuż przed nią, na drodze, w odległości może stu metrów, stała nieruchomo jakaś postać. Na tyle, na ile mogła ocenić, chyba był to mężczyzna. W normalnych okolicznościach ucieszyłaby się z takiego obrotu sprawy, ale... teraz...

Teraz, nie wiedzieć czemu, było w tym niespodziewanym spotkaniu coś dziwnego. Coś niepokojącego... Coś, co z jakiegoś powodu mroziło jej

krw w żyłach. Z początku nawet nie potrafiła tego nazwać, ale już po chwili ten oczywisty fakt wreszcie do niej dotarł.

Na swój sposób przerażające w tajemniczym osobniku było właśnie to, że... stał. Stał, a powinien był przecież w jej stronę iść... Tkwił na środku tej nieszczęsnej ścieżki jak posąg, choć lodowaty deszcz czynił to zupełnie nieznośnym.

Zupełnie tak, jakby na nią czekał...

Zatrzymała się, nie wiedząc, co robić. Przez kilka sekund stali tak naprzeciw siebie, jak dwójka kowbojów w samo południe.

Nagle z jej lewej strony, gdzieś daleko w leśnej gęstwinie, głośno trzasnęła gałązka. Dla jej napiętych do niemożliwości nerwów było tego już zdecydowanie za wiele. Wzdrygnęła się i krzyknęła, po czym zaczęła gorączkowo wyglądać w gąszczu drzew tego czegoś, co mogło spowodować ten hałas. Było to jak pełna napięcia cisza w filmie grozy w oczekiwaniu na rychłe pojawienie się na ekranie czegoś przerażającego. Z tą różnicą, że ostatecznie z ciemności nie wyskoczył żaden potwór ani morderca, a jedynym wypełniającym przestrzeń dźwiękiem był w dalszym ciągu tylko szum deszczu. Na chwilę odwróciła wzrok od lasu, coś ją tknęło i nie mogąc uwierzyć własnym oczom, znowu skierowała go na drogę.

Ta była bowiem pusta. Nikogo ani niczego już na niej nie było...

Zacząła dygotać coraz bardziej, niemal zupełnie już nad tym nie panując. Sama nie wiedziała, czy to jeszcze z zimna, czy już wyłącznie ze strachu...

Nasłuchując i bojąc się nawet ruszyć, stała tak jeszcze kilka minut. Nic szczególnego się jednak nie wydarzyło, więc w końcu zebrała się w sobie i ruszyła ponownie naprzód, w skupieniu obserwując otoczenie i starając się usłyszeć choćby jeden fałszywy szmer. Nie mogła przy tym pozbyć się uporczywego wrażenia, że ktoś ją obserwuje.

– Cholera jasna! – Drgnęła, gdy tym razem dziwny dźwięk dobiegł z kolei z jej prawej strony. Przypominało to odgłos, jakby ktoś rzucił kamieniem w drewniany płot.

Nie miało to jednak teraz znaczenia.

Znajomy ludzki kształt, który uprzednio widziała, stał zaledwie kilka metrów od niej, tuż na skraju lasu, po tejże właśnie prawej stronie. Usztywniona zacisnęła mocno ręce na parasolce, która była teraz jej jedyną namiastką jakiegokolwiek broni. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, więc

nawet nie wyobrażała sobie, jak mogłaby stamtąd uciec...

Tajemniczy osobnik wciąż się nie ruszał. W takiej temperaturze wydawało się to aż nienaturalne.

– Hej! – zawołała w końcu. – Wiem, że tu jesteś!

Cisza i zero reakcji. Ani drgnięcia.

– Mógłbyś się w końcu odezwać?! Nie wiem, ruszyć? Cokolwiek?

Dalej nic. Nagle – co zdziwiło nawet ją samą – poczuła się nieco pewniej.

– Dobra, skoro chcesz bawić się ze mną, to bawmy się, ale ostrzegam tylko, że nie będę oszczędzać parasolki, gdyby w razie czego była potrzeba rozbić ci łeb!

Nieznajomego najwyraźniej i to nie wzruszyło. Nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła ostrożnie do torebki i wyciągnęła telefon.

– Skończmy to wreszcie! – rzuciła ochryple i zapaliła latarkę.

„To niemożliwe” – pomyślała, ale jednocześnie poczuła, jak schodzi z niej napięcie, a po jej ciele rozchodzi się przyjemna fala ciepła. W sączącym się z komórki świetle ukazał się bowiem... pień drzewa. Co prawda to oczywiste, że w lesie ciężko jest natrafić na cokolwiek innego, ale było wprost nie do uwierzenia, jak wiarygodnie jego kształt w połączeniu z grą światła księżyca i bujną wyobraźnią mógł zamienić go w mężczyznę. „Niewiarygodne...” – pomyślała.

Zaskoczenie Anny ostatecznie ustąpiło powoli lekkiemu zażenowaniu, ale w głębi duszy czuła niesamowitą ulgę. W końcu i tak nikt się nigdy nie dowie, że przed chwilą trzęsła tyłkiem przed drzewem...

Chwila, moment... Toż to teraz jej naprawdę najmniejszy problem!

Już prawie zapomniała, że nie uczestniczy w pojedynkę w romantycznym, nocnym spacerze po lesie oraz jaki jest właściwie cel tej męczącej przechadzki.

Powtórnie podjęła przerwany marsz.

\*

– Tato... – Spojrzała błagalnie w kierunku nieba.

Od czasu „spotkania” z drzewem minęła kolejna godzina. Krajobraz wokół nie zmienił się przez ten czas ani trochę. Komórka dalej nie wskazywała choćby jednej kreski zasięgu. Chmury po raz kolejny zakryły księżyc i znowu zapanowała dusząca, koszmarowa ciemność, do której jej wzrok z jakiejś przyczyny nie mógł się do końca przyzwycząić. Czerni

zdawała się okrutnie pożerać nawet to słabe światełko latarki w telefonie, którym oświetlała sobie drogę.

Nic. Żadnych świateł w oddali, które dawałyby nadzieję na bliskość jakichkolwiek zabudowań. Żadnych odgłosów zwierząt wracających do gospodarstw po ciężkim dniu pracy maszyn rolniczych czy rozmów wiejskich pijaczków. Wciąż tylko ten cholerny szum deszczu, ten pieprzony odgłos bombardujących jej zmęczony, sfatygowany parasol kropel...

Nie miała już żadnych złudzeń co do Strękowizny. Posuwała się naprzód w nadziei na dotarcie w tej głuszy do jakiegokolwiek bastionu cywilizacji. Niemiłosiernie bolały ją nogi. Ileż by teraz dała za gorącą kąpiel w maminej wannie... O porządnym posiłku nie wspominając...

Zatrzymała się. „Kurwa, jeszcze tego brakowało” – powiedziała do siebie w myślach.

Dotarła do skrzyżowania dróg przecinających się pod kątem prostym. Przy całym swoim ślanianiu się na nogach ledwo zwróciła uwagę na coś jeszcze. W prawo i lewo kierunki wskazywały dwie białe strzałki – tabliczki – obie o tej samej treści: „dojazd pożarowy nr 6”. Nic jej to nie mówiło, ale niewątpliwie miło było dla odmiany zobaczyć na tym odludziu cokolwiek zrobionego ludzką ręką. Coś, co było dowodem, że jednak istniał dla niej jakiś drobny promyk nadziei i limit pecha na ten dzień być może już się wyczerpał.

Trzy możliwości. „Bramka numer jeden, numer dwa czy numer trzy, pani Anno?” – zapytał szarmanckim tonem Zygmunt Chajzer w jej głowie.

Droga pożarowa musiała gdzieś prowadzić! Poza tym, w przeciwieństwie do ścieżki, którą do tej pory podążała, wyglądała na naprawdę solidną, ubitą i często uczęszczaną żwirówkę.

Westchnęła i po krótkim namyśle skręciła w lewo.

## ROZDZIAŁ I

*Był sobie dziad (...).*

Józef Ignacy Kraszewski, *Dziad i Baba*

\*

– Neeee!

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na swoje malutkie dziecko. Po chwili na ganku ponownie rozległ się rozczulający, słodziutki pisk.

– Nie idź!

– Wychodzę na krótko. Na rowerek. Za jakąś godzinkę wrócę. – Uśmiechnął się.

– Nie! – powtórzyła płacząco.

– Dlaczego, kochanie? Mama i Maks zostają. Nie masz się czego bać.

– Ale ja się nie boję!

– To o co chodzi w takim razie? Czemu nie mogę jechać?

Zamilkła na moment i zagryzając wargi, spojrzała w te jego dobroduszne, przepięknie miłością błękitne oczy. No właśnie – czemu? Czemu, czemu, czemu? Proste pytanie, ale bez prostej odpowiedzi. Nawet nie tyle bez prostej, co zwyczajnie bez żadnej. Nie miała pojęcia, dlaczego tak bardzo chce, by akurat dzisiaj jej tata dla odmiany nie pojechał na tę swoją zwyczajową wieczorną przejażdżkę po lesie. Warunki pogodowe były jak znalazł – czyste niebo i lekki chłodek. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a jego promienie przenikały złotymi nitkami każdą z nielicznych szczelin w zielonym murze otaczających ich dom drzew.

Choć miała dopiero pięć lat, nauczono ją już, że jak ludzie jeżdżą na rowerze, to są zdrowsi. Nie rozumiała jeszcze dlaczego, ale zapamiętała to jako przeciwwagę do siedzenia przed telewizorem, które jej rodzice uważali już z kolei za „bardzo niezdrowe”.

Poddała się. Jej dziecięcy umysł nie potrafił jeszcze wymyślić lepszego argumentu w dyskusji niż...

– Bo nie!

Tata wziął ją w ramiona, pocałował w policzek i przekazał w ręce żony.

– Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł. Ale teraz pobaw się trochę z mamą.

Powiedział to uprzejmie, ale z tą jego charakterystyczną nutą stanowczości w głosie. Wiedziała już, że jego decyzja jest nieodwołalna.



Chciało jej się płakać, ale się powstrzymała. Rodzice nie dawali się na to nabrać. Tego też w swoim krótkim życiu zdążyła się już nauczyć.

Tata wsiadł na rower, pomachał wciąż trzymanej w objęciach mamy córeczce i zaczął energicznie pedałować w stronę bramy do ich posesji. Żelazne wejście na podwórko oddzielała od gęstego boru jedynie wąska żwirowa droga.

Postanowiła wodzić za nim wzrokiem dopóty, dopóki zupełnie nie straci go z oczu. Wciąż czuła nieokreśloną, dziwną obawę o ojca. Taki szczeniacki lęk przed... No właśnie! Przed czym?

Oderwała na chwilę spojrzenie od jego wydatnych, wysportowanych pleców i przeniosła je na zielone tło, zdające się pochłaniać niczym wir jego malejącą sylwetkę.

Już wiedziała.

Ta scena nie miała jedynie trzech aktorów, bowiem między drzewami stał ktoś jeszcze. Nikt oprócz niej tego nie zauważył. Ktoś, a może coś, co obserwowało zmierzającego prosto ku niemu rowerzystę. Od razu uderzyła ją pewność, że TO chce zrobić jej tatusiowi krzywdę. Nie zastanawiała się, skąd to wie. Po prostu tak było.

To był dosłownie moment. Jeden impuls. Instynktownie wyrwała się matce i zaczęła biec.

– Tata! Uważaj!!! – zapiszczała. – Uważaaaj!

Zdawał się jej nie słyszeć. Nie zatrzymał się. Nie odwrócił głowy. Nawet nie zwolnił...

– TATA!!! – wrzasnęła rozpaczliwie i zaczęła płakać.

– Karolinko! Uspokój się! Wracaj do mamy! – Usłyszała głos za plecami, ale jak przez mgłę. Nie dbała o to. Spróbowała krzyknąć jeszcze raz, ale z jej małych usteczek nie wydobył się już żaden dźwięk. Ojciec stopniowo się od niej oddalał, a ona biegła coraz wolniej i wolniej. Sprawiało jej to też coraz więcej trudności. Spojrzała pod siebie. Zawsze twarda droga była teraz miękka i bagnista, a ona tkwiła w niej już aż po kolana. Wiedziała jednak, że nie może odpuścić.

– Tata...! – zawołała bezgłośnie po raz ostatni, dusząc się przy tym z wyczerpania. W tym samym momencie świat zaczął się kołysać i wirować. Poczuła nagle, że traci równowagę.

Po chwili spadała już prosto w mrok...

\*

Uderzyła głową o coś twardego i otworzyła oczy. W otępieniu z początku nie wiedziała, gdzie jest ani co konkretnie się dzieje. Rzeczywistość wokół niej dalej wyczyniała jakieś dziwne ewolucje, a jej drobne ciało miało się raz w lewo, raz w prawo, jak w jakiejś zwariowanej kolejce górskiej. Pas bezpieczeństwa boleśnie wbijał się w jej szyję. Gdyby nie on, pewnie już dawno wyleciałaby przez okno – to samo, które przed chwilą zostawiło na jej czole bolesną fioletową pieczętkę.

Wtem odzyskała świadomość. Spojrzała na swojego chłopaka, siedzącego na lewo od niej. Siedzącego za kierownicą samochodu, którym właśnie jechali.

– Tomek?

Nie zareagował, ale to, co się działo, powoli zaczynało już do niej docierać. Auto wciąż wykonywało gwałtowne slalomy po jezdni, ale młody mężczyzna najwyraźniej nic sobie z tego nie robił, podobnie jak z trąbiących na niego samochodów – zarówno tych mijanych, jak i jadących za nim. Zupełnie jakby ich nie słyszał. Patrzył tylko nieprzytomnym wzrokiem przed siebie. Z miną pokerzysty. Z zaciśniętymi kurczowo na kierownicy rękami. I z mokrym od potu czołem.

– Tomek?! Wszystko w porządku? – zapytała po raz drugi już głośniejszym głosem. Odwrócił się w jej stronę i w mig rozpoznała te nieobecne, puste oczy. Oczy, które w połączeniu z jego trupio bladą twarzą sprawiały upiorne wrażenie w promieniach zachodzącego już słońca. Jednak ze względu na okoliczności wyglądało to jeszcze bardziej przerażająco niż zazwyczaj.

Błyskawicznie wystrzeliła z fotela i złapała za kierownicę.

– Cotyłobikobeto?! – krzyknął bełkotliwie chłopak.

– Puść i się zatrzymaj! Już! – rzuciła ostro Karolina, dalej trzymając z całych sił za okrągły przedmiot przed nim. Na szczęście już nie protestował, tylko posłusznie wykonał polecenie. Ich czarne, stare, małe audi kierowane rękami dziewczyny wyrównało kurs, zaczęło stopniowo zwalniać, aż w końcu zatrzymało się na poboczu, gdzie je uprzednio skierowała. Pospiesznie rozpięła wtedy pasy, wysiadła i w kilku szybkich susach doskoczyła do bagażnika. Otworzyła go i porwawszy leżący na wierzchu plecak, ruszyła naprędce do drzwi od strony kierowcy.

Tomek pół siedział, pół leżał przytwierdzony pasami do fotela. Miał zamknięte oczy, a jego bezwładna głowa dosłownie spoczywała na klatce piersiowej. Zobaczywszy ten obrazek, większość ludzi pomyślałaby

zapewne, że w tej komicznej pozycji chłopak zapadł w rozkoszny, smaczny sen. Problem był jednak w tym, że w rzeczywistości po raz kolejny balansował na cienkiej linii pomiędzy życiem a śmiercią.

Karolina otworzyła plecak i wyciągnęła z niego półlitrową butelkę coli.

– Masz! Pij! – niemal siłą wetknęła wlot w jego usta i modląc się przy tym, by przypadkiem się nie zakrztusił, wlała mu w gardło ogromny łyk napoju. Po kilku takich seriach i ostatecznym opróżnieniu butelki wyciągnęła jeszcze kwaśne żelki i jedną po drugiej wpychała mu do buzi. Wciąż mając zamknięte oczy, pokornie żuł i połykał. Dziewczynie przeszło przez głowę, że karmienie jej potężnego faceta jak niemowlaka na samym środku drogi krajowej numer osiem musi wyglądać z boku co najmniej groteskowo.

– Kurwa, wydawało mi się, że wstrzyknąłem sobie tyle co zawsze! – przerwał złowrogą ciszę ten pretensjonalny i tak znienawidzony przez nią ton jego głosu. W tym momencie działał jednak na jej zmysły bardziej kojąco niż muzyka Mozarta.

Uff...

Chłopak ukrył twarz w dłoniach i zaczął intensywnie miętosić policzki, próbując dojść do siebie.

– Nie wiem. Może znowu przez pomyłkę wziąłeś za dużą dawkę. Albo zjadłeś za mało na obiad – odparła z zaniepokojeniem. Spojrzał spode łba na jej zatroskaną twarz. Patrząc na jej wyraz, uznał, że musiało być ostro. Nie bardzo był pewien, czy chce to wiedzieć, ale w końcu zapytał:

– Co robiłem?

– Jechałeś slalomem! Jezu, gdyby nie ta szeroka droga... Nic nie pamiętasz?! – Na samą myśl, jak bardzo otarli się przed chwilą o śmierć, aż zakręciło jej się w głowie. Oparła się o samochód i biorąc głębokie wdechy, pochyliła głowę. Tomek przez chwilę milczał.

– Przepraszam, ja... – wyjąkał ze spuszczonym wzrokiem.

– Dobra, już daj spokój. Chwała Bogu, że nic się nie stało – przerwała mu. – Szczęście w nieszczęściu. Kołysałeś mną tak, że pieprznięłam głową o szybę... Gdybym się nie obudziła... Jezu Chryste... – głos uwiązł jej w gardle.

Nie odpowiedział. Nie sposób opisać, jak bardzo było mu teraz głupio. Gdy wiązał się z Karoliną, nie spodziewał się, że to chucherko będzie w ich relacji tą osobą, która częściej będzie ratować partnera. To miała być

w końcu jego rola. Jego – uosobienia męskości i pewności siebie. Ponad stukilogramowego, niemal dwumetrowego chłopca z ogromnym bicipsem. A jednak zupełnie bezbronny wobec choroby, na którą cierpiał już od dzieciństwa.

Cholernie dużo zawdzięczał Karolinie i nie chodziło wyłącznie o to, co się przed chwilą wydarzyło. Nie był to bowiem pierwszy raz, ale z całą pewnością ten przypadek był ze wszystkich dotychczasowych najbardziej spektakularny. Tu bowiem jego hipoglikemia mogła skończyć się śmiercią nie tylko jednej osoby.

Jakby tego było mało, czuł dodatkowe zażenowanie, że w całej tej akcji musiała uczestniczyć dwójka młodych włoskich autostopowiczów, których zabrali pod Łomżę. Przypomniał sobie o nich dopiero teraz, gdy Karolina – już trochę uspokojona, ale z wciąż lekko drżącym głosem – powiedziała w kierunku tylnych siedzeń:

– *It's OK. Don't worry. Lack of sugar. He is a diabetic.*

Chiara i Paolo siedzieli jak zmrożeni i intensywnie ściskali swoje dłonie. Wystarczył jeden rzut oka, by z całą pewnością stwierdzić, że przeżyli właśnie niemały szok. Świadczyły o tym chociażby ich zgodnie otwarte usta, nieobecny, utkwiony gdzieś w oddali wzrok i aktualna barwa skóry, która nawet w obliczu ich ciemnej karnacji spokojnie mogła konkurować z niedawnym odcieniem Tomka. Nawet śmiesznie to wszystko wyglądało w zestawieniu z ich temperamentem i gadatliwością od samego początku tej krótkiej polsko-włoskiej znajomości. Po tej myśli chłopak nie mógł się powstrzymać, by mimo wszystko lekko się nie uśmiechnąć.

– *Sorry guys for that adventure* – rzekł.

Zapadła niezręczna cisza.

Karolina rozejrzała się po okolicy. Gęsty sosnowy las otaczał ich z każdej strony. Właściwie gdyby nie jezdnia i mijające ich co chwila samochody, można by było pomyśleć, że teren ten został oddany we władanie wyłącznie przyrodzie.

Chociaż...

– Proponuję, byśmy zrobili sobie małą przerwę. Zatrzymajmy się w tym barze na jakąś kawkę albo coś. – Wskazała na ledwo widoczny za drzewami parking, kilkaset metrów od nich, po przeciwnej stronie drogi. – Przyda się nam lekko po tym wszystkim odsapnąć.

– Ale mamy już niedaleko do Suwałek! Ostatnie, co pamiętam, to że

wyjechaliśmy z Augustowa. Będzie więc tego jakieś dwadzieścia kilometrów. Musimy to robić? – zaprotestował Tomek.

– Nie dyskutuj. Zresztą i tak musisz doprowadzić się do porządku. Troszeczkę niemiło pachniesz.

Choć chłopak wybitnie nie lubił być pouczany, z bólem musiał przyznać jej rację. Zapach jego przepoconej koszulki przypominał teraz coś w rodzaju „Eau de Szambeau”.

– A tak w ogóle złaź. Ja prowadzę.

– Co?

– No weź! – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Przynajmniej dziś – zreflektowała się.

– Dobra, jak tam chcesz, ale chyba lekko przesadzasz – nadał się, wysiadł i z wyraźnym ociąganiem powłókł w kierunku fotela po prawej stronie.

– *We decided to stop in that bar and have some coffee. I think that you need something to drink too.* – Karolina odwróciła się do Chiary i Paola.

– *Oh, yes. It will be perfect. I suggest your famous polish vodka!* – wychrypiała w odpowiedzi Włoszka. Na jej twarz stopniowo wracały już rumieńce.

Na te słowa napięcie opuściło Karolinę na dobre. Zaśmiała się serdecznie i zapięła pasy. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że koszmarny sen o niej w wieku przedszkolnym i jej tacie na rowerze ulotnił się z jej pamięci równie szybko, jak się tam pojawił.

\*

Po wjechaniu na parking okazało się, że znajdują się nie przed jakimś tam zapyziałym przydrożnym barkiem, lecz sporą restauracją. Ze znalezieniem miejsca do parkowania nie mieli żadnych problemów. Zaraz po przekroczeniu progu budynku na wprost ukazał im się bar, a na lewo i prawo od niego – przestronne sale z wieloma stołami, które były od siebie oddzielone dyskretnymi, wysokimi, przypominającymi kanapy siedziskami.

Karolina podeszła do lady i zamówiła sobie mocną kawę. Chiara i Paolo przeżyli lekki zawód, gdyż nie podawano w tym lokalu wódki, ale ostatecznie zadowolili się piwem („Równie słynne jak nasza wódka, zapewniam!”). Tomek natomiast – z racji swojego stanu pod tytułem „jestem głodny, ale nie chce mi się jeść” – nie poprosił sympatycznej barmanki o nic i zapytał tylko o toaletę. Mieściła się za barem, na samym

końcu stromych, prowadzących na dół schodów. Tam wytarł z siebie resztki potu, zmienił śmierdzące ciuchy na świeże oraz przemył twarz wodą. Na koniec spojrział jeszcze w lustro i klepnął się lekko w policzek. „Ogarnij się, idioto!”

Gdy wrócił na górę, jego dziewczyna wciąż stała przy ladzie. Na kawę trzeba było czekać trochę dłużej niż na piwo, toteż gdy wchodzili na salę, szklanki Włochów były już niemal do połowy opróżnione. Siedzieli przy stole tuż przy wychodzącym na parking oknie. Gdy do nich szli, Tomek złapał Karolinę lekko za ramię. Spojrzała na niego pytająco.

– Kara... Dzięki.

Uśmiechnęła się ciepło i pocałowała go w usta.

– Daj spokój. Po to chyba między innymi jesteśmy ze sobą, co? – Spojrzała mu prosto w oczy. Kochał ten wzrok, jego głęboki błękit. Kochał jej naturalną urodę oraz te – co prawda farbowane, ale niesamowicie twarzowe – ogniste, ciemnoczerwone włosy.

Plus oczywiście wiele innych rzeczy.

Chiarze i Paolo stopniowo wracał rezon i trajkotali jak najęci. Niewątpliwie miało w tym swój udział wyśmienite polskie piwo, którego smaku wprost nie mogli się nachwalić. W przeciwieństwie do nich Tomek był wciąż lekko markotny, ale Karolina nie uważała tego za coś dziwnego. Doskonale wiedziała, jak się czuł, i w pełni go rozumiała. Co prawda nie z autopsji, ale w zupełności wystarczała do tego teoria, którą chłonęła przez już cztery lata studiów. W końcu każdy student psychologii prędzej czy później, nawet nieświadomie, zaczyna analizować osobowości swoich bliskich pod tym właśnie kątem.

Jako że Tomek był przedmiotem jej „badań” już milion razy, miała go rozłożonego prawie na czynniki pierwsze. Nie było więc dla niej żadnym zaskoczeniem, że temu na co dzień dumnemu i pewnemu siebie facetowi wybitnie nie w smak było się tak łatwo pogodzić z tym, że po raz kolejny jego drobniotka dziewczyna uratowała mu życie. Męski honor, niezależność i te sprawy. Nigdy nie lubiła przesadnego przywiązania do tych wartości u swojego partnera (podobnie jak nie lubiła jego porywczosci, upor, konfliktowości i braku wykazywania inicjatywy w jakiegokolwiek sprawie), ale chcąc nie chcąc, ostatecznie machnęła na to ręką. W końcu nikt nie jest doskonały.

W żadnym wypadku nie postrzegła też jego cukrzycy jako defektu, ale

nie dało się ukryć, że zdecydowanie za często dostarczała im ona niezłych wrażeń. Problem był jednak w tym, że zawsze w tym negatywnym sensie.

Pamiętała chociażby ten mrozący krew w żyłach pierwszy raz, kiedy to przekonała się naocznie, że z chorobą Tomka nie ma żartów. Było to niedługo po tym, jak na trzecim roku studiów zamieszkali razem. Co prawda jej rodzice uparli się, by mieli oddzielne pokoje, ale zapewniała ich, że wytrwa w postanowieniu czystości aż do ślubu i słowa jak na razie dotrzymywała. Nie oznaczało to jednak, że nie mogła spać (tylko spać) ze swoim chłopakiem w jednym łóżku. Chociażby po to, by po ciężkim dniu na uczelni móc się do niego przytulić.

Którejś nocy, gdy zaczęła czule głaskać jego potężne plecy, od razu zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Pomimo że w pokoju panował przyjemny chłód, Tomek był mokruteńki od potu. Próbowwała go dobudzić, ale się nie dawało. Niby nie spał, ale trudno było o nim powiedzieć, żeby był świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Oczywiście zarówno o jego cukrzycy, jak i o objawach hipoglikemii wiedziała już o wiele wcześniej, ale naiwnie liczyła, że nigdy nie będzie miała okazji przekonać się o tym na własne oczy. Instruował ją też niejednym razem, jak ma w takiej sytuacji postąpić, co tamtej nocy nie przeszkodziło jej jednak w napadzie małej paniki.

Wezwała pogotowie, a do tego obudziła sąsiadów i poprosiła ich o pomoc. Podczas gdy drząc ze zdenerwowania, wlewała (a raczej próbowała wlewać) mu na siłę colę do ust, ci trzymali wiercącego się chłopaka, który wydając przy tym dźwięki będące połączeniem głośnego mruczenia z niskim zawodzeniem, nie bardzo dawał się okiełznać. Wyglądał przy tym przerażająco żałośnie – biały jak ściana, z nieobecny, niby skupionym na Karolinie wzrokiem i – co było w tym wszystkim najgorsze – z lekkim uśmiechem, jakby robił sobie właśnie z niej żarty. Z całej siły starała się wtedy na to nie patrzeć.

Ha! Łatwo powiedzieć!

Wspólnymi siłami, z resztą zaangażowanych w tę akcję ludzi, udało się w końcu przywrócić Tomkowi przytomność. Akurat w tym samym momencie na miejsce dotarła karetka, ale jako że było w zasadzie po wszystkim, jej pomoc nie była już potrzebna. Jednak na wszelki wypadek chłopak i tak został przez ratowników pobieżnie zbadany. Podczas tej czynności przepraszał ich raz po raz za fatygę. „No jasne, jak zwykle nie

potrzebowałem pomocy, jestem twardy, silny i zawsze sam sobie poradzę, a panowie niepotrzebnie przyjechaliście” – pomyślała wtedy z rozpaczliwą ironią wciąż trzęsąca się Karolina.

Oczywiście okazało się, że tamtego wieczoru Tomek wypił stanowczo za dużo, co ostatnimi czasy zdarzało mu się stosunkowo często, a w jego chorobie było to absolutnie niewskazane. Alkohol powoduje bowiem mniejsze lub większe niedocukrzenia nawet u zdrowych ludzi, a co dopiero u wstrzykujących sobie insulinę diabetyków. Rano wywiązała się więc między nimi z tego powodu ostra sprzeczka, która poskutkowała wieloma cichymi dniami. Co więcej, po tym wydarzeniu przeczytała bardzo dużo na temat cukrzycy i dowiedziała się między innymi, że każda hipoglikemia powoduje nieodwracalne uszkodzenia części komórek mózgowych. Całkiem zrozumiałe stawało się więc, że czasem denerwowała ją ta wieczna potrzeba matkowania mu i martwienia się jego przypadłością za dwoje.

Tym bardziej, że niby był dorosłym facetem...

\*

Początkowe fragmenty hitu Katie Meluy, które były dzwonkiem telefonu dziewczyny, wyrwały ją z zamyślenia.

– No cześć – powiedziała do słuchawki. – Właśnie minęliśmy Augustów i zatrzymaliśmy się na moment na kawkę.

Chwila ciszy.

– Nie, żadnych przygód. Poszło nam dosyć sprawnie. Tomek to mistrz kierownicy. – Uśmiechnęła się do chłopaka.

– Autostopowicze niezmiennie bardzo sympatyczni. Myślę, że odwieziemy ich już do końca. To jakaś wieś niedaleko Suwałek. Pomożemy ludziom w potrzebie.

Tomek przewrócił oczami. Jechali z Warszawy jakieś cztery godziny... Tymczasem był to już trzeci telefon od jej matki. Rozumiał troskę, rozumiał matczyne niepokoje o wysłane w niezbadaną, krwiożerczą dzicz dziecko, ale na Boga...

Wróć! DO KURWY NĘDZY!

Ile można pytać o te same rzeczy? Co zmieniło się przez te półtorej godziny od ich ostatniej rozmowy? No co?

Jego rodzice nie trzymali go aż tak bardzo na smyczy. Wiedzieli o wyjeździe, życzyli mu udanego pobytu, dali nawet troszkę kaski na drobne wydatki i to wszystko. Sam w trakcie roku akademickiego nie



dzwonił za często do Pruszkowa, bo zwyczajnie nie czuł takiej potrzeby. Pępowina była powoli odcinana. I tak właśnie powinno być, bo to w ich wieku normalna kolej rzeczy. Podobał mu się ten stan, to że starzy szanowali jego prywatność i – za co był im dozgonnie wdzięczny – nie traktowali go już jak dzieciaka.

Nigdy nie kumał też tej namiętnej kobiecej potrzeby gadania. Nazywając rzeczy po imieniu – potrzeby gadania bez sensu. Sztuki dla sztuki. Gadania, by gadać. Strasznie go to irytowało. Koniec końców za to, że dyskretnie przemilczała ich drobne problemy na drodze, był jednak Karolinie wdzięczny. Problemy natury ekhm... technicznej.

Nagle ta powiedziała coś, czego się kompletnie po niej nie spodziewał.

– Słuchaj, mam, rozumiem twoją troskę i tak dalej, ale czy mogłabym cię ładnie... ŁADNIE, podkreślam, prosić, byś jednak trochę poluzowała z tą kontrolą? Mam przy sobie przecież swojego goryla, więc się tak nie martw. Wszystko jest i będzie OK – powiedziała do mikrofonu uprzejmie, ale stanowczo. Nauczyła się takiego stawiania sprawy od ojca. Spojrzała na Tomka, który z opadniętą szczęką wlepił w nią teraz wzrok i parsknęła śmiechem. „Brawo, mała!” – pomyślał jej goryl.

– No to pa! Ucałuj ode mnie tatę – pożegnała się, zakończyła połączenie i schowała smartfon do torebki.

– Co taki zdziwiony? – zapytała. – Myślałeś, że do końca życia będę córeczką mamusi i tatusia?

– Tak właśnie myślałem – odparł z przekąsem i odwrócił wzrok w kierunku okna.

\*

„No kurwa jego mać! Jeszcze mi tego brakowało na zakończenie jakże udanego dnia!” – pomyślał Tomek.

Na parking wjechał policyjny radiowóz, a on z jakiegoś powodu przeczuwał, że jego obecność w tym miejscu bynajmniej nie jest przypadkowa. Z czym jak z czym, ale z kojarzeniem faktów i wyciąganiem wniosków jego ścisły, matematyczny umysł nie miał najmniejszych problemów, rzadko się mylił w takich osądach.

Zresztą musiałyby być co najmniej skończonym idiotą, by się tego teraz nie domyślić.

Z niebiesko-srebrnego auta wysiadło dwóch mężczyzn. Obaj byli dosyć młodzi – niewiele starsi od niego i Karoliny, maksymalnie pod trzydziestkę.

To i ich granatowe uniformy były natomiast jedynymi rzeczami, które ich łączyły. Jeden był mały, chudziutki, lekko łysawy, z małym wąsikiem i cwaniackim, świdrującym spojrzeniem; drugi z kolei – chyba nawet większy niż Tomek, szeroki w barach, mocno zbudowany, z niesamowicie brzydką gębą buldoga i głupkowskim wzrokiem.

„Jednostrzałowiec i jego przyboczny, Starsky & Hutch albo lepiej – Riggs i Murtaugh z *Zabójczej broni*. Chwała wielkim, dobrym policjantom...”

Czuł też, że niezależnie, jak bardzo chciałby oszukać przeznaczenie, to najpewniej i tak za jakiś nieokreślony czas pozna tych smutnych panów bliżej. Istotnie – gdy rozejrzeli się po parking, od razu zwrócili uwagę na jego czarne audi A3 na warszawskich numerach. Zajrzeli do środka, a gdy zorientowali się, że samochód jest pusty, stanęli obok niego jakby w oczekiwaniu. Spisywali przy tym wszystko, co można było wyczytać z tablic rejestracyjnych.

Karolina zauważyła, że Tomek skupił się na czymś na zewnątrz i również spojrzała w tamtą stronę, po czym ich oczy się spotkały. Zrozumieli się bez słów.

Nadchodziły drobne kłopoty.

\*

– To moje auto, panie władzo – powiedział głośno Tomek, gdy po wypiciu swoich napojów wszyscy wyszli na parking. Policjanci równocześnie zwrócili w ich stronę głowy. Mały – jak to przed chwilą ochrzcił go w myślach chłopak – uśmiechnął się i zasalutował. Karolina zwróciła uwagę na jego typowe dla niektórych mieszkańców Podlasia lekkie zaciąganie, które знаła już u jednego kolegi ze studiów.

– Dzień dobry. Sierżant Roszkowski się kłania. Wie pan zapewne, w jakiej sprawie tu jesteśmy?

– Tak, wiem. Ja...

– Moment, moment. Na początek poproszę prawo jazdy i dokumenty wozu – przerwał mu uprzejmie.

Tomek posłusznie poszperał w kieszeni, wyjął portfel i wyciągnął z niego prawo jazdy oraz dowód rejestracyjny. Oba wydane na nazwisko Wawrentowicz.

– W porządku. – Mały zwrócił mu dokumenty. – No to co, panie Tomaszu? Co to się działo? Wie pan, telefon to nam się ponoć na

komendzie rozgrzał aż do czerwoności!

– Przepraszam najmocniej, ja po prostu dostałem ataku...

– On jest cukrzykiem. Czasami zdarzają mu się hipoglikemie, czyli niedocukrzenia organizmu – weszła mu w słowo Karolina. Policjanci spojrzeli na nią.

– Aha, i...?

– W ich trakcie może nie do końca zdawać sobie sprawę z tego, co robi. W skrajnych przypadkach jest się wtedy praktycznie nieprzytomnym. Rzadko, bo rzadko się to zdarza, ale jednak.

– Cukrzykiem, powiada pani?

– Tak. Oczywiście zazwyczaj można to kontrolować, ale pewnych rzeczy się nie przewidzi. Organizm może różnie reagować w zależności od sytuacji, na przykład ilości węglowodanów w posiłku. Jak wstrzyknie się za dużo insuliny, to można nawet umrzeć... – odpowiedział za nią tym razem Tomek. – Naprawdę przepraszam za zamieszanie. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Jak panowie też widzą, wszystko jest już ze mną w porządku. Zjadłem coś słodkiego i już wszystko OK.

– Może nam pan jakoś udowodnić, że naprawdę pan jest chory? Nie wiem... Ma pan jakieś lekarstwa albo coś w tym stylu...?

– Oczywiście. Mam na przykład miernik poziomu cukru we krwi albo pena do wstrzykiwania insuliny. Mogę pokazać... – Wskazał na samochód.

– Nie trzeba. – Facecik machnął ręką. Jego partner, który od początku uważnie obserwował dialog, przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

– Ale i tak musimy zbadać wszystkich państwa alkomatem. Dla formalności. Kim państwo są dla pana Tomka?

– Ja jestem jego dziewczyną, a oni to autostopowicze, których wzięliśmy pod Łomżą. Dopiero się poznaliśmy. To Włosi, nie rozumieją po polsku.

– Włosi... – Sierżant Roszkowski się uśmiechnął. – Rozumiem. Dobra, zróbmy to i miejmy to już za sobą.

Karolina wytłumaczyła sytuację Chiarze i Paolowi. Po chwili wszyscy po kolei dmuchali w balonik. Tomek modlił się... pardon! Błagał w duchu, by niedawno wypite przez Włochów piwo nie spowodowało żadnych dodatkowych problemów...

Niestety, o ile w przypadku jego i Karoliny wszystko było w porządku, o tyle u nich test wypadł pozytywnie. Choć może lepiej w tej sytuacji

brzmiałoby „negatywnie”? Policjanci spojrzeli na niego oczekująco.

– Przysięgam, że to ja byłem kierowcą. A oni ledwo co wypili piwo w tym barze i to stąd...

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Tak, chociażby barmanka!

– OK. – Roszkowski kiwnął głową tak, jakby właśnie przyjmował rozkaz. – Dobra, jak dla mnie jesteście wiarygodni. Możecie jechać.

– Dziękujemy.

– Tylko proszę na przyszłość uważać. Skoro, jak pan twierdzi, może pan to kontrolować...

– Mogę, oczywiście! Na wszelki wypadek i tak dziś do końca będzie prowadzić dziewczyna. Jeszcze raz najmocniej przepraszam.

– Kobieta za kierownicą... Dla mnie brzmi to jeszcze gorzej niż pijany kierowca! – zażartował policjant i zarechotał. Karolina nigdy nie brała takich rzeczy do siebie, więc również parsknęła śmiechem.

– A mogę zapytać, gdzie jedziecie i co w ogóle ściąga warszawiaków w nasze strony?

– A taki mały świąteczny wypadek na łono natury. Nigdy nie byliśmy na Suwalszczyźnie, jeden znajomy gorąco namawiał, więc przyjechaliśmy – odparł Tomek. Było już chyba po wszystkim, więc poczuł się w towarzystwie funkcjonariuszy dosyć swobodnie. – Nawet nie jest tu tak zimno, jak się spodziewaliśmy – dodał.

– Każdy warszawiak, którego spotkamy i który przyjeżdża tu pierwszy raz, powtarza co do joty to, co pan właśnie powiedział. A potem okazuje się, że ci bogatsi zawsze kupują tu sobie jakieś letnie domki albo w ogóle budują duże domy. Jeszcze trochę i będziemy mieli tutaj kolejne przedmieście Warszawy. – Roszkowski znowu zaśmiał się z własnego żartu. – Ale jedno wam powiem: nie zawiedziecie się. Mieszkam tu od urodzenia i naprawdę nie da się tej ziemi nie pokochać... – powiedziawszy to, spojrział nieobecny wzrokiem na gęsty las tuż przy restauracji i trochę się przy tym zawiesił.

– Ekhem... A oni jadą do Przelomki. Mówią, że chcą tam zobaczyć jakieś domy z gliny. Podobno rzadko spotykane. – Karolina wskazała na Włochów. Istotnie, choć trudno było w to uwierzyć, taki był właśnie powód przemierzenia przez nich połowy Europy. Jakby wychodząc z lekkiego transu, na chrząknięcie dziewczyny Roszkowski wrócił do rzeczywistości.

– Gliniane domy? A wie pani, że nawet nie słyszałem, że tam coś takiego jest? Będzie trzeba kiedyś obadać po służbie. – Uśmiechnął się. – Ale żeby aż z Włoch jechać?! Podziwiam pasję. – Skinął z uznaniem do dwójki południowców. Odwzajemnili gest, choć nie rozumieli z tego, co do nich mówił, absolutnie nic.

Korzystając z okazji, Karolina wypytała go jeszcze dokładnie, jak dojechać do rzeczonyj wsi, do której mieli dostarczyć autostopowiczów. Roszkowski za pomocą swojej mapy wyczerpująco jej to wytłumaczył. Następnie zasalutował im po raz kolejny – tym razem na pożegnanie, razem ze swoim wielkim, wciąż milczącym towarzyszem wsiedli do radiowozu i odjechali. Cała pozostała na parkingu czwórka wypuściła głośno powietrze dopiero wtedy, gdy policyjny samochód zniknął za zakrętem.

– My to jednak jesteśmy w czepek urodzeni. Jakby byli upierdliwi, to na pewno co najmniej wypisałiby mandat – odezwał się Tomek, gdy i oni zabierali się do zajęcia miejsc w audi.

– Myślisz, że są jakieś paragrafy na ciebie?

– Na pewno by jakieś znaleźli w razie czego. Z tymi pijusami też mogła być niezła kupa. Dobrze, że uwierzyli mi na słowo. – Wskazał na dwójkę na tylnym siedzeniu.

– A ja uważam, że panowie byli bardzo mili i pomocni. Rzadko zdarzają się tacy gliniarze – stwierdziła Karolina i odpaliła auto. „Tam pieprzysz” – pomyślał chłopak, ale by tych jakże szczerych myśli nie wyrazić również werbalnie, przezornie ugryzł się w język.

Gdy wyjechali z powrotem na drogę, by zabić czymś ciszę, Tomek włączył radio.

– Poszukaj może jakiejs lokalnej rozgłośni? Może będzie się coś ciekawego tutaj dziać? – zaproponowała dziewczyna. Nachylił się więc i w poszukiwaniu odpowiedniej stacji pomajstrował trochę przy odbiorniku. Właśnie minęła siedemnasta i szczęśliwie natrafił na właściwą częstotliwość akurat w momencie, gdy spiker wspomniał coś o antenie Radia 5. Nigdy o takim nie słyszał, toteż licząc, że ślepy traf okaże się szczęśliwy, zostawił ten kanał.

Tradycyjnie po wybiciu pełnej godziny nadawano wiadomości.

„Czerwcowy mecz towarzyski Polska – Francja na Baltic Arenie w Gdańsku mocno zagrożony z powodu znacznego opóźnienia prac na stadionie...” – popłynęło z głośników. No masz! Od początku był zdania,

że organizowanie Euro 2012 w Polsce to duże organizacyjne ryzyko. Jasne – fajnie, wielka piłkarska impreza, święto dla kibiców i tak dalej, ale samo się nie robi. Niektórzy po prostu nie dorośli jeszcze do kierowania tak dużym przedsięwzięciem i polscy decydenci wybitnie należeli do tej grupy. Jak mają udać się mistrzostwa, skoro nawet głupiego meczu towarzyskiego nie potrafimy zorganizować właściwie? Do spotkania został nieco ponad miesiąc i zamiast dla świętego spokoju przenieść je gdziekolwiek indziej, to ci dalej utrzymują, że odbędzie się w Gdańsku. Taaa – podczas gdy ten stadion nadal bardziej przypomina plac budowy niż arenę sportowych zmagania. Widział zdjęcia w internecie. Nie ma siły, by zdążyli. NIE-MA-SIŁY! Skończy się jedną wielką kompromitacją. W tym akurat Polacy są mistrzami Europy, a pewnie i na świecie znajdowałiby się w ścisłej czołówce. Dla nich na ogół nie ma zadania nie do spełnienia...

Z myśli wyrwał go widok radiowozu stojącego na bocznym pasie drogi, tuż przy skręcie do jakiejś Strękowizny (cokolwiek to było). Karolina także zauważyła charakterystyczny pojazd, ale i tak jechała zgodnie z przepisami, więc chyba nie było się czego obawiać. Tak jak się spodziewali – tymi, którzy czynili swoje obowiązki służbowe ku chwale ojczyzny, byli ich nowi znajomi z policji. Wielki uniósł swoje potężne ramię i skierował miernik prędkości na audi. Przez chwilę dziewczynę ogarnęło typowe w takich sytuacjach uczucie: „Czy przypadkiem nie przegapiłam jakiegoś znaku ograniczenia prędkości?!”, ale najwidoczniej nic takiego się nie zdarzyło. Ogromny mężczyzna na sekundkę opuścił „suszarkę”, by już po chwili skupić się na samochodzie jadącym za nimi.

„Wciąż nie odnaleziono zaginionej Anny Żuk...” – Tomek wyciszył radio, zerknął za szybę na tablicę z nazwą miejscowości, do której właśnie wjeżdżali („aha, Nowinka”) i sięgnął po leżące między siedzeniami, przypominające walkie-talkie urządzenie.

– Uwaga, mobilki! Tuż przed Nowinką od strony Augustowa miśki suszą! – zapał do CB-radia. Karolina trzepnęła go lekko w ramię, na wpół pieszczotliwie, na wpół w matczynym geście temperowania niegrzecznego syna.

– Ale jesteście!

– No co? – Zaśmiał się. – Jedna podstawowa zasada Kara. ACAB – *All Cops Are Bastards*. Zawsze i wszędzie.

## ROZDZIAŁ II

Tuż po tym, jak wyjechali z restauracji, krajobraz na moment zmienił się z leśnego w typowo wiejski. Niemniej gęste zastępy drzew wciąż były widoczne z obu stron drogi przynajmniej na horyzoncie i tylko gdzieś tam nie stanowiły tła dla ledwo co obsadzonych zbożem pól i rozległych łąk. Niechybnie zbliżał się zachód słońca. Jak na oko Tomka – tak zupełnie się ściemnić miało za jakieś dwie i pół godziny. Znał sprytną metodę obliczania tego, więc raczej się nie mylił. Przeczytał o niej kiedyś w komiksie *Kaczor Donald*, który z zapałem kolekcjonował w dzieciństwie. Oprócz historyjek obrazkowych z jego ulubionymi wówczas bohaterami Disneya od czasu do czasu czasopismo to serwowało bowiem takie właśnie ciekawostki.

Miał dobrą pamięć, więc zakodował sobie w mózgu raz na zawsze, że patrząc w kierunku zachodu słońca, należało wyciągnąć przed siebie otwartą dłoń w taki sposób, by wszystkie palce oprócz kciuka położone były równoległe do horyzontu. Następnie obliczało się odległość naszej gwiazdy od linii horyzontu liczoną... właśnie w palcach. Dalej zasada była już prosta: jeden palec równa się piętnastu minutom. W tamtej chwili w swojej codziennej wędrówce po niebie słońce miało więc jeszcze do przebycia dystans odpowiadający około dwóm i połowie dłoni.

Naturalnie, nie licząc tego wielkiego, zielonego muru drzew, który miał pochłonąć je już znacznie wcześniej. Jakby w odpowiedzi na myśli chłopaka znowu wjechali w las. Nieprzebyty gąszcz zieleni rozstąpił się przed nimi po obu stronach jezdni niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Karolinie to odpowiadało, gdyż dokuczający jej z lewej strony blask w jednej chwili ustąpił klimatycznemu zacienieniu.

Była mile rozczarowana aurą. Osiemnaście stopni, czyste niebo i przyjemne rześkie powietrze za oknem zupełnie przeczyły jej dotychczasowym wyobrażeniom na temat Suwałk. Jeszcze do niedawna знаła to miasto jedynie z grafiki w prognozie pogody i rzadkich opowieści Huberta – właśnie tego zaciągającego kolegi ze studiów, który namawiał ją na wypad w te strony. To zawsze tu miało być najzimniej i ogólnie najmniej przyjemnie. Czasem przekomarzała się z nim nawet, mówiąc: „Czy wyłapano już z ulic wszystkie niedźwiedzie polarne i pingwiny?”.

Z racji, że związek Karoliny i Tomka był w ostatnim czasie jedną wielką obopólną męką, wycieczka ta nie miała służyć jedynie zaspokojeniu

ciekawości krajoznawczo-przyrodniczo-kulturalnej. Choć nigdy tak naprawdę nie powiedziano tego głośno, jej głównym celem miała być przede wszystkim poprawa ich wzajemnych relacji, więc miejsce tak naprawdę nie miało znaczenia. Musiała być wyjątkowa pod każdym względem, dlatego dziewczyna postarała się przygotować do niej perfekcyjnie.

Najpierw oczywiście zrobiła mały *research* w internecie, obejmujący zdjęcia krajobrazów. Wyglądało obiecująco. Niestety, kiedy później była już zdecydowana na spędzenie Wielkanocy pierwszy raz z dala od domu rodzinnego, okazało się, że wprowadzenie tego planu w życie może być znacznie trudniejsze, niż mogła początkowo przypuszczać. Zaczęły się schody.

A pierwszym i najtrudniejszym do ich pokonania stopniem był Tomek. A jakże!

Tradycyjnie – jak to przez większość czasu zresztą – był na nie. Na ogół nie chciało mu się ruszać dupska dalej niż za Marki. Było to irytujące, bo mogła próbować go przekonywać, wytaczać najcięższe, najbardziej rzeczowe argumenty w dyskusji, dąsać i wściekać się, warczeć, rozpaczać, ciskać, błagać go na kolanach... A on i tak zawsze pozostawał nieugięty. Jakby tego było mało – wygarniał jej, że chce go uszczęśliwić na siłę. Argumentował, że takie decyzje powinni podejmować razem, wybierać to, co odpowiada im obojgu, a nie tylko jednemu.

Niby miał rację.

Niby, bo bądź co bądź, zdaniem Karoliny, w relacji takiej jak ich trzeba się było od czasu do czasu zwyczajnie poświęcać. Iść na ugodę. Zluzować poślady. Na tym to polega. Udany związek to wszak sztuka kompromisów. A ona miała serdecznie dość ciągłego bycia w nim tym, które ustępuje. Empatia i umiejętność zrozumienia to bynajmniej nie były cechy charakterystyczne jaśnie pana Wawrentowicza.

Oczywistym było więc, jak to się wszystko znowu skończy. Po burzliwej kłótni wiedziała już, że go nie przekona (przenigdy nie zgodzi się, choćby po to, by zrobić jej na złość) i spowodowało to u niej fatalny nastrój przez wiele dni.

Nagle jednak zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Po kilku dniach nierozmawiania ze sobą i spania oddzielnie wszedł bez słowa do jej pokoju, objął ją i z ociąganiem zgodził się na wyjazd. Wciąż



była na niego cięta, ale niespodziewana dobra wiadomość sprawiła, że jej złość pomału ustępowała coraz większej radości. Pocałowała go wtedy namiętnie i podziękowała.

W żadnym wypadku nie był to jednak u Tomka nagły napad szlachetnego, dżentelmeńskiego altruizmu. Jakiś czas wcześniej dowiedział się bowiem od rodziców, że została uwzględniona w planach jego obecność podczas ich świątecznego wyjazdu do Opola. Mieli gościć u jakiejś ciotki, której prawie nie znał. Perspektywa była wprost cudowna – już sobie wyobrażał odjazdowe wielkanocne śniadanie i tę nieprzyjemną ciszę. Plus ewentualne sztuczne zainteresowanie: „To co tam Tomeczku u ciebie słychać?”. Chciało mu się rzygać na samą myśl. Mógł oczywiście postawić się tak jak Karolinie, ale starzy wciąż mieli w rękę niepodważalny argument w postaci kasy wykładanej na jego studia i utrzymanie. Nie szukał jeszcze pracy, bo wolał skupić się na uczelni (a poza tym średnio mu się chciało). Wawrentowiczowie seniorowie dawali mu względną swobodę w codziennych decyzjach, ale gdy przychodziło co do czego, bywały momenty, w których nie znosili sprzeciwu. A to był właśnie jeden z nich. Tomek miał więc do wyboru albo wątpliwej przyjemności spotkanie rodzinne, albo spędzenie czasu z Karoliną na tej jej pozał się Boże... znaczy nieszczęsnej wycieczce. Wybrał zatem mniejsze zło i wcisnął rodzicom kit, że zaplanowali wypad na Suwalszczyznę już znacznie wcześniej i nawet wpłacili właścicielowi gospodarstwa agroturystycznego zaliczkę za noclegi. Oczywiście mamusia nie była zachwycona, że jej jedyny synuś wyciął jej taki numer, ale ostatecznie jakoś się z tym pogodziła.

Kolejną przeszkodą do pokonania w misternym planie Karoliny byli z kolei jej rodzice. Jako bardzo religijna rodzina co roku spędzali Wielkanoc razem i liczyli, że pod koniec kwietnia tradycji stanie się zadość. Co za tym szło – delikatnie mówiąc – krzywo patrzyli na pomysł córki. Dali się stopniowo przekonać dopiero wtedy, gdy opowiedziała im o problemach między nią a Tomkiem i nadziei na ich rozwiązanie za pomocą tego właśnie wyjazdu. W końcu chyba nic nie potrafi ludzi tak bardzo do siebie zbliżyć jak wspólna przygoda na łonie natury. Ba, przeczytała gdzieś nawet, że człowiek spędzający aktywnie czas jest bardziej skłonny do ustępstw i ugody. Tłumaczyła im więc, że wypad ten przy okazji na pewno pozytywnie wpłynie zarówno na Tomka, jak i na jego wieczne

malkontenctwo.

Wydawałoby się – same pozytywy.

W końcu się zgodzili i była im za to wdzięczna. To było w nich fajne, że podchodzili do takich spraw z należytych zrozumieniem i im również zależało, by ich córka i jej mężczyzna ułożyli sobie życie.

\*

Audi przejechało obok tabliczki z napisem „Suwałki”. Widok za oknami dalej nie miał z miejskim za wiele wspólnego, ale Karolina i Tomek poczuli się nagle jakoś tak... pozytywnie. Ich podróż wreszcie zbliżała się ku końcowi i ten zielony kawałek blachy z białymi literami stanowił pewne tego udokumentowanie. Nawet chłopak – choć na początku podchodził do całego zagadnienia na zasadzie „zaczynam zęby i będę starał się czerpać z tego wszystkiego przyjemność, choć za cholerę mi się nie chce” – odczuł przyjemne mrowienie w żołądku, co lekko zaskoczyło nawet jego samego.

O kurde, czyżby jednak podświadomie cieszył się na ten wyjazd?!

Nawet jeżeli tak było, postanowił, że nigdy, przenigdy się do tego nie przyzna.

Minęli spory zajazd przydrożny z zastawionym licznymi tirami parkingiem oraz kilka hal produkcyjnych lokalnych zakładów przemysłowych. Po kolejnym fragmencie lasu przejechali przez tory kolejowe i dotarli w końcu do zabudowań i runda, z którego tiry zjeżdżały w prawo na coś w rodzaju obwodnicy. Karolina – wedle wytycznych policjanta, które miała zapisane w trzymanym teraz przez Tomka jej telefonie – miała jednak zjechać „lekkko w lewo”, co też uczyniła. Następnie czekał ich długi, prosty odcinek przez całe miasto. Charakterystyczne obiekty, które mijali, wiernie odpowiadały opisowi trasy Roszkowskiego. Był więc mały stadion lekkoatletyczny naprzeciwko kościoła, dyskont popularnej sieci, hotel o nazwie „Hańcza”, a zaraz po nim miejska hala sportowa Ośrodka Sportu i Rekreacji, wyglądająca bardzo skromnie, chociażby w porównaniu do doskonale im znanego warszawskiego Torwaru. Wraz z momentem zmiany nazwy ulicy Wojska Polskiego, którą właśnie jechali, na Kościuszki po obu stronach drogi pojawiły się rzędy starych kamienic. Minęli też schludny urząd miasta z małą wieżą zegarową i ładny, zadbane park z czymś w rodzaju muszli koncertowej.

– Jest statoil. Teraz znowu masz jechać lekko w lewo, a potem na rondzie prosto – powiedział Tomek. Dziewczyna posłusznie wykonała

polecenie.

Tym razem po ich prawej stronie ukazały im się zespoły sporych blokowisk, zaś po lewej – duży, biały budynek wyglądający na szpital. Dwupasmowa droga w połączeniu ze stosunkowo niewielkim ruchem sprawiła, że ani się obejrzel, a wyjechali z miasta.

– I to już? Spodziewałem się, że jak pokazują ich nawet w prognozie pogody, to będzie to trochę większe...

– Jak praktycznie całe życie spędziłeś w Warszawce, to każde miasto w Polsce będzie dla ciebie małe. Pewnie mniej się tu dzieje niż u nas, ale za to nie potrzebują pół dnia, by dojechać z pracy do domu.

– No nie wiem, jak zimą nawali tu śniegu, a na domiar złego wyjdą na łowy niedźwiedzie polarne...

Karolina zachichotała. Czasem walił suchary takie, że aż wszystkie rośliny wokół opadały, bo wysychały na pieprz. Ale za to innym razem potrafił rozbawić ją do łez.

– No, teraz prosto do Jeleniewa, a tam tuż przy drewnianym kościele będzie skręt w lewo.

Sceneria po raz kolejny zmieniła się na leśną. Minęli po lewej stronie kilka efektownych domów jednorodzinnych, następnie przejechali przez miejscowość Prudziszki i po niedługim czasie dotarli do Jeleniewa. Bez trudu znaleźli odpowiedni skręt. W miarę jak zostawiali za sobą Szurpiły i kolejne wioski, Tomek zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić. Przełomka nie okazała się jednak tak blisko Suwałk, jak się spodziewał. Spojrzał na zegarek – za kwadrans szósta. A patrząc na kolejne instrukcje na telefonie dziewczyny, paru ładnych kilometrów mogli się jeszcze spodziewać...

Cała Karolina.

Miała dobre serduszko, ale czasami aż do przesady. Podejrzewał, że gdyby trzeba było zawieźć tych Włochów nawet na Litwę, to i tak by to zrobiła. Fajne i jakże szlachetne.

Tylko czemu kosztem benzyny kupionej za jego (rodziców) kasę?

Do Przełomki dotarli krótko po osiemnastej. Pierdołowaci Włosi nie zadali sobie trudu, by przed wyjazdem wyszukać dokładny adres celu swojej podróży, więc wściekłość Tomka narastała z każdą sekundą. Karolina doskonale zdawała sobie sprawę z jego nastroju. Co jak co, ale język ciała swojego chłopaka znała już perfekcyjnie. Nie musiał się nawet

odzywać.

Poza tym domyślenie się tego naprawdę nie było niczym trudnym. Chociażby po jego wiele mówiącym, ostentacyjnym westchnięciu z cyklu „ja jebię”.

Niespodziewanie długi dystans do Przełomki również i ją nieco zaskoczył, ale nie widziała teraz innego wyjścia, jak tylko zgodnie z obietnicą dowieźć ich nowych znajomych na miejsce. No bo co niby miała zrobić? Wysadzić ich tutaj na samym środku pustej drogi, na której na razie nie minęli nawet jednego samochodu? Nie, nie potrafiłaby im tego tak po prostu zakomunikować. Nie była taka. Poza tym – zostawić ich to jedno. Drugie – co dalej? Jeszcze by im się coś nie dał Boże stało, zabłądziliby albo co gorsza musieli spędzić noc pod gołym niebem. Miałyby ogromne wyrzuty sumienia, gdyby tak się stało.

Ta jej pieprzona empatia i matczyzna troska o każdego spotkanego człowieka! Skupiłaby się na sobie i najbliższych i życie byłoby wtedy piękniejsze! Tomek czuł to. W powietrzu. No normalnie już od samej Łomży przeczuwał, że tak się właśnie sprawa z Włochami skończy, i ledwo się powstrzymywał, by jej tego w swoim stylu nie wygarnąć. Na razie jednak tylko się na nią znacząco gapił.

Na razie...

Karolina oczywiście widziała to kątem oka, ale udawała, że skupia całą uwagę na okolicy. Dojrzawszy idącego akurat poboczem mężczyznę, zatrzymała się i zapytała go o gliniane domy, a ten szczęśliwie wskazał im leżące nieopodal gospodarstwo.

Wjechała na rozległe podwórze. Mityczny już wytwór z gliny stał dokładnie naprzeciwko domu gospodarzy.

Zaparkowała, zgasiła samochód i wysiadła, po czym to samo zrobili Chiara i Paolo. Przy wejściu do chaty akurat krzątała się jakaś babuleńka, więc po uprzejmym przywitaniu się Karolina wyjaśniła, co tutaj robią. Gospodyni uśmiechnęła się i zawołała kogoś. Po chwili w drzwiach od domu ukazał się wysoki, młody mężczyzna z długimi, związanymi w kucyk włosami, który łamaną angielszczyzną dogadał się z Włochami i zaprosił ich do środka. „Przesyłka” została więc już na sto procent dostarczona we właściwe miejsce. Karolina otworzyła bagażnik i pomogła Chiarze założyć jej sporej wielkości traperski plecak.

Zastanowiła się sekundkę. Wiedziała, że igra z ogniem, ale postanowiła

podjąć to ryzyko. Podeszła do samochodu i zapukała w okno, za którym wciąż siedział Tomek. Gdy uchylił lekko drzwi, nawet na nią nie spojrział.

– Może jak już tu jesteśmy, to od razu obejrzymy...

– No weź! – jęknął pretensjonalnym tonem.

– To ty „no weź”! Przejechaliśmy kawał Polski. Zobaczymy coś przy okazji!

– Szczerze? Średnio mnie obchodzą jakieś domki z błota. Jeszcze musimy się zameldować u naszych gospodarzy. Jak będziesz nas wieźć w takim tempie, to nie dotrzemy tam do nocy. Jedźmy już, do kurwy nędzy!

– warknął. Miała ochotę trzasnąć mu drzwiami przed nosem, ale na szczęście się powstrzymała. Wróciła z powrotem do bagażnika, przy którym wciąż stali Włosi.

– *Sorry guys, but we have to go* – powiedziała, ledwo tłumiąc w sobie emocje. O dziwo, tamci nic nie powiedzieli, tylko pokiwali głowami ze zrozumieniem. Czyżby poznali się już na królu Tomaszu Pierwszym Nadętym? Paolo uśmiechnął się, wyciągnął do niej rękę i wymienili dziarski uścisk dłoni. Chiara zaś uściskała ją serdecznie i gorąco podziękowała za podwiezienie. Karolina lubiła momenty takie jak ten. Zawsze kiedy bezinteresownie robiła coś dobrego dla ludzi, czuła wewnątrz swego rodzaju przyjemne ciepło.

Gdy Włosi szli do domu, znaleźli się jeszcze w zasięgu wzroku Tomka i pomachali mu. Ten jednak nie odwzajemnił gestu i odwrócił głowę.

„Szybciej no! Ruszaj się kobieto!” – myślał.

Karolina pożegnała się z gospodarzami, wsiadła do samochodu i odpaliła silnik. Odezwała się do niego dopiero wtedy, gdy wyjechali już z Przełomki.

– Brawo, panie Tomaszu. Piękny teatrzyk. Chyba z tą matką rozminąłeś się z powołaniem, bo odgrywanie scenek lepiej ci wychodzi...

– Odsuść se!

– Zachowujesz się jak dzieciak, wiesz?

– Ale to nie ja muszę pomagać każdej zbłąkanej duszyczce, jaką napotkam na drodze! Nawet nie prosili cię o to podwiezienie!

– Ludziom trzeba pomagać...

– To „pomóż” teraz mi i przymknij się wreszcie! – wrzasnął i niemal natychmiast tego pożałował. Karolina zamilkła, skupiła się na drodze, a jej oczy zaczęły się błyszczeć. Wiedział, że się nie rozpłacze, bo naprawdę

rzadko to robiła, ale czuł, że znowu lekko przesadził.

Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz.

Spojrzał na nią, po czym odwrócił głowę w kierunku okna. Nie był jeszcze gotowy, by przez gardło przeszło mu to magiczne słowo na „p”.

O właśnie! Tak to właśnie między nimi wyglądało. Kilka dni zgody aż do kolejnego jego wyskoku, takiego jak ten, i tak w kółko. Niby godzili się prawie natychmiast, ale jak długo można było tak wegetować? Jasne, Karolina nie była głupia i oczywiście już od początku zdawała sobie sprawę, że Tomek w rzeczywistości nie był takim księciem z bajki, na jakiego pierwotnie pozował. Jednak mimo że starała się odrzucać od siebie tę myśl tak bardzo, jak tylko mogła, ten obrzydliwy głosik w jej głowie coraz częściej mruczał coś o lekkim rozczarowaniu. Zawodzie. Brutalnym powrocie na ziemię. Wiedziała, że kobiety i mężczyźni różnią się od siebie. Zarówno świadomość tych różnic, jak i akceptacja (a przynajmniej jej próba) tak bardzo różnych od jej cech charakteru to podstawowy warunek wzajemnego zrozumienia. Ale gdzieś tam głęboko wewnątrz nie do końca potrafiła się z tym pogodzić.

Pewnych rzeczy nie dało się jednak ani obejść, ani przeskoczyć, ani zamieść pod dywan. W porównaniu z tym, co było między nimi na początku, Tomek bardzo się zmienił. I to był fakt.

Coraz częściej wolał spędzać czas samotnie lub z kumplami niż z nią. Co więcej – nie miał już ochoty ani na rozmowy o swoich problemach, ani na słuchanie o jej własnych, co w przeszłości wiele dla niej znaczyło. Jeżeli zaś szło o kłótnie – jak najbardziej. Wprost je uwielbiał... Momentami naprawdę miała go już serdecznie dość.

Największym paradoksem był więc w tym wszystkim fakt, że pomimo tego nie potrafiła wyobrazić sobie rozstania z nim. Kilka lat wspólnego życia to już było przecież coś. Pokażny kawał jej samej. Poza tym, jakby nawet wbrew sobie, miała pewne poczucie odpowiedzialności za niego.

Za jego życie.

Kiedy więc po kolejnej kłótni znowu zadawała sobie to magiczne pytanie, czemu wciąż z nim jest, jedną z odpowiedzi było tradycyjne: „Gdyż beze mnie kiedyś zwyczajnie przedwcześnie umrze. Nie wybaczyłabym sobie tego”.

Jechali w zupełnej ciszy. Jedno i drugie nie miało odwagi włączyć radia, nie wspominając już o jakimkolwiek ruchu. Zupełnie jakby się bali,

że taka drobnostka mogłaby współtowarzysza jazdy tylko jeszcze bardziej wkurzyć. Wrócili do Jeleniewa i ponownie skierowali się na Suwałki. Dziewczyna była pewna, że do wioski z ich gospodarstwem agroturystycznym prowadziła jakaś droga prostopadła do tej, którą właśnie jechali, i spokojnie mogliby tę końcówkę podróży znacznie sobie skrócić. Nie chciała jednak ryzykować prawdopodobnego błędzenia. I to nawet zakładając, że widok pary ulatniającej się z uszu wściekłego Tomka byłby zapewne fascynujący.

Jechali do Osinek – miejscowości jakiś kilometr lub dwa na północny wschód za Suwałkami, do której skręcało się z drogi krajowej w kierunku Litwy. W tej chwili na niej nie byli, więc by się tam dostać, musieli zawrócić do miasta. Karolina pluła sobie w brodę, że zapomniała wypytać o to Roszkowskiego. Wystarczyło jedno pytanie więcej i byłoby po kłopotcie. A tak mieli tylko kolejną, zmuśną i irytującą dłużyznę. Pragnęła jak chyba niczego innego, by ten wyjazd się udał. Naprawdę! Czowała się w pewien sposób za to odpowiedzialna, bo był to w końcu jej pomysł. Chciała, by Tomek dobrze się bawił i atmosfera wokół nich zrobiła się mniej napięta.

Zbliżali się do efektownych domów, które widzieli już wcześniej. Zapewne z racji ich bliskości zostało zarządzane ograniczenie prędkości, o czym informowały stosowne znaki. Gdy poprzednio tędy jechali, dziewczyna nie zauważyła żadnego patrolu drogówki, więc trochę przyspieszyła. Zazwyczaj starała się nie łamać przepisów, ale akurat na tej drodze zakaz przekraczania siedemdziesiątki wydawał jej się irracjonalny. Była idealnie prosta, widoczność dobra. Nie było praktycznie siły, by ktoś niepostrzeżenie wyskoczył jej pod...

– JEZUS MARIA!

Koła audi zapiszczały przeraźliwie, co jednak i tak nie zapobiegło uderzeniu w zwierzę, które przed ułamkiem sekundy zniecka wyskoczyło na jezdnię z prawej strony. Głuchy trzask dotarł do uszu obydwójga w tym samym momencie, w którym przyciągani przez napięte pasy bezpieczeństwa jednocześnie uderzyli plecami o swoje oparcia.

Karolina dyszała ciężko z mokrymi, kurczowo zaciśniętymi na kierownicy dłońmi. Po chwili wyszła z letargu, odpięła pas i wybiegła z samochodu przed jego maskę. Tomek zrobił to samo.

Wydawało jej się, że niedowidzi, albo coś w tym stylu, bo... ani przed

samochodem, ani pod jego podwoziem, ani pod kołami nie znajdowało się kompletnie nic. A przysięgłaby, że tuż przed rozpaczliwym hamowaniem widziała coś w rodzaju ogromnej kuny lub kota. Obydwoje widzieli. Do tego przecież słyszeli uderzenie. Jak to możliwe, że...

– Cóż, chyba musisz się bardziej postarać, by zostawić zwłoki jakiegoś lokalnego smakowitego zwierzątka na jezdni. Pewnie zdążyło wstać i zwać do lasu. Albo nawet w ogóle nie leżało – odezwał się Tomek i nawet się uśmiechnął. Pomimo bycia wciąż w lekkim szoku (nie zapominajmy, że była to już druga przygoda samochodowa tego dnia) dziewczyna myślała na tyle jasno, że delikatnie zdziwiła ją jego reakcja. Liczyła bowiem na solidny opieprz za narażenie jego „ślicznotki” (i nie chodziło tu bynajmniej o Karolinę) na mały wypadek.

– Przepraszam...

– To ja przepraszam za wszystko. – Tomek podszedł i objął ją. To był dobry moment. Przytuliła się.

– Naprawdę mi zależy, byśmy fajnie spędzili czas. Nie chcę, byś się na mnie wkurzał. – Przycisnęła głowę do jego potężnej klatki piersiowej.

– Wszystko rozumiem, skarbie, i doceniam to. Czasem tylko jestem idiotą i najpierw warczę, a potem pomyślę – odparł, głaszcząc jej burzę ognistych włosów. Lekko drażnił ją w ucho jego wisiołek, który zawsze nosił, ale zignorowała to. W końcu wziął jej głowę w dłonie i pocałował ją.

– Już dobrze. Chcesz, żebym ja prowadził?

– Nieee, dam sobie radę. Jedźmy, nie traćmy czasu – odpowiedziała. Wrócili do samochodu i ruszyli dalej – tym razem jadąc już zgodnie z przepisami.

Gdyby akurat tę minutę wcześniej przejeżdżał tamtędy jakiś kierowca, zobaczyłby pewnie ze swojej perspektywy dość ciekawy obrazek: parę całującą się tuż przy zostawionym beztrosko na samym środku jezdni aucie. Na szczęście nikt ich nie widział.

Tak im się przynajmniej wydawało.

Całe zajście już od samego początku obserwował przez okno swojej okazałej rezydencji ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna. Wodził wzrokiem za audi, dopóki zupełnie nie zniknęło za drzewami.

Warszawskie blachy, dwójka młodych ludzi... Czyżby to byli oni? A jeżeli tak, to co robili na tej drodze? Przecież mieli jechać do Osinek? Zabłądzili? Brzmiało niedorzecznie, ale tępe gówniarze ze „stolicy” już nie



takie numery do tej pory wycinały.

Najbardziej zdziwiło go jednak to gwałtowne hamowanie. Zupełnie jakby coś wybiegło im niepostrzeżenie pod koła. Z miejsca, w którym stał, miał idealny widok na jezdnię i dałby głowę, że niczego takiego nie widział. Może to już pierwsze oznaki demencji? Starzał się już najwidoczniej.

A może...

Nieee, aktywność tego, o którym myślał, zazwyczaj nie objawiała się w takich miejscach jak ta droga.

Jego królestwem był las. Dziki, nieprzebyty.

Mężczyzna zapalił papierosa.

\*

Tuż przed wjazdem na teren zabudowany w Suwałkach Karolina skręciła w świeżo wybudowaną drogę w lewo. Nie była pewna, dokąd prowadzi, ale skoro zmierzała dokładnie w kierunku trasy na Litwę, liczyła, że przy jej projektowaniu jakiś zwariowany architekt nie puścił na tyle wodzy fantazji, by na końcu czekała ich niemiła niespodzianka. Gdy znaleźli się na wysokości marketu OBI, odetchnęła z ulgą. Widziała już wyraźnie jadące prostopadle do nich w obie strony tiry. Po dotarciu do odpowiedniego skrzyżowania po raz kolejny skręciła w lewo.

– Już prawie jesteśmy – powiedziała. Tomek dotknął pieszczotliwie jej trzymanej na drążku do zmiany biegów drobnej rączki. Uśmiechnęła się do niego.

Po krótkim odcinku znowu mieli przed sobą las. Była to ta sama puszcza, której czworonożnego mieszkańca przed chwilą o mało nie wysłali na tamten świat. Przecinały ją właśnie te dwie równoległe do siebie drogi, którymi dzisiaj jechali. Tuż przed lasem Karolina dojrzała skręt na Osinki. Z początku myślała, że to jakaś pomyłka, gdyż drogowskaz kierował ich na ogromny, zastawiony tirami parking pod dużym zajazdem o nazwie Swiss Bar. Okazało się jednak, że się po prostu przez niego przejeżdżało i po sekundzie ich samochód sunął już po wąskim, asfaltowym trakcie przez wieś Osinki.

– Szukamy domu numer siedemdziesiąt jeden. Z zieloną elewacją – powiedziała Karolina.

Ofertę znalazła oczywiście w internecie. Z dużej liczby ogłoszeń, które przejrzała, to gospodarstwo agroturystyczne było najbliżej Suwałk,

a jednocześnie na tyle daleko od drogi krajowej, że mieli zapewnioną ciszę i spokój. Przy okazji gospodarze reklamowali się sauną, Wi-Fi oraz możliwością skorzystania z grilla. Zdjęcia pokoi były rewelacyjne. No i cena – czynnik dla studentów przecież niebagatelny – również bardzo przystępna.

– Jest. – Tomek wskazał na spory dom po prawej stronie, u stóp stromej góry, otoczony wysokim, drewnianym płotem. Karolina włączyła kierunkowskaz.

Nie wjechała jednak na podwórko, gdyż brama była zamknięta. Mogło to trochę dziwić, wszak wrota do takich gospodarstw zazwyczaj stoją dla gości otworem. Zatrzymała się tuż przed wjazdem i razem wysiedli z samochodu. Z racji mikrego wzrostu nie mogła zobaczyć nic z tego, co było za szczebelkami, ale dla Tomka i jego ponad stu dziewięćdziesięciu centymetrów nie stanowiło to żadnego problemu.

Podwórko było kompletnie puste, nie biegały też po nim żadne psy, koty ani kury. Drzwi od wszystkich garaży były zamknięte. Żadnych świateł w oknach, co w obliczu postępującego zmierzchu mogło lekko zastanawiać. Ani żywej duszy na ganku czy w ogrodowej altanie. Co jednak najbardziej nie podobało się chłopakowi – nie stał tam nawet jeden samochód.

– Zadzwoń domofonem – polecił. Karolina podeszła do bramki i wcisnęła guzik. Nikt się jednak nie pojawił, a głośniczek przy przycisku w dalszym ciągu pozostawał głuchy. Spróbowała jeszcze raz.

– Jesteś pewna, że to tutaj?

– Na sto procent. Osinki siedemdziesiąt jeden, dom zgadza się z tym ze zdjęć z ich stronki.

Chłopak zajrzał na podwórko jeszcze raz.

– No to powiem ci, że to nie wygląda, jakby ktoś tu akurat mieszkał. Nie ma żadnych samochodów. Już dawno powinien oczekiwać nas jakiś pies, bo widzę budę. Nawet sprzęty z placu zabaw są pochowane.

Karolina poczuła nieprzyjemny ciężar w żołądku. Nie tylko dlatego, że znowu tego dnia coś wyraźnie szło nie tak.

Czekała na kolejny wybuch.

Tomek po raz kolejny ją jednak zaskoczył. Można chyba było z jej twarzy wyczytać, co aktualnie myśli, gdyż rzekł:

– Spokojnie, bez paniki. Masz do nich numer?

– Oczywiście.

– No to dzwoń.

Wyciągnęła telefon i wyszukała odpowiedni kontakt. Z każdym kolejnym sygnałem ogarniał ją coraz większy niepokój.

– Próbuje dalej – zachęcił ją łagodnie. Wiedział, że obawiała się jego wściekłości, a jakże! I pewnie by do niej doszło, gdyby nie zrobiło mu się jej tak okropnie żal. Wyglądała jak zbity pies.

Podczas gdy Karolina dalej męczyła się z komórką, on obszedł trochę gospodarstwo wzdłuż płotu. Na podwórku panował idealny porządek. Wyteżał wzrok, ale nie potrafił dojrzeć choćby jednej rzeczy, która świadczyłaby o tym, że dom numer siedemdziesiąt jeden jednak nie jest zamknięty na cztery spusty.

Próbując wyczytać coś z jego twarzy, Karolina patrzyła na niego z telefonem przy uchu. „Błagam cię, Boże, nie karz mnie tak! Dość już tych niespodzianek na dzisiaj!” – myślała.

Przecież wszystko było dogadane, a zaliczka przelana! Zastanawiała się, jaki mogła popełnić błąd, ale nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy. Czy próbowali się z nią skontaktować, by jednak wszystko odwołać, a ona zapomniała oddzwonić? Nie przypominała...

– Halo? – W słuchawce niespodziewanie odezwał się kobiecy głos i trochę zbił Karolinę z tropu. Jednocześnie momentalnie poczuła ulgę.

– Dzie... Dzień dobry. K-karolina Górka z tej strony. Czy rozmawiam może z panią Janik?

– Tak, przy telefonie.

„Uff...”

– Proszę pani, zarezerwowaliśmy z chłopakiem pokój w państwa gospodarstwie, od dzisiaj aż do poniedziałku wielkanocnego. Stoimy właśnie przed bramą i dzwonimy, ale nikt nie otwiera. Nie ma państwa w domu?

Przez kilka sekund odpowiadało jej milczenie.

– Aaaj... Najmocniej przepraszam, pani Karolino... Cholera... Zupełnie zapomniałam... Musieliśmy z mężem jakiś czas temu pilnie wyjechać... Kompletnie o państwie zapomnieliśmy. Kurczę...

– Jak to zapomnieliście państwo?! – lekko podniosła głos dziewczyna.

– Przepraszam... Głupio wyszło... Przy całym tym bałaganie z wyjazdem wyleciało mi to z głowy. Jeszcze raz przepraszam. Nie mam

nic na swoje usprawiedliwienie...

– Pani jest głupio, a my przejechaliśmy pół Polski i nie mamy teraz gdzie spać! Co mamy robić? Błądzić i szukać na chybił trafił?

Tomek usłyszał, że Karolina jednak się do kogoś dodzwoniła, i podążył z powrotem do samochodu.

– Rozumiem pani złość i naprawdę bardzo mi przykro, że doszło do takiej sytuacji. Nie powinno było do niej dojść... – chwila ciszy, w której dało się usłyszeć, że Janikowa rozmawia z kimś obok. – Halo?

– Jestem – warknęła Karolina.

– Chyba jest jeden sposób, by to wszystko odkręcić. Nie obiecuję, że mi się uda, ale jeżeli państwo pozwolą, mogę spróbować zorganizować szybko rozwiązanie zastępcze...

– Słucham w takim razie.

Zbliżając się do audi, Tomek od razu rozpoznał, że coś jest nie tak. Świadczyły o tym na przykład jej wściekły grymas, zacięty, utkwiony gdzieś w oddali wzrok i nerwowe chodzenie w tę i w tamtą w promieniu jednego metra. Westchnął. Ciekawe, jak się to wszystko zakończy?

– Dobrze, czekam w takim razie. Do usłyszenia – zakończyła rozmowę Karolina.

Spojrzał na nią pytająco.

– Wyobraź sobie, kurwa, że zapomnieli o nas i pojechali sobie gdzieś w Polskę, jakby nigdy nic!

– Co?!

– Babka zaproponowała mi w zamian, że zadzwoni do jakichś znajomych i spróbuje na szybko nam coś załatwić. Ma zaraz oddzwonić.

– Pięknie. Super się nam wycieczka zaczyna... – odparł lekko kpiąco Tomek i złożony ręce, oparł się tyłem do niej o samochód.

Zirytowała się jeszcze bardziej. Naprawdę ostatnie, czego teraz potrzebowała, to jego dąsów.

– To nie moja wina!

– Nie mówię, że twoja – odrzekł, nawet się nie odwracając. W tym samym momencie Katie Melua w jej ręce znowu zaczęła śpiewać o dziewięciu milionach rowerów.

– Słucham?

Przez minutę wsłuchiwała się, co Janikowa ma jej do powiedzenia, i w końcu zwróciła się do niego:

– Załatwiła nam pokój bardzo niedaleko stąd, w jakichś Białodębach. Mówi, że trochę gorszy standard, ale za to w ramach przeprosin opłacą cały nasz pobyt, czyli kosztować nas to będzie tylko zaliczkę, którą już przelaliśmy. Co robimy?

Tomek otworzył drzwi od auta.

– Bierzemy. Mam już dość tego włączania się na dzisiaj.

– Bierzemy zatem. Za chwilę tam będziemy. Do widzenia. – Schowała smartfon do kieszeni i także zajęła miejsce w samochodzie.

– Gdzie to jest w ogóle?

– Mamy wyjechać z powrotem na krajówkę w kierunku Litwy i zaraz powinien tu być ostry zakręt w lewo. Wtedy mamy zjechać w pierwszą połączoną drogę też w lewo i dalej już prosto w las. To ma być dom numer jeden. Białodęby jeden.

– Dobra. Jedź... – Chłopak ukrył twarz w dłoniach.

Karolina zawróciła i już po chwili zdołali wcisnąć się pomiędzy dwa jadące na północ tiry. Wspomniany przez Janikową zakręt był zaledwie kilkaset metrów dalej. Po nim dziewczyna od razu zauważyła stromą, prowadzącą w dół ścieżkę, na którą zjeżdżało się z wydzielonego pasa, i zgodnie z instrukcjami gospodyni w nią skręciła. W miarę jak po żwirowej drodze posuwali się naprzód, po lewej i po prawej mijali kolejne zamiejskie posiadłości. Wreszcie ta zmieniła bieg i teraz dla odmiany jechali ostro pod górkę. Wspinaczka samochodu na płaskowyż zakończyła się już w lesie.

Wtem Karolina się zatrzymała. Tomek pomyślał, że to pewnie przez rozwidlenie i fakt, że tamta babka oczywiście nieprecyzyjnie wytłumaczyła jej, jak trafić na miejsce.

No któż by się, kurwa, spodziewał?!

– No i gdzie teraz?

– Spoko. Mówiła, że tuż przy cmentarzysku Jaćwingów jest rozwidlenie i mamy jechać w prawo...

– Przy cmentarzysku kogo?! – zapytał głupkowato.

– Jaćwingów. – Wskazała czerwoną tabliczkę z informacją po ich lewej stronie. Istotnie, jej treść stosownie informowała o nazwie znajdującego się za nią miejsca.

– To czemu nie jedziesz?

– Bo tu jest zakaz wjazdu! – Pokazała inny znak, tym razem po ich prawej stronie. Tu też miała rację.

– Ja pierdolęę! Ciągłe jakieś problemy! – jęknął Tomek. „I ta twoja cholerna porządność i przestrzeganie zasad...” – dodał w myślach. Dość tego! – Kara błagam cię... Olej to, jedź tam, gdzie ci powiedziała, i miejmy to już za sobą, bo szlag mnie zaraz trafi!

Wahała się jeszcze.

– Jeżeli to ci pomoże w podjęciu decyzji, to obiecuję, że ewentualny mandat biorę na siebie.

Ruszyła. Po minucie jazdy przez las przecięli jeszcze jakiś dojazd pożarowy numer sześć, co można było wyczytać na odpowiednich strzałkach – tabliczkach przy skrzyżowaniu. Nie zastanawiała się już jednak: Janikowa wyraźnie mówiła, by jechać prosto, aż do pierwszych zabudowań.

W końcu wyjechali na wielką polanę, na której tu i ówdzie stało kilka drewnianych domów.

– No nareszcie! – ucieszył się Tomek.

Dotarli do Białodębów – ich miejsca przeznaczenia.

Dosłownie i w przenośni.

### ROZDZIAŁ III

Tomek zerknął na zegarek. Lekko po siódmej. Zważywszy, że wyjechali z Warszawy o trzynastej, trudno było powiedzieć, by podróż przebiegła jakoś szczególnie sprawnie, ale chrzanić to już! Byli na miejscu i tylko to się teraz liczyło.

Nie wiedzieć czemu, Białodęby z miejsca skojarzyły mu się z wioską z filmu *Osada* – także otoczoną przez las, ale dla odmiany zamieszkały przez krwiożercze potwory.

Tak czy inaczej miał nadzieję, że w tej puszczy żadne nie grasowały. Chodziło mu raczej o sam wygląd wioski, choć paradoksalnie ten trochę się od filmowego różnił. Trudno to było nawet nazwać wioską – jak na te parę porozrzucanych w nieładzie domów na krzyż było to chyba za duże słowo. Polana miała kształt lekko powykręcanego prostokąta i ciągnęła się przez dobre kilkaset metrów, podczas gdy jej szerokość była trochę mniejsza. Waż drogi, po którym sunął teraz ich samochód, przemierzał ją przez całą długość i znikał w lesie po drugiej stronie. Na pofałdowanym obszarze znajdowało się zaledwie kilka tradycyjnych gospodarstw, a znaczną jego powierzchnię zajmowały pola uprawne, o tej porze roku jeszcze ze skromną, ledwo co wychodzącą nieśmiało z ziemi zieloną szczeciną. Pewną część terenu przeznaczono też na pastwiska, na których leniwie pasły się krowy. Przy każdym z domów dało się również dojrzeć po kilka foliowych namiotów. Wyglądało więc, że hodowla i uprawa były w tym miejscu różnorodne i najwyraźniej nieukierunkowane na pojedyncze typy roślin i zwierząt.

Karolina wypatrywała oznaczenia „Białodęby 1”, ale jak na złość żaden z budynków nie miał nawet jednej tabliczki z numerem. Żadne z gospodarstw nie miało też nigdzie informacji o działalności agroturystycznej, ale to już tak bardzo jej w sumie nie zdziwiło. Białodęby także znajdowały się bardzo blisko Suwałk, więc gdyby były tu oferowane regularne noclegi, to znalazłaby o tym informację w internecie. Nie przypominała sobie, by natrafiła na jakąkolwiek wzmiankę o tym miejscu, a szukała bardzo dokładnie. Pani Janikowa załatwiła im więc pewnie pokój w zwykłym, nieturystycznym domu. Lepsze to niż nic.

Tym bardziej że prawie za darmo.

Dojrzała kogoś na podwórku ostatniego gospodarstwa, które właśnie po prawej stronie mijali. Zatrzymała się i wysiadła z samochodu.

– Przepraszam panią bardzo. Czy Białodęby to tutaj? Szukamy domu numer jeden.

Dopiero po tym, jak to powiedziała, zwróciła baczniejszą uwagę na osobę, którą właśnie zaczepiła. Choć światło zachodzącego słońca nie umożliwiało już idealnej widoczności, nie dało się nie zauważyć, że powiedzieć o tej dziewczynie, że jest bardzo... hmm... atrakcyjna, to jak... nic nie powiedzieć.

Młoda gospodyni z podwórka się uśmiechnęła. Chyba nie zauważyła, że Karolina zmierzyła ją właśnie wzrokiem od stóp do głów.

A może zauważyła, ale był to już dla niej tak powszedni obrazek, że nie zwracała na to uwagi?

– Dobrze trafiliście, bo to właśnie tutaj.

Tomek także opuścił samochód i dopiero wtedy zobaczył osobę, z którą rozmawiała Karolina, bowiem do tej pory zasłaniało mu ją jakieś drzewko. Kompletnie go zatkało, a żuchwa wylądowała na ziemi.

No... Mówiąc wprost... Nie owijając w bawełnę ani nie bawiąc się w dyplomację...

Ależ to była panienka!

Wysoka, z długimi naturalnymi blond włosami, sporym biustem i ślicznymi łagodnymi rysami twarzy, ale na tyle, na ile w tym słabym świetle mógł widzieć – bez śladu makijażu. Choć była ubrana w coś w rodzaju damskich dresów, nawet przez nie zarys jej seksownych pośladków i ud był doskonale zauważalny. Nie był to typ wieszaka, oj nie. Jej figura przypominała raczej tę charakterystyczną dla gwiazd porno. Tomek gustował właśnie w takich kobietach. Nie modelkach – KOBIECIACH! By było na co popatrzeć i za co złapać. By było jak najwięcej jędrnych wypukłości, pagórków, wzgórz... By na samą myśl o tym ciele poziom testosteronu we krwi osiągał poziom alarmowy...

Nieżłą ironią losu był więc przy tym wszystkim fakt, że jego dziewczyna pasowała do tego profilu wyglądu jak pięść do nosa.

Cóż, miłość to nie tylko popęd seksualny, ale...

– Coście tak zamilkli? – zapytała wesoło blondynka. Obydwoje wrócili do rzeczywistości.

– Eeeem... – Przez moment Karolina nie wiedziała nawet, co tu w ogóle robią, ale w porę się zreflektowała. – Jesteśmy od państwa Janików. Podobno dzwonili do was w naszej sprawie.



– Tak, dzwonił. Domyśliłam się, że to wy. Wynikło ponoć lekkie nieporozumienie i dlatego to u nas będziecie spać do poniedziałku?

– Czy to problem?

– Nie! W żadnym wypadku. – Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Zapraszam.

To powiedziawszy, otworzyła szeroko oba skrzydła drewnianej bramy. Karolina wróciła więc do samochodu i wjechała na puste podwórko. Tomek zaś (przez cały czas gapiąc się na świeżo poznaną dziewczynę i przez to parokrotnie się potykając) pokonał ten krótki odcinek pieszo.

Czysty ideał...

Tfu! Wypluj to! Nie możesz tak myśleć! Twoim ideałem była, jest i zawsze będzie Karolina!

Aczkolwiek...

Co aczkolwiek?! Gdzie aczkolwiek?! Jakie aczkolwiek?! Co ty pieprzysz, Wawrentowicz? O czym ty myślisz? Wstydu nie masz?! Ogarnij się!

Blondynka spojrzała na niego i zamrugała (Bóg... nie, cholera wie, czy celowo, czy przypadkiem) kokieteryjnie. Wyciągnęła rękę.

– Natalia – przedstawiła się.

– Motek... eee, Tomek oczywiście – wydukał. „Kurde, złe pierwsze wrażenie. Wyszedłem na ciotę...”

– Miło poznać – odpowiedziała Natalia i uścisnęła mu dłoń. Zdziwiło go, jak silny był to uścisk. Wręcz męski.

Karolina wysiadła z samochodu i gdy także zapoznała się z młodą gospodynią, ta zaprosiła ich do sporego, górującego lekko nad resztą podwórka drewnianego domu. Nie mieli za wiele bagażu, toteż licząc, że zdołają rozgościć się za jednym zamachem, wyjęli go z auta w całości. Niemal wszystko wziął Tomek, oczywiście nie omieszkując przy tym napinać swoich efektownych bicepsów nieco bardziej, niż to było konieczne. Natalia wprowadziła ich przez ganek i po wejściu do budynku od razu skierowała na piętro. Kondygnacja, na którą wchodziło się ze szczytu stopni, skręcając w lewo, składała się z jednego słabo oświetlonego, wyłożonego boazerią korytarza z dwoma parami drzwi po obu jego stronach i znajdującym się na samym końcu, wychodzącym na las za domem oknem.

– Wasz pokój to będzie ten po prawej, na samym końcu. Jest otwarty.

Rozgośćcie się. Łazienka jest tu, przy schodach, i jest wspólna dla całego piętra. Chyba wszystko... – zastanowiła się. – W razie czego wołajcie mnie – to powiedziawszy, zostawiła ich samych, a schodząc, spojrzała jeszcze ukradkiem na Tomka i uśmiechnęła się do niego. Ten niezgrabnie przemierzył łącznik (waliza Karoliny ważyła chyba więcej niż ona sama... ech, kobiety i te ich „niezbędne” rzeczy) i otworzył wskazane drzwi.

Nie było tak źle.

Jedno dwuosobowe łóżko z dość świeżo wyglądającą pościelą, szafa, stół, lustro i komoda. Do tego, podobnie jak na korytarzu, boazeria na ścianach i skośnym suficie oraz okno – także wychodzące bezpośrednio na las tuż za gospodarstwem. Czysto, skromnie, schludnie, nie było na co narzekać. Położył walizki, zostawił z nimi Karolinę i poszedł jeszcze obejrzeć łazienkę. Pysznic z zasłoną, umywalka, lustro, okno na podwórko, z którego gdyby nie zasłaniające je wielkie drzewo, byłoby widać ich samochód, trochę stare kafelki, muszla klozetowa też nie pierwszej nowości, ale syfu nie było. Podsumowanie całości – znośnie.

– Tomuś... – Od tyłu w pasie objęły go dwie drobne rączki. Wiedział, co za chwilę usłyszy. No po prostu wiedział. – Jeszcze się tak do końca nie ściemniło. Może przejdziemy się na spacer po lesie?

Ha! Bingo! Czyżby miał dar jasnowidzenia?

– Niech zgadnę: cmentarzysko Jaćwingów? – Odwrócił się i także ją objął.

– No prooszę cię... – Wyglądała tak rozczulająco z tym utkwionym w nim błagalnym wzrokiem, że nie potrafił tym maślanym oczkom odmówić. Zresztą jej pomysł nie był wcale taki zły. Przydałoby się po znoszeniu jajka z Warszawy do Suwałk rozruszać trochę kości. Czuł, że jeszcze jedna godzina siedzenia i dostałby hemoroidów.

– Nie jesteś głodna?

– Trochę tak, ale zostały nam jeszcze zapasy z podróży. – Podniosła trzymany w ręce plecak. – Weźmy je ze sobą i zjemy po prostu po drodze, żeby się nie zmarnowało.

– Dobra, idziemy – zgodził się. – Ale jak będziemy jeść, to daj mi się tylko wstrzyknąć.

– OK. Będę czekać na ciebie na zewnątrz.

Tomek wrócił do pokoju, wyjął z torby pena i wbił cieniutką igłę w brzuch. Pamiętając o niedawnych wydarzeniach, tym razem na wszelki

wypadek wziął niższą dawkę insuliny niż zazwyczaj i obiecał sobie, że jak tylko wróci ze spaceru, to zmierzy sobie cukier. Gdy chował aplikator z powrotem, dojrzał jeszcze w swoich bagażach pustą butelkę po coli. W pokoju nie było kosza na śmieci, w łazience także, ale z tego, co mgliście sobie przypominał, jakiś kontener na odpadki znajdował się chyba na zewnątrz. Wziął więc butelkę ze sobą. W połowie korytarza coś mu przyszło do głowy i zawrócił. Wyjął tkwiący w wewnętrznej dziurce klucz i zamknął nim drzwi. Strzeżonego Pan Bóg... Nieee... No, coś w ten deseń w każdym razie.

Zgodnie z zapowiedzią Karolina czekała na niego na ganku.

– Przez tę całą aferę z Włochami zapomnieliśmy, że nie mamy nic do jedzenia na jutro rano...

– Błagam, nie mów mi, że chcesz jeszcze jechać do Suwałek po zakupy...

– Spoko, gadałam przed chwilą z Natalią. Mówiła, że nie ma problemu, byśmy zjedli razem z nimi śniadanie. Zaproponowałam nawet małą rekompensatę, ale nie chciała o niej słyszeć. To miło z ich strony – powiedziała. – Aha... Nie mają tu internetu.

– Jak ty przeżyjesz bez swoich psiapsiółek na fejsie?! – zakrzyknął z udawaną rozpaczą. Gdy zaczęła go gonić, puścił się biegiem do bramy i kiedy mijał kontener na śmieci, rzucił w jego kierunku butelkę. Kłapa była jednak zamknięta, więc kawałek plastiku odbił się od niej i wylądował na ziemi. Nie przejął się tym jednak i wybiegł za posesję.

Karolina zauważyła jego nieudany rzut i się zatrzymała.

Typowy Wawrentowicz...

Podeszła do kontenera i schyliła się po butelkę.

– Co ty robisz? – ochrypły, skrzekliwy głos rozległ się za jej plecami tak niespodziewanie, że aż podskoczyła i krzyknęła. Przestraszył ją tak bardzo, że przez moment bała się nawet ruszyć, o odwróceniu się nie wspominając.

Starsza kobieta, która znienacka pojawiła się za nią, obserwowała ją bez ruchu z beznamiętną twarzą. Lekko speszona Karolina zaczęła uderzać butelką o otwartą dłoń.

– Eee... Przepraszam, właśnie miałam ją wyrzucić... Rozumiem, że nie mają państwo nic przeciwko temu, byśmy korzystali z tego pojemnika na śmieci?

– Wyrzucić? Wyglądało to tak, jakbyś rzuciła ją sobie na nasz trawnik i chciała sobie odejść, jakby nigdy nic – wysyczała staruszka. Jej ton był bardzo pretensjonalny.

– W żadnym wypadku! Przysięgam pani, że chciałam ją podnieść i wyrzucić...

– To zrób to natychmiast! – warknęła.

Karolina uznała, że wobec uniwersalnej, doskonale jej znanej zasady „stara zrzęda ma zawsze rację, a jak nie ma – patrz punkt pierwszy” nie ma sensu próbować się dalej na siłę tłumaczyć. Zgodnie z życzeniem (choć „rozkaz” byłby w tej sytuacji właściwszym słowem) kobiety podniosła klapę od metalowego śmietnika, wyrzuciła butelkę, po czym bardzo ostrożnie ją zamknęła. Skinęła jeszcze do staruszki, wymamrotała nieśmiało „przepraszam” i szybkim krokiem podreptała do bramy.

Niemal czuła na plecach ten palący, przeszywający ją wzrok...

Gdy wyszła za ogrodzenie i skręciła w lewo, gdzie czekał na nią zniecierpliwiony Tomek, kątem oka dostrzegła, że gospodyni stoi niezmiennie w tym samym miejscu i w identycznej pozycji, w jakiej ją zastała. Jej drobne ciało przeszył lekki dreszcz.

– Co tak długo?

– Nic nie widziałeś?

– Nie no, przecież sama widzisz, że tu jest górka. A co miałem widzieć?

– Otóż wyobraź sobie, że właśnie przyjełam za ciebie opieprz od gospodyni za tamtą butelkę od coli – obwieściła mu z lekkim wyrzutem.

– Opieprz? Ale...

– Już nie chce mi się wierzyć, że nie widziałeś, jak nie trafiłeś.

– Nie widziałem – skłamał. – I co?

– Jajco! Przynajmniej u obcych mógłbyś się zachowywać jak cywilizowany człowiek i sprzątać po sobie. Nie nadużywajmy ich uprzejmości.

– No dobra, przepraszam – rzucił dla świętego spokoju. Wiedziała, że mówi to wybitnie nieszczercze, ale musiało jej to wystarczyć.

– Ty nie mnie przepraszaj. I to jeszcze odwalileś coś takiego na dzień dobry, pierwszego dnia! Akurat to, że ludzie ze wsi mają zazwyczaj fioła na punkcie przyrody, to żadna tajemnica. – Karolina wzięła go za rękę.

Po chwili marszu w milczeniu Tomek się odezwał:

– To Natalia tak się zdenerwowała?

– Nieee, jakaś staruszka. Pewnie jej babcia albo ktoś w tym rodzaju. Nie myślałeś chyba, że ta laska sama rządzi tymi wszystkimi włościami?

– Laska?

– No nie gadaj, że ci się nie podoba, Wawrentowicz, bo jawnie mi tu skłamię w żywe oczy!

Tomek spuścił wzrok. Nie warto było zaprzeczać. Karolina ogólnie miała zadziwiającą umiejętność łatwego rozpoznawania, kiedy kłamał.

– A więc jednak – przerwała kilkusekundową ciszę dziewczyna.

– Co jednak?

– No jednak ci się podoba.

– Fajna jest, co poradzę.

– Fajna?! To mało powiedziane! – Uśmiechnęła się. Nie odpowiedział.

– Ale nie masz się co przejmować. Jesteś usprawiedliwiony. Gdybym ja była facetem, to też bym za nią szalała.

– Ale ja za nią nie szaleję przecież! – podniósł lekko głos. – Jest ładna, miła, ma niezłe ciało („Niezłe? Ty perfidny łgarzu”). To wszystko. Nie latam z wywieszonym jęzorem za każdą fajną panienką. Masz mnie za takiego?

– Oj wiem, drocę się z tobą przecież. – Pocałowała go w policzek.

Wyciągnęła z plecaka ich ostatnie podróżne kanapki i podzieliła je między nich. Po opuszczeniu polany weszli w gęsty las i po kilku minutach ponownie dotarli do drogi pożarowej, po której przecięciu dalej posuwali się naprzód. Po chwili drzewa ustąpiły następnej rozległej pustej przestrzeni po prawej stronie, która powstała z kolei po niedawnym sporym wyrębie. Świeżo poorana wielkimi kołami ciężarówek ziemia świadczyła o tym aż nadto.

Karolina poczuła się nagle bardzo fajnie. O dziwo dość szybko wyrzuciła z głowy nieprzyjemny incydent z butelką. O dziwo, gdyż na ogół przesadnie przejmowała się takimi rzeczami i nieuregulowanymi relacjami z ludźmi wokół niej. Nie lubiła sytuacji, w której ktoś się na nią dąsa, i zawsze za wszelką cenę dążyła do wyjaśnienia sprawy jak najszybciej. Teraz nie miało to już jednak znaczenia. Głęboko oddychając, chłoneła świeże powietrze i melancholijną ciszę lasu z delikatnym, charakterystycznym szumem w tle. Uwielbiała ten kojący odgłos. Wreszcie mogła na te kilka dni się wyłączyć. Ten wyjazd był rewelacyjnym pomysłem. Uczelnia, codzienne mniejsze lub większe problemy, rodzina –

wszystko to wydawało się teraz czymś odległym i zupełnie niewartym uwagi. Chwytała dzień i czerpała z każdej mijającej chwili całymi garściami. Szła za rękę ze swoim mężczyzną, który mógł wreszcie skupić się wyłącznie na niej. Spacerowali wieczorem w klimatycznej leśnej scenerii i rozmawiali o pierdołach. Bez żadnych zmartwień i trosk. Niby drobiazg, a jaką frajdę jej sprawiał! Było jak dawniej...

Po jakichś piętnastu minutach od wyjścia z Białodębów po raz kolejny zobaczyli w końcu tę charakterystyczną, czerwoną tabliczkę z napisem „REZERWAT PRZYRODY CMENTARZYSKO JAĆWINGÓW”. Gwoli ścisłości Karolina nakręciła się trochę na to miejsce już wtedy, gdy po raz pierwszy wspomniała jej o nim pani Janikowa. Co prawda w wyniku tak zwanych „bejzisz” (jedno z ulubionych określeń jej taty, który od małego dbał o wiedzę ogólną córki) wiedziała już, że ten pradawny lud zamieszkiwał w czasach średniowiecznych północno-wschodnią Polskę, ale nic poza tym. Bardzo zaciekało i zaintrygowało ją więc, co za chwilę zobaczy.

– O kurde... – wyrwało się Tomkowi. I był to chyba najlepszy komentarz do widoku przed nimi.

Miejsce bowiem bez żadnej przesady było... magiczne.

Weszli na średniej wielkości polanę, na której tylko tu i ówdzie stały samotne drzewa. Prawie w ogóle nie było na niej ani żadnego podszytu, ani krzewów. Praktycznie cała przestrzeń pokryta była gęstym, białym dywanem zawilców, co dawało w efekcie niesamowite wrażenie wizualne. Na wprost od wejścia na cmentarzysko znajdował się sporej wielkości okrągły, kamienisty kurhan – zapewne najważniejszy, ponieważ jedyny taki na całym obszarze. Jedyny złożony z kamieni oczywiście, gdyż rozglądając się wokół, co i raz dało się dojrzeć kolejne płaskie, kołowe i zarośnięte już porządnie trawą kopce, których na pewno nie stworzyła natura. Choć z początku nie rzucały się w oczy, z każdą sekundą dostrzegali ich coraz więcej. Całości dopełniał zapadający zmrok oraz fakt, że miejsce to znajdowało się na swego rodzaju wzgórzu – tym samym, na które wjeżdżali po zjechaniu z drogi krajowej. W przecince między drzewami mieli widok na kilka okolicznych mijanych uprzednio samochodem posiadłości.

No i ta cisza... Zupełnie jakby ktoś wyłączył dźwięk... Żadnego śpiewu ptaków ani szumu wiatru. Nawet drzewa zamilkły na amen.

– Jak z *Władcy Pierścieni!* – zapiała z zachwytem Karolina. Wyciągnęła

swój smartfon i póki jeszcze pozwalała na to jako taka widoczność, zrobiła nim kilka zdjęć. Tomek zaś podszedł do tablicy informacyjnej, na której można było przeczytać co nieco o prowadzonych w tym miejscu w przeszłości pracach wykopaliskowych. Również pomagał sobie komórką, gdyż zapadająca ciemność bynajmniej nie ułatwiała odbioru jakiegokolwiek pisanej treści. Dowiedział się między innymi, że właściwa, najbliższa osada Jaćwingów znajdowała się – o ironio – tam, gdzie obecnie leżą Osinki. Co więcej – między nią a cmentarzyskiem, choć ciężko było w to teraz uwierzyć, okolicę oblewało spore jezioro. Wiarygodnie tłumaczyło to zatem charakterystyczne ukształtowanie terenu.

– No i co ty na to? – zapytała Karolina po jakimś czasie, już w trakcie drogi powrotnej do Białodębów. Trochę czasu zajęło, zanim zdecydowali się wreszcie na opuszczenie cmentarzyska, toteż rozgrywka między nocą a dniem – jak codziennie zresztą mniej więcej o tej samej porze – już dawno zakończyła się ostatecznym zwycięstwem tej pierwszej.

– Z niechęcią, bo z niechęcią, ale muszę przyznać ci rację. Warto było się tam wybrać – odpowiedział z żartobliwym przekąsem.

– A widzisz! To jeszcze mi powiedz, jak świetny to był pomysł, żeby tu przyjechać, a w ogóle będę wniebowzięta. – Wtuliła mu się zalotnie w ramię.

– Nie no, na to musisz bardziej zasłu... – przerwał, gdy po ich lewej stronie, gdzieś daleko w leśnej gęstwinie bardzo głośno trzasnęła gałązka. Zatrzymali się i obydwójce spojrzeli w tamtym kierunku. Po chwili ciszy usłyszeli, jak ściółka skrzypi pod czyimiś szybkimi krokami.

Karolina instynktownie ścisnęła mocniej dłoń Tomka, a drugą ręką objęła jego potężne ramię. Po kilku sekundach kroki ucichły. Oczekiwali w napięciu.

– Jest tu kto? – rzucił pytanie Wawrentowicz. Nie otrzymał odpowiedzi, ale po krótkim czasie usłyszeli kolejne szelesty. Nie odrywając swojej ręki od Tomkowej, Karolina przesuwiała się stopniowo za względnie bezpieczną barierę, między nią a źródłem podejrzanych hałasów, którą tworzyło stukilogramowe ciało jej chłopaka. Wyciągnęła telefon. Pochłonięta utrwalaniem na karcie pamięci cmentarzyska Jaćwingów, nie zwróciła na to wcześniej uwagi albo może pech chciał, że po prostu znajdowali się akurat w tak niefortunnym punkcie na ziemi. W każdym razie – według wyświetlacza nie było teraz nawet jednej kreski zasięgu...

Dźwięki kroków rozległy się ponownie. Nie było już co do tego żadnych wątpliwości – ten ktoś wyraźnie szedł w ich stronę. Tomek przełknął ślinę i próbując dostrzec tajemniczego, leśnego, nocnego wycieczkowicza, z całej siły wyteżył wzrok. Niestety, w mroku połączonym z gęsto rosnącymi drzewami nie dało się zobaczyć kompletnie nic. Jedynym dowodem na obecność kogokolwiek był wciąż tylko ten odgłos chodu, coraz bliżej i bliżej...

Gdy osobnik znalazł się mniej więcej dziesięć metrów od nich, znowu się zatrzymał.

– Kto tu jest? – zawołał Tomek. Czuł na sobie drzenie rąk Karoliny, które w połączeniu z lekkim już wieczornym chłodem i jego delikatnym pietrem poskutkowało gęsią skórką.

Cisza.

– Pokaż się, kurwa! To wcale nie jest zabawne! Jak tam zaraz do ciebie wejd... – nie skończył zdania, gdyż po lesie powtórnie rozniósł się szelest, lecz tym razem nie był to już chód, a bieg, i to bardzo szybki. Zamarli, gdy po chwili spomiędzy drzew wyskoczyła do nich wielka, czarna, włochata i groźnie warcząca kula. Tomek nie zastanawiał się długo, instynktownie zgarnął w ramiona drobne ciało Karoliny i dał w długą po ścieżce tak szybko, jak tylko pozwalały mu nogi. Rytmicznie wciągał powietrze nosem i wypuszczał ustami. Dźwiganie dziewczyny w biegu – i to nawet przy założeniu, że i do pięćdziesięciu kilogramów pewnie jej sporo brakowało – również stanowiło dla niego spory wysiłek.

Ogromny odyniec za nimi nie dawał za wygraną i z przeraźliwym kwiczeniem gonił ich na swoich krótkich nóżkach. Chłopak nie oglądał się za siebie i nie zwolnił nawet wtedy, gdy wybiegł już na polanę w Białodębach. Pogłos jego ciężkich kroków odbijał się echem od drzew. Z gracją pięknego rumaka śmignął pomiędzy kolejnymi gospodarstwami i dotarłszy w końcu na znajome, oświetlone teraz skromnie jedynie lampą tuż nad domowym gankiem podwórko, pospiesznie postawił Karolinę na ziemi i błyskawicznie zamknął za sobą bramkę. Jak się okazało – było to już jednak zbyteczne, gdyż aktualnie nic już ich nie goniło.

– Ja pierdziele! – zaklął Tomek. Pochylił się i oparł dłonie o uda, głęboko przy tym oddychając. Karolina podeszła do niego i zaczęła masować po plecach. Także ciężko oddychała, ale oczywiście nie z wysiłku, a z emocji.



– W porządku?

– Taaak... Ale Holender, uch, takiej przygody na zakończenie roman... tycznej przechadzki po lesie to ja się nie spodziewałem... em. – Parsknął śmiechem.

– Mój ty bohaterze! – zapięła udawanym wzniosłym tonem. W sumie, gdyby się zastanowić, to nawet nie musiała go udawać. W swoich wyjściowych bucikach nie miała najmniejszych szans na tak szybki bieg, więc istotnie, gdyby nie on, byłaby skazana na pastwę dzikiej świni.

„Być skazanym na pastwę dzikiej świni...”

Gdy dodała do tej myśli obrazek rozpaczliwej ucieczki Tomka z nią na rękach, nie wytrzymała. Zaśmiała się głośno i dopiero gdy się trochę uspokoiła, dodała:

– Nie spodziewałam się, że umiesz tak szybko zasu... wać! – zakrztusiła się.

– Ba, sam do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z tej supermocy! – odparł i także się roześmiał.

– Usain Bolt może ci buty czyścić, Tomaszu „Turbodymomenie” Wawrentowiczu! Zapieprzałeś jak mały samochodzik. – Karolina już prawie płakała ze śmiechu.

Nagle spoważniała.

– Zgubiłam plecak.

Tomek się wyprostował.

– Jak to zgubiłaś?

– Miałam go jeszcze przy sobie, jak wracaliśmy. Musiał mi zlecieć, jak mnie ratowałeś...

– Pięknie... Co w nim było?

– Jakieś resztki jedzenia, chusteczki, chyba twój scyzoryk i... kurde, twoja bluza.

– A komórka?

– Mam ją dalej w kieszeni. Na szczęście.

W odpowiedzi Tomek spojrzał w mrok, w kierunku, z którego właśnie przybiegli. Księżyc w trzeciej kwadrze pięknie oświetlał całą polanę swoim srebrzystym blaskiem. Złowroga ściana lasu wypełniała horyzont.

– Eeem, no nie wiem jak ty, ale ja tam wracać teraz nie mam zamiaru. Przynajmniej w nocy.

Karolina spojrzała w niebo.

– Na deszcz się nie zbiera. Chyba nic się nie stanie, jak poszukamy go jutro z rana.

– No, chyba nie. Miejmy nadzieję, że ludzie wezmą sobie do serca ten śmieszny zakaz wjazdu i nikt mi nie zostawi odcisku opony na moim biednym plecaczku – odpowiedział z markowaną rozpaczą.

– Ja to bym się martwiła, czy dzik, którego tak panicznie się przestraszyłeś, nie wyczuje tych wyśmienitych kabanosków, które w nim zostały.

– Ja „panicznie przestraszyłem” się dzika?!

Tym razem nad Białodębami rozbrzmiało sztuczne oburzenie.

– A nie? Miałeś gęsią skórkę nawet we wnętrzu dłoni. Mnie nie oszukasz. Myślisz, że nie czułam?!

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział na to pierwsze pytanie – Gdyby była potrzeba, to rozłożyłbym go jednym palcem. Ja się po prostu spieszyłem, bo... muszę pilnie do toalety!

– Tak, zrobić kupę, od rozwolnienia ze strachu! – Zachichotała. Tomek także dał się porwać jej zaraźliwemu nastrojowi i obydwójce uchachani jak nigdy weszli na ganek, a potem przez otwarte drzwi do domu. Tam w korytarzu na parterze spotkali Natalię.

– Co wam tak wesoło?

Nie wiedzieć czemu to pytanie znowu wywołało u nich niekontrolowany wybuch śmiechu. Karolina odpowiedziała dopiero po chwili, bowiem wcześniej zwyczajnie nie była w stanie:

– A, taka mała przygoda ze spotkaniem dzika w lesie. Żebyś widziała, jak Tomek szybko zasuwał!

– Nie słuchaj jej, wcale nie uciekałem, tylko narażałem własne życie, walcząc jak...

Zamilkł, gdyż w tym samym momencie za Natalią otworzyły się drzwi i stanęła w nich starsza kobieta. Wszyscy troje na nią spojrzeli. Wprawdzie Tomek widział ją pierwszy raz w życiu, ale w mig skojarzył, że to najprawdopodobniej ta sama, która zmyła Karolinie głowę za jego niefortunny rzut butelką.

– Dobry wieczór miłej gospodyni! – zagaił.

Nie odpowiedziała. Nie podniosła nawet głowy. Zupełnie tak, jakby ich nie było, ruszyła tylko powolnym krokiem naprzód. Stojąca jako pierwsza na jej drodze Natalia ustąpiła staruszce miejsca. Tomek nie był pewien, czy

babuleńka go nie dosłyszała, czy też może zwyczajnie olała. Nie wiedział więc też do końca, czy wypadało powtórzyć powitanie, czy jednak milczeć. Staruszka przeszła obok nich, jakby nigdy nic, i skierowała się do pokoju na samym końcu szerokiego holu.

– Wybaczcie babci to zachowanie, ale właśnie dziś umarł jej mąż, czyli mój dziadek Jurek. Sami rozumiecie... – powiedziała szeptem Natalia.

Sens jej słów dotarł do nich dopiero po kilku sekundach.

Z początku odebrali jedynie jakieś nic nie znaczące wyrazy, puste ciągi znaków. Dopiero po szczegółowym przetworzeniu tych danych przez ich umysły zinterpretowali ich ponurą treść, a na dnach ich żołądków wylądowały dwa okazałe kamienie.

Jednocześnie zwrócili głowy w kierunku pleców kobiety, która właśnie w tym momencie wchodziła do pokoju. Tuż po tym, jak minęła próg pomieszczenia, na jeden, jedyny ułamek sekundy ukazała się im biała jak ściana i pomarszczona twarz leżącego w łóżku zmarłego.

Drzwi zamknęły się za babcią Natalii z głośnym trzaskiem, który niczym w jakimś koszmarnym śnie rozniósł się po całym domu z upiornym, jakby na swój sposób wzmacnianym przez wszechobecną ciemność pogłosem. Po nim zapadła cisza.

– No cóż, bywa. Przynajmniej nie cierpiał, bo umarł ze starości – odezwała się w końcu Natalia. Karolinę nagle coś tknęło, ale nadmiar myśli nie pozwalał jej skupić się na tej jednej przez dłuższy czas i od razu wyleciała jej z głowy. Co to było?

– Okej, kochani, nie wiem jak wy, ale ja powoli zbieram się do spania. Światło na korytarzu niech na razie zostanie, bo może babcia będzie chciała wrócić do drugiej sypialni. Dobrej nocy – pożegnała się piękna blondynka i zniknęła za najbliższymi drzwiami.

Zostali sami w mrocznym korytarzu (w obliczu słabej żaróweczki w holu „światło” z ust Natalii było sporym nadużyciem) i przez moment tylko patrzyli sobie w oczy. W końcu Tomek ruszył w kierunku schodów, a Karolina pospiesznie zrobiła to samo. Jakoś tak się złożyło, że bardzo nie chciała zostać w tym miejscu sama. Nawet przez chwilę. Ich zgodne milczenie zostało przerwane dopiero wtedy, gdy obydwójce znaleźli się za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju.

– No fajnie, czyli mieszkamy w jednym domu z trupem – odezwał się chłopak. Chodził w tę i we w tę z rękami na biodrach.

Karolina nie odpowiedziała, tylko usiadła na łóżku i spoglądała na niego. Cała wesołość związana z przygodą z dzikiem uleciała z niej jak ręką odjął.

– I tak przygarnęli nas sobie na kilka dni, kiedy właśnie umarł im dziadek? – Ponownie to Tomek był tym, który przerwał ciszę. Jego głos dochodził do dziewczyny jak przez mgłę.

– Nie wiem... Może Janikowa nalegała i nie miała innego wyboru? – odpowiedziała. Przynajmniej jedno zdanie z jej wypowiedzi było stuprocentową prawdą. Rzeczywiście, kompletnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Do tego jeszcze ostatnie, co powiedziałbym o Natalii, to to, że jakoś szczególnie przeżywa śmierć dziadka. Dziwne. Zazwyczaj tak to chyba nie wygląda... A już szczególnie u kobiet.

Karolina momentalnie przypomniała sobie myśl, która przed chwilą od razu jej uleciała, gdyż zastanowiło ją dokładnie to samo. Jak ona mogła rozmawiać z nimi z tak dużą swobodą, beztroską i wesołością? I to jeszcze konkretnie w dniu śmierci w najbliższej rodzinie!

– Nie wiem... Może go nie lubiła. Może nie jest za bardzo uczuciowa ani szczególnie przywiązana... A może tacy są po prostu ludzie na Suwalszczyźnie...

– Dobra, olać to teraz. Podstawowe pytanie: co robimy?

Dziewczyna miała ogromną ochotę znowu zacząć od „nie wiem”, ale w porę ugryzła się język. No właśnie? Co robimy? Wybitnie nie uśmiechało jej się już spędzenie nocy w tym domu. Nie chodziło tu nawet o to, że się czegoś bała, tym bardziej że była głęboko wierząca i uważała, że duchy – jako swego rodzaju ziemskie obrazy, echa dusz po zmarłych – istnieją. Nie, nie chodziło o strach. Po prostu było to jakieś takie... mało przyjemne. Ta atmosfera... W doświadczonych przez śmierć miejscach czuło się ją wręcz w powietrzu. Sporo było w tym pewnie udziału jej bujnej wyobraźni, ale nie dało się już podświadomości od tego odwieść. To, co zostało w niej właśnie zakodowane, kompletnie zmieniało jej postrzeganie rzeczywistości.

– Nic już nie znajdziemy o tej porze, chyba że hotel w Suwałkach – odezwała się wreszcie.

– Kurwa mać... – zaklął Tomek.

U niego także nie chodziło o strach czy coś w tym stylu. W końcu duchy nie istnieją. Zaskakująco w tej kwestii zgadzał się jednak z Karoliną

– zwyczajnie nie było fajnie nocować pod jednym dachem z trupem. Wraz ze słowami Natalii, widokiem nieboszczyka oraz świadomością, że dzieli ich od niego w linii prostej zaledwie kilkanaście metrów, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki atmosfera w Białodębach zmieniła się z sielskiej w... grobową.

Tak, to było dobre słowo.

Co robić? Przy całym tym dyskomforcie najrozsądniejsze wyjście nasuwało się, niestety, tylko jedno.

– Ech, dobra. Nie wiem, jak zapatrujesz się na to, co zaraz powiem, ale ja mimo wszystko bym został. I tak pewnie jutro wywiozą go do jakiegoś domu pogrzebowego. A nawet jeśli wpierw ściągnie tu cała wioska, by się wspólnie modlić i czuwać, czy co tam jeszcze, to i tak przez prawie cały dzień będziemy poza domem. Ale jeżeli wrócimy i on dalej tu będzie, wtedy wyjedziemy. Lepszego rozwiązania na ten moment nie widzę. Co ty na to?

Karolina spodziewała się takiej propozycji. Średnio jej się podobała, ale nie miała argumentów, by ją odrzucić.

– Spoko. Zostajemy w takim razie. Po prostu udawajmy, że tego nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy, i cieszymy się wyjazdem.

„Ha, łatwo powiedzieć!”

– Idź pierwsza pod prysznic. Gorąca kąpiel dobrze ci zrobi.

Choć Karolina po stokroć bardziej wolałaby teraz wannę, i tak powiedziała:

– Kocham cię.

Uśmiechnął się lekko.

– Ja ciebie też.

Wyjęła z walizki ręcznik, kosmetyczkę, piżamę i wyszła z pokoju. W tym czasie, aby zająć czymś skołatane myśli, Tomek wyciągnął ze swojej walizki tablet i zaczął się nim bawić. Karolina nie kłamała. Urządzenie nie wykrywało żadnej sieci, więc o dostępie do internetu można było jedynie pomarzyć.

Z braku laku odpalił więc na nim grę w bąbelki i oddał się jej w całości.

\*

Karolina spędziła pod gorącym strumieniem wody dobre dwadzieścia minut. Przyjemne uczucie ciepła przepełniało jej drobne ciało i stopniowo zmywało z jej duszy niepokój. Umyła także włosy. Po kąpieli starannie

wyszczotkowała zęby i wysmarowała ciało balsamem. W końcu założyła swoją podróżną pizamę, przejrzała się jeszcze w lustrze i wyszła z łazienki. Słabe oświetlenie korytarza ze ściennej lampy było wręcz nieprzyjemne i męczyło oczy jak cholera.

Starła się o tym nie myśleć, ale nagle odniosła wrażenie, że na łączniku panuje jakiś dziwny, duszący, przenikliwy chłód...

Tuż po tym, jak minęła żarówkę, ta zamrugwała.

Przyspieszyła kroku. Wpadła do pokoju i zamknęła drzwi z trochę większą siłą, niż to było konieczne.

– A tobie co? – Tomek podniósł głowę znad tabletu.

– Nic, a co miałoby być? – odpowiedziała, siląc się na obojętny ton. Nawet nieźle jej wyszedł.

– Skończyłaś już?

– Co sko...? Aaa... Tak.

– Dobra, to teraz ja. – Wziął dokładnie ten sam zestaw co ona, wyszedł z pokoju i zostawił za sobą otwarte drzwi. Znowu wykonując o wiele gwałtowniejsze ruchy, niż rzeczywiście wymagałoby tego ta czynność, Karolina czym prędzej je zamknęła.

„Czego się tak boisz?”

Najgorsze było to, że nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, a nieprzyjemny ciężar w żołądku narastał w niej z każdą sekundą. Wzięła głęboki oddech. Nauczono ją, że dotlenienie komórek naprawdę skutecznie pomaga się uspokoić, ale nie odczuła żadnej różnicy.

Wyjęła z walizki suszarkę, podłączyła ją do kontaktu przy lustrze, włączyła na pełen regulator i zaczęła suszyć włosy.

\*

Tuż przed wejściem pod prysznic Tomek zdjął z piersi swój nieodłączny wisior – Ankh, a więc krzyż z pętelką zamiast górnego zakończenia trzonu. Wiązała się z nim dość zabawna historia, z powodu której nosił go właściwie przez cały czas. Otóż mało kto zdaje sobie sprawę, że krzyż ten ma z chrześcijaństwem tyle wspólnego, co babcia Natalii z tytułem miss uprzejmości. Symbol wywodzi się z kultury egipskiej. Można go było spotkać na hieroglifach jako znak oznaczający życie. W obecnych czasach bywa tłumaczony na różne sposoby, ale co ciekawe, każda z tych interpretacji ma jeden wspólny wykładnik.

Seks.

Już w czasach faraonów Ankh związany był ściśle z kultem płodności, symbolizował boga Ra, który podobno wymagał adoracji w postaci orgii seksualnych. W innych przekazach jako *agc crux ansata* oznaczał zapłodnienie przez Słońce. Linia pozioma z pętlą oznaczała właśnie naszą gwiazdę nad horyzontem podczas wschodu, pionowa zaś – jej promień. Jeszcze inna interpretacja wskazuje na dwa pierwiastki – męski (linia pionowa – wiadomo, o co chodzi) i żeński (pętla – również oczywiste, z czym miała się kojarzyć). Połączenie tych dwóch elementów w Ankh było źródłem życia.

Najśmieszniejszym szczegółem w genezie pojawienia się tego znaku na Tomkowej klacie było to, że... dostał go od Karoliny. Gorąco prosząc, by go nosił, zrobiła mu kiedyś taki niespodziewany prezent, a on patrzył wtedy na nią jak na wariatkę. Mylnie bowiem myślała, że wręcza mu jakiś rodzaj krzyża chrześcijańskiego. Tak czy inaczej – nie wiedział, na co wtedy liczyła. Na samą myśl, że mogła naiwnie wierzyć, iż jakiś kawałek metalu nagle magicznie wpłynie na jego postrzeganie świata, aż chciało mu się kpiąco prychać.

Co za żałosny zabobon...

Czasami już jedynie ostatnimi resztkami silnej woli powstrzymywał się, by agresywnie nie wypunktować Karolinie jej ciemnoty. On bowiem w przeciwieństwie do niej nie praktykował katolicyzmu z największą, wyniesioną z rodzinnego domu pielęgnacją.

Nie praktykował niczego.

Z prozaicznego powodu. Najzwyczajniej w świecie nie wierzył w Boga.

Dopiero gdy trochę przeszukał internet i natrafił tam na rzeczywiste znaczenie symbolu Ankh, uznał, że zupełnie niechcący wszedł w posiadanie znaczka, który pasował do niego jak ulał. No bo w końcu co może lepiej podsumowywać jego osobowość niż ikonka oznaczająca pochwałę rozwiązłości? O mało nie umarł ze śmiechu, gdy przekazywał swoje odkrycie Karolinie i z kąśliwą ironią dziękował jej za tak trafiony prezencik. Oczywiście daleka była od zadowolenia, gdy jej wpadka wyszła na jaw, i było jej z tego powodu niesamowicie wstyd. Tomek znowu nie rozumiał takiej postawy, gdyż traktował całą sytuację w kategoriach żartu i zaskakującego zbiegu okoliczności.

Chrześcijanie to mają jednak ciężkie życie, skoro przejmują się nawet takimi głupotami...

Dowcipkował, że musiał to być znak od losu. Między innymi z tego też powodu (jednym z pozostałych była zwykła chęć zrobienia Karolinie na złość) postanowił, że od tamtej pory nie będzie się ze swoim Ankhem rozstawał. Naturalnie poza chwilami takimi jak te, kiedy wchodził pod prysznic, szedł na basen albo do sauny.

Położył wisiołek pod lustrem, zniknął za zasłoną i odkręcił wodę.

\*

Choć Karolina bardzo chciała, nie mogła już dłużej używać suszarki, ponieważ jej włosy były w stu procentach suche i istniała groźba ich zniszczenia. Pozostawało oczywiście trzymanie jej włączonej z dala od włosów, ale brzmiało to już bardzo idiotycznie, a co dopiero, gdyby wprowadzić to w życie.

– Kurde... – mruknęła.

Miewała już oczywiście wcześniej podobne niespodziewane napady niepohamowanego lęku, ale ostatni taki przypadek był chyba jeszcze w gimnazjum i od tamtej pory nie zdarzyło jej się to ani razu. Tym bardziej była więc zaskoczona. Wsadziła dłonie pod pachy i chodziła w kółko po pokoju, głęboko oddychając. W przypiływie szczęścia tego wieczoru jak na złość uderzyła jeszcze małym palcem o leżący na ziemi, tuż przy łóżku, duży metalowy klucz, którego wcześniej nie zauważyła, a który okazał się wierną kopią tego tkwiącego w drzwiach. Bez zastanowienia podniosła go i położyła na komodzie.

Cisza w pomieszczeniu była nieznośna.

Musiała zająć czymś myśli. Przypomniała sobie o zdjęciach z cmentarzyska Jaćwingów i postanowiła je przejrzeć. To był dobry moment.

Odnalazła w smartfonie odpowiedni folder, położyła się na łóżku i raz jeszcze oddała się magii tajemniczego miejsca nieopodal Białodębów. Obejrzała każde zdjęcie bardzo dokładnie, niemalże piksel po pikselu. Lubiła w oglądaniu wszelakich fotografii skupiać się na szczegółach. Zawsze można było dzięki temu odkryć coś nowego, coś, na co na pierwszy rzut oka nie zwracało się uwagi.

Najprawdopodobniej właśnie dlatego dopiero teraz zobaczyła w swoich ujęciach coś dziwnego. Z początku niełatwo to było dostrzec, ale po dokładniejszym zbadaniu...

Zrobiła łącznie siedem zdjęć. Na każdym z nich – co do jednego –



w oddali, na tle lasu majaczył bardzo niewyraźnie ten sam kształt. Z powodu zapadającego wtedy zmierzchu trudno było ustalić, co to takiego jest, ale fakt ten był jeszcze do przeżycia. Najdziwniejsze było konkretnie to, że obiekt ten pojawiał się na wszystkich fotkach i to mimo że w trakcie swojej zabawy w fotografa amatora nie skupiała się wyłącznie na jednym fragmencie polany. Czy telefon skierowany był na północ, czy to na południe, czy to na pozostałe strony świata, zawsze chwycił ten sam motyw i to w różnych punktach tworzącego zdjęcie prostokąta. Zatem mikroskopijną plamkę na obiektywie można było wykluczyć.

Zmrużyła oczy.

Drzewo?

Być może, ale jakby się tak uparła, mogłaby nawet powiedzieć, że przypomina jej to sylwetkę człowieka. Teoria wyglądałaby jednak na nieco naciągana, gdyż ewentualny osobnik miałby w takim razie nienaturalnie długie ręce, ciągnące się wręcz po ziemi. Oprócz tego, aby załapać się na jej wszystkie ujęcia, musiałyby się niesamowicie szybko przemieszczać. Fizycznie było to praktycznie niemożliwe.

Może więc jednak jakiś osobliwy gatunek drzewa, którego pojedyncze jednostki zupełnie przypadkowo zostały utrwalone na każdym ze zdjęć? Brzmiało najrozsądniej.

Podskoczyła, gdy przed Tomkiem otworzyły się drzwi.

– Jezu! – Złapała się za serce.

– Co? – zapytał zaczepnie, choć doskonale wiedział „co”.

– Przestraszyłeś mnie!

Gdy to mówiła, przypomniała sobie o swoim lęku. Nie było już bowiem po nim żadnego śladu. Ludzki organizm i jego anomalie – również te psychiczne – to jednak wciąż jedna wielka zagadka medyczna...

Już miała powiedzieć Tomkowi o swoim tajemniczym odkryciu na zdjęciach, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Była już dosyć zmęczona i nie miała już dzisiaj siły na jakiegokolwiek dyskusje.

A już zwłaszcza na temat: „Czy to nie dziwne, że na fotografii lasu w tle majaczy drzewo”.

Tomek położył się przy niej i na nowo zajął się swoim tabletem. Objęła go w pasie i oparła głowę o jego klatkę piersiową. Było to dla niej średnio wygodne, ale trudno. Słyszała rytmiczną pracę jego serca, która w połączeniu z jego przyjemnym ciepłem, świeżym zapachem żelu pod

prysznic i równomiernym falowaniem klatki piersiowej sprawiała, że Karolina stopniowo odpływała. Pomyślała, że mama wzięła sobie jej ostatnie słowa bardzo do serca, gdyż od rozmowy w tej restauracji za Augustowem nie zadzwoniła ani razu. Cztery godziny! Niby nic, ale miała jej tyle do opowiedzenia... Chociaż w sumie... Może dzwoniła, ale i tak... tu... nie było... zasięgu...

Zasnęła.

\*

Tomek leżał przy zapalonej nad łóżkiem lampce jeszcze przez jakiś czas. Najwidoczniej miło go spędzał, marnując życie na zainstalowane na swoim gadzecie gierki, bo ani się obejrzał, a zegar na nim pokazał północ. „Przy dobrej zabawie...” i tak dalej.

Wielki Czwartek.

Ziewnął, wyłączył urządzenie, delikatnie zdjął rękę Karoliny ze swojej klatki piersiowej i odłożył tablet z powrotem do walizki. Wrócił do łóżka i wyłączył światło. W pokoju zapanowała ciemność, na której tle błyszcząca żółta linia spod drzwi.

No tak... Gdy wracał z łazienki, nie wyłączył światła na korytarzu.

Cholernie nie chciało mu się podnosić, ale tamten blask był tak denerwujący, że całą siłą woli zmusił się do ponownego wstania.

Gdy postawił nogi na ziemi, usłyszał jakiś dźwięk.

Nie był skupiony, więc nie zwrócił uwagi, co to było. Odgłos się powtórzył. Skrzypienie podłogi. Wyglądało na to, że ktoś szedł po korytarzu na piętrze.

Hmmm... Szedł?

Chyba lepszym wyrażeniem w tej sytuacji byłoby „skradał się”. Wszystko na to wskazywało, gdyż jego krok był ewidentnie bardzo ostrożny. Tomek znieruchomiał na łóżku w tej samej pozycji i nasłuchiwał. W pewnym momencie ciągnęła, żółta linia spod drzwi podzieliła się na trzy krótsze, a skrzypienie ucichło. Przez kilka dobrych sekund nie działo się nic. Bardzo ciekawiło Tomka, co to za nocny marek postanowił zatrzymać się podczas późnowieczornej przechadzki akurat pod ich pokojem. Zatrzymać się i stać. Coraz dłużej i dłużej...

Tomek zadziałał instynktownie. Błyskawicznie i jednocześnie, by nie zbudzić Karoliny, najciszej jak tylko mógł, doskoczył do drzwi i otworzył je.

Nie wiedział, czego konkretnie oczekiwał, ale widok, który ujrzał, z całą pewnością był jednym z ostatnich, jakie spodziewał się zobaczyć.

– Obudziłam cię? – popieścił mu uszy dyskretny, słodki, wesoły głosik.

Na korytarzu, tuż na wprost od ich drzwi, ale w dalszej od nich odległości, niż Tomek początkowo zakładał, stała Natalia. Nie wyglądała na kogoś, kto przed chwilą konspiracyjnie podsłuchiwał, ale chłopak – gdy potem tę sytuację wspominał – był wręcz dla siebie pełen podziwu, że w ogóle ten fakt zauważył. A to dlatego, że przykuła jego uwagę zupełnie inna rzecz.

Zresztą trudno, by było inaczej.

Dziewczyna była bowiem... kompletnie naga.

Tak jak teraz nie wyglądała nawet w jego najbardziej śmiałych wyobrażeniach. Była perfekcyjna w każdym centymetrze... Od paznokci po końcówki włosów. Włosy łonowe miała wygolone, spore, ale w żadnym wypadku nie grube pośladki były kwintesencją jędrności mięśnia *gluteus maximus*, a piersi... te cudowne, stojące zachęcająco na baczność bimbałki aż się prosiły, by je wytarmosić. Całości dopełniała jej aksamitna skóra bez choćby jednego widocznego defektu, no i ta twarz... Naprawdę, piękniejszej nie widział w życiu. Wliczając w to wszelkie modelki, piosenkarki czy aktorki – zarówno te ze zwykłych filmów, jak i tych „przyrodniczych”.

Jednak nawet wrażenie, jakie na nim wywarła, nie przesłoniło (choć szczerze mówiąc, bardzo niewiele brakowało) lekkiej absurdalności tej sceny. Przypomniał sobie nagle, że zadała mu pytanie.

– Eee... Nie. Właśnie się kładłem i wyszedłem tylko, by wyłączyć światło na korytarzu – skłamał.

– Mogę cię prosić, byś nie gasił? Zawsze zostawiamy zapalone tutaj na noc, by babcia nie potknęła się na schodach. Na klatce schodowej nie mamy światła.

– W porządku.

Zapadła niezręczna cisza. Musiał w końcu poruszyć ten temat, bo aż głupio było udawać, że go nie ma. Wyszedł z progu na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Nie byłoby fajnie, gdyby Karolina zastała go z nią w tak dwuznacznej sytuacji.

– Mogę zapytać, ekhem... czemu...

– ...jestem naga? – zaśmiała się słodziutko. Nawet głos miała

niesamowicie seksowny. – Idę pod prysznic, więc rozebrałam się w swojej sypialni. Skąd miałam wiedzieć, że będziesz tak czujny i przyłapiesz mnie w tak wstydlivej sytuacji? – zapytała z uśmiechem.

„Wstydlivej?!”

Pomyślał, że chyba sama nie wierzy w to, co mówi. Zdecydowanie nie zachowywała się jak spłoszona kobieta. Przeciwnie. Na bank wiedziała, jak na niego działa. Zresztą nie było pewnie heteroseksualnego faceta na tej planecie, na którego by nie działała. A już na pewno w takim „stroju”.

– W twojej sypialni...?

– Moja jest naprzeciwko waszej.

– Myślałem, że śpisz na dole. Jak się z nami pożegnałaś...

– Nie. Musiałam jeszcze dokończyć sprzątanie w pokoju dziadka. W końcu „wyprowadził się” od nas.

– Przyznam ci się, że informacja, co się tu u was dzisiaj wydarzyło, zwała nas z nóg. – Aż sam się zdziwił, jak bardzo się nagle przed nią otworzył. W ogóle nie myślał i działało się to prawie niezależnie od niego.

– Domyślałem się i przepraszam, że nie powiedzieliśmy wam wcześniej, ale pani Basia Janik tak bardzo prosiła, że nie miałam serca jej odmówić. Ale nic się nie martwcie. Dziadek zostanie pochowany już jutro, więc co najwyżej jeszcze tylko tej nocy będzie was straszyć...

– Będzie nas co? – wyrwało mu się.

– Żartowałam – roześmiała się.

– No jasne. W końcu duchy nie istnieją. Załapałem oczywiście, że żartujesz – skłamał już po raz drugi w trakcie tej rozmowy.

– Co do istnienia duchów, to mam trochę inne zdanie – odparła uprzejmie.

– Szybko działacie, jak już jutro odbędzie się jego pogrzeb – zmienił temat. Z jakiegoś powodu ostatnie, czego chciał, to jakiegokolwiek polemiki z tą dziewczyną.

– Małe wioski, to i cała procedura szybsza. Nie będziemy go chować w Suwałkach. Tam to dopiero by się to wszystko ciągnęło.

– Racja.

Znowu cisza. Zdecydowanie za długa, choć trwała tylko chwilę. Nie wiedzieć czemu Tomek za wszelką cenę chciał podtrzymać tę rozmowę. Niestety, Natalia chyba wreszcie przypomniała sobie, czemu nie jest ubrana, bo powiedziała:

– Dobra, Tomeczku (poczuł przyjemne łaskotanie w brzuchu), miło się rozmawia, ale muszę w końcu wymyć to i owo. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Dobranoc w takim razie, Natalio – wysilił się na szarmancki ton. Chyba nawet niezłe mu poszło, bo zachichotała.

– Dobranoc, Tomaszu. Jak będę wracać, postaram się być trochę ciszej.

– Pa.

Gdy zmysłowo poruszając bioderkami, szła w kierunku łazienki, Tomek, który starał się za wszelką cenę na nią nie patrzeć, ostrożnie wrócił do pokoju. Zamknął drzwi, oparł się o nie i przez kilka sekund patrzył w ciemność. Jego oczy jeszcze się do niej nie przyzwyczyły, ale wiedział, że spogląda dokładnie w to miejsce, w którym leżała Karolina.

„Masz mnie za takiego?” – rozległo mu się w głowie echo jego dzisiejszych słów. „Żeby chłop nie mógł z gołą babą w korytarzu...” – dopowiedział rozpaczliwie Jerzy Stuhr, lekko przerabiając legendarny tekst z *Seksmisji*. Miał mętlik w głowie. Nie wierzył. No, po prostu nie wierzył, żeby Natalia – i to z zerową oznaką skrępowania – ot tak sobie zaprezentowała mu w całej okazałości swoją kobiecość bez zamiaru zasugerowania mu czegoś więcej. Nie wierzył, że ich spotkanie w takich okolicznościach było przypadkiem. Nie wierzył też w ani jedno słowo o przyczynie jej nagości. Nie wierzył.

Nie wierzył, ale nie grała mu w tym wszystkim jedna rzecz. Po prostu... brzmiało to zbyt pięknie, by było prawdziwe. Poznali się ledwie kilka godzin wcześniej. I co – już chciała „dyskretnie” dać mu do zrozumienia, że chętnie wylądowałyby z nim w łóżku? Taka laska?! Choć nie miał najmniejszego kompleksu niższości, nie dawało się ukryć, że Natalia to była już zupełnie inna półka. Z gatunku tych, które nawet nie patrzą na takich jak on, chyba że po naprawdę bliższym poznaniu. Mogła okręcić sobie wokół palca każdego faceta na świecie. Dowolnie przystojnego, dowolnie bogatego, dowolnie wartościowego w każdym innym aspekcie. A mimo to z jakiegoś powodu ewidentnie przystawiała się do niego. Coś tu się nie zgadzało.

„Hola, hola! Nie jesteś za bardzo skromny?”

Przecież też był wartościowym człowiekiem. Inteligentnym, zaradnym, pewnym siebie, zadbanym i niebrzydkiem. Ponadto studiował z niezłym skutkiem jedną z najbardziej wymagających dziedzin wiedzy na tej planecie

– matkę! Słowem – również zasługiwał, by oglądały się za nim nawet takie cuda jak ona. Przecież to dziewczyna ze wsi! Niesamowicie piękna, ale ze wsi, z końca świata! Rzadko ma pewnie okazje spotykać klasowych facetów ze stolicy i to właśnie na tym polega jego największe szczęście...

Tfu!

Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i w końcu dojrzał tę ognistowłosą, leżącą po lewej stronie łóżka istotkę. Wyglądała tak niewinnie... Tak rozczulająco...

Czuł się podle.

Kochał ją. Jak nikogo innego. Naprawdę była tą jedyną i miał pewność, że gdy tylko po studiach się ustatkuje, to natychmiast poprosi ją o rękę. Jasne – nie podobało mu się, że nie współżyją, ale był z nią przecież nie tylko dla seksu. Minęło bardzo dużo czasu, od kiedy zdecydował się na ostatni skok w bok i – choć nigdy tak naprawdę sobie tego nie obiecywał – miał cichą nadzieję, że następny już nigdy więcej nie nastąpi. I tak było ich już wystarczająco za dużo. Czasem dziwki, czasem łatwe kobiety. Były to jednorazowe wyskoki, takie chwile słabości, i z najwyższą ostrożnością pilnował, by Karolina nigdy się o nich nie dowiedziała. Szło mu dobrze, bo dalej żyła w mniej lub bardziej błogiej nieświadomości.

Niemniej jednak liczył, że to koniec. Że się ogarnie, dojrzeje i przestanie przegrywać ze swoim prąciem, a zacznie używać głowy. Że będzie w końcu traktować Karolinę z partnerską uczciwością i szacunkiem, na jaki ta niewątpliwie zasługuje. W końcu to wspaniała, mądra dziewczyna o złotym serduszką. Co prawda irytująco zabobonna i staroświecka, jeżeli chodzi o sprawy łóżkowe, ale Tomek był pewien, że ich pierwszy raz, który nastąpi najpewniej w noc poślubną, będzie najpiękniejszą chwilą w jego życiu.

Demony niewierności wróciły jednak tej nocy...

Ukrył twarz w dłoniach i wymiętosił policzki.

„To może być twoja jedyna okazja w życiu, by zaliczyć taką panienkę!” – odezwał się niespodziewanie obrzydliwy głosik w jego głowie, tylko teoretycznie niezależnie od niego. Stop! Jak możesz tak w ogóle...

Z myśli wyrwało go delikatne pukanie do drzwi. Otworzył je natychmiast i... natychmiast jęknął w duchu. Natalia znowu nie zadała sobie trudu, by przepasać się choćby ręcznikiem.

– Liczyłam na to, że jeszcze nie śpisz. – Uśmiechnęła się.

– A czemu miałbym już spać, przecież ledwie co...

– Masz chyba zaburzone poczucie czasu, bo ja w łazience siedziałam dobre pół godziny. Wiesz, trochę zajmuje, by wysmarować balsamem wszystkie moje zakamarki. – Spojrzała mu prosto w oczy. Zaciśnięte zęby. Czuł, że zaraz oszaleje. Chciał ją błagać, by się wreszcie ubrała i dała mu spokój, ale jednocześnie niczego w tym momencie tak nie pragnął, jak móc dalej podziwiać jej doskonałe ciało, coraz dłużej i dłużej...

Co najmniej podziwiać, choć było to jak lizanie cukierka przez papierek. Wiedział, że jest zaledwie kroczynek od możliwości ziszczenia znacznie ciekawszych z męskiego punktu widzenia perspektyw. To było jak grawitacja – wystarczyło tylko pchnąć...

„Nie”.

– Chciałaś coś? – Czuł, że prawdopodobnie będzie tego żałował do końca życia, ale starał się o tym nie myśleć. O dziwo, Natalia nie zareagowała na to pytanie, wybitnie w końcu świadczące o jego biernej postawie wobec jej gotowości do łóżkowej miłości, tak jakby była jakkolwiek zawiedziona. Albo naprawdę nie była, albo miała sztukę aktorską opanowaną do perfekcji. Jej twarz nie zmieniła się ani trochę.

– Tak, znalazłam to w łazience. To chyba wasze. – W dłoni trzymała jego wisiorek. Tomek przypomniał sobie, że rzeczywiście po kąpieli zapomniał zabrać spod lustra swój Ankh. Starając się za wszelką cenę nie dotknąć jej dłoni, wziął go od niej.

– Dziękuję. Tak, to moje.

– Wiesz, co ten symbol oznacza? – zapytała, wciąż się uśmiechając i wpatrując się w niego intensywnie.

„Kurde”.

Ta część jego osobowości, która myślała jeszcze w miarę trzeźwo, postanowiła, że nadszedł najwyższy czas, by zakończyć tę rozmowę. Zanim powie lub zrobi coś, czego będzie potem żałował...

– Tak, prezentuje mój światopogląd na pewne sprawy. – oświadczył uprzejmie i dodał: – Przepraszam cię, ale jestem już śpiący i lepiej położę się spać. Dobranoc, Natalio. – Pokłonił się lekko i zamknął drzwi. Jeszcze zanim te na dobre oddzieliły go od dziewczyny, usłyszał, że ona także życzy mu dobrej nocy. Zdążył też zobaczyć, że dalej w żadnym wypadku nie wygląda na rozczarowaną.

Wciąż tylko ten rozbrajający, uroczy, życzliwy uśmiech...

Znowu oparł się plecami o drzwi. Odchylił głowę i stuknął o nie lekko jej tyłem. Usłyszał ciche kroki Natalii, a po nich skrzypienie zawiasów naprzeciwko i w końcu głośne szczęknięcie po przekręceniu klucza.

No i spokój.

W myśl niepisanej reguły po tak perfidnym spławieniu panienci jej typu dają sobie z danym facetem siana. Taka cecha kobiecej natury. Oznaczało to, że nawet jakby teraz chciał (A nie chciał...?), to i tak by mu się już pewnie nie oddała. Nie po takim upokorzeniu. Nie po tym, jak okazało się, że jest gościem, który potrafi oprzeć się jej wdziękowi albo, co gorsza, że się mu nie podoba (Haha!). Był z siebie dumny, że udało mu się nie ulec pokusie. Stopniowo wracał do normalnego trybu myślenia. Demony odeszły.

Przynajmniej na jakiś czas.

Gwoli ścisłości zdziwił go jednak brak reakcji Natalii na jego *dictum*. Nie powinno to tak wyglądać. Nie bez choćby jednej, najdrobniejszej oznaki zawodu. A może... Brzmiało niedorzecznie, ale w sumie czemu nie? A może go sprawdzała? Mama! by w razie jego złamania oświadczyć, że niczym nie różni się od tych napalonych facetów, których do tej pory spotykała? Kobietom nie można ufać.

Z każdą sekundą Tomek coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że scenariusz ze swoistą próbą jego silnej woli był jak najbardziej prawdopodobny. Jeżeli w istocie miał zagrać według niego, to tym bardziej zdał egzamin celująco.

Gdy odrywał plecy od drzwi, sklejoną z nimi potem piżama oderwała się od nich z lekkim oporem. Położył się obok Karoliny. Ta poruszyła się i przez sen ponownie go objęła. Pocałował ją delikatnie w głowę.

„Twoją jedyną nadzieją jest hipoteza, że to rzeczywiście była próba, bo jeżeli prawda jest inna, to właśnie popełniłeś największy błąd w swoim życiu” – wkurzający głosik odezwał się w nim po raz kolejny. Pokręcił energicznie głową i usilnie starał się skierować swoje myśli na cokolwiek innego. I udało mu się.

Czy to nie dziwne, że Natalia jakby nigdy nic chciała z nim kopulować w dniu, w którym umarł jej dziadek? Naprawdę nie miała głowy zajętej jego śmiercią? No chyba powinna?! Co prawda zrozpaczonym kobietom mogą czasem przychodzić do głowy różne durne pomysły, ale przerażające było to, że ta laska na zrozpaczoną w żadnym wypadku nie wyglądała,



a wręcz przeciwnie – z całą pewnością na taką, która myślała w stu procentach jasno i przejrzyście. „Użyłem słowa »przerażające«? Nieee no, bez przesady. »Nie do końca normalne« brzmi lepiej”.

Uśmiechnął się nagle. „Cóż, a może po prostu takie uroki i klimat Suwalszczyzny...” Zamknął oczy i zasypiał z wciąż tym samym wesołym grymasem na twarzy.

\*

Coś sprawiło, że Tomek się obudził. Nie bardzo wiedział, co to było. Czy hałas, czy nieostrożny ruch śpiącej Karoliny, czy może sen, którego nie pamiętał. Sięgnął po leżący przy nim na komodzie telefon. Druga w nocy. Nie spał więc tak długo.

Niewiele myśląc, przez moment leżał z oczami utkwionymi w sufit. Jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę był teraz miarowy oddech jego dziewczyny. W pokoju było dosyć jasno – raz z racji wciąż palącej się na korytarzu lampy, a dwa – z powodu sączącego się przez okno światła księżyca. Wstał i przeciągając się, podszedł do niego bez wyraźnego celu. Nie miał zza szyby widoku na Białodęby. Jedyne, co widział, to mur masywnych świerków – strażników granicy pomiędzy tym, co należało do ludzi, a tym, co w najbliższej okolicy było stuprocentową własnością natury.

Zastanawiał się, co właśnie dzieje się z ich porzuconym na ścieżce plecakiem. Czy dzik ostatecznie go dopadł i dobrał się do jego zawartości, czy jego bluza posłużyła już zwierzęciu za fragment legowiska, czy może – podobnie jak resztę „rezydentów” plecaka – zabił ją jakiś nieostrożny nocny kierowca, który bez żadnych wyrzutów sumienia pomyślał wtedy, że najechał po prostu na samotną, leżącą na drodze gałąź?

Ruch na podwórku wyrwał go z zamyślenia. Widoczność była bardzo kiepska, toteż zmrużył oczy.

Ktoś szedł od strony domu w kierunku lasu. Gdy dotarł do ogrodzenia, otworzył metalową bramkę i wyszedł poza posesję. Księżyc nie oświetlał przestrzeni między drzewami a budynkiem, więc trudno było o tym kimś cokolwiek więcej powiedzieć. Na pewno był to człowiek, gdyż szedł na dwóch nogach. Można to było dostrzec na tle czerni trawy, bowiem w całości ubrany był w jasny, jednolity kolor.

Gdy tajemniczy spacerowicz dotarł do połowy odległości między domem a linią drzew, nagle się zatrzymał. Po czym bardzo powoli, jak

w zwolnionym tempie, się odwrócił.

Tomka zaś momentalnie olśniło.

– Ja pierdolę... – Mimowolnie odskoczył od okna, choć w zasadzie gwałtowność tej reakcji zdziwiła nawet jego samego. Nie widział dokładnie twarzy Natalii, ale był pewien, że spogląda właśnie prosto w jego okno. Mało tego! Dałby sobie rękę uciąć, że znowu ma tę swoją śliczną buźkę wykrzywioną w tym jej promiennym, słodkim uśmiechu. „Jasny strój” okazał się być oczywiście jej niezmienną tej nocy nagością. Nie mógł też oprzeć się wrażeniu, że pomimo firanek, za którymi właśnie stał, ona doskonale wiedziała, że na nią patrzy.

Wtem jego ciało przeszył dreszcz...

Temperatura powietrza po zmierzchu była pewnie, jak na polski biegun zimna, zadziwiająco wysoka, ale i tak było to za słabe uzasadnienie jej beztroskiego hasania sobie po podwórku na golasa. Zresztą co tam za słabe... W ogóle nie było logicznego wytłumaczenia jej zachowania! Kto normalny o drugiej w nocy łązi nago po lesie?!

To znaczy: teraz akurat nie szła, a stała. Jak kołek, nieruchomo, wciąż wpatrując się w ten sam szklany prostokąt na piętrze.

A może to nie o okno chodziło, a konkretnie o Tomka?

Drgnął na tę myśl. Wyglądała jak jakieś widmo albo duch...

„Nie dasz mi tej nocy spokoju, co?”

„Tej nocy? NIGDY nie dam ci spokoju, Tomeczku...” – wzdrygnął się, gdy dosłownie gdzieś obok niego rozległ się jej cienki głosik. Zupełnie tak, jakby stała tuż przy nim i szeptała mu czule w ucho... Nerwowo rozejrzał się po pokoju.

Nic. Wciąż jedynym jego towarzystwem była śpiąca Karolina, która przez cały ten czas nawet się nie poruszyła. Usilnie próbował uporządkować myśli. Już sam nie był pewien, czy głos Natalii fizycznie usłyszał, czy wydobył się on może gdzieś z głębi jego umysłu...

Przełknął ślinę i znowu spojrzał na podwórko. Nie, nie mogła być przed chwilą w ich sypialni, gdyż dalej tkwiła niczym doskonała rzeźba na samym środku trawnika.

Wtem błyskawicznie odwróciła się z powrotem twarzą do lasu i puściła się biegiem do przodu. Nie minęła nawet sekunda, jak zniknęła między drzewami.

„WTF?!”

Cała ta sytuacja wydawała się Tomkowi tak nierealna i idiotyczna, że serio zastanawiał się, czy nie doświadczył właśnie jakichś halucynacji albo nie śnił wyjątkowo wiarygodnego pod względem doznań zmysłowych snu. A może to jakieś kolejne majaki hipoglikemiczne? Właśnie! Po powrocie z cmentarzyska Jaćwingów zapomniał sprawdzić cukier... Był pewien, że ustawił sobie do wstrzyknięcia zaledwie cztery jednostki insuliny, czyli praktycznie tyle co nic, ale niewykluczone, że na przykład jego pen jest zepsuty. Postanowił, że o ile znowu nie zapomni, sprawdzi to rano. Nie dawało się ukryć, że druga w nocy nie była na to zbyt odpowiednią porą.

Wyglądając czegokolwiek dziwnego w lesie oraz na podwórku, postął przy oknie jeszcze kilka minut, ale że niczego takiego nie zauważył, wrócił do łóżka. Gdy się położył, wpadła mu do głowy szalona myśl, czy by tak może nie wstać i nie zerknąć do pokoju naprzeciwko, czy rzeczywiście jej tam nie ma. Z początku wydało mu się to genialnym pomysłem, ale ostatecznie go zaniechał. Już sobie wyobrażał, jak otwiera drzwi, czym ją niechcący budzi, i próbuje pokrętnie wytłumaczyć powód swojej tam obecności („a bo mi się wydawało, że cię widziałem, jak biegasz sobie nago po podwórku, więc przyszedłem sprawdzić, czy to mi się coś jednak nie pozajączkowoało”). Nie umiał kłamać, ale w tak absurdalnym wypadku nie umiałby jej nawet powiedzieć prawdy. I tak byłyby to próżne starania. Wiadomo, co by sobie pomyślała – że przyszedł się na nią pogapić albo, co gorsza, przemyślał swoje zachowanie i jest na zabawę dla dorosłych z domieszką płciowości jednak chętny.

Poza tym – co właśnie przyszło mu na myśl – zamknęła przecież swój pokój na klucz, więc nawet jeżeli wyszła, to pewnie zrobiła to samo z drugiej strony. Koniec tematu.

Zamknięcie drzwi nie było zresztą aż tak głupim pomysłem. Wstał raz jeszcze i przekręcił tkwiący w dziurce klucz. Gdy się położył, tym razem to on przytulił leżącą na boku, plecami do niego Karolinę. Przywarł do niej całym ciałem i chłonał jej przyjemne ciepło.

Jedyne, co mu przeszkadzało, to jego będący w erekcji penis, który drażnił się z jej pośladkami i wyraźnie nie mógł tam sobie znaleźć miejsca. Najgorsze było jednak to, że to wcale nie z jej powodu stał w gotowości...

– Kurwa... – mruknął i położył się z powrotem na plecy. Pomimo wygrzania go przez Karolinę drżał. Nie, nie z zimna.

Ze strachu też nie.

Odwlekał moment „wypowiedzenia tego w myślach” tak długo, jak tylko mógł, ale nie było najmniejszego sensu dłużej oszukiwać samego siebie.

Ta perwersyjna wręcz tajemniczość Natalii jarała go NIE-SA-MO-WI-CIE.

Minęło sporo czasu, zanim zasnął.

## ROZDZIAŁ IV

Podniosła głowę, która do tej pory oparta była na jej zgiętych kolanach. Siedziała skulona na ziemi już od dłuższego czasu, więc od tej pozycji pojawił się na jej czole pokaźny, czerwony odcisk. Nie przejmowała się tym jednak, i to nawet nie dlatego, że na jej pokrytej grubą warstwą brudu twarzy i tak nie byłoby go widać. Zresztą w nocnej ciemności widoczność była praktycznie zerowa.

Zresztą... była w tej głuszy jedynym przedstawicielem gatunku homo sapiens.

No, prawie.

Pomimo ciemności i tak wiedziała, że tam było. Stało gdzieś w oddali i gapiło się na nią, może nawet dodatkowo wykrzywiało tę swoją obrzydliwą zgniłą gębę w złośliwym uśmiechu, tak jak przez niemal cały czas od samego początku. O jego obecności świadczył chociażby wypełniający powietrze wszechobecny smród.

Bała się tego, choć na razie jego aktywność ograniczała się jedynie do podążania za nią w pewnej odległości krok w krok.

„Na razie” – wyrażenie klucz. Z każdym dniem zbliżało się bowiem coraz bardziej...

Tak czy inaczej, dopóki jej nie dotknęło, Anna nie mogła być pewna, czy nie jest mimo wszystko wytworem jej zmęczonej wielodniową wędrówką i przerażeniem wyobraźni. Była tak wyczerpana, wygłodzona i wyniszczona psychicznie, że sama nie odróżniała już jawy od snu i rzeczywistości od majaków jej będącego na granicy szaleństwa umysłu. Nie była pewna niczego.

Oprócz jednego.

Tego, że była w lesie.

Chociaż nie... Tego też już do końca nie wiedziała. No bo czy to aby na pewno był jeszcze las? Czy już może piekło?

Jeszcze przez pierwszy dzień próbowała sobie jakkolwiek rozpaczliwie wmawiać, że na pewno istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie położenia, w którym się znalazła, ale nadzieja, by prawda była właśnie taka, gasła w niej z każdą minutą. Nie było co ukrywać, odwozici od tego świadomości – świat wokół niej miał teraz z logiką tyle wspólnego, co żarłacz tygrysi z byciem milutkim, domowym zwierzątkiem.

No bo jak na przykład wytłumaczyć to, że gdy po kilku godzinach od

utknięcia jej samochodu w błocie zdecydowała się jednak na powrót do niego, nie potrafiła dotrzeć nawet do skrzyżowania, w którym skręciła w drogę pożarową? Wydawałoby się, że to prosty szlak, jeden kierunek, zero miejsca na pomyłkę. I co?

Gównno.

Ani skrętów w boczne ścieżki, ani strzałek, tabliczek już nigdy więcej nie widziała... Zresztą przy tym wszystkim, co wydarzyło się jeszcze później, skrzyżowanie widmo to był naprawdę pikuś. Jej mózg pracował już jednak o wiele mniej wydajnie niż kiedykolwiek i jedyne, co pamiętała, to że tamte zjawiska były kompletnie niewytłumaczalne. Paranormalne.

I straszne. Najgorsze były noce.

Ach tak, zaczęło się od tego, że zrobiła najgłupszą rzecz, jaką tylko mogła, czyli w pewnym momencie w przypiływie desperacji wybiegła z drogi prosto w dzikie chaszczce i szarżowała przez nie przed siebie jak dziki osioł. Na co liczyła? Nie wiedziała, ale gdy zrozumiała swój błąd, było już za późno. Teraz nawet choćby sam widok jakiegokolwiek ścieżki albo czegokolwiek innego zrobionego ręką lub nogą człowieka był już tylko pobożnym życzeniem. Od tamtej pory była na łasce najdzikszej, krwiożerczej natury.

I tego czegoś, co ją kontrolowało oczywiście. Wiedziała jedno – nie było to z tego świata...

Co zdarzyło się potem? Nie była pewna. Z całej lawiny dziwnych zjść kojarzyła teraz jedynie moment, w którym dotarła do jakiegoś małego jeziora w samym sercu lasu. Była to w jej wędrówce pewna krajobrazowa odmiana, ale też kolejna niepojęta osobliwość. Mianowicie znała bardzo dobrze wszystkie jeziora w najbliższej okolicy jej domu rodzinnego, ale takiego jak to za cholerę nie potrafiła sobie przypomnieć. A przecież powinna, bo z racji swojej dzikości było dosyć charakterystyczne. Otaczające je drzewa niemalże przywodziły na myśl ludzi napieranych przez tłum za plecami i tracących równowagę na skraju przepaści. Skupiały się na nieprzekraczalnej dla nich granicy pomiędzy gruntem a wodą i tworzyły kompletne, okrągłe zadaszanie dla brzegu, prawie jak na stadionie piłkarskim. Kolejną ciekawą cechą tego jeziora był też jego kolor, który podchodził pod błękit. Prawie tak, jakby na dnie znajdowały się całe pokłady skał wapiennych.

Wszystkie te interesujące z punktu widzenia limnologów fakty zeszyły

jednak na dalszy plan, gdy spod jego tafli wyłoniło się... to. Pomimo że tego dnia całkiem porządnie przygrzewało słońeczko, Anna doskonale pamiętała, jak bardzo zaczęła wtedy dygotać... Stopniowo, bez pośpiechu ponad powierzchnię wody wychodziły kolejne części tego trupio sinego ciała, począwszy od głowy i szyi, a na ubranych w zarośnięte glonami spodnie nogach skończywszy. Paraliżujący kobietę strach sprawiał, że nie mogła się ruszyć i obserwowała całą tę scenę od początku aż do samego końca. Odzyskała świadomość i rzuciła się do ucieczki dopiero wtedy, gdy to coś zaczęło się niebezpiecznie zbliżać. Okazało się jednak potem, że wcale nie zamierzało jej gonić, a jedynie cierpliwie (o ile można było mówić w kontekście tej istoty o jakiegokolwiek ludzkiej cesze) za nią podążało. I obserwowało. Towarzyszyło jej tak już od kilku dni aż do dzisiejszej nocy. Aż do teraz, gdy wyczerpana uderzyła pośladkami o ziemię i skuliła się w sobie.

Może niczym padlinożerca spokojnie czekało, aż jego ofiara padnie w końcu sama? Aby już bez żadnych przeszkód mogło z nią wtedy zrobić, co mu się tylko żywnie podoba?

Drgnęła na tę myśl. Jezu, ile by teraz dała za jeszcze jednego papierosa... Nie pamiętała już, kiedy wypaliła cały zapas, ale było to już bardzo dawno temu.

Zadrżała i skuliła się jeszcze mocniej, gdy raptem ze wszystkich stron wokół niej zaczęły dobiegać pojedyncze głośnie szelesty. Na przemian – raz z lewa, raz z prawa, raz z przodu, raz z tyłu... Najgorsze było to graniczące z pewnością przecucie, że nie wydawały tych dźwięków żadne zwierzęta... Jej przekrwione i pełne przerażenia oczy gorączkowo lustrowały wzrokiem leśną ciemność.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że Kamil...

Nie, nie Kamil, a coś, co wyglądało zupełnie jak jej najstarszy, nieżyjący od prawie pół wieku brat, stoi dokładnie nad nią, już w odległości około półtora metra. Przy oczywistej nedorzeczności tej sytuacji (ciało martwego człowieka zachowywało się tak, jakby był żywy) jak na dokładkę jeszcze jedna rzecz dopełniała obrazu absurdu.

Jak to możliwe, że wyszedł z jakiegoś nieznanego jej jeziora, skoro owszem, jego ciała nigdy nie znaleziono, ale utopił się przecież w zupełnie innym?!

– Cześć, siostra. Wyglądasz, jakbyś się zgubiła... – odezwała się czerń

głosem, który tak dobrze знаła, ale którego nie słyszała już od jakichś czterdziestu lat. Upiorne bulgotanie dochodzące przy tym z gardła tego czegoś, co się w niej czało, w połączeniu z niesamowitym odorem, jaki wydzielało, sprawiły, że kobiecie zebrało się na mdłości.

Nie miała już siły uciekać. Te dwa krótkie usłyszane przez nią zdania sprawiły, że została przekroczona w jej psychice kolejna granica. Podniosła głowę w kierunku nieba i zaczęła wrzeszczeć.

– RATUNKU!!! POMOCY!!! BŁAGAM!!! KTOKOL...

Nie zdążyła w porę zareagować na wyjątkowo bliski szelest, który usłyszała tuż za plecami. Coś, co już w następnej sekundzie zaczęło ciągnąć z ogromną szybkością po ściółce jej ciało, miało wręcz diabelską siłę. Czuła przeraźliwy ból od pojawiających się u niej z każdą chwilą coraz to nowych zadrapań. Rozpaczliwie się wydzierając i łamiąc paznokcie na ostatnich próbach złapania się czegokolwiek, słyszała jeszcze oddalający się śmiech tego czegoś, co wyglądało jak Kamil.

Jej martwy brat.

\*

Coś sprawiło, że Karolina się obudziła. Nie wiedziała, co to było. Czy hałas, czy nieostrożny ruch śpiącego Tomka, czy może sen, którego nie pamiętała. Podniosła się powolutku, usiadła na łóżku i nieprzytomnie patrzyła przed siebie.

Po chwili coś kazało jej wstać. Ostrożnie odgarnęła z nóg kołdrę i postawiła swoje malutkie stópki na podłodze. Drewniane panele były przyjemnie chłodne.

Czuła, że musi wyjść na korytarz. Nie zastanawiała się czemu, po prostu robiła to, co nakazywał jej wewnętrzny głos. Nie rozglądała się na boki, skupiła się tylko na zaznaczonych w ciemności przez jaskrawy prześwit pod nimi drzwiach. Poruszała się bezszelestnie, prawie tak, jakby zamiast iść, płynęła w powietrzu. Nie patrzyła pod nogi. Z jakiegoś powodu nie mogła ruszać głową, więc o spojrzeniu w dół nie było nawet mowy.

Otworzyła drzwi. O dziwo, choć nadal słabe, światło w korytarzu nie drażniło już jej oczu. Co więcej, z poprzednio lekko szumiącej żarówki tym razem nie wydobywał się żaden odgłos. Majestatyczna cisza wypełniała cały dom od piwnicy aż po dach.

Coś kazało jej iść w kierunku schodów. Pomimo braku oświetlenia znowu nie musiała patrzeć pod nogi. Z jakiegoś powodu była spokojna, że



się nie potknie i bez przeszkód dotrze do holu na parterze. Tak też się stało.

Wiedziała już, że do celu pozostało jej zaledwie kilka metrów.

Drzwi od tego pokoju otworzyły się przed nią same, nie wydając przy tym choćby najcichszego skrzypnięcia. Nie uważała ich samodzielnego ruchu za coś niepokojącego. Spodziewała się, że tak będzie. W żadnym wypadku nie przerażał jej też ten duszny, głęboki, piekielny mrok – teraz jakby ciemniejszy niż podczas typowej wiosennej nocy, jakich przeżyła już w swoim życiu tysiące.

Pan Jerzy leżał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go zapamiętała, z jej perspektywy po lewej stronie szerokiego łóżka, z dłońmi splecionymi na brzuchu. Blask księżyca ze znajdującego się teraz za plecami Karoliny okna oświetlał jego białą jak kreda twarz. Nie pamiętała, kiedy pokonała ostatnie metry między nimi. Stała tuż przy nim i obserwowała go intensywnie tak, jakby miał to być wręcz rodzaj jakiegoś chorego fetyszu. Nie obawiała się, że ktoś ją może na tym przyłapać. Ba, była po prostu pewna, że nikt jej nie przeszkodzi. Że nikt w żaden sposób nie zakłóci jej tej przyjemności i będzie mogła do woli napawać się jego widokiem. Czerpać z niego pełnymi garściami...

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odzyskała świadomość.

„Co ja tu robię, do cholery?!”

Nie mogąc uwierzyć, jak mechanicznie i beztrosko weszła sobie do tego pokoju (i to w samym środku nocy!), zaczęła drzeć. Jak...? Jak jeszcze przed chwilą mogła uważać to za coś najnormalniejszego na świecie?! Jak to możliwe, że nie przyszedł jej do głowy nawet szczątek myśli, jak bardzo irracjonalny i perwersyjny jest to pomysł? No jak?!

Jakby... Jakby aż od samego przebudzenia coś sterowało jej ruchami i myślami...

Czuła, że nie powinna tam być. Odzyskawszy też zdolność poruszania głową i całą resztą ciała, odwróciła się do drzwi, które wcześniej zostawiła otwarte.

Nie mogła jednak zrobić nawet kroku. Tym razem dlatego, że coś trzymało ją za rękę. Spojrzała z powrotem na leżące na łóżku zwłoki. Nic się w nich nie zmieniło...

...z wyjątkiem dwóch szczegółów.

Jednej dłoni, która była teraz silnie zaciśnięta na jej nadgarstku,

i szeroko otwartych, martwych, ale jednocześnie pełnych nienawiści, utkwionych w niej oczu. Chciała krzyczeć, ale głos uwiązł jej w gardle i z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Spojrzała gorączkowo jeszcze raz w stronę drzwi. Tym razem jednak te bardzo powoli, z upiornym skrzypieniem zamykały się same...

– Umrzesz tutaj, ty plugawa suko! – dobiegł ją niski, ochryply głos. Nieboszczyk hipnotyzował ją swoim potwornym spojrzeniem i z coraz większą siłą zaciskał na jej nadgarstku swą martwą dłoń. Nie potrafiła się jego wzrokowi w żaden sposób oprzeć... Była mu podległa, posłuszna... I to mimo że jednocześnie chciała jak najszybciej stamtąd uciec.

Wtem coś przesłoniło sączący się przez okno blask księżyca. Pan Jerzy oderwał od niej oczy i spojrzał za jej plecy. W ułamku sekundy jego twarz zmieniła wyraz z wściekłego na pełen niepokonowanego strachu. Otworzył usta – najpierw w niemym krzyku, a dopiero po chwili zaczął faktycznie wrzeszczeć:

– NIE! NIE!!! NIEEEE!!! MAMY JĄ! TO ONA! DAJ NAM JESZCZE TROCHĘ CZASU!

Karolina znowu odzyskała podstawowe możliwości, jakie zapewniała jej szyja, i się odwróciła. Myślała, że było to w tamtym momencie niemożliwe, ale niekontrolowany lęk zawładnął jej ciałem jeszcze bardziej, niż czynił to do tej pory. Nie mogła mu się w żaden sposób przeciwstawić. Była jego. Jego własnością. Jego mieniem. Jego marionetką. Tak jak wtedy, gdy parę minut temu wstała z łóżka. Tak jak wtedy, gdy tu szła. Tak jak wtedy, gdy obserwowała leżące na łóżku zwłoki...

Wrócił jej także głos. Noc rozdarł jej przeraźliwy, dopełniający wrzasku pana Jerzego pisk.

\*

Krzyknęła i błyskawicznie usiadła na łóżku. Była mokra od potu, serce waliło jej jak młotem i cała drżała. Oddychała głęboko i starała się opanować napad niemiłosiernie targającej jej wewnątrz paniki. Tomek poruszył się nieznacznie i mruknął przez sen coś w stylu „adalia”, ale się nie obudził.

– Jezu Chryste... – szepnęła i wciąż biorąc pokaźne wdechy, zakryła oczy dłońmi.

Tak, to był na szczęście sen.

Sen, ale tak niesamowicie realny, tak makabryczny... Niesamowite.

Czuła w tej marze wszystko dokładnie tak jak w rzeczywistości – zapachy, lekki chłód nocy, zimne deski podłogi pod stopami, dotyk pana Jerzego...

Wszystko...

Złapała się za nadgarstek. Miała wrażenie, że wciąż czuje na nim niedawny mocny uścisk dłoni, a jej uszy w dalszym ciągu wypełnia szum jego wrzasku.

Właśnie, wrzasku... Rozdzierającego, pełnego przerażenia wrzasku...

Czym był spowodowany? Czego ten truposz aż tak się przestraszył? Co sprawiło, że nawet on – choć już nie żył – był aż tak przerażony? Wiadomo, sen, i to z gatunku tych ultrapokręconych, ale w porównaniu do typowego koszmaru było w nim mimo wszystko coś jeszcze bardziej niepokojącego... Stopniowo ulatywał z jej pamięci, więc skupiła się, by przypomnieć sobie z niego ostatni obraz zaraz przed przebudzeniem.

Znowu zaczęła się trząść.

Oczy.

Tylko to pamiętała. Parę wielkich, żółtych, prawie że świecących oczu z pionowymi źrenicami jak u gada. Co najdziwniejsze, jednocześnie nie mogła pozbyć się wrażenia, że gdzieś już je wcześniej widziała. I to nawet... dzisiaj?! Nie mogła skojarzyć, gdzie to było, ale była prawie pewna, że...

Zesztywniała.

Gdy w napięciu wpatrywała się w drzwi od ich pokoju, przestała nawet oddychać. Identycznie jak w jej śnie, księżyc oświetlał trochę pomieszczenie, więc bez problemów dostrzegła, jak klamka bardzo powoli się porusza... Dwie czarne przerwy w prześwicie na dole wskazywały na to, że ktoś był po drugiej stronie i najwyraźniej właśnie próbował do nich wejść...

Na szczęście – za co mu w duchu dziękowała – wyglądało, że Tomek pomyślał o zamknięciu drzwi na klucz i tajemniczy intruz musiał obejść się smakiem.

– Tomek... – szepnęła najciszej, jak tylko mogła, i delikatnie go trąciła. Obudził się, a ona zakryła mu usta dłonią. Spojrzał na nią zdziwiony i wciąż na wpół nieprzytomny.

– Ktoś tam jest i próbuje tu wejść – powiedziała mu na ucho i wskazała na drzwi. Osoba, która przed chwilą próbowała je otworzyć, chyba już za nimi nie stała, bo tworzone przez jej stopy cienie zniknęły. Czyżby ich

usłyszała?

– Jesteś pewna? – zapytał cicho chłopak. Karolina pokiwała głową. Tomek wstał, bezszelestnie podszedł do drzwi i otworzywszy je, rozejrzał się po korytarzu. Z początku myślał, że Karolina miała pewnie jakiś zły sen i tradycyjnie nie było się czym martwić, ale po spojrzeniu w lewo rzeczywiście wydało mu się, iż przy wejściu na schody mignął mu fragment czyjegoś cienia. Bez zastanawiania się zaczął więc biec w tamtym kierunku. Przebywszy łącznik najszybciej i jednocześnie najciszej, jak tylko mógł, zszedł po wąskich stopniach na parter. Karolina czym prędzej podążyła za nim.

– Widziałeś coś?

– Chyba widziałem kogoś na schodach.

Złapała go za rękę. Czuł, jak się trzęsie. Rozejrzał się po korytarzu i wyteżył słuch. Wszystkie drzwi w nim były zamknięte, a jedynymi roznoszącymi się po domu dźwiękami były złowieszcze, ciche wycie wiatru i szum liści. W sumie to, jak dobrze było w tym miejscu słyhać odgłosy z zewnątrz, mogło trochę zastanawiać... To oraz fakt, że tam, gdzie stali, było trochę za zimno.

Tomek (z przyklejoną do niego niczym pijawka Karoliną) podszedł do sieni. Było jasne, że ktokolwiek ich tej nocy niepokoił, najprawdopodobniej był już daleko stąd, bowiem drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Wyszli na ganek. Nie ujrzeli nikogo ani na podwórku, ani w lesie, ale należało zaznaczyć, że ten był tak gęsty i ciemny, że nawet gdyby właśnie teraz ktoś stał na jego skraju, to i tak nie mogliby go zobaczyć.

– Nikogo tu nie ma... Ktokolwiek tu był, o ile był, chyba sobie poszedł.

– O ile?! – zapiszczała Karolina. Wciąż drżała z emocji. W mig zrozumiał swój błąd.

– No dobra, bez „o ile”. Wierzę ci. – Przytulił ją. – Wracajmy, bo jeszcze trochę i jutro zamiast swojej wycieczki będziesz mieć wypoczynek w łóżku z gorączką.

Ciągle się rozglądając i nasłuchując, ostrożnie przeszli przez hol. Karolina mimowolnie spojrzała na drzwi, za którymi leżał...

Ani mi się waż głębiej drążyć ten temat! Wystarczy już tej nocy pana Jerzego!

Gdy wchodzili do swojego pokoju, Tomek z kolei zerknął jeszcze na drzwi od sypialni Natalii. Być może mu się zdawało, ale dałby głowę, że

usłyszał za nimi jakiś ruch. Miał pewne podejrzenia co do tożsamości osoby, która próbowała się przed chwilą do nich dostać, i na samą myśl o tym włos zjeżył mu się na głowie.

Bynajmniej nie ze strachu...

Z drugiej strony wszystko to, co ona tej nocy wyczyniała, zakrawało już na swego rodzaju... obsesję na jego punkcie? Tak, to było dobre słowo.

Nie zapomniał o zamknięciu drzwi. Położyli się bez słowa i Karolina przytuliła się do niego. Ani jedno, ani drugie nie mogło zasnąć.

– Kto to mógł być? I czego chciał? – zapytała po dłuższym czasie. Wiedziała, że Tomek jeszcze nie śpi.

– Nie wiem. Może jakiś lokalny złodziejaszek dowiedział się o turystach z Warszawy? A może babcia w starczej demencji pomyliła nasze drzwi z tymi od łazienki, zauważyła swoją pomyłkę i ze wstydu zwała w podskokach? A może to nasz nieboszczyk wstał z łóżka i chciał nas osobiście przywitać w swoich skromnych progach? – zażartował. „A może to jedna okoliczna panienska chciała ci wskoczyć do łóżka, za nic mając w nim obecność twojej dziewczyny?”

– To nie jest śmieszne.

– Co nie jest śmieszne? – zapytał, bo się trochę wyłączył.

– Z tym nieboszczykiem!

– Nie wiem, po prostu, Kara! Jutro się pewnie dowiemy. Nie myśl o tym i spróbuj zasnąć. Nie ma tu już nikogo. – Pogłaskał ją.

Nie odpowiedziała, a po jakimś czasie poczuła pod głową jego równomierny oddech. Niepojęte! Jak on mógł tak po prostu przejść z tym, co się właśnie wydarzyło, do porządku dzień... nocnego? Nie lubiła jego bez troski, ale w tym momencie zazdrościła mu jej jak niczego innego.

Przez jakiś czas patrzyła na wyłożoną boazerią ścianę, po której stopniowo przesuwiał się prostokątny, sączący się z okna zza jej pleców blask księżyca. Wiedziała, że to głupie, ale w nagłej myśli przyszło jej do głowy pytanie, co by zrobiła, gdyby zobaczyła tam teraz taki sam cień jak w swoim śnie... Było to oczywiście niemożliwe, bo spali na piętrze, ale gdyby jednak...

„Za dużo myślisz, dziewczyno. Czasem ten gbur, który leży obok ciebie, wbrew pozorom ma rację”.

Zamknęła oczy.

Cień pojawił się dopiero po jakimś czasie i tkwił nieruchomo w tej samej pozycji dopóty, dopóki nad Białodębami nie pojawiły się pierwsze oznaki wschodu słońca.

\*

Karolina obudziła się pierwsza. Sięgnęła po telefon. Ło! Dziewiąta?!

– Wstawaj, leniu śmierdzący! – zawołała i wystrzeliła z łóżka.

– Która to? – mruknął zaspany Tomek.

– Późna!

– Jeszcze trochę, Kara, błagam. Mamy cały dzień... – Przewrócił się na drugi bok. Trzepnęła go mocno w tyłek.

– Ałaja!

– Ruszaj się! Gospodarze na pewno są już dawno po śniadaniu! Dla takich jak oni dziewiąta to środek dnia.

– Więc jest dopiero dziewiąta!? – zażartował.

– Nie wkur... rzaj mnie – warknęła.

– No dobra, już dobra.

Z koordynacją starego dziada usiadł na łóżku i po chwili, stawiając ciężkie kroki, powłókł się do łazienki. Poszła razem z nim. Odświeżyli się szybko, ubrali i pospiesznie zeszli na dół. Karolina nie zapomniała też wziąć ze sobą z komody dodatkowego klucza, który zamierzała zwrócić Natalii.

– Gdzie jest... – zaczęła.

– Tutaj, na prawo! – rozległ się z głębi domu głos blond dziewczyny. Posłusznie podążyli więc za nim.

Natalia...

Tomek dopiero teraz przypomniał sobie wszystkie związane z nią wydarzenia z ostatniej nocy. Przy świetle dnia i niemal kompletnym wybudzeniu się wydawały mu się one teraz jednym wielkim bezsenssem.

Ej, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę...?

Część jego świadomości do ostatniej chwili rozważała, czy znowu zobaczy piękną blondynkę nago... Tak jakby miała to być teraz w jej przypadku jakaś popieprzona reguła. Na szczęście (lub nieszczęście) bzdura ta okazała się jednak nieprawdą. Natalia siedziała w normalnym, schludnym, młodzieżowym stroju obok swojej babci przy suto zastawionym stole.

– Dzień dobry. Przepraszamy, że tak długo. Pewnie czekały na nas

panie... – odezwała się Karolina.

– Nic nie szkodzi. – Uśmiechnęła się dziewczyna – Zapraszamy miłych gości na suwalskie śniadanie!

Znowu spojrzała ukradkiem na Tomka i mrugnęła do niego. Jego ciało przeszył lekki, ale na szczęście praktycznie niezauważalny dreszcz.

Nakrycia dla nich były już przygotowane. Gdy podchodzili do stołu, Karolina rozejrzała się jeszcze po sporej kuchni, która pełniła też funkcję jadalni. Jej wystrój był bardzo tradycyjny i wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że wszystkie znajdujące się w niej meble zostały w komplecie zrobione przez jakiegoś lokalnego stolarza, może nawet świętej pamięci pana Jerzego. Wyglądały na stare, ale nie wysłużone, co świadczyło o kompleksowej trosce tych ludzi o swoje mienie i całkiem możliwe było, że służyło im ono już od wielu pokoleń. Nie dziwił jej jednak ten widok. Wyścig szczurów i szaleńczy konsumpcjonizm nie były domeną wiejskich ludzi. Oni na ogół szanowali to, co posiadali.

Po prawej stronie pomieszczenia wmurowano ogromny wykafelkowany piec, z racji wysokiej temperatury na zewnątrz oczywiście w tamtej chwili nieużywany. Kuchnia znajdowała się tuż przy nim i składała się z dwóch ścianek bocznych, niewysokiej nadbudówki z czymś w rodzaju przedpotopowego okapu oraz tradycyjnego paleniska z rusztem i popielnikiem. Kryła ją gruba, żelazna płyta z otworami, na których stały garnki. Tuż obok piętrzył się okazały, czekający na zimniejsze czasy stos porąbanego drewna. Zlew, szafki i spora lodówka znajdowały się z kolei po lewej stronie pomieszczenia. Ta ostatnia, stojąca w lewym kącie na wprost od wejścia wyróżniała się trochę w izbie, ponieważ jako jedyna świadczyła o tym, że mamy XXI wiek. Ściany kuchni pokrywała znana im już z ich pokoju i korytarzy na obu piętrach boazeria, surowa – bez żadnych wiszących na niej ozdób jak choćby obrazów czy efektownych poroży jeleni. Okazały, długi stół z równie długimi ławami z oparciami po obu jego stronach stał zaś w centralnym punkcie. Karolina i Tomek usiedli naprzeciwko Natalii i jej babci. Gdy tylko to zrobili, staruszka jak z automatu wstała i bez słowa wyszła z kuchni.

Karolina wodziła za nią wzrokiem. Rozumiała – śmierć męża, połączona pewnie z tu i ówdzie pobołowaniem kości starość, cholerni wpraszający się do jej domu na święta wielkanocne i do tego śmiejący na jej podwórku smarkacze, ale... bez przesady! No chyba na aż tak chłodne

traktowanie nie zasłużyli?! Żadnego dzień dobry ani nic... Zresztą co tam dzień dobry! Według tej paniusi nie zasługiwali nawet na choćby trwający pół sekundy kontakt wzrokowy! Zupełnie jakby byli powietrzem. Na pewno pani...

A właśnie, jak gospodarze mają właściwie na nazwisko?

Mniejsza z tym, w każdym razie na pewno pani z Białodębów w młodości była równie pełną energii i wesołą dziewczyną jak jej wnuczka, ale na miłość boską! Nie każde zachowanie można usprawiedliwić starością. Mimo wszystko...

Coś ją nagle tknęło w tym widoku wychodzącej z kuchni staruszki. Było w tym obrazku... Hmm, coś nietypowego, pewna rzecz wyraźnie się trochę nie zgadzała... A konkretnie...

– Czym chata bogata! – zawołała wesołym, śpiewnym głosem Natalia. Brutalnie wyrwana z zadumy Karolina spojrzała najpierw na nią, a potem na stół.

Cholera, znowu myśl wyleciała jej z głowy!

Chyba sama też się już starzała, bo takie nagłe zaniki pamięci zdarzały jej się ostatnimi czasy coraz częściej. Niekiedy irytowała się wręcz na takie sytuacje, gdyż niejednokrotnie gubiła kontekst nawet w samym środku rozmowy.

Co to było?! W skupieniu próbowała odtworzyć sobie w głowie ostatni motyw, o którym pomyślała.

Zero.

Cóż, mogła się przynajmniej pocieszyć, że w końcu prędzej czy później zagubiona myśl zawsze do niej wracała, więc liczyła, że tak będzie również i teraz. Zresztą nigdy nie było to coś szczególnie ważnego.

Skupiła się więc na stole. A tam rzeczywiście postawiono na ilość i jakość w jednym. Chleby, bułki, masło, wędliny, sery – zarówno te żółte, jak i białe, jaja na twardo, pasztety, kiełbasy wiejskie, warzywa, różnego rodzaju sałatki, dzemy, nawet świeżo zabrany z pasieki miód i spory dzban świeżego – jak mniemali – mleka. Uwagę zwróciło też ciekawie wyglądające ciasto przypominające miniaturowy żółty wulkan z kolcami. Wulkan – ponieważ było wydrążone w środku i na górze kończyło się okrągłym otworem przypominającym krater.

– Sękacz. Nasza regionalna specjalność – dopowiedziała od razu Natalia, zauważywszy, na co spogląda Karolina.



– Wygląda to wszystko świetnie, ale naprawdę nie musieliście... Aż mi głupio... – zaczęła Karolina. Blondynka machnęła ręką.

– To wszystko jest nasze, tutejsze. Mamy tego w bród.

– Tutejsze znaczy suwalskie?

– Nie, tutejsze, czyli białodębowe. Wszystko, co stoi na tym stole, zostało wytworzone u nas.

– No co ty gadasz?

– Naprawdę. – Natalia się uśmiechnęła. – Naturalne, ekologiczne, najlepsze, według tradycyjnych receptur i metod. Bez żadnych niespodzianek. Uprawiamy tu ziemię i hodujemy zwierzęta oczywiście na sprzedaż, ale sobie też sporo zostawiamy, więc jesteśmy praktycznie samowystarczalni, jeżeli chodzi o jedzenie. Wiemy, co jemy.

– „My” to znaczy...?

– Wszyscy mieszkańcy Białodębów.

– Aha.

Właśnie, *à propos* mieszkańców...

– Słuchaj, przydarzyło nam się w nocy coś dziwnego – odezwał się milczący do tej pory Tomek. Najwidoczniej i jemu przyszło do głowy to samo.

– Mianowicie?

– Ktoś próbował wejść do naszego pokoju. – Zebrał się w sobie i spojrzał jej prosto w oczy. Dzielnie wytrzymał ten wzrok, bez choćby jednego mrugnięcia. Jako że było prawie pewne, iż ten „ktoś” siedział właśnie naprzeciw nich, liczył na przynajmniej odrobinę zmieszania. Nic takiego nie miało jednak miejsca. A już kompletnie rozbroiło go to, co w następnej chwili powiedziała. Wciąż z tym pieprzonym uśmiechem.

– Tak, to byłam ja.

– Ty?! – Aż na tak wielką szczerłość z jej strony nie liczył. „Jeszcze powiedz, że chciałaś tam wejść, bo...”

– Ja. Akurat wracałam z łazienki i usłyszałam krzyk Karoliny. Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko jest w porządku – odparła.

„Czyli nie byłaś akurat w środku jakiegoś zadupia w lesie?”

– Tak, rzeczywiście krzyczałam, miałam zły sen – przyznała Karolina. Tomek spojrzał na nią.

– Zły sen? Nic mi nie mówiłaś...

– Nie było okazji, bo tak się składało, że zajęliśmy się gonieniem

Natalii. Hełó?!

Siedząca naprzeciw nich dziewczyna się roześmiała.

– W każdym razie drzwi do was okazały się zamknięte, więc wróciłam do swojego pokoju i tyle.

– Do pokoju?! Od razu? – powiedział Tomek i dopiero wtedy z jej twarzy wreszcie zniknął uśmiech. Ale jakoś tak nie czuł już z tego powodu żadnej satysfakcji.

– Tak, do pokoju. A co?

Nie odpowiedział od razu. Zagryzając wargi, przemyślał sprawę na trzeźwo. Przeanalizował tak, jak na matematyka przystało. Chłodna głowa, chłodna kalkulacja bez żadnego koko dżambo i do przodu. Pytanie numer jeden: czy jesteś stuprocentowo pewien, że widziałeś coś na schodach? Tak, jestem. Chociaż... Czy mógł to być, dajmy na to, ptak albo nawet nietoperz, który nieopatrznie wleciał przez otwarte drzwi? No mógł. Aaa, no właśnie, jak już jesteśmy przy tej kwestii...

– Nic – odpowiedział na jej pytanie. – Tylko zastanawia mnie... Zawsze zostawiacie na noc drzwi otwarte na oścież? – starał się to powiedzieć lekko kpiącym tonem, ale też tak, by z nim zbytnio nie przesadzić. Reakcja Natalii znowu zbiła go z tropu, gdyż po raz kolejny się uśmiechnęła.

– No, zostawiamy. Jak jest ciepło, by mieć świeże powietrze, bez otwierania okien. Je z kolei zostawiamy zamknięte, by nam nie trzaskały w nocy od wiatru. Sami widzicie, że to prawie antyki i to bez lufcików... – Wskazała na oba okna w kuchni. Istotnie tak było. – Zatem nie można ich pionowo uchylać tak jak tych nowszych. Drzwi są cięższe, więc wiatr ich nie rusza. Teren jest ogrodzony, żadne zwierzęta nie wejdą. No i nie mamy tu złodziei. To mała wioska. Wszyscy się tu znamy. A spoza Białodębów i tak się tu nikt nie zapuszcza, bo i po co? – wyjaśniła z pełną powagą.

Tomek gapił się na nią z otwartymi ustami. Dopiero po chwili uświadomił to sobie i wtedy je zamknął.

– Eeem... No, skoro tak twierdzisz...

– Coś nie wyglądasz na przekonanego. – Uśmiechnęła się ponownie.

– Nie no, tłumaczenie brzmi całkiem logicznie, ale i tak jest dosyć...

Hmm... Niespotykane. Ciekawe macie tu na Suwalszczyźnie zwyczaje.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– No ba. Jeszcze pewnie nieraz się o tym przekonasz, Tomaszu... – Zamrugła porozumiewawczo tak, by Karolina tego nie widziała. Nie

wytrzymał widoku jej pięknych oczu i odwrócił wzrok.

„Jesteś niemożliwa”.

– Jedzcie wreszcie! Chyba intensywny dzień przed wami! – pogoniła ich wesoło Natalia. Dopiero wtedy obydwójce przypomnieli sobie, jak bardzo są głodni. Znakomitości na stole kusiły, więc czym prędzej się za nie zabrali. Tomek już miał pakować w usta apetycznie pachnącą kanapkę z pasztetem i pomidorem, gdy nagle coś sobie przypomniał.

– Aha... – mruknął i wstał od stołu. – Wybaczcie na moment. – Wyszedł z kuchni. Natalia spojrzała pytająco na Karolinę.

– On jest cukrzykiem. Musi wstrzykiwać sobie insulinę przed każdym posiłkiem.

– Aha... Nie wiedziałam. Biedak...

– Zawsze to pewna niedogodność, ale póki przestrzega pewnych zasad, to żyje w miarę normalnie. Gorzej, gdy czasem... – urwała. Co prawda rozmawiała z kobietą, a te się zazwyczaj bardzo dobrze rozumieją, ale nie mogła zapominać, że to była niemal kompletnie dla niej nieznaną osobą. Poza tym Tomek mógł sobie nie życzyć zdradzania postronnym aż tak intymnych szczegółów z jego życia.

Natalia wyglądała tak, jakby zamierzała drażnić kwestię, ale na szczęście w sukurs Karolinie przyszedł temat zastępczy, o którym sobie teraz przypominała. Sięgnęła do kieszeni.

– Tak przy okazji, znalazłam wczoraj u nas na podłodze ten klucz. Zdaje się, że to kopia tego, który był u nas w drzwiach. Może lepiej, byście to wy go trzymali? Lepiej mieć jeden na zapas.

– A... – Natalia zdziwiła się lekko. – Masz rację. Dzięki – powiedziała i schowała klucz do kieszeni. W międzyczasie do kuchni wrócił Tomek.

– No, to teraz możemy szamać! – rzucił dziarsko i zabrał się za swoje ogromne śniadanie, które składało się ze wszystkiego, co tylko można było znaleźć na stole. Karolina uśmiechnęła się z miłością, pomasowała go po jego ogromnych plecach, po czym sama zaczęła nakładać sobie na talerz to i owo.

– To co, jakie plany na dzisiaj? – zapytała Natalia, obserwując z rozbawieniem ich apetyt.

– Dziś przede wszystkim przyroda – odparł Tomek. – Ale zaczniemy od...

– Stańczyk? – dokończyła za niego blondynka.

- Dokładnie. Te mosty...
- A potem gładzowisko Bachanowo, jezioro Hańcza, Góra Zamkowa i...
- dodała Karolina.
- I? – zachęciła ją dziewczyna.
- Góra Cisowa? Tak się ona nazywa?
- Tak.
- Kara, jeszcze zapomniałaś o...
- Punkcie widokowym w Smolnikach! – weszła mu w słowo Natalia. – Krajobraz jest tak niezmierny, że wykorzystali go nawet w *Panu Tadeuszu* Andrzeja Wajdy. Musicie to koniecznie zobaczyć!
- Tak, dokładnie o to mi chodziło... – zaczął Tomek i urwał.
- „Że co?!”
- Myślę, że spokojnie to wszystko zajmie wam cały dzień, bo pewnie na samych tych miejscach się nie skończy i połazicie też trochę po szlakach. No dobra, to dzisiaj przyroda. A piątek?
- Na piątek zaplanowaliśmy Suwałki... – zaczęła Karolina i mówiła dalej, ale Tomek już jej nie słuchał. Wyłączył słuch i wyostrzył wzrok. Wzrok, którym uważnie obserwował Natalię.
- To przecież niemożliwe... To musiał być zbieg okoliczności. Miał co do tego gorącą nadzieję, bo w innym wypadku... Cóż, w innym wypadku wiele wskazywałoby, że nocna wycieczka Natalii do lasu i wszystkie towarzyszące jej... ekhem... rzeczy jednak wydarzyły się naprawdę.
- Gdy skończyli śniadanie, młoda gospodyni ukroiła im jeszcze po porządnym kawale sękacza. Smakował bardzo przyjemnie – jak coś pomiędzy cukrową pianką a pieczywem, przy tym bez przesadnej słodyczy, a do tego był dosyć sycący. Po jego zjedzeniu przygotowali sobie trochę kanapek na nadchodzący wyjazd. Natalia zapakowała im też trochę tego osobliwego ciasta w folię.
- OK. Czas na nas. Dziękujemy za przepyszne śniadanie, Natalio! – Karolina wstała od stołu, a Tomek wraz z nią.
- Nie ma za co. Pogoda dziś dopisze, więc na pewno będziecie mieli niezapomniany dzień.
- Aaa, jeszcze mi się przypomniały dwie sprawy – zreflektowała się Karolina. – Jak właściwie macie na nazwisko i jaki jest tu do was telefon? Dobrze by było, byśmy to wiedzieli na wszelki wypadek.
- Jasne. Na nazwisko mamy Prus. Co do telefonu, to co prawda mam

komórkę, ale jak sami zauważyliście, nie mamy tu zasięgu, więc muszę wam podać nasz numer stacjonarny. Zapisz go sobie...

Podczas gdy Karolina wyciągnęła telefon i zaczęła zapisywać w nim dyktowane przez Natalię cyferki, Tomek postanowił, że musi ostatecznie pozbyć się wątpliwości. Z jego racjonalnego i sceptycznego punktu widzenia był to czysty idiotyzm, ale nie zaszkodziło sprawdzić. Na wszelki wypadek, dla świętego spokoju. Zastanowił się nad odpowiednim pytaniem i już po chwili wpadł mu do głowy dobry przykład. Skupił się w stu procentach, spojrzął na Natalię, która wpatrzona była teraz w Karolinę i bardzo wyraźnie, ale w myślach powiedział: „Gdy przy wyjeździe z waszego podwórka skęcimy w lewo, to dojedziemy obok cmentarzyska Jaćwingów do drogi krajowej. A gdzie dojedziemy, jak skęcimy w prawo?”.

Po „wysłaniu” zaczął intensywnie wypatrywać w podświadomości ewentualnej odpowiedzi. Natalia nie wyglądała jednak tak, jakby cokolwiek do niej dotarło. Dalej bez najmniejszego zająknięcia dyktowała Karolinie końcówkę numeru. Zacisnął lekko zęby. „No, dawaj!” Czekał, czekał i...

Nie doczekał się.

Telefon do rezydencji Białodęby 1 został w końcu wklepany do smartfonu jego dziewczyny.

Nic.

Spuścił wzrok.

No pewnie, że nic, ciołku! A czego się spodziewałeś? Śmiejesz się z Karoliny, że ta wierzy, iż jakiś Żyd dwa tysiące lat temu najpierw kopnął w kalendarz, a potem wstał z martwych, a wcześniej odwalił jeszcze inne maniany, a sam co? Właśnie niewiele brakowało, a sam uwierzyłbyś, że ta oto piękność tutaj również ma talenty, o których zwykły człowiek może jedynie pomarzyć.

Czytanie w myślach i przekazywanie wiadomości bez słów... Telepatia? Nie. Zdecydowanie są to zdolności, które w normalnym, ludzkim świecie NIE ISTNIEJĄ. NIE IS-TNIE-JĄ!

Koniec, kropka.

Tomek był zażenowany i zwyczajnie zawstydzony swoją głupotą i błogosławił w duchu fakt, że wszystko to odbywało się w ciszy jego umysłu. Jednocześnie jednak – choć nie chciał tego za bardzo przyznać – czuł lekkie... rozczarowanie? Sam w sumie nie wiedział, jak by

zareagował, gdyby jego przypuszczenia w istocie okazały się prawdziwe...

„Nie wiedział...”

Znowu nie wiedział, kurwa! To jego „nie wiem” – do tej pory typowe według niego jedynie dla kobiet, a tak częste w jego przypadku w ostatnim czasie – zaczęło go wręcz wkurzać.

– Ach! Ale jesteśmy niewychowani i samolubni. Pomożemy ci przy sprzątanii ze stołu! – zwróciła się jeszcze do Natalii Karolina.

– Nie trzeba. Wszystko dla miłych gości. Jedźcie już! Nie traćcie dnia!  
– odpowiedziała z uśmiechem.

– To może chociaż przy zmywaniu...

– Daj spokój, Karolinko. To naprawdę dla mnie żaden problem.

Brzmiało to rzeczywiście szczerze, więc Karolina nie nalegała.

– Dziękujemy ślicznie tobie i twojej rodzinie za tak serdeczną gościnę – oznajmiła pełnym wdzięczności tonem.

– Nie ma za co. Udanej wycieczki! – pożegnała ich Natalia i zaczęła krzątać się przy stole. Karolina i Tomek wzięli swoje jedzenie i skierowali swe kroki do wyjścia.

„Do Prudziszk”.

Prawie podskoczył. Momentalnie zaschło mu w gardle i odwrócił się błyskawicznie. Natalia wciąż skupiona była jednak na stole i nawet na niego nie patrzyła. Robiła to za to Karolina.

– Co jest? – zapytała szeptem.

Chłopak wciąż wlepiął wzrok w piękną blondynkę. Czerwonowłosej odpowiedział dopiero po chwili.

– Nic... Chodźmy.

Szli na górę, by umyć zęby i się na dzisiaj spakować, ale były to w tej chwili ostatnie rzeczy, które zajmowały głowę Tomka.

Czy mogło mu się to tylko wydawać? Figiel mózgu? Zwarcie w neuronach? Przeterminowanie szarych komórek? Głos był tak cichy i niewyraźny, że nie było to wykluczone, ale do jasnej cholery... A co, jeżeli mu się to jednak nie wydawało?! Co to wszystko, kurwa, ma znaczyć?

– Tomek, mówię do ciebie!

Obudził się.

– Co?

– Czemu myjesz zęby cały czas w tym samym miejscu?

„Bez kitu”.

– Sorry, zamyśliłem się.

„Błagam, byleby nie teraz”.

– Co się dzieje, Tomuś?

„A jednak teraz”.

– Nic, co ma się dziać?

– Przecież widzę.

Długo płukał usta, by zyskać na czasie. Gdy wypluwał ich zawartość, coś mu przyszło do głowy.

– Nic, zastanawiałem się tylko, co się dzieje teraz z naszym plecakiem.

– A racja, zapomnieliśmy o nim – gdy to powiedziała, w duchu odetchnął z ulgą. Kupiła to.

– Może zanim ogarniesz te swoje babskie łazienkowe sprawy do końca, ja skoczę po niego? Jestem już właściwie gotowy do wyjścia.

– Ale przecież będziemy jechać tamtędy samochodem! Po co masz łązić w tę i we w tę?

– A no właśnie... Tak sobie pomyślałem, że może wyjeżdżając, skręcimy dla odmiany w prawo? Żeby zorientować się bardziej w terenie?

– No możemy, ale... Nie boisz się, że będziemy błędzić? W sumie możemy jeszcze zapytać Natalii, gdzie ta droga prowadzi.

– Do Prudziszk – wyrwało mu się, zanim ugryzł się w język.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się.

„Po prostu wiem, na chuj pytasz?!”

– Nie wiem, tak myślę. Tak mi podpowiada moja orientacja w terenie.

– Skoro tak, to w ramach improwizacji zaufajmy jej, na pewno bardziej ufam twojemu ptasiemu mózdkowi niż mojemu. – Poklepała go czule w tył głowy. Nie podchwycił tematu. W dalszym ciągu wyglądał na kogoś, kto aktualnie przebywa w zupełnie innym świecie.

– Dobra, to ja idę po ten plecak – rzucił beznamiętnie i wyszedł. Karolina spojrzała w lustro, wzięła szczotkę i zabrała się za włosy.

Zbyt długo znała Tomasza Wawrentowicza, by dać się nabrać na byle bajeczkę. Ewidentnie jej chłopak coś przed nią ukrywał.

\*

Tomek był tak nieprzytomny, że po zejściu na parter zamiast do wyjścia początkowo skierował się z powrotem do kuchni, ale na szczęście w połowie korytarza się zreflektował. Wyszedł na podwórko i szybkim

krokiem ruszył do bramy.

Co było w tym całym wariactwie najśmieszniejsze – jego próba miała na celu pozbycie się wszelkich wątpliwości i uzyskanie odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

A jaki okazał się jej efekt?

Ano taki, że tych wątpliwości i pytań pojawiło się jeszcze więcej.

\*

Po załatwieniu „babskich spraw” Karolinie przyszło jeszcze do głowy, że przed wyjazdem nie zaszkodzi na wszelki wypadek podładować telefon. „W porę żeś sobie przypomniała!” Zeszłego wieczoru była tak zmęczona, że zapomniała podłączyć go na noc. Nie było co już jednak płakać nad rozlanym mlekiem. Te kilka minut to zawsze jakaś tam różnica. Sięgnęła do bocznej wewnętrznej kieszeni walizki.

Dziwne. Ładowarki w niej nie było. Gdy tylko gdzieś wyjeżdżała, to zawsze chowała ją w tamto miejsce. A była pewna, że ją zabrała, więc...

– Co jest, kurde? – mruknęła i dokładnie przeczesała palcami kieszeń. Pusta... Z lekkim niepokojem zaczęła więc szybko przewalać ubrania. Znalazła urządzenie prawie natychmiast – okazało się, że leży pomiędzy bluzkami. „Uff! A jednak wzięłam” – pomyślała.

Podłączyła smartfon do ładowania i w oczekiwaniu na powrót Tomka zaczęła pobieżnie porządkować bagaże i sypialnię.

\*

„A więc jednak”.

„A więc jednak” dzik go dopadł.

Tomek obszedł cały fragment ścieżki – od momentu, w którym Białodęby kończyły się lasem, aż do skrzyżowania z drogą pożarową, bo to właśnie te dwa punkty wyznaczały stuprocentowe granice obszaru, na którym spotkała ich wczoraj nocna przygoda – i nic. Pusto. Null. Rozglądał się również w najbliższym otoczeniu poza szlakiem, ale po plecaku nie było nawet śladu.

– Kurde...

Niby nie było w nim nic cennego, ale wiadomo – zawsze lepiej było go mieć, niż nie mieć. Po kilkunastu minutach wyczerpujących poszukiwań w końcu się poddał.

– Obyś się, kurwa, udławił tymi kabanosami, knurze – mruknął w stronę lasu i ruszył w drogę powrotną.



Patrząc z jego aktualnej perspektywy, dom Prusów był w Białodębach ostatnim, toteż idąc do niego, ponownie mijał wcześniejsze gospodarstwa. Wtem na podwórku jednego z nich dojrzał jakiegoś mężczyznę. Przypomniał sobie dzisiejsze słowa Natalii: „Spoza Białodębów i tak się tu nikt nie zapuszcza. Bo i po co?” i coś mu przyszło do głowy.

– Przepraszam pana... – mówiąc to, zapukał lekko w płot. Młody mężczyzna odwrócił się do niego i spojrzał z lekką podejrzliwością.

A Tomka nagle coś tknęło. „Skąd ja cię znam, człowieku?!”

– Słucham? – zapytał facet z podwórka. Chłopak z pewną trudnością wrócił do rzeczywistości.

– Eee... Pan pewnie nie wie, ale jesteśmy gośćmi u Prusów, w domu numer jeden.

W jednej sekundzie wyraz twarzy tamtego zmienił się z wybitnie nieufnego w bardzo życzliwy.

– Aaa, tak. Wiem. Pan Tomasz, tak?

„Pana Tomasza” zatkało.

– Tak, skąd...?

– To mała wioska, wiemy tu od razu o wszystkim, co dzieje się u sąsiadów – odparł. – Poza tym Natalia to straszna gaduła. Nie wiem, czy miał pan okazję się już o tym przekonać? – dodał ze śmiechem.

– Tak, miałem – odpowiedział Tomek.

„Gdzie ja cię już widziałem, kurde?!”

Ta jego dobra pamięć – również do twarzy – to było czasem błogosławieństwo, a czasem – w chwilach takich jak ta – przekleństwo. Zawsze miał wtedy wrażenie, że jest już o krok od rozwiązania zagadki, ale irytująco nigdy nie mógł tego zrobić.

Mężczyzna podszedł do płotu i wyciągnął rękę.

– Rafał – przedstawił się.

– Tomasz, ale to już chyba wiesz – odrzekł, siląc się na beztroski ton. Gdy ścisnął jego prawicę, uważnie mu się przyjrzał. Normalna budowa ciała, wzrost jak u statystycznego Polaka, pospolita uroda, gęste kruczoczarne włosy, kilkudniowy zarost, wiek – maksymalnie dziesięć lat starszy od niego. Jak na gust Tomka – taki typowy Kowalski.

Tylko gdzie on, kurka, wcześniej widział tę twarz?!

– Chciałeś coś? Jak mniemam, nie przyszedłeś tu się tylko przywitać – zapytał uprzejmie Rafał, znowu wrywając swojego rozmówcę

z zamyślenia.

– Aaa... Tak. Wczoraj wieczorem, jak wracaliśmy z dziewczyną ze spaceru po lesie, mieliśmy małą przygodę z dzikiem i w rozpaczliwej ucieczce dopiero w domu zwróciliśmy uwagę, że zgubiliśmy wtedy plecak. Poszedłem tam teraz, by go poszukać, ale go nie ma. Nie znaleźliście go może?

– Przykro mi, nie wychodziłem jeszcze dzisiaj poza gospodarstwo, podobnie jak żona i dzieciaki, tak że niestety ci nie pomogę. Miałeś tam coś cennego?

– Neeee, ale wiadomo, plecaki piechotą nie chodzą.

– Jasne. Jak wyglądał?

– Czerwony, z dużym białym napisem „Nike”.

– OK, jakbym ewentualnie przypadkiem na niego natrafił, możesz być pewien, że od razu dam ci znać.

– Dzięki. A mógłbym jeszcze prosić, byś popytał w okolicy? To znaczy nie, żebyś od razu łąził od domu do domu, ale chociaż gdy kogoś spotkasz...

– Pewnie. Masz to jak w banku.

– Dzięki wielkie. Miło się gada, ale właśnie wybieramy się z dziewczyną na wycieczkę po Suwalszczyźnie i zaraz wyjeżdżamy...

– Wszystko rozumiem. To udanego wypadu życzę. Na razie.

– Siemka.

Obaj odwrócili się w swoje strony i podążyli w przeciwnych kierunkach. Po chwili za plecami dobiegł Tomka głos Rafała:

– A, jeszcze... Tylko nie dajcie się przypadkiem namówić w Stańczykach na bungee. Ja bym nie ufał tym starym mostom. Przewornego głowa nie boli.

Tomek odwrócił się już po tym, gdy tamten skończył mówić. Nowo poznany przez niego mężczyzna wchodził właśnie do jakiejś szopy i zniknął za jej drewnianymi drzwiami.

– Jasne, stary, dzięki za ostrzeżenie... – rzucił jeszcze za nim, wymawiając każde kolejne słowo coraz ciszej.

Od nadmiaru pytań bez odpowiedzi zakręciło mu się w głowie. Od Natalii, przez losy plecaka, aż do znajomej niezajomej twarzy Rafała.

Jakby tego było mało, tuż przed chwilą ich wypełniona już do granic możliwości lista została powiększona o jeszcze jedno.

Skąd on, do cholery, wie, że mają zamiar jechać do Stańczyk?

\*

Karolina doprowadziła pokój do aseptycznego wręcz porządku i spakowała w ich drugi plecak potrzebne na dzisiejszy wypad rzeczy – jedzenie, portfel, telefon, Tomkowego pena, miernik cukru i tym podobne. Wzięła też na wszelki wypadek ich kurtki przeciwdeszczowe. W końcu byli na polskim biegunie zimna, a w takim miejscu pogodzie mimo wszystko nie można ufać. Tomek wciąż nie wracał, więc postanowiła, że zniesie to wszystko sama i poczeka na niego przy samochodzie. Zamknęła pokój na klucz i schowała go do torebki. Schodząc, zerknęła na ciągle zamknięte drzwi od pokoju pana Jerzego. Zupełnie o nim zapomniała, ale w porównaniu z wczoraj jakoś nie odczuwało się już w powietrzu tych ponurych, związanych z jego obecnością fluidów. Miała gorącą nadzieję, że zostanie wywieziony już dziś.

I że nie będzie jej już więcej dręczył. Ani w nocnych koszmarach, ani na jawie...

Wtem dobiegł jej uszu stłumiony dźwięk.

Nie była pewna skąd, ale po chwili ten powtórzył się i zdała sobie sprawę, że był to lekko podniesiony głos Natalii, który docierał zza którychś zamkniętych drzwi. Była dobrze wychowana i nie miała w zwyczaju podsłuchiwać, ale po ludzku zaciekawilo ją, co takiego mogło wyprowadzić tę wesołą, wyluzowaną dziewczynę z równowagi. Zwolniła kroku.

– Mogłabyś się opanować do tej niedzieli. Ja wiem, że to może być dla ciebie trudne i tak dalej, ale postaraj się być dla nich uprzejma. Chociaż udawaj, jak nie potrafisz. Jeszcze pomyślą, że nie są tu mile widziani. O ile już tak sobie nie pomyśleli...

Karolina się uśmiechnęła. Bardzo ceniła sobie ludzi obiektywnie patrzących na każdą sprawę, a Natalia najwyraźniej do takich należała. Bądź co bądź zostali zaproszeni, nigdzie się nie wpraszała. Nie robią im chyba aż tak dużego problemu, bo i tak każdego dnia będą poza domem. Potrzebowali jedynie łóżka i łazienki. To wszystko.

W słowach Natalii spodobała się Karolinie jeszcze jedna rzecz. Skoro mówiła tak, a nie inaczej, oznaczało to, że przynajmniej dla niej nie byli obciążeniem, a jej uprzejmość nie była czystą kurtuazją.

„To dobra dziewczyna” – pomyślała Karolina i wyszła na ganek.

\*

Teoretycznie Natalia mogła zaraz po śniadaniu udać się do Rafała i powiedzieć mu co i jak. Mogła też oczywiście zadzwonić. Co prawda Tomek nie wiedział, co mieszkańców Białodębów mogą obchodzić ich plany wycieczkowe, ale takie wytłumaczenie wydawało mu się najbardziej logiczne.

Przez jeden idiotyczny moment dopuszczał nawet irracjonalną teorię o umiejętności czytania w myślach u nie tylko jednego mieszkańca tej tajemniczej wioski, ale był stuprocentowo pewien, że przez całą tę krótką rozmowę z Rafałem ani razu nie użył w myślach słowa „Stańczyki”, więc ta możliwość raczej odpadała.

„No pewnie, że odpada! U Natalii też odpada, tylko ty dopowiadasz sobie jakieś niestworzone historie”.

Inna sprawa, że to, co wydawało mu się, że widział, i to, co wydawało mu się, że słyszał, spokojnie można było zakwalifikować jako pierwsze objawy choroby psychicznej... Sam nie wiedział, co gorsze...

„Sam nie wiedział...”

W poszukiwaniu czegokolwiek innego, czym mógłby teraz zająć głowę, skupił się jeszcze raz na przypomnieniu sobie, skąd zna Rafała, ale w dalszym ciągu jego wysiłki spełzały na niczym. W końcu doszedł do wniosku, że – podobnie jak to zdarzało się w wielu przypadkach w przeszłości – młody gospodarz jest po prostu podobny do jakiegoś aktora albo innego celebryty, którego teraz nie kojarzył, i tak naprawdę nie było się czym przejmować.

W końcu ta wiedza to nie jest kwestia życia lub śmierci, prawda?

Krótki pusty przelot po plecak dobrze mu zrobił, bo wchodząc na podwórko Prusów, czuł się już znacznie bardziej rozluźniony niż wtedy, gdy podążał w odwrotnym kierunku. Ten jego matematyczny umysł! Że też zawsze musiał domagać się bezdyskusyjnie uzasadnionej odpowiedzi na wszystkie pytania...

– Co tak długo? Nie znalazłeś? – Karolina otworzyła samochód i wrzuciła na tylne siedzenie ich rzeczy.

– Nie.

– Dziwne... Czyżby dzik jednak wyczuł jedzonko?

– Nie wiem. Wiem za to, że obszedłem całą długość ścieżki i zajrzałem we wszystkie miejsca, gdzie mógł leżeć. Jak kamień w wodę.

– Trzeba będzie popytać mieszkańców, czy go nie znaleźli, jak wrócimy.

– Jednego już pytałem. Bardzo uprzejmy facet. Niestety, nie znalazł, mówił, że nie wychodził nawet jeszcze dzisiaj za ogrodzenie...

A właśnie! Jak już mówimy o „wychodzeniu za ogrodzenie”...

Skojarzył teraz, że znał co najmniej jedną osobę, która prawie na pewno w środku nocy przechadzała się po lesie, więc była w sprawie podiwanienia ich plecaka idealnym podejrzanym. Już miał zamiar powiedzieć o tym Karolinie, ale na szczęście w porę się powstrzymał. Ostatnie, czego chciał, to jej nachalne pytania o jego nocne przygody, tym bardziej że do tej pory jej o nich nie wspomniał. Jego dotychczasowe nieporuszanie tej kwestii mogłoby więc wydać się dziewczynie aż nadto podejrzone. Postanowił milczeć jak grób, ale jednocześnie obiecał sobie, że jak tylko znowu będzie mieć okazję przebywania z Natalią sam na sam, to przyprze ją do muru i wypyta o wszystko. Wszystko! Co do ostatniego ciekawiącego go szczegółu! Łącznie z jej hmm... „nocnymi zwyczajami”.

– Zapytamy Natalię, jak wrócimy – powiedziała Karolina i usiadła na siedzeniu obok kierowcy. Tomek obawiał się trochę, czy dziś także nie będzie upierać się, by prowadzić samochód, ale na szczęście...

– Aaa... Miałem sprawdzić cukier! Znowu zapomniałem.

– To zrób to teraz. Raz, raz! Nie traćmy czasu.

Wyciągnął z plecaka swoje akcesoria i położył na dachu audi. Nakłuł pewnym małym urządzeniem kciuk i spuścił kroplę krwi na specjalny paseczek, którego drugi koniec umieścił potem w mierniku. Po chwili na wyświetlaczu ukazały się liczby.

– Kurde... Teraz z kolei trochę za wysoki.

– Ile sobie wstrzyknąłeś?

– No w sumie nie ma w tym nic dziwnego, że jest wysoki, bo zarówno wczoraj wieczorem, jak i dzisiaj rano wziąłem tylko po cztery jednostki...

– Ocipiałeś?! – ożywiła się.

– No co?

– Cztery jednostki przy takiej górze jedzenia, jaką wcisnąłeś na śniadanie? Toż to dawka jak dla niemowlaka! – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Uspokój się. Czuję się dobrze...

– Jak to szło? „Długotrwała hiperglikemia prowadzi do zaćmy, choroby

wieńcowej, uszkodzenia nerek i nerwów...”

– Dobra, skończ!

– To zachowuj się wreszcie odpowiedzialnie, jak na dorosłego faceta przystało!

– Ja pierdołę, Kara, to tylko dwa posiłki... „Długotrwała hiperglikemia” to zakodowane tajemnym szyfrem „trwająca kilka tygodni”, wiesz?

– No ale...

– Organizm różnie reaguje! Wczoraj przed obiadem strzeliłem sobie tyle co zawsze. Jestem prawie pewien, i skończyło się tak, jak skończyło, więc na wszelki wypadek teraz wziąłem mniej. Wielka mi rzecz! Dzięki temu przynajmniej się dowiedziałem, że to za mała dawka...

– Masz zamiar tak eksperymentować na sobie metodą prób i błędów? – zapytała takim tonem, jakby rozmawiała z kompletnym debilem.

– Chociażby?! – Tomek był coraz bardziej zirytowany. – Myśl, kobieto! Jedziemy teraz na tę twoją superwycieczkę, trochę się poruszam i od razu nadmiar cukru mi zniknie... Zresztą nie wiem, po co w ogóle z tobą o tym dyskutuję. – Wrzucił na tylne siedzenie etui ze wszystkimi akcesoriami i z całej siły trzasnął drzwiami. Wsiadł za kierownicę i bez słowa odpalił silnik. Ruszył trochę zbyt gwałtownie, więc koła audi zrobiły piękną dziurę w zadbanym trawniczku Prusów. Karolina westchnęła głęboko, oparła czoło o rękę (przy okazji boleśnie przypominając sobie o wczorajszej fimfie) i odwróciła głowę do okna. A dzień zaczynał się tak fajnie...

Ech...

Przy wyjeździe z podwórka chłopak mimochodem spojrział na liczniki i skręcił w lewo.

– Mieliśmy jechać w prawo...

– Tak, wyobraź sobie, że pamiętam. Aż tak głupi nie jestem. Niestety, wycieczka krajoznawczo-eksploracyjna po „lesie po prawej” została odwołana, bo po tym, jak wpadłaś wczoraj na genialny pomysł, by odwiedzić swoich włoskich znajomych, mój bak usycha z pragnienia – powiedział opryskliwym tonem i bardzo hałaśliwie zastukał palcem o szybkę za kierownicą, za którą paliła się już lampka rezerwy.

Karolina nie odpowiedziała i postanowiła, że nie odezwie się już dopóty, dopóki on sam nie zrobi tego jako pierwszy. Uważała, że jego wybuch był nieadekwatny do sytuacji. W końcu zależało jej tylko na jego dobru. Tylko i aż. Wypadałoby to docenić. No ale skoro on reaguje na to

darcie mordy, to coś tu chyba jest nie tak...

To jej cholerne wieczne matkowanie! Cztery dawki insuliny! Łał! Shrek jest ranny?! Shrek jest ranny?! O nie, Shrek, TY UMRZESZ! Żenada...

Tak jakby miało mu to w czymkolwiek pomóc, wcisnął mocniej pedał gazu i zostawił za sobą sporą chmurę pyłu. Karolinie oczywiście nie podobała się ta prędkość, ale bała się już choćby kaszlnąć. Jakże śmiesznie by było, gdyby w tym nadmiarze szczęścia zatrzymał ich teraz jakiś leśnik i łupnął mu mandat za jazdę po drodze z zakazem... Wyobrażała sobie dwa scenariusze: albo jej chłopak by zwiął i tym samym w najgorszym razie znalazłby się jedynie w kartotekach, albo rozszarpałby gajowego gołymi rękami, więc wtedy z kolei istniałaby jakaś tam szansa, że jednak tej kary nie zapłaci. Pierwsza opcja brzmiała chyba lepiej dla świata, więc miała nadzieję, że dla swojego dobra żaden ewentualny leśny stróż jednak nie będzie szczególnie nalegał na szczerą, życiową rozmowę z nimi o tym, co wolno, a czego nie wolno.

Jej modlitwy zostały wysłuchane, bo na szczęście nikogo nie spotkali. Przejechali obok cmentarzyska Jaćwingów i zaraz po tym byli już na drodze krajowej, jadąc w stronę Suwałk. Tomek zapamiętał małą stację benzynową na wylocie z miasta i to właśnie do niej się kierował.

Nie było za wielu klientów, więc w mig napełnił bak. Wnętrze jego portfela mogło prawie że służyć za podręcznikową definicję nicości, toteż przy kasie znajdującej się w małym sklepiku zapłacił kartą. Już dawno przymierzał się do zamontowania w samochodzie instalacji gazowej, ale zawsze były setki innych pilniejszych spraw i przypominał sobie o tym za każdym razem dopiero wtedy, ilekroć po następnym tankowaniu benzyną z jego konta odlatywała kolejna bolesna kwota. Tak też było i teraz. Niewielkim pocieszeniem był fakt, że jako bonus za wydanie ponad dwustu złotych dostał w prezencie od sympatycznego sepleniącego sprzedawcy błękitną choineczkę zapachową. „Kiepski chwyt marketingowy, ale kombinuj koleś, kombinuj”.

Karolina nawet nie wysiadła z samochodu, tylko wciąż w tej samej pozycji, z głową opartą o rękę, wyglądała przez okno. Miała widok idealnie na wyjście ze sklepiku i gdy Tomek z niego wyszedł i na nią spojrzał, odwróciła wzrok.

Ech... Dobra, stary. Zaciśnij zęby i miej to już za sobą.

– Cześć, ślicznotko. Co kobieta taka jak ty robi w miejscu takim jak to?

– zapytał szarmanckim tonem tuż po zajęciu miejsca za kierownicą. Wciąż się nie odwracała i w dalszym ciągu widział tylko tył jej głowy, ale przysięgłby, że jej policzki lekko zmieniły kształt. Brnął więc dalej. Tym razem dramatycznie.

– Tak, wiem. Jestem głupi, bo myślę, że moglibyśmy być razem! Ale od kiedy cię ujrzałem, myślę tylko o tobie! Proszę cię, przyjmij ode mnie to. – Podsunął jej choineczkę pod nos. – Wiem, że to niewiele, ale to wszystko, co mam. A słowo „wszystko” najlepiej oddaje to, co do ciebie czuję! Błagam cię, nawet jeżeli miałoby to być tylko kłamstwo, powiedz choć raz, że będziesz moja!

Policzki Karoliny zaokrągliły się jeszcze bardziej, a do tego zostało to dopełnione króciutkimi wydechami powietrza przez nos. Wciąż się jednak nie odwracała. Taka twarda jesteś? No to szykuj się na prawdziwą bombę!

– Oooo Karoliiiiinoooo! Kiedy jestem blisko cięęę, ciągle ronię szczęęęścia łzęęę... – Dalsza część jego cudownego barytonu została przerwana przez pewną drobniutką dłoń, która zatkała mu usta.

– Dosyć! Przepraszam przyjęte! Ale żeby mi to było ostatni raz! – tym razem to ona zagrała fałszywie stanowczą pannicę.

– Wybornie! Zatem jak już formalności mamy za sobą, to jadziem. – Tomek zawiesił otrzymaną choineczkę pod lusterkim, odpalił samochód i wyjechał z powrotem na zapchaną tirami jezdnię w kierunku Litwy.

\*

By nie wzbudzić żadnych podejrzeń, śledzący ich samochód dołączył do ruchu dopiero po jakimś czasie.



## ROZDZIAŁ V

– Widzę, pani Karolino, że wcale nie jest pani taka łatwa!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– No tam, na stacji benzynowej! – Zaśmiał się. Również parsknęła.

– Po części tak, ale też ciekawiło mnie, co dalej wymyślisz... – odparła kokieteryjnie.

– I jak mi poszło?

– Po mistrzowsku. Gdybyśmy nie byli razem, to zwałibyś mnie tym z nóg i na baaank byś mnie zdobył. Ale jedna rzecz: na pewno nie powiem, że „będę twoja”.

– Dlaczego?

– Bo jestem już twoooja... – W udawanym oczarowaniu popatrzyła na niego maślanymi oczkami.

– Oooo... Ale przestań, bo się czerwienię!

– Do twarzy ci.

Ich podróż w okolice Stańczyk przebiegłaby dosyć sprawnie, gdyby nie jeden fakt „ku zadowoleniu” Tomka. A konkretnie – to, że Karolina kilka kilometrów za Suwałkami przypomniała sobie, że mieli dziś Wielki Czwartek, a ona ma oczywiście zamiar pobożnie uczestniczyć w liturgii triduum paschalnego – jak co roku zresztą. Koniecznym było więc upewnienie się co do godziny dzisiejszych uroczystości w najbliższym kościele.

Karolina skorzystała ze świeżo wklepanego do telefonu numeru (modliła się przy tym, by nie odebrała babcia Natalii), ale niestety, Prusówna nie potrafiła im pomóc. Musieli zatem wrócić do Suwałk i szukać informacji na własną rękę. Tomek ledwo się powstrzymywał, by znowu nie wybuchnąć, ale na szczęście niebios... Pardon, los okazał się łaskawy i oszczędził im błędzenia, bowiem wysoka wieża kościoła była widoczna już przy wjeździe do Suwałk, po lewej stronie. Karolina szybko odczytała informację na tablicy ogłoszeń przy wejściu (nie potrzebowała umiejętności czytania w myślach, by się domyślić, że jej duży chłopiec obok zgrzyta zębami ze zniecierpliwienia i irytacji) i wreszcie mogli naprawdę wyruszyć w nieznane.

Choć dotarcie do zabytkowych mostów w Stańczykach nie było wcale takie proste, na szczęście w sukurs parze przyszło kilka drogowskazów, więc koniec końców udało im się dotrzeć do pierwszego celu swojego

czwartkowego zwiedzania.

– Płatny parking? Chyba se żartują!

– Ja zapłacę, sknerusku.

– Nie chodzi o to, że mnie nie stać...

– Ja wszystko rozumiem, skarbie. – Pogłaskała go w ten sposób, jakby uspokajała zdenerwowane, niepełnosprawne umysłowo dziecko. Nie podobał mu się jej ton, ale nic nie powiedział.

„Parking” okazał się częściowo ogrodzonym, zwirowym terenem. Tomek zatrzymał się tuż przy wjeździe.

– No wjedź!

– Nie ma mowy. Nie będę nabijał kabzy tym krwiopijcom! Płatny parking! Śmiechu warte.

– No, błagam cię... Nie rób mi wstydu...

– A co nas obchodzi, co ci ludzie sobie pomyślą? Idziemy tam czy wracamy?

Zaczął się. „Jak chcesz, żebyśmy uczestniczył z tobą w tym wyjeździe, na co od początku mówiłem, że nie mam za dużej ochoty, to na moich warunkach”.

– Ale jesteś... – mruknęła dziewczyna i wysiadła.

– Zajebisty, wiem – odparł zagranym dumnym tonem i również opuścił samochód.

Okazało się, że i tak nie unikną drobnych opłat, gdyż wstęp na mosty był płatny. Należność uiścili u babuleńki siedzącej w drewnianej budce tuż przy wejściu. Można tam było kupić także związane z tym miejscem drobne pamiątki, pocztówki i przewodniki. Na ogromne konstrukcje prowadziła stroma ścieżka z drewnianymi schodkami, którą pospiesznie pokonali. Nie byli jedynymi zwiedzającymi – na samym środku jednego z mostów zgromadziło się jakieś spore zbiegowisko. Tak jak Tomek podejrzewał – sprawdzili się słowa Rafała i zastali tam fanatyków sportów ekstremalnych, którzy przymierzali się do oddawania skoków na bungee. Ktoś wymyślił sobie całkiem niezły sposób zarabiania na życie, gdyż ekipa oferowała skupionym wokół turystom możliwość skorzystania z tej przyjemności za pięćdziesiąt złotych. Wyglądało na to, że znalazł się co najmniej jeden chętny, którego właśnie w tym momencie skwapliwie przywiązywano do liny. Po chwili śmiałek – nieco ponad trzydziestoletni mężczyzna – był już gotowy. Asekurowany przez swoich towarzyszy wszedł na barierkę,

zamknął oczy, odczekał kilkadziesiąt sekund i gdy wszyscy byli już pewni, że za chwilę zrezygnuje i z niej zejdzie, rzucił się na dół. Karolina na pewno nie przeżywała tego wszystkiego tak jak on, ale nie dało się ukryć, że nawet z pozycji widza towarzyszyło jej – delikatnie mówiąc – niemało emocji. Z przyspieszonym pulsem usilnie wypatrywała drugiego końca liny, który zniknął teraz pomiędzy podtrzymującymi wiadukt filarami. Wrzask, który roznosił się nad Stańczykami od samego momentu skoku, świadczył jednak o tym, że mężczyzna jest cały i zdrowy (przynajmniej fizycznie). Istotnie – dyndając na linie i huśtając się w tę i z powrotem, po chwili pokazał im się ponownie. Dopiero teraz zdając sobie sprawę, że od jakiegoś czasu w ogóle nie oddychała, dziewczyna głośno wypuściła powietrze.

– To co, skaczemy? – zażartował Tomek.

– Nawet tak nie żartuj! Zeszłabym z tego świata jeszcze w powietrzu!

Wciąż wodząc wzrokiem za kołyszącym się pod mostem ciałem latającego herosa, przeszli przez całą długość konstrukcji. Gdy odłączali się od pozostałych turystów, chłopak usłyszał jeszcze słowa jakiegoś pociesznego grubasa w okularach, który dramatycznym tonem, śmiertelnie poważnie i tak jakby nie do końca przytomnie mówił do kogoś: „Jak złożycie się wszyscy, to skoczę, słowo daję!”. Po zarejestrowaniu tego obrazka Tomek nie mógł się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem.

Podziwiając widoki i robiąc trochę zdjęć, zabawili w Stańczykach jeszcze jakiś czas, ale nie doczekali się drugiego skoku, więc ostatecznie uznali ten obiekt za zaliczony. Po zejściu z powrotem na dół Karolina dopytała jeszcze pani w budce, jak dojechać do wszystkich pozostałych zabytkowych mostów w okolicy, których zobaczenie postawiła sobie za punkt honoru, po czym ruszyli w drogę zgodnie z jej instrukcjami i zaczęli od będących najbardziej po drodze Kiepojci.

Tamtejsze konstrukcje naturalnie nie robiły aż tak dużego wrażenia jak wizytówki Stańczyk, ale trzeba było przyznać, że ukryte między drzewami, zarośnięte pokaźną ilością trawy oraz z przepływającą pod nimi rzeczką miały w sobie coś fajnego, pewien klimacik tajemniczości. Było to coś w rodzaju sekretnych budowli, ukrytych w odludnych miejscach, w których nie należało się spodziewać żadnych śladów ludzkiej działalności.

Karolina miała niemałą frajdę z tej ekspedycji „w poszukiwaniu zaginionych mostów” i cieszyła się jak dziecko, gdy udawało się je finalnie znaleźć. Czuła się prawie tak, jakby uczestniczyła w poszukiwaniu

skarbów, tajemnych świątyń albo innych cennych znalezisk archeologicznych.

Przypominało jej to też trochę okres dzieciństwa i organizowane przez tatę podchody. Podchody i to towarzyszące im uczucie dziecięcej ekscytacji. Nie dało się tego zapomnieć...

Piękne czasy...

W chwilach nierzadkich refleksji nad życiem stwierdzała, że niesamowicie tęskni za czasem dzieciństwa i jego klimatem beztroski. Nawet teraz, kiedy miała już te dwadzieścia trzy lata, dałaby wiele, by móc przeżyć ten okres i związane z nim zabawy jeszcze raz. Oczywiście nie było żadnych przeszkód, by zorganizować coś w tym stylu we własnym zakresie, ale nie bez podstawy miała przeczucie, że jegomość, który od blisko trzech lat dzielił z nią życie, nie podszedłby do tego pomysłu ze zbyt dużym entuzjazmem i w niezbyt wybrednych słowach zasugerowałby jej „dorośnięcie”. Nawet teraz niemal słyszała ten jego obrzydliwy, pretensjonalny ton...

– Jedziemy? – głos Tomka wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak... Ale pamiętasz, że jeszcze Botkuny?

– Taaa... Pamiętam – odparł z przekąsem.

O, to to.

To jest właśnie jego entuzjazm... Najlepiej zamknąć się w swojej jaskini przed kompem i w ogóle nie wychodzić. Kisić się w czterech ścianach i nie ruszać poza nie tyłka. Kompletnie nie rozumiała jego podejścia. Czasami zadawała sobie pytanie, jak to w ogóle jest możliwe, że w obliczu tak masakrycznych różnic w sposobie postrzegania świata w ogóle ze sobą byli. Patrzyli na wszystko inaczej niemal w każdej dziedzinie życia. Niby powiadają, że przeciwieństwa się przyciągają, ale od pewnego momentu ich związek był albo dowodem, że tak w rzeczywistości nie jest, albo potwierdzającym tę regułę wyjątkiem.

Chociaż... Czy tyczyło się to *de facto* tylko jego? Naszło ją nagle, że tak naprawdę spoza swojej rodziny nie знаła nikogo, kto nadawałby choć w dziewięćdziesięciu procentach na tych samych falach co ona. Nawet te „psiapsiółki”, o których wspominał wcześniej Tomek, to nie było to. A on? Był, jaki był. Nie wymagała, by ją zawsze rozumiał. W końcu był facetem... No ale... Ile by jednak dała, żeby jej mężczyzna...

Tfu! Wypluj to, Górsko!

Szybko poszukała w głowie tematu, którym mogłaby zastąpić dotychczasowy. Ach tak, było o podchodach... Tak jeszcze kończąc ich temat – skoro nie mogła cofnąć się w czasie, to przynajmniej obiecała sobie, że w przyszłości będzie przygotowywać je dla swoich dzieci. Nie za często, co jakiś czas. Choćby miała je robić sama, nie odpuści! Dwie pieczenie na jednym ogniu – fajne zorganizowanie czasu dla pociech i jednocześnie zmuszenie ich do odrobiny ruchu. Nie wątpiła, że kiedyś będą jej wdzięczne, podobnie jak ona teraz swojemu tacie.

Zgodnie z wytycznymi pani spod mostów w Stańczykach, dotarłszy do podgołdapskich Botkunów, skręcili w polną żwirówkę w kierunku Puszczy Rominckiej. Kiedy dotarli na jej skraj, znowu przywitał ich znak zakazu wjazdu. Tomek zatrzymał auto.

– Przejdźmy się.

– Musimy...?

– Miałeś się trochę poruszać, bo masz za wysoki cukier, zapomniałeś?

JAK ZWYKLE miała rację.

– Dobra. Idziem.

Po zamknięciu audi ruszyli spacerkiem przez las. Różnił się on trochę wizualnie chociażby od tego, który otaczał Białodęby, ale, gwoli ścisłości, nie potrafiliby powiedzieć dlaczego. Co zaś do bujności i dzikości – w niektórych jego fragmentach był to niewątpliwie ten sam poziom. Wedle tego, co powiedziała im wcześniej kobieta, teraz wystarczyło iść prosto tak długo, aż dojdzie się do mniejszych wiaduktów, przy nich skręcić w lewo, by po dwustu, trzystu metrach dotrzeć do kolejnych, większych. Karolina wzięła Tomka za rękę. Jego ciepły uścisk dłoni rozpuścił trochę lody jej wątpliwości.

Po jakimś czasie chłopak poczuł, że musi udać się na bok za potrzebą. Choć wątpił, by gęstość zaludnienia na tym zadupiu była większa niż dwie osoby na kilometr kwadratowy, uznał, że najlepiej będzie, jak na wszelki wypadek zejdzie ze ścieżki.

– Muszę się odlać. Zaraz wrócę.

– Mam czekać?

– Nie, idź. Dogonię cię.

– OK – odparła Karolina i nawet się nie zatrzymała, tylko szła dalej. Jako że właśnie byli na ostrym zakręcie, po krótkim czasie straciła swojego chłopaka z oczu.

Tomek zgrzał się lekko, więc zdjął bluzę. Następnie wszedł w lewo między drzewa i dopiero upewniwszy się, że stoi wystarczająco daleko i że ewentualny przechodzień nie mógłby go zobaczyć, zrobił to, po co tam przyszedł.

Trzask!

Podniósł głowę i się rozejrzył. Odgłos rozległ się tak blisko, że powinien był spokojnie zobaczyć jego źródło, ale niczego szczególnego w swoim najbliższym sąsiedztwie nie zauważył. Wciąż wyglądając w lesie czegokolwiek podejrzanego, zapiął rozporek.

Nic.

Odwrócił się więc i zaczął maszerować z powrotem do ścieżki.

Nagły szelest za jego plecami dobiegł tak blisko, że przez moment myślał, iż po raz kolejny w trakcie tego wyjazdu goni go jakieś zwierzę. Odwrócił się szybko.

Pusto.

Następny szelest był nieco cichszy i jakby z większej odległości. Jeszcze jeden. I następny... Najdziwniejsze było jednak to, że zdawało mu się, iż dźwięki te dochodzą z różnych stron... Jakiś pogłos czy co? Las był tu tak gęsty, że w promieniu powyżej dwudziestu metrów za cholerę niczego nie dało się dojrzeć...

Nowa sekwencja szmerów – tym razem znowu w bliższej odległości. „Co jest, kurde?” Spojrzał jeszcze ostatni raz w stronę ścieżki i podjął decyzję. Podążył prosto przed siebie.

W przeciwnym do niej kierunku.

\*

Przez puszcę przetaczał się lekki wiaterek, znowu wydając ten kojący, miły dla ucha szum. Karolina wzięła głęboki oddech i chłonęła czyste powietrze całą piersią.

Uwielbiała las.

Pod każdą postacią – czy to wizualną, czy to zapachową, czy to słuchową.

Jednym z jej największych marzeń było ziszczenie wizji, by zamieszkać w przyszłości w drewnianym domku poza miastem. Z dala od duszącego warszawskiego smogu, hałasu i denerwujących sąsiadów (takich jak na przykład ci z mieszkania obok nich na Woli). Tylko Tomek, dzieci, może jakiś piesek i ona. Właściwie gdyby wszystko zależało tylko od niej, to

w kwestii domowego czworonoga nie byłoby żadnego „może” już teraz.

Wiadomo, kto czynił jednak problemy...

Co prawda przez jakiś czas po śmierci Maksa jej samej wydawało się niemożliwe, by jakikolwiek inny zwierzak był w stanie zastąpić jej tego psa. Psa, który biegał gdzieś obok niej praktycznie od zawsze, od samej kołyski. Było to jednakże tak dawno, a ona wydorosłała już na tyle, że była w pełni gotowa na danie kolejnemu potencjalnemu pupilowi nowej szansy. Jednak nie w ich małej, wynajmowanej kawalerce w bloku z wielkiej płyty...

Wyobrażała sobie, że jej wymarzony dom będzie wyglądać dokładnie tak, jak ten letniskowy należący do rodziców. A więc tak – oczywiście piętrowy z trzema pokojami na górnej kondygnacji. Czemu akurat trzy? Bo trzy są również w pierwowzorze. Wszystkie będą służyć za sypialnie. Jedna dla nich, druga dla dzieci (marzyła o trójce), trzecia – dla gości. Na dole – salon, kuchnia, spiżarnia, komórka i łazienka – zarówno z wanną, jak i z prysznicem. Do wyboru, do koloru. Kominek – obowiązkowo! Garaż ze stromym zjazdem będzie na poziomie piwnicy. Co zaś do ziemi – nie musi być jej dużo – byleby mieli swoją prywatną plażę nad jeziorem, do której nikt inny nie będzie mieć wstępu. A w pobliżu domu oczywiście ogródek, trochę kwiatów, trochę warzywek i owoców, trochę drzew – na przykład jabłoni albo grusz, i naturalnie trawnik, aby dzieci mogły się wyszaleć. Myślenie o Tomku jako pomocy ogrodowej było prawie tak pełne logiki, jak myślenie o szansach polskiej reprezentacji w kontekście mistrzostwa Europy w piłce nożnej za rok, toteż na początku z ogarnięciem tego wszystkiego będzie musiała jej pomóc mama...

Mama...

Karolina wyciągnęła swój smartfon. Bateria ledwo zipiała, ale postanowiła wykonać choć jeden krótki telefon. Bardzo potrzebowała, by chociaż usłyszeć teraz jej głos...

Brak zasięgu! Kurczę!

Trudno, może to nawet dobrze.

Gdy jechali, miała połączenie z siecią przez bardzo długi czas i nie otrzymała żadnego SMS-a z informacją, że ktoś próbował się z nią skontaktować. Wyglądało więc na to, że pani Górska wzięła sobie jej wczorajsze słowa bardzo do serca. Karolina nie żałowała ich jednak ani trochę. Jej matkę mogły one trochę zaboлеć, ale trzeba ją już powoli

przyzwyczajając, że sama potrafi o siebie zadbać. Unaoczniać, że jest już dorosła, że zaraz zacznie w pełni samodzielne życie. Nie może w końcu cały czas polegać jedynie na rodzicach. Czuła pewną wewnętrzną dumę, że zdaje sobie z tego sprawę.

Wróciła do rzeczywistości, gdy po prawej stronie zarejestrowała kątem oka jakiś ruch.

Coś czerwonego?

Mógł to być oczywiście pewien wizualny figiel, bo gdyby ktokolwiek tam był, to słyszałaby na przykład kroki albo inne, świadczące o jego obecności odgłosy. Nie zaszkodziło jednak na wszelki wypadek wyteńczyć wzroku.

Tym bardziej że – o czym dopiero teraz sobie przypominała – była w tej chwili sama...

Tajemnicze coś nie okazało się jednak jakimś zaburzeniem jej percepcji świata i znowu przemknęło między drzewami, teraz w dalszej od niej odległości. Nie mogła jednoznacznie określić, co to jest – dystans w połączeniu z zacienieniem i gęstością puszczy wcale nie ułatwiały jakiegokolwiek odbioru wzrokowego tej rzeczy. Spojrzała za siebie. Tomek nie wracał, a jeżeli miałyby to sprawdzać, to zdecydowanie wołałaby robić to z nim u boku...

„Ty hipokrytko! Jeszcze przed chwilą się mądrzyłaś, że będziesz radzić sobie w życiu sama. Bez mamusi i tatusia. Do końca świata będziesz potrzebować w takich sytuacjach swojego ochroniarza?!”

Nie chcąc zbytnio oddalać się od ścieżki (jej odwaga miała swoje granice), weszła między drzewa i intensywnie wpatrywała się w miejsce, gdzie ostatni raz zobaczyła ten niezidentyfikowany ruch.

Zatrzymała się.

Na sto procent tam coś było! Tym razem, zanim znowu zniknęła, czyjaś sylwetka była widoczna przez dobrych kilka sekund. W dalszym ciągu mogło jednak dziwić, że nie słyszała żadnych odgłosów. Ten ktoś najwyraźniej biegł, a w tak gęstym podszycie nie dało się robić tego bezszelestnie.

I jeszcze raz! Ten sam czerwony kształt...

Nagle to sobie przypominała.

Tomek był ubrany pod spodem w czerwoną koszulkę... W sumie jego obecność w tamtym miejscu była chyba najbardziej logicznym



wytłumaczeniem tego wszystkiego, ale nawet skoro tak, to zasadnym było teraz inne pytanie: co on tam, do cholery, robił?

Znowu!

– Tomek? – Ruszyła nagle zdecydowanym krokiem przed siebie. Co prawda gdy się rozstawali, zachowywał się zupełnie normalnie, ale obawiała się najgorszego. To najgorsze nie szło też kompletnie w parze z jego podwyższonym poziomem cukru, ale...

– Tomek!

– Kara? Co ty tam robisz? – Znajomy głos rozległ się... za jej plecami. Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła. Oddaliła się już całkiem sporo od ścieżki, ale wciąż miała ją w zasięgu wzroku. Jej chłopak stał na poboczu pomiędzy drogą a lasem i machał do niej swoją bluzą.

Nie pomyliła się – był ubrany w czerwoną koszulkę...

Karolina zupełnie zgłupiała. Co...? Jak... jak to możliwe...? Spojrzała za siebie jeszcze raz. Sekundy mijały, ale nie pokazywało się już zupełnie nic. „Jeżeli nie Tomek, to kto...? Co?”

– Kara?

– Nic. Już idę.

Gdy do niego wracała, obróciła się jeszcze kilka razy. Dalej nic.

– Też za potrzebą?

Zrozumiała, o co mu chodzi, dopiero po chwili.

– Za pot...? Aaa! Nie...

– To po co tam włązaś?

Nie wiedziała, jak mu to powiedzieć. Albo inaczej – jak odpowiedzieć, by nie uznał jej za idiotkę. Zaczęła więc od bezpiecznej zmiany tematu.

– A ty co tak długo?

– Jaaa... – zawiesił się na moment. – Jakie długo? Normalnie.

– Sikasz więc chyba litrami – odparła, ale jakoś tak inaczej niż zwykle.

– Coś się stało?

– Nic, co miałoby się stać? – Niestety, tym razem beztroski ton jej nie wyszedł.

– Ech, Kara... – Podszedł i objął ją. – Coś tam lubisz sobie czasem posapać, że związek opiera się między innymi na szczeroci. Bła bła bła... Zawsze narzekasz, że nie chcę z tobą rozmawiać... No więc teraz chcę i chcę wiedzieć, co się stało.

Miał rację. Ale wciąż pozostawał problem, jak mu to powiedzieć...

– Gdzie byłeś?

– Jak to gdzie? W lesie, na sikaniu, po lewej stronie od drogi.

– Po lewej...

– Tak, po lewej.

– Biegłeś?

„Ską... skąd ona to wie?!”

– Eee... Nie. Normalnie, wyszczałem się, wróciłem na ścieżkę i marszobiegłem poszedłem za tobą. Czemu pytasz?

W odpowiedzi Karolina spojrzała między drzewa jeszcze raz.

– Wydawało mi się, że cię tam widziałam... Nieważne. Pewnie coś mi się popieprzyło, jak zwykle...

Także zerknął w tamtą stronę.

– No rzeczywiście, musiało. Na bank nie byłem po prawej stronie.

– Dobra, skoro tak twierdzisz...

Przez chwilę stali w milczeniu.

– To co, idziemy? – zapytał chłopak.

– Idziemy, idziemy.

Wzięli się za ręce i ponownie podjęli przerwana wędrowkę w kierunku wiaduktu, choć ten stary element kolejowej infrastruktury bynajmniej nie był teraz rzeczą, która zajmowała głowę każdego z nich. Szli o wiele szybciej niż poprzednio i wypatrując w lesie czegokolwiek odbiegającego od normy, każde z nich niezależnie od siebie spoglądało w swoją stronę. Oczywiście obydwójce czynili to tak, by drugie tego nie zauważyło.

Po kilku minutach dotarli wreszcie do pierwszego, małego mostu nad drogą, przy którym szlak skręcał w lewo i prowadził do gwoźdźca programu, czyli pary większych wiaduktów nad leśną rzeką. W normalnych okolicznościach rozprawialiby pewnie właśnie o szczególnym uroku tej pozostałości po dawnej linii kolejowej w samym środku tak dzikiej puszczy, ale...

Ale nie dzisiaj.

Ale nie teraz.

Nie po tym wszystkim, co przed chwilą przytrafiło się im dwojgu. Nie, gdy bez przerwy nerwowo rozglądali się wokół. Nie, gdy jedyne, o czym w tamtym momencie marzyli, to by stamtąd wyjść...

Nie poświęcili tej pierwszej konstrukcji więcej niż trzy minuty. Z zadziwiającą jak na nich zgodnością uznali po tym czasie, że będące

w pobliżu większe mosty ich jednak nie interesują i że najwyższa pora wracać do samochodu. Droga powrotna zajęła im o wiele mniej czasu niż w przeciwnym kierunku, a końcowy jej odcinek pokonali niemal biegiem. Uspokoiли się dopiero po zamknięciu się w aucie i finalnym wyjechaniu na szosę w Botkunach. Nie rozmawiali ze sobą przez jakiś czas. Karolina była tak pochłonięta myślami, że zupełnie nie zwróciła uwagi na fakt, iż w opisie tego, co robił od momentu, gdy się rozstali na ścieżce, Tomek łągał jak pies.

Wraz ze wzrostem odległości od Botkunów do obydwójga stopniowo wracał spokój, prawie tak, jakby miała to być jakaś liniowa zależność – im dalej, tym lepiej. Zegar w audi wskazywał nieco po drugiej, ale na obiad – zważywszy na późne śniadanie – było z ich punktu widzenia chyba trochę za wcześnie. Wprawdzie byli lekko głodni, ale wyśmienite kanapki z białodębowymi specjałami kusiły, więc Karolina rozdzieliła prowiant. Stopniowo napełniające się żołądki zadziały na parę jeszcze bardziej kojąco. Tomek naturalnie nie zapomniał o insulynie. I tym razem wziął cztery jednostki.

Wrócili tą samą drogą, którą przyjechali, i w miejscowości Rutka Tartak skręcili w prawo, na południe, a więc w stronę Suwałk i Białodębów. Tak się składało, że wszystkie ich następne cele tego dnia skupiały się na jednym, a do tego stosunkowo niewielkim obszarze. Z logistycznego punktu widzenia czekające ich kółeczko najlepiej było więc zacząć od Góry Cisowej, potem zaliczyć Górę Zamkową, Bachanowo i jezioro Hańcza, a skończyć na Smolnikach i wyjechać z powrotem na drogę, którą właśnie jechali, prosto do Białodębów. Karolina – o ile oczywiście pozwoliliby na to czas – po cichu liczyła także jeszcze na tę Przełomkę...

Wkrótce charakterystyczne wzniesienie, nazywane niekiedy również „suwalską Fudzijamą” ukazało im się po prawej stronie. Jak się miało później okazać, na jego szczyt prowadziły dwie ścieżki: jedna oficjalna, łagodna, biegnąca dookoła stożka wzgórza, i druga nieoficjalna, od razu brutalnie pnąca prosto pod górę po bardzo stromym zboczu. Na swoje nieszczęście Tomek wpadł na pomysł, którego żałował potem (a konkretnie jego mięśnie nóg) przez wiele dni, i zaproponował Karolinie wyścig – ona po tej pierwszej, on po drugiej. Choć zwyciężył, koniec końców ani on nie czuł się wygrany, ani ona – patrząc na stan chłopaka po wszystkim i zanosząc się przy tym śmiechem – przegrana.

Kolejny punkt w ich wycieczce potencjalnie nie wydawał się zbyt

trudny do znalezienia, gdyż Góra Zamkowa znajdowała się w pobliżu Szurpił, a przez wioskę tę przejeżdżali przecież wczoraj – gdy odwozili Chiare i Paola. Niemożliwe jednak stało się możliwe – przeoczyli odpowiedni skręt i dopiero po krótkim błędzeniu znaleźli właściwy szlak przez strome pagórki Suwalskiego Parku Krajobrazowego. Dobre i częste oznakowanie na nim sprawiło, że sprawnie dotarli do końca trasy, po której mogli jeszcze poruszać się samochodem (teren prywatny, zakaz wjazdu... a to nowość). Znajdowały się w tym punkcie dwa gospodarstwa i nie bardzo było miejsce, by gdziekolwiek zaparkować, więc Tomek zrobił to bezpośrednio na drodze. Przy skromnym wejściu na pieszy, schodzący trochę na dół i prostopadły do ich dotychczasowej trasy szlak powitał ich tunel utworzony z rosnących po obu jego stronach drzew i gęstych zarośli. Po chwili, gdy wyszli z drugiej jego strony na otwartą, trawiastą przestrzeń, zobaczywszy pierwsze z otaczających wzgórze jezior, Karolina wiedziała już, że dotarli do celu.

Góra Zamkowa, zwana też Zamczyskiem, to kolejna pozostałość po działalności lodowcowej w północno-wschodniej Polsce. Otoczona jest przez trzy jeziora: Szurpiły (od południa), Kluczysko (od zachodu, to właśnie je w tej chwili mijali) oraz Jegłówek (od północy). Oprócz niewątpliwych walorów krajobrazowych miała również ogromną wartość archeologiczną.

Według przekazów pierwsi we władanie Górę Zamkową wzięli Jaćwingowie, którzy we wczesnym średniowieczu wybudowali na niej gród, który został otoczony wałem. Na początku IX wieku rozebrano go jednak, a szczyt wzgórza stał się miejscem kultu religijnego i na ruinach murów w ramach pogańskich rytuałów palono między innymi święte ogniska. Potem – zupełnie jakby ludzie zamieszkujący te tereny nie do końca mogli zdecydować się co do ich przeznaczenia – wielokrotnie przerabiano jeszcze okolicę w prymitywnych pracach budowlanych – z postawieniem nowych domów, obronnych wież obserwacyjnych oraz kolejnego wału o obwodzie ośmiuset metrów włącznie. Świetność grodziska zakończyło zdobycie góry przez Krzyżaków w 1283 roku.

Nawet do dzisiaj wśród okolicznych ludzi krążą opowieści o cennych znaleziskach archeologicznych, takich jak resztki broni, szczątki zbroi albo sprzęty domowe dawnych mieszkańców góry. Najstarsi pamiętają ponadto ślady po bramach zamkowych, lochach i innych warownych

pozostałościach.

– Ścigamy się? – zażartowała Karolina. Tomek spojrzał na porośnięte gęsto drzewami zbocze, chyba nawet jeszcze bardziej strome niż to na Górze Cisowej.

– Wybacz, ale moje nogi mają dość wyścigów na dzisiaj.

– Takiej odpowiedzi też się spodziewałam. Ale wejdźmy chociaż na szczyt!

Z niemałym wysiłkiem pokonali drogę na wzniesienie. Niestety, królujące w tym miejscu rośliny – zarówno wielkie, drzewiaste, jak i te trochę mniejsze – kompletnie uniemożliwiały odbiór okolicznych krajobrazów, również w najwyższym punkcie wzgórza. Szli więc dalej ścieżką i po jakimś czasie zeszli z góry po jej drugiej stronie, na rozległy, łąkowy płaskowyż ze świetną panoramą na jezioro Jeglówek.

– Łooo... No właśnie dla takich widoków tu przyjechałam! – powiedziała Karolina z zachwytem i po raz kolejny wyciągnęła smartfon.

Rozładowany... Pięknie! W takim momencie...

– Tomuś, błagam cię, cyknij parę fotek!

Nawet jej wiecznie „rozentuzjasmowany życiem” chłopak musiał w tym momencie przyznać jej rację. Otoczone z każdej strony wieloma drzewami jezioro Jeglówek, wraz ze swoimi dwiema małymi wysepkami, prezentowało się z tej perspektywy niesamowicie. Po nacieszeniu oczu tym krajobrazem zdecydowali się w końcu na powrót do samochodu. Na szczęście dla Tomka i jego ud nie musieli ponownie wspinać się na wzgórze, gdyż z płaskowyżu prowadziła do jeziora Kluczysko jeszcze jedna, dodatkowa, wygodna, płaska ścieżka u podnóża góry. Idąc wzdłuż tego rozlewiska, Karolina jeszcze raz dojrzała na nim mały pomost, na który zwróciła uwagę już wcześniej. Weszła więc na niego i stanęła na samym jego końcu. W tym samym momencie powiał ciepły wiatr, który zmierzwił jej ciemnorude włosy. Zamknęła oczy, rozłożyła ręce i chłoneła przyrodę całą sobą, każdą komórką swojego ciała.

Cudowne uczucie.

Po chwili sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej gumę do żucia. Zostało jej już niewiele, więc aby wygrzebać z opakowania jedną z ostatnich drażetek, musiała się trochę nagimnastykować. Zręczność rąk nigdy nie była jednak jej domeną, toteż mały papierowy pakiecik nieopatrznie wyslizgnął jej się z dłoni i wylądował w wodzie. Czym prędzej

uknęła i próbowała go wyciągnąć, zanim targana wiatrem tafla wody miała przesunąć go poza zasięg jej krótkich rączek. Wychyliła się maksymalnie, jak tylko mogła. Już prawie, jeszcze tylko troszeczkę...

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co widzi.

– Jezus, Maria! – krzyknęła i odskoczyła do tyłu, lądując twardo pośladkami na deskach. Tomek, który nie wchodził z nią na pomost, tylko czekał na brzegu i bawił się telefonem, spojrzał na nią.

– Co jest?

– Sam zobacz!

Podszedł pospiesznie i spojrzał.

– No i co?

– No w wodzie! Nie widzisz?

– Czego? Aaa, gumę zgubiłaś. I to ma być taki powód do podniety?

– Nie o gumie mówię! Naprawdę nie widzisz? – Wstała i stanęła obok niego.

Promienie słoneczne odbijały się od płaskiej teraz jak stół bilardowy tafli. Jej zgubione opakowanie od gumy do żucia było już dobre kilka metrów od pomostu i dosięgnięcie go bez zamoczenia się graniczyło z cudem.

Nie było to jednak w tej chwili ważne. W przeciwieństwie do tego, co powinno być widoczne w pewnym miejscu, tuż pod powierzchnią wody.

Sęk w tym, że... nie było widać nic. Wydawało jej się? Gra słońca, falującej tafli i odbijających się od lustra wody fragmentów krajobrazu? Być może... W sumie nie było to aż tak wyraźne, by ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że w istocie było tym, o czym myślała...

– To o co?

– O nic...

– O nic?

– O nic! – odwróciła się i zeszła z pomostu, zostawiając na nim ogłupiałego Tomka.

– Wiele hałasu o nic?

– I tak mi pewnie nie uwierzysz – rzuciła i pospiesznym krokiem ruszyła pod górkę.

– Skoro tak twierdzisz... – mruknął i powlókł się za nią. Nie zamierzał rozwijać tematu. Po co wyważać otwarte drzwi? Skoro nie chce gadać, to

nie.

Popadasz już chyba w paranoję, Górską...

Najpierw ten las przy Botkunach, teraz to... Za bardzo dajesz sobą manipulować swojej wyobraźni. Jesteś jej zakładniczką. Patrzysz na coś, a twój umysł dopowiada resztę. To nie jest prawdziwe... Siła sugestii... Siła sugestii to jest potęga. Kto, jak nie ty, powinien o tym znakomicie wiedzieć? Jedna z najsilniejszych podstaw psychologii ludzkiej i bodźców wpływających na zachowanie człowieka. Potęga tak wielka, że potrafi zamienić na przykład drzewa w ludzi, a falowanie wody na jeziorze w...

Nieważne. Po prostu weź się w garść.

Tomek pozostał trochę w tyle, więc zanim dotarł, czekała już na niego przy samochodzie, obserwując ludzi pracujących na pobliskim polu.

– No, jeszcze tylko trzy miejsca i laba – powiedział Wawrentowicz, gdy zawrócił auto. Nie odpowiedziała.

Spojrzała w boczne lustro. Być może jej się zdawało, ale ci ludzie z pola... Wyglądało to tak, jakby właśnie w tym momencie wszyscy nagle przerwali swoją pracę i... w komplecie wodzili wzrokiem za ich audi. Obojętne twarze – równie nieruchome jak ich sylwetki – przypomniały jej babcię Natalii z wczoraj, z podwórka pod domem Prusów...

Zadrzała.

Idiotyzm! Dajże wreszcie spokój!

Było już jednak za późno.

– Kurwa... – szepnęła. Oparła prawą rękę o drzwi i zakryła nią oczy. Wyboje na drodze skutecznie maskowały jej drobne szcęknięcie zębów. Bynajmniej nie z zimna...

„Czego się tak boisz?!” – zapytała siebie kolejny już raz w ciągu ostatnich dwóch dni. „Nic się nie dzieje, zwiedzasz sobie Suwalszczyznę, jesteś na łonie natury ze swoim chłopakiem. Czasem wyda ci się, że coś widzisz, ale w gruncie rzeczy nie wydarzyło się w związku z tym nic groźnego. NIC GROŹNEGO! Czym tu się martwić? Czego tu się bać?”

Gdy wyjechali z Szurpił, tak jak wczoraj rozciągnęła się przed nimi wielka pusta równina z licznymi produkującymi energię elektryczną wiatrakami na horyzoncie.

Tomek rozejrzał się wokół.

– To nie jest przypadkiem to głazowisko? – Wskazał za szybę, o którą z wciąż zamkniętymi oczami oparta była Karolina. Wyrwana z letargu

spojrzała w tamtą stronę. Rzeczywiście, mógł mieć rację, gdyż na równinie porozrzucone były tu i ówdzie pojedyncze skalne bryły. Przypomniała sobie, że coś o tym czytała.

– To pewnie głązy narzutowe. Pozostałości po lodowcu, który je przeniósł.

– Pani Górską, muszę powiedzieć, że pani erudycja i odczytanie są wręcz... niesamowicie sexy!

– Przestań! – powiedziała trochę poważniej i ostrzej, niż zamierzała. W rzeczywistości była mu jednak wdzięczna. Po lęku znowu nie było śladu.

Dojechali do skrzyżowania, gdzie drogowskazy kierowały do miejscowości Hańcza, niedaleko której znajdowała się też Przełomka. Karolina pomyślała o Włochach. Ciekawe, jak sobie radzą, czy coś zwiedzają, czy doświadczyli już tradycyjnej polskiej gościnności, czy zgodnie ze swoim środowiskowym życzeniem skosztowali naszego narodowego czterdziestoprocentowego trunku, czy też w związku ze świętami został on na razie umieszczony w święconce i czeka na odpowiedni moment...

„Czterdziestoprocentowa święconka”.

Parsknęła śmiechem. Tomek spojrzawszy na nią ze zdziwieniem.

– Nic, nic. Śmieję się do swoich myśli.

Po zaliczeniu efektownie wyglądającego, usianego jakby kafelkami licznymi, płaskimi kamieniami głazowiska Bachanowo oraz najgłębszego w Polsce jeziora Hańcza doszli do wniosku, że najwyższy czas coś zjeść. Wybiła siedemnasta, więc i tak było już dawno po porze obiadowej. Los im sprzyjał, gdyż po drobnym błędzeniu natrafili w końcu na jakiś gościniec. Okazało się, że można tam było zamówić sobie zestaw obiadowy, z czego skrzętnie skorzystali. Tomek dodatkowo poprosił też o półlitrowe piwo.

– No i jak tam wycieczka? – zapytała Karolina.

– Fatalna! Żałuję, że nie pojechałem z rodziną do Opola – zażartował.

– A tak naprawdę? – dodała śmiertelnie poważnym tonem.

– Spoko. Wolę takie łażenie niż nudne zwiedzanie zabytków. Przecież wiesz, że mając do wyboru przykładowo zwiedzanie Rzymu albo wycieczkę w góry („albo leżenie do góry wentylem bez wyraźnego celu”), zawsze wybiorę góry („leżenie do góry wentylem”).

– Czyli jutro w Suwałkach będziesz się męczył?

– Miejmy nadzieję, że nie.

Gospodyni przyniosła im po porządnym talerzu zupy pomidorowej



z ryżem. Spodziewając się równie wielkiego drugiego dania, Tomek wstrzyknął sobie adekwatną do tego dawkę insuliny. Zupa smakowała wybornie.

– A ty? Jak się czujesz?

– Chyba w porządku...

– Chyba?

– Nie. W porządku – odpowiedziała stanowczo, po części samą siebie oszukując. Jedli przez chwilę w milczeniu.

– Pamiętasz, kiedy ostatni raz jedliśmy coś razem? – zapytała nagle.

– No... choćby parę godzin temu kanapki w samochodzie – odparł zaczepnie, choć doskonale wiedział, o co jej chodzi.

– Wiesz, o czym mówię.

– Tak, wiem.

– A więc kiedy?

– Nie pamiętam, szczerze mówiąc.

– A ja pamiętam. Będzie tego z jakiś rok.

– Serio?

– Co się zepsuło między nami, Tomuś? – przywaliła nieoczekiwanie z grubej rury. Czuł, że do tego właśnie zmierzała, ale łudził się, iż jednak się myli. Ech... Postanowił na razie przyjąć taktykę bierności.

– Nic, co miało się zepsuć?

– No... Jest inaczej niż dawniej.

– Co to znaczy „dawniej”?

– Naprawdę nie wiesz czy kleisz głupa? Tak jak na samym początku! Nie widzisz różnicy?

– O co ci chodzi?

– Chcę pogadać. O nas. Teraz jest dobra okazja. Proszę cię, mów do mnie! Powiedz mi, co ci się nie podoba, co byś chciał, by się poprawiło. Współpracujmy.

Chłopak wiedział już, że jego misterny plan trafił szlag. Nie miał jednak najmniejszej ochoty robić za jednego z jej pierwszych pacjentów i zrobił kolejny unik.

– To nie jest kwestia zepsucia się czegoś. To normalne. Po takim czasie, jaki przeżyliśmy razem, nigdy nie jest jak dawniej. Co wcale nie znaczy, że musi być gorzej. Jest po prostu... inaczej.

– Nigdy? Skąd możesz wiedzieć? Czy to reguła? Czy to nie kwestia

chęci?

– Czyli, jak rozumiem, sugerujesz, że za mało się staram?

Zamilkła. Kusiło ją, by przytaknąć, ale jakoś nigdy nie potrafiła tak walić prosto z mostu. W tym samym czasie na stół zostały przyniesione dwa okazałe schabowe z frytkami i surówką.

– Sugeruję, że nie jest jak kiedyś i chcę tylko rozgryźć dlaczego.

– Powiedz mi w takim razie, na co liczyłaś? – zmienił nagle ton głosu na bardziej pretensjonalny. – Naprawdę myślałaś, że zawsze będzie tak jak na początku? Taka duża dziewczynka jak ty? Jeżeli tak, to byłaś naiwna. Ja na przykład nie wierzę, że takie uczucie może trwać w nieskończoność. Zawsze na początku jest to charakterystyczne miłosne uniesienie, które z czasem zmienia się w przyjaźń, wzajemne zżycie i przywiązanie. Według ciebie tego u nas nie ma?

– Sama nie wiem...

– „Sama nie wiesz”?! – Naprawdę dotknęło go to, co usłyszał. – W tej sytuacji ja, po matematycznemu, postaram się naprowadzić cię nie wprost, tylko naokoło na właściwą tezę. Czy kiedykolwiek w naszym związku zdarzyła się sytuacja, że nie mogłaś na mnie liczyć?

„Ba, ile razy!”

– Nie.

– Dobra odpowiedź. Czy ufamy sobie i zawsze możemy ze sobą o wszystkim porozmawiać?

– Chyba tak...

– Chyba?

– Ale mnie łapiesz za słówka! Nie, nie chyba! Tak!

Irytacja Tomka narastała. Nie do końca już nad tym panował. Nie spodziewał się z jej strony takich słów.

– Wiesz co? Może masz rację? Weźmy chociażby taką drobnostkę jak to nieszczęsne jezioro pod Górą Zamkową. Ktoś tam nie był wobec drugiej osoby do końca szczery i, podpowiem ci, na pewno nie byłem to ja.

Karolina spojrzała na jego w połowie opróżniony już kufel po piwie. Czowała, że najgorsze dopiero nadchodzi. Brnęła w to jednak dalej. Muszą sobie teraz wszystko wyjaśnić. Wóz albo przewóz.

– Jak ty nic nie rozumiesz... Za bardzo wszystko uogólniasz...

– Sprawdź mnie! Nawet nie spróbowałaś.

Poddała się.

– Dobra! Więc wydawało mi się, że w wodzie widziałam ludzką twarz!  
Zadowolony?

– A widzisz? I po wszystkim. To tak bolało?

– Nie – odburknęła.

– Mam nawet ciekawą hipotezę, co to mogło być. Otóż z jednego z podstawowych praw fizyki wynika, że kąt padania równa się kątowi odbicia i tyczy się to wszystkiego – światła również. Więc jeżeli wychyliłaś głowę za pomost i spojrzałaś pod odpowiednim kątem...

– Daruj sobie...

– Ja tylko staram się pomóc – powiedział najbardziej nieszczerym tonem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

– Właśnie dlatego nie chciałam ci powiedzieć. Właśnie dlatego...

– Ty... Nie... Mam lepszy pomysł! Może ukazał ci się tam... Jezus?!

Tego było już za wiele. Spuściła wzrok.

– Nie mam już ochoty na kontynuowanie tej rozmowy.

– Ja za to mam – odpowiedział zgodnie z prawdą i opróżnił kufel do końca. Wiedział, że będzie tego nazajutrz żałował, ale nie dbał już o to. Parł przed siebie. W końcu sama mówiła, by był wobec niej szczerzy.

No to będzie. Zgodnie z życzeniem szanownej damy.

– Wracając do tematu, wiesz, jaki jest wasz – kobiet – problem? Że kompletnie nie docenicie tego, co macie. Chcecie przyjść na gotowe, tak jakby wam się to należało z jakiegoś urzędu. Nastawione jesteście na czerpanie z życia, a same dajecie coś od siebie od wielkiego dzwonu...

– Jak ty w ogóle możesz tak mówić?! – przerwała mu, nie mogąc już dłużej znieść tej niesprawiedliwości i stronniczości, jakimi wypełnione było każde jego słowo. Zanim Tomek odpowiedział, gospodyni zabrała ich puste talerze i zapytała, czy chcą coś jeszcze. Wawrentowicz zamówił kolejne piwo – tym razem poprosił w puszcze.

– Nigdy nie chciałem tego mówić, ale sama prosiłaś, bym wyrzucił z siebie, co mnie dręczy, więc chyba nadszedł odpowiedni moment. Powiedz mi szczerze, czy gdyby nie to, że uczyniłem pierwszy krok wtedy, na tej imprezie u Pawła w akademiku, a potem pisałem do ciebie na fejsie, przypomnijmy, zawsze w pozycji tego, który rozpoczynał rozmowę, zapraszałem cię na spacer czy do kina i tym podobne, czy bylibyśmy teraz razem?

Zatkało ją kompletnie.

– Zapowietrzyłaś się, widzę. Więc ci powiem w takim razie – nie bylibyśmy. Dlaczego? Nie wiem, powiem szczerze. Nie rozumiem tego porządku świata. Jedyнным logicznym wytłumaczeniem jest tu dla mnie wasza babska duma. Nie czynicie pierwszych kroków. Nie i już. Nie, bo – i tu wasz ulubiony, niepodważalny argument – nie. Mężczyźni to podludzie, którzy mają być dla was. To facet ma zagadać. To facet ma się starać o względy, to facet ma kupować kwiaty, to facet ma prosić o rękę...

– Mam cię poprosić o rękę?

Tym razem to Tomek lekko stracił rezon. Szybko się jednak zreflektował.

– Mówię tu ogólnie o pewnych chorych zasadach, które nie mają żadnego uzasadnienia i kobietom przewróciły we łbach. Najogólniej mówiąc: w dupkach się wam poprzewracało.

Karolina nienawidziła takich rozmów. Wiedziała, że Tomek nie ma racji, ale... nie umiała sformułować żadnych argumentów, by mu się przeciwstawić. Umiał dyskutować i celnie wypunktowywać swoje poglądy. Byłby dobrym politykiem.

– To chyba tobie jakaś cegła spadła na głowę, że wygadujesz takie bzdury.

– Bzdury?

Ucichł, gdy kobieta przyniosła mu piwo.

– Bzdury? – powtórzył zawzięcie. – Zauważ, że ja w przeciwieństwie do ciebie wszystkie swoje twierdzenia popieram solidnymi argumentami. To jest jak matematyka. Tego się nie da obalić!

– Świat nie jest tak prosty, by zapisać go w całości matematyką.

– No ale lepszego sposobu, jak na razie, nie znaleziono. – Wyprostował się na krześle i otworzył puszkę. – Zresztą ty jesteś, jak widać, żywym dowodem na słuszność moich tez. Kompletnie nie dostrzegasz, co zrobiłem, byśmy byli razem. Że ja już swoje na swój sposób odbębniłem. Coś się zepsuło? – przerwał na moment. – A może podświadomie chcę ci uświadomić, jakie to jest uczucie...

– Co ty chrzanisz?

– Przeczytałem kiedyś w necie taką fajną, mocną sentencję: „Jeżeli facet jest gotowy na zrobienie wszystkiego dla kobiety, to znaczy, że ją kocha. Jeżeli zaś kobieta jest gotowa na zrobienie wszystkiego dla mężczyzny, to znaczy... że jest jego matką”.

– Przecież jestem gotowa na zrobienie wszystkiego dla ciebie, synku! – rzuciła prowokacyjnie, ale też – według niej – zgodnie z prawdą.

– Tak?

– Tak.

– Jestem w stanie wskazać ci co najmniej jedną rzecz, która według ciebie nie zawiera się w definicji „wszystkiego”.

– Na przykład?

Spojrzał na nią z politowaniem. Po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

– Wiesz co...?

– Co, co?! A nie jest tak? Fakt jest taki, że nie bierzesz pod uwagę pewnych moich potrzeb, a skarżysz mi się tu właśnie teraz na to samo z mojej strony. Rozumiałbym skargi, gdybyś sama była taka nieskazitelna. A tak mamy tutaj idealny przykład prawa Kalego. Hipokryzję w najczystszej postaci. Tak to właśnie wygląda. Trochę egoistycznie...

Karolina była już naprawdę wściekła. Zresztą – i *vice versa*, choć może nie było tego jeszcze po nim do końca widać. Oczyszczenie się Tomka z całej wypełniającej go żółci dopełniało się na jej oczach.

– Więc twierdzisz, że tylko z ciebie wysysam jak pijawka i nie daję nic od siebie?!

– Ty to powiedziałaś. Ale muszę przyznać, że porównanie śliczne i dosyć trafne – powiedział tym swoim niby spokojnym tonem. I to właśnie ten sposób jego mówienia jeszcze bardziej ją zdenerwował.

– A to, jak wiele razy ratowałam ci życie, bo nie potrafisz wziąć za siebie odpowiedzialności, to co? Drobnostka?

To podziałało jak zapalnik z kolei na niego. Jak przecięcie czerwonego kabelka w bombie. Jak płachta na byka. Wychylił się do niej nad stołem. Odruchowo cofnęła się na krześle, ale i tak doskonale czuła jego śmierzący piwem oddech w połączeniu z wonią charakterystycznego dla cukrzyków acetonu.

– Łaskę mi robisz? Nie mylić z laską – podniósł głos. Na szczęście w lokalu poza nimi nie było nikogo innego. – O, jakże ci jestem wdzięczny! Rozumiem jednak, że to ci nie wystarczy i liczysz jeszcze na jakieś dodatkowe benefity z tego tytułu?!

Wstała.

– Nie dogadamy się dzisiaj, coś czuję.

Również się podniósł i wziął niedokończone piwo w rękę.

– Zanim dramatycznie trzaśniesz drzwiami, muszę ci się jeszcze przyznać, że jestem splukany, a wątpię, by przyjmowali tutaj karty płatnicze – powiedział złośliwym tonem i wyszedł na zewnątrz.

Karolina trzęsa się ze złości. Książę z bajki, kurwa! Pieprzony niewdzięcznik. I jeszcze to jej śmie wypominać, że nie docenia tego, co ma...

Starając się zachowywać jak najbardziej normalnie, zapłaciła za wszystko, a następnie, spodziewając się właśnie tego, co już niestety (kurwa) nastąpiło, wybiegła szybko na parking.

– Wysiadaj!

Nawet na nią nie spojrzął.

– Wysiadaj! Pojebało cię?

Wciąż nie zadał sobie trudu, by uraczyć ją choćby spojrzeniem. Ostentacyjnie uruchomił samochód, podniósł puszkę do ust i sączył piwo z tak głośnym siorbaniem, że słyszała je nawet na zewnątrz.

– Palant! – Walnęła lekko otwartą dłonią w szybę. W mig otworzył drzwi i syknął:

– Uważaj mała, bo grabisz sobie.

– Będziesz prowadzić po piwie? Kompletnie ci odbiło?

– Tak, bo na tym zadupiu jest tak duży ruch, że wysłano wszystkich policjantów z województwa, żeby stali na straży bezpieczeństwa. Masz rację.

Choć wiedziała, że to na nic, spróbowała jeszcze dorwać się do siedzenia kierowcy siłą. Ze swoją siłą nie miała jednak szans, by ruszyć go choćby o centymetr.

– Wsiadasz czy truchtasz z powrotem do Białodębów? – zapytał bez mrugnięcia okiem. Przez jeden krótki moment naprawdę miała przeogromną ochotę demonstracyjnie pomaszerować bez celu przed siebie i zostawić go na tym pieprzonym parkingu raz na zawsze. Przez jeden krótki moment chciała, by ten kpiący uśmieszek zszedł z jego gęby, by się wreszcie zdenerwował. Przez jeden krótki moment chciała zadać mu ból. Fizyczny i psychiczny. Po prostu chciała, by cierpiał...

– Żeby cię złapali i przymknęli, debilu. O niczym innym tak teraz nie marzę – powiedziała i zajęła swoje siedzenie, a on całą siłą woli powstrzymał się, by jej nie uderzyć. Naprawdę niewiele brakowało... Pinda niech sobie nie myśli, że jak jest kobietą, to wszystko jej wolno i każde

słowo ujdzie jej na sucho! Niech tylko jeszcze raz się tak odezwie...

Odpalił samochód i w poszukiwaniu drogi w kierunku Smolnik wyjechał wzdłuż jeziora Hańcza. Powoli zmierzchało, zegarek na jego ręce zgodnie z tym samochodowym pokazywał już trochę po osiemnastej, a Karolina miała swoją mszę na dziewiętnastą. Wprawdzie nie miał już na dalsze zwiedzanie w jej towarzystwie najmniejszej ochoty, ale przemożna chęć zrobienia jej na złość była już czymś zupełnie innym. Wiedział, że im dłuższa droga, tym większa szansa, że jego dziewczyna spóźni się na nabożeństwo. Piękna perspektywa! W sytuacji, gdy to on decydował, gdzie skieruje koła audi, fakt, że nie znał mapy na pamięć, był tylko jeszcze bardziej sprzyjający. Nie miał zamiaru korzystać z jej pomocy. To Karolinie powinno zależeć na terminowym dotarciu do Białodębów. On miał na to wywalone.

W pewnym momencie zwirowa droga po raz kolejny wchodziła do gęstego lasu. Po raz kolejny też tuż przed wjazdem do niego jakiś idiota ustawił tabliczkę o zakazie poruszania się po nim samochodem. Tomek miał to oczywiście w głębokim poważaniu i ani trochę nie drgnęła mu stopa, gdy minął znak. Zwolnił jednak trochę na wybojach. Po pierwsze – im wolniej, tym lepiej, po drugie – zemsta zemstą, ale amortyzatory jego autka to już była jego sprawa.

Karolina wiedziała, co kombinuje, ale nie zamierzała się przed nim płaścić. Miała swój honor. Jak potrzebuje, to niech sobie kręci. Niech się nawet zesra. Ona nie da się wciągnąć w te jego gierki. Najwyżej spóźni się do kościoła i tyle. Trudno. Choćby miała być tam tylko na ostatnią minutę, to i tak do niego pojedzie. Choćby nawet musiała iść te kilka kilometrów piechotą – pójdzie! Choćby nawet miała pluć krwią i się tam czołgać – będzie pluła i się czołgała. Na nic ten jego konspiracyjny plan. Bóg jej wybaczy. Mało tego! Na bank wynagrodzi jej jeszcze kiedyś przebywanie z tym człowiekiem. Z człowiekiem, z którym nie wytrzymałby niejeden święty...

Siedziała ze złożonymi rękami i patrzyła przed siebie. W pewnym momencie teren zaczął się ostro obniżać i zjeżdżali ze stosunkowo sporą prędkością z górki. W miarę jak zbliżali się do dna tego swoistego koryta w kształcie rozwartej litery V, dostrzegła, że liczne, długie gałęzie rosnących po obu stronach drogi drzew tworzyły w nim mocne, potęgowane jeszcze przez postępujący zmierzch zacienienie. Wyglądało to

dosłownie na wyraźną granicę pomiędzy ciemnością a szarością wieczoru.

Utworzony przez liście tunel miał w sobie coś niepokojącego i złowieszczego... Nie potrafiła tego wytłumaczyć.

Uświadomiła sobie nagle, że kurczowo zaciska dłonie na kolanach, a ciężar w jej żołądku stopniowo narasta... Nie chciała, by tamtędy przejeżdżali. Bez wyraźnego powodu – po prostu nie i już. Nie, nie i jeszcze raz nie... Lęk, który po raz kolejny znienacka ją wypełnił, niczym zimna ulewa ostudził jej gorącą, dotychczasową wściekłość...

Jakby tego było mało, zdawało jej się także, że im bardziej się do tego cienia zbliżali, tym bardziej stawał się on mroczny. Jeszcze ciemniejszy. Jeszcze głębiej czarny... Czuła kołatanie serca.

Czuła też, że za chwilę wydarzy się coś złego...

Aby nie ryzykować zarycia przodem samochodu o dno żwirowej rynny, Tomek nieco zwolnił. Wjechał prosto w ciemność i...

I już po chwili wyjechał z jej drugiej strony. Karolina wypuściła powietrze, które przez ostatnie kilka sekund ciężko zalegało jej w płucach.

Nic się nie wydarzyło...

No bo co też niby miałyby się wydarzyć? No co? To tylko cień... Z definicji – miejsce, gdzie nie dociera światło. Norma. Najzwyklejsza rzecz na świecie.

Nie zebrała się jednak na odwagę, by się odwrócić i spojrzeć na liściasty tunel za ich plecami jeszcze raz...

– Kurwa mać! – krzyknął Tomek i zahamował ostro. Jakimś cudem zdołał się zatrzymać i w niego nie uderzyć. Dosłownie centymetry. Człowiek, który niespodziewanie wyszedł im z leśnej gęstwiny tuż przed maskę, wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Jebnięty jesteś, koleś?! O mało cię nie zabiłem! – Otworzył drzwi i wyszedł pośpiesznie z auta. Był tak nakręcony po kłótni z Karoliną, że naprawdę było niewykluczone, iż jego hamowanie jedynie odroczyło nieszczęśnikowi wyrok zaledwie na kilka sekund.

Dopiero gdy się mu przyjrzał, zbaraniał.

– Dobry wieczór państwu. Przejażdżka po lesie?

– Dobry wieczór... – Tomek wysilił się na jak najbardziej uprzejmy ton, ale czuł, że i tak były to już próżne starania. Zupa się wylała. A zwłaszcza po tak „serdecznym” powitaniu.

Karolina miała ogromną ochotę na pełen triumfu szyderczy śmiech



(oczywiście w duchu), ale jednocześnie paradoksalnie czuła, że byłoby to lekko wymuszone. Nie było jej go jednak żal. Co to, to nie! Świetnie się złożyło!

Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze.

Leśniczy wyciągnął identyfikator.

– Leszek Zdancewicz. Nadleśnictwo Suwałki. Wie pan, że po tej drodze zabroniona jest jazda samochodem?

Tomek rozważał krótko, co mu odpowiedzieć, choć i tak nie miało to teraz w zasadzie większego znaczenia. Mężczyzna odpowiedział bowiem za niego.

– Oczywiście, że pan wie, bo widział pan przy wjeździe taki ładny znaczek z czerwonym kółeczkiem z białym poziomym prostokątem w środku.

– Ta – mruknął chłopak w odpowiedzi.

– Dokumenty poproszę.

– Proszę pozwolić nam wyjechać...

Karolina podniosła głowę. Oj, będzie jeszcze ciekawie.

– Słucham? – zapytał leśnik uprzejmym, ale też i lekko kpiącym tonem.

– Proszę pozwolić nam wyjechać bez mandatu.

– Żartuje pan?

– Nie, mówię stuprocentowo poważnie. Bardzo żałuję, że to zrobiłem. Wyjedziemy stąd czym prędzej i obiecuję, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Możemy się tak umówić?

– Niestety, ale kara, aby była karą, musi mieć też charakter wychowawczy. Jeżeli nie zaboli, to też pewnych rzeczy się pan nie nauczy. Przykro mi.

Tomek zacisnął zęby. Wewnątrz gotował się wręcz z wściekłości. Kutas będzie mu jeszcze prawil kazania!

– Ale o co panu chodzi? – wycedził.

– A o co panu chodzi? Prosiłem o dokumenty – odpowiedział spokojnie tamten.

– Niech pan podejdzie do tego po ludzku! Jesteśmy studentami...

– A ja, niestety, jestem w pracy. I tak ma pan szczęście, że pana lubię i nie chce mi się sprawdzać tej puszki tyskiego, która leży pomiędzy siedzeniami. Coś mi mówi, że nie jest tam dla ozdoby, a jej zawartość stoi

tu przede mną, ale w innym opakowaniu. Gdybym się przyczepił, to mógłbym nawet teraz wezwać policję i proszę mi wierzyć, że byłoby wtedy o wiele gorzej. Dostanę w końcu te dokumenty czy nie?

– Czemu jest pan takim skurwysynem?

Karolina westchnęła cicho.

O, to był już ten moment. Po niezbyt uprzejmych prośbach przyszedł czas na wyzwiska. Tomek był przewidywalny do bólu. Nie uczył się też na błędach. Wielokrotnie z uporem maniaka przerabiał już tę metodę interakcji międzyludzkiej z kanarami w warszawskich tramwajach. Dziwnym jednak trafem jej skutek był za każdym razem kropka w kropkę taki sam. Delikatnie mówiąc – nie zdawała egzaminu.

A on dalej nie mógł się tego nauczyć... Matematyk... Mistrz w kojarzeniu faktów i wyciąganiu wniosków. Pff!

Po wspomnianym westchnięciu wstrzymała z kolei oddech, bo też bardzo była ciekawa reakcji leśniczego. Ten okazał się mieć jednak nerwy ze stali, bo nawet nie drgnęła mu powieka, gdy powiedział:

– Proszę pana, ale ja pana nie wyzywam. Proszę tylko o dokumenty.

Tomek dał za wygraną. Sięgnął do portfela i niemal rzucił mu dowód osobisty w ręce.

Skurwiel jebany!

Był identycznego wzrostu co on, ale wagowo pewnie ze dwa razy lżejszy. Jego ostro zarysowane na chudym ciele kosteczki niemal przebijały się przez ten jego śmieszny, zielony mundur. Jednostrzałowiec, który go jeszcze poucza...

Piękniś pieprzony...

Moralista pierdolony...

Czterdziestoletni dziad, który akurat o tej porze musiał wyjść ze swojej drewnianej chaty na zwiady. Bohater... Dzień uratowany, a wszyscy są już bezpieczni! Państwo polskie jest z ciebie dumne, żołnierzu!

I ta jego wkurzająca hiszpańska bródka...

– Dziękuję bardzo, panie... – Leśniczy jeszcze raz spojrzął na dokument. – ...Tomaszu.

Oddał mu dowód osobisty i wręczył mandat.

– Ma pan na zapłacenie czternaście dni. Po tym terminie kara grzywny wzrasta o pięćdziesiąt złotych.

Wawrentowicz wyrwał mu świstek z rąk i rzucił go między siedzenia.

– Dobrej nocy państwu życzę – zasalutował Karolinie leśnik. Obydwoje odpowiedzieli mu na różne sposoby:

– Dobranoc.

– Spierdalaj, frajerze!

– Również pana pozdrawiam, panie Tomaszu.

Chłopak odpalił samochód i wcisnął pedał gazu do dechy, aby czym prędzej odjechać i przy okazji być może ubrudzić mężczyznę pyłem. Karolina obejrzała się jeszcze, ale po wykonaniu obowiązku służbowego leśniczy chyba ruszył w sobie tylko znanym kierunku przez las, gdyż na drodze już go nie było. A może po prostu od razu się ukrył, by znowu przyłapać kogoś na gorącym uczynku? W końcu każdy ma swoje sposoby na produktywność pracy.

Wtem jej wzrok niechcący skupił się na wciąż widocznym w oddali cieniu... Z ciarkami na plecach odwróciła się z powrotem.

Tomek jechał trochę za szybko. Jego wściekłość i ta odrobina alkoholu we krwi robiły swoje. Karolina w końcu nie wytrzymała.

– Zwolnij!

– Błagam cię, chociaż ty zamilknij na moment... – wycedził.

– Zamilknę, jak zwolnisz!

Opanował trochę nerwy, by znowu nie wybuchnąć, ale wciąż ją ignorował.

Wyjechawszy z lasu, wtoczyli się z powrotem na asfaltową drogę i już po chwili mieli za sobą wieś Dzierwany. Gdy przejeżdżali przez Smolniki i mijali po prawej stronie słynny punkt widokowy o nazwie „U Pana Tadeusza”, Tomkowi nawet przez moment nie zadrżała noga. Miał już tego dnia wybitnie dosyć i jedyne, czego teraz pragnął, to by móc się po prostu położyć. Położyć się na łóżku i nic nie robić.

Nie wspominając już, jak chętnie by się jeszcze więcej napił...

Karolina także zauważyła tabliczkę informującą o punkcie widokowym, ale nie odezwała się ani słowem. Jakikolwiek piękny krajobraz by to był, i tak całe wrażenie estetyczne zostałyby jej teraz skutecznie obrzydzone przez towarzystwo tego osobnika obok. Albo przyjadą tutaj innego dnia (wszak nie do końca mieli jeszcze zaplanowaną Wielką Sobotę), albo, jak im się tak dalej będzie układać porozumienie, to nie przyjadą w ogóle. Trudno. Zresztą teraz wszystko związane z ich wyjazdem stało pod dużym znakiem zapytania.

Wreszcie wyjechali z powrotem na znaną im trasę z Rutki Tartak do Suwałk i po chwili znowu mieli po prawej stronie widok na Górę Cisową, która królowała w promieniach zachodzącego słońca nad wszystkimi pagórkami wokół. Po przejechaniu przez Jeleniewo i dotarciu do Prudzišk Tomek skręcił w pewnym momencie w polną drogę w lewo. Głosy w jego głowie (już pal licho, czy wyimaginowane, czy nie) nie mogły w końcu się mylić. Nie zastanawiał się dużo. Choć ścieżka miała sporo rozwidleń, zawsze wybierał ten skręt, który jak mniemał, miał przybliżyć go do powiększającej się z każdą minutą ściany puszczy, w której mieściły się Białodęby.

### ZAKAZ WJAZDU...

Pewnie nawet do niemieckich bunkrów było się łatwiej dostać niż do tych pieprzonych lasów! Ciekawe, czy pan Leszek chujek Zdancewicz zdążył już dojechać? By dalej dzielnie stać na straży biednych drzewek i zwierzątek? Nawet jeżeli miałyby okazać się to prawdą, Tomek przysiągł sobie, że jeżeli ktokolwiek – on czy jakikolwiek inny ubrany w sraczkowatą zieleń oszołom – znowu spróbuje go dziś zatrzymać, będzie bardzo prawdopodobne, że ostatecznie tej czynności nie przeżyje. Nie dbając o konsekwencje, spokojnie (o ile można było mówić o spokoju w jego wciąż przepełnionej wściekłością głowie) minął tabliczkę.

„Ależ bym się teraz najebał!” – pomyślał i sięgnął po resztkę piwa. Wyłopał je jednym haustem, po czym otworzył okno i cisnął przez nie zawzięcie puszkę, która wylądowała gdzieś daleko między drzewami. Karolina nie mogła już na to patrzeć i schowała twarz w dłoniach. Miała go na dziś serdecznie dość. Dość jego i wszystkiego, co z nim związane. Widoku, zapachu, wydawanych przez niego dźwięków oraz samej jego fizycznej bliskości. Czasem zachowywał się tak dziecinnie, że widząc to, po prostu chciało jej się wyc.

Zemsta na krwiożerczym oprawcy z nadleśnictwa! Kolejny śmieć w parku narodowym! Brawo, obrońco wolności. Ale mu pokazałeś!

Jadący wciąż trochę za szybko Tomek w pewnym momencie zbyt ostro wszedł w zakręt i o mały włos nie wylądował w okazałym rowie. Ledwo zdążył wyhamować.

– Dość tego! Wsiadam. – Karolina rozpięła pasy.

– O co ci, kurwa, znowu chodzi?

– O jajco. Nie dość, że jedziesz jak wariat, to jeszcze jesteś pijany. Jak

chcesz się zabić, to beze mnie. – Trzasnęła drzwiami i poszła przed siebie.

Pijany po dwóch piwach...

Teraz to z kolei jemu chciało się wyć. Nie miał już siły na dyskusję z tą idiotką. Poddał się. Nie było sensu dalej walczyć. Głupi ludzie tak mają – nie wiedzą, że są głupi. Także rozpiął pasy i wysiadł.

– Ależ proszę bardzo! Kajam się nisko i pokornie przed panią mądralińską i jakże gorąco przepraszam! Skrucha wręcz odbiera mi mowę, a łzy zatykają gardło. Po tak krótkim, acz naprawdę skutecznym szantażu uczuciowym ustępuję zatem miejsca za kierownicą! Niech się dzieje twoja wola, pani! Czy twój szanowny tyłeczek przeżyje fakt, że moja plugawa dupa wygrzała mu uprzednio siedzenie?

Karolina miała ochotę go olać i iść dalej, ale jakaś nieskażona jeszcze gniewem część jej świadomości rozważyła, czy warto zostawiać samochód na pastwę tego głupka, tym bardziej że potrzebowała go zaraz, by dostać się do kościoła.

– Zejdź mi z drogi – warknęła w końcu i wsiadła za kierownicę. Zanim trzasnął drzwiami, zdążyła zamknąć je sama. Usiadł obok niej z lekko nieprzytomnym wzrokiem i już się nie odzywał. Miała wielką nadzieję, że nie były to pierwsze oznaki kolejnego niedocukrzenia. Nie dlatego, że jakoś szczególnie by się tym przejęła. Nie, to dlatego, że miałyby spory dylemat, co w tej sytuacji robić.

Ratować go czy mieć to gdzieś.

Po minucie wjechali do Białodębów od drugiej strony. Dom Prusów jak zawsze górował trochę nad resztą okolicy jako pierwszy po lewej. Karolina zatrzymała się na wysokości bramy, a jej chłopak bez słowa wysiadł, znowu użył do zamknięcia drzwi całej swojej siły i powlókł się w kierunku ogrodzonego podwórka. Przez krótki moment spoglądała jeszcze na jego oddalające się plecy.

Zrobił jej swoim wcześniejszym gadaniem ogromną przykrość, do tego po raz kolejny udowodnił, że jest porywczy, źle wychowany i uparty... Czy Jezus Chrystus, który nakazywał miłować bliźniego i mu wybaczać, choćby nie wiadomo jaki by on tam był, naprawdę wiedział, co robi...?

A tym bardziej, jeżeli się tego bliźniego (chyba) kochało...?

„Pomodlę się za ciebie, palancie” – pomyślała ze łzami w oczach, wrzuciła jedynekę i ruszyła prosto przez Białodęby w kierunku znanego im już wyjazdu na drogę krajową przy cmentarzysku Jaćwingów.

Nie dawało się ukryć – na razie podróż mająca na celu ocieplić ich wyraźnie chłodne relacje nie zdawała egzaminu.

\*

Będący w podłym nastroju Tomek szedł przez podwórko. Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z dwóch rzeczy: po pierwsze, że zapomniał wziąć od Karoliny klucz od pokoju; po drugie, że od dobrych kilkadziesiąt sekund jest obserwowany przez pewną ukrytą w półmroku domu blondwłosą piękność. Piękność, która właśnie w tym momencie podejmowała bardzo ważną dla ich dwojga decyzję...

## ROZDZIAŁ VI

Tomek zamachnął się i walnął pięścią z całej siły. Jako że działał w afekcie, do końca tego nie przemyślał i dopiero gdy na własnej skórze odczuł solidność zapewne własnoręcznie wykonanych przez mieszkańców Białodębów drzwi, pożałował tego.

– Kurrwa... – jęknął z wściekłością i skacząc w kółko po korytarzu na piętrze, wsadził sobie obolałą dłoń między uda.

Nie pierwszy raz mu się to zdarzało. Bywały takie dni, że już od samego rana wszystko szło mu jak po grudzie, a im bardziej był z tego powodu wściekły, tym dramatyczne wpadki tylko bardziej przybierały na częstotliwości i sile. To był chyba właśnie jeden z nich. Najpierw ta mała (jak jej tam było?), potem ten pajac i jego mandat, niedoszące wylądowanie w rowie, i kiedy wydawało się, że będzie mógł się wreszcie bezpiecznie rozwalić na łóżku i nic więcej go już dziś nie spotka, jako zwieńczenie cudownego, wymarzonego, rewelacyjnego dnia przyszło...

To. Plus ten cholerny ból dłoni...

Oczywiście ten mały wkurzający rudzielec miał rozładowany telefon, więc odpadało nawet skorzystanie ze stacjonarnego (No co ty!? A to ci niespodzianka!). Oznaczało to, że Tomek miał jeszcze co najmniej trzy (albo mniej, albo więcej – nie orientował się za bardzo, ile trwa ta śmieszna liturgia) godziny do jego powrotu. Nie mógł dla zabicia choć części tego czasu na przykład się wykąpać, bo ręczniki i przybory do mycia miał w torbie za drzwiami, które ledwo co tak boleśnie go doświadczyły. Coraz lepiej. Spacer po lesie? Lasu, wliczając w to bohaterских jego strażników, to miał już dziś po dziurki w nosie. Nie mógł nawet pójść piechotą do Prudzisk po piwo, bo był zupełnie splukany, a nie sądził, by znajdował się w tej wiosce jakikolwiek bankomat.

I jak tu nie strzelić sobie w łeb?

Bez wyraźnego celu postanowił zejść na dół. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że drzwi od pokoju pana Jerzego są otwarte, a jego łóżko puste. Można więc było chyba uznać, że wczorajsze słowa Natalii znalazły swe potwierdzenie w należytych działaniach i przetransportowanie jej dziadka w miejsce ostatniego spoczynku przebiegło zgodnie z planem. Przynajmniej to była dobra wiadomość w całym tym zalewie niespotykanego szczęścia, jaki spotykał go od godziny.

– Hej.

Z ciemności dobiegł go niespodziewanie słodki dziewczęcy głos. Drgnął i rozejrzał się ze zmrużonymi oczami. Po chwili Natalia wyłoniła się z któregoś pokoju. Stety albo niestety – choć nie był pewien, czego się spodziewał – była ubrana.

„Oczywiście, że ubrana! A jaka miałyby być? Tak się składa, że normalnie ludzie chodzą ubrani. To żadne odstępstwo od normy” – pomyślał i nagle to sobie przypomniał. Przypomniał sobie, jakie ona może (ważne w tym kontekście słowo) mieć zdolności... Jasne, w dalszym ciągu brzmiało to idiotycznie, ale Tomek już o to nie dbał. Swoje zrobiła też ta odrobina alkoholu, która dziwnie zwiększała teraz jego tolerancję na istnienie różnych tego typu dziwnych osobliwości. Postanowił więc od tej chwili za wszelką cenę skupić się na tym, by mieć umysł czysty jak niezapisana kartka. Pytanie i odpowiedź, bez zastanawiania się. Nic więcej nie przeczytasz! Ups...

– Co tam? – zapytał.

– To ja się pytam, co tam? Słyszałam jakiś trzask na górze.

– Aaa tooo... – Zawiesił się chwilę nad odpowiedzią.

**NIE MYŚL!**

– Zapomniałem z samochodu klucza do pokoju, a Karolina pojechała do miasta. Macie może zapasowy?

– Mamy. Zaraz przyniosę. – Zostawiła go na moment samego w postępującym mroku. Kolejna dobra wiadomość. A może by tak poprosić ją jeszcze o...

Uwaga! Wraca.

– Proszę. – Zamrugawszy, wręczyła mu ciężki metalowy przedmiot, idealną kopię tamtego klucza.

– Jak już mnie tak ratujesz, to może pożyczylabyś mi jeszcze ze dwie dyszki na piwo? Jestem kompletnie spłukany. Oddam jutro, jak tylko dorwę się do bankomatu.

– Mam lepszy pomysł. – Uśmiechnęła się i znowu opuściła korytarz. Po chwili wróciła z czteropakiem piwa prosto z lodówki.

– To chyba lepsze niż łażenie tych kilka kilometrów w obie strony?

– Ooo... Jesteś cudo... – urwał – ...wna – dokończył.

Miał to w dupie. Mówił, co myślał.

– Dziękuję – odpowiedziała ze szczerze brzmiącym zadowoleniem. Już miała wręczyć mu zgrzewkę, kiedy w ostatniej chwili cofnęła rękę.



– Dam ci to, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Będę mogła napić się z tobą.

– Jasne. Będzie miło – odparł.

Miał to w dupie.

Zerknął na czteropak. Żubr.

– A więc piwa w Białodębach już nie produkujecie? – zażartował. Natalia zachichotała, czym mile połechtala jego męską dumę.

– Nie, aż tak dalece rozwinięta nasza mała gospodarka nie jest – odpowiedziała wesoło.

– Gdzie idziemy pić?

– Do ciebie do pokoju?

– Wolałbym nie... – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Dobra, to zapraszam w takim razie do siebie.

Poszła przodem. Była ubrana w legginsy i czerwoną, zapinaną na zamek bluzkę z kapturem. Choć na schodach tradycyjnie nie było światła, nie musiał zbytnio wysilać wyobraźni, gdy jej wydatne pośladki znalazły się na wysokości jego twarzy. Wystarczyło, że przyjął, iż są najdoskonalsze ze wszystkich, jakie tylko do tej pory widział w życiu.

– Proszę uprzejmie. – Otworzyła przed nim drzwi do swojego pokoju i ręką zaprosiła do środka. Czuł się trochę głupio, że to kobieta ustępuje mu miejsca przy wejściu, ale czy też nie między innymi o to spierał się właśnie z Karoliną? Co w tym złego, że to dla odmiany dziewczyna robi chłopakowi jakiś miły gest?

Ej, miałeś nie myśleć.

Rozejrzał się po pokoju. Dosłownie nic nie wskazywało, że mieszka w nim tak piękna, młoda kobieta. Był właściwie lustrzanym odbiciem ich sypialni. Żadnych *sweet* fotek z przyjaciółkami na ścianach. Żadnych babskich akcesoriów, bez których to przedstawicielki płci pięknej nie mogą się zazwyczaj obejść. Żadnych ozdobnych elementów – czy to wiszących, czy to stojących. Ani śladu kosmetyków. Tylko łóżko, szafa, lustro, stół, komoda, surowa boazeria i okno. Także wychodzące na miejsce, w którym wczoraj w nocy ją zobaczył...

Dość!

– Przytulnie tu u was.

– Kurtuazja...

– Nie, serio. Jak na tak stary dom, to naprawdę dosyć zadbane i mówię to zupełnie szczerze.

„Zresztą i tak o tym wiesz, po co udawać?” – pomyślał, zanim ugryzł się w język.

– Dzięki. Staramy się... – odpowiedziała. Po raz pierwszy od rozpoczęcia ich znajomości wyglądała jak mała dziewczynka onieśmielona towarzystwem chłopaka, który bardzo jej się podoba. W jej przypadku było to aż nienaturalne.

Usiedli na łóżku. Natalia zapaliła stojącą przy nim na komodzie lampkę, rozdzieliła między nich piwo i już po chwili obydwójce raczyli się złotym napojem.

– A Karolinę gdzie wywiało?

– Pojechała do Suwałk, do kościoła na tę jakąś specjalną mszę z okazji Wielkiego Czwartku.

– Suwałk.

– Pardon?

– Mówi się „Suwałk”, nie „Suwałek”. Tak samo „Stańczyk”, a nie „Stańczyków”. Taka konwencja – wyjaśniła mu uprzejmie. – I „Prudziszek”, a nie „Prudziszków” czy „Prudziszek” – dodała po chwili, intensywnie się przy tym w niego wpatrując. Nie wytrzymał tego wzroku i spuścił oczy. Dopiero teraz zauważył z zaskoczeniem, że miała piwne tęczęwki. W połączeniu z jej naturalnymi blond włosami dawało to jeszcze bardziej niesamowity efekt. Nie wspominając już, że oczy te miały w sobie coś z...

Dzikości?

– Sorry, nie wiedziałem – wrócił do tematu.

– Nic nie szkodzi, to często spotykany błąd.

– Więc chociaż tego się tutaj nauczę.

Zapadła niezręczna cisza. Tomek miał nie lada problem: jak poszukać nowego tematu bez używania procesu myślenia. Czuł się jak idiota. Do tego trochę osaczony i jakby szpiegowany.

Na szczęście Natalia przyszła mu w sukurs.

– A ty nie pojechałeś na liturgię?

– Nie.

– Nie praktykujesz?

– Można tak powiedzieć.

– To znaczy?

– Nie nadajemy z Karoliną w tej kwestii na tych samych falach – odrzekł. – I w wielu innych, jak się okazuje, również...

– To znaczy? – powtórzyła.

A co tam! Miał w dupie, co sobie o nim pomyśli.

Najśmieszniejsze było jednak to, że jednocześnie nie miał.

– Po prostu nie wierzę w Boga. Jestem ateistą.

– Aż tak? Wydarzyło się coś szczególnego, czy...

– Nic się nie wydarzyło. Pewnego dnia po prostu to sobie przemyślałem i doszedłem do odpowiednich wniosków. Nie ma to dla mnie sensu. Wpajano mi te rzeczy od urodzenia, bo jestem z chrześcijańskiego domu, ale nie będę siebie oszukiwał. Jestem racjonalny. Potrzebuję zawsze rozsądnej odpowiedzi na pytanie „po co”, zanim czegokolwiek się podejmę. Według mnie ta ideologia jest błędna i wiele rzeczy mi się w niej nie zgadza.

– Choćby?

– Czytałaś *Boga urojonego* Dawkinsa?

– Nie.

– Polecam w takim razie. Rozwinął się strasznie, ale i tak napisał moim zdaniem za mało. W ogóle dla mnie takie opieranie swojego życia na czymś powyżej to oznaka słabości. Lenistwa. Wychodzę z założenia: umiesz liczyć, licz na siebie. Sam weź swoje sprawy w swoje ręce.

– To nie wynika z lenistwa. Ludzie potrzebują po prostu czegoś, na czym mogą oprzeć swój świat. Czegoś, co wskaże im drogę...

– Ha, i widzisz, jakie to jest głupie? Potrzebują... A dlaczego potrzebują? Dlaczego muszą mieć powód, by być dobrym? Bo tak im każe Bóg? Jeżeli to ich jedyny powód, to szczerze współczuję. Ja na przykład – nieskromnie powiem – uważam się za dobrego człowieka, pomimo tego, że nie wierzę. Mam swoje zasady i ich przestrzegam. Nie potrzebuję do tego kamiennych tabliczek ani przekonania, że coś rozliczy mnie z tego po śmierci.

– Czyli wydaje ci się, że to wszystko rozszyfrowałeś, detektywie? – zapytała uprzejmym tonem. Tak jak wczoraj, gdy ją spławiał, w żadnym wypadku nie wyglądała na rozczarowaną jego osobą.

– Dokładnie. To znaczy nie do końca. Mnie się nie wydaje, ja to wiem.

– Uważasz wierzących za zacofanych i ciemnogród? Zaślepionych? Gardzisz nimi?

Miał to w dupie.

– Może bez aż tak brutalnych wyrażonek, ale tak, uważam, że są w błędzie.

– Studiujesz matkę? – zapytała nagle. Nie wnikał, skąd to wie. Nie chciał wnikać.

– Tak.

– A więc pewnie wiesz, że każde twierdzenie, każda teza z tej dziedziny wiedzy jest oparta na pewnych założeniach i aksjomatach. Analizujemy je i wyciągamy odpowiednie wnioski. Tak to mniej więcej działa.

– Tak, wiem – odparł lekko zaskoczony. Był pod wrażeniem, jak biegle posługiwała się tym językiem. Czyżby rozmawiał z bratnią duszą nie tylko pod wizualnym względem?

– Wiesz więc już, gdzie może być błąd w twoim rozumowaniu?

– Nie bar... – zaczął, ale przerwała mu.

– W założeniach.

– Dalej nie bardzo rozumiem.

– Opierasz wszystkie swoje poglądy na tym, że Boga czy jakikolwiek inny byt nadprzyrodzony można ogarnąć ludzkim umysłem. No bo w końcu przemyślałeś to i uznałeś, że jednak go odrzucasz. Miałeś jakiś wybór, uzasadniłeś sobie każde za i przeciw, i podjąłeś ostateczną, taką, a nie inną decyzję. Ale zwróć uwagę na jedną rzecz – zakładasz tu, że Boga można opisać, zmierzyć, zbadać, dotknąć, opukać i logicznie wytłumaczyć jego działania. Zapędzić go w kozi róg i powiedzieć: „Ha, słuchaj stary, coś mi się tu nie zgadza!”. A to jest podstawowy błąd w twoich aksjomatach! Gdyby cokolwiek z niego dałoby się zamknąć w jakiegokolwiek naukowe ramy, to to nie byłby Bóg. Brutalnie podsumowując, Bóg jest wszechmocny i takie pionki jak my mogą mu co najwyżej naskoczyć. Nie mamy wystarczających możliwości, by mienić się mądrzejszymi od niego, ani fizycznych, ani intelektualnych. Krótko mówiąc, w swoich rozważaniach korzystasz ze złej definicji Boga. Sprzeczność. Koniec dowodu – wystrzeliła jak z karabinu bez choćby jednego zajknięcia.

A jego zatkało.

Do tej pory to on korzystał z matematycznych argumentów w tłumaczeniu ciemnocie, że jest ciemnotą, i po raz pierwszy spotkał się z sytuacją, w której to druga strona wytoczyła aż tak ciężkie działa. Nie chciał jednak wdawać się z nią w emocjonalną dyskusję na ten temat.

Szkoda byłoby zaprzepaścić znajomość z taką dup... z Natalią oczywiście, z tak durnego powodu.

– Możemy zmienić temat? Ani ty mnie nie przekonasz, ani widzę, że ja ciebie.

– Na razie z tego, co ja widzę, to tylko ja próbuję cię przekonać. Ty nie masz argumentów.

– Nie to, że nie mam! Mam. Po prostu nie chcę o tym dyskutować! – powiedział najuprzejmiej, jak tylko mógł, choć wewnątrz gotował się ze złości, jak zawsze, kiedy zarzucano mu brak odpowiedniego poparcia dla jego poglądów. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że z nią udawanie nie przejdzie. Kurwa, chyba nigdy się do tego nie przyzwyczai...

– Wydaje mi się, że jesteś zaciętrzewiony. Choćby nie wiem, co się działo, zawsze będziesz uparcie obstawał przy swoim.

„Wydaje ci się? Ty kłamczucho”.

– Może tak, może nie. Jako że Boga nie ma, nigdy nie wydarzy się to, co nazywasz „choćby nie wiem, co się działo”. Nie ma co rozważać tak abstrakcyjnych rzeczy. Szkoda na to czasu – odparł spokojnie.

– Nic cię nie przekona, widzę...

– Natalia, proszę cię, możemy zmienić temat? Pogódźmy się z tym, że jedno nie przekona drugiego, uszanujmy cudze poglądy i żyjmy z tym jakoś. Mnie i Karolinie się to chyba udało... – urwał.

– Jak chcesz – odrzekła z uśmiechem.

Znowu ta niezręczna cisza.

Aby zyskać na czasie, Tomek wziął przesadnie duży łyk piwa. On to jednak miał w życiu pecha. Dlaczego wszystkie kobiety, jakie spotykał, musiały mieć fioła na punkcie chrześcijaństwa? Naprawdę, jest tyle innych ciekawszych rzeczy, o których można pogadać. Postanowił przerzucić temat na pierwszy lepszy, jaki mu przyjdzie do głowy. A że ten okazał się nieco niefortunny...

– Jak tam, zauważyłem, że pochowaliście dziadka?

– Tak.

W ogóle się nie zastanawiając, przeszedł nagle do ataku.

– Wiesz, może mi się wydaje, ale mam wrażenie, że wcale nie jesteś jakoś szczególnie zasmucona jego śmiercią.

Liczył, że ją choć trochę zmiesza, ale nic z tych rzeczy.

– To nie tak. Wszyscy w Białodębach byliśmy bardzo życzliwi z dziadkiem

Jurkiem i oczywiście bardzo nam go brakuje. Ale jeżeli znajduje się teraz w miejscu, gdzie jest mu lepiej, to czemu mamy się smucić...? Miejmy nadzieję, że trafił do Raju...

Oj, znowu wchodzili w niebezpieczne rejony...

– Mówiłeś, że Karolina jest wierząca, ale to niejedyna wyraźna różnica między wami. Zaciekawilo mnie to. Mogę zapytać, co miałeś na myśli? – Tym razem to Natalia szybko zmieniła temat.

– Aaa, takie tam... Na przykład nasze rozmiary... – zażartował gorzko.

– Rozumiem, mam nie pytać.

– Nie o to chodzi. Po prostu właśnie teraz, zanim się rozdzieliliśmy, mocno się pozarliśmy z tego powodu.

– To znaczy?

– No właśnie między innymi z powodu tych różnic w poglądach. W postrzeganiu świata ogólnie. I tego, jak powinien wyglądać nasz związek.

– Aż tak źle? – Spojrzała mu głęboko w oczy. Te jej piwne ślepka... Coś cudownego.

– Nie układa nam się, nie ma co ukrywać.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Sam nie wiem...

– Dobrze, nie nalegam... – Położyła mu dłoń na kolanie. Po sekundzie, gdy ich oczy znowu się spotkały i jakby zrozumiała swój błąd, pospiesznie ją stamtąd zabrała.

– Ta wycieczka to był generalnie jej pomysł. Nigdy tego wprost nie powiedziała, ale dam głowę, że jej planem było, byśmy przeżyli jakąś małą przygodę, która miała nas do siebie zbliżyć, coś poprawić. Na razie kupa z tego wychodzi – brnął Tomek, choć, jak twierdził, „sam nie wiedział, czy chce o tym rozmawiać”.

Miał to w dupie.

– Tak? Wydawaliście się naprawdę przywiązaną do siebie i udaną parą...

– To tylko pozory. Wiele rzeczy mnie w niej irytuje. Na przykład to, jaka jest niewdzięczna.

– Co masz na myśli?

– Dziś zasugerowała mi, że niezbyt wystarczająco się staram i czuje się niedopieszczona.

– Uuuu...

– Jesteś inteligentna, to zapewne wiesz, że facet bardzo nie lubi być niedoceniany.

– Pewnie, że wiem.

– Tymczasem ona przyjmuje na przykład to, że to ja uczyniłem wszystkie pierwsze kroki oraz że to tylko ja z początku starałem się o jej względy, jako coś naturalnego i normalnego. Tak jakby to jej się należało od zaraz. A to ja, jak się najebałem na tamtej imprezie, do niej zagadałem. Tak to się zaczęło. Potem to ja się o nią starałem i łaskawie po roku zgodziła się na związek. Możliwe, że znowu się ze mną nie zgodzisz, ale dlaczego wczesne budowanie związku ma opierać się na działaniach tylko jednej osoby? A potem jeszcze ta druga kompletnie tego nie docenia...

– Zgadzam się. – Uśmiechnęła się.

– Czy my, faceci, jesteśmy jakimiś istotami gorszego rzędu? Podludźmi? Wytłumacz mi, dlaczego jeżeli mężczyzna nie uczyni pierwszego kroku, to kobieta nawet się nim nie zainteresuje? – Im dłużej mówił, tym bardziej na powracające wspomnienie o kłótni z Karoliną narastały w nim zawziętość i gniew. Nie dawało się jednak ukryć, że taka rozmowa była mu potrzebna. A już na pewno z osobą, która umiała słuchać tak dobrze jak Natalia.

– Trochę generalizujesz. Nie wszystkie kobiety są takie. – Zamrugła.

– Dobrze, przepraszam. Nie wszystkie. Ale większość. Z nimi jest po prostu tak, że... – zamilkł w poszukiwaniu odpowiedniego wyrażenia – ... nie kochają, a dają się kochać. Tak bym to nazwał.

– Może powinieneś poszukać innej... – Uśmiechnęła się. Jeszcze wczoraj przerwałaby tę rozmowę właśnie w tej chwili, ale dziś...

Tak, miał to w dupie. Ale i tak nie podchwycił tematu.

– Do tego twierdzi, że zrobiłaby dla mnie wszystko. Gówno prawda.

– A czego by nie zrobiła?

Odpowiedział dopiero po krótkiej pauzie. Wiedział, że balansuje na skraju przepaści, ale jak już się powiedziało „A”...

– Eeech... Ogólnie, jak widzisz, jestem nieco ponad dwudziestoletnim facetem u szczytu możliwości. A ci mają pewne swoje potrzeby wynikające z takiej, a nie innej pracy układu hormonalnego – zgrabnie wysilił się na dyplomację.

– Aaa, rozumiem! – Zaśmiała się. W mig pożałował, że jej to

powiedział, ale w tym samym momencie, w którym tylko o tym pomyślał, od razu spoważniała.

– Nie robicie tego?

– Dopiero po ślubie. – Ułożył z palców cudzysłów. – Choć co takiego miałyby się zmienić po ślubie, że nagle nabierze chycicy, nie wiem...

– Ale nigdy?!

– Nigdy. Nigdy z nią tego nie robiłem.

– Rozmawialiście o tym? Próbowałeś ją przekonać?

– No pewnie. Tysiące razy, choć warto wspomnieć, że zawsze wychodziło to ode mnie.

– I jak to tłumaczyła?

– No właśnie w tym sęk, że nie potrafiła. Pytałem, o co chodzi, czy to strach przed nieplanowaną ciążą albo coś, ale nie. Po prostu typowe dla niej „nie, bo nie”. Cokolwiek bym powiedział, i tak nie ma zamiaru ustąpić.

– Jak długo ze sobą jesteście, jeżeli mogę spytać?

– Jakieś trzy lata.

– Nieźle! Podziwiam cię za wytrwałość. Ja to bym nie wytrzymała tyle bez seksu. W życiu! – powiedziała ze śmiechem. – Poza tym to trochę dziwne z jej strony i dosyć rzadko spotykane. Nie znam takich osób. A już najbardziej dziwi mnie, że nie chce korzystać z możliwości, jakie ma...

– Naprawdę? – zapytał, chcąc upewnić się co do jej drugiego zdania. I tak będzie wiedziała, o co chodzi.

– Naprawdę. – Spojrzała na niego ciepłym wzrokiem – I zazdroszczę jej, że ma tak cierpliwego mężczyznę u boku. Tak, tak, CIERPLIWEGO. Według mnie to wielkie wyrzeczenie z twojej strony.

– Naprawdę tak sądzisz? – powtórzył.

– Naprawdę. Szkoda, że ona tego nie rozumie... – Położyła rękę tym razem na jego dłoni. Instynktownie ją cofnął, ale w mig tego pożałował.

A może i nie...? Natalii to jednak nie zmierziło.

– Jesteś silnym, twardo stąpającym po ziemi facetem. Konkretnym. I chyba wiesz, czego chcesz...? – zapytała, przysuwając się do niego coraz bliżej i bliżej. Nie używała żadnych perfum, ale i tak zdawało mu się, że czuje słodki zapach jej skóry.

„Prawda?” – usłyszał w myślach jej cieniutki głosik.

Odsunął się, nim zdążyła pocałować go w szyję. Jakkolwiek wstawiony i wściekły na Karolinę by był, jakkolwiek piękną twarz i ciało miałyby



Natalia (choć piękniejszych mieć się nie dało), nie mógł tego zrobić. Wiedział, że następnym zdaniem najpewniej zakończy ich jakże miłą rozmowę, ale nie miał innego wyboru.

– Nie mogę, Natalia...

– Dlaczego? – zadała pytanie z uśmiechem, głaszcząc go po głowie. Opuszki jej palców pieściły mu skórę w tak przyjemny sposób, że aż przeszły go ciarki. Tym razem się nie odsunął.

– Mam dziewczynę...

– ...która cię zaniedbuje i nie docenia, jaki ma przy boku skarb – dokończyła za niego.

– Poza tym prawie cię nie znam...

– Czy to aż taka przeszkoda? – Przysuwała się stopniowo, znowu próbując go pocałować.

– Tak... Nie... – bełkotał, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Pragnął teraz tej kobiety jak chyba niczego innego na świecie. Spodnie napęczniały mu, już na długo przed tym, zanim rozmowa zeszła na „ciekawe” tematy.

– Więc o co chodzi? Nie podobam ci się? – Tym razem delikatnie głaskała go po policzku.

– Po co pytasz, skoro i tak wiesz, że tak? – odpowiedział pytaniem na pytanie bez mrugnięcia okiem.

– Wiem, to fakt... – Położyła mu na twarzy drugą dłoń.

– Co jeszcze wiesz?

– Wiele rzeczy. Na przykład, że cholernie cię fascynuję i ciekawię.

– Nic się przed tobą nie ukryje...

– Wielka siostra, o wielkich piersiach, czuwa. – Wciąż go głaskała.

Ostatnim głosem rozsądku postanowił podjąć jeszcze jedną rozpaczliwą próbę uchronienia się przed totalnym zeszmaceniem.

– Wczoraj w nocy...

– Tak?

– Byłaś tam, prawda?

– Byłam.

– Co tam robiłaś?

Na chwilę oderwała od niego wzrok i uniosła go do sufitu. Zastanawiała się nad odpowiedzią? Po chwili ich oczy znowu się spotkały.

– A gdybym ci powiedziała, że odpowiednio przygotowywałam miejsce, w którym zaraz będziemy uprawiać seks?

Nie próbował już z nią walczyć. Gdy w następnej sekundzie namiętnie go całowała, czuł, że nawet oddech miała perfekcyjnie świeżutki. Nie było w niej dosłownie żadnej skazy. Naprawdę była uosobieniem jednej wielkiej doskonałości...

Sięgnęła ręką do jego krocza.

– No, no, no... Co my tu mamy ciekawego? – Zaśmiała się. – Od kiedy tylko cię zobaczyłam, zastanawiałam się, jak duży on jest...

– Zaspokoisz swoją ciekawość? – Tomek wyzbył się już resztek wątpliwości. Wypełniający go testosteron doszczętnie pozbawił go zdolności do trzeźwego myślenia. Liczyło się tylko to, co tu i teraz. Tylko Natalia i on...

– Niegrzeczny chłopczyk! Nie mogę się już doczekać. Ale nie tutaj... Nie możemy tego robić w domu.

Choć najchętniej z miejsca pożarłby ją żywcem, musiał się z nią zgodzić. Wzięła go za rękę i na paluszkach pospiesznie zbiegli na dół. Po chwili podążali już tą samą dróżką, którą szła Natalia wczoraj. Po wyjściu poza ogrodzenie zagłębili się w las i szli w tylko jej znanym kierunku. Nie było żadnej ścieżki – poruszali się po prostu przed siebie i co jakiś czas zatrzymywali się tylko na kolejne namiętne, mokre pocałunki. Tomek tarmosił jej twarde pośladki i czuł na swojej klatce piersiowej jej jędrne, wielkie piersi. Całkowicie oddał się temu zwierzęcemu popędowi, który bez litości wziął go we władanie.

Po jakichś dziesięciu minutach marszu dotarli w końcu do celu. Znajdowali się na skraju idealnie prostokątnej, całkiem sporej polany – niewątpliwie powstałej w wyniku wyrębów ludzką ręką. W tym właśnie miejscu, tuż przy granicy między drzewami a łąką stał stary polowy stół, który wyglądał, jakby zrobił go jakiś leśnik, bo na pewno nie profesjonalny stolarz. Co było jednak najistotniejsze – jego rozmiar był idealny, by zmieściły się na nim dwie osoby o sprośnych zamiarach...

– Tutaj? – zdziwił się nieco Tomek.

– Zawsze marzyłam, by pieprzyć się z kimś tutaj!

Z dzikim, napalonym wzrokiem Natalia pchnęła go na drewniany, zniszczony blat. Wbrew jego lekkim obawom na wpół spróchniała konstrukcja spokojnie wytrzymała jego ciężar. Nie zdążył nawet zapytać o zabezpieczenie, gdy dziewczyna w jednej chwili pozbyła się swoich ubrań, ściągnęła mu spodnie, wskoczyła na jego stojącego na baczność

penisa i zaczęli uprawiać dziki seks.

\*

Dojechawszy do Suwałk, Karolina miała do liturgii jeszcze jakieś dwadzieścia minut. Akurat niedaleko kościoła znajdował się supermarket, więc postanowiła zrobić szybko spore zakupy. Gościnność Prusów gościnnością Prusów, ale nie zamierzała jej nadużywać. Nie mogli co rano się u nich stołować. Zwyczajnie nie wypadało. Oczywiście Natalia mogła zaprzeczać i w nieskończoność zapewniać, że nie ma żadnego problemu, ale dla swojego świętego spokoju Karolina uznała, że skoro i tak mają nadprogramową gotówkę z racji darmowego mieszkania w Białodębach, to wydadzą ją na własne jedzenie. Tak będzie najlepiej.

Zatrzymawszy się z wózkiem przy stoisku z piwem, zastanowiła się chwilę i w końcu wzięła czteropak tyskiego. Nie dla siebie oczywiście, bo w ogóle nie piła alkoholu. To dla tego gbura, który po raz kolejny ją zranił. Po raz kolejny też to ona jako pierwsza wyciągnie do niego rękę na zgodę. Gdy już trochę ochłonęła i opadły z niej emocje, zdecydowała, że to zrobi. Zawsze tak miała – nie chowała długo złości. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Nie zmieniało to jednak faktu, że wciąż uważała, iż bardzo przesadził i przekroczył pewną granicę.

Jak on mógł tak odwrócić kota ogonem?

Że ona niby się nie stara?! Że nie zrobiłaby dla niego wszystkiego? Że nie docenia, iż ją stopniowo zdobywał? Przecież jej początkowa pozorna bierność była celowa! To była część planu jego zdobycia! Nie można przecież na dzień dobry okazywać chłopakowi, że się jest nim zainteresowanym, bo wtedy zwyczajnie osiadzie na laurach. Co więcej – coś uzyskanego po walce smakuje podwójnie, ma większą wartość, i mówiły o tym nawet książki o dyskretnych technikach manipulacji, które w ramach poszerzania horyzontów czytała do poduszki.

Bez żadnej przesady można więc stwierdzić, że to ona zdobyła Tomka, a nie odwrotnie... Zdobyła swoim autorskim, skutecznym sposobem.

Co on tam jeszcze gadał? A, o seksie. Tyle hałasu o seks? Seks będzie, Tomek musi tylko po prostu trochę poczekać. To wszystko. Jak ognia unikała tego tematu, ale prędzej czy później zawsze wracał on do nich ze zdwojoną siłą. Starła się rozumieć jego potrzebę zbliżenia, ale próbowała też delikatnie uświadamiać, że nie jest na to jeszcze gotowa, a on powinien to uszanować.

No więc brak seksu. OK, a reszta? Nic więcej się już nie liczyło? Uważała, że co jak co, ale brak zaangażowania w ich związek to ostatnia rzecz, jaką jej można zarzucić. Co za tym szło – była święcie przekonana, że to ona ma w tym sporze rację.

Choć naprawdę niewiele brakowało, by postawiła kropkę nad i, polegającą na zakończeniu tej męki raz na zawsze, uznała, że nie pójdzie na łatwiznę. Wciąż miała w pamięci cudowne, spędzone razem z nim chwile i nie potrafiła ot tak usunąć ich ze swoich wspomnień. Wierzyła całym swoim sercem, że mogą wrócić. Jeszcze mogą być ze sobą szczęśliwi, tak jak dawniej. To naprawdę możliwe. Wystarczy tylko trochę chęci z obu stron.

Obiecała sobie, że będzie walczyć o ich przetrwanie na tyle, na ile starczy jej sił, i nigdy się nie podda. Nigdy! Niezależnie, czy im się uda, czy też nie, w przyszłości będzie mogła spokojnie spojrzeć w lustro i uczciwie powiedzieć, że dała z siebie sto procent. Zbuduje z Tomkiem coś pięknego i trwającego aż do samej śmierci!

Z tą wyraźnie dodającą jej otuchy, ale jednocześnie zawziętą myślą wkroczyła do kościoła w tym samym momencie, w którym zaczęło się nabożeństwo.

Zapadł zmierzch.

\*

„Kurwa”.

– Ja pierdolę... Przepraszam.

Tomek był zażenowany. Nawalił w najmniej spodziewanym przez siebie momencie. Natalia pracowała bioderkami, wyginała się i jęczała z rozkoszy tak niesamowicie, że... skończył już po paru jej ruchach. Przytomnie zeszła z jego penisa, nim wydobyło się z niego jego nasienie, a on usiadł na skraju stołu i patrząc gdzieś na okoliczną ściółkę, za wszelką cenę unikał jej wzroku. „Jak mogłem tak to spieprzyć?!”

Po chwili poczuł delikatnie masujące go po kręgosłupie palce. Wzdrygnął się, bo nawet w tym miejscu jej dotyk był niezwykły.

– Wszystko w porządku. Nie przejmuj się.

– Kiedy ja też chcę, by było ci fajnie! To dla mnie bardzo ważne! – Spojrzał na nią spode łba. Uśmiechała się do niego z tym wciąż dzikim i pełnym napiętości wzrokiem.

– Noc jeszcze długa... – szepnęła mu na ucho.

– Tak, wiem, ale muszę trochę odpocząć. Rozumiesz, hydraulika wysiadła.

– To co przez ten czas porobimy? – Pocałowała go namiętnie w policzek.

– Chcę wylizać ci cipkę... – odparł i sięgnął ręką do jej krocza. Ku jego lekkiemu zdziwieniu dyskretnie ją stamtąd zabrała.

– Mam lepszy pomysł. Na oral przyjdzie czas podczas sześć na dziewięć w naszym następnym razie. A teraz pokażę ci inne zastosowanie tego stołu. Na pewno ci się spodoba... – Mrugnęła do niego. – Rozbierz się do końca i połącz na brzuchu – poleciała.

– Do końca...? Na brzuchu...?

– Wstydzisz się czegoś? Przecież już widziałam twój siusiak! – Zaśmiała się.

– Nie ma w tym drzazg?

Pogłaskała go i odpowiedziała cierpliwie:

– Nie ma. Niczym nie musisz się martwić.

Nie pozostało mu już nic innego, jak tylko jej zaufać, i posłusznie wykonał polecenie. Drewno było wciąż ogrzane jego ciałem.

– I co teraz?

– Teraz... Zrobię ci najlepszy masaż w życiu. To będzie pieśczoła dla wszystkich zmysłów... – odpowiedziała cichutko Natalia. Zapaliła i rozstawiła świece zapachowe, które najwidoczniej przyniosła tutaj już wcześniej i które przez cały czas do tej pory leżały pod stołem. Ich efekt niewątpliwie dodał wszystkiemu jeszcze więcej klimatu. Co prawda już raz, świeżo po osiemnastce, zdarzyło się Tomkowi korzystać z masażu erotycznego i tam było dokładnie tak samo: świece, półmrok, pachnące balsamy i... piękna kobieta, której koniec końców nie można było jednak przelecieć. Teraz miał zaś i piękną kobietę, i możliwość zaliczenia jej po wszystkim, a więc wszystko, co potrzebne do pełni szczęścia. No, jeszcze byłoby fajnie, jakby doprowadził ją do szczytowania... Był zmotywowany, by następnym razem stanąć na wysokości zadania.

Natalia usiadła mu na pośladkach i rozpoczęła od delikatnych całusów po kręgosłupie, od których aż dostał gęsiej skórki. Następnie sięgnęła po balsam, który jak się okazało, od samego początku miała w kieszeni bluzki (spryciuła, aż tak była pewna, że Tomek ulegnie pokusie?), i zaczęła bez pośpiechu rozsmarowywać mu go po plecach. Miała tak niespotykane

czuły dotyk... Te jej wrażliwe, delikatne palce... Plus idealna intensywność i siła nacisku... Ani nie za mocno, ani nie za słabo. Nie myliła się, o tak świetnym masażu nie mógł nawet marzyć. Nie musiał nic mówić – zawsze wiedziała, które miejsce akurat teraz ma pieścić.

Zupełnie jakby czytała mu w myślach (o ironio!).

Jej umiejętności w połączeniu z wydobywającymi się ze świec i balsamu zapachami sprawiły, że Tomek zaczął stopniowo odpływać. Po chwili poczuł na plecach dwa dodatkowe punkty, a następnie ciepło jej ciała.

– Nie zasypiaj mi tu tylko, książę... Najlepsze dopiero przed nami – szepnęła mu w ucho zmysłowym głosem.

– Jesteś zajebista... Doskonała pod każdym względem.

– Wiem. A najlepsze jest to, że teraz należę tylko do ciebie...

Po dwudziestu minutach niewyobrażalnej przyjemności poprosiła go, by przewrócił się na plecy, i zabrała się za to samo od przodu. Piękny zapach balsamu idealnie współgrał z jej dotykiem i kocimi ruchami. Jej stuprocentowe zaangażowanie robiło ogromne wrażenie. Nie dało się też nie zauważyć, że i jej zadowalanie mężczyzny sprawiało niemałą przyjemność. Cały czas patrzyła mu w oczy... Pragnął, by ta chwila trwała wiecznie. Gdyby wierzył, to tak właśnie wyobrażałby sobie niebo. W najczystszej postaci!

W pewnym momencie zaczęła lizać i ssać mu sutki. Potem przeszła do całowania jego potężnej klatki piersiowej i wciąż nie odrywając od niego wzroku, schodziła stopniowo coraz niżej i niżej. Jej nieskazitelna buźka promieniała w blasku świec.

Gdyby ich poprzedni raz zaczął się od seksu oralnego takiego jak ten, który właśnie zaczęła mu robić, na bank skończyłby się jeszcze szybciej niż wtedy. Na szczęście lekko zmęczone prącie Tomka za drugim razem wymagało trochę więcej, by po raz kolejny wystrzelić.

Po chwili zgodnie z zapowiedzią położyła mu się na brzuchu pośladkami oraz łechtaczką w stronę jego twarzy i dogadzali sobie wzajemnie ustami. Nie było dla niego żadnym zaskoczeniem, że szparka Natalii była idealnie czystutka, pachnąca i słodka jak malinka.

Po jakimś czasie, gdy jego penis był już gotowy na rundę drugą, wskoczyła na niego po raz kolejny i jęczała z rozkoszy jeszcze głośniej niż poprzednio. Nie dało się ukryć – umiała to robić perfekcyjnie. Nie spotkał

się z czymś takim nawet w najlepszych pornołach. To, jak się ruszała, wyginała, jak patrzyła się na niego tym swoim napalonym wzrokiem, jakie wydawała dźwięki, jak muskała mu klatkę piersiową opuszkami palców, by zaraz przejść do nieco ostrzejszego drapania – jarało go to jak nie wiadomo co... Mistrzostwo świata! Czuł, że lada moment znowu będzie miał wytrysk.

Wreszcie doszedł.

Choć głowę miał zajęętą odbiorem i maksymalnym czerpaniem z kolejnego, targającego jego duszą i ciałem orgazmu, gdzieś w tle ciągle miał Natalię przed swoimi oczami.

W tym samym momencie, w którym sperma wydobyła się z jego penisa, przez dosłownie jeden jedyny ułamek sekundy... jej majacząca niewyraźnie w słabym oświetleniu twarz... zmieniła się.

Oczy stały się żółte, z pionowymi, czarnymi źrenicami; do tej pory gładziutka, aksamitna skóra naciągnęła się jej maksymalnie na czaszce i przekształciła w pomarszczoną, pokrytą wrzodami i liszajami skorupę, a gdy otworzyła usta w ostatnim orgastycznym jęku, Tomek ujrzał te ostre zębiska i nienaturalnie długi jęzor...

Krzyknął i czym prędzej ją z siebie zrzucił. Ledwo utrzymując równowagę i o mały włos nie spadając ze stołu, wylądowała obok niego na czworakach.

– Co się stało, skarbie? – zapytała ze zdziwieniem. Spojrzał na nią z niedowierzaniem jeszcze raz, ale wyglądała już zupełnie normalnie. Ale przecież jeszcze przed chwilą... Usiadł i zaczął pocierać oczy. Wraz z kolejną ejakulacją, gdy opróżnił już swoją mosznę niemal do ostatniej kropelki, zeszło z niego całe napięcie i wróciła normalna, połączona z trzeźwym myśleniem świadomość.

Innymi słowy – dotarło do niego, co właśnie zrobił...

Poczuł dłoń Natalii na plecach.

– Tomek?

– Mam chyba jakieś halucynacje...

– Halucynacje?

– Wydawało mi się, że widzę jak...

– Co ci się wydawało?

– Nieważne. – Zszedł ze stołu i zaczął się pospiesznie ubierać.

– Co ty robisz? – zapytała lekko zranionym tonem. Odpowiedział jej

dopiero po chwili.

– Nie powinniśmy byli tego robić.

– Co? Co ty mówisz...?

– To był mój wielki błąd, Natalia!

– Ale dlaczego? Było nam przecież tak fajnie...

– Dlaczego robiliśmy to bez gumki?! – prawie krzyknął. Jak mógł być tak głupi?! Jak mógł po raz kolejny pozwolić swojemu pieprzonemu kutasowi, by ten dyrygował nim jak marionetką?!

Jakby obawiając się niekontrolowanych odruchów złości, Natalia sięgnęła ostrożnie do jego ramienia.

– Skarbie, naprawdę nie musisz się niczym martwić...

– Przecież ja cię prawie nie znam! A co jak...

– ...złapiesz jakąś chorobę weneryczną? – dokończyła za niego. Jezu...

Znaczy, ja pierdolę... Te jej wkurwiające talenty...

– Tak jak mówiłam – nie musisz się niczym martwić. – Spoważniała. – W ciążę także nie zajdę.

– Świetnie, to jeden problem mamy już z głowy – odpowiedział lodowato.

– A są jeszcze jakieś inne?

– Jeszcze się głupio pytasz?

– O co ci chodzi?!

– Mam przecież dziewczynę!

– Która jest egoistką i nie bierze pod uwagę twoich potrzeb...

– Może bierze, może nie bierze. Nie twoja sprawa. Liczy się to, że ją kocham.

– Zostaw ją – wypaliła zniechęcona.

– Że co proszę? – Zdawało mu się, że nie dosłyszał.

– Zostaw ją. Jestem tym, czego chcesz. Jestem spełnieniem twoich najskrytszych marzeń i odpowiedzią na wszystkie twoje pragnienia. Jestem doskonała pod każdym względem. Sam mi to jeszcze kilka minut temu powiedziałeś...

Tomek obciął ją wzrokiem. Wciąż była piękna, ale teraz – stojąc nago na czworakach na tym na wpół spróchniałym stole, a do tego z miną z cyklu WTF – wyglądała lekko żałośnie.

– Nie myślałem jasno, byłem napalony – rzekł i zaczął nakładać buty. Wiedział, że to pokrętne tłumaczenie, ale miał to w dupie. Cmoknął



z dezaprobatą. Ależ był szuja...

– Czyż nie spełniłam wszystkich twoich fantazji? Zrobiłam wszystko, co mogłam, byś był zadowolony... Zrobiłam to dla ciebie i tylko dla ciebie. Zrobiłam coś, na co nie możesz liczyć, będąc z tą plugawą suką...

Błyskawicznie się wyprostował.

– Nie waż się tak o niej mówić – wycedził z wściekłością.

– Tomek, co jest z tobą?! – Jej oczy pokryły się łzami.

– Natalia, jesteś naprawdę fajną dziewczyną, ale zrozum... To nie to. Przepraszam.

– Co ty mówisz?

– Ja ją kocham. Ciebie lubię, podobasz mi się wizualnie i to bardzo, ale ja ją kocham! Owszem, mieliśmy fajny seks, ale żałuję tego teraz jak niczego innego i czuję się fatalnie. Wybacz mi i postaraj się mnie zrozumieć. Znowu nadużyłem jej zaufania i znowu zrobiłem jej za plecami świństwo. Może i różnimy się bardzo z Karoliną w wielu sprawach, często się kłócimy i tak dalej, ale to wciąż moja Kara...

„Moja mała dziewczynka...”

– Tomek, mówię ci, zostaw ją! Nie jesteś z nią szczęśliwy.

Był już zmęczony tą rozmową.

– Pozwolisz, że o tym, czy jestem z kimś szczęśliwy, czy nie, będę rozstrzygać ja sam? – odparł spokojnie i dodał: – Dzięki za ten zapasowy klucz. Oddam rano. Dobranoc.

Odwrócił się na pięcie i mając przy tym nadzieję, że dobrze pamięta kierunek, ruszył z powrotem do domu.

– Tomek!

Usłyszał za plecami swoje imię, ale już się nie odwrócił.

Nie było tak, że nie miał w sobie nawet krzty empatii. Natalii również było mu trochę szkoda, ale nie dbał o to, bo zostało to skutecznie wyparte przez jego poczucie winy. Wiedział, że zranił w tym momencie obie dziewczyny. Szczęście w nieszczęściu – ta dla niego ważniejsza jeszcze o tym nie wiedziała...

„Idiota! Dupek! Gnida! Szuja! Gnojek! Co żeś ty narobił...”

Z bezsilnej złości chciało mu się wrzeszczeć. Zaciskał pięści. Potrzebował się wyładować. Wyrzucić z siebie wszystkie negatywne emocje i je na czymś skupić. Zrównać coś z ziemią gołymi rękoma... Na szczęście po doświadczeniach z drzwiami przytomnie odpuścił sobie

kopanie i boksowanie się z czymkolwiek.

Udało mu się dotrzeć do domu. Czym prędzej wbiegł na piętro, zamknął drzwi od pokoju i rzucił się na łóżko. Wił się niespokojnie, jakby nie mogąc sobie znaleźć właściwej pozycji. Miał milion myśli na minutę.

Po raz kolejny zdradził swoją dziewczynę.

Znowu nie zapanował nad swoim popędem i kompletnie odjęło mu to rozum. Jak to będzie teraz dalej wyglądać? Jeżeli pragnął zachować wydarzenia z lasu w tajemnicy, to było to praktycznie niewykonalne. Nawet jeżeli po samym jego zachowaniu w obecności Natalii (w tej chwili nie wyobrażał sobie, jak mógłby pozorować normalność) Karolina jakimś cudem nie domyśli się, że coś się stało, to z dużym prawdopodobieństwem dowie się o tym od sprawczyni całego zamieszania. Wprawdzie nie znał za dobrze Prusówny, ale miał graniczące z pewnością wrażenie, że ta byłaby zdolna do spieprzenia mu życia w ten sposób. Chociażby z zemsty. A już tym bardziej po tym, jak ją potraktował. Zranione i odrzucone kobiety tak mają. W mig pożałował więc swojego zachowania, ale i tak było już za późno. Mleko się rozlało. Szukanie jej teraz i proszenie o dochowanie tajemnicy brzmiało idiotycznie i było stratą czasu. Nie było siły, by się zgodziła.

Był tak dobity, że bez żadnej przesady chciało mu się płakać. Od bardzo dawna tego nie robił... Zupełnie nie wiedział, co ze sobą począć.

Karolina wróci za jakieś pół godziny...

Wciągnął głęboko powietrze i od razu przypomniał sobie o zapachu balsamu, który wciąż lekko emanował z jego ciała. Błyskawicznie porwał z walizki ręcznik i kosmetyczkę, po czym pobiegł do łazienki i bardzo dokładnie się umył. Nie zapomniał o genitaliach, a nawet przestrzeni pod napletkiem. Umył też starannie zęby i wypłukał gardło.

Potrzebny był mu plan działania. Jakie miał cele... Cele... Cele... Myśl, człowieku! Najlepiej byłoby zupełnie oddzielić jedną od drugiej. Tak, aby nie miały okazji pogadać. Przez te trzy, cztery dni, jakie pozostały do ich powrotu do Warszawy, było to niemożliwe. Może więc wcześniejszy wyjazd? Choćby dzisiaj? Brzmiało pięknie, ale było to utopijne myślenie. W życiu nie znajdzie bowiem na tyle wiarygodnego powodu, by Karolina w niego uwierzyła. Ją niełatwo jest oszukać. Poza tym – co właśnie sobie przypomniał – miała numer telefonu do Natalii, więc w razie czego mogła ją o wszystko wypytać. Wypytać, co temu jej chłopakowi nagle strzeliło do

głowy...

Kurwa mać!

Mógł go oczywiście konspiracyjnie usunąć, ale znowu zostawał problem, jak się potem z tego wytłumaczy. Co więcej – gdy patrzył na to z jeszcze innej strony – dochodziła kwestia, czy Natalia nie zna numeru do Karoliny.

Czekanie na Górską pod domem (chuj wie po co) także odpadało, gdyż prawie na pewno prędzej czy później spotkałby także Natalię, a dziwnym trafem pilnie nie chciał jej teraz widzieć. A już w ogóle jakby we trójkę znaleźli się w jednym miejscu... Teraz, zaraz... Nie chciał sobie nawet tej mrożącej krew w żyłach sceny wyobrazić. Nie zapominajmy też, że był ze swoją dziewczyną świeżo po kłótni i ta pewnie wciąż jest na niego cięta. Trudno byłoby więc ją do czegokolwiek teraz przekonać, tym bardziej że wciąż nie miał pomysłu, co mógłby jej powiedzieć. Duch pana Jerzego grasujący po domu? Litości! Czuł zażenowanie na samą myśl, jak miałyby to zagrać.

Wyglądało zatem, że rozwiązanie tego wszystkiego tak, by panował nad sytuacją w stu procentach, było niewykonalne.

Pieprzona niepewność.

Pieprzona Natalia.

Nienawidził jej. Najgorsze w tej farsie było właśnie to, że był teraz na jej łasce lub niełasce.

W końcu wziął się jednak w garść i postanowił przyjąć na klątę wszystko, co miał mu przynieść los. Popełnił poważny błąd, nie odwróci już tego, ale przynajmniej jak prawdziwy mężczyzna weźmie odpowiedzialność za swoje czyny. Najważniejsze, że naprawdę szczerze, całym swoim sercem i duszą żałował tego, co zrobił. O dziwo nigdy nie rozmawiali z Karoliną o zdradzie, stąd też zaskakująco nie wiedział, jak by na nią zareagowała. Postanowił, że jakkolwiek się ta sprawa zakończy, będzie walczył o swoją ukochaną do końca świata, choćby nawet nie chciała go już nigdy więcej widzieć. Zasłużył na potępienie, a ona zasługiwała teraz na wyjątkowe traktowanie.

Wróć, jakie „teraz”?!

Zawsze na to zasługiwała! Była jego największym skarbem, najcudowniejszą istotką we wszechświecie. Że też potrzebował tyle czasu, by to sobie uświadomić... Że też potrzebował aż tak się zeszmacić... Że

też...

Ech...

Zawsze była wobec niego fair. Ponadto czego jak czego, ale jednego mógł być stuprocentowo pewien – ona nigdy go nie zdradziła i nigdy tego nie robi. Nigdy! Postawiłby na to wszystkie swoje pieniądze i jeszcze dorzuciłby gratis samochód. Ta myśl sprawiła, że poczuł się jeszcze gorzej.

„Kochana Kara...”

Jakże wiele by dał, by móc ją teraz przytulić... By po raz kolejny poczuć to przyjemne bijące od niej ciepło. Zmierzić jej miękkie, pachnące włosy... Spojrzeć w jej piękne błękitne oczy...

Niestety, jakkolwiek brutalnie to brzmiało, dzisiaj już na pewno do tego nie dojdzie.

Potrzebował trochę czasu. Nie potrafiłby ot tak z nią teraz rozmawiać. Musiał się z tym przespać, choć w obliczu faktu, że zarówno tej, jak i przez wiele kolejnych nocy i tak zapewne nie zaśnie, brzmiało to zaiste groteskowo.

Przebrał się w piżamę i przykrył kołdrą. Postanowił, że będzie chociaż udawał głęboki sen, co pozwoli mu uniknąć rozmowy z Karoliną, gdy ta wróci. Zgasił światło, zamknął oczy i pogрузzył się w dalszych myślach. Czas niby powinien działać na jego korzyść, ale im później, tym było tylko gorzej. Przychodziły mu do głowy coraz to głupsze rzeczy.

Natalia... Co prawda twierdziła, że nie musi się bać żadnych zdrowotnych konsekwencji ich małej przygody, ale co tak naprawdę mogły znaczyć jej słowa? Tyle co nic. Niby miała pipkę czyściutką jak niemowlaczek, ale nie była to żadna gwarancja. Nie mógł być pewien, czy nie złapał jakiegoś syfu. Zadrzał. Kiła czy rzeźączka to było jeszcze małe piwo... Z nimi mógł sobie jeszcze w tajemnicy przed Karoliną jakoś poradzić.

Z HIV natomiast sprawa nie przedstawiałaby się już tak prosto...

„Coś ty narobił, idioto?!”

Nawet jak w chwilach słabości zdarzało mu się w przeszłości chodzić na dziwki, to i tak nieodłącznym elementem tych spotkań była prezerwatywa, więc mógł być po nich spokojny. Teraz zaś czekały go długie dni niepewności... A to nie wszystko! A ciąża? Tu też niby sądziła, że na pewno w nią nie zajdzie, ale niefajnie byłoby za kilka lat się dowiedzieć, że gdzieś tu po Suwalszczyźnie biega sobie Tomasz junior...

Do tego dochodziły ewentualne alimenty... Zmroziło go na samą myśl. Pieprzony polski wymiar sprawiedliwości zawsze był w takich sprawach po stronie biednych, uciśnionych kobiet. A reakcja Karoliny na to wszystko? Wolał o tym nie myśleć.

Naszło go nagle, że tak niesamowite umiejętności seksualne u Natalii (nawet teraz, pomimo swojego nastroju, musiał jej to oddać) plus rewelacyjna technika masażu erotycznego to nie musiał być wcale wrodzony talent, a na przykład... doświadczenie zawodowe? Czemu nie? Niejedna modelka sprzedawała już swoje ciało za pieniądze, więc dlaczego niby nie miałyby tego robić piękna dziewczyna z podlaskiej wioski? Co tak naprawdę o niej wiedział? Jedno wielkie, okrągłe nic. Jak zarabiała na życie? Jakie miała wykształcenie? Jej aksamitne rączki ni w ząb nie pasowały do ciężkiej pracy na roli. Dlaczego więc nie prostytutka? Przy takich walorach? Jak pomyślał, ilu starszym facetom mogła wcześniej robić ustami to samo co jemu (a nie daj Bóg... wróć! A jakby tak jeszcze dodać do tego seks bez gumki, tak jak z nim!), zrobiło mu się niedobrze. Przy okazji przypomniał sobie, że od tej feralnej zakończonej kłótnią obiadokolacji nic nie jadł, ale i tak nie miał apetytu, więc serdecznie to pieprzył. Przewrócił się na drugi bok.

Natalia leżała nago tuż obok niego. Pomimo słabego światła księżyca i tak idealnie widział jej demoniczną twarz – identyczną jak ta, którą miała w czasie ich podwójnego orgazmu na skraju leśnej polany. Fosforyzujące żółte oczy mierzyły go wściekłym wzrokiem.

– Jak mogłeś mi to zrobić?! – krzyknęła piskliwie poczwara jej cienkim, teraz pełnym żalu głosem.

Wrzasnął i odskoczył od niej najdalej, jak tylko mógł. Spadł z łóżka i walnął ciężko o podłogę, od razu się budząc, cały mokry od potu. Obolały podniósł się powoli i ostrożnie spojrzął z powrotem na miejsce, gdzie w jego koszmarze jeszcze przed chwilą leżała. Było puste. Czym prędzej wstał i dotknął tam materaca. Nie, nie... NIE! On wcale nie jest ciepły... Tobie się tylko wydaje... Przestań wariować!

Błyskawicznie doskoczył do torby, wyciągnął ręcznik i bardzo dokładnie wytarł z siebie pot. Chyba naprawdę popadał już w paranoję, bo zdawało mu się, że w dalszym ciągu czuje na sobie zapach balsamu... Z drżącymi rękoma położył się z powrotem do łóżka, by po chwili znowu wstać i zamknąć drzwi na klucz. Na wszelki wypadek. Karolina i tak miała

swój, więc nie musiał się obawiać, że będzie musiała czekać, aż jej otworzy. Że przez te kilkanaście sekund ten potwór z pokoju naprzeciwno będzie miał jej drobne ciało wystawione jak na talerzu...

Co ty... pierdolisz, Wawrentowicz?!

Naprawdę musiało być już z nim źle. To, co widział tam, w lesie, było osobną kwestią, ale bez przesady. Alkohol, szczytowanie, ciemność, gra świateł migoczących świec, zaburzenia w matriksie... Wystarczające przesłanki, dla których jego wyobraźnia mogła płatać mu figle.

Jednakże...

Jednakże był jeden uwierający szczegół, który jakkolwiek by próbował zaprzeczać, zupełnie nie pasował do jego racjonalnych wyjaśnień doświadczających go wypadków i, co gorsza, nie można go było ot tak sobie pominąć.

Natalia prawie na pewno umiała czytać w myślach. Prawie na pewno nie była więc normalnym człowiekiem.

Aby odciąć się od otaczających go wrażeń zmysłowych tak szczelnie, jak tylko się da, przykrył się szczelnie kołdrą i nakrył głowę poduszką. Zaśnięcie tej nocy nie było najwidoczniej niewykonalne, skoro już raz mu się to udało.

Zamknął oczy.

\*

Pomimo skończonej liturgii Karolina spędziła w kościele jeszcze wiele minut. Modliła się w skupieniu w osobistych intencjach, które leżały właśnie w łóżku w Białodębach. W pewnym momencie zamykający świątynię kościelny musiał wręcz dać jej uprzejmie do zrozumienia, że gdyby wreszcie opuściła budynek, byłoby mu to bardzo na rękę. Przeżegnała się więc po raz ostatni i wyszła na świeże powietrze. Odetchnęła pełną piersią.

Uczestnictwo w corocznych obchodach liturgii triduum paschalnego było dla niej swego rodzaju drobnym masochizmem, ponieważ ponad dwugodzinne stanie (w Warszawie jej kościół zawsze był wypełniony do ostatniego miejsca, a pobożność suwalczan mogła z tym konkurować) nigdy nie należało do najłatwiejszych. A jak do tego dodać tak pełen wrażeń i aktywności fizycznej dzień jak tegoroczny Wielki Czwartek... Między innymi dlatego też (ale przede wszystkim z powodu głowy zajętej czymś zupełnie innym) nie mogła się zbytnio skupić na odbiorze Słowa

Bożego. Nie zważając jednak na zmęczenie, dzielnie wytrwała na stojąco aż do samego końca nabożeństwa.

Najbardziej podobały jej się pieśni. Miała nieodparte wrażenie, że śpiewane są jakby z większym uczuciem i wzniosłością niż w trakcie zwykłej niedzielnej mszy, a słuchając ich, niejednokrotnie dostawała przyjemnych ciarek na plecach. Chociażby z tego powodu ani trochę nie żałowała tego krótkiego wieczornego wypadu do Suwałk.

Wróciła do Białodębów bez żadnych przygód, choć z duszą na ramieniu podczas przejeżdżania przez las. Wcale nie było powiedziane, że pan Zdancewicz nie był pracoholikiem i nie szalał gdzieś w okolicy nawet pomimo zmierzchu. We wszystkich domach w wiosce panowały egipskie ciemności. Jedyne źródło światła po raz kolejny biło tylko znad ganku domu Prusów. Brama na puste tak jak wczoraj podwórko wciąż była otwarta, toteż bez problemu na nie wjechała i zaparkowała w tym samym miejscu co poprzednio – ślicznie wyznaczonym na zaoranym przez Tomka w napadzie wściekłości trawniku. Nie dała rady wziąć wszystkich tobołów za jednym razem, dlatego postanowiła zrobić jeszcze jedną rundkę. Zrzuciła na siebie plecak, a dwie reklamówki z zakupami chwyciła w obie dłonie, po czym ruszyła w stronę domu.

Tuż przed samym wejściem zatrzymała się nagle, uniosła głowę i spojrzała na górujący nad nią budynek. Światło znad ganku oślepiło ją tak, że nie widziała za nim choćby zarysu tego potężnego kształtu. W żadnym oknie nie paliła się choćby jedna żarówka. Wiedziała, że musi wejść w ten ciemny prostokąt, który znajdował się tuż przed nią.

Tylko tyle i aż tyle.

Frontowe drzwi znowu były otwarte. Co prawda nie widziała tego, ale wiedziała, że tak jest. Drzwi do domu, a więc teoretycznie miejsca, gdzie każdy człowiek powinien czuć się bezpiecznie...

Teoretycznie...

Nie mogła pozbyć się tego wrażenia, które nagle ją uderzyło. Wrażenia, że coś się tam w nim czai... Nie, nie człowiek. Raczej jakby nieokreślone zagrożenie... Zło... Wbrew swojej woli przypomniawszy sobie leśny cień, który tak napawał ją lękiem.

„Błagam... Nie teraz!”

Powietrze znowu stało się ciężkie, a z każdym jej oddechem unoszący się w nim strach kumulował się w jej wnętrzu coraz bardziej. Przemogła się

jednak i zrobiła pierwszy krok, a po nim następne.

W holu panował gęsty mrok, przerywany jedynie odrobinę przez niewidoczne z zewnątrz światło z góry. Prawie wbiegła na schody i trochę za bardzo stukając podszwami o drewniane stopnie, szybko pokonała drogę na piętro. Pospiesznie przeszła przez całą długość korytarza i dopadła do właściwych drzwi.

Zamknięte... To gdzie on jest, do cholery?

Wtem sobie przypomniała, a po jej plecach spłynęły zimne, niewidzialne krople.

No tak, gdy wysiadał, zapomniała dać mu klucz... Szlag! Wprawdzie obydwójce w tamtym momencie nie mieli do tego za bardzo głowy, ale miała całkiem wiarygodne podstawy, by sądzić, że Tomasz W. nie uzna tego za wystarczające usprawiedliwienie. Klucz znajdował się w jej torebce, którą miała zamiar zabrać z samochodu za drugim razem. Zostawiła więc zakupy i plecak pod drzwiami i zbiegła z powrotem na dół.

Czym prędzej porwała z tylnego siedzenia swój nieodłączny skórzany atrybut oraz jeszcze jedną torbę z kupionym jedzeniem i zamknęła auto na centralny zamek. Gdy po raz kolejny przemierzyła truchtem długość od samochodu do drzwi wejściowych, zabrakło jej tchu i zwolniła. Idąc przez korytarz na dole, spojrzała w ciemność na niewidoczne w tym świetle drzwi od pokoju pana Jerzego i zastanawiała się przy tym, czy Prusowie wreszcie się go pozbyli. Nie żeby był to jakiś tam ich obowiązek, ale nie było co ukrywać – fajnie, gdyby tak się stało. Im mniej dodatkowych pożywek dla jej lęków, tym lepiej. Tak czy inaczej, niezależnie od tego, czy on nadal tam był, czy też nie, nie miała zamiaru sprawdzać tego osobiście. Ani na jawie, ani tym bardziej we śnie. Weszła na schody.

Nagle nocną ciszę przerwało głośnie skrzypienie starych zawiasów za jej plecami. Choć była odwrócona, wiedziała doskonale, które drzwi się właśnie się za nią otworzyły. No po prostu wiedziała. Wcale nie musiała się co do tego upewniać. Wcale a wcale.

Bała się początkowo odwrócić, ale zatrzymała się w połowie schodów. Upiorny dźwięk trwał i trwał, a im dłużej brzmiał w jej uszach, tym bardziej jej ciało pokrywało się gęsią skórą. Wstrzymała oddech.

Naprawdę nie potrzebowała do szczęścia wiedzy, kto stoi za jej plecami. Naprawdę! Zdecydowanie potrafiła wskazać znacznie bardziej niezbędne jej teraz do życia rzeczy. Na przykład ulotnienie się stamtąd jak



najszybciej.

Skrzypienie ustało, a po nim nastąpiła nieznośna cisza. Zaciśnięła zęby, zamknęła oczy, policzyła w myślach do trzech i się obróciła.

Gdyby nie wpadająca przez okno w tamtym pokoju poświata księżyca, ciężko byłoby nawet dostrzec, że drzwi są otwarte, ale dzięki srebrnemu blaskowi doskonale widziała zarys stojącej nieruchomo w progu postaci. Nie przesłaniała ona jednak pokoju na tyle, by nie zauważyć, że łóżko, w którym poprzednio leżał zmarły, było puste.

Karolina przełknęła ślinę. Zanim na dobre po raz kolejny ogarnął ją lęk, szczęśliwie rozpoznała sylwetkę tajemniczej osoby po samym jej czarnym konturze.

– Do... Dobry wieczór.

Nie odrywając od dziewczyny beznamiętnego wzroku, babcia Natalii wyszła powolnym krokiem na korytarz.

– Dobry wieczór – odpowiedziała sucho.

– Mam nadzieję, że nie obudziłam? Mogłam trochę hałasować, jak zbiegałam po schodach...

– Istotnie... – urwała staruszka, pozostawiając przez moment Karolinę w niepewności – ...hałasowałam.

– Przepraszam najmocniej.

Kobieta nie odpowiedziała i nastąpiła kolejna niezręczna pauza. Karolina gorączkowo szukała w myślach czegokolwiek, co pomogłoby jej rozładować tę chłodną atmosferę. To było nawet dobre ćwiczenie zawodowe. Z jej przyszłymi pacjentami mogło być w końcu nawet gorzej. A poza tym miała już serdecznie dość sytuacji, w której tamta ciągle na nią warczy. Wzrok dziewczyny ponownie padł na pokój za plecami pani Prusowej.

– Naprawdę bardzo pani współczuję z powodu śmierci męża. Wiem, że to musi być trudne.

Znowu nie odpowiedziała. Niezrażona tym Karolina ciągnęła więc wytrwale dalej.

– W końcu przeżyliście państwo ze sobą tyle lat... Miejmy nadzieję, że jest szczęśliwy w niebie. W końcu nie wątpię, że tam się właśnie znalazł? – Uśmiechnęła się współczująco, najbardziej szczerze, jak tylko mogła. Staruszka wyglądała z początku, jakby miała zamiar odpowiedzieć jej coś w stylu „nie twoja sprawa, smarkulo” albo „co ty możesz wiedzieć,

gówniaro, o utracie osoby, z którą przeżyło się większość życia?”, ale przypomniała sobie chyba poranne słowa Natalii, bo koniec końców powiedziała tylko:

– Dziękuję.

Karolina poczuła się trochę raźniej, bo było to *de facto* pierwsze inne niż z gatunku „ty pieprzony bachorze” słowo, jakie usłyszała z jej strony. A więc może było jednak dla niej jakieś małe światełko w tunelu, lekko uchylona furтка, by spędzić święta w dobrej komitywie ze wszystkimi mieszkańcami tego domu, a nie tylko z jednym. Postanowiła za wszelką cenę tego nie zepsuć.

– Nie będę już pani zawracać głowy. Przepraszam jeszcze raz za ten hałas. Wracam do pokoju i obiecuję, że nie będziemy już państwu sprawiać żadnych problemów. Kłaniam się nisko i życzę dobrej nocy. – Faktycznie skłoniła się lekko, skinęła jej i ponownie zwróciła się ku szczytowi schodów.

Nagle usłyszała ten dźwięk.

Odwróciła się z powrotem. Babcia Natalii stała niezmiennie w tym samym miejscu co poprzednio i mierzyła ją zimnym wzrokiem. Karolina była lekko skonfundowana i zbита z tropu. Postanowiła jednak nie wnikać, czy to, co usłyszała, było rzeczywiście tym, o czym myślała. Bez słowa spuściła wzrok i dynamicznie pokonała stopnie.

„Splunęła? Naprawdę? Aż tak jej załazłam za skórę?” Wprawdzie ciężko jest pomylić ten charakterystyczny odgłos z czymkolwiek innym, ale...

„Nieeee no... Nie mogła splunąć! Jaki by miała powód? Co ja jej takiego zrobiłam?”

Z zajęta intensywnym wyszukiwaniem swoich domniemyanych zbrodni głową dotarła do upragnionych drzwi i dopiero wtedy po raz kolejny przypomniała sobie o Tomku i braku klucza. Ciekawe, gdzie jej ukochany złoźnik się właśnie podziewa... Pewnie – o ile to możliwe – jest jeszcze bardziej wściekły niż wtedy, gdy się rozstawali. Trudno. Jakoś to przeżyje.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, naszło ją wspomnienie jego lekko nieprzytomnego wzroku, kiedy widzieli się ostatni raz. Czym prędzej wyszukała więc w torebce klucz i otworzyła drzwi. Złowieszczy trzask zamka rozniósł się po całym domu.

Lekko opadło z niej napięcie, gdyż potężne wybrzuszenie wyraźnie

widniało na łóżku po jego lewej stronie. Tak więc najważniejszy problem – znalezienia jej marnotrawnego syna – został rozwiązany. Pomyślał, by poprosić Prusów o zapasowy klucz. Całe szczęście.

Podeszła do niego. Zdziwiło ją nieco, gdy zobaczyła, że opatulił się pościelą tak, jakby mieli co najmniej środek zimy. Ostrożnie wsadziła rękę pod kołdrę i dotknęła jego pleców. Spocony... Pięknie. Czyli znajdowała się między młotem a kowadłem. Zaiste – lepiej tej sytuacji nie można było oddać. Albo znowu ma hipoglikemię, albo zaraz zacznie na nią warczeć za bezpodstawne budzenie. A na dokładkę zaraz przypomni sobie też o kluczu, kłótni...

Westchnęła.

– Tomek – szepnęła, trącając go delikatnie. Otworzył oczy niemal natychmiast. Tak jakby w ogóle nie spał... Wyglądał na stuprocentowo przytomnego.

– Co jest?

– Już nic. Przepraszam, że obudziłam. Śpij.

Poczuła ciepłe rozluźnienie. Wszystko było w najlepszym porządku. Ponadto Tomek nie odpowiedział, tylko znowu zamknął oczy i podjął przerwany sen, co było kolejną zaskakującą i zarazem przyjemną odmianą. Uśmiechnęła się pod nosem. Sprawdziła się jeszcze jedna z wielu mądrości, które od małego wpajał jej tata: nie ma co się martwić na zapas, bo i tak dziewięćdziesiąt procent problemów rozwiązuje się samo. Jakże rzadko go w tym względzie słuchała!

Usiadła na łóżku i zaczęła się rozbierać.

Jej obsesja na punkcie zdrowia Tomka zakrawała już niemalże na hipochondrię, z tą drobną różnicą, że nie martwiła się o siebie, a o kogoś innego, co dodawało tej sytuacji jeszcze więcej komizmu. Może on miał rację? Może naprawdę dla ich dobra powinna trochę wyluzować? Owszem, interweniować, kiedy trzeba, ale bez przesady. W gruncie rzeczy powinna zdawać sobie sprawę, że traktowanie jej dorosłego w końcu mężczyzny jak dzieciaka na pewno bardzo go irytowało, ale tak jakoś... dopiero teraz spojrzała na to z jego perspektywy.

Lepiej późno niż wcale.

Miała dylemat, czy iść pod prysznic, bo strasznie jej się nie chciało (i nie chodziło tu o strach przed czymkolwiek, a o zwyczajne, połączone ze zmęczeniem lenistwo), ale ostatecznie się zmobilizowała. Umyła się

pobieżnie, wyszorowała zęby i ubrała piżamę jeszcze w łazience. Już miała otworzyć drzwi od ich sypialni, gdy te naprzeciwko lekko się uchyliły.

– Cześć.

– Cześć. Mam nadzieję, że nie obudziłam? – zapytała Karolina drugi już raz w trakcie tego wieczoru.

– Nie, spoko. Jeszcze nie spałam. Tak pomyślałam, że to ty, i specjalnie wyszłam się zapytać: jak tam dzisiejsza wycieczka? Opowiadaj! – odparła z entuzjazmem Natalia.

– Bardzo fajnie. Krajobrazy naprawdę robią wrażenie.

– Zaliczyliście wszystko to, co chcieliście?

– No... – zaczęła Karolina, ale otworzywszy szerzej drzwi, blondynka zaprosiła ją gestem do środka.

– Sorry, że ci przerwę. Po co mamy stać na korytarzu? Nie chcesz wejść pogadać?

– Chętnie, kochana, ale niestety jestem tak padnięta...

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się tamta.

– Byliśmy prawie wszędzie. Na Smolniki zabrakło nam czasu... Może jutro z rana przed Suwałkami namówię Tomka... A właśnie, pewnie był wściekły, prawda?

– Dlaczego?

– Jak go wysadzałam, zapomniałam dać mu klucz...

– Spoko, na szczęście mamy ten zapasowy, który wcześniej znalazłaś. No, ale jak już pytasz, to tak, był dosyć zirytowany...

– Powiedział ci coś? – ożywiła się nagle Karolina. Co prawda nie sądziła, by Tomkowi aż tak było spieszno do dzielenia się z kimkolwiek swoimi problemami, ale nie zapominajmy, że to była przecież Natalia.

Prusówna nie odpowiedziała od razu. Wyglądała tak, jakby zastanawiała się trochę nad odpowiedzią. Po chwili oznajmiła w końcu:

– Neeee, nic nie mówił. Ale wyglądał na wkurzonego. Nie wnikałam.

– Tak myślałam... No nic. Może do rana trochę ochłonie. Ale i tak dzięki za zaopiekowanie się moim małym chłopcem. A teraz wybac mi, ale serio o niczym innym tak teraz nie marzę, jak walnąć się wreszcie na wasz mięciutki materac...

– Nie ma za co. I pewnie, odpoczywaj. Dobranoc.

– Dobranoc.

Każda z nich poszła w swoją stronę i już miały zamknąć się

w pokojach, gdy Karolina przypomniała sobie coś jeszcze.

– Aaa... Natalia...

– Tak?

– Głupio mi trochę tak nadużywać waszej gościnności. Postanowiliśmy („to znaczy na razie ja, ale mam nadzieję, że Tomek też nie będzie miał nic przeciwko”), że od jutra będziemy jeść śniadanie sami, we własnym zakresie. To znaczy... Aaa, no podstawowa kwestia, czy w ogóle planowaliście jutro z rana też nas nakarmić – zreflektowała się. Poczuliście się jeszcze głupiej. Nie mogła przecież przyjmować tego za pewnik. To mogła być lekka gafa.

– Planowaliśmy. To naprawdę żaden problem.

– Nie wątpię, ale mimo wszystko poczułabym się lepiej. I bez tego jest nam tu u was fantastycznie („gdyby nie twoja babcia”).

– Skoro tak mówisz, to nie będę nalegać. Mam tylko nadzieję, że to nie dlatego, że wam nie smakowało? – Natalia się zaśmiała.

– Żartujesz? Było wspaniale! Właściwie to najlepszym rozwiązaniem byłoby, jakbyśmy nadal jedli wasze, ale za opłatą. Na inny układ się nie zgodzę.

– No to, niestety, nie dogadamy się, skarbie. Albo za darmo, albo w ogóle – odrzekła udawanym stanowczym tonem Natalia i mrugnęła porozumiewawczo.

– Twarda z ciebie negocjatorka – zażartowała Karolina. – I fajna dziewczyna – dodała. – Naprawdę miło było cię poznać i równie miło cię znać.

– A dziękuję. Ciebie również.

– Ale sobie słodzimy! Dostyc już tego na dziś. Naprawdę lecę spać. Dobrej nocy.

– Pa.

Zamknęły swoje drzwi na klucze od wewnątrz niemal równocześnie. Karolina odczuwała takie małe pozytywne uniesienie z sympatii do tej dziewczyny. Życzliwość to jest jednak potęga. Gdyby wszyscy ludzie byli dla siebie tak mili, to niewątpliwie świat byłby piękniejszy.

Podłączyła telefon do ładowarki, a potem z lekkim uśmiechem pod nosem położyła się w przyjemnie chłodnej pościeli i przytuliła się do Tomka. O dziwo – choć spodziewała się lekkiego smrodka – pomimo potu pachniał całkiem przyjemnie. Jakiś nowy żel pod prysznic? Oby go w takim

razie nie zmieniał.

Zamknęła oczy i pod wpływem zmęczenia odpłynęła już po kilku minutach.

## ROZDZIAŁ VII

Tomek obudził się jako pierwszy. Zresztą – trudno było nawet o tym mówić, bo żeby się obudzić, trzeba najpierw zasnąć. Praktycznie nie zmrużył oka. Przez całą noc goniły go na jawie głupie myśli, a on w dalszym ciągu nie potrafił przed nimi uciec. Były przyczepione do niego jak rzep do psiego ogona. Ciągnęły się za nim jak cień.

Do tego się bał. Jak cholera. Bez owijania w bawełnę i zbędnego pieprzenia – musiał to przyznać. Bał się. Bał się, że straci Karolinę. Bał się nadchodzącego dnia oraz wszystkich kolejnych, które miały go trzymać w niepewności. Bał się niechybnego spotkania z Natalią i tego, jak to się wszystko dalej potoczy. Bał się tych pieprzonych chorób wenerycznych. Bał się, że piękna dziewczyna zajdzie w ciążę...

Po prostu się bał.

Na ogół nie miał w zwyczaju rozmyślać w ten sposób i martwić się na zapas, ale teraz była to już zupełnie inna sytuacja. Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkał. Nigdy! Tu ważyło się praktycznie całe jego dalsze życie. Być albo nie być. Wszystko albo nic. Czuł, że przez tę jedną noc wydorósł jak jeszcze nigdy.

Tylko jedna rzecz sprawiała, że jeszcze kompletnie nie odszedł od zmysłów.

Widok jego słodko śpiącej dziewczyny.

Drobne, rozkoszne, niewinne stworzonko... A do tego była tak śliczna, tak piękna... Było dla niego niepojętym, jak mógł w ogóle kiedykolwiek spojrzeć na inną.

Nie wspominając już o innych czynnościach... Na tę myśl nieopuszczając go od wielu godzin drzenie z emocji tylko przybrało na sile. Spróbował się opanować.

Ostrożnie pogłaskał Karolinę po czole. Otworzyła oczy. Wziął jej włosy między palce i zaczął je powoli czesać. Rozumieli się bez słów, które i tak były w tym momencie zbędne. Nie było nawet konieczne werbalne wyartykułowanie przeprosin. Obydwoje wiedzieli, że każde z osobna żałuje swoich wczorajszych słów i postanawia poprawę. Patrząc sobie w oczy, leżeli tak jeszcze naprzeciw siebie (z krótkimi przerwami na czułe pocałunki) przez dobre pół godziny.

Karolina nawet nie podejrzewała, że potrzebował jej bliskości znacznie bardziej niż ona jego. Jej kojące ciepło bardzo mu pomogło. Dałby głowę,

że biło nie z jej ciała, a prosto z czyściutkiej jak łza duszy. To uczucie było po stokroć lepsze niż seks. Tym bardziej bolesna była więc perspektywa, że mógł go już nigdy więcej nie zaznać...

Choć było im ze sobą cudownie, a za sprawą Tomka moment wstawania znacznie przeciągał się w czasie, koniec końców i tak był on nieunikniony. Wraz z każdą zbliżającą ich do śniadania i spotkania z Natalią minutą chłopak stawał się coraz bardziej niespokojny. Szczęściem w nieszczęściu całkiem zgrabnie radził sobie z ukryciem tego i Karolina – która wzięła to po prostu za typowy *after* po kłótni, kiedy to zawsze trzeba było się stopniowo dotrzeć – nie nabrała żadnych podejrzeń. Niemniej po ubraniu i odświeżeniu się miał już taką gulę w gardle, że nie spodziewał się, by przełknął za chwilę cokolwiek. Wstrzyknął więc sobie dla niepoznaki zaledwie dwie jednostki insuliny.

Już mieli schodzić, gdy dziewczyna nagle zatrzymała się, objęła go i powiedziała z lekką obawą w głosie:

– Nie pogniewasz się, kochanie, jak ci powiem, że od dzisiaj jemy we własnym zakresie? Uzgodniłam to wczoraj wieczorem z Natalią.

„Gadałaś wczoraj z Natalią?!” – zmroziło go.

– Ale...

– Głupio mi po prostu tak ciągle od nich brać. Mieszkamy za friko, jemy za friko... Ona mówiła, że to żaden problem, ale jednak... Zrobiłam wczoraj przed kościołem własne zakupy. Przepraszam, że nie skonsultowałam tego z tobą, ale już spałeś...

„Ja miałbym się gniewać za to, że rozwiązałaś mój największy problem tego poranka?! Chyba żartujesz. Kocham cię!”

– A gdzie będziemy jeść?

– Wypadałoby w kuchni. A co?

„Cholera”.

– No dobra. Nie no, nie gniewam się. Masz rację.

„Kocham cię” – tym razem to Karolina zdobyła się na taką myśl.

Niosąc w siatkach swoją żywność, zeszli na dół. W kuchni szczęśliwie nie było nikogo, a stół – zgodnie z wczorajszymi ustaleniami między dziewczynami – był pusty. W schodzącym z niego napięciu Tomek wypuścił głośno powietrze, na co Karolina także nie zwróciła na szczęście najmniejszej uwagi.

Wyglądało bowiem na to, że na razie mu się upiekło. Natalia w dalszym



ciągu w każdej chwili mogła tu wkroczyć, ale... nagle stał się dziwnie pewien, że jednak tego nie zrobi. Męska intuicja. Może też nie chciała go widzieć? Przypomniawszy sobie jej pełną smutku twarz, gdy rozstawali się ostatniego wieczora. Choć niewątpliwie była na swój sposób jedyna w swoim rodzaju, to bądź co bądź – BYŁA KOBIETĄ! Do tego odrzuconą... Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto... No dobra, lekko przesadził. Powiedzmy osiemdziesiąt na sto kobiet w takiej sytuacji nie chce nawet na drania patrzeć. A poza tym gdyby chciała jakkolwiek mu zaszkodzić, to zrobiłaby to jeszcze wczoraj, gdy rozmawiała z Karoliną, ale z jakiegoś powodu do tego nie doszło.

Może więc naprawdę martwił się na zapas?

Ta myśl wyraźnie go pokrzepiła i trochę się rozluźnił. A za najlepszy dowód wyraźnej poprawy jego nastroju posłużył fakt, że z każdą sekundą odzyskiwał wilczy apetyt.

Karolina rozłożyła na blacie leżące na wierzchu sztucce i talerze oraz wyciągnęła z toreb jedzenie.

– No, no, no. Widzę, że o niczym nie zapomniawszy!

– Staram się. – Uśmiechnęła się.

Tomek pochłonął błyskawicznie olbrzymie porcje wszystkiego, co tylko znajdowało się na stole, i jako mężczyzna (od wczoraj) idealny, gdy Karolina także skończyła swój posiłek (w przeciwieństwie do jego jej śniadanie było skromne i bezmięsne, jak na Wielki Piątek przystało), pomógł jej sprzątnąć i pozmywać. Mieli nadzieję, że Prusowie nie obrażą się też za zajęcie części przestrzeni w lodówce.

Nie chcąc dłużej tracić czasu, pospiesznie umyli zęby, spakowali się i już po chwili byli gotowi na drugi dzień swojej eskapady.

„Uratowany!” – pomyślał z ostateczną ulgą Tomek, gdy tylko wyjechali z Białodębów. Uratowany – przynajmniej do wieczora. Co prawda ciągle istniało zagrożenie, że Natalia skontaktuje się z Karoliną przez telefon, ale jakoś sobie tego nie wyobrażał. „Cześć, bzykałam się wczoraj z twoim facetem, a potem namawiałam go, by cię rzucił, ale się nie zgodził. A tak w ogóle to miłego zwiedzania”.

Słowem – dzień ten nie mógł się lepiej dla niego zacząć! Niepojęte, jak bezboleśnie się to wszystko rozegrało!

Za namową Karoliny postanowili zacząć od Smolnik i punktu widokowego, którego wczoraj nie zaliczyli.

„Dwa złote za wejście... Chryste... Znaczy serio?”

Jeszcze wczoraj zakończyłoby się to u niego ostentacyjnym (nieodpłatnym oczywiście) wejściem tuż pod samym nosem siedzącego w prowizorycznej budce i kasującego frajerów faceta, ale dziś – w ramach tymczasowej pracy nad swoim temperamentem i silnym postanowieniem uszczęśliwiania swojej dziewczyny za wszelką cenę – zacisnął zęby i nie odezwał się nawet słowem. I tak to Karolina płaciła, gdyż jego portfel w dalszym ciągu był pusty.

Pejzaż składający się z kilku jezior i zalesionych wzgórz był przepiękny, ale... DWA ZŁOTE?!

Po kilkunastu minutach i kilku zdjęciach wrócili do samochodu. Zajmując miejsce za kierownicą, Tomek nie do końca świadomie przeleciał wzrokiem przestrzeń między fotelami i dopiero wtedy o czymś sobie przypomniał.

„Błagam... Tylko nie to”.

Zaczął intensywnie wypatrywać tego czegoś, najpierw tam, gdzie to wczoraj położył (a konkretnie rzucił), a potem zajrzał pod swój fotel. Zero.

– Czego szukasz?

– Manda... tu... – warknął z początku, ale po chwili się opanował i dokończył już w miarę normalnym głosem. – Nie ruszałaś go przypadkiem?

– Nie... – odparła zaniepokojona. Nie tym, że świstek zaginął, rzecz jasna, a jego kolejnym nagłym napadem ukrytego szалу. Niemal czuła bijące od niego gorąco. Szkoda byłoby tak szybko spieprzyć to, co udało im się rankiem naprawić.

– Spokojnie... Na pewno gdzieś tu jest. Sprawdzę pod swoim fotelem.

Jak powiedziała, tak zrobiła, ale tam także nie było po papierku nawet śladu. Przetrzęsali schowek, zajrzeli pod dywaniki, na tylne siedzenia, nawet w absurdalnym pomysle nie omieszkali sprawdzić bagażnika. Bezskutecznie jednak – mandat wsiąkł gdzieś jak kamień w wodę.

– Jesteś pewna, że go nie brałaś?

– Przysięgam ci, że nie.

Pięknie, a już zaczynał chwalić dzień przed zachodem. Planował opłacić ten jebany wypierdek brudnych dłoni tego leśnego pajaca dzisiaj w Suwałkach, ale bez numeru konta, który na nim widniał, nie mógł tego zrobić. Oznaczało to, że jeżeli w jakiś sposób go nie znajdzie (na przykład

w internecie albo dzwoniąc pod odpowiedni numer), będzie dodatkowe pięć dyszek w plecy z powodu nieopłacenia mandatu w terminie. A to nie był jeszcze koniec dobrych wiadomości! Ha, co to, to nie! Do pełni szczęścia brakowało jeszcze, by nachodziły go w Warszawie urzędnicze pijawy – jak się to ładnie mówi – „dochodzące roszczeń na drodze administracyjnej egzekucji”... Mówisz i masz! Kelner, a macie jeszcze w menu opcję, by przyszli akurat tego dnia, gdy będę siedzieć na uczelni do osiemnastej? Podano do stołu!

Zamknął oczy, uniósł głowę i wziął kilka głębokich wdechów.

Karolina oczekiwała w napięciu. Miała poczucie winy. Mówiła prawdę. Co do tego, że nie tykała mandatu, była stuprocentowo pewna, ale że na przykład nie wywiało go w którymś momencie w Suwałkach albo gdy dynamicznie zabierała zakupy z tylnego siedzenia wczoraj wieczorem w Białodębach – już nie. Modliła się w duchu, by jednak się znalazł. Skoro był i go nie ma, to – jakkolwiek by się tego wypierała – jako jedyny użytkownik samochodu od tamtej pory MUSIAŁA być w jakiś sposób za to odpowiedzialna.

Ciepłe wiosenne powietrze dobrze zrobiło Tomkowi.

– Dobra... Trudno. Jedźmy już.

– Przepraszam...

– Za co?

– No bo skoro wczoraj, jak wysiadałeś, tam leżał...

– Może i tak. Nieważne już. Jedźmy.

– Przepraszam, Tomek!

– Nie gniewam się na ciebie. Naprawdę.

I tak mu nie wierzyła, ale przynajmniej sprawa miała jako tako spokojny finał. Zajęli bez słowa swoje miejsca. Pisk opon tylko utwierdził Karolinę w przekonaniu, że się nie myliła.

Wjechali do Suwałk znaną im już z przedwczoraj drogą. Po ich lewej stronie widniały spore zespoły wysokich blokowisk. Planowali na początek zostawić samochód gdzieś w centrum i obejść trochę miasto piechotą.

Założona w 1690 roku przez zakon kamedułów z pobliskiego klasztoru przy jeziorze Wigry stolica Suwalszczyzny jest drugim – po Białymstoku – co do wielkości miastem województwa podlaskiego. Powstała na bazie małej osady w pobliżu Czarnej Hańczy, stworzonej jeszcze kilka wieków wcześniej przez grupę niezidentyfikowanych wędrowców (po litewsku

*suwiłkaj*). Mieli oni wolną rękę, gdyż Jaćwież po krwawych wyprawach krzyżowych była niemal całkowicie wyludniona. Miejscowość została ogłoszona miastem w roku 1715, a pięć lat później August II Mocny dzięki swojej władzy potwierdził jej prawa miejskie. Nie dało się ukryć, że była głównie efektem agresywnej ekspansji kolonialnej zakonników, którzy stworzyli na tych terenach całkiem sprawnie działający przemysłowo-rzemieślniczy system gospodarczy.

W trakcie swojej historii Suwałki wielokrotnie zmieniały przynależność państwową. W roku 1795 zostały włączone do Królestwa Prus, by już po dwunastu latach wejść w skład Księstwa Warszawskiego. W czasie drugiej wojny światowej najpierw zostały zajęte przez Armię Czerwoną, a po podpisaniu paktu o przyjaźni i granicach przypadły w udziale III Rzeszy pod nazwą Sudauen.

Obecnie miasto to ma około siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców i jest ośrodkiem przemysłu drzewnego (zwłaszcza meblarskiego), budowlanego i spożywczego. Znane jest również z corocznego letniego festiwalu muzyki bluesowej.

Zamiast w ścisłym centrum Tomek zaparkował pod halą miejskiego ośrodka sportu i rekreacji (z prostego powodu – jechał przed siebie tak długo, aż wypatrzył miejsce, przy którym nie było parkomatów), a że niedaleko znajdował się miejski zalew, postanowili zacząć swój spacer od jego obejścia. Minęli też przy okazji będący w trakcie budowy stadion piłkarski, na którym na co dzień gra drużyna suwalskich Wigier. Z racji zainteresowania futbolem Tomek zawsze zwracał uwagę na tego typu obiekty w każdym polskim mieście, w jakim tylko miał szczęście lub nieszczęście się znaleźć. Teraz odniósł z tego jeszcze dodatkową korzyść, gdyż udało mu się wyrzucić z głowy pochmurne myśli i nastrój wyraźnie mu się poprawił. Przynajmniej na moment. Dobre i to.

Po okrążeniu zalewu postanowili iść wzdłuż Czarnej Hańczy, która przecina Suwałki właśnie niedaleko tego zbiornika. Tomek nagle się zatrzymał.

– Co tam?

– Chyba jednak mam dzisiaj szczęście. – Wskazał na ogrodzony, samotnie stojący budynek tuż przy moście nad rzeką. Okazały szyld głosił, że była to siedziba nadleśnictwa.

– Może tam pójdziemy? Na pewno będą wiedzieli, jaki jest ten

pieprzony numer konta. Może nawet to tam uda mi się zapłacić?

– No, pewnie masz rację. Chodźmy.

Po wejściu do imponującego gmachu i kilku szybkich pytaniach zostali skierowani do straży leśnej. Tam Tomek wyjaśnił pokrótce swój problem. Wyglądająca na lekko zołzowatą pani z miną pełną politowania spojrzała na ekran swojego komputera i zapytała:

– Nazwisko?

– Wawrentowicz.

Poszukała czegoś w systemie i uniosła brew.

– Nie mamy pana w bazie.

– Jak to?

– Kiedy dostał pan ten mandat?

– Wczoraj wieczorem, jakoś o osiemnastej.

– Możliwe, że nie został nam zatem jeszcze zgłoszony. Pamięta pan kwotę?

– Eee... Nie.

Wydawało się to niemożliwe, ale swoim wyrazem twarzy babka jeszcze bardziej sugestywnie dała im odczuć, że jej zdaniem rozmawia z kompletnym idiotą.

– Proszę więc przyjść po świętach. Myślę, że wtedy będziemy już mieli te dane.

– Tak, tylko że nie jesteśmy miejscowi. W poniedziałek mieliśmy zamiar wracać do Warszawy... – Tomek zdawał sobie sprawę, że z każdym swoim słowem wprawia kobietę w coraz większą irytację, ale nie dbał o to. Jak na swój temperament sam był w tej sytuacji zadziwiająco cierpliwy i spokojny.

Pani ostentacyjnie wypuściła powietrze z pełnym dezaprobaty dźwiękiem.

– No to nie wiem. Może pan do nas zadzwonić na przykład.

– A nie możecie na przykład zadzwonić do tego leśnika? Myślę, że mnie pamięta. Przy okazji wam to zgłosi – przedstawił pomysł, który przed chwilą wpadł mu do głowy, i nim kobieta zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: – Jeżeli poda mi pani numer, to mogę nawet zadzwonić ze swojej komórki. Nie ponosicie więc państwo żadnych kosztów.

Księgowa ponownie spojrzała na ekran komputera.

– A jego nazwisko pan chociaż pamięta? – spytała kpiącym tonem.

– Oj tak, nie dałoby się zapomnieć tak sympatycznego jegomościa.  
Leszek Zdancewicz.

Tym razem kobieta uniosła obie brwi.

– Jest pan pewien?

– Jak najbardziej. Tak właśnie mi się przedstawił.

– To niemożliwe, bo nikt o takim nazwisku u nas nie pracuje... Co więcej: nie pracuje u nas ktokolwiek, kto miałby nawet choć trochę podobne nazwisko.

– Słucham?!

– Którego słowa pan nie zrozumiał?

– Może go pani kojarzy zatem. Wysoki, chudy, tak na oko jakieś czterdzieści lat, hiszpańska bródka...

– Przykro mi, nie znam na pamięć wyglądu wszystkich naszych pracowników. Ale i tak nie przypominam sobie, by pracował u nas ktokolwiek, kto pasowałby do tego rysopisu.

Tomek spojrzał na Karolinę, która rozumiała z tego wszystkiego tyle co on, czyli nic. Nie chciał o tym myśleć, by się jeszcze bardziej nie zdenerwować, ale sensowne wytłumaczenie nasuwało się tylko jedno.

Chory psychicznie (no bo chyba ktoś, kto z nudów oddaje się takim zajęciom, zdrowym na umyśle być nie może?) leśny klaun zrobił mu perfidny dowcip...

Z jednej strony fajnie by było, bo wtedy nie musiałby płacić żadnego mandatu, ale z drugiej... Jeżeli ta hipoteza okazałaby się prawdziwa...

No zajebałby go chyba teraz! Pewnie do tej pory gościu ma niezły ubaw...

Nieprawdopodobne...

– Wie pan co, jestem trochę zajęta. Mam propozycję. Jeżeli jakikolwiek mandat pojawi się u nas w bazie na pana nazwisko, a będę o tym wiedzieć, bo to ja zawsze wprowadzam, to zadzwonimy do pana i zapłaci pan po prostu daną kwotę w Warszawie. Może być?

– Może. Dziękuję.

Po podaniu jej numeru telefonu i pełnych danych osobowych, a następnie uprzejmym pożegnaniu się (na co odpowiedziała z niezmiennym u niej wyrazem twarzy pełnym politowania) wyszli z powrotem na ulicę.

– Jaja. No tego to ja się kompletnie nie spodziewałem...

– Ciesz się, może ci się upiecze. – Karolina wzięła go za rękę i przytuliła się do jego ramienia.

– Może i tak, ale jaką trzeba mieć sieczkę w mózgu, by odwalać takie numery... Należałoby go złapać i leczyć! Zanim zrobi coś niebezpiecznego!

W wyraźnie lepszym nastroju postanowili wrócić na wcześniej obrany kurs wzdłuż rzeki. Po przebyciu pewnego dystansu u stóp stromego wzniesienia tuż przy niej przeszli przez mały most dla pieszych i znaleźli się na ulicy Noniewiczza, gdzie już na samym jej początku przywitał ich gmach suwalskiej państwowej wyższej uczelni. Tuż po tym, jak zaliczyli później park Marii Konopnickiej z pomnikiem tejże urodzonej w Suwałkach pisarki w centralnym jego punkcie, Tomek znalazł w końcu upragniony bankomat i napełnił swój portfel.

Po jakimś czasie doszli do największej galerii handlowej w mieście. Już mieli do niej wejść w celu skorzystania z ewentualnego darmowego Wi-Fi, gdy czujne oko chłopaka wypatrzyło w oddali restaurację McDonald's. Była już właściwie pora na coś pomiędzy drugim śniadaniem a obiadem, a on pomimo obfitego porannego posiłku już teraz czuł ponowne ssanie w żołądku. Nie robili sobie podręcznych zapasów na dzisiejszy wypad, bo przecież coś do przegryzienia zawsze można było kupić w mieście.

– Idziemy do maka?

– Już jesteś głodny?

– Mówiąc szczerze, to tak.

– A nie lepiej zjeść coś konkretnego w jakiejś normalnej restauracji?

– Zjemy, bez paniki. To będzie tylko rozgrzewka.

Po wejściu do mcdonalda Tomek stanął w ogromnej kolejce, a na Karolinie spoczął obowiązek znalezienia i zajęcia im jakichkolwiek wolnych miejsc przy stolikach, co jej się w końcu udało, ale z niemałym trudem. Popatrzyła z pewnym żalem po beztrosko wsuwających hamburgery i panierowane nuggetsy z kurczaka ludziach wokół. Może nie był to od razu jeden z dowodów, że chrześcijaństwo przechodziło w ostatnim czasie w Polsce wyraźny kryzys, ale tak czy inaczej obrazek ten był dosyć wymowny. Niby Wielki Piątek, a jednak dla większości tych ludzi dzień taki jak zawsze...

Wyglądało, że Tomek nieprędko do niej dołączy, więc dla zabicia czasu postanowiła przejrzeć wiszącą na drewnianym wieszaku gazetę. Polityka...

Nuda. Gospodarka... Ziew. Sport... Nieee... W nadziei, że przeczyta o jakimś ciekawym wydarzeniu w Suwałkach, w którym ewentualnie mogliby wziąć udział, otworzyła więc regionalny dodatek. Gdy przewracała strony, zatrzymała się na tradycyjnej dla tej gazety stopce o zaginionych osobach.

Przejrzała zdjęcia. Zwróciła uwagę, że wszyscy zaginieni wyglądali na osoby chore psychicznie lub co najmniej nie do końca zrównoważone, więc w większości – o ile oczywiście jeszcze żyli – pewnie nawet nie zdawali sobie sprawy, że ktoś ich teraz opłakuje.

Wszyscy... poza jedną kobietą.

„Anna Żukowska, lat 49, zaginęła 11.04.2011”.

Karolina przyjrzała jej się uważnie. Co prawda pozory mogły mylić, ale miała pewien talent do trafnego oceniania (w pozytywnym sensie) cech charakteru po samym wyglądzie i gestach spotykanych ludzi. Oczywiście miała otwarty umysł i nigdy nie przyjmowała swoich wniosków za pewnik, ale próbować zgadywać nigdy nie zaszkodziło. Na tym zdjęciu Anna sprawiała wrażenie konkretnej, twardej i dbającej o siebie kobiety. Jak na swój wiek była dosyć atrakcyjna, wyglądała wręcz na bizneswoman z klasą. Na pewno odniosła w życiu sukces zawodowy, osobisty – już niekoniecznie, bo wyraźnie wyglądała na osobę, która nie daje sobie wejść na głowę. Na pewno jednak nie mogło jej złamać byle co.

Co takiego musiało się zatem wydarzyć w jej życiu, że zdecydowała się na tak dramatyczny krok i ucieczkę od tego wszystkiego bez żadnego ostrzeżenia?

A może wcale o tym nie decydowała...? Na tę myśl przeszył Karolinę lekki dreszcz.

Zamrugła.

W ułamku sekundy zeszywniała, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęcia kobiety, na którym ta wykrzywiała się do niej teraz w pewnym nienawiści grymasie... Nie była to jedyna na nim zmiana. Przerażliwie blada i wychudła w porównaniu z poprzednim wizerunkiem twarz aktualnie była niesamowicie brudna, a oklapłe włosy zlepiały się na niej w obrzydliwie tłuste strąki. Oczy stały się zupełnie czarne, a wokół ust pojawiła się purpurowa obwódka, która bynajmniej nie była szminką... Co więcej – na fotografii zmieniła się także pozycja, w której uwieczniono kobietę. Teraz wyciągała ona rękę w kierunku Karoliny, jakby chcąc rozszarpać ją



szponami, którymi zakończone były jej zdeformowane, powykęcane palce...

Dziewczynie zaschło w ustach.

– Karolina?! To ty? Nie wierzę!

Z trudnością oderwała od zdjęcia zahipnotyzowane przez te dwa czarne punkty oczy i z nieprzytomnym wzrokiem rozejrzała się za głosem, który ją wywołał. Z początku nie poznała dziewczyny, do której należał.

– Tutaj!

– A... Aśka?!

– Spróbowałabyś nie pamiętać, to bym ci nakopała w tyłek! Ale jaja! Jaki ten świat mały!

Jeszcze raz rzuciła okiem na zdjęcie, które wyglądało teraz identycznie jak jego wersja na samym początku, i zamknęła gazetę. Trochę za szybko... Jęknęła w duchu i starała się zachowywać jak najbardziej naturalnie, co nie było wcale takie proste, zważywszy, co przed chwilą zobaczyła, oraz – na domiar złego – kogo miała właśnie przed sobą.

Joannę Leszczyńską...

Modliła się w duchu, by ta niczego nie zauważyła oraz by nie zadawała tych swoich pytań, które nie ustawały, ilekroć uparcie chciała coś wiedzieć. Niebiosa najwyraźniej wysłuchały jej błagań, gdyż jej koleżanka z liceum wciąż skupiała się na niewiarygodnym zbiegu okoliczności, jakim było ich spotkanie.

– Co ty tu robisz?!

– Eee... Świąteczna wycieczka. A ty?

– Też w pewnym sensie. Przyjechałam do kumpli. Ja nie mogę!

Karolina jęknęła po raz drugi, gdy stało się najgorsze, co w tym momencie mogło się stać, czyli zajęcie przez Aśkę miejsca naprzeciwko niej.

– A twój przystojniak gdzie jest?

– Stoi w kolejce.

– A, rzeczywiście.

Tomek był tak skupiony na czytaniu menu, że jeszcze o niczym nie wiedział.

– To co tam u ciebie słyhać? – zapytała uprzejmie Karolina. Tak naprawdę nie obchodziło jej to ani trochę, ale jej dobre wychowanie wymagało, by nie dawać nikomu do zrozumienia, że nie jest za mile

widziany. Tyle było przynajmniej z towarzystwa Leszczyńskiej pozytywnego, że miała pretekst, by przy okazji zająć czymś myśli. Aśka zaczęła swoją opowieść, a Karolina, udając, że jej słucha, przywoływała sobie w pamięci związane z nią obrazy z przeszłości. Wciąż jeszcze od czasu do czasu przerywane przez przerażający wizerunek Żukowskiej sprzed kilku sekund.

Już na samym początku nauki w liceum, gdy tylko ją poznała, złapała się na tym, że zupełnie nie może sobie na temat tej dziewczyny wyrobić zdania. Słowem – poznała w pełnej krasie znaczenie słowa „ambiwalentny”. Co zaskakujące – pomimo że minęło już tyle lat, nie zmieniło się to aż do dzisiaj. A to dlatego, że Aśka także się nie zmieniła – wciąż była kompletnie nieprzewidywalna i ani przez sekundę nie można było być pewnym, czego się po niej spodziewać. Z jednej strony ładna, popularna, naprawdę zaradna, zdolna w każdej materii, pewna siebie, towarzyska, lubiąca podróże, odcytana i ciekawa osoba, ale z drugiej... do bólu szczerą, wulgarną, nierzadko chamską, imprezową, rozwiązała, traktująca czasem ludzi z góry, oceniająca ich po wyglądzie i posiadająca w pewnych kwestiach tak pokręcone poglądy, że na pierwszy rzut oka nie było siły, by istniała między nią a Karoliną jakakolwiek nić porozumienia. Co było zatem w ich znajomości najdziwniejsze – z inicjatywy Leszczyńskiej były ze sobą w szkole średniej bardzo blisko, choć niekoniecznie przy aprobacie Górskiej.

Nigdy nie ujawniła jednak swojej niechęci do Aśki i sama nie do końca wiedziała dlaczego. Może bała się jej reakcji? Nie dało się ukryć, że bezpieczniej było ją mieć po swojej stronie niż odwrotnie. Optymalną sytuacją byłoby, gdyby Leszczyńska miała do niej raczej pozytywny stosunek, ale jednocześnie trzymała się od przestrzeni życiowej Karoliny najdalej, jak tylko się da. Jak na złość – w liceum w tym drugim aspekcie było dokładnie przeciwnie.

*Sex, drugs i rock & roll* – jej świat, jej życie, Karolinie było nic do tego. Nie miała w zwyczaju zmieniać ludzi na swoją modłę i machnęłaby na to wszystko ręką, gdyby nie jedna rzecz.

Mianowicie Leszczyńska świetnie dogadywała się z Tomkiem.

Ba, to było nawet mało powiedziane! Nadawali praktycznie na tych samych falach i bardzo lubili ze sobą gadać. Choć podstawą związku Wawrentowicza i Karoliny było wzajemne (miała nadzieję) zaufanie, to tak

naprawdę Aśka była jedyną osobą, o którą kiedykolwiek była w przypadku Tomka zazdrosna. I to nie raz. Nawet Natalia – choć niewątpliwie od siedzącej właśnie naprzeciwko niej dziewczyny ładniejsza – nie wzbudzała w niej takich obaw jak ona. Zazwyczaj trzeźwo podchodziła do uczucia zazdrości i nie dawała się mu ponosić względem jakiejkolwiek kobiety, ale nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że akurat wobec tej miała od zawsze pewne poczucie... niższości? Jakiś swego rodzaju kompleks? Syndrom wiecznego drugiego miejsca? Czasami czuła się przy niej wręcz jak jakaś wiejska buraczanka przy stuprocentowej, nowoczesnej kobiecie sukcesu. I to nawet mimo że zdawała sobie sprawę, jak idiotyczne jest to myślenie, i wmawiała sobie intensywnie, iż także jest wartościową i dobrą osobą, a do tego ma na pewne sprawy bardziej zdrowe poglądy. Było to jednak zwyczajnie silniejsze od niej.

Mogło to wszystko dziwić, tym bardziej że oprócz wszystkich wymienionych wcześniej rzeczy było jeszcze jedno bardzo poważne zagadnienie, które je dzieliło. Można by rzec – kluczowe.

Wiara.

Aśka – podobnie jak Tomek – była ateistką, ale o ile Wawrentowicz wyrażał się o swoim stosunku do wiary jasno i przejrzyście (z pogardą), o tyle Leszczyńska była dla Karoliny jak otwarta książka... tyle że napisana po chińsku. Z jednej strony potrafiła zabić jej niemałego ćwieka i... życzyć znajomym na fejsie: „Wesołego zmartwychwstania, ludzie!”, ale z drugiej... No właśnie.

W pamięć zapadło Górskiej pewne wydarzenie z drugiej klasy liceum, kiedy to w ramach przygotowania do matury każdy musiał opracować w języku angielskim spicz na dowolny, ciekawy temat. Karolina wybrała dosyć osobliwe zagadnienie, bo były to... opętania przez demony. Jako że wierzyła w takie rzeczy, ręce trzęsły jej się nie tylko w czasie wygłaszania przemówienia, ale nawet w trakcie jego pisania, o szukaniu potrzebnych informacji nie wspominając. To nie sam spicz okazał się jednak najgorszy, a dyskusja, jaka tradycyjnie musiała wywiązać się po jego zakończeniu. Klasę i nauczyciela – jak przy takim temacie nietrudno się spodziewać – zatkało i przez jakiś czas w sali od angielskiego panowała będąca Mozartem dla jej uszu cisza. Dopiero po chwili pan Zaforymski ocknął się i zapytał ogólnie wszystkich obecnych, czy mają jakieś pytania.

Ku dezaprobowaniu Karoliny jako jedyna wtedy zgłosiła się Aśka.

Agresywnie zapytała (fakt, że mówiła perfekcyjnie po angielsku i specjalnie używała skomplikowanego słownictwa, dodatkowo utrudniał odniesienie się do jej słów) o jej pogląd na sytuację, w której ktoś może wierzyć w innego boga – jak na przykład wyznawcy islamu. Tu jeszcze Karolinie udało się jakoś wybronić, gdyż zgodnie z prawdą odpowiedziała, że według niej wszyscy ludzie wierzący wyznają ten sam byt, a robią to po prostu na swój sposób i nic jej do tego, dopóki nie robią innym krzywdy. Z naiwnym optymizmem liczyła, że ta odpowiedź zadowoli Aśkę i utnie temat, ale nic z tych rzeczy.

Szanowna pani Joanna bez mrugnięcia okiem zapytała wtedy o niewierzących.

Był to jeden z niewielu momentów, w którym Karolina, zamiast wiecznie rozpaczliwie odbijać piłeczkę, postanowiła podjąć rzuconą przez nią rękawicę i kontratakować z returnu. Nie owijając w bawełnę, rzuciła po prostu: „Uważam, że się mylą. Ale to ich sprawa”. Doskonale pamiętała wzrok swojej adwersarki, gdy ta w następnym pytaniu się upewniła:

– Czyli uważasz, że jestem w błędzie? Uważasz się za lepszą i bardziej świadomą otaczającej nas rzeczywistości osobą ode mnie?

– Nie, nie uważam się za lepszą od ciebie. Uważam tylko, że się mylisz.

Leszczyńska była wtedy niby stuprocentowo spokojna, ale miała w oczach coś tak złego, coś tak złowrogiego i mrocznego, że Karolina nie wytrzymała w tej walce na spojrzenia dłużej niż kilka sekund. Na szczęście pan Zaforymski w porę zorientował się, że dyskusja wchodzi w dość mało przyjemne rejony, i zgrabnie przeszedł do uwag językowych na temat pracy dziewczyny. Nie pamiętała już nawet, jaką ocenę dostała. A może nawet tego nie usłyszała? Nie było to wtedy ważne. Wciąż miała w pamięci tamten obraz. Jej niby niewyrażającą żadnych uczuć, a tak naprawdę mówiącą wszystko twarz. Już wtedy potrafiła wyczuwać prawdziwe nastroje ludzi pomimo masek, jakie nosili, i rzadko kto mógł ją w tym oszukać.

Co najśmieszniejsze – na przerwie Aśka jakby nigdy nic podeszła do niej i normalnie zaczęła rozmowę na jakiś przyziemny temat. Mało tego – już nigdy później nie poruszała w jej towarzystwie kwestii wiary, co gwoździem do ściany bardzo Karolinie odpowiadało.

Czasami gdy o niej rozmyślała i wspominała jeszcze ten nieszczęsny spicz oraz jego przedmiot, nachodziły ją idiotyczne myśli, czy aby Aśki

właśnie coś w tym stylu nie trafiło... Znaczący: czy coś złego jej przypadkiem sobie nie upodobało i w pewien sposób nie kontrolowało. Czemu nie? Mogło to być jakieś w miarę sensowne wytłumaczenie jej niejednoznacznej i niemożliwej do rozgryzienia osobowości. Miała dosłownie dwie twarze. Jak schizofrenik. Jak jedna wielka chodząca sprzeczność.

Karolina przyjęła koniec liceum oraz fakt, że w odróżnieniu od niej Aśka poszła na studia medyczne, z niemałą ulgą. Początkowo spotykały się jeszcze na imprezach ich wspólnych znajomych, ale gdy w miarę upływu czasu każda z nich zaczynała preferować swoje własne uczelniane towarzystwo, a w dodatku w którymś momencie Leszczyńska poleciała w ramach Erasmusa do Anglii, kontakt zaczął się stopniowo urywać. Nie widziały się na żywo już od jakichś dobrych dwóch lat.

Aż do dzisiaj.

– A u ciebie?

– U mnie... Co?

– Co słyhać?! – Zaśmiała się. – Widzę, że nic się nie zmieniłaś i dalej bujasz w obłokach.

– Proszę, proszę! Kogo nam tu przyniosło! – Tomek wkroczył na scenę, niosąc swój skromny zestaw składający się z hamburgera i małych frytek (nie wziął z samochodu insuliny, więc nie chciał za bardzo szarżować) oraz kawy dla Karoliny. Ta była mu bardzo wdzięczna, że miał ją jakkolwiek w tej rozmowie odciążyć, ale jednocześnie bardzo nie chciała, by on i Aśka rozmawiali ze sobą dłużej niż minutę. Nie i już.

– Cześć, przystojniaczku! – Leszczyńska wstała i przytuliła się mocno do wielkiej klatki piersiowej chłopaka.

– Co ty tutaj robisz?!

– Przyjechałam na kilkudniowy melanż. Do kumpla. Dzisiaj pijemy na ognisku w jakimś wypizdowie w lesie. Ale z moją ekipą mogłabym to robić nawet na Syberii, więc miejsce tak naprawdę nie ma znaczenia. Byleby był alkohol i odpowiedni ludzie!

– Zajebicie – odparł szczerze Tomek. Sam dałby teraz wiele, by móc w czymś takim uczestniczyć i o pewnych rzeczach zapomnieć...

– To co tam u was w końcu słyhać?

Tomek usiadł koło Karoliny i – co bardzo pomogło jej skołatany nerwom – objął ją. W czasie, gdy zaczął mówić, znowu na moment się

wyłączyła i po raz kolejny wbrew swojej woli przywróciła sobie w głowie obraz przerażającego zdjęcia z gazety. Jeszcze raz spojrzała na Aśkę i w zestawieniu z jej widokiem jej pomieszane na maksa myśli złożyły się nagle w jedną całość...

Spicz.

Jakie są objawy opętania przez szatana?

Pamiętała to, co napisała i potem wygłosiła, bardzo dokładnie. Co do jednego pojedynczego słowa i ich kolejności. Ciężar w jej żołądku narastał.

„[...] koszmary senne, napady nieokreślonego lęku (zwłaszcza wieczorami), przerażające wizje ze szczególnym natężeniem widzeń zdeformowanych, demonicznych twarzy [...]”.

Brzmiało to wszystko kompletnie nieprawdopodobnie. Tak bzdurnie, że aż... prawdziwie? Ona opętana przez demona?! Ona? Tak wierząca, oddana Bogu i dobra osoba? Ktoś, kto zupełnie obiektywnie prawie w ogóle nie grzeszył? Przecież mówiła też coś o tym, że być opętanym trzeba z początku chcieć...

Obrzydliwy cienki głosik w jej głowie zapytał jednak: „Ale sama powiedz – czy nie pasuje to jak ulał do twoich dziwnych przeżyć w ostatnim czasie?”.

Nagle, o dziwo, zeszło z niej napięcie.

Nie, nie pasuje.

Przypomniała sobie jeszcze inne objawy. Człowiek będący pod panowaniem szatana ma białe plamy w pamięci i zdarza mu się, że nie wie, co robił przez jakiś czas. Co więcej – po wejściu do kościoła poci się, traci świadomość i czuje jeszcze większy niepokój. Woda święcona parzy mu skórę, a do tego nie może znieść widoku krzyża, o dotykaniu go nie wspominając. Co prawda Karolina zapomniała zabrać ze sobą z Warszawy swój łańcuszek z krzyżykiem, ale pamiętała za to doskonale, że wczoraj w kościele wszystko było w porządku, więc chyba nie było żadnego powodu do niepokoju.

No, oczywiście jeżeli uznamy, że zmieniające się same z siebie zdjęcia to nie jest jeden z nich...

– Kara!

Wróciła do rzeczywistości i spojrzała najpierw na Tomka, a potem na Aśkę, którzy wpatrywali się w nią wyczekująco. Potarła ręką oczy.

– Wybaczcie, ale jestem jakaś nieprzytomna dzisiaj...

– Ciężka noc, rozumiem? Korzystacie z tego, że mamusi i tatusia nie ma w pobliżu? – Leszczyńska mrugnęła i szturchnęła lekko Karolinę nogą pod stołem. Ani ona, ani Tomek nie odpowiedzieli. Każde z nich miało swoje własne powody i każde było wdzięczne drugiemu, że także tego nie zrobiło.

Gdyby Joanna dowiedziała się, że jej była licealna koleżanka wciąż jest dziewczicą...

Brrr...

– O co się mnie pytaliście, bo się wyłączyłam? – Zmieniła temat Górska.

– Pytałam, czy nie macie ochoty wpaść na dzisiejsze ognisko. Im nas więcej, tym lepiej. Będzie faza, no i odświeżymy trochę znajomość! Co wy na to?

Karolina i Tomek spojrzeli na siebie.

– Ja to bym wpadł... – mruknął chłopak.

Oj pewnie, że by wpadł! I to nie tylko tam. Gdyby było trzeba i nie wyglądałoby to tak dziwnie, że aż podejrzenie, to poszedłby nawet z Karoliną do kościoła. Wszystko, byleby po raz kolejny nie zostać w Białodębach sam na sam z Natalią. Poza tym BARDZO potrzebował się teraz narąbać jak bombowiec. Bardzo. Ale finalną decyzję postanowił zostawić Karolinie. W ostateczności mogli się umówić, że on pojechałby pić, a ona po prostu odebrałaby go stamtąd po liturgii. Oczywiście przyjmując do wiadomości fakt, że ich rozdzielenie się w taki sposób wyglądałoby nieco głupio.

Karolina się zastanowiła. Nie miała najmniejszej ochoty tam jechać, poza tym oznaczałoby to kolejne godziny w towarzystwie Aśki. Uczestnictwo w tym pijaństwie byłoby też równoznaczne z opuszczeniem piątkowej liturgii... Nie, to ognisko to zdecydowanie nie był dobry pomysł...

– Jasne. Przyjedziemy – powiedziała, słysząc swój własny głos jakby z oddali. Pożałowała swoich słów, jeszcze zanim wypowiedziała je na głos. To był chyba jakiś rekord świata.

– Zajebicie! Jedzie się tam...

Karolina znowu pozwoliła robić Tomkowi w ich parze za uszy i nie słuchała dalej.

DLACZEGO?!

Dlaczego po raz kolejny pomyślała jedno, a powiedziała drugie?! Teraz

i tak nie miało to już znaczenia, bo było za późno. Problem był jednak nieco ogólniejszy i bardziej złożony. Czy nigdy, do jasnej cholery, nie nauczy się asertywności?! Nigdy nie nauczy się mówić „nie”? Czuła się jak podchodzący do rzutu karnego piłkarz, który od samego początku ma postanowienie, że strzeli w lewy róg, by już w biegu, tuż przed kopnięciem piłki, w ostatniej chwili zmienić decyzję na prawy i zakończyć wszystko haniebnym pudłem. Dlaczego, do jasnej Anielki, nie mogła powiedzieć prawdy?! Dzięki za zaproszenie, ale nie, nie mam ochoty z tobą imprezować, Aśka. Czy to aż tak by bolało?! Jezu Chryste! Czyżby znowu zaważyło, co ona sobie o niej pomyśli, gdy jej powie, że woli kościół od imprezy? Naprawdę? Serio?

Cholera, a wydawało jej się, że jest już dorosła...

– Dobra, fajnie było was spotkać, ale na razie muszę lecieć, bo umówiłam się z kumplem. Ej, a tak w ogóle, to gdzie mieszkacie?

– W Białodębach.

– Gdzie?

– W Białodębach. Przy cmentarzysku Jaćwingów.

– Nie słyszałam ani o jednym, ani o drugim. Dobra, nieważne. Widzimy się zatem o siedemnastej, grubasy! – Dziewczyna pomachała im i wyszła z restauracji. Tomek popatrzył na Karolinę z lekkim zdziwieniem.

– Muszę przyznać, że jestem zaskoczony...

– Tak, ja też. – Sięgnęła po kawę i pociągnęła z kubka okazały łyk.

\*

Zabawili w mcdonaldzie jeszcze jakiś czas, by skorzystać z bezprzewodowego internetu. Tomek sprawdził na Google Maps, jak dokładnie dojechać na wskazane przez Aśkę miejsce. Okazało się to dosyć łatwe: trzeba było jechać w stronę Augustowa drogą, którą już znali, i zaraz po przecięciu torów skrócić w pierwszą drogę w lewo, prosto do lasu. A potem... jakoś to będzie.

– Co tak zamilkłaś, mała?

– Nic takiego...

– Znowu coś kręcisz...

„Dobra, rozmawiajmy w takim razie”.

– A jakbym ci powiedziała, że znowu miałam jakieś zwidy, to co byś powiedział?

– Zwidy?



- Tak.
- Jakie?
- Jak masz mnie znowu wyśmiać, to może lepiej, abym nic nie mówiła.
- Nie wyśmieję.
- Obiecujesz?

Wziął jej drobną rączkę w dłoń i pocałował ją.

- Obiecuję.

Karolina wzięła głęboki oddech.

- Chyba wariuję...
- Wyrzucić to z siebie.
- Ech... Zdawało mi się, że twarz na jednym zdjęciu w gazecie się zmieniła.

– Zmieniła się? To znaczy? – zapytał, choć po wzmiance o zmieniającej się twarzy nie był do końca pewien, czy naprawdę chce słyszeć dalszy ciąg.

I to wcale nie dlatego, że jej nie wierzył...

– Normalnie. W jednej sekundzie była taka jak teraz, a w następnej była inna. Przeróżająca.

- Pokaż.

Otworzyli gazetę. Anna Żukowska z odpicowaną na glanc fryzurą w dalszym ciągu uśmiechała się do nich dyskretnie. Tak jak przez cały zresztą czas poza tym jednym nieszczęsnym momentem.

- To zdjęcie.

– I jak się zmieniło?

– To ciągle była ona, ale wyglądała jak z koszmarnego snu. Do tego miałam wrażenie, że mnie nienawidzi i chce mnie zabić...

Zamknął gazetę i znowu wziął jej rękę. Drżała.

- Musisz się uspokoić.

– Nie wierzysz mi...

– Wierzę. Wierzę, że coś widziałaś, że twój umysł tak to odebrał. Skoro tak mówisz, to tak było. Ale znasz moje zdanie na ten temat...

Tak, znała. Identycznego użył kiedyś w ich burzliwej dyskusji na temat cudów i innych niewyjaśnionych zjawisk związanych z domniemaną działalnością Boga. A brzmiało ono następująco: „Pewnych rzeczy, na razie, nie potrafimy wyjaśnić. Ale tak samo było z ludźmi pierwotnymi, którzy mieli za małą wiedzę, by na przykład racjonalnie wytłumaczyć zjawisko pioruna”.

– Tak, wiem. „Pewnie wszystko to da się jakoś racjonalnie wyjaśnić”.

– Dokładnie. Jesteś zestresowana. Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Pewnymi rzeczami nie warto sobie zawracać głowy. Boisz się nieznanego, choć tak naprawdę w żadnym wypadku ci nie zagraża. Pewne pytania na zawsze pozostaną bez odpowiedzi, ale musimy po prostu przyjąć to do wiadomości. Nie ma co tracić na nie czasu.

„Ale ze mnie perfidny kłamca...”

– Dziwisz mi się? Jeszcze wczoraj byliśmy gotowi wydrapać sobie oczy. Nie jest dla mnie tak łatwo przejść z tym do porządku dziennego, jakby nigdy nic. To dla mnie okres pełen wrażeń. Muszę się trochę ustabilizować.

– Tak, wiem. Przepraszam. – Objął ją.

– Nie musisz mnie za nic przepraszać.

– Ale chcę.

„Kocham cię”.

– Może więc to ognisko to jednak dobry pomysł? – dodał Tomek po kilku sekundach pauzy.

– Jednak? Myślałam, że chcesz tam jechać.

– Bo chcę, ale ty nie chcesz.

Nawet nie pytała, skąd to wie.

– Znasz Aśkę. Jeżeli jej towarzystwo z Suwałek porusza się po podobnych torach myślowych jak ona, to nieszczęśliwie musi mi odpowiadać.

– Suwałk.

– Co?

– Mówi się „z Suwałk”, a nie „z Suwałek”.

– No dobra, być może, ale nie o odmianie tej nazwy teraz gadamy.

– A może jednak okażą się spoko? Czemu od razu zakładasz najgorsze? To właściwie znowu to samo, o czym mówiłem wcześniej. Boisz się nieznanego. Martwisz się na zapas.

Miał rację.

– Z przyzwyczajenia. – Uśmiechnęła się lekko. Ten wyraz jej twarzy odpowiadał mu już znacznie bardziej.

– Spróbuj się rozerwać. Jesteśmy tu po to, by się bawić, a nie denerwować.

– I kto to mówi?! – odpowiedziała udawanym kpiącym tonem.

Zmierzwił jej włosy.

– Ja się przecież świetnie bawię. Nigdy nie mówiłem, że nie. Przecież doskonale wiesz, że uwielbiam się wkurzać. Dla mnie nie ma nic lepszego niż dobra kłótnia.

– Tylko żebyś znał umiar w tej zabawie.

– Skończyłem na jakiś czas. Na razie wystarczy.

Pocałowała go w policzek.

– To co, obiecasz mi, że spróbujesz się tam fajnie bawić? – zapytał.

– Obiecuję.

– Niestety tak to działa, że jak będziesz chciała być smutna i nachmurzona, to taka będziesz. Wiele zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

– W istocie tak jest, mój ty podręczny psychologa.

– Ma się te szerokie horyzonty. Myślisz, że z jakimś ogórem gadasz?

Przekomarzając się w ten sposób jeszcze jakiś czas, poszli spacerkiem przez ulicę Dwernickiego w kierunku prostopadłej do niej ulicy Kościuszki. Ich głównym celem był teraz park Konstytucji Trzeciego Maja, który wypatrzyli w trakcie pierwszej przejażdżki przez Suwałki jeszcze w środę. Dotarli do niego bez pośpiechu i w improwizowanej wariacji obeszlą wszystkie ścieżki. Stojący w nim zegar słoneczny wskazywał godzinę czternastą.

W końcu postanowili, że wrócą do samochodu i poszukają jakiejś restauracji, w której będzie można zjeść coś regionalnego. Powrót do niego i tak był niezbędny, ponieważ Tomek musiał zabrać insulinę. Minęli więc ratusz miejski i kroczyli dalej w południowym kierunku ulicą Kościuszki.

Karolina dostrzegła zagrożenie jako pierwsza, ale mając w pamięci niedawne słowa Tomka o niepotrzebnym strachu przed problemami, które jeszcze się nawet nie wydarzyły, nie odezwała się nawet słowem. Niby miał rację, ale... ALE. Zaletą takiej postawy było przynajmniej to, że niezależnie od tego, czy niebezpieczeństwo okazywało się realne, czy też nie, koniec końców robiło się wszystko, by go przezornie uniknąć i zazwyczaj się to udawało. Tutaj natomiast był to czysty hazard – wydarzy się albo nie i dopiero po tym pierwszym trzeba myśleć, jak sobie poradzić. Niestety, wtedy nierzadko tego czasu na myślenie jest już jednak za mało... Miała wielką nadzieję, że jej eksperyment z nieco inną ideologią nie zakończy się dla nich zaraz mało przyjemnie.

Tomek także dostrzegł w oddali ten niezbyt optymistyczny widok, ale

niezrażony szedł dalej przed siebie z zupełnie innego powodu. Po prostu nie chciał wyjść na pizdę przed Karoliną. Jego męska duma nie pozwalała mu na uciekanie przed zagrożeniem, a kazała raczej dzielnie stawiać mu czoła.

Grupa okolicznych wyrostków, którzy stali w pobliskiej bramie i sączyli piwko, spostrzegła ich mniej więcej wtedy, gdy byli jakieś kilkadziesiąt metrów od nich. W komplecie przerwali rozmowę i zaczęli się na nich gapić. Jeden z nich na widok Karoliny zagwizdał. Postanowiła udawać, że jej to nie rusza, co, zważywszy na fakt, że nie mogła powstrzymać coraz silniejszego drżenia, sprawiało jej pewną trudność. Modliła się, by Tomek nie stawał po rycersku w obronie jej honoru.

Jeszcze większy kamień wylądował na samym dnie jej żołądka, gdy dojrzała, że młodzi mężczyźni naradzili się szybko i gdy patrzyli się już na nich drugi raz, ich zakazane gęby wykrzywiały uśmiechy, które bardzo jej się nie podobały...

W końcu najwyższy z nich (choć w porównaniu z Tomkiem i tak był chucherkiem) wyszedł im naprzeciwko i zagroził drogę.

– Daj na piwo.

Zignorowali i ominęli go bez słowa.

– Słyszałeś, co do ciebie mówiłem? Daj na piwo! – Wyrostek znowu doskoczył tuż przed Tomka, strzelając mu przy okazji lekko z bara.

– Odwał się, koleś.

– Bo co?

– Bo jajco.

– Turlasz gównno, lelaku?

– Co? – zapytał kpiącym tonem Wawrentowicz. Pierwszy raz w życiu słyszał takie wyzwisko.

– Chujów sto.

– Widzę, że się nie dogadamy. Możemy przejść?

– A ja widzę, że kozak z ciebie.

– Nie chciałbyś się przekonać... – Tomek był coraz bardziej wkurzony. Gdyby była potrzeba, załatwiłby tego pajaca jednym strzałem, ale było oczywistym, że wtedy pozostali ruszyliby mu na pomoc. A było ich sporo...

– Tomek, daj spokój. Chodźmy – wydukała Karolina. Była na siebie wściekła za ujawnienie swojego strachu, bo dawała tamtemu tylko jeszcze jeden powód do zaczepki. I to najwyraźniej skuteczny.

– Tak, Tomek, idźcie – przedrzeźniał ją, ale na szczęście ostatecznie ustąpił im miejsca. Obawiali się nawet odrobinę przyspieszyć, o oglądaniu się za siebie nie wspominając. Z ogromnym uczuciem ulgi powoli poszli dalej.

Po kilku sekundach Tomek zdążył zaledwie usłyszeć szybkie kroki i nie miał nawet najmniejszej szansy zareagować. Po potężnym kopnięciu z wyprostowanej nogi w plecy siłą pędu swojego wielkiego ciała wylądował brzuchem na chodniku i rozbił nos. Karolina wrzasnęła i błyskawicznie do niego doskoczyła.

– Nic ci nie jest?!

Krew sączyła mu się po koszulce i obficie kapłała na chodnik. Słyszał gdzieś w tle szyderę i śmiech... W mig zapragnął pomóc tym skurwysynom zamilknąć. Nie myślał już o niechybnych przykrych konsekwencjach. Było to silniejsze od niego.

– Zajebię mu, kurwa. – Podniósł się błyskawicznie i zanim mogła go powstrzymać, rzucił się na chłopaka, który go zaatakował, wymierzając mu silny cios w zębra. Wyrostek wylądował tyłkiem na chodniku. Nie trzeba było długo czekać na reakcję jego funfli, którzy rzucając bluzgami, otoczyli Tomka ze wszystkich stron. Był oczywiście w stanie bez problemu staranować jednego z nich i próbować uciekać, ale znowu irytującym utrudnieniem było to, że nie był tam sam. Jeszcze przed dzikiem mógł zwiewać z Karoliną na rękach, ale z rozjuszoną bandą chuliganów sprawa już się tak prosto nie przedstawiała. Niewiele myśląc, rozejrzał się więc w skupieniu wokół siebie i czekał na pierwszy cios, przed którym nie będzie miał szansy się obronić.

– Zostawcie go! Ratunku! Pomocy! – wrzeszczała Karolina.

– Zamknij mordę, szmato! – odpowiedział jej stojący naprzeciwko Tomka chudy jak patyk szczurek. Jego słowa zadziałały na Wawrentowicza jak najlepszy możliwy impuls. Jedyne, czego w tym momencie pragnął, to zadać mu ból taki, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. By zdychał w mękach... Dobiegł do niego w ułamku sekundy i z całej siły przetrącił pięścią jego brzydką mordę. To i tak było za lekko i za mało. Nie zdążył jednak zadać kolejnego ciosu, gdyż ze wszystkich stron złapało go nagle kilka par rąk, a po sekundzie zarobił jeszcze dodatkowego kopniaka w podbrzusze i zabrakło mu tchu.

Karolina trzęsła się z bezsilnej złości. Odważniaki! Siedmiu na jednego!

Rozglądała się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy, ale jak na złość na ulicy nie było prawie nikogo, a nawet jeżeli był, to odgrywał rolę jedynie biernego obserwatora.

Błagam, niech ktoś to wreszcie zauważy i wezwie policję!

– Jakiś problem?

Chuligani zatrzymali się nagle i spojrzeli na mężczyznę w średnim wieku, który pojawił się na scenie właściwie znikąd i tuż przed chwilą zadał to pytanie. Po chwili jeden z nich odzyskał głos.

– Spierdalaj, dziadek.

– Tacy panowie jesteście odważni? Sześciu na jednego?

– Powiedziałem ci, spierdalaj, bo i tobie zaraz wyjebię.

Będący od samego początku oazą spokoju mężczyzna rozłożył ręce w wyzywającym geście.

– Wie pan, jak to mówią, piesek, który dużo szczeka, nie gryzie.

W jednej chwili przestali interesować się Tomkiem, który i tak bezwładnie wylądował na chodniku i nie miał początkowo nawet siły się podnieść.

– Kolejny kozak nam się trafił?

Przywódca grupy – ten sam, który na samym początku zaczepił Karolinę i Tomka – podszedł do mężczyzny. Jako że sam był dosyć wysoki, to sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i normalna budowa ciała tajemniczego wybawiciela (jak się miało później okazać) warszawskich studentów nie mogły robić na nim żadnego wrażenia. Zbliżył się do niego tak, że prawie stykali się nosami.

– No, dawaj, dziadek. Uderz mnie.

Mężczyzna spojrział mu prosto w oczy i powiedział:

– Pozwolę sobie jeszcze najpierw zauważyć, że pachnie panu z ust kompostem i zalecałbym umycie zębów.

Dres zamachnął się, ale nie zrobił nawet pół ruchu, gdy odleciał na dobre trzy metry i uderzył ciężko plecami o pobliskie stojaki na rowery. Wysoki metaliczny odgłos rozniósł się po całej ulicy.

– O zesz ty, kurwo!

Karolina do tej pory widziała takie rzeczy jedynie w filmach. Pięciu facetów jak dzika horda zaatakowało jednego pozornie bezbronnego mężczyznę, ale... nie mogli nawet go dotknąć. Przez cały czas stuprocentowo spokojny człowiek bez cienia jakiegokolwiek strachu

przewidywał ich ruchy i z godną kota gracją unikał choćby najmniejszego draśnięcia. Korzystając z przewagi liczebnej, próbowali go złapać i podobnie jak wcześniej Tomka unieruchomić, ale kompletnie nie byli w stanie. Zawsze albo umiejętnie zbiegał ciałem przed ich rękami i nogami, albo perfekcyjnie amortyzował uderzenia. Co więcej, odgryzał im się też soczystymi, perfekcyjnie wymierzonymi ciosami, które z pozoru nie wyglądały na silne, ale sądząc po kolejnych spazmach, były DO BÓLU skuteczne.

Wreszcie pięć tak niesamowicie szybkich, że aż ledwo widocznych kopnięć sprawiło, że odeszli od niego na sporą odległość, na wpół zszokowani takim obrotem sprawy, a na wpół poniżającą dla nich bezradnością rozwścieczeni.

– Dzwoncie po chłopaków! – Ich lider podniósł się z trudem, trzymając się za obolały krzyż.

– Dobrze, panowie. Wy „dzwoncie po chłopaków”, a ja tymczasem zadzwonię na policję.

– Obsrany jesteś, konfidencie?

– W żadnym wypadku. Intuicja podpowiada mi, że wasi szanowni koledzy mają podobne umiejętności do waszych, więc tym chętniej sprowadziłbym na ziemię większą liczbę tchórzliwych chłystków takich jak wy. Chodzi tu jednak o coś innego. Od sprzątania śmieci są policja i sądy, a nie ja.

Po tych jego słowach zgłupieli i nie mieli pojęcia, co mu odpowiedzieć. Niby co dwie głowy to nie jedna, ale teraz powiedzenie to nie działało nawet w przypadku siedmiu. Mieli nie lada dylemat – czy dalej próbować się z nim bić i dalej zarabiać bolesne fangi (co było raczej nieuniknione – ubrany w cienką skórzaną kurtkę facet nawet się nie spocił, a jego starannie zaczesane do tyłu, lekko siwiejące już włosy wciąż pozostawały we wzorowym ładzie), czy kompromitująco z ich punktu widzenia najzwyczajniej w świecie uciec w podskokach.

Wreszcie nawet ich małe mózdzki musiały przyjąć do wiadomości tak oczywistą rzecz jak przegrana w tej bitwie. Nietrudno się jednak domyślić, że rozwiązanie to nie sprawiało, że skakali z radości. Wręcz przeciwnie.

– Chodźcie, spierdalamy... – Pomogli wstać szczerowatemu chłopakowi i w komplecie pospiesznie zniknęli w bramie. Ich przywódca rzucił jeszcze mężczyźnie wściekłe spojrzenie. Nie odważył się jednak

obietąc mu, że „jeszcze się policzą” albo „spotkają się na mieście”, bo wiedział, że byłoby to dla niego raczej bolesne doświadczenie.

– Wszystko w porządku? – Facet podszedł do Karoliny i Tomka. Ci wciąż zbierali swoje rozdziawione z wrażeń szczęki z chodnika. Chłopak był tak oniemiały, że aż zapomniał o bólu.

– Nie musicie się już państwo bać. Nie wrócą. Jestem tego pewien. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Honorowe gnojki. W grupie zawsze czują się mocni. Całe szczęście, że akurat przechodziłem. Jak się pan czuje?

Tomek odzyskał głos.

– Będę żył. Dziękuję.

– Może jednak zadzwonię po karetkę? Nieźle pan oberwał.

– Nie trzeba. Nos jest cały. Mam kilka stłuczeń, ale chyba obyło się bez złamań.

– A na policję?

– Też nie... Może to głupio zabrzmie, ale mamy inne plany na dzisiejsze popołudnie niż przesłuchania.

„A poza tym takie sprawy załatwiam sam” – pomyślał.

– No co ty pieprzysz? – zapytała z niedowierzaniem Karolina.

– Daj spokój! Jeszcze tego mi brakuje, by po sądach z nimi łązić. Nie mam na to najmniejszej ochoty. Poza tym już dostali za swoje... – Spojrzał znacząco na ich nowego znajomego.

– Dobrze, skoro pan tak twierdzi... To pana decyzja – odparł.

Pomógł mu wstać. Karolina wciąż drżała z emocji.

– Dziękujemy panu... To było niesamowite, gdyby nie pan... – załkała pełnym wdzięczności głosem. Spojrzał na nią dobrotliwie.

– Nie ma za co. Zrobiłem to, co należało. Widziałem całe zajście od początku i wiem, że nie prowokowaliście ich państwo, tylko panom się po prostu nudziło. Niestety, wątpię, by wyciągnęli z tego jakiegokolwiek wnioski, a szkoda. Na państwa miejscu omijałbym tę okolicę przez jakiś czas... Na wszelki wypadek.

– Nie jesteśmy z Suwałk. Przyjechaliśmy z Warszawy.

– A, to nawet tym lepiej. Przykro mi w takim razie, że spotkała państwa taka przygoda. Zapewniam, że nie wszyscy miejscowi są tacy. – Zamilkł na moment. – Dobrze, skoro wszystko jest już w porządku, to w takim razie nie jestem już chyba potrzebny. Pozdrawiam serdecznie i życzę państwu miłego popołudnia. – Pokłonił się im i odwróciwszy się na pięcie, poszedł



w kierunku, z którego niedawno przyszli.

Karolina nie zastanawiała się nawet przez sekundę.

– Proszę pana!

Zatrzymał się.

– Tak?

– Dałby się pan w ramach wdzięczności zaprosić na obiad?

Tomek nie protestował – ani werbalnie, ani nawet w myślach. Czuł się fatalnie, jak każdy poniżony pobiciem facet, ale musiał to przyznać – wiele temu człowiekowi zawdzięczali i wypadało mu się jakkolwiek zrewanżować. Za dziękuję nie kupuję.

Mężczyzna znowu się uśmiechnął.

– W sumie... Czemu nie? Będzie mi bardzo miło.

Tak właśnie poznali pana Andrzeja.

Jak się miało później okazać – człowieka, który odegra w tej historii bardzo ważną rolę.

## ROZDZIAŁ VIII

– Andrzej Rogucki – przedstawił im się mężczyzna. Nawet fakt, że obydwójce wciąż drżeli z emocji, nie przeszkodził im w lekkim zdziwieniu taką bezpośredniością. W końcu nieczęsto się zdarza, by facet z klasą (a wystarczyło tylko na niego spojrzeć) w ogóle decydował się na tego typu krok względem dwójki przypadkowo spotkanych dzieciaków.

Tomek także wypowiedział swoje imię i wyciągnął do niego rękę, ale pan Andrzej zignorował go i ująwszy najpierw dłoń Karoliny, skłonił się nisko i pocałował ją delikatnie w jej wierzch. Dziewczyna była jednocześnie kompletnie zaskoczona, lekko zawstydzona, ale również ostatecznie przyjemnie połączona. Musiałaby być co najmniej Aśką, by takie coś nie zrobiło na niej wrażenia. Tym bardziej że chyba nikt nigdy nie uczynił wobec niej takiego gestu... Nie dziwiło więc, że zakończyło się to u niej lekkim rumieńcem i ochryplym, ledwo słyszalnym wydukaniem imienia. Dopiero po tym Rogucki dziarsko uścisnął dłoń Tomka.

– Przepraszam, że był pan drugi w kolejności, ale sam pan rozumie, panie Tomaszu... – Uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Nie ma sprawy... – Odwzajemnił uśmiech Wawrentowicz, choć sam nie wiedział, czy zrobił to szczerze, czy też nie.

– Dobrze, to gdzie chcecie państwo iść na obiad? – zapytał uprzejmie pan Andrzej. Będąca w dalszym ciągu pod wrażeniem jego manier Karolina odpowiedziała mu dopiero po chwili. Tomek zaś wciąż milczał.

– No właśnie nie wiemy. Chcieliśmy zjeść może coś regionalnego. Ma pan do polecenia jakąś knajpkę?

Mężczyzna zastanowił się chwilę.

– Jak regionalnego, to chyba znam jedną odpowiednią. Ale jest dosyć daleko stąd...

– Nie szkodzi. I tak szliśmy teraz do samochodu. Zabierze się pan z nami.

– Doskonale. Gdzie postawiliście państwo auto?

– Tomek zaparkował przy tym waszym stawie. By nie płacić za parkomat! – Ostatnie zdanie dodała po krótkiej pauzie, zanim zdążyła ugryźć się w język, i zachichotała wnerwiającym z punktu widzenia swojego chłopaka babskim śmiechem.

Tomek posłał jej mordercze spojrzenie. Oto właśnie kobiety. Kobiety i ich gadanie. Jeszcze się na dobre nie uspokoił, a już dostawał zewsząd

kolejne kopy, podbródkowe i sierpowe po mordzie. I to z najmniej spodziewanej strony. Nienawidził sytuacji takich jak ta. Wystarczyło mu, że od kiedy pamiętał, miał podobnie z matką. Czasem też nie wiedziała, kiedy w towarzystwie trzymać język za zębami, i niejednokrotnie wychodziła z tego taka żenada, że nie wiadomo było, gdzie oczy podziać.

Dotarli szybko na rzeczony parking i zgodnie z instrukcjami pana Andrzeja pojechali do wskazanej przez niego restauracji. Po propozycji ich przewodnika wszyscy troje zamówili sobie po porcji kartaczy – regionalnej specjalności przypominającej trochę pyzy, jednakże rozmiarowo znacznie od nich większej i – jak twierdził Rogucki – proporcjonalnie smaczniejszej. Jako że danie to było z mięsem, Karolina patrzyła na nie początkowo trochę niechętnie, ale ostatecznie dała się przekonać. Trudno. Bądź co bądź jej obecne położenie można było podciągnąć pod „bycie w podróży”, więc miała nadzieję, że z powodu tego jednego razu nie wyląduje od razu w piekle.

– Jak się pan czuje, panie Tomaszu?

– W porządku, dziękuję. – Wawrentowicz czuł lekkie zażenowanie. Z dwóch powodów: pierwszym było to zadane mu po raz kolejny pytanie, a drugim... „pan Tomasz”.

– Miejmy nadzieję, że jednak wywieziecie stąd państwo ciekawsze wspomnienia niż ta nieszczęsna bójka... A właśnie, mogę zapytać, co państwa sprowadza w nasze strony? Przyjazd do rodziny czy...?

– Wycieczka. Świąteczny wypad. Nigdy wcześniej tu nie byliśmy – odpowiedziała Karolina. Mimo że człowiek ten wybitnie ją swoim zachowaniem onieśmielał, paradoksalnie, nie wiedzieć czemu, czuła się w jego towarzystwie bardzo swobodnie. Bardzo podobała jej się jego elokwencja, kultura osobista i sposób bycia. Zapunktował u niej także tym, że pomimo oficjalnego przedstawienia się w dalszym ciągu zwracał się do nich per pan i pani, czyli traktował ich jak równych sobie.

– Długo już tu państwo jesteście?

– Od środy wieczorem.

– I jak wrażenia?

– PRAWIE – zaakcentowała to słowo – w stu procentach pozytywnie. Wczoraj objechaliśmy Suwalski Park Krajobrazowy, a dziś, jak na razie, chodzimy sobie po Suwałkach.

– Ach tak, ten park to nasz klejnot w koronie – powiedział pan Andrzej

z niemałą dumą w głosie. – Znam te trasy już praktycznie na pamięć, a i tak co jakiś czas wybieram się tam, by zobaczyć to wszystko jeszcze raz. Zawsze odkrywam coś na nowo. – Uśmiechnął się.

– To może mógłby nam pan polecić coś mniej znanego? Właściwie nie wiemy jeszcze, gdzie pojedziemy w weekend.

– To zależy, co państwa interesuje. Jak znam młodych ludzi, a sam mam dwie córki w podobnym do państwa wieku, które niejednokrotnie weszły mi na głowę, więc wiem, co mówię, raczej niechętnie podchodzicie do zabytków. Zgadłem? – Zaśmiał się.

– Może nie do końca, ale przyrodnicze klimaty są na pewno milej przez nas widziane – odparła uprzejmym tonem Karolina. Tomek zaś czuł, że jeszcze trochę tego lizania się po fiutach w połączeniu z wykwinnym słownictwem i zwymiotuje.

– No cóż, w zasadzie jeżeli chodzi o zabytki, to na Suwalszczyźnie jest z tym krucho. Na pewno wypadałoby zobaczyć klasztor przy Wigrach, może muzeum Marii Konopnickiej, przy którym notabene... spotkaliście tych uprzejmych dżentelmenów. Niedaleko stąd jest też muzeum okręgowe i zawsze tam coś ciekawego można zobaczyć. Z tego, co się orientuję, zawsze są tam dwie wystawy: jedna związana z Jaćwingami, a druga na ogół tematyczna.

– O, może pójdziemy? – Karolina ze szczerym entuzjazmem spojrzała na Tomka. Uśmiechnął się sztucznie.

– Pewnie, możemy... – skłamał. Jakoś nie chciał tak przy Roguckim walić prosto z mostu, co o tym sądzi (NUDA!). I to właśnie – ku jego wewnętrznej satysfakcji – odróżniało go od jego dziewczyny... „Szeroko pojęta dyplomacja”.

– No i oczywiście mosty w Stańczykach...

– Byliśmy! – weszła mężczyźnie w słowo Karolina i natychmiast tego pożałowała. Czuła jakiś wewnętrzny przymus, by trzymać w tej rozmowie poziom adekwatny do tego prezentowanego przez jej interlokutora, ale w ten sposób na pewno nie mogła tego osiągnąć i zdawała sobie sprawę ze swojej wpadki. Na szczęście pan Andrzej nie wyglądał na zniesmaczonego, a może po prostu umiejętnie nie dawał tego po sobie poznać. Zaskoczył ją nawet swoim następnym zdaniem.

– Przepraszam, powinienem był to oczywiście przewidzieć, że już to państwo zaliczyliście... Mój błąd. – Mrugnął.

– Ja też przepraszam, że przerwałam. Proszę kontynuować.

– To może po prostu powiecie mi państwo, gdzie już byliście. Tak będzie łatwiej.

Karolina skupiła się, by niczego nie pominąć.

– Zaczęliśmy od cmentarzyska Jaćwingów jeszcze w środę, potem były Stańczyki, mosty w Kiepojciach... Botkunach („o których chciałabym jak najszybciej zapomnieć”), Góra Cisowa, Góra Zamkowa, Głazowisko Bachanowo...

– Jezioro Hańcza... – mruknął Tomek.

– A tak, jeszcze jezioro Hańcza! A dziś z rana jeszcze Smolniki, no i spacerek po Suwałkach.

– Nieźle. Sporo! Naprawdę jestem pod wrażeniem! Widzę, że nie próżnujecie.

– Zna pan coś jeszcze?

– Hmm... Na pewno warto pojechać nad Wigry. Co jeszcze... Z ciekawostek przyszło mi teraz do głowy, że niedaleko Zelwy jakiś czas temu widziałem dwa drzewa, która były połączone ze sobą jedną gałęzią – taki cud natury, tylko nie bardzo pamiętam gdzie to było... Musielibyście państwo dopytać tam na miejscu.

– Brzmi fajnie.

– Ach, wiem, co jeszcze! Polecam także wyprawę nad jezioro Gałęziste!

– Jakie? Gałęziowskie?

Pan Andrzej zaśmiał się dobrodusznie.

– Gałęziste. Nie dziwię się, że państwo o nim nie słyszeli, bo to małe jeziorko w samym środku rezerwatu, otoczone w całości gęstym lasem. Niby takie jak wiele innych jezior, z pozoru nic szczególnego, ale to bardzo klimatyczne miejsce. Przynajmniej dla mnie. Bardzo dzikie i wyludnione, bo nawet wielu Suwalczan go nie zna. Słowem, prawie w całości pod panowaniem przyrody. Tam też bardzo lubię wracać. Z braku laku mogę polecić.

– Jedziemy! – zwróciła się do Tomka rozpromieniona Karolina. Ten z kolei nie mógł się pozbyć irytującego wrażenia, że jego dziewczyna lekko się przed tym facetem popisuje... Kiwnął głową w odpowiedzi. Z jego punktu widzenia im więcej było okazji do przebywania poza Białodębami, tym lepiej.

W międzyczasie Rogucki – siedzący w przeciwieństwie do nich

przodem do drzwi od kuchni – skinął w świadczącym o nadchodzeniu ich jedzenia gości.

Tomek sięgnął do swojego nieodłącznego piórniczka po pena. Nagle poczuł, że coś trąca go w ramię i upuścił urządzenie. Nie zdążył jednak go złapać, gdyż kelnerka, która przed chwilą go szturchnęła, w impecie niechcący kopnęła aplikator ze stosunkowo sporą siłą i gdy wylądował na ziemi z bolesnym dla uszu chłopaka łoskotem, potoczył się na sporą odległość.

– Kurrw... – syknął Tomek.

– Jezu, przepraszam pana bardzo! – zawołała ze szczerą skruchą dziewczyna. Pospiesznie postawiła talerze na stole i czym prędzej podbiegła, by podnieść urządzenie, po czym z pełną poczucia winy miną podała je Tomkowi. Opanował się, by w nawale emocji nie powiedzieć o kilka słów za dużo. Na pewno pomógł mu w tym fakt, że kelnerka była bardzo ładna. Co prawda nie aż tak, jak dziewczyna, z którą jeszcze kilkanaście godzin temu się bzykał, ale...

Dość!

– Nic nie szkodzi. Dziękuję – wycedził przez zaciśnięte zęby. Wciąż z lekką obawą w oczach młoda kobieta rozłożyła im talerze i nawet z przesadną starannością poprawiła sztucce, po czym pokłoniła się, przeprosiła jeszcze raz i czym prędzej się ulotniła.

Tomek przyjrzał się dokładnie penowi.

– Popsuty? – zapytała Karolina.

– Chyba nie... Igła na szczęście jest cała... Tylko ten dozownik trochę lata – odpowiedział z ledwo skrywaną irytacją. Kolejny nadmiar szczęścia. Szlag by to jasny trafił!

– Możemy spróbować kupić nowy...

– Daj spokój! Strzełę sobie na wszelki wypadek trochę mniej niż normalnie i się zobaczy. Potem zbadam cukier. Może działa, jak należy.

– Znowu chcesz eksperymentować? Chyba już o tym rozmawialiśmy!

Fakt, że rozmowie tej przysłuchiwał się pan Andrzej, sprawił, że Tomek przeżywał ją dwa razy mocniej, niż miałyby to miejsce normalnie. Naprawdę nawet w jego obecności musiała tak chlapać jęzorem?! Pożal się Boże... Nie no, może bez tego określenia. Przyszła pani psycholog... Mająca w przyszłości stawiać się w sytuacji swojego rozmówcy. Tak, aby go lepiej zrozumieć i uzyskać jego zaufanie...

Dobre sobie.

Na szczęście ich towarzysz – jako facet – chyba doskonale rozumiał, co Tomek w tym momencie czuł, gdyż wtrącił:

– Pani Karolino, spokojnie. Od cukrzycy naprawdę nie umiera się tak szybko. Mój tato też był cukrzykiem.

– Tak?

– Co prawda, umarł szybko... – zaśmiał się gorzko – ...ale wtedy były inne czasy. Była nawet spora obawa, czy tego po nim nie odziedziczę, ale na szczęście mnie to ominęło. Niemniej jednak przezornie zainteresowałem się zawczasu tematem i co nieco o tym wiem.

Pomimo braku sympatii do Roguckiego (najśmieszniejsze było jednak to, że sam nie wiedział, z jakiego powodu) Tomek był mu teraz za to pójście z odsieczą bardzo wdzięczny. Miał gorącą nadzieję, że może chociaż to jego posłucha jego druga matka.

– Nie gadajmy tyle, tylko jedzmy, bo nam stygnie! – rzucił dziarsko pan Andrzej. Podane z surówką z kiszzonej kapusty i polane apetycznym tłuszczem ze skwarkami kartacze wyglądały i pachniały bardzo zachęcająco. Porcja wyglądała na słuszną, ale zgodnie ze swoimi słowami Tomek zdecydował się na wstrzyknięcie sobie trochę mniejszej dawki insuliny. Przezornego głowa... i tak dalej. Musiał mieć też przecież na uwadze, że za niedługo czekał go melanż.

Kartacze smakowały wybornie i już od pierwszego kęsa Karolina przestała żałować, że nie dotrzymała wielkopiątkowego postu. Całości miłego spędzania czasu dopełniało sympatyczne towarzystwo pana Roguckiego, który imponował otwartością i życzliwością, a z każdą wymianą zdań poznawali się nawzajem coraz lepiej.

Okazało się, że jest wdowcem, jego dwie dorosłe córki także studiują w Warszawie (ale nie przyjechały do niego na święta, nad czym bardzo ubolewał) oraz że prowadzi na Suwalszczyźnie kilka małych biznesów. W miarę upływu czasu zaczął się do niego przekonywać nawet Tomek, w czym na pewno pomogło mu to, że z apetytem pochłaniał swój posiłek i stopniowo napełniał wciąż proszący o więcej żołądek.

Po jakimś czasie, gdy rozmowa zesłała na inne, już mniej osobiste tematy (między innymi o genezie niespotykanych umiejętności walki ich rozmówcy), w samym jej środku panu Andrzejowi zadzwonił telefon. Przeprosił ich więc na moment i wyszedł do patio restauracji. Korzystając

z jego nieobecności, Karolina obdarowała Tomka wielkim, soczystym buziakiem w policzek. Czyżby zrozumiała swój błąd?

– Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować za dzielną walkę w obronie mojego honoru.

„Chyba jednak nie...”

– Spoko, twój przyboczny goryl zawsze do usług.

– A, i przepraszam.

– Za co?

– Za dużo gadam. Myślisz, że nie widziałam, jak się wkurzyłeś?

– Spoko – powtórzył. – Ale staraj się raczej brać przykład ze mnie.

Najpierw pomyśl, potem mów.

– Tak jakbyś ty wczoraj tego przestrzegał!

– Oczywiście, że przestrzegałem. Wszystko, co mówiłem... – zaczął, ale gdy w porę się zorientował, do czego ta rozmowa może zaraz doprowadzić, zamilkł. Był z siebie dumny, że właśnie nie wyszedł na hipokrytę.

Najpierw pomyśl, potem mów.

Na szczęście z niezręcznej ciszy wybawił ich wracający właśnie do stołu pan Andrzej. Gdy położył na nim swój telefon, interesujący się od zawsze nowinkami technologicznymi Tomek w mig rozpoznał model.

– No, no, no... iPhone! Naprawdę musi się panu powodzić!

– Ba! – odpowiedział z udawaną pychą Rogucki. – A co tam, pochwalę się! Najdroższy obecnie model na rynku. 32 GB pamięci wbudowanej. Do tego trochę go, że tak powiem, spersonalizowałem i na moje specjalne życzenie wymieniono mi baterię na najbardziej wydajną, jaką tylko się da. Teraz trzyma kilka dni. – Uśmiechnął się.

– Mogę zobaczyć?

– Pewnie. Proszę uprzejmie. – Odblokował ekran i podał Tomkowi urządzenie. Ten z największą ostrożnością położył je na stole i z niemałą ekscytacją zaczął przeglądać aplikacje. Jeszcze nigdy nie miał w ręku tak drogiego gadżetu! Karolina, choć akurat nie podzielała jego entuzjazmu, także mimochodem zerknęła na ekran.

Wydawałoby się – dla formalności.

Bam!

Kamień uderzył o dno jej żołądka zbyt szybko, jeszcze zanim zdążyła choćby pomyśleć, jak bardzo absurdalne jest to, co znienacka wykiełkowało



w jej umyśle. Tak czy inaczej, nie miała pojęcia, jakim cudem dwóch towarzyszących jej mężczyzn nie usłyszało tego łupnięcia.

„Idiotyzm. I-DIO-TYZM. Ty to masz pomysły... Proszę cię”.

Tylko czemu, do jasnej cholery, jeszcze przed sekundą była pewna, że jednak jej się nie wydawało? Ale kurde... To nie miało przecież żadnego sensu! Najmniejszego... Wzdrygnęła się lekko.

Po kilku minutach majstrowania przy iPhone Tomek uznał w końcu, że głupio jest tak długo myszkować w cudzym telefonie, i zwrócił go właścicielowi.

– Robi wrażenie. Dzięki – powiedział z uznaniem.

– Nie ma za co.

– Kim jest kobieta na zdjęciu z tapety?! – wyrwało się Karolinie. Miała zamiar zapytać o to najnormalniej, jak tylko się da (ha, inna sprawa, jak w tej sytuacji brzmiałoby „normalne” pytanie?), ale jej piskliwy, nienaturalny ton głosu nie podobał się nawet jej samej. Pan Andrzej i Tomek spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Jakby chcąc się upewnić, że zdjęcie wciąż jest tym, które miał na tapecie od zawsze, mężczyzna zerknął na ekran jeszcze raz. Chyba się nie zawiódł, bo odparł spokojnie, choć gwoli ścisłości już nieco innym tonem niż ten, którego do tej pory używał. Jakby smutniejszym.

– To moja zmarła żona. Dlaczego pani pyta?

No właśnie? Oto jest pytanie...

– Tak jakoś... Przepraszam. Nie wiedziałam.

– Nic nie szkodzi. – Uśmiechnął się, czym lekko ostudził jej palące poczucie winy, że w ogóle poruszyła tę kwestię. Co prawda wciąż był to bardzo smutny grymas, ale jednak.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

– Wiecie państwo co? Zaprosiliście mnie na obiad, więc ja bardzo chętnie w ramach rewanżu zaproszę was na żaglówkę. Na Wigrach. Co wy na to? – odezwał się niespodziewanie Rogucki.

Nie dało się ukryć, że zaskoczyła ich ta propozycja. Nie wspominając już, że Karolina wciąż była po tym niewyjaśnionym wstrząsie sprzed kilku minut lekko oszołomiona.

– Będzie mi bardzo miło. Woda jest jeszcze za zimna na pływanie, ale zapewniam, że nie trzeba do niej wchodzić, by także miło na tym jeziorze spędzić czas – zachęcał pan Andrzej.

– Ale przecież to my pana zaprosiliśmy, bo nas pan uratował... Nie musi pan nam nic dawać w zamian...

– Dobrze, zatem nie w ramach rewanżu, a Z CZYSTEJ SYMPATII zapraszam państwa jutro na żaglowanie po Wigrach – poprawił się udawanym zniecierpliwionym tonem.

Dziewczyna była w kropce. Jak zwykle znalazła sobie nietypowy problem na siłę, bo z jednej strony bardzo chciała z tej propozycji skorzystać, ale jednocześnie... nie chciała, by zabrzmiało to tak, że zgadzają się z grzeczności, a nie z rzeczywistej chęci. Poza tym dochodziło jeszcze – wcale nie tak w tej sytuacji oczywiste – zdanie jej chłopaka.

– Jedziemy? Dla mnie brzmi zachęcająco – powiedział... Tomek, czym wprowadził ją w jeszcze większe osłupienie. Nie wiedziała, że teraz każda, choćby nawet najgłupsza propozycja spędzania dnia z dala od Natalii spotkałaby się u niego z identyczną reakcją.

– Pewnie, że tak! Ale czy to naprawdę nie będzie problem?

– Żartuje pani?! Jestem tu sam jak palec. I tak planowałem spędzić sobotę na jeziorze, bo to sama przyjemność. Będę zaszczycony, jeżeli będziecie państwo mi towarzyszyć.

– No to pewnie, że jedziemy! O której i gdzie mamy być?

Zastanowił się.

– Planowałem wypłynąć jakoś po obiedzie. Może więc umówmy się na przykład na czternastą na przystani pod klasztorem? Łatwo do niego dojechać, więc nie powinniście mieć państwo problemów z trafieniem.

– Może być. Zdamy jeszcze przedtem pojechać nad Gałęziste.

– Ustalone zatem. A teraz wybaczcie mi państwo, ale ten telefon był dosyć pilny i koniecznie muszę udać się jeszcze w jedno miejsce. Może podam wam swój numer, byśmy nie musieli się jutro szukać?

Telefon...

Kiedy Tomek wklepywał do swojej komórki numer pana Andrzeja, do Karoliny wróciło to, co przed chwilą tak nią wstrząsnęło. Po raz kolejny tego dnia pograżyła się w zadawaniu sobie w myślach irracjonalnych pytań.

Czy to możliwe, że to twarz właśnie tej kobiety ze zdjęcia widziała wczoraj w jeziorze pod Górą Zamkową?

Oczywiście.

Oczywiście, że brzmiało to jak największa głupota na świecie. Zaczniemy przede wszystkim od tego, że nic tam tak naprawdę nie widziała,

a nawet jeśli, to i tak było to tylko wytworem jej wyobraźni. Jeszcze inna sprawa – jak to się w ogóle stało, że skojarzyła jedno z drugim, skoro tamto rzekome coś w jeziorze Kluczysko widziała zaledwie przez ułamek sekundy? Jeden tyciuteńki moment! Mgnienie oka! Nawet jeżeli przyjmiemy, że to rzeczywiście była twarz (czysto hipotetycznie, bo naturalnie nie była!), mogła przecież należeć do kogokolwiek. Prawdę mówiąc, nie pamiętała już nawet, jak to coś w wodzie wyglądało. Niemal wyrzuciła to z pamięci. Czemu więc to akurat na widok tej konkretnej kobiety zareagowała tak gwałtownie?

„Może dlatego, że jej obraz dalej tkwi gdzieś w twojej podświadomości i to rzeczywiście była ona?”

Przestań!

„A do tego nie zapominajmy, że ona już przecież nie żyje...”

– Dość! – powiedziała głośno.

Towarzyszący jej mężczyźni spojrzeli na nią pytająco.

– Przepraszam, mam w głowie milion myśli na minutę...

– Dobrze, zatem wszystko ustalone i widzimy się jutro pod klasztorem.

Miło było państwa poznać. – Pan Andrzej ponownie ucałował rękę będącej duchem gdzieś w oddali Karoliny, solidnie uścisnął prawicę Tomka, pokłonił im się i poszedł w kierunku wyjścia.

– Jedz, bo ci stygnie. – Chłopak szturchnął ją lekko. W przeciwieństwie do ich nowego znajomego, który już dawno z zadziwiającą sprawnością poradził sobie ze swoim posiłkiem, oni byli dopiero w połowie. Karolina nie zareagowała, tylko wciąż siedziała z nieprzytomnym wzrokiem wlepionym gdzieś w dal.

– Kara!

– Co?

– Jedz, bo ci stygnie.

– Aaa, OK. – Niezgrabnie wzięła do ręki sztućce.

– Co się znowu stało?

I tak wiedziała, co by powiedział, więc tłumaczenie mu tego było najzwyczajniejszą w świecie nieekonomiczną stratą czasu.

– Nic. Zamyśliłam się trochę.

– Aż takie wrażenie na tobie zrobił, że odleciałaś?

– Co? – Nie wiedziała, o co mu chodzi.

– No, ten facet! – Zaśmiał się.

– A wiesz, że zrobił? – To był dobry pretekst do zmiany tematu, z czego skrzętnie skorzystała.

– Nigdy nie zrozumieję, czemu was tak ciągnie do starszych...

– Nie chodzi tu o to, czy jest starszy, czy nie. Jest po prostu facetem z klasą i nawet ty musisz to przyznać. To, jak się zachowuje, mówi...

– Nie przeczę, ale trochę dziwne dla mnie to było...

– Co?

– No właśnie to, jak mówi. Jakby czytał książkę na głos. Akcentowanie, perfekcyjny szyk zdania, nie jąka się, nie robi pauz, bezbłędna odmiana... No i ta jego grzeczność. „Panie Tomasz”, „państwo”...

– Ano widzisz. Oto dowód na to, jak popieprzony jest dzisiaj świat. Gdy ktoś robi coś tak, jak powinno się to robić, to jest uznawany za dziwnego. Do czego to doszło.

– Nie mądrz się tak. – Trącił palcem jej nos w pieszczotliwym geście.

– No ale przecież tak jest. Nie sądzisz, że to chore?

– Nigdy nie miałem takich rozkmin. Ale i tak zdania nie zmienię. Trochę dziwny typ z niego.

– Lepiej brzmi „jedyne w swoim rodzaju” – mruknęła dziewczyna. Nie podobało jej się to określenie.

– Nie wierzę w to, co słyszę! Naprawdę aż tak cię omamił?

– Widzisz, ciebie to dziwi, ale naprawdę byłoby mi miło, gdybyś od czasu do czasu zachowywał się tak jak on. Taka drobnostka, a jakże by mnie ucieszyła – pozwoliła sobie na chwilę szczerości.

– Jest wdowcem i najwyraźniej cię lubi. Próbuj – odpowiedział lodowato Tomek. Karolina nie odpowiedziała i resztę posiłku spędzili w milczeniu.

Nie chcąc dłużej siedzieć beczynn timer na tyłku, chłopak zagadał do mijającej ich kelnerki, czy mogliby dostać rachunek. Mieli już szesnastą, a planował jeszcze zrobić zakupy (nie wypadało wpadać na pijaństwo z pustymi rękami). Poza tym musieli jeszcze zajechać do (GULP!) Białodębów, by się przebrać. W końcu jego spodnie i koszulka wciąż miały na sobie lekkie ślady niegdysiejszego bliskiego spotkania z chodnikiem.

– No, co jest, kurde, z tym rachunkiem? – syknął pod nosem Tomek po kilku minutach. Paniusie wyraźnie nie uważały ich drogocennego czasu za coś wybitnie ważnego.

– Chodźmy, zapłacimy przy barze – zaproponowała Karolina.

– Dobry pomysł.

Skierowali się do wyjścia. Po chwili Wawrentowicz zwrócił się do kobiety przy barze:

– Przepraszam panią, ale prosiliśmy o rachunek. Dlaczego tak długo?

– Jaki rachunek?

– Siedzieliśmy tam, przy oknie: ja, moja dziewczyna i jeden pan. Trzy porcje kartaczy plus napoje.

– Ale przecież za to już zostało zapłacone.

– Jak to?

– Ten pan, który z wami siedział, zapłacił, jak wychodził.

– Na pewno?

– Tak, zostawił też duży napiwek, więc zapamiętałam. Miły facet. – Uśmiechnęła się barmanka.

Karolina i Tomek spojrzeli na siebie w lekkim ogłupieniu.

– Naprawdę DZIWNY facet... – mruknął chłopak.

\*

– Głupio mi trochę...

– A mi wcale. Nie prosiliśmy go o to. Wyraźnie powiedzieliśmy, że go zapraszamy. A tak, to miło z jego strony. Mamy więcej kasy na browary!

– I tak mu jutro zwrócę.

– I tak nie przyjmie, jak mam zgadywać.

Zgodnie z planem zajechali do supermarketu tej samej marki, co ten, w którym Karolina zrobiła wczoraj zakupy. W wózku wylądowało kilka czteropaków piwa, dwie półlitrowe butelki wódki oraz trochę chlebów i kiełbasek na ognisko, z zastrzeżeniem jednak, że w ramach postu dziewczyna nie będzie ich jeść. Co za dużo mięsa w piątek, to niezdrowo.

Gdy dojechali do Białodębów, ich oczom od razu ukazało się kilku mieszkańców wioski pracujących na polu po lewej stronie od drogi. Zwrócili oni oczywiście uwagę na wyjeżdżający z lasu samochód, ale chyba nie wzbudził on ich większego zainteresowania, gdyż od razu wrócili do swoich zajęć. Tomek przyglądał im się kątem oka. O, był Rafał. Była też jakaś brunetka w podobnym do niego wieku – pewnie jego żona. Była też dwójka co najwyżej pięcioletnich dzieciaków, która może nie pomagała, ale przynajmniej nie przeszkadzała. Był tam jeszcze jakiś okrągły, pocieszny grubas i starsza kobieta, która nie była jednak panią Prusową...

I była Natalia.

Nim zdążył się powstrzymać, instynktownie odwrócił głowę, choć zważywszy, że i tak od samego początku miał ją odwróconą, nie miało to większego sensu. Z tego, co zarejestrował, dziewczyna nie zaszczyciła go spojrzeniem ani przez moment. Nie wiedział, czy to dobrze, czy to źle i jak to odbierać... Zastanawiał się także, czy oprócz niego i Natalii jeszcze ktokolwiek inny wie o ich małej leśnej przygodzie z zeszłego wieczora. Śmiesznie byłoby, gdyby byli o tym poinformowani wszyscy poza tym małym rudzielcem obok niego...

Naprawdę użył słowa „śmiesznie”?

No ale to było przynajmniej dobre, że widział, iż nie ma jej w domu. Tylko wciąż istniała niepewność, jak długo będzie trwał ten stan...

Ta pieprzona niepewność...

– Idziesz pierwsza pod prysznic?

– Może lepiej ty? Będę chciała się potem trochę umalować.

„Chryste... Znaczy kurde!”

– Przecież i tak jesteś już piękna – wysilił się na wymuszony uśmiech. Karolina przytknęła go w nos.

– Nie słódź, Wawrentowicz, bo i tak nic ci to nie pomoże!

– Dobra, ja pójdę pierwszy, ale błagam, nie siedź tam za długo, bo... – Spojrzał na zegarek i ku swojemu zadowoleniu stwierdził, że to, co pokazuje, idealnie pasuje do sytuacji. – Mamy już niewiele czasu. Nie wypada się spóźnić.

– Nie gadaj, tylko idź się myć!

– Dobra!

Porwał z torby ręcznik, kosmetyczkę oraz czyste ubrania i czym prędzej wszedł pod prysznic. Nie zadał sobie trudu, by umyć się zbyt dokładnie, ale i tak, jego zdaniem, efekt był całkiem zadowalający. Ubrał się, wyperfumował, zmierzwił włosy i wyszedł z łazienki.

– Szybki Bill z ciebie.

– Teraz ty nie gadaj, tylko do roboty.

– Już!

Ani z korytarza, ani ze swojego pokoju Tomek nie miał żadnego widoku na towarzystwo z pola, więc nie mógł wiedzieć, czy akurat na dzisiaj nie skończyli i, co za tym szło, czy Natalia przypadkiem nie zmierza właśnie do domu...

Pieprzona niepewność.

Oczami wyobraźni widział, jak przepiękna dziewczyna wchodzi z tym swoim charakterystycznym szerokim uśmiechem na podwórko... Zatrzymuje ich w drzwiach tuż przed samym wyjściem z holu na ganek... A potem... Nie chciał nawet o tym myśleć. Zadrżał, wciąż krążąc po korytarzu w tę i we w tę.

Zatrzymał się nagle.

A skąd właściwie mógł mieć pewność, że ona nawet stamtąd nie „słyszy” teraz, o czym on właśnie myśli? Nie można tego przecież wykluczyć. Ty debilu! Jeszcze podsuwasz jej pomysły?!

Drzwi od łazienki otworzyły się niespodziewanie, przez co podskoczył jak oparzony.

– Jesteśmy kwita za środę. – Uśmiechnęła się Karolina.

– Za śro...?

Choć głowę miał akurat zajęta czymś zupełnie innym, Tomek nie mógł nie wlepić w nią wzroku. Wyglądała prześlicznie.

– Ło!

– Mówiłam, nie słódź!

– Dobra. Możemy już jechać?

– Wszystko wzięliśmy?

– Jedzenie i piwo w samochodzie, kurtki i insulina też. Chyba tak.

– No to jedziemy.

Tomek prawie zbiegł po schodach. W korytarzu na dole nie było nikogo. Posępny w zapadającym zmierzchu dom był pogrążony w zupełnej ciszy. Wyszedł na podwórko, po czym zerknął w stronę pola i w duchu odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że Natalia z Rafałem i resztą dalej wykonywali na nim swoje obowiązki. No to chyba naprawdę mu się dziś upiekło.

Jeszcze tylko trzy noce.

Ciesząc się w duchu, że Natalia będzie znajdować się teraz po jego prawej stronie, co oznaczało też z kolei, że on NIE BĘDZIE bezpośrednio na widoku, kiedy będą ją ponownie mijać, wsiadł do samochodu. Upewniwszy się, że Karolina także usadowiła się na swoim siedzeniu, wyjechał z powrotem na drogę. W przeciwieństwie do swojej dziewczyny starał nie oglądać się na boki i skupił się w całości na trasie. Karolina zaś spoglądała z delikatną ciekawością, co też takiego robią pochłonięci swoją

pracą ludzie na polu. Wyglądało na to, że chyba rozrzucają jakiś nawóz. Zwróciła też uwagę, że wykonują tę czynność z największą starannością, i bardzo jej się to spodobało. Ceniła ludzi robiących wszystko porządnie, a nie na odwal się. Nawet jeżeli miałyby to być tak podstawowe i proste rzeczy jak ta, na którą teraz patrzyła.

Zbliżając się stopniowo do granicy między polaną a ścianą lasu, minęli grupkę na polu. Aby obserwować pracę wieśniaków dopóty, dopóki zupełnie nie zejdą jej z oczu, Karolina spojrzała we wsteczne lusterko.

Jakieś dwie sekundy przed tym, jak ich samochód kompletnie zagłębił się w las, dosłownie przez tę jedną króciutką chwilę, jak w zwolnionym filmie, zdążyła dojrzeć moment, w którym ludzie ci nagle w komplecie przerwali swoje czynności i wyglądało na to, że – również w komplecie – zaczęli wodzić wzrokiem za autem. Stali nieruchomo jak kilka posągów tkwiących w samym środku rozległej, polnej przestrzeni. Za samochodem gapiły się nawet dzieci.

Przeszył ją lekki dreszcz. Niby nie było w ich zachowaniu nic dziwnego, ot, można je było wytłumaczyć tradycyjnym i koniecznym co jakiś czas podczas pracy na roli wyprostowaniem pleców. Z początku nie wiedziała nawet, czym był spowodowany jej lekki niepokój po odbiorze tego obrazka. Może ich zadziwiającym, perfekcyjnym zsynchronizowaniem? Tak jakby zrobili to na jakiś umówiony sygnał... Albo byli wręcz sterowani przez kogoś innego.

Lub coś.

„Nieważne... Znowu na siłę szukam problemów. Identycznie zachowywali się przecież ludzie pod Górą Zamkową, a ja przejmuję się tym tak, jakby patrzeć na samochód było czymś zakazanym... Jezu... Górska, i ty chcesz być psychologiem? Sama z tą swoją manią prześladowczą potrzebujesz opieki. Choć raz w życiu się wyluzuj i przestań tyle myśleć”.

Z racji, że mieli piątkowe późne popołudnie, w mieście nie było za dużego ruchu, toteż przejechali przez nie bardzo szybko. Zgodnie z zaleceniami Aśki przecięli tory kolejowe i skręcili po nich w pierwszą drogę w las po lewej stronie. Wyglądała jak z końca świata. Gęste i wysokie drzewa tworzyły majestatyczny półmrok na jezdni, a samochód podskakiwał po zniszczonym asfalcie jak po wyjątkowo źle zrobionych kocich łbach. Leszczyńska miała rację – impreza miała odbywać się na kompletnym odludziu.



Karolina oparła głowę o zagłówek fotela i zamknęła oczy. Wciąż miała lekkie poczucie winy, że nie pójdzie na piątkową liturgię, ale starała się o tym nie myśleć. Pomimo dudnienia spróbowała jeszcze ostatni raz na te kilka minut się wyciszyć.

Nie wiedziała, że gdyby właśnie wtedy spojrzała za okno po swojej stronie, dostrzegłaby snującą się chwiejnie między drzewami postać kobiety. Tej samej kobiety, której zdjęcie zaledwie parę godzin wcześniej widziała w gazecie, w stopce o zaginionych. Oczywiście pewnie by jej nie rozpoznała, gdyż wygląd Anny z tym z fotografii nie miał już za wiele wspólnego.

W całej tej sytuacji najdziwniejsza była jednak nie sama tam jej obecność. Tu bowiem palmę pierwszeństwa dzierżył fakt, że choć dzieliło Żukowską od jezdni i szumiącego przecież samochodu może jakieś trzydzieści metrów, to ani go nie widziała, ani nie słyszała...

\*

Instrukcje Aśki okazały się precyzyjne, przekazane z matematyczną wręcz dokładnością. Po ponownym przecięciu otoczonych łąką torów kolejowych znowu zagłębili się w las (pomimo kolejnego zakazu wjazdu) i po krótkim czasie jazdy zwirową drogą odbili w podporządkowaną do niej w prawo. Po chwili ich oczom ukazała się polana, a na niej świadczący o ich szczęśliwym dotarciu do celu z tuzin chaotycznie zaparkowanych samochodów. Głośna muzyka, która wydobywała się z głośników jednego z otwartych na oścież pojazdów i która była doskonale słyszalna nawet wewnątrz ich audi, nie zagłuszała jednak hałasu czynionego przez sporą, skupioną wokół wielkiego ogniska grupę młodzieży. W pobliżu rozstawione były również liczne namioty.

Karolina otworzyła drzwi, ale nim wysiadła, Tomek zatrzymał ją ręką.

– Czy mogę prosić, by Aśka nie dowiedziała się o naszej małej przygodzie na ulicy?

– Pewnie. Zresztą i tak jej pewnie sam powiesz, jak się nawalisz.

– W życiu.

Wyciągnął z tylnego siedzenia prowiant i wzięwszy go w obie ręce, ruszył różnym krokiem w stronę zbiegowiska ze starającą się dotrzymać mu tempa Karoliną na ogonie. Niektórzy z uczestników imprezy spojrzeli na nich, ale już po chwili wrócili do swoich rozmów, butelek i pieczenia kiełbasek. To ognisko było najwidoczniej jednym z tych, na które mógł

wpadać, kto tylko chciał i kiedy chciał.

– No, jesteście wreszcie! – Siedząca do tej pory na rozkładanym krześle Aśka podbiegła do nich z butelką piwa w ręce i obdarzyła każde z osobna soczystym uściskiem. Karolina jęknęła w duchu. Całe towarzystwo gapiło się teraz właśnie na nich.

– A co, bałaś się, że zabłądzimy? Nie ze mną te numery, Brunner! – odparł dziarsko Tomek. – Co mam zrobić z szamą? Macie jakieś miejsce?

– Połóż przy ognisku. – Machnęła ręką. – Chodźcie, przedstawię was gospodarzowi. – Objęła Tomka za plecy i podprowadziła go do chłopaka o podobnym do niego wyglądzie i gabarytach.

– To są ci moi znajomi z Warszawy, o których ci opowiadałam. Tomek i Karolina.

– Krzysiek – przedstawił się tamten.

– Siema. Tomek. – Uścisnął mu rękę po męsku, po czym zgodnie z przyjętą przez siebie normą obkoczył wszystkich siedzących wokół ogniska, również się przedstawiając. Nie starał się jednak za bardzo zapamiętać ich imion, gdyż i tak by mu się to pewnie nie udało. Karolina podchodziła do tego podobnie, ale z trochę innego powodu. Patrząc na tych ludzi i stan, w jakim aktualnie się znajdowali (dodając do tego dobiegające ją zewsząd „zmęczone” głosy), odnosiła nieodparte wrażenie, że pójście na liturgię byłoby chyba jednak znacznie lepszym pomysłem na wieczór...

– Chodźcie, zajęłam wam miejsca obok siebie. Spierdalaj – rzuciła Aśka do jakiegoś chłopaka, który śmiał posadzić swoje cztery litery nie na tym krześle, co trzeba. Posłusznie podniósł się i oddalił. Wszyscy zdążyli się już chyba przekonać, że z dominującą w towarzystwie naturą Leszczyńskiej nie było żartów.

– Macie namiot czy szukać wam jakiegoś lokum? A, najwyżej będziecie spać w swoim samochodzie – zapytał i od razu sam sobie odpowiedział Krzysiek. Też miał już lekko zarumienioną twarz. Jeżeli to on był tym kumplem, do którego przyjechała Aśka, jego wygląd w sumie nie dziwił. Karolina była pewna, że jedna wielka impreza, ewentualnie zmieniająca tylko od czasu do czasu swoje miejsce, trwała już od samego przyjazdu Leszczyńskiej. Chciała odpowiedzieć Krzyśkowi, że wcale nie zamierzają zostawać tu na noc (no dobra, Tomek może i chce, ale na pewno nie ona), ale nie zdobyła się na choćby jedno słowo. Już teraz wiedziała, że gdy tylko nadejdzie odpowiednia pora, będą musieli spieprzać stąd po angielsku... Co

pewnie z pijanym w sztok Wawrentowiczem nie będzie wcale takie proste...

– Piwko dla ciebie, stary. – Krzysiek otworzył butelkę (nie przejmując się oczywiście kolejnym kapslem, który wylądował na ziemi wśród dziesiątek innych już tam leżących) i podał ją Tomkowi.

– Dzięki.

– I dla cie...

– Dzięki, ale na razie nie chcę – odparła Karolina.

„Na razie... Dobrze sobie”.

– OK, jak chcesz. W razie czego mów.

– Dalej nie pijesz, Kara? – zapytała Aśka.

Jeszcze tego brakowało, by abstynencja Górskiej stała się głównym tematem wieczoru... Super.

– Jeszcze się nie przekonałam.

– Spoko. Szanuję decyzję, naprawdę. Nie rozumiem, ale szanuję.

– Cieszę się bardzo.

– Ale nie zmienia to, że jak na łożu śmierci wreszcie pierwszy raz wypijesz, to pomyślisz sobie: „Jezu, ale ja byłam głupia!”. – Leszczyńska się zaśmiała. Karolina błogosławiła w duchu fakt, że aktualnie jeszcze mało kto jej słuchał. Na wszelki wypadek warto było jednak zmienić temat.

– Bez kitu? Jesteś abstynentką? – podjął Krzysiek.

„Cholera. Za późno”.

– Tak – odparła lekko wyzywającym tonem, który był teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

– Jesteś muzułmanką? – zapytał śmiertelnie poważnie. Jego lekko nieprzytomne oczy sprawiały, że wyglądał w tym momencie raczej komicznie i wybitnie nie pasowało to do powagi jego tonu. Ale zanim Karolina zdążyła odpowiedzieć, dodał:

– Żartuję. Tak naprawdę to szacun. Naprawdę. – Chłopak wyciągnął do niej pięść na żółwika. Podniesiona trochę na duchu odwzajemniła gest, bo choć na informację o jej permanentnej wstrzeźliwości większość ludzi reagowała podobnie jak on, to zdarzały się indywidualia, dla których był to załączek do agresywnej dyskusji o jej poglądach na temat alkoholu. I właśnie takiej postawy spodziewałaby się po towarzystwie Aśki.

– Ale nigdy, nigdy?

– Nigdy.

– Nawet nie próbowałaś?

– Nie.

– Ja bym tak nie potrafił. Dlatego szacunek.

„Zmieńmy wreszcie temat, do cholery!”

Wyglądało na to, że niebiosy chyba wreszcie jej wysłuchały.

– Asia opowiadała, że też jesteście z Warszawy?

– Tak.

– Wycieczka?

– Tak. – Karolina nie wysilała się na jakiegokolwiek rozwijanie swoich wypowiedzi. Nie czuła takiej potrzeby.

– A gdzie mieszkacie?

– W Białodębach.

– Gdzie?! – zapytał nieco głośniej, jakby nie dosłyszał.

– W Białodębach!

– Gdzie to, kurwa, jest? Jakies zadupie? Nigdy o nich nie słyszałem.

– Taka mała wioska w lesie. Przy cmentarzysku Jaćwingów zaraz za Suwałkami.

– Cmentarzysko kojarzę, ale miejscowości zero. – Pociągnął ze swojej butelki pokazny łyk. – No ale zresztą tam w pobliżu jest pełno małych wioseczek, więc to pewnie jeszcze jedna z nich. Nigdy tam nie łąziłem, więc nie wiem.

Temat ich lokum został bardzo szybko ucięty, bo już po chwili Krzysiek przeszedł do tego, co mu najbardziej leżało na sercu, i zaczął opowiadać Tomkowi o swojej mordędzie na studiach medycznych w Białymstoku. Karolina nie słuchała go już jednak, tylko rozglądała się dyskretnie po polanie. Bez żadnej przesady – było na niej co najmniej czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt osób. Tylko część z nich siedziała przy ognisku, a porozrzucana tu i ówdzie reszta rozmawiała głośno na różne tematy. Na tyle, na ile mogła wyłapać ze strzępków dialogów, jedna grupa dyskutowała chyba, dlaczego Janusz Korwin-Mikke u władzy to najlepsze, co może przytrafić się Polsce, inna (jak nietrudno się domyślić, złożona z samych facetów) rozprawiała nad polską – pożał się Boże – reprezentacją w piłce nożnej i dlaczego na Euro za rok – pomimo wszelkich znaków na niebie i ziemi, że będzie zgoła odwrotnie – odniesiemy sukces („Franek Smuda czyni cuda”), a jeszcze jedno zbiegowisko – największe i najgłośniejsze – zebrało się wokół dwóch chłopaków, z których jeden – ten z czapką

z daszkiem – najprawdopodobniej postanowił nieudolnym freestyle’em zdissować swojego adwersarza po tym, gdy ten śmiało uprzednio stwierdzić, że najlepszą muzyką jest rock, a nie rap.

„Milutko”.

Złapała ponadto jakąś siedzącą naprzeciwko niej dziewczynę na intensywnym gapieniu się na nią, ale o dziwo tamta nic sobie z tego nie robiła. Przeciwnie, wciąż wpatrywała się w Karolinę i wymieniała z siedzącą obok towarzyszką jakieś uwagi. Na tyle, na ile mogła wyczytać z ruchu jej ust, było to coś w stylu „kim ona jest?” oraz że „ma chamską gębę”.

„Chryste... Co ja tu robię...”

Wszelkie nadzieje na towarzystwo, w którym czułaby się dobrze, zostały brutalnie zniszczone przez rzeczywistość. Tomek z kolei – jak zwykle zresztą przy takich okazjach – czuł się jak ryba w wodzie. Łatwo podejmował nowe tematy do rozmowy, czy to z Krzyśkiem, czy to z innymi siedzącymi blisko nich ludźmi. Czasami zwyczajnie zazdrościła mu tej swobody i łatwości w zawieraniu nowych kontaktów. To powinna być przecież głównie jej domena – to ona będzie w końcu starała się kiedyś zdobywać zaufanie swoich pacjentów, a umiejętność dobrej komunikacji jest w tej kwestii podstawą.

Pocieszała się jednak, że w tym wypadku problem leżał chyba zupełnie gdzie indziej. Niejednokrotnie już zastanawiała się, dlaczego tak źle czuje się na wszelkiej maści zakrapianych imprezach, i zawsze dochodziła do oczywistego wniosku, że to przez jej abstynencję. Jakkolwiek by próbowała zaprzeczać – taki był właśnie ten niewygodny fakt. Niepicie od zawsze sprawiało, że lekko odstawała od każdego towarzystwa, i skutkowało pewnym dyskomfortem na każdej tego typu balandze. Najśmieszniejsze było jednak to, że nie potrafiła swojej postawy nawet po części racjonalnie wytłumaczyć. Była więc wdzięczna Krzyśkowi, że ten zmienił temat, bo na bank prędzej czy później do drażenia zagadnienia dołączyłaby również reszta i w końcu dotarliby do pytań o powody. A wtedy oczywiście Karolina przegrałaby walkę na argumenty, bo w ich arsenale była kompletnie bezbronna.

Nie był to syndrom dziecka alkoholika, bo jej rodzice jak już używali alkoholu, to rzadko i z rozsądkiem. Nie był to też syndrom dziewczyny alkoholika („wypluj to!”), a przynajmniej taką miała nadzieję. Nie było

żadnego wyraźnego powodu. Nie pije, bo po prostu nie pije. Nie i już. Nigdy nie próbowała i nie zamierzała próbować.

„Tak, postanowienie super i jakże szlachetne, tylko czemu za każdym razem, na którejkolwiek bibie jesteś, to ty stajesz się tą osobą, która najbardziej zamula?”

– Kara!

Karolina zamrugła. Odleciawszy w swoich przemyśleniach w wyższe poziomy filozoficznej abstrakcji, nawet nie zauważyła, jak szybko zapadł zmierzch, a przed nią ni stąd, ni zowąd pojawiła się góra puszek i butelek. Gdy pogrążała się w odmętach świadomości, zupełnie traciła poczucie czasu.

– Co?

– Możesz powiedzieć Krzyškowi, gdzie byliśmy? Ja już jestem tak napruty, że nic nie pamiętam – zaśmiał się z czknięciem Tomek. Jego oddech o woni doprawionego wódką piwa również nie należał to najprzyjemniejszych, więc lekko się od niego odsunęła.

– Ale co, gdzie byliśmy?

– No twoja super wycieczka, zapomniałaś? – zapytał Wawrentowicz poważnym tonem. Poważnym w pijackim wydaniu oczywiście. Ech, znowu musiała udawać, że gada z kimś, kto traktuje tę rozmowę serio...

– W Stańczykach, na Górze Cisowej, na Górze Zamkowej...

– O to, to! To pod Górą Zamkową widziała twarz w wodzie! – zapiął Tomek do Aśki i Krzyśka. Zmrożona Karolina miała ochotę go dosłownie zamordować... Co gorsza, prawie wszyscy siedzieli teraz przy ognisku i przysłuchiwali się tej dyskusji z największą uwagą.

Ku zdziwieniu Karoliny Krzysiek się nie zaśmiał. Nie wiedziała, jak to odbierać. Może już zupełnie stracił łączność ze światem?

– Znacie legendę o Górze Zamkowej? – zapytał w końcu.

– Nie – odparła dziewczyna.

– A wy? – zapytał ponownie po reszcie.

– No, że kiedyś był tam zamek, tak? Część grodu Szurpiły, który zbudowali Litwini w obronie przed Krzyżakami? – odpowiedział jakiś siedzący niedaleko nich chłopak.

– To akurat fakt, a nie legenda. Pytałem, czy legendę znacie.

– Nie znamy. Co mnie obchodzą jakieś suwalskie legendy? To opowiedz, jak jest ciekawa – pogoniła go Aśka. Karolina dopiero teraz

zwróciła uwagę, że obejmują się z Krzyśkiem nie mniej czule niż ona i Tomek jeszcze przed chwilą. Dałaby jednak głowę uciąć, że nie są parą.

– Tak właściwie to nawet nie do końca pamiętam, bo słyszałem ją tylko raz. I nawet nie pamiętam gdzie. Na pewno nie przeczytałem jej w żadnej książce... Aaa, chyba wiem. Opowiedziała nam ją gospodyni, gdy w podstawówce pojechaliśmy z klasą na biwak do Przełomki.

– To pamiętasz czy nie?

– Może nic nie zamotam. Z tego, co pamiętam, to rzeczywiście był w tej legendzie zamek. Zamek, w którym mieszkała księżniczka. Miała takie śmieszne imię... O! Tekla!

– Księżniczka? – zapytała Aśka kpiącym tonem.

– A jak miałbym ją nazwać? Nieważne. Ważne jest to, że ponoć była bardzo zła i okrutna. Bardzo źle traktowała swoich poddanych.

– No, już ciekawiej. I co dalej?

– No i ci poddani modlili się ponoć, by Bóg uwolnił ich od panowania Tekli.

– Ludzie pierwotni, wybaczymy im ciemnotę – nie przestawała wcinać się Leszczyńska. Jej gadanie strasznie Karolinę irytowało, a poza tym naprawdę ciekawiła ją ta legenda. Być może jakkolwiek wyjaśniałaby to, co Górską zobaczyła w wodzie...

Tfu!

– A skończyło się to chyba tak, że modlitwy zostały wysłuchane i którejś nocy aniołowie zeszli z nieba i zasypali ziemią Teklę i jej zamek, tworząc Górę Zamkową...

– Pff... – prychnęła Aśka – teraz żeś dojechał...

– Przecież mówiłem ci, że tę bajkę opowiedziała nam jakaś gospodyni w podstawówce. Czego się spodziewałaś? Latających flaków?

– Mogłeś chociaż trochę ubarwić.

Krzysiek pociągnął łyk piwa.

– Tylko że ja jeszcze nie skończyłem.

– No to dawaj!

Zapadła niesamowita cisza, nawet niezmiennie grająca od samego początku z jednego samochodu muzyka w zaskakującym zbiegu okoliczności akurat teraz zrobiła sobie przerwę. Wszyscy zebrani z uwagą wsłuchiwali się w słowa Krzyśka.

– W któreś wakacje, już po usłyszeniu tej opowieści... – zaczął. Jak na

stan, w którym obecnie się znajdował, miał zaskakująco wyraźny i przytomny głos – ...byłem na obozie indiańskim niedaleko Szurpił.

– U takiego Marka? – zapytała jedna z dziewczyn.

– Tak, skąd wiesz?

– Też byłem na jednej jego kolonii. Całkiem spoko.

– Dobra, nieważne, u kogo... Jednego razu poszliśmy pieszo całą grupą i opiekunami pod Górę Zamkową i skończyło się to nocowaniem na wyspie na tym jeziorze obok... Już nawet nie pamiętam, jak ona się nazywa, ani jak to jezioro się nazywa („Jeglówek” – pomyślała Karolina), ale to nieważne teraz... Wszystko spoko, grupka po grupce transportowali nas łódką na wyspę, wieczorem ognisko, potem rozłożyliśmy śpiwory na karimatach i lulu.

– No i?

Karolina wyobraziła sobie, jakby miała po tym wszystkim w tamtym miejscu teraz biwakować... Oj, nie! Chyba że w towarzystwie co najmniej dziesięciu osób... CO NAJMNIEJ dziesięciu.

– Delikatnie mówiąc, ponoć w nocy działy się dziwne rzeczy. Ja co prawda nic nie słyszałem, bo spałem jak zabity, ale...

– Już wtedy byłeś najebany? – Aśka się zaśmiała. Karolina ledwo się powstrzymała, by dosłownie nie wstać i nie zdzielić jej przez łeb. Krzysiek zamilkł na moment. Widać było, że i jego komentarze Leszczyńskiej lekko irytują. On, w odróżnieniu od niej, nie robił sobie z tej historii jaj.

– Kontynuuj – zachęciła go uprzejmie Karolina.

– Ja nic nie słyszałem, ale inne dzieciaki mówiły, że słyszały na wyspie niezidentyfikowane kroki i głośnie pluśnięcie przy brzegu, tak jakby ktoś wrzucił do wody ogromny kamień. Do tego gdzieś tam w oddali, na stałym lądzie, podobno było słychać wycie wilków...

– Inne dzieciaki też były najebane!

Krzysiek westchnął i przerwał swoją opowieść.

– Sama opowiedz coś ciekawego, jak taka mądra jesteś! Moje jest przynajmniej oparte na faktach!

– Uuu! Tekla wstała z martwych i chodziła po wyspie jak zombiak! – szydziła Leszczyńska i w charakterystycznej, znanej z filmów o żywych trupach pozie wyciągnęła przed siebie ręce. Jako że ludzie wokół także zaczęli się śmiać, Krzysiek spuścił wzrok, a Karolinie zrobiło się go nawet trochę żal.



– A pewnie, że opowiem! – Aśka nagle się ożywiła.

Karolina poczuła się trochę nieswojo. I to nawet pomimo towarzystwa blisko pięćdziesięciu osób.

Po prostu zdała sobie sprawę, gdzie i o jakiej porze się znajdowali.

A jak jeszcze za opowiadanie strasznych historii miała zabrać się Aśka... Aśka, która była w tym mistrzynią świata...

Leszczyńska wzięła spory łyk piwa i zaczęła:

– To też podobno oparte na faktach. Rzecz działa się w czasie wojny...

„E, znam to. Opowiadała mi kiedyś” – pomyślał Tomek i się podniósł.

– Idę się odlać – szepnął nieudolnie w ucho Karolinie. Ta nawet na niego nie spojrzała, gdyż wciąż skupiona była na Aśce. Ona z kolei tej historyjki nie знаła.

– Pewien żołnierz został wysłany samotnie na zwiady w miejsce, gdzie wylądował samolot wroga. Było to na jakiejś polanie w samym środku lasu. Niestety, zabłądził... – Leszczyńska zamilkła na moment w celu zwiększenia napięcia i trzeba było przyznać, że bez problemu udało jej się uzyskać zamierzony efekt.

– W wyniku tego nie mógł wydostać się z lasu i zastała go w nim noc. Nie miał jednak innego wyjścia, więc szedł dalej przed siebie. Po jakimś czasie zupełnie przypadkowo dotarł do polany, na której znajdował się ten samolot. Żołnierz przestraszył się, bo to oznaczało, że gdzieś tu wokół mogą czaić się małe oddziały artylerii wroga. Siedział więc w ukryciu i nasłuchiwał. Co było jednak najdziwniejsze – ani nie widział, ani nie słyszał nikogo. Jakby samolot stał zupełnie pusty, pozostawiony sam sobie... Jedyne co słyszał, to narastający w miarę upływu czasu szum wiatru...

W końcu żołnierz przemógł się i postanowił zbadać samolot. Wszystko to było bardzo dziwne. Z duszą na ramieniu podchodził do maszyny coraz bliżej i bliżej. Dalej nie mógł nikogo dojrzeć ani usłyszeć. Co więcej – okazało się, że drzwi do samolotu są otwarte. Ostrożnie wszedł do środka. W ciemności nie mógł niczego zobaczyć, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że samolot jest zupełnie pusty... Były to jednak tylko pozory...

Aśka znowu przerwała. Trzeba było obiektywnie przyznać, że naprawdę radzi sobie o wiele lepiej od Krzyśka. Nieprzepadająca na co dzień za opowiastkami grozy Karolina już miała tej dosyć, ale wbrew sobie słuchała

dalej, tak jak małe dziecko ogląda film, którego się boi, ale jednocześnie nie może się od niego oderwać. Klimatu nie zepsuła nawet muzyka, która od jakiegoś czasu ponownie rozbrzmiewała z samochodu.

– Nagle z tyłu kabiny, z ciemności wyłoniła się jakaś ręka. Przestraszony żołnierz już miał sięgnąć po karabin, gdy coś sprawiało, że nie mógł tego zrobić. Było to niewyjaśnione. Zupełnie jakby to coś w stu procentach kontrolowało jego ruchy. Ręka wskazała mu na stery samolotu. Nie mógł się jej oprzeć. Niczym zahipnotyzowany powoli odwrócił się i usiadł na fotelu pilota. Uruchomił samolot i po chwili był już w powietrzu...

Zamilkła. Tym razem pauza była o wiele dłuższa, ale Karolina wiedziała, że nie był to jeszcze koniec opowieści, i intuicja jej ostatecznie nie zawiodła.

– Pozostali żołnierze z kompanii głównego bohatera znaleźli rozbity samolot dopiero kilka dni później i wiele kilometrów od miejsca, gdzie został wysłany nieszczęsny zwiadowca. Co prawda wrak nie nadawał się już do latania, ale kabina wciąż była cała. Gdy ją otworzyli, zobaczyli swojego kolegę, który trzymał się sterów tak kurczowo, że potrzeba było kilku mężczyzn, by go od nich oderwać. Ale znacznie ciekawsze rzeczy zostały znalezione z tyłu kabiny.

Pauza.

– Żołnierze znaleźli tam zakonserwowane ciało. Dosłownie zakonserwowane. Gdy się je dotknęło, to praktycznie rozpływało się w dłoniach jak galareta, niezależnie od tego, czy były to skóra i kości, czy też oczy...

– Fuuuj! – wyrwało się jakiejś dziewczynie, po czym zaśmiała się na wpół nerwowo, a na wpół wesoło.

– Żołnierze nic z tego nie rozumieli. Jedynym potencjalnym źródłem informacji był ich kolega, który na szczęście żył. Po oderwaniu od steru samolotu wciąż siedział ledwo żywy na fotelu pilota i patrzył nieprzytomnym wzrokiem przed siebie gdzieś w dal. Jakby był swoją świadomością w jakimś zupełnie innym świecie. W końcu dowódca podszedł do niego, uklęknął przed nim, wziął za ramiona i wyszeptał: „Janek, co ci się, na Boga, stało?! O co tu chodzi?”. Wtedy Janek spojrzał na niego, tym razem zupełnie przytomnie i świadomie, i z okropnie poranioną twarzą odpowiedział...

– AAA!!! – przeraźliwy krzyk rozległ się tuż przy uchu Karoliny. Również wrzasnęła i podskoczyła, czym wzbudziła ogólną wesołość. Okazało się, że to Tomek, który znał zakończenie tej historii, postanowił pomóc Aśce efektownie ją spuentować.

– Pojebało cię?! – krzyknęła rozpaczliwie Karolina. Nie mogła opanować drżenia, serce waliło jej jak młotem, a ucho szumiało. Na domiar złego wszyscy wokół wciąż nie przestawali się śmiać...

– Przepraszam Kara, ale nie mog... łem się pow... strzymać! – Wawrentowicz również krztusił się ze śmiechu.

– Palant! – Odsunęła krzeselko i ostentacyjnie wyszła z okręgu wokół ogniska. Słyszała, jak reszta z niej szydzi, ale nie dbała o to. Musiała stamtąd wyjść. Koniecznym potrzebowała być teraz sama. Koniecznym.

– Kara, daj spokój! Przepraszam! – Tomek, zataczając się lekko, szedł za nią. Zignorowała go i dalej szła przed siebie. Wiedziała, że jego przeprosiny są szczerze, ale nie potrafiłaby ot tak tam teraz wrócić i wystawić się ponownie tym wszystkim nabijającym się z niej hienom na widelcu. Nie potrafiła być ponad to. Nie i już.

Po kilku metrach Tomek machnął niezgrabnie ręką i postanowił wrócić do ogniska. Obiektywnie (w swoim stanie) uważał, że nie zrobił nic złego i jej reakcja była nieadekwatna do sytuacji. Trudno, najwyżej znowu będzie typowy foch Karoliny. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Co ją ugryzło? – zapytała Aśka, gdy z powrotem przysiadł się do kręgu. To, co się przed chwilą wydarzyło, najwidoczniej nie było już przewodnim tematem rozmów, gdyż przy ognisku na nowo zapanował głośny gwar, ale na tyle, na ile mógł usłyszeć, każda podgrupka znowu zajęła się samą sobą i gadano o jakichś nieistotnych i niezwiązanych z Karoliną pierdołach. Jeszcze jeden dowód na to, że jak zwykle przesadzała z tym braniem wszystkiego do siebie.

– Nie znasz Karoliny?

– Ostatnio nie miałam z nią kontaktu. Ale chyba nic się nie zmieniła...

– Dokładnie.

– Jak wam się ogólnie układa? – Leszczyńska oderwała się od Krzyśka i przysiadła się bliżej Tomka. Ten miał dziwne wrażenie. Jakby *déjà vu*...

– Różnie. „Czasem łagodnie, a czasem na ostro”.

– Wiesz... – Przejechała palcem po jego ramieniu. – Zawsze jej zazdrościłam, że to ją wybrałeś...

Nie bawiła się w okrężne drogi, to trzeba było jej oddać. Tomek nie odpowiedział jednak. Czuł się trochę dziwnie. Jakby zaczynał stopniowo odpływać...

– Od zawsze mi się podobałeś i od zawsze cię lubiłam. I zawsze marzyłam o pewnej rzeczy...

Jej słowa docierały do niego jak przez mgłę. Nawet w tym stanie wiedział jednak, że drugi raz w ciągu dwóch dni tego nie zrobi. Nie było siły.

– Nawet teraz jestem na ciebie napalona. Tak napalona, że mogłabym cię przelecieć tu i teraz...

– Nie, Aśśśkaaaa – wybełkotał Tomek. – Ma dziewczynę...

– Co mówisz?

– Madzeczynę... – powiedział, przeciągając każdą sylabę. Świat wokół niego wirował i jednocześnie stał w miejscu, tak jak zawsze, ale z tą różnicą, że systematycznie, z każdą sekundą coraz bardziej tracił z nim kontakt.

– Co ci? – Echo śmiechu Aśki rozbrzmiało gdzieś w oddali. – Już tak jesteś najebany? Słabiutko, Tomuś. Wypadasz z formy!

Chłopak nie zdążył odpowiedzieć. Próbował jeszcze prosić o pomoc, ale z jego ust nie wydobyło się już ani jedno słowo. Ostatnim obrazkiem, jaki zapamiętał przed utratą przytomności, był pomarańczowy płomień ogniska, który w jego perspektywie stopniowo zmieniał swoje położenie. Nie wiedząc, czy to majaki jego będącego w strzępach umysłu, czy też naprawdę zwałił się z krzesła, po chwili poczuł, że spada.

Gdy ostatecznie walnął o grunt, na polanie rozniósł się gromki śmiech Aśki.

\*

Karolina szła przed siebie bez celu z oczami mokrymi od łez. Wprawdzie nie płakała, ale czuła się po prostu fatalnie. Trzeba było słuchać swojego wewnętrznego głosu, pieprzyć zdanie Aśki i nawet pomimo przyjęcia zaproszenia w ogóle tu nie przyjeżdżać. Co to za przyjemność siedzieć z kilkudziesięcioma najebanymi ludźmi, podczas gdy samemu się nie pije? I to do tego z takimi, z którymi pewnie nawet na trzeźwo w życiu by się nie dogadała? NIGDY nie uzna takiego imprezowania za coś normalnego. NIGDY! Zabawa... Niezapomniany melanz, z którego i tak... większości wydarzeń nie będą pamiętać... Od razu w afekcie obiecała

sobie, że już nigdy więcej nie będzie uczestniczyć w czymś takim. Przenigdy. Koniec. To była inna mentalność, inne pojmowanie rzeczywistości, inny świat. Nie należała do niego i nie chciała należeć. Strata czasu.

Żenada.

Akurat gdy o tym pomyślała, nad polaną rozniósł się ryk jakiegoś chłopaka, który do melodii *Rivers of Babylon* wrzeszczał: „Jesteśmy chuj wie gdzie, dobrze bawimy się!”.

Masakra.

Co prawda wiedziała, że na pytanie: „czy to świat jest chory, czy to może ja zwyczajnie do niego nie pasuję” zazwyczaj prawidłową odpowiedzią jest ta druga, ale wiedziała też, że w kontekście imprez takich jak ta nigdy, przenigdy się z tym nie zgodzi. Nikt jej nie przekona, że właśnie tak powinien wyglądać zwykły, typowy porządek młodzieżowego (i nie tylko) świata.

Zatrzymała się przy namiotach, w których z dużym prawdopodobieństwem parzyło się już co najmniej kilka par. W końcu ciężko było inaczej wytłumaczyć, dlaczego niektóre z nich ruszały się w dość charakterystycznych, płynnych ruchach.

– Gosia!

Dobiegł ją z najbliższego niski, zapijaczony głos. Brzmiał tak żałośnie, że aż śmiesznie. O dziwo para chyba jednak nie kopulowała.

– Idź spać! – odparła ostro dziewczyna, która najwyraźniej była rzeczoną Gosią.

– Gniewasz się na mnie? – zapytał chłopak ze szczerą pijacką skruchą.

– Arek, skończ gadać i idź spać!

– Ale Gosia...

Zapadła chwila ciszy, po której znowu odezwała się dziewczyna:

– Spierdziałeś się?!

Karolina ukryła twarz w dłoniach. „Co ja tutaj robię, do cholery?” To było po prostu niesamowite. Jak mogła nie przewidzieć, że właśnie tak to będzie wyglądać? No jak? Uniosła oczy ku niebu.

– Przepraszam... – wyartykułowała niemo.

Jedyne, o czym teraz marzyła, to by wrócić do Białodębów i znaleźć się wreszcie w łóżku. I to już nieważne, czy wzięłaby ze sobą Tomka, czy też nie. Jak dla niej jak tak bardzo chciał, to mógł tu zostać nawet do rana. Nie

miała ochoty na kolejną filozoficzną dyskusję z nim po pijaku, a ta byłaby nieunikniona, gdyby zaciągnęła go do samochodu siłą. Miał tu swoje towarzystwo, w którym czuł się rewelacyjnie, a ona była dla niego tylko kulą u nogi, więc obydwójgu bardzo dobrze zrobi, jak się właśnie teraz rozdziela. I tak nawet nie będzie pamiętał, kiedy się ulotniła. Problem był tylko w tym, że to on w dalszym ciągu trzymał klucz od samochodu... Musiała więc znaleźć jakiś sposób, by go mu dyskretnie odebrać.

Momentalnie podjęła decyzję. A co tam! Pójdzie i nie zważając ani na komentarze jego, ani pozostałych, po prostu go od niego weźmie. Po prostu! I tak miała w głębokim poważaniu ich opinie na jej temat.

Zamarła.

„Co do cholery...?”

W czasie, gdy stojąc tyłem do będącego teraz jakieś dziesięć metrów od niej ogniska, oddawała się tym rozmyślaniam, patrzyła bez świadomości na otaczający polanę las. Akurat wtedy, gdy pomyślała ostatecznie zdanie, drzewo, w którym od samego początku miała utkwiony wzrok... poruszyło się. Żeby tylko! Nie dość, że się poruszyło, to zaczęło się też bardzo powoli przemieszczać między innymi!

To było jednak jeszcze nic. W następnej sekundzie w ślad za nim poszły bowiem kolejne. I to nie pojedyncze, a prawie wszystkie, jakie do tej pory stały na granicy między polaną a lasem.

To było jednak jeszcze nic...

Karolina zaczęła drzeć. Zdała sobie nagle sprawę, że ukryci w puszczy ludzie, których miała przed sobą przez cały czas od momentu jej wyjścia z ogniska, ale z których obecności wokół nie zdawała sobie sprawy dopóty, dopóki w komplecie się nie poruszyli, otaczają ich z każdej strony. Nie widziała wprawdzie, jak wygląda to za ogniskiem, ale była pewna, że swoisty mur złowieszczych postaci, którego fragment widziała na wprost od siebie i który niewprawne oko naprawdę mogło bardzo łatwo pomylić z rzędem drzew, ciągnie się bez żadnej przerwy po obwodzie polany i skutecznie odgradza komukolwiek jakąkolwiek drogę ucieczki.

Ale to było jeszcze nic...

Choć trudno było to sobie wyobrazić, wszystko wskazywało na to, że tamtych ludzi było jeszcze więcej niż wszystkich uczestników imprezy razem wziętych.

Ale wszystkie te rzeczy to było naprawdę JESZCZE NIC przy ostatnim

fakcie, który dotarł do Karoliny właśnie w tym momencie.

Tajemniczy intruzi stopniowo zmniejszali tworzony przez siebie krąg. Bezszelestnie zmierzali ze wszystkich stron do nieświadomych niczego nastolatków i z każdą sekundą byli coraz bliżej i bliżej...

## ROZDZIAŁ IX

Pomimo ciemności przerywanej jedynie przez słabe światło księżyca i tak wiedziała, że tam był.

Nie powinno to było nikogo dziwić – w końcu po takim czasie trwania w stanach nieustannego zagrożenia i napięcia jej wzrok, a także słuch niesamowicie się wyostrzyły. Na tyle, że doskonale widziała, iż był ukryty gdzieś tam, w wysokiej trawie, na samym środku polany, na której obecnie obydwójce się znajdowali. Liczyła jednak, że on z kolei nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Nie po to przez te kilka godzin czatowała, zaciskając kurczowo poranione dłonie na znalezionym gdzieś grubym kawałku gałęzi, by teraz zostać z niczym.

Czekała na właściwy moment. Miała tylko jedną szansę i wiedziała o tym. Jedną, jedyną możliwość sukcesu. Najmniejsze zawahanie w kluczowej chwili sprawi, że on ucieknie, a wtedy wszystko będzie stracone i całość będzie trzeba zaczynać od nowa. I to najpewniej nie z nim, a z czymś innym. A skąd miała gwarancję, że potem cokolwiek znajdzie? Była to czysta loteria. Dlatego właśnie tak bardzo liczyła, że jej się teraz powiedzie.

Ta myśl zmobilizowała ją jeszcze bardziej. Zacisnęła pięści. Jako że jej paznokcie nie były obcinane już od dłuższego czasu, boleśnie wbijały jej się we wnętrza dłoni. Nie zwracała jednak na to uwagi. Nie zwracała już sobie głowy takimi drobnostkami jak ten lekki, zewnętrzny ból.

Gdzieś tam w głębi ta jeszcze ludzka część jej umysłu zdawała sobie sprawę, że to, co za chwilę zrobi, jest chore i każdy psychiatra na świecie natychmiast zamknąłby ją w pokoju bez klamek. I zrobiłby to nie po fakcie, a nawet przed nim – wystarczyłoby tylko, by jakkolwiek wyszedł na jaw sam jej zamiar. Nie miała jednak innego wyboru. Poza tym szczerze pieprzyła teraz psychiatrów i ich opinie na temat jej zdrowia psychicznego. Zresztą... nie tylko ich. Miała gdzieś całą otaczającą ją rzeczywistość. Nic jej już nie obchodziło i było jej tak naprawdę wszystko jedno. Prawie.

„Prawie” – słowo klucz.

Nie dawało jej spokoju tylko to jedno uporczywe, nieprzyjemne uczucie wewnątrz... Coś, co bolało ją znacznie bardziej niż każda z tych dziesiątek ran i zadrapań na skórze. Nie miała pojęcia, że ból ten jest aż tak przejmujący i nie do zniesienia. Było to o tyle zaskakujące, że wiedziała od dawna, iż są ludzie, którzy zmagają się z nim codziennie, a mimo to aż do



teraz tak naprawdę nie wiedziała, jak to jest. Mało tego – w poprzednim życiu zajmowała się zawodowo czymś, co sprawiało, że ludzki organizm nie powinien mieć przed nią praktycznie żadnych tajemnic.

A jednak.

Było ciężko. I to bardzo.

Tak ciężko, że musiała temu ulżyć. Ulżyć albo strzelić sobie w łeb... Ha! Żeby jeszcze było czym...

A zresztą... Przypomniała sobie, że próbowała już przecież z tym skończyć... Wiele razy. Problem był jednak w tym, że... las jej na to nie pozwalał. Pieprzony las nie pozwalał jej nawet popełnić samobójstwa!

**ZJEBANY, PIERDOLONY LAS!!!**

Pozwalał jej tylko wegetować. Jak roślina, jeszcze jedno drzewo o pniu w kształcie człowieka. Wegetować i... się bać.

Zupełnie niespodziewanie jej makabrycznie wychudzony i przepełniony tym wspomnianym bólem przeraźliwego głodu brzuch odezwał się głośno. Nie było to burczenie, a raczej kolejny dźwięk świadczący o tym, że od kilku dni stopniowo pożerała samą siebie od środka. Choć odgłos ten ją zaskoczył, instynktownie uznała to za sygnał do ataku. Nie było siły, by on tego nie usłyszał. A jak usłyszał, to na pewno zaraz ucieknie. Skupiła się na tyle, na ile pozwoliła jej wyczerpana do granic świadomość, i rzuciła się na niego. W normalnej sytuacji nie byłoby możliwości, by mogła się tak szybko poruszać. Nie przy aż tak dużym i długotrwałym ubytku jakichkolwiek zasobów odżywczych w organizmie. W tym momencie była jednak żywym dowodem na potęgę ludzkiego umysłu. W skrajnych przypadkach nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Żadnych barier. To właśnie on dodawał jej teraz niewyjaśnionej energii.

No bo na pewno nie robiły tego szczątki mięśni, które jeszcze do niedawna posiadała.

Pomimo konieczności błyskawicznego i skutecznego działania jej próba zakończyła się zaskakującym sukcesem. Nie bawiła się nawet w używanie kija, który porzuciła, jak tylko skoczyła do ataku. Wystarczyły jej gołe ręce. Oczywiście wyrywał się i walczył bardzo zaciekle, ale wbiła w niego swoje długie paznokcie tak głęboko, że nie miał żadnych szans, i wiedziała już, że jej plan się powiódł. Nie tracąc czasu i nic sobie nie robiąc z pokrywającego jego ciało futra, zatopiła zęby w jego tułów.

Gdy wygryzła z niego okazały kawał mięsa, zwierzę, którego nazwy

już nawet nie pamiętała, zapiszczało przeraźliwie. Jego krew spływała jej po twarzy i rękach. Czowała, jak się jeszcze trochę wierci, ale były to już tylko nerwowe spazmy i skurcze wydającego ostatnie tchnienie stworzenia.

Oto jak łatwo jest odebrać życie jakiegokolwiek istocie. Pstryk i już. Nie miała jednak żadnych wyrzutów sumienia.

Smakował zaskakująco dobrze. Podniosła jego mokre od krwi truchło do ust jeszcze raz.

\*

Karolina odzyskała czucie w nogach i głos dopiero wtedy, gdy zobaczyła, że zbliżające się do niej złowrogie postacie wyraźnie przyspieszyły kroku. Ogarnięta nieopanowanym lękiem zaczęła przeraźliwie krzyczeć i rzuciła się do ucieczki z powrotem do ogniska. Przy okazji na nowo skupiła na sobie uwagę wszystkich siedzących wokół niego.

– Co jest...? – zaczęła Aśka i dopiero po chwili dostrzegła, co spowodowało zachowanie jej byłej licealnej koleżanki...

– Co do chuja...? – dodał jakiś chłopak.

Jakby na umówiony znak biegnący ku nim ludzie zatrzymali się nagle. Karolina zwróciła uwagę, że grupę intruzów tworzyły zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Bardzo nie podobało jej się jednak, że niektórzy z tych drugich byli naprawdę potężnie zbudowani... W panice rozglądała się wokół. Musiała znaleźć Tomka. Pijany czy nie, musiała być teraz przy nim, a on przy niej.

– Cło wły tu kłurwa rłobicie?! – odezwała się z silnym wiejskim zaciąganiem starsza kobieta, która najwyraźniej była dla tajemniczych osobników kimś w rodzaju lidera. Jej ochrypły, skrzekliwy głos był doskonale słyszalny. Zupełnie jakby miał w powietrzu pierwszeństwo przed muzyką, która wciąż wydobywała się z jednego z aut.

– Ognisko, a bo co? – odparła wyzywająco Aśka i wstała. Pojawienie się tych ludzi również i ją bardzo zaskoczyło, ale w przeciwieństwie do Karoliny nie bała się ich.

– Palenie ognisk w lesie jest zabronione – odezwał się jakiś facet. – Nie wolno wam.

– Tak? No co ty nie powiesz? – odparła kpiąco dziewczyna.

Karolina nie słuchała już tego żałosnego dialogu, tylko w dalszym ciągu gorączkowo rozglądała się za Tomkiem. Nagle dostrzegła na ziemi pokaźny płaski kształt i w mig zrozumiała.

– Tomek! – Podbiegła do niego. Nikt nie zwracał na nią uwagi, bo też wszyscy skupiali się teraz na pełnej emocji i coraz głośniejszej dyskusji Aśki z tajemniczymi przybyszami. Błagała w duchu, by za stan, w jakim znajdował się teraz jej chłopak, odpowiadał zwyczajny imprezowy zgon. Proszę cię Boże, niech to nie będzie...

– Tomek! – Klepnęła go lekko w twarz. Nie reagował. Wstrząsnęła nim z całej siły.

– TOMEK!!! – wrzasnęła. Nie otwierał oczu, ale się poruszył. Nawet w słabym świetle dogasającego już ogniska widziała jednak te spływające z niego strumieniami kropelki potu. Wtem, zawodząc przy tym nisko gardłowym pomrukiem, zaczął niespokojnie wierzgać.

A więc jednak. Kurwa mać!

Wstała czym prędzej i rozejrzała się z wciąż narastającą paniką. Wyglądało na to, że żadnego jedzenia już nie było, a nawet jeśli zachowała się jakaś marna jego resztką, to i tak nie było to nic słodkiego. Próbowwała się skupić, ale krzyki gdzieś tam w oddali: „czy są ślepi i nie widzieli zakazu wjazdu?!” bynajmniej jej tego nie ułatwiały.

Wjazd... Samochód... Tak! Na wszelki wypadek Tomek zawsze trzymał w schowku lizaka. Nie była pewna, czy akurat teraz także tam jest, ale w tym momencie była to jej ostatnia nadzieja. Zapominając na chwilę o strachu, ruszyła przed siebie.

Otoczający ich ludzie zagrodzili jej drogę.

– A ty gdzie?

– Mój chłopak umiera! Chcecie mieć go, kurwa, na sumieniu? Puśćcie mnie, bo wezwę policję! – warknęła.

Gdyby nie miała teraz głowy w całości zajętej czymś innym, z pewnością zdziwiłaby się, że zaskakująco posłuchali jej prawie natychmiast i rozstąpiwszy się, pozwolili przejść. Puściła się więc biegiem w kierunku auta. Dopiero gdy do niego dotarła, zakłęła głośno, bo zdała sobie sprawę, że w całym swoim zaaferowaniu zapomniała wziąć od Tomka kluczyki. Dostrzegła jednak po chwili, że... w samochodzie ktoś jest. Pomimo słabego światła momentalnie rozpoznała parę, którą kojarzyła z widzenia, kiedy to na początku imprezy obskakiwała wszystkich, by się przedstawić. Wściekła otworzyła drzwi.

– Co wy tu, kurwa, robicie?

– Kim oni są? – zapytała z lękiem dziewczyna z samochodu.

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to teraz. Pytałam, co robicie w naszym samochodzie?!

– Był otwarty...

No tak.

Karolina wygrzebała teraz z zakamarków swojej pamięci mgliste wspomnienie, jak Tomek, wzięwszy torby z prowiantem w obie ręce, zapomniał zamknąć swoje audi. Zdarza się. Ale nie było to dla tych dwojga żadne usprawiedliwienie. Co więcej, gdy dostrzegła, że obydwójce są bez spodni, a chłopak na oklapłym już teraz penisie ma wciąż założoną prezerwatywę... nie wytrzymała. Wszystkie złe emocje z tego dnia skumulowały się w niej i musiała je wreszcie z siebie wyrzucić. Nie bała się już ani trochę.

Wypełniała ją za to ślepa furia.

– Wynoście się stąd! Nie obchodzi mnie, że był otwarty! Nikt wam nie pozwolił do niego wchodzić!

Ludzie z kręgu, którzy znajdowali się najbliżej tej sceny, spojrzeli w kierunku, z którego dobiegały jej wrzaski.

– Wynocha!

– Uspokój się, wariatko! – Chłopak wyciągnął rękę w obronnym geście.  
– Już! Chodź, misiek, idziemy... – Obydwójce pospiesznie ubrali spodnie i po opuszczeniu samochodu poszli w kierunku ogniska. Karolina rzuciła pobieżnie okiem na puste już tylne siedzenie i wściekłość wezbrała w niej jeszcze bardziej.

– Zapomnieliście czegoś! – wrzasnęła i z całej siły cisnęła za nimi zostawioną przez nich i nie do końca jeszcze opróżnioną butelką piwa. Szczęściem w nieszczęściu nikogo nią nie trafiła, gdyż ta wylądowała jakieś dwa metry od najbliższych, wciąż obserwujących jej napad szału ludzi z lasu.

Wzięła głęboki oddech. Od targających nią emocji cała drżała, ale zdawała sobie sprawę, że musi się uspokoić. Prawie już zapomniała, po co przyszła.

No tak... Lizak.

Pospiesznie sięgnęła do schowka i zaczęła go niezgrabnie przeszukiwać. Los się do niej uśmiechnął, gdyż już po chwili dojrzała na małej kulce logo Chupa Chups. Bez zastanowienia porwała lizaka, po czym pobięła z powrotem do ogniska. Po tym, jak znowu ją przepuszczono,

doskoczyła do Tomka.

– Tomek! Masz!

Pozbyła się opakowania i z delikatnością słońca wetknęła mu słodycz w usta. Była pewna, że gdyby akurat nie był nieprzytomny, to wrzasnąłby z bólu.

Co jeszcze, co jeszcze...? Lizak to może być za mało... Rozejrzała się wokół jeszcze raz, tym razem starając się zlustrować otoczenie już nieco spokojniej i dokładniej. Cholera, przecież było tu regularne pijaństwo! Musiała zachować się jeszcze jakakolwiek resztką coli do zapijania wódki...

I istotnie – zachowała się.

Karolina spostrzegła jeszcze nieotwartą, leżącą nieopodal butelkę napoju i ruszyła ku niej w pośpiechu. W swoim przejęciu ratowaniem Tomka ledwo zauważyła, że sytuacja na polanie stawała się coraz bardziej napięta. Do kłócącej się z intruzami Aśki dołączyło kilku jej co bardziej krewkich kumpli i między jednymi a drugimi dochodziło już nawet do lekkich przepychanek. Nie obchodziło jej to jednak. Póki nie zajmowali się nią, mogli się nawet nawzajem pozabijać... Miała to w dupie.

Wciąż leżąc na plecach na trawie i wciąż mając zamknięte oczy, Tomek ssał powoli lizaka. Usiadła obok niego i pilnowała, by się nie zakrzusił.

– No i co nam zrobicie, wsiuny?! – dobiegł ją głos Aśki przy akompaniamencie chóru jej kolegów.

– Wynoście się stąd, bo pożałujecie! – odpowiedział z pozornym spokojem jakiś mężczyzna. Tak naprawdę było słychać, że aż kipi z nienawiści.

– Bo co?

– Bo będziemy musieli was zmusić...

– Zmusić?

– Nie pozwolimy wam tu przebywać ani chwili dłużej.

– O co wam, kurwa, chodzi, ludzie?! Robiliśmy coś złego?

– Czy wły wiecie gdzie wły jesteście? Tło jest park narodowy! Żadnych łognisk, śmieci i łimpres!

– Ja pierdołę... Park narodowy... I co z tego?

– Zamilcz, suko! – inny mężczyzna nie wytrzymał, doskoczył do niej i wymierzył jej soczysty cios otwartą dłonią w twarz. Był tak silny, że aż upadła. Po polanie rozniósł się gwar jednych i drugich.

– Ej!!! Spokojnie! Pojechało cię? – wrzasnął Krzysiek i doskoczył do Aśki, sprawdzając, czy wszystko z nią w porządku.

– Wynoście się stąd!

– Mamy takie samo prawo tu być, jak i wy!

– Zamknij mordę, bo i ty zaraz dostaniesz!

– A zajebać ci, damski bokserze?

– Słyszałeś, co ci powiedziałem? WYPIERDAŁAĆ!

– Zajebię ci, kurwa! – Wściekły Krzysiek w okamgnieniu rzucił się na mężczyznę, co zadziało na wszystkich pozostałych jak zapalnik. Po sekundzie pomiędzy prawie wszystkimi chłopakami z imprezy a prawie wszystkimi mężczyznami, którzy wyszli z lasu, wywiązała się regularna bójka. Biorąc pod uwagę scenerię, przypominała wręcz absurdalny obrazek kibicowskiej ustawki.

– Co jest? – odezwał się nieprzytomnie Tomek, czym ponownie zwrócił uwagę Karoliny. Odetchnęła z ulgą. Oparłszy się na łokciach, jej chłopak obserwował całą scenę z nieobecnym wzrokiem. Co prawda względnie wrócił do rzeczywistości, ale był tak pijany, że nie odbierał nawet faktu, iż na polanie było teraz blisko dwa razy więcej ludzi niż poprzednio.

– Nic. Chodź, idziemy.

– Co?

– Chodź! Już dość wypiliśmy. Jedziemy do domu.

– Czemu oni się napierdalają...? Jaka faza! – Zachichotał, gdy z pomocą dziewczyny podnosił się z ziemi.

– Nie wiem.

– Ja nie chcę jechać... – Zatoczył się niebezpiecznie i gdyby Karolina w porę go nie złapała, niechybnie straciłby równowagę.

– Jedziemy! – rzuciła ostro dziewczyna. Tomek oparł się na niej. Niesamowicie śmierdział. Wciągnęła powietrze i starała się oddychać jak najmniej.

– Ja zostaję... – wybełkotał chłopak i wyrwał się z jej uścisku, stając niezgrabnie w miejscu.

– Słuchaj, palancie! Przed chwilą znowu uratowałam ci życie, więc będziesz teraz robić to, co ci mówię! Jedziemy!

– Ura... towałaś mi życie? – zapytał żalonym, zdziwionym, niewinnym tonem.

Karolina znowu go objęła i zaczęła powtórnie prowadzić do

samochoodu. Ku jej zadowoleniu (o ile w jej sytuacji można było w ogóle o czymś takim mówić) już się nie opierał.

Niedaleko wciąż trwała regularna bitwa z wrzaskami obserwujących ją dziewczyn w tle. O dziwo – tylko tych z imprezy. Kobiety, które pojawiły się na polanie razem z mężczyznami, oglądały to wszystko z niewzruszonym, zimnym wzrokiem. I miały ku temu powód, bo wyglądało na to, że ci, którzy w ich mniemaniu powinni dostawać tęgiego łupnia...

Cóż, delikatnie mówiąc – dostawali.

– A wły gdzie? – staruszka zagroziła im drogę. Towarzyszyło jej jeszcze dwóch wielkich facetów.

– Idziemy stąd. Tak, jak chcecie – odparła z lękiem Karolina.

Wciąż nie schodzili jej z drogi.

– Zostawcie nas w spokoju! Nic nie zrobiliśmy! I tak nie chcieliśmy tu być.

– Dłobra. Puśćcie ich. – Na polecenie kobiety mężczyźni się rozstąpili.

– Kto to, kurwa, jest!? Oni też byli zaproszeni?! – Tomek zaniósł się pijackim śmiechem. Nie chcąc ryzykować, że tamci pod wpływem jego wybitnie niepotrzebnego teraz gadania zmienią zdanie, Karolina przyspieszyła kroku. Doprowadziła Wawrentowicza do samochodu i oparła go o niego.

– Gdzie masz klucz?

Patrzył się na nią tylko nieprzytomnym wzrokiem.

– Klucz, gdzie masz?! Bez niego nie pojedziemy! – powtórzyła. Z trudnością sięgnął do kieszeni.

– Nie... mam...

– Chyba sobie żartujesz teraz?!

– No nie mam!

Obszukała mu kieszenie jeszcze raz. Nie kłamał. Próbowwała się skupić, ale narastała w niej panika. Już sam powrót w tamto miejsce nie mógł być przyjemny, a co dopiero szukanie w ciemności zgubionego kluczyka... Spojrzała w stronę ogniska jeszcze raz. Bijatyka najwyraźniej zmierzała już ku końcowi, a pokonani jeden po drugim uciekali do swoich samochodów. Brutalny koniec imprezy stał się faktem. Porzucono nawet namioty oraz resztki jedzenia i picia. Co więcej, ludzie z lasu wytrzasnęli skądś wiadro wody i jednym ruchem zgasili ogień, co pograżyło polanę w zupełnej

ciemności...

Na Karolinę padł blady strach... Próbowwała bezskutecznie uporządkować myśli. Skup się! Gdzie on może być? Gdzie ten debil mógł go zgubić?

Na dźwięk odpalanego silnika aż podskoczyła. Tomek, jakby nigdy nic, siedział teraz za kierownicą i przymierzał się do wrzucenia wstecznego. Czym prędzej podbiegła do niego i otworzyła drzwi.

– Wysiadaj!

– Kiedy ja jadę! Brum, brum! – zawył. Już kompletnie nie kontaktował i w ogóle nie dostrzegał powagi sytuacji. Uznał, że schowanie kluczyka przed Karoliną to nawet lepszy pomysł na kawał niż wrzaśnięcie jej prosto w ucho podczas puenty strasznej historii. Boki zrywać! Oczy dziewczyny znowu pokryły się łzami. Z bezsilnej złości i rozpacz.

– Wysiadaj!

– Nie mogę, bo jestem najebany! – Zaniósł się śmiechem i uderzył czołem o kierownicę, a po polanie rozniósł się dźwięk klaksonu. Kolejne samochody odjeżdżały... Karolina bardzo nie chciała, by ona i Tomek nagle okazali się ostatnimi osobami pozostałymi na placu boju. Tym bardziej że tamci ludzie wciąż tu byli. Tkwili nieruchomo jak czarne widma w ciemności i obserwowali uciekających nastolatków. Jakby chcieli się upewnić, że naprawdę odjadą wszyscy...

Coś w niej pękło. Nie miała już siły dłużej z tym wszystkim walczyć. Nie wytrzymała i po raz pierwszy od kilku lat naprawdę się rozplakała.

– Błagam cię, wysiądź. Tak strasznie się boję...

Tomek (na swój sposób) spoważniał.

– Dobra... – mruknął i z niemałym trudem dopiero za trzecią próbą udało mu się wygramolić na zewnątrz. Aby się upewnić, że znowu nie wytnie jej jakiegoś numeru, oparła jego ramię o swój kark i doprowadziła go do drzwi od drugiej strony.

Niestety... Wyciął.

Po błyskawicznym spazmie jego żołądka szyba samochodu pokryła się śmierdzącymi wymiocinami...

Zakręciło się jej w głowie. Zrzuciło się na to wszystko: stres, strach, brak sił i ten okropny odór... Koszmar. To nie mogło dziać się naprawdę... Miała wrażenie, że jest to jej kolejna senna mara. Wiedziała, że to nieprawda, ale marzyła, by tak było. No, nastał idealny moment, żeby się



obudzić. Już teraz! Pobudka! No dawaj!

Wszystkie samochody, poza ich audi, już odjechały. Stali teraz z drżącym od żołądkowych ewolucji Tomkiem tyłem do ukrytych w leśnej ciemności ludzi. Choć ci i tak byli ledwo widoczni, bała się w tamtą stronę nawet spojrzeć. Nieomal czuła, jakby coś parzyło jej plecy. Coś, czyli ten ich pełen nienawiści wzrok... Nie myślała już o niczym innym. Chciała tylko jak najszybciej opuścić to piekło...

Ostatnią, ledwo co tłącą się iskierką woli zmotywowała się i sięgnęła ręką do zarzyganej wytworami Tomkowego żołądka klamki. Wepchnęła go na siedzenie i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć oraz nie dbając nawet, czy przypadkiem nie przytnie mu palców, zamknęła drzwi. Najszybciej, jak mogła, dobiegła do swojego siedzenia i nie przejmując się zapięciem pasów, dodała gazu. Błagała przy tym opatrzność, by samochód przypadkiem nie zgasł. Po udanym wyjechaniu na ścieżkę wbrew swojej woli po raz ostatni rzuciła jeszcze okiem na wsteczne lustro. Nie wiedziała, czy kontury blisko pięćdziesięciu nieruchomych postaci w ciemności to w dalszym ciągu rzeczywistość, czy już może tylko wytwór jej targanej strachem wyobraźni...

W miarę bezpiecznie poczuła się dopiero wtedy, gdy dotarli do zapchanej tirami drogi krajowej.

Nieoczekiwanie, nim się obejrzała, byli już w Białodębach. Było to o tyle zaskakujące, że w czasie jazdy nie miała żadnych myśli. Była jak zahipnotyzowana, a jej umysł jak czysta i niezapisana kartka. Tomek bełkotał coś do siebie z zamkniętymi oczami, ale nawet go nie słuchała. Minęła domy, w których gdzieś jeszcze paliło się światło, i wjechała w końcu na podwórko Prusów. Gdy zgasła silnik, wzięła głęboki oddech. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, co wydarzyło się jeszcze kilkanaście minut wcześniej. Było to tak niedorzeczne, tak wariackie i nieprawdopodobne... Było dla niej także niepojęte, jakim cudem zdołała zachować jasność umysłu na tyle, by doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Miała nadzieję, że szczęśliwego, i miała nadzieję, że rzeczywiście końca. Bo teraz już chyba naprawdę byli bezpieczni.

– Tomek! Obudź się! Jesteśmy w domu. – Szturchnęła go lekko.

Otworzył oczy dopiero po kilku sekundach.

I momentalnie jego twarz wykrzywiła się w grymasie niepohamowanego strachu. Skulił się w fotelu jak bezbronne dziecko

w pozycji embrionalnej i zaczął dygotać. Karolina zaniepokoiła się nie na żarty.

– Co ci jest?!

Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Trząsał się, jakby miał padaczkę, coraz bardziej i bardziej. I to z taką intensywnością, że gdyby ktoś teraz patrzył z zewnątrz na ich samochód, mógłby mieć dwuznaczne myśli.

A że patrzył...

– Co się stało?! O co chodzi? – Złapała go za rękę. Uspokoił się trochę i spojrzał na nią. Skąpe, sączące się znad ganku światło, które oświetlało teraz połowę jego bladej twarzy, dodawało jego rozszerzonym, złęknionym źrenicom jeszcze bardziej upiorny wygląd.

– Nie chcę tam iść... – wychrypiał.

– O co ci chodzi, przecież to Białodęby! Nocujemy tu!

– Nie chcę tam iść... – powtórzył. Najgorsze było jednak w tym wszystkim to, że jego nastrój coraz bardziej zaczynał udzielać się również i jej. Wzięła się jednak w garść. Trzeba było podejść do tego psychologicznie i jeżeli chciała go uspokoić, musiała zacząć przede wszystkim od siebie.

– Co się stało, skarbie? – zmusiła się do normalnego tonu i pogłaskała go po twarzy. – Dlaczego nagle boisz się tam wejść?

Wyglądał przeraźliwie żałośnie. Jak mały chłopczyk, który boi się potwora z szafy. Znowu odpowiedział jej dopiero po krótkiej pauzie. Nerwowo bawił się dłońmi.

– To tam jest...

– To? Kto? Natalia?

Nie odpowiedział. Co więcej – naprawdę nie wyglądał teraz jak pijany czy świeżo po hipoglikemii, a raczej jak ktoś rzeczywiście w pełni świadomy tego, co mówi.

Niespodziewanie złapał ją za ramię. Tak mocno, że aż ją zabolalo.

– Ała!

– Nie wierz w nic, co ci powie! To wszystko nieprawda!

– O czym ty mówisz?! O kim ty mówisz?! – Karolina już nawet nie udawała, że jest spokojna. Do tego w następnej chwili wydarzyło się coś, czego nie mogła się spodziewać nawet w najbardziej pokręconych scenariuszach, jak ten dialog miałby się zakończyć.

Tomasz Wawrentowicz, ten sam dumny, silny chłopak, z którym była już od trzech lat... rozplakał się.

– Co... Co ci jest?!

Objął ją i oparł głowę o jej ramię. Po chwili czuła już na skórze jego łzy. Kompletnie nie wiedziała, co o tym myśleć i jak się zachować.

– Przepraszam...

Karolina uznała w końcu, że na razie nie będzie zadawać pytań. Skoro jej teraz potrzebował (a przecież dla powrotu chwil takich jak ta – choć może niekoniecznie w takich okolicznościach – miała służyć w dłuższej mierze ta wycieczka), nie zamierzała tego zepsuć. Także objęła jego potężne plecy i postanowiła nie puszcząć ich dopóty, dopóki sam nie uzna za stosowne się od niej odkleić.

– Boję się...

Jak grom z jasnego nieba uderzyły ją słowa, które jeszcze kilkanaście minut wcześniej sama mu powiedziała. Znowu poczuła niepokój.

Po krótkiej chwili Tomek oderwał się od niej i zaczął intensywnie przecierać oczy.

– Dobra, chodźmy. – Wrócił jego zapijaczony ton. Otworzył drzwi, wygramolił się z samochodu i ruszył chwiejnie w kierunku ganku, zataczając się niezgrabnie.

Oniemiała Karolina siedziała w aucie jeszcze przez kilka dobrych minut. W głowie miała jeden wielki mętlik. Tego dnia wydarzyło się zdecydowanie zbyt wiele... Zdecydowanie. Od nadmiaru myśli poczuła nagle ogromne, połączone z sennością zmęczenie. Także wysiadła z samochodu, zamknęła go i powoli skierowała się w stronę domu.

Był to dosłownie moment. Ten sam, w którym przekroczyła próg.

Było to jak bomba. Jak niewidzialny zastrzyk. Jak porażenie prądem lub trafienie piorunem. Z początku nie wiedziała, co się dzieje, gdyż jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś takiego. Nie z tak dużym nasileniem. Trzymając się za brzuch, który zupełnie odmówił jej teraz posłuszeństwa, ukłękła i się skuliła.

Strach...

W obliczu stanu, w którym znienacka się znalazła i który zaczął pożerać każdą komórkę jej ciała, słowo to było naprawdę niczym. Nie potrafiła nad tym zapanować. Nie mogła oddychać. Kaszlnęła, ale nic jej to nie pomogło. W poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy zaczęła się krztusić i nisko

gardłowo zawodzić. Nikt się jednak nie pojawiał, a ona w dalszym ciągu klęczała z czołem opartym o podłogę i próbowała opanować duszności. Jej żołądkiem targnął silny skurcz. Ostatkiem sił powstrzymała się, by nie wymiotować.

– Eeee... Aaaa... – jęczała cicho.

Nagle poczuła, że coś zalega jej w gardle. Spróbowała to wykrztusić, ale bezskutecznie. Wpadła w panikę, bo jednocześnie wciąż nie mogła złapać oddechu. Próbowała krzyczeć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Wiedziała, że jest zdana wyłącznie na siebie.

Jakimś cudem zdołała się podnieść i zaczęła biec po omacku do łazienki na piętrze. Niewiele widziała, gdyż zrobiło jej się ciemno przed oczami. Boleśnie uderzyła biodrem o poręcz, ale nie zwracała na to teraz uwagi. Nie wiedziała, jak udało jej się zapalić światło i dobiec do umywalki. Pochyliwszy się nad nią, jeszcze raz spróbowała wydobyć z gardła to coś, co w nim się znajdowało. Jej oczy były pełne łez. W zakrzywionym odbiciu jej twarzy na metalowym kranie widziała, że od duszności jest cała czerwona. Znowu głośno kaszlnęła. Wydawało jej się, że jeszcze chwila i wykrztusi wszystkie swoje wnętrzności. Żałowała teraz, że tam, na dole, jednak nie wymiotowała. W tej chwili było to już tylko pobożne życzenie.

Nagle poczuła, że to coś w gardle trochę ustąpiło. Podwoiła wysiłek. Było coraz wyżej i wyżej. Wreszcie po kilkunastu sekundach tytanicznej pracy udało jej się to wypluć.

– Jezu Chryste! – Odskoczyła od umywalki tak daleko, że aż uderzyła głucho plecami o wykafelkowaną ścianę. Ugięły się pod nią nogi i szorując plecami o ceramikę, zaczęła zsuwać się powoli na ziemię z wytrzeszczonymi w szoku oczami. Jakimś pocieszeniem był fakt, że poczuła ten ból z tyłu i teraz to on był najważniejszym uczuciem w jej ciele.

Nie zmieniało to jednak faktu, że przed chwilą zobaczyła rzecz tak dziwną, tak niewytłumaczalną... Tak chorą... że naprawdę zaczynała szczerze wątpić w stan swojego umysłu. To już nie były żarty. To już nie było coś, co dało się jakkolwiek logicznie wytłumaczyć. Bała się nawet podnieść i spojrzeć z powrotem do umywalki, choć paradoksalnie i tak wiedziała, że nic w niej już nie zobaczy.

A konkretnie tego liścia, który wykrztusiła.

Bała się, bo najgorsze nie było to, że to był liść.

Najgorsze było to, że – dałaby głowę – on... pełzał. Pełzał jak

obrzydliwy, czarny, obślizgły robal i po ułamku sekundy zniknął w odpływie umywalki...

Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że może już na powrót w miarę swobodnie oddychać, mimo ogromnego przerażenia. Siedziała bez ruchu na zimnych kafelkach, w ciszy z buczeniem łazienkowej żarówki w tle...

Co się z nią, do cholery, dzieło?! Tych niewytłumaczalnych wydarzeń było zdecydowanie zbyt wiele i były one zbyt częste, a lista ich racjonalnych wyjaśnień malała w zatrważającym tempie. Czyżby naprawdę popadała już w szaleństwo?

A może w coś o wiele gorszego?

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie. Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen”.

Była to już jej jedyna, ostatnia nadzieja, by się uspokoić. Tylko On mógł jej pomóc. Był jej ostatnią deską ratunku... Ufała mu w stu procentach.

„Aniele Boży, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Strzeż duszy i ciała mego i zaprowadź do żywota wiecznego. Amen”.

Poczuła się odrobinę pewniej i wypełniający ją strach stopniowo stawał się coraz mniejszy. Nie zamierzała jednak na tym poprzestać.

„Zdrowaś Maryjo. Łaskiś pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi. Teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”.

Nie bała się już. Wiedziała, że Bóg ją chroni. Bóg jest miłością. Bóg jest dobry. Panuje nad wszystkim, co złe... Nigdy jej nie zawiódł, gdy błagała Go o pomoc...

„Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu. Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen”.

Podniosła się z trudnością. Wciąż lekko drżała, ale w porównaniu z jej stanem sprzed chwili było to jak porównanie nieba do... piekła. Spojrzała do umywalki. Tak jak się spodziewała, nic już w niej nie było.

Poza tym krótkim, znikającym w wylocie paskiem śluzowatej flegmy z jej gardła...

Czym prędzej odwróciła wzrok i szybko wyszła z łazienki. Nie chciała myśleć o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Nie chciała myśleć o niczym. Jedyne, co się teraz liczyło, to by znaleźć się wreszcie w łóżku z Tomkiem. I to mimo że śmierdział pewnie nawet gorzej niż rozsypywany dzisiaj przez mieszkańców Białodębów na polu kompost.

Szybko przebyła korytarz. Znowu gdy mijała wiszącą na ścianie lampę, ta zaczęła lekko migać. Końcówkę odległości pokonała biegiem. Drzwi od pokoju były na szczęście otwarte i gdy tylko minęła próg, pospiesznie zamknęła je na klucz, który Tomek zostawił po ich zewnętrznej stronie. Chłopak leżał na łóżku. Nie zadał sobie nawet trudu, by się przebrać, i po prostu walnął się na materac tak, jak stał. Karolina doskoczyła do swojej walizki i wygrzebała z bocznej kieszeni tabletki na uspokojenie, które zapakowała, choć wtedy, jeszcze w Warszawie, wydawało jej się to czystą głupotą. Wzięła od razu dwie, w pośpiechu przebrała się w piżamę i wsunęła się do łóżka.

Nie gasiła światła. Zapomniała o nim, ale nie miała już odwagi się podnieść. Nie miała odwagi się nawet ruszyć. Zupełnie jak Tomek wczoraj okryła się szczelnie kołdrą i wsłuchując się w jego rytmiczny oddech, zamknęła oczy.

\*

Natalia, która obserwowała ją przez cały czas przez uchylone drzwi od swojej sypialni, zamknęła je cicho.

Czuła frustrację.

Ale z zupełnie innego powodu, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

\*

Gdy tylko Tomek otworzył oczy, poraził go odbijający się od lakierowanych paneli blask słońca. Przy wypełniającym jego głowę tak zwanym tupocie białych mew był to jednak pikuś.

Jęknął.

Nawalanie się jak szmata miało na ogół takie oto właśnie dwa oblicza. Przyjemniejsze na początku i o wiele gorsze następnego dnia. Stara jak świat, udowodniona miliardy razy prawda, a jednak ani on, ani ta cała reszta, dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego żyjących na tej planecie rówieśników (ten pozostały jeden procent stanowiły rodziny takie jak

Karolina) nigdy nie mogło się nauczyć, jak to się zazwyczaj kończy.

A kończyło się właśnie tak. Kurwa, ale napierdalał go łeb!

Cóż, drobnym pocieszeniem na pewno był fakt, że melanż okazał się nad wyraz udany. Proporcjonalnie do tego, jak bardzo pękała mu teraz głowa. Niemniej wyraźnie wypadał z formy. Talent to nie wszystko. Bez regularnych ćwiczeń nigdy nie zaprawi się w boju. Trening czyni mistrza. A tak? Nie pamiętał nic od momentu, w którym dostał hipoglikemii...

A właśnie...

Melanż melanżem, ale... znowu otarł się o śmierć. Ot tak. W przyпіływie czarnego humoru stwierdził, że zaczynało mu to już z lekka powszednieć. Nie musiał się zbytnio zastanawiać nad tożsamością swojego wybawcy. Był bowiem pewien, że osoba ta leżała właśnie obok niego na łóżku. Pewien, podobnie jak tego, że znowu będzie się na niego boczyć przez pół dnia...

Przewrócił się na bok, by ją objąć, i... zbaraniał. Oprócz niego w łóżku nie było nikogo. Poruszył się niespokojnie, czym tylko zwiększył pulsujący ból czaszki.

– Ja pierdolę... – jęknął przez zaciśnięte zęby.

Nie było powodu, by panikować. Pewnie poszła do łazienki. Przytulił się z powrotem do poduszki i powtórnie zamknął oczy.

Gdy je ponownie otworzył, słoneczny blask wpadał przez okno już pod zupełnie innym kątem, a więc najwyraźniej, pomimo tępego bólu, znowu zdołał zapaść w sen.

Znowu też jednak nie widział Karoliny nigdzie w pobliżu.

Nie podobało mu się to. Z trudnością podjął decyzję o podniesieniu się z łóżka. Usiadłszy na jego skraju, potarł oczy.

W normalnych okolicznościach pomyślałby automatycznie, że Górską chce go pewnie lekko zdenerwować lub zaniepokoić. Tak, w ramach rewanzu za to, co ewentualnie wczoraj robił po pijaku. Bo to, że coś odwalił, było prawie tak pewne jak śmierć i podatki.

Ech...

Problem w tym, że Białodęby i bliskość Natalii to bynajmniej nie były normalne okoliczności.

Wstał.

\*

„A co tam, niech sobie pomyśli, że jestem na niego cięta, bo coś

odwalił. No bo odwalił przecież” – pomyślała Karolina.

Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu tego drobnego zniknięcia bez wieści. Była za to śmiertelnie zmęczona i niewyspana. Owszem, zdarzało się tej nocy, że zapadała w krótkie drzemki, ale po nich było nawet jeszcze gorzej niż przed. Gdy przez okno zaczęły więc wpadać pierwsze promienie wschodzącego słońca, nie chcąc dłużej oszukiwać samej siebie, że jeszcze chociaż na chwilę zaśnie, podjęła decyzję. Wzięła szybki, zimny prysznic (po wejściu do łazienki jak ognia unikała spojrzenia do umywalki), ubrała się i... wzięwszy kluczyki, skierowała się do samochodu. Potrzebowała w tym momencie trzech rzeczy – przejść się, być sama i... paradoksalnie mieć jednocześnie jakiegokolwiek względne towarzystwo. Postanowiła więc jeszcze raz wybrać się do Suwałk. Spontanicznie, bez konkretnego celu. Po prostu – by zostawić gdzieś auto i móc pójść na krótki spacer. Tylko ona i jej myśli. Ona kontra jej troski i niepokoje. Bo czy chciała tego, czy nie, musiała się w końcu z nimi zmierzyć. Im wcześniej, tym lepiej. Im więcej się ich zbierało, o tyle większe miało ją czekać wyzwanie, więc nie było co tracić czasu.

Jeżeli jeszcze wczoraj, tuż przed imprezą, miała niemały mętlik w głowie w związku z tym, co wydarzyło się w Wielki Czwartek i Wielki Piątek aż do zakończenia obiadu z panem Andrzejem włącznie, co miała powiedzieć teraz? Było tego tak dużo, a do tego działało się to wszystko tak szybko, że nie miała nawet czasu się zatrzymać i zastanowić, z jak wielkim wariactwem miała wczoraj do czynienia. Pif-paf! Jedno po drugim, bez chwili wytchnienia. Usilnie próbowała uporządkować sobie to wszystko w głowie, ale nawet teraz przychodziło jej to z ogromną trudnością, a pytania bez odpowiedzi mnożyły się bez opamiętania.

Numer jeden. Kim do jasnej cholery byli ci ludzie, którzy wyszli z lasu?

Było dla niej nie do uwierzenia, że zaczęła analizować tę kwestię dopiero teraz i to nawet pomimo faktu, iż była usprawiedliwiona kolejnym już matkowaniem swojemu przybranemu synowi. Abstrakcja. Fantasy. Tak to teraz wyglądało. Pojawiająca się znikąd agresywna grupa blisko pięćdziesięciu osób, która otoczyła ich wczoraj jak wataha wilków w środku nocy, w samym sercu lasu... Owszem, nie można było zaprzeczyć, że cała impreza i ognisko były w tamtym miejscu niezgodne z prawem, ale ważniejsze było coś zupełnie innego. Skąd oni się tam wzięli? Pewnie usłyszeli głośną muzykę... Trudno by było wytłumaczyć to



inaczej. Ale w takim razie czy mieszkali gdzieś w pobliżu? Przecież to było kompletne odludzie! Jak długo przebywali w ukryciu, zanim postanowili się ujawnić? I wreszcie – czemu po prostu nie wezwali policji, tylko zdecydowali się wziąć sprawę w swoje ręce?

Ręce, z których jedną wyraźnie poczuła na swojej twarzy Aśka...

Karolina zadrżała.

Na jednym fakultecie na studiach uczyła się o różnych typach osobowości i systemach wartości zmuszających ludzi do działania. Miało to nawet trochę wspólnego z matematyką. Tak jak wszelkie twierdzenia oparte są na jakichś nienaruszalnych aksjomatach, swoistych punktach zaczepienia, tak każdy człowiek ma pewien zbiór trwałych wartości, idei i przekonań, na którym opiera całe swoje życie i który determinuje jego wszystkie życiowe wybory. Bardzo łatwo go wyznaczyć – wystarczy przeanalizować swoje działania, zadając jedno podstawowe pytanie: „dlaczego?”.

Odpowiadając na nie, przechodzimy do kolejnego zagadnienia i powtarzamy operację z magicznym pytaniem o powody. Robimy tak dopóty, dopóki ostatecznie nie dotrzemy do wartości, której właściwie nie jesteśmy już w stanie jakkolwiek logicznie uzasadnić. Pytamy: „dlaczego?”, odpowiadamy: „kurczę, nie wiem!”. Na tym opiera się mój świat. Po prostu. Mój fundament, którego nie da się wytłumaczyć. Jest, bo jest.

Bingo! W takiej sytuacji stwierdzamy, że jedną wartość z naszego zbioru już mamy. Teraz... możemy szukać kolejnych.

Któregoś razu Karolina poświęciła trochę czasu, by w ramach ciekawostki wyznaczyć wszystkie takie swoje aksjomaty, i wypisała je nawet na kartce. Nie odkryła Ameryki. Wszystko sprowadzało się właściwie do trzech rzeczy: szeroko pojętego dobra, rodziny i wiary. Lekko ją to nawet zaskoczyło, bo myślała, że będzie tego trochę więcej. A tak...

Dlaczego jesz? Żeby żyć. Dlaczego w takim razie chcesz żyć? Chcę żyć, ponieważ mam dla kogo. Dla swojej rodziny.

Dlaczego nie ściągasz na egzaminie, choć lepiej byś na tym wyszła? Ponieważ uważam, że to nieuczciwe. Dlaczego w takim razie uważasz uczciwość za coś ważnego? Ponieważ uczciwość to dobra cecha.

Dlaczego Tomek lubi się napić? Bo lubi uczucie po alkoholu. Dlaczego w takim razie lubi uczucie po alkoholu? Gdyż jednym z jego aksjomatów jest najprawdopodobniej zaspokajanie uciech cielesnych. To samo tyczyło

się seksu.

I tak dalej...

Do tej pory jedyną rzeczą, której nie potrafiła w ten sposób uzasadnić, był jej własny stosunek do alkoholu. Po wczorajszych wydarzeniach samotnik ten uzyskał całe stado nowych towarzyszy z jednym podstawowym na czele: dlaczego ci ludzie to zrobili? Dlaczego nie wezwali odpowiednich służb? Co nimi, do jasnej ciasnej, kierowało? W swojej zawziętości i zorganizowaniu przypominali wręcz grupę fanatycznych nacjonalistów...

Nagle doznała olśnienia.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że tak wiele osób zbierze się przypadkowo o takiej porze i na takim odludziu? Praktycznie żadne. Jeśli założyć, że nie znaleźli się tam z powodu imprezy i nieprzestrzegania przez jej uczestników zasad panujących w parku narodowym (co samo w sobie brzmiało idiotycznie, ale nawet jeśli to taki miał być ten tajemniczy powód, to i tak wystarczyłby wtedy zwykły telefon na policję – oczywiste i mniej fatygujące wyjście, a mimo to z niego nie skorzystali), nasuwał się tylko jeden logiczny wniosek.

W tym lesie, tamtego wieczoru... działo się w pobliżu coś jeszcze. Coś z udziałem tamtych ludzi. Coś, w kontekście czego obecność osób trzecich była bardzo niewskazana... Słowem, z jakiegoś powodu tak duża liczba ewentualnych przypadkowych świadków wybitnie im przeszkadzała. Musieli się więc ich pozbyć. Z braku laku zrobili to tak, jak zrobili. Był to zaskakująco dobry plan – wiedzieli, że zaatakowani także nie wezwą policji, gdyż wtedy sami musieliby się przyznać do niemałych wykroczeń, a przy okazji narazić na pokaźne mandaty. A już tym bardziej, że mieli do czynienia z czystej krwi przedstawicielami pokolenia CHWDP.

Jak było widać na załączonym obrazku, metoda perswazji i użyte w niej argumenty z gatunku nie do zdarcia okazały się skuteczne. Dobra, brzmiało to wszystko nawet sensownie. Ale jedno pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Co w takim razie działo się tam w lesie? Tu, pomimo zaprzężenia do boju wszystkich sfer swojej bujnej wyobraźni, Karolina nie miała już żadnego konkretnego pomysłu. Hmmm... „Zebranie zarządu” mafii?

Ta... Zapewne z tą zaciągającą babcią jako ojcem chrzestnym...

Mimowolnie uśmiechnęła się na tę myśl. Był to dobry omen – znaczył,

że powoli dochodziła już do siebie.

„Pewne pytania na zawsze pozostaną bez odpowiedzi, ale musimy po prostu przyjąć to do wiadomości. Nie ma co tracić na nie czasu” – ni stąd, ni zowąd przyszyły jej na myśl wczorajsze słowa Tomka. Ten to jednak potrafił czasem powiedzieć coś sensownego.

W gruncie rzeczy, cokolwiek się tam działo, nie była to jej sprawa. Tak naprawdę – co z zaskoczeniem musiała przyznać – poza wywołaniem lekkiego strachu (tak – LEKKIEGO – zaferowanie ratowaniem Tomka i związany z tym stres skutecznie go zagłuszały) właściwie nie miała tym ludziom nic do zarzucenia. Poszła nawet dalej. Na swój sposób wyświadczyli jej niezłą przysługę, bo znaleźli za nią porządny pretekst, by wreszcie ulotnić się z tej – pożałuj Boże – imprezy.

A że Leszczyńska dostała po mordzie? Należało się jej. Nie tylko za wczoraj, a za wszystko inne, co kiedykolwiek zrobiła w życiu.

Sprawa zamknięta.

Co zaś się tyczy dziwnego zachowania Tomka oraz tego czegoś, co jeszcze później wypluła, i co na pierwszy rzut oka wyglądało jak liść...

Chwila, moment.

Czy jej się wydawało, czy ten facet rzeczywiście ją śledził?

Zważywszy, jaką trasę pokonała od opuszczenia samochodu, od parku Konstytucji Trzeciego Maja przez ulicę Waryńskiego, park Marii Konopnickiej aż do deptaku na ulicy Chłodnej, tworzyło to niemal idealne kwadratowe kółeczko. Zauważyła go już wcześniej, prawie na samym początku jej dzisiejszego pobytu w Suwałkach. Było to wtedy, gdy usiadła na ławce, tuż po tym, jak skorzystała z darmowego w tym miejscu Wi-Fi i sprawdziła na swoim smartfonie, jak dojechać nad Gałęziste i pod wigierski klasztor, a tuż przed tym, jak oddała się swoim rozmyśleniom.

Młody facet.

Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ni to ładny, ni to brzydki. Nieco wyższy od niej, ale i tak poniżej wzrostu przeciętnego Polaka, normalna budowa ciała i będące w nieładzie brązowe włosy, ubrany również jak typowy Kowalski. Zwróciła na niego uwagę, ponieważ podobnie jak ona rozsiadł się na którejś ławce i wyglądało na to, że zrobił to bez wyraźnego celu – po prostu wygrzewał się na słończku i relaksował szumem parku w ten piękny sobotni poranek. Gdy wstała i ruszyła na swój planowy spacer, zapomniała o nim i skojarzyła jego postać dopiero teraz,

gdy zatrzymała się przed którąś witryną sklepową na Chłodnej. Dostrzegła go w odbiciu w szybie gdzieś w oddali za swoimi plecami. Niby nie skupiał się na niej, ale wyczulona od zawsze na takie rzeczy Karolina nie mogła nie dostrzec, że wyraźnie się nią interesuje.

Oczywiście pod warunkiem że znowu swojego nie dopowiedziała też jej bujna wyobraźnia...

Nie odwracając się, postanowiła po prostu iść dalej spokojnie przed siebie jakby nigdy nic.

Znowu zaczynasz, Górka...

A może to rzeczywiście tylko przypadkowe spotkanie? W końcu nie widziałaś, czy ewentualnie szedł za tobą i zrobił tę samą trasę, co ty. Mógł przecież z parku Konstytucji Trzeciego Maja pójść od razu na Chłodną i nie ma w tym nic dziwnego. NIC DZIWNEGO! Jeżeli masz walczyć ze swoimi paranooidalnymi zapędami, to musisz zacząć przede wszystkim od takich rzeczy.

No ale z drugiej strony... „Zaletą takiej postawy było przynajmniej to, że niezależnie, czy niebezpieczeństwo okazywało się realne, czy też nie, koniec końców robiło się wszystko, by go przezornie uniknąć, i zazwyczaj się to udawało”.

Dotarła Chłodną do biegnącej do niej prostopadle ulicy Kościuszki, gdzie po drugiej jej stronie znowu miała przed sobą park Konstytucji Trzeciego Maja, za którym zaparkowała samochód. W oczekiwaniu na zielone światło stanęła przed przejściem dla pieszych. Podjęła decyzję.

Przechodząc przez pasy, policzyła w myślach do trzech i się odwróciła.

Wciąż był za nią. Jakieś dziesięć metrów. Ale tym razem już nie zdążył odwrócić wyraźnie skupionego wyłącznie na niej wzroku.

Ogarnęła ją panika. Wprawdzie nie byli jedynymi ludźmi w okolicy, ale było to silniejsze od niej. Przyspieszyła kroku, by już po chwili zacząć biec. Czowała, że zachowuje się głupio, bo jakiegokolwiek miał zamiary, tylko bardziej go tym pewnie sprowokuje, ale nie miała teraz głowy, by nad tym myśleć.

Biegąc wzdłuż parku, rozejrzała się gorączkowo. Do samochodu miała jeszcze dobry kawałek... Co gorsza, wokół nie było właściwie żadnego sklepu, żadnej restauracji, w której mogłaby się schronić... Chociaż... Dostrzegłszy po prawej stronie spory biały kościół z dwiema wieżyczkami, w mig podjęła decyzję. Nie zwracając uwagi na hamujące przed nią

z piskiem opon samochodu, przebiegła sprintem przez ulicę, w pośpiechu pokonała schody i po chwili, ciężko dysząc, weszła do świątyni. W kościele trwało właśnie jedno z pierwszych tego dnia nabożeństw poświęcenia produktów na wielkanocne śniadanie i uczestniczyło w nim całkiem sporo ludzi, więc wyglądało na to, że była już bezpieczna. Starając się uspokoić oddech, przeszła kawałek przez całą długość budynku i weszła do pustej ławki aż pod samą ścianę. Uklękła, co przy jej wzroście sprawiło, że skądkolwiek by próbowano ją teraz obserwować, była praktycznie niewidoczna. Złożyła dłonie i oparła na nich czoło.

Wczoraj pomogło, więc może i dzisiaj... Zamknęła oczy.

„Proszę cię, Boże, chroń mnie... Nie daj mi zrobić krzywdy...”

Nie bawiła się już w tradycyjne modlitwy. Bywały momenty, w których starała się rozmawiać z Bogiem jak z najbliższym przyjacielem, i to był właśnie jeden z nich.

Spędziła w takim uspokajającym ją skupieniu dłuższą chwilę. W międzyczasie nabożeństwo zdążyło się już zakończyć, a ludzie w komplecie opuścili kościół. Szum samochodów roznosił się cicho pośród jego murów...

„Paranoiczka”.

Choć nadal z duszą na ramieniu, zdecydowała się w końcu wyjść na zewnątrz. Wstała i zaczęła iść wolno przez świątynię, jakby chcąc odwlec moment jej opuszczenia jak najdalej w czasie. Dźwięki jej kroków odbijały się od wysokiego sklepienia i brzmiały irytująco za głośno. Ostrożnie wyjrzała przez drzwi wejściowe, ale nic jej to nie dało, gdyż dużą część okolicy i tak przesłaniały okazałe kolumny znajdujące się tuż przed nimi.

„Cholera”.

Szybkim krokiem doskoczyła do jednej z nich, wzięła głęboki oddech i zlustrowała zza niej całe otoczenie kościoła. W nerwowym skupieniu zbadała dokładnie każdy centymetr kwadratowy obrazka przed sobą, ale nie mogła już nigdzie dojrzeć tego mężczyzny. Nie oznaczało to oczywiście, że gdzieś ukryty właśnie jej nie obserwował, ale mimowolnie poczuła lekką ulgę. Wciąż rozglądając się na boki, zeszła powoli po schodach. Że też akurat teraz ulica musiała prawie całkowicie się wyludnić... Z każdym zbliżającym ją do auta krokiem była już jednak coraz bardziej uspokojona. Nim wsiadła do audi, rozejrzała się wokół ostatni raz. Na dobre odzyskała spokój dopiero wtedy, gdy zamknęła za sobą drzwi. Odpaliła pojazd,

wyjechała na jezdnię i postanowiła, że dla spokojnej głowy najlepiej będzie wrócić do Białodębów. Tym bardziej że było już dosyć późno – nieco po dziesiątej. A szykował się przecież przed nimi kolejny dzień pełen wrażeń.

Miała jednak nadzieję, że będą to już tylko te z kategorii pozytywnych.

\*

Tomek czuł podwójny dyskomfort. Raz – w dalszym ciągu nie wiedział, gdzie jest jego dziewczyna. Dwa – wiedząc, że gdzieś w zakamarkach tego domu czai się Natalia, ogólnie czuł się w nim jakoś nieswojo. Co zrozumiałe, nie ułatwiało to poszukiwań Karoliny. Zajrzał do łazienki, do kuchni, nawet wyszedł na podwórko, ale nigdzie jej nie znalazł. Trochę się jednak uspokoił, gdy zobaczył, że zniknął również samochód, co oznaczało, iż najpewniej gdzieś pojechała i po prostu nie dała mu znać.

A może dała, ale był nieprzytomny?

Nieważne.

Wszedł z powrotem na górę. Gdy przeszedł korytarzem kilka kroków, zatrzymał się.

Natalia stała na samym jego końcu i wpatrywała się w niego beznamiętnym wzrokiem. Z początku jej nie zauważył, gdyż lekko oślepiało go światło wpadające do pomieszczenia przez jedyne okno, które miała teraz za plecami. Przez dobrą minutę tkwili tak naprzeciw siebie w milczeniu. Tomek czuł się jak idiota. A to dlatego, że najchętniej spieszałby stamtąd, gdzie pieprz rośnie. I to właśnie było... idiotyczne. Nie miał pojęcia, czemu ta dziewczyna tak na niego działa. Jeszcze nigdy nie odczuwał czegoś takiego względem żadnej kobiety. A ta nie była przecież pierwszą, której złamał serce...

„Weź się w garść! To tylko zwykła dziewczyna. Prawie...” – pomyślał. Zdawał sobie sprawę, że go przeczytała, ale miał to gdzieś. I tak wiedziała o jego obawach i o tym, jak wpływa na niego jej obecność.

– Czego się boisz? – Drgnął, gdy usłyszał jej spokojny, miękki głos.

– Ciebie – odparł szczerze. Musiał. Nie miał innego wyjścia.

– Nie ma powodu, by się mnie bać.

– Boję się, że spieprzysz mi życie. Po co udajesz głupią, skoro i tak to wiesz?! – odpowiedział nieco bardziej emocjonalnie, niż zamierzał, i od razu tego pożałował.

– Przecież ci mówiłam, że w kwestii zdrowia o nic nie musisz się martwić. Tak samo mojej ciąży.

– Bo ty tak mówisz? Wybacz, ale wszystko o tobie mogę powiedzieć, ale nie to, że ci ufam.

Uśmiechnęła się.

– To już twój wolny wybór, Tomeczku...

– Nie nazywaj mnie tak!

– Na twoim miejscu byłabym jednak bardziej uprzejma. W końcu wiele ode mnie w twoim życiu teraz zależy...

Po raz pierwszy, od kiedy ją poznał, usłyszał u niej taki ton. Nie wiedział, jakim cudem jej się to udało, ale jednocześnie brzmiał i... nie brzmiał jak groźba. W każdym razie – nie podobał mu się. Zacisnął zęby w bezsilnej złości. Jakkolwiek by się tego próbował wypierać, miała go w garści. Wiedział, że się tym poniży, ale nie miał innego wyboru.

– Proszę cię...

– Tak lepiej.

– Nie masz żadnego interesu, by to robić...

– A jaki ty masz interes w tym, by z nią być? – zapytała opryskliwym tonem. Takiego też jeszcze u niej nie słyszał.

– Kocham ją.

– Słodkie.

– Jesteś naprawdę fajną dziewczyną. Naprawdę. Megafajną i piękną. Ale przeżyłem już z Karoliną tyle lat... Nie potrafiłbym się ot tak od tego odciąć... Wiele jej zawdzięczam. Ratowała mi życie parę razy na przykład...

– Dobra, skończ już jęczeć. I tak nie miałam zamiaru jej mówić, co się stało. Chcesz przy niej gnąć, to sobie gnij. Aż do jej lub twojej usranej śmierci. Twoja sprawa i wolna wola.

– Dzięk...

– Będziesz miał zresztą okazję się nią zaraz nacieszyć, bo jak dobrze słyszę, twoja ukochana wraca właśnie z Suwałk – przerwała mu, wyraźnie artykułując z pogardą słowo „ukochana”. Istotnie, w tle było słychać lekki szum samochodu. Natalia (jak to Natalia) nie mogła się mylić, a poza tym znał pracę silnika swojej ślicznotki na pamięć.

– Leć. Biegnij ją przywitać! – powiedziała z bardzo kontrastującym z jej poprzednim tonem entuzjazmem. Teraz to chyba z kolei on nabył na moment umiejętności czytania w ludzkim umyśle, bo choć brzmiała jak najbardziej naturalnie, czuł, że była w tej chwili tak obrzydliwie fałszywa,

że aż – i to bez żadnej przesady – zrobiło mu się niedobrze. Nie odpowiedział jej, tylko obrócił się na pięcie, by zrobić dokładnie to, co mu powiedziała.

Nie, nie z powodu jej gadania ani nie po to, by jej ostentacyjnie pokazać, że ma w głębokim poważaniu jej zdanie na temat jego związku.

Chciał wyjść po Karolinę dlatego, że tak po prostu, zwyczajnie na to zasługiwała. Bo się za nią stęsknił i martwił się, gdzie jest. TAK – WŁAŚNIE DLATEGO. Znowu poczuł wielki przypływ uczucia do swojej dziewczyny i jedyne, czego w tym momencie żałował, to że po raz kolejny potrzebował do tego impulsu z zewnątrz. Miał podwójną satysfakcję, bo gorąco liczył, że doprowadza takimi myślami blond piękność do szewskiej pasji. Ale...

Tak. Tradycji w jej towarzystwie stało się zadość i miał to w dupie.

Dotarł do schodów i już miał zejść, gdy usłyszał za sobą słowa. Słowa, które były jeszcze dodatkowo idealnie dopełnione wyraźnym pogłosem w jego głowie. Choć na pozór nie było w nich nic szczególnego, stwierdził potem, że chyba nigdy w życiu nie słyszał czegoś równie przerażającego:

– Ale zapewniam cię co do jednego. Jeszcze będziesz tego żałować. Ba, obiecuję ci wręcz, że kiedyś będziesz mnie szukać i błagać o wybaczenie. Jeszcze nie wiem kiedy, ale tak właśnie będzie. Jeszcze się zdziwisz. Będziesz mnie błagać na kolanach, Tomeczku...

Chłopak odwrócił się, ale Prusówna zdążyła już zniknąć za drzwiami swojego pokoju i usłyszał tylko głośnie szczęknięcie klucza. Nagle zdał sobie sprawę, że wszystkie włosy stoją mu dęba, a ciało pokryte jest gęsią skórą i to pomimo faktu, że jest cały mokry od potu. Do tego – choć jej oczywiście w tamtym kluczowym momencie nie widział i choć brzmiało to absurdalnie – nie mógł pozbyć się pewnego nedorzecznego przekonania, że w trakcie wypowiedzania tych sześciu krótkich zdań Natalia miała dokładnie taką samą twarz jak wtedy, kiedy...

No, wtedy.

Jego ciało przeszył dreszcz. Albo dał się ponieść wyobraźni, albo nagle w tym domu rzeczywiście zrobiło się przeraźliwie chłodno...

– O, już wstałeś? – niespodziewanie za jego plecami rozległ się głos Karoliny. Podskoczył, po czym się odwrócił.

– T-tak – wydukał.

– Dobra, to ogarniamy się szybko i jedziemy. Mamy mało czasu.



– OK.

Dziewczyna ruszyła różnym krokiem w stronę pokoju, ale Tomek złapał ją za rękę i zanim zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, przyciągnął ją do siebie i zaczął namiętnie całować. Była bardzo zaskoczona, ale się nie broniła. W gruncie rzeczy – pomijając jego wciąż zalatujący wódką, piwem i... porankiem oddech – było to bardzo przyjemne.

– Za co? – Uśmiechnęła się, gdy już się od niej odkleił.

– Za wszystko, za to, że jesteś... – odparł, wciąż ją obejmując. Czują, że lekko drży. Czyżby z powodu uczuć?

– Kocham cię.

– No i za uratowanie mi życia wczoraj, bo, jak mniemam, to twoja zasługa?

Spoważniała.

– Tak.

– Przepraszam.

– Dobrze, przyjmuję, tylko proszę cię, zastanów się następnym razem, zanim znowu zaczniesz na mnie warczeć, że ci matkuję.

– Obiecuję...

– I tak ci nie wierzę, złośniku... – Znowu się uśmiechnęła i popieściła go pieśczośliwie po nosie. – A teraz idź pod prysznic, bo śmierdzisz! – Wyrwała się z jego ramion z udawanym wstrętem i ponownie ruszyła w obranym wcześniej kierunku. Patrzył za nią jeszcze jakiś czas (jakby chcąc się upewnić, że bezpiecznie dotrze do pokoju), po czym tak jak mu poleciła i nie dbając nawet o to, że nie miał ze sobą ani ręcznika, ani świeżych ubrań, wszedł do łazienki.

Mówi się trudno.

\*

Karolina uśmiechała się pod nosem. Z początku zaczynała tracić nadzieję, ale wyraźnie po tych wszystkich bólach i kłótniach zaczynało im się układać. Wycieczka zdawała egzamin! Wcześniej nie mogła o aż tak dużej dawce czułości z jego strony nawet marzyć. Jego zachowanie – choć tak niespodziewane, że aż dziwne – dało jej ogromnie pozytywnego kopa. Życie jest piękne!

Wciąż z wielkim bananem na twarzy zaczęła robić porządek w pokoju i walizce oraz szukać odpowiednich ubrań na dzisiejszy upalny dzień. Po kilku minutach Tomek wrócił z łazienki.

– Śniadanko? – zapytała.

Dopiero gdy to powiedziała, przypomniał sobie, na jak potężnym jest kacu i jakie ma mdłości.

– Eee... Nie. Ja na razie pasuję. Jeszcze im obrzygam kuchnię. Dla mnie dziś tylko woda i tabletki od bólu głowy.

– Tyle dobrego w tym twoim pijaństwie. Następnego dnia jesteś przynajmniej bardzo ekonomiczny w utrzymaniu.

– No widzisz!

Rozmawiali o planach na dzisiejszy dzień. Zapowiadało się fajnie: Gałęziste, potem klasztor, obiad (choć Tomek był pewien, że nawet po południu nie będzie w stanie niczego przełknąć) i na koniec wisienka na torcie w postaci rejsu po Wigrach. Karolina, która wcześniej ściągnęła na telefon odpowiednie mapy, pokazała Tomkowi, jak dojechać w dane miejsca. Przy okazji poinformowała go, gdzie była dzisiejszego poranka, i naturalnie pominęła fragment o tajemniczym śledzącym ją mężczyźnie. Chłopak natomiast udawał, że o miejscu jej pobytu do tej pory nie miał pojęcia, i trzeba było przyznać, że radził z tym sobie całkiem nieźle.

Posprzątali ze stołu, pozmywali po sobie naczynia, spakowali wszystkie potrzebne na ten dzień rzeczy, poczynili w łazience ostatnie poprawki swojego wyglądu i wreszcie mogli wyruszyć.

– Ty prowadź... – mruknął Tomek. Gdy tylko wyszli na podwórko, aż nadto odczuł, że był to ewidentnie jeden z tych dni, podczas których słońce za głośno świeciło... Oj... Karolina spojrzała na niego i parsknęła śmiechem.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, książę!

Po chwili byli już w drodze do Suwałk. Wyglądało na to, że aby dojechać nad wspomniane jezioro, będą musieli się nieźle nagimnastykować, gdyż samo znalezienie odpowiedniej wylotówki ze stolicy Suwalszczyzny (innej niż ta do Białodębów), na którą koniecznie musieli się dostać, sprawiło im niemały kłopot. Tym bardziej że to Tomek robił za pilota, a delikatnie mówiąc – średnio się do tego dzisiaj nadawał.

Gdy wreszcie udało im się wyjechać z miasta, przez pewien czas podążali wzdłuż torów międzynarodowej linii kolejowej Suwałki – Sestokai. Okazało się jednak, że w kwestii poszukiwania Gałęzistego nawet internetowe mapy nie były godne zaufania (układ drogi nijak miał się do tego z wyświetlacza telefonu Karoliny) i w którymś momencie zdali sobie

sprawę, że najzwyczajniej w świecie się zgubili. Nie mieli wyboru i musieli zatrzymać się, by zapytać okolicznych mieszkańców o właściwy kierunek. Pan Andrzej miał jednak rację i jezioro to nie było najwyraźniej zbyt znanym obiektem, bo dopiero za którymś razem ktoś był w stanie im pomóc. Po wielu trudach znaleźli w końcu punkt orientacyjny, jakim był ośrodek wypoczynkowy „Maniówka”, po którego minięciu mieli być już praktycznie na miejscu i tak też istotnie po chwili się stało. Zjechawszy stromą, żwirową leśną drogą, zatrzymali się nieopodal skrzyżowania kilku ścieżek, na polance, w miejscu, gdzie było sporo przestrzeni do zaparkowania na trawie.

– Nie jedziesz dalej?

– Nie widzisz, że to rezerwat? Dojechałam najdalej, jak się da. Dalej nie wolno.

– Boisz się, że ten nawiedzony pseudoleśnik może i tutaj grasować? Oj, wiele bym dał, by go teraz spotkać... – powiedział Tomek zawziętym tonem. Musiał jednak po cichu przyznać, że był to blef. W jego obecnym stanie wynik pojedynku na pięści nawet z takim szczypiorem jak pan Zdancewicz nie był zbyt oczywisty.

– Nie, nie jego się boję. Boję się, by nie przydarzyło nam się to samo co wczoro... – urwała. Nie rozmawiali jeszcze o wydarzeniach na ognisku. Nie wiedziała nawet, czy Tomek cokolwiek z nich pamięta.

– Znacząco?

Czyli nie pamięta.

– Oj nic! Przejdźmy się. Spacer dobrze ci robi.

– Co tylko sobie zażyczysz, pani... – mruknął beznamiętnie i wygramolił się z samochodu.

Obydwoje poczuli świeże leśne powietrze i usłyszeli delikatny szum drzew. Choć od jeziora dzielił ich najprawdopodobniej jeszcze niemały dystans, Karolina już teraz była pewna, że mówiąc o wyludnionym, klimatycznym miejscu, pan Andrzej się nie mylił. Co prawda po prawej stronie od ścieżki, którą mieli zamiar zaraz dalej podążać, znajdowało się jakieś małe gospodarstwo (z którego zapewne pochodził ten pasący się na małej przydrożnej łące koń), ale wystarczyło po prostu spojrzeć na ten las... Na tę zieloną ścianę, istny mur, który właśnie się przed nimi piętrzył. Już na pierwszy rzut oka było widać, że mało kto się do niego zapuszczał. Całości dopełniało rosnące tuż przed nim (o ile w jego kontekście można było

w ogóle mówić o rośnięciu), niczym osobliwy strażnik, potężne, martwe drzewo.

„Gałęziste...” – pomyślała znieścacka Karolina. Nie wiedzieć czemu myśl ta przyprawiła ją o ciarki...

Niespodziewanie leśną ciszę rozdarł głośny, złośliwy śmiech. Z początku byli nieco skonfundowani, ale już po chwili obydwójce zdali sobie sprawę, że odgłos ten był niczym innym, jak rzeniem konia, którego mieli teraz za plecami. Stojące nieruchomo na łączce zwierzę obserwowało ich uważnie. Jego zachowanie i brak ruchu nagle wydały się Karolinie znajome...

– Idziesz?

Przywrócił ją do rzeczywistości Tomek. Był już dobre kilkanaście metrów przed nią.

– Tak... Idę. – Dziewczyna rzuciła ostatnie spojrzenie na będącego wciąż w tej samej pozycji konia, po czym szybkim krokiem dogoniła chłopaka.

– Ojejuuu... – jęknął Wawrentowicz. Jeżeli wierzyć tabliczce z oznaczeniem szlaku, którą właśnie mieli przed sobą, czekał ich jeszcze ponad kilometr marszu.

– Dobra, skończ już jęczeć. Spędzamy aktywnie czas! – rzuciła dziarsko Karolina i trzepnęła go lekko w tyłek. *À propos* jej pierwszego zdania Tomek przeżył swoiste *déjà vu*...

Wędrowali przez klimatyczny, fosforyzujący wręcz zielony tunel. Nie spotkali nikogo po drodze. Choć trudno było w to uwierzyć, las wydawał się jeszcze gęstszy niż ten otaczający Białodęby i... nieco inny? Dla odmiany zdecydowanie więcej rosło w nim drzew liściastych – szczególnie klonów i olch, które w największej mierze odpowiadały za tę szmaragdową, jaskrawą iluminację. Co ciekawsze, droga biegła niejako po poziomicy stromego zbocza i na prawo od niej znajdowała się sporych rozmiarów dolina, która była jednak przez pokrywającą ją ogromną liczbę drzew i krzewów kompletnie niewidoczna. Bardzo ciekawiło Karolinę, jak by wyglądała, gdyby nagle to wszystko jakimś cudem usunąć.

– Sukinsyn... – Tomek pacnął się nagle otwartą dłonią w kark.

– Co?

– Komar...

– O tej porze roku? Co ty gadasz?

– No to może nie komar. – Otworzył dłoń. Leżała na niej jakaś dziwna sporych rozmiarów muszka o sześciu odnóżach. Dziwna, ponieważ swoim wyglądem przypominała trochę kleszcza. Mimo że Tomek w usiłowanie jej zabicia włożył niemało siły, wciąż żyła. I bynajmniej nie były to sporadyczne ruchy pojedynczych odnóży. Ruszała się, jakby nigdy nie zarobiła żadnego ciosu.

– Twarda jest...

– Zostaw. Wyrzuć ją.

Po chwili i Karolina poczuła nieprzyjemne mrowienie na karku i także sięgnęła za siebie.

– Co jest...? – Tym razem Tomek poczuł, że coś pełza mu po głowie. Intensywnie szarpnął włosy, rozczesując je palcami. Lekko zdezorientowała go jednak obecność kolejnych intruzów na plecach. Czuł, że insekty weszły mu nawet pod koszulkę. Sytuacja Karoliny wcale nie była lepsza. Najdziwniejsze było jednak to, że wcale nie wyglądało, jakby znajdowali się w jakimkolwiek małym roju. Owady pojawiały się bez żadnego ostrzeżenia właściwie znikąd.

– Dobra, dość tego. Nie wiem jak ty, ale ja więcej! – zawołał Tomek i puścił się biegiem przed siebie. Każdy kolejny krok przypominał mu aż nadto, co robił wczoraj wieczorem. Karolina starała się nie pozostawać w tyle, ale z racji swoich mniejszych możliwości fizycznych musiała ciągle oglądać jego plecy. Nie to było jednak problemem. Nawet ucieczka nie pomagała im bowiem w nierównej walce z tymi muszkami.

Względny spokój odzyskali dopiero po kilkuset metrach biegu. Wprawdzie zmieniło się niewiele, ale przynajmniej małym pocieszeniem był fakt, że owady nie atakowały ich już z tak dużą częstotliwością jak poprzednio. Obydwoje postanowili w końcu starać się je ignorować (tym bardziej że chyba nie kąsały, więc żadnych dodatkowych pamiętek po nich raczej nie należało się spodziewać), ale nie było to takie łatwe. Gdy w eksploracji ich ciał pozwalały sobie na zbyt wiele, należało stosownie zareagować.

A pozwalały sobie raz po raz.

– O. To to? – Po dalszych kilku minutach marszu, tuż po tym, jak ścieżka skierowała się ostro w dół, a teren wokół wyraźnie się wyrównał, Tomek wskazał na prawo. Pomiedzy drzewami widoczne było jakieś małe jezioro.

– Może.

Podeszli do znajdującej się tuż przy drodze tablicy, która poinformowała ich jednak, że rzeczony zbiornik nie był Gałęzistym, a sąsiadującym z nim jeziorem Samle Duże. Karolina naturalnie chciała zobaczyć z bliska również i je, ale ku wewnętrznej uldze Tomka na pierwszy rzut oka nie prowadziła do niego żadna ścieżka, a przynajmniej takowej nie widzieli, więc zdołał ją przekonać, by na razie skupili się na ich głównym celu. Na samą myśl, że miałyby jeszcze szarżować przez te krzaczory, gdzie – co oczywiste – czaiło się pewnie jeszcze więcej tych pieprzonych muszek, skrzywił się w pełnej dezaprobaty minie.

Ale jedno przynajmniej wiedzieli na pewno – według mapki z tablicy Gałęziste było stamtąd praktycznie rzut beretem. Zaraz dotarli do rozwidlenia dróg, z których jedna prowadziła lekko pod górkę, druga zaś – wzdłuż podnóża tego właśnie wzniesienia. Zgodnie z tym, co wskazywał szlak, wybrali tę pierwszą i z każdym kolejnym krokiem powoli ukazywała im się spora, kolista i wolna od drzew przestrzeń.

Jeziro było tuż-tuż.

Podobnie jak śmiertelne niebezpieczeństwo, o którego przerażającej bliskości żadne z nich nie miało najmniejszego pojęcia.

## ROZDZIAŁ X

– I to wszystko? Dla tego czegoś zmusiłaś mnie do tych kilometrów tytanicznego wysiłku? – rozniósł się nad wodą obrzydliwy przekąs Tomka.

– A czego się spodziewałaś? Morskiego Oka?

Karolina nie podzielała opinii swojego chłopaka, bo też od początku nie oczekiwała nie wiadomo czego. Jej z kolei Gałęziste nie zawiodło.

Było to małe, niemal okrągłe jezioro o turkusowym kolorze, w całości otoczone szczelnym leśnym obramowaniem. Wysokie sosny dosłownie wylewały się z puszczy nad jego spokojną, gładką jak stół taflę. Jego wygląd, w połączeniu z niesamowicie dziką, niemal nietkniętą przez człowieka okolicą wokół (nie było na nim nawet namiastki pomostu, choć niewątpliwie od czasu do czasu znajdowali się ludzie, którzy oddawali się w nim kąpeli) i kojącym leśnym szumem w tle, istotnie sprawiał, że – dokładnie tak jak opowiadał o nim pan Andrzej – było to bardzo klimatyczne miejsce. Nie dało się też ukryć, że na jego postrzeganie przez dziewczynę wpłynęła na swój sposób pewna osobliwa, dziwna wręcz aura tajemniczości, która jakimś sposobem towarzyszyła mu już od pierwszej wzmianki Roguckiego o nim.

Poczynając od nazwy.

Gałęziste...

– Idziemy? Te muszki mnie dobijają...

– Oj, obejdźmy je chociaż! I tak jest małe.

– Widzisz tu jakąkolwiek ścieżkę? Bo ja nie.

Miał rację. Do jeziora prowadził szlak, którym przyszli, ale kończył się właśnie na nim. Żadna, choćby nawet najmniejsza dróżka pozwalająca na obejście go zwyczajnie nie istniała. Co prawda Karolina miała przez moment szaloną myśl, by na tę traperską rundkę przez zarośla mimo wszystko spróbować Tomka namówić, ale w końcu uznała, że to kiepski pomysł. Jak nie zgodził się na Samle Wielkie, tak nie zgodzi się na to. Strata czasu.

Maruda.

Chcąc więc czerpać z tego, że się tu znaleźli, najwięcej, jak tylko się da, zeszła stromym zboczem do wody i tam, gdzie brzeg był jeszcze jako tako wydeptany przez sporadycznie zapuszczających się tu turystów lub miejscowych, przeszła się tyle, ile mogła, po obwodzie jeziora. Zrobiła także kilka zdjęć. Tak jak zawsze, chcąc wyłapać wszystkie, również te

niedostrzegalne na pierwszy rzut oka szczegóły, dokładnie lustrowała cały pejzaż wzrokiem. Po pierwsze zanosilo się, że prawie na pewno już nigdy tu nie wróci, po drugie – było jej to teraz potrzebne. Jednym z medycznych mitów, które znała i w które wierzyła, było uspokajające działanie koloru zielonego, a sądząc po tym, jak wiele dawała jej sama obecność w tym lesie, po raz kolejny musiała stwierdzić, że nie było w tym za dużej przesady. Nie bała się nawet spojrzeć w wodę, chociaż dużą rolę na pewno odegrał tutaj fakt, iż ta była tak płytka, że z każdego miejsca, w którym stawała, było jeszcze widać dno. Wyglądało więc na to, że w przeciwieństwie do Kluczyska tutaj żadna niespodzianka raczej nie miała prawa jej spotkać...

Skończ wreszcie!

– Idziemy? – powtórzył Tomek. Westchnęła.

– Dobra, idziemy...

Powlekła się powoli pod górkę, wzięła go za rękę i razem ruszyli w drogę powrotną do samochodu.

W pewnym momencie zniemacka uderzyła ją dziwna myśl.

Nie wiedzieć czemu niezależnie od siebie wyobraziła sobie, że właśnie teraz, gdy obydwójce byli odwróceny do Gałęzistego plecami, w pewnym miejscu na jego tafli, z dala od brzegu... coś zaczęło się bardzo powoli spod niej wyłaniać. Centymetr po centymetrze, coraz wyżej i wyżej... Wydawało przy tym niski pomruk. Mało tego, prawie czuła też na sobie ten mierzący ją od tyłu po całym ciele wzrok... Nie wiedziała, co to jest, były to już wyższe poziomy abstrakcji jej bujnej wyobraźni, ale nie potrzebowała tej wiedzy, by stwierdzić, że i tak było to już wystarczająco idiotyczne. Jej imaginacja była tak niesamowicie wiarygodna, że aż przeszył ją dreszcz.

Nie był to pierwszy raz – w dzieciństwie także wielokrotnie wbrew swojej woli wyobrażała sobie co bardziej przerażające mary, czy to pod łóżkiem, czy to w szafie, czy to w ciemnym tunelu, ale wydawało jej się, że z wiekiem już z tego wyrosła. Z perspektywy czasu odbierała to jako bardzo głupie i niedojrzałe, bo zawsze tylko niepotrzebnie najadała się strachu, a wystarczyło przecież zajrzeć pod łóżko albo do szafy.

Albo odwrócić się w stronę jeziora, by wszystkie te rzeczy...

Zniknęły?

– Widziałeś?

– Co? – Tomek także się odwrócił.



– No tam...

– Gdzie?

To było w tym wszystkim najdziwniejsze, na całej swej powierzchni tafla jeziora wciąż była gładka jak stół. A gdyby rzeczywiście... No kurczę, powinny być przecież na niej kręgi!

– Pewnie ryba...

– No wybacz, ale to, że w jeziorze występują ryby, to nic dziwnego... – Objął ją, częściowo w czułym geście, a częściowo, by pomóc jej w opuszczeniu tego miejsca.

Pewnie miał rację, ale wyniknął w sumie śmieszny zbieg okoliczności. Jej fantazjowanie plus coś, co błyskawicznie zniknęło pod wodą, gdy tylko się odwróciła...

Nieważne.

Szli dosyć szybkim, narzuconym przez Tomka tempem. Nie zwrócili najmniejszej uwagi, że wiatr momentalnie zamilkł i w lesie nagle zapadła głęboka cisza. Gdy po raz kolejny mijali tablicę z informacjami o Samlach Wielkich, Karolina rzuciła na nią pobieżnie okiem jeszcze raz.

– Może pójdziemy tam? Może prowadzi do Samli Małych?

Po jakimś czasie wskazała skręt na prawo pod górę.

– Nic tam nie ma.

– Na tej tablicy było napisane, że są tu w okolicy łącznie trzy jeziora, więc może tędy się idzie do trzeciego?

– Nic tam nie ma, mówię ci. Sample Małe, czy jak im tam było, leżą przy Samplach Dużych.

– Naprawdę pamiętasz ten układ z grafiki, czy tak tylko gadasz, bo nie chce ci się tam iść?

– Pamiętam.

– Mówiłam ci już, że co jak co, ale kłamca to z ciebie marny? Idziemy.

Tomek westchnął i z najszcześliwszą miną na ziemi powlókł za nią. Jeszcze nie do końca opuściły go zakwasy po czwartkowym wyścigu na Górę Cisową, więc to nadprogramowe wchodzenie na zbocze bynajmniej przyjemne dla niego nie było. Po kilkunastu metrach pod górę dotarli do ścieżki, która biegła równolegle do tej prowadzącej do Gałęzistego. Gdyby poszli w prawo, w dalszym ciągu, jak okiem sięgnąć, szliby przez las, więc Karolinie znacznie ciekawszy wydał się skręt w lewo, który prowadził do widocznej w pobliżu kolejnej niezadrzewionej przestrzeni.

– No i co? Mówiłem, że nic tu nie ma! – Tomek czuł gorzką satysfakcję. Szkoda tylko, że ta tutaj tak rzadko go słuchała.

Ot, polana, jakich wiele.

Pardon, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych na tym świecie na tej był wyjątkowy wysyp ich skrzydlatych przyjaciół, którzy w dalszym ciągu nie omieszkiwali z wyjątkową czułością im okazywać, że bez ich fizycznej bliskości nie mogą dosłownie żyć. Zacisnął zęby z irytacji. Miał już tego wszystkiego po...

– Cśśś... – uciszyła go Karolina.

– Chodźmy!

– Poczekaj. Posłuchaj.

Niechętnie jej posłuchał i... posłuchał. Z początku nie wiedział, o co jej chodzi, ale w końcu uznał, że chyba o to specyficzne echo, które roznosiło się nad lasem. Gdy był zajęty swoim jęczeniem, nie zwrócił nawet na nie uwagi, ale teraz, gdy zamilkł, zauważył, że było nawet stosunkowo głośne. Co więcej, dochodziło jakby z każdej strony. Przypominało wycie, zawodzenie i szczekanie psów w jednym.

– Echo. Psy. Najpewniej te z gospodarstwa, przy którym zaparkowaliśmy albo z jeszcze innych, których nie widzieliśmy. Możemy już iść? – wyrecytował.

Karolina miała już serdecznie dosyć kopania się z koniem i w żadnym wypadku nie chodziło tu o tego pasącego się tuż przed wejściem do lasu.

– A gdybyś tak choć raz dał porwać się klimatowi? Straszny zgred z ciebie. Naucz się w końcu cieszyć z małych rzeczy!

– Czy powrót do samochodu z dala od tych jebanych muszek to wystarczająco mała rzecz, czy już podchodzi pod definicję średniej? – zapytał jadowitym tonem.

– Gadał dziad do obrazu. – Zostawiła go za plecami, idąc z powrotem w kierunku ścieżki, którą przyszli. Zresztą i tak kończyła się ona na tej polance, więc nie było innej opcji.

– No co?

– No nic. Idziemy. Tak jak chcesz.

Tomek nie odpowiedział, tylko dobiegł do niej i wziął ją za rękę. Na szczęście dała się dotknąć. Czyli jeszcze nie przekroczył pewnej granicy. Uznał jednak, że na wszelki wypadek nie będzie teraz sprawdzać, gdzie się ona znajduje.

Albo nie.

– Przepraszam, ale przyjechaliśmy, zobaczyliśmy, czyli odbębniliśmy, co mieliśmy do odbębnienia. Czego jeszcze chcesz?

– Dobra, już skończ. Idziemy do samochodu – odparła zrezygowana.

– No i znowu to samo. Chciałaś żebyśmy rozmawiali, a ciągle...

– Powiedziałam ci dziesięć sekund temu, o co mi chodzi. Słyszysz, ale nie słuchasz.

– Ech... – westchnął. Nie miał tego dnia jeszcze siły na kolejną emocjonalną dyskusję, więc na tym ich dialog się zakończył.

Szli przez jakiś czas w milczeniu. Tomek jako pierwszy zauważył, że coś nie gra. I nie chodziło tu wcale o to, że wszystkie atakujące ich muszki nagle zniknęły.

No ale ze znikaniem rzeczy w przestrzeni i tak miało to sporo wspólnego...

– Co jest? Gdzie jest ten skręt? Minęliśmy?

Karolina się odwróciła. Rzeczywiście, z tego, co pamiętała, gdy poprzednio wchodzili na skrzyżowanie ścieżek, wejście na polanę było doskonale widoczne w odległości jakichś stu, może mniej metrów. Aktualnie byli jednak znacznie dalej od niego, a mimo to nie przypominała sobie, by przechodzili obok jakiegokolwiek skrętu. Zresztą potwierdzenie tego otrzymała również teraz – do przecinki między drzewami prowadziła idealnie prosta droga bez żadnych skrzyżowań.

– Chyba jeszcze nie doszliśmy...

– Co ty gadasz? Przecież to było blisko...

– No ale sam widzisz, że tam go nie ma...

– Dziwne...

Licząc, że znajdą wspomniany skręt nieco dalej, powtórnie podjęli marsz.

– Kurde, musieliśmy minąć. To niemożliwe żeby... – mruknął chłopak. Karolina wiedziała, że ma rację, ale jednocześnie nie potrafiła znaleźć żadnego innego racjonalnego wytłumaczenia na fakt, iż wcześniej ten skręt był, a teraz go nie ma niż to, że jeszcze po prostu do niego nie doszli.

Nie chciała nawet rozważać innych możliwości...

Pomimo ich wciąż zwiększającego się dystansu do polany upragniona dróżka w prawo dalszym ciągu nie pojawiała się w zasięgu wzroku... Co więcej – jak już byli przy temacie znikających ścieżek – nie było widać

również tej do niej równoległej, do Gałęzistego, a w linii prostej powinno ich być przecież od niej dzielić maksymalnie kilkanaście metrów...

– Nieee no, to bez sensu. Wracajmy. – Tomek się zatrzymał.

– No ale przecież...

– Musieliśmy przeoczyć. Sprawdźmy na wszelki wypadek jeszcze raz.

Karolinę ogarnął lekki niepokój, bo zdała sobie nagle sprawę, że powrót tam również jest bez sensu. Zasadnym było w takim razie pytanie: „co w tej sytuacji w ogóle miało sens?”.

Z duszą na ramieniu rozejrzała się po lesie i dopiero teraz zauważyła, że jego szum zupełnie umilkł. Prawie jakby znajdowała się właśnie w niewidzialnym wytłumionym szczelnie sześcianie. Z tą jednak różnicą, że już z kolei kroki idącego przed nią Tomka słyszała doskonale... Jakoś jej się to nie podobało.

Podobnie jak to, co jeszcze teraz dodatkowo dostrzegła, czyli nagły zupełny brak tych denerwujących muszek. Jak do tego dodać wspomnienie czwartkowej wyprawy do Puszczy Rominckiej, które jak na złość właśnie teraz przyszło jej na myśl... Jasna cholera, nie teraz!

Bojąc się, co zastanie (albo raczej czego nie zastanie) przy wejściu na polanę, szła za swoim chłopakiem. Napięcie wzrastało w niej z każdym krokiem. Bo też z każdym krokiem coraz wyraźniej było widać, że jednak tej ścieżki nie minęli...

Nagle idealną ciszę rozdarł odgłos trzaskającej gałązki gdzieś na prawo od niej. Wzdrygnęła się i zerknęła w tamtą stronę.

Pusto.

– A widzisz! Jednak minęliśmy! – zawołał triumfalnie będący już sporo przed nią Tomek. Znowu spojrzała za nim.

I nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Ścieżynka, której poszukiwali, znajdowała się w dokładnie w tym samym miejscu, co na samym początku. Mało tego, była doskonale widoczna nawet z punktu, w którym teraz stała dziewczyna.

Choć jeszcze pięć sekund wcześniej...

– Widzisz, jakbyśmy szli do przodu, to pewnie doszlibyśmy na samą Białoruś. Mówiłem, że musieliśmy w pośpiechu przeoczyć!

Dobiegła do niego, wzięła za rękę i nie odezwała się ani słowem dopóty, dopóki ostatecznie nie wyszli z lasu. W czasie marszu starała się nie oglądać na boki. Do tego miała nieodparte wrażenie, jakby przez cały

czas ktoś ich obserwował. No i ta irytująca cisza. Miała jej tak dosyć, że zaczęła nawet tęsknić za złowieszczym, wyjąłym echem...

Dotarli do samochodu. Na rozpatrywanie, co się właściwie przed chwilą wydarzyło, Karolina nie miała zamiaru poświęcać ani jednej sekundy. Grunt, że skończyło się tak, jak się skończyło. Obawiała się, że gdyby zaczęła to głębiej drążyć, musiałyby bez żadnej dyskusji wysłać samą siebie do Tworek. Zamiecenie tego wszystkiego pod dywan niepamięci było znacznie wygodniejsze.

Problem tylko w tym, że pod dywanem zaczynało już brakować miejsca...

Gdy obydwójce wsiedli do audi, odpaliła je i wykręciła. Zwróciła jeszcze uwagę, że konia, który uprzednio pasł się na łączce przy drodze, tym razem na niej nie było. Wjechawszy na stromy prowadzący z powrotem do pobliskiej wioski zwirowy podjazd, całą siłą woli zmusiła się, by nie spojrzeć we wsteczne lusterko.

\*

Aby znowu nie błądzić po omacku, zdecydowali się na powrót do Suwałk i dopiero stamtąd wyruszyli prosto nad Wigry. Dobrze oznakowana droga sprawiła, że nie mieli żadnych problemów ze znalezieniem górującego nad największym jeziorem Suwalszczyzny klasztoru.

Historia tego jednego z najbardziej znanych podlaskich obiektów zaczyna się wraz z przybyciem z Włoch kamedułów podczas panowania Jana Kazimierza. Zgodnie z dokumentem, który uzyskali oni od króla, dostali zgodę na wybudowanie na wyspie (bo wtedy była to jeszcze wyspa, dopiero po sztucznym usypaniu na błotnistym przesmyku szerokiej grobli została regularnie połączona ze stałym lądem) klasztoru i kościoła. W zamian mieli modlić się, by Polska podniosła się z klęsk i wojen, które ówczesnie nawiedziły nasz kraj. Pracowici i przedsiębiorczy zakonnicy sprowadzili w te strony również rzemieślników i z ich pomocą oraz z zebranych od innych eremów kamedulskich funduszy zbudowali nie tylko miejsca chrześcijańskiego kultu, lecz także liczne zakłady przemysłowe z gorzelnią, browarem, tartakiem i młynem na czele. Nie zabrakło też stajni, wozowni i spichlerzy. Dzięki sumienności, oddaniu, uczciwej pracy i smykałce do interesów przybysze z Włoch skutecznie pomnażali swój majątek.

Po wielkim pożarze, w którym drewniany kościół, klasztor i cała reszta

doszczętnie spłonęły, nie załamali się, tylko ze zdwojoną siłą dążyli do odbudowy swojego małego gospodarczego imperium. Efektem tych starań, oprócz urządzenia kolejnych, licznych, specjalizujących się w coraz to innych wytworach ludzkich rąk zakładów rzemieślniczych, był nowy klasztor wraz z kościołem, tym razem zbudowany z ogniotrwałego kamienia i otoczony grubym, wysokim murem. W połączeniu z oblewającym półwysep jeziorem jego wygląd przywodził wręcz na myśl rycerską warownię.

Z czasem wieść o potędze przemysłowej eremu wigierskiego, w którego skład wchodziło już nawet miasto Suwałki, rozniosła się po całej Polsce i był on prawie że uznawany za oddzielne litewskie księstwo. Wielu zamożnych panów pragnęło spędzić w klasztorze swoje ostatnie lata, by pod opieką kamedułów należycie przygotować się do życia wiecznego. Specjalnie dla nich został więc zbudowany dom, w którym znajdowały się pokoje mieszkalne, sypialnie oraz kaplica.

Czasy świetności i dobrobytu zakonu zakończyły się wraz z rozbiorami Rzeczypospolitej, kiedy to okoliczne tereny weszły pod panowanie pruskie. Nowe władze odebrały kamedułom wszystkie dobra, a klasztor na mocy ich decyzji został siedzibą nowo utworzonego biskupstwa wigierskiego. Gdy po jakimś czasie zdecydowano się na przeniesienie go do Sejnu, kościół zaczął stopniowo niszczeć. Oczywiście największe szkody w całym zespole budowli zostały poczynione podczas obydwu wojen światowych, toteż po nich już w pierwszych latach przystąpiono do odnawiania wszystkich obiektów i po poniesieniu niemałych nakładów finansowych z czasem udało się zrekonstruować prawie wszystko.

Obecnie klasztor to atrakcja turystyczna i ośrodek wypoczynkowy, w którym przebywał między innymi papież Jan Paweł II podczas swojej pielgrzymki do Polski w 1999 roku.

Karolina i Tomek bez pośpiechu obeszl spacerem cały obiekt, wraz z dziedzińcem pod wieżą zegarową z rzędem zakonnych pustelni po obu jego stronach, ogrodami, kościołem i znajdującą się w nim pokamedulską kryptą. Strachy chyba nie zamierzały tego dnia tak łatwo ich opuszczać, gdyż nawet w katakumbach przywitało ich budzące niepokój naścienne malowidło pt. *Taniec śmierci*. Trzymający na nim przerażonego mnicha za rękę szkielet zdawał się przez cały czas wodzić za nimi wzrokiem...

Jak się okazało, na terenie klasztoru znajdowała się również restauracja,

więc zdecydowali się na zjedzenie tam obiadu (a konkretnie Karolina, organizm Tomka wciąż mógł przyjmować na razie jedynie wodę mineralną). Dzwon na wieży zegarowej wybił czternastą akurat wtedy, gdy opłacili rachunek.

Pan Andrzej okazał się perfekcyjnie punktualny. Nie musieli się nawet nawzajem szukać i dzwonić, ponieważ gdy szli na przystań, jego efektowna żaglówka była już z oddali doskonale widoczna.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się szeroko i uściśnął Tomkowi rękę.

– Dzień dobry. – Karolina odwzajemniła uśmiech.

– Gotowi?

– Tak, ale pod warunkiem że zwrócę panu za wczorajszy obiad.

– Jaki obiad?

– Proszę pana... – Spojrzała na niego z udawanym politowaniem.

Zaśmiał się.

– Dajcie spokój. Nie ma o czym mówić.

– Ale mi naprawdę głupio, zaprosiliśmy pana...

– A ja miło spędziłem z państwem czas. To dla mnie warte więcej niż pieniądze. Jesteśmy zatem kwita.

Karolina poddała się, ale postanowiła, że przynajmniej ponowi próbę uczciwego rozliczenia się z nim za jakiś czas.

Pan Andrzej podał jej rękę i pomógł bezpiecznie znaleźć się na pokładzie. Chciał też pomóc Tomkowi, ale ten grzecznie odmówił i to mimo że wciąż nie czuł się na swoich nogach zbyt pewnie. Usiedli naprzeciwko siebie po obu stronach burty, a kierownik wyprawy – jak to na kierownika przystało – zajął się sterem. Odbili od brzegu.

– To co? Udało się państwu coś jeszcze dzisiaj zwiedzić?

– Byliśmy nad Gałęzistym, a teraz w klasztorze.

– I jak?

– Ciężko dojechać i ciężko się wydostać... – odparła Karolina, zanim ugryzła się w język. Na szczęście pan Andrzej nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Żadnych pozytywów?

– Nie, nie! Oczywiście, tak jak pan mówił, piękne, dzikie miejsce. Warto było.

– Tylko te denerwujące muszki, co? – Mrugnął.

– Pana też tak lubią?

– Zawsze kiedy tam jadę, myślę sobie, że jestem ich ulubionym gościem, bo nigdy nie mogą się powstrzymać, by mnie serdecznie nie wyściskać – mówiąc to, mężczyzna odbił sterem w przeciwną stronę, by zawczasu zejść z kursu innej, zbliżającej się do nich żaglówce. Łódka skręciła w lewo, a wiatr intensywnie napiął żagiel.

– A jeszcze jakbyśmy na własne nieszczęście znaleźli się tam latem, w pełni sezonu na komary... Strach pomyśleć. Ale musimy im to wybaczyć. Naruszyliśmy ich królestwo. Coś za coś.

– W każdym razie ja się nie zawiodłam.

– A jak panu się podobało, panie Tomaszu?

Milczący i pogrążony w swoich myślach Tomek na dźwięk swojego imienia gwałtownie wrócił do rzeczywistości.

– Pardon?

– Pytałem, jak się panu podobało Gałęziste i czy nie przeklina pan czasem starego Roguckiego, że ten polecił wam tam jechać.

– Może być. Wie pan, wczoraj po obiedzie byliśmy na imprezie i dałem sobie nieco w palnik, więc dzisiaj wszystko w mojej osobistej skali oceniania spada o kilka punktów promilowych...

Pan Andrzej zarechotał.

– Wszystko rozumiem! Trzeba było tak od razu. Piwko?

– Jak pan ma... Nie odmówię.

Rogucki sięgnął po linę, która do tej pory przez cały czas ciągnęła się za łódką w wodzie. Jak się okazało, na jej końcu znajdowała się siatka z kilkoma puszkami lecha. Wyciągnął jedną i podał Tomkowi.

– Piwo po południu jak śmietana – jęknął z ulgą chłopak, gdy już zaraz po pierwszym łyku ogarnęło go najcudowniejsze uczucie we wszechświecie.

– A pani, pani Karolino?

– Dziękuję, nie piję alkoholu.

– Rozumiem – odparł uprzejmie, a ona była mu wdzięczna za niedrażnienie tematu. Naprawdę był facetem z klasą i to był tylko jeden z kolejnych na to dowodów.

– Czyli jednak nie jesteście tu państwo tacy samotni... Chyba że było to wyjście do klubu?

– Nie, impreza w plenerze. Spotkaliśmy wczoraj znajomą na mieście i jakoś tak wyszło, że ostatecznie tam wylądowaliśmy – odpowiedział



Tomek.

Jak już poruszyli tę kwestię...

Karolina pomyślała, że ich towarzysz będzie chyba jedną z najbardziej odpowiednich osób, z którymi mogłaby przekonsultować tajemnicze wydarzenia z wczoraj. Opowiedziała mu więc o tajemniczych ludziach, którzy wyszli z lasu. Zarówno on, jak i Tomek, który nie pamiętał z tego ani sekundy, słuchali jej z należytą uwagą. Na koniec to jej chłopak miał bardziej zaskoczoną minę, co wyglądało groteskowo w obliczu faktu, że sam w tym wszystkim uczestniczył.

Alkohol...

– I co pan o tym sądzi? Kim oni mogli być?

Pan Andrzej zastanawiał się przez chwilę w poważnym skupieniu.

– Powiem szczerze, pierwszy raz o czymś takim słyszę. Nie mam pojęcia, kim oni są oraz czemu tak bardzo nie chcieli tam waszej obecności. Bo co do tego, że wybitnie im ona przeszkadzała, z tego, co pani mówi, nie mam żadnych wątpliwości.

– Mafia?

– W Polsce nie ma mafii – poprawił ją uprzejmie. – Aczkolwiek nie wykluczam, że spotkanie czegoś w jej rodzaju mogłoby się tam zdarzyć. Mieliście pecha i znaleźliście się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Ale co się tam naprawdę działo, to możemy już teraz jedynie domniemywać.

– Może powinniśmy powiadomić policję?

– Może i tak, ale co to da? Wątpię, by poważnie zajęli się tą sprawą. Po pierwsze na pewno tamci byli na tyle mądrzy, że sprzątnęli po sobie cały bałagan, jakiego ewentualnie gdzieś tam w okolicy mogli narobić. Po drugie może pani powiedzieć policji tylko to, że było ich sporo i byli dowodzeni przez zaciągającą babcię. Według mnie to trochę za mało informacji do poszukiwań. Chyba że się mylę i może pani podać dokładniejsze rysopisy?

Miał rację. Jak tak teraz o tym pomyślała, musiała zaskakująco przyznać, że nie potrafiłaby w tej chwili szczegółowo opisać właściwie ani jednego członka tajemniczej grupy.

– Wreszcie po trzecie, w przeciwieństwie do was, oni nie łamali prawa. No, może poza tym pobiciem, ale to niska szkodliwość społeczna czynu. Przyszli, wygonili was z parku narodowego, gdzie palenie ognisk

i imprezowanie jest zabronione. Z punktu widzenia policji zero podstaw do postawienia jakichkolwiek zarzutów. Bez jasnego postawienia sprawy, co oni tam robili, czy było to coś złego i jeżeli tak, przedstawienia na to wiarygodnych dowodów, zgłaszanie tego to strata czasu. – Pan Andrzej odbił po raz kolejny, a bom powędrował nad ich głowami tym razem nad prawą burzę.

– Czemu nic mi o tym nie powiedziałaś? – zapytał Tomek.

– Gdybyś nie narznął się jak świnia, to byś pamiętał – odparła z przekąsem.

– Tak czy inaczej – wciął się w porę Rogucki – myślę, że nigdy się nie dowiemy, o co chodziło, i nie ma co zawracać sobie teraz tym głowy. Grunt, że państwu nic się nie stało.

– Otóż to – dopowiedział Wawrentowicz i uniósł puszkę w pełnym uznania dla mężczyzny geście. Dalsze gadanie o tym było zbędne.

Na moment zapadła cisza z odgłosem sunącej po wodzie żaglówki w tle. Wyłąywali coraz dalej na otwarte jezioro. Z racji jego pokręconego, przypominającego trochę literę S kształtu z ich perspektywy nie było łatwo zorientować się w jego strukturze. Karolina zamknęła oczy, oparła łokcie na burcie, odchyliła głowę do tyłu prosto na ciepłe, letnie wręcz promienie słońca i w pełni oddała się łagodnemu szumowi wody i wiatru. Nie dziwiła się panu Andrzejowi, że właśnie w ten sposób lubił spędzać czas. Był to relaks połączony z obcowaniem z naturą w najczystszej postaci. Wielu ludzi chyba podzielało jej zdanie, gdyż po Wigrach pływało teraz wiele żaglówek.

– A tak przy okazji mogę zapytać, gdzie się państwo zatrzymaliście?

– W Białodębach – odparł Tomek.

– Przepraszam, gdzie?

– W Białodębach. Taka mała wioska w lesie niedaleko cmentarzyska Jaćwingów.

– Muszę przyznać, że nigdy o tej miejscowości nie słyszałem... Nawet nie wiedziałem, że jest w tym lesie jakaś wioska.

– A widzi pan! Więc jednak i my możemy czymś pana zaskoczyć. – Karolina otworzyła oczy.

– W ogóle to, że się tam znaleźliśmy, to też przypadek – dodał Tomek.

– W jakim sensie?

Opowiedzieli mu o nieporozumieniu z Janikami w Osinkach i jak się to

ostatecznie skończyło.

– Pokój może i o trochę niższym standardzie niż ten, w którym planowaliśmy się pierwotnie zatrzymać, ale chociaż za darmo, więc nie możemy narzekać – zakończyła opowieść dziewczyna.

– Tym bardziej że, tak jak mówicie państwo, gospodarze bardzo mili. Fajnie, fajnie... Ci z Osinek zachowali się bardzo w porządku. – Pan Andrzej się uśmiechnął.

Uderzyła ich przyjemna, chłodna, wilgotna jeziorna bryza. Żagiel naprężył się momentalnie, a łódka niebezpiecznie się przechyliła, tym bardziej że Karolina naturalnie nie była dla Tomka idealną przeciwwagą, a na dokładkę bom znajdował się teraz po stronie chłopaka. Żaglówka ruszyła przed siebie z dużą prędkością.

– Ło! – Wawrentowicz miał wątpliwości, czy Rogucki na pewno do końca nad tym wszystkim panuje. Pan Andrzej nie odpowiedział, tylko w dalszym ciągu porozumiewawczo się uśmiechał. Po chwili znowu odbił w drugą stronę. Karolina zapiszczała, bo naprawdę miała wrażenie, że brakuje bardzo niewiele, by zaraz we trójkę w komplecie wylądowali w wodzie.

– Jest pan pewien, że... – zaczęła.

Mężczyzna nagle spoważniał.

– Proszę natychmiast przesiąść się do pana Tomka! – zawołał. Dziewczyna posłusznie pospiesznie wykonała polecenie i prześlizgnęła się do przeciwnej burty w miejsce obok swojego chłopaka. Niewiele to jednak pomagało, bo łódź w dalszym ciągu sunęła po jeziorze pod niepewnym kątem, prawie zahaczając końcówką bomu o taflę.

– Lepiej się wychylę, bo naprawdę zaraz... – Tomek zaczepił stopy o specjalne przytwierdzone do kadłuba gumowe paski, które najpewniej służyły do ułatwienia tego, co właśnie zamierzał zrobić, i wychylił się całym swoim ciężarem za burtę. Chciał wyrównać kąt między pokładem żaglówki a taflą i trochę mu się to nawet udało.

– Pani Karolino, jeszcze pani! Szybko!

Rogucki brzmiał niezwykle przekonująco, więc tym bardziej sytuacja wyglądała na poważną. Lekko spanikowana dziewczyna nie bardzo wiedziała jednak, jak ma to wszystko rozegrać, bo gdyby chciała zrobić to samo, co Tomek, to nie dosięgałaby swoimi krótkimi nóżkami do pasków.

– Chodź! Trzymam cię – zachęcił ją Wawrentowicz. Nie żeby nie ufała

jego muskularnym ramionom, ale... nie ufała im. Nie było jednak innego wyboru. Przytrzymała się kurczowo jego potężnej klatki piersiowej i także wychyliła się plecami za burtę.

Nagle... dobiegł ich serdeczny śmiech pana Andrzeja i spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Ten spokojnie odbił ponownie w drugą stronę, a łódź znacznie zwolniła i w jednej chwili wróciła do normalnego poziomu.

– Wybaczcie mi państwo, ale to taka moja tradycja. Kogokolwiek zapraszam na łódkę, zawsze musi przejść chrzest bojowy – wykrztusił, wciąż nie przestając się śmiać.

– Czyli...?

– Tej żaglówki prawie nie da się przewrócić. Już gorsze wiatry przeżywała.

– W życiu nie uwierzę, że pan nad tym panował! Nie ma siły! – wydyszał Tomek i usiadł już normalnie. Serce waliło mu jak młotem.

– Mogę pokazać jeszcze raz...

– Oj nie! Już! Przeszliśmy chrzest! Dość! – weszła mu szybko w słowo Karolina. W niej także jeszcze buzowała adrenalina.

– Gość w żaglówce, Bóg w żaglówce. Zgodnie z życzeniem – odparł i znowu się zaśmiał.

Dziewczyna wróciła na swoje miejsce naprzeciw Tomka.

– Jak się pan tak pewnie czuje na tym jeziorze, to może opowiedziałby pan nam coś o nim?

– To znaczy?

– No na przykład jakieś związane z nim legendy. Na pewno są jakieś.

– Ano są... – Pan Andrzej wyrównał kurs i teraz sunęli już prosto i stabilnie przez środek jeziora w kierunku będącego w sporej odległości przeciwległego brzegu. Wiatr mierzwił łagodnie ogniste włosy dziewczyny, które powiewały teraz za nią jak chorągiewka.

– Najciekawsza jest chyba o siei.

– Siei?

– Siei, takiej rybie, która tu występuje, a według legendy nie zawsze tak było. Gdy w te okolice sprowadzili się kameduli, był między nimi braciszek o imieniu Barnaba, który odgrywał w zakonie rolę kucharza. Podchodził do swoich obowiązków bardzo sumiennie i zawsze starał się, by obiad – szczególnie dla przeora – był wymyślny. Zawsze stawał też przed niemałym wyzwaniem, bo ten lubił sobie pojeść, a szczególnie upodobał

sobie ryby. I to nie nasze polskie, a najlepiej ze swojego rodzinnego kraju, czyli z Włoch. Któregoś razu przeor przechodził koło kuchni i spotkawszy Barnabę, zapytał go, co poda jutro na obiad. Ten mu odpowiedział, że rybę. Przeor dopytywał się, o jaką konkretnie chodzi, a gdy biedny Barnaba wymienił mu wszystkie rodzaje ryb, jakie tylko występują w Wigrach, pokręcił głową i powiedział, że najchętniej to zjadłby się. Powiedział to dla żartu, ale Barnaba tak się przejął, że nie mógł przestać o tym myśleć. W środku nocy, gdy wszyscy już dawno spali, powiedział do siebie, że poprosiłby nawet diabła o pomoc, byleby móc podać jutro sięję na stół. Jak się domyślacie – na efekty nie trzeba było długo czekać. Diabeł pojawił się niemal natychmiast i podsunął mu pod nos cyrograf. Transakcja była prosta: dusza Barnaby, a w zamian za to sieja podczas jutrzejszego obiadu. Zakonnik już wiedział, że niczym dobrym się to nie skończy, ale próbował się jakoś bronić, więc na oczekaniu przyszedł mu do głowy pewien pomysł i przedstawił swoje warunki. Mianowicie – sieja ma być żywa jak z wody, a co więcej, ma pojawić się na kuchennym stole jeszcze przed świtem. Inaczej – umowa staje się nieważna. Diabeł trochę pomarudził na pokaz, ale ostatecznie się zgodził, bo też tak naprawdę nie był to dla niego żaden problem. Barnaba liczył, że tamten nie wróci do momentu, w którym to w klasztorze będą dzwonić na jutrznię, bo też od wtedy właśnie złe duchy nie miały już żadnej możliwości porwania jego duszy. Niestety, ledwo diabeł wyleciał przez okno w kierunku Włoch, skąd miał przynieść rybę, to już po sekundzie nie było go widać – taki był szybki. Barnaba przestraszył się wtedy nie na żarty. Do świtu pozostała jeszcze dobra godzina, więc wyglądało na to, że jednak nie ma już dla niego żadnego ratunku. Zaczął więc rozpaczać i głośno płakać. Usłyszał to przeor i przyszedł do jego celi. Gdy dowiedział się, co się stało, na początku zwymyślał nieszczęsnego braciszka, że za taką błażostkę dał sobie odebrać duszę, ale w głębi zrobiło mu się go tak naprawdę niesamowicie żal. Miał też wyrzuty sumienia, bo przecież cały ten ambaras wyniknął niejako przez niego. Opuściwszy pokój Barnaby, chodził niespokojnie po korytarzach, rozmyślając przy tym, jak można tę beznadziejną sytuację rozwiązać. Tak pogrążony w myślach dotarł aż do klasztornej wieży. Stamtąd spojrzął na jezioro i zobaczył przerażający widok, bo oto diabeł leciał tuż nad samą wodą i trzymał rybę pazurami, by mu nie uciekła. Zszokowany przeor wiedział już, że to koniec. Nagle jednak coś szepnęło mu w ucho, by złapał

za sznur od dzwonów i ciągnął go z całej siły.

Nie zastanawiał się nawet chwili i natychmiast wykonał polecenie Anioła Stróża Barnaby, który jak się okazało, chodził za nim przez cały czas. Już po chwili w klasztorze zaczęło się zwykłe, codzienne poranne krzątanie, bo zakonnicy, nie zdając sobie nawet sprawy, że jest trochę wcześniej niż zazwyczaj, biegli na jutrznię. Barnaba zaś padł w swojej celi na twarz i dziękował Bogu za ratunek. Gdy diabeł usłyszał, że dzwonią na poranną mszę, strasznie się zdenerwował, ale też nic innego mu już nie pozostało, bo teraz do klasztoru nie miał już wstępu. Zawrócił i będąc z powrotem nad jeziorem, cisnął do niego rybę. Od tamtej pory w Wigrach występują sieje. Co więcej – poleciał na jedną wyspę i ze złości tupnął mocno w pewien głaz, zostawiając na nim odcisk swojej stopy. Od tego nazwano tamtą wyspę „Kamieniem” i... właśnie do niej płyniemy – zakończył niespodziewanie pan Andrzej. Wciągnięci w jego opowieść z początku nie odebrali znaczenia ostatniego zdania.

– Naprawdę na tej wyspie jest ten kamień z odciskiem stopy?

– Naprawdę. Sami państwo zobaczycie.

Karolina poczuła się nagle... dziwnie.

Po kilkunastu minutach dopłynęli do gęsto zarośniętej wysepki. Jako że już w pewnej odległości od jej brzegu było bardzo płytko, Rogucki wyciągnął służący do zachowania stabilności łódki miecz, po czym wyskoczył z niej, nic sobie nie robiąc z zimnej wody, którą sięgała mu mniej więcej do połowy ud. Chwyciwszy cumę, z zaskakującą jak na jego warunki fizyczne siłą zręcznie przyciągnął kadłub najbliższej wyspy, jak tylko się dało, a na samym końcu przywiązał linę do jednego z przybrzeżnych drzew.

– Ostrożnie, bo dno może być tu trochę ostre. Nie skaleczcie się państwo – powiedział, gdy zbierali się do wysiadania. Kontrastująca z ciepłym powietrzem woda była tak lodowata, że obydwójce ze swoimi butami w dłoniach dotarli do stałego lądu prawie że biegiem.

– Za mną – poleciał pan Andrzej i ruszył skromną ścieżką w kierunku zalesionego wzgórza. Dotarcie na jego szczyt zajęło im jakieś dwie minuty. Zastali tam kolejną małą polankę.

– To tutaj.

Tomek od początku wypatrywał rzeczoności kamienia, a jak się okazało, był nim niepozorny głaz, który znajdował się bardzo blisko linii drzew.

– To co? Sprawdzamy, do kogo pasuje? Ja pierwszy. – Pan Andrzej się zaśmiał. Istotnie, na głazie znajdowało się tworzące pewną nieregularność lekkie wgniecenie z małym uskokiem, którego linia mogła – choć nie musiała – kojarzyć się ze śladem po szponiastej stopie... Mężczyzna postawił nogę w odpowiednim miejscu, ale wyraźnie nie pasowała.

– Teraz pan, panie Tomaszu.

Chłopak także dał się wciągnąć w tę zabawę i zgodnie z poleceniem położył stopę na głazie. Jako że miał ją jeszcze większą niż Rogucki, już wcześniej wiedział, że również i jego odcisk nie okaże się identyczny z diabelskim.

– No to teraz uwaga. Ostatnia szansa. Teraz pani.

Stopa Karoliny... wpasowała się idealnie. Łącznie z jej drobnymi palcami, które perfekcyjnie pokryły się z odpowiadającymi czarcim pazurom wcięciami...

– Wiedziałem! Którejkolwiek kobiecie to pokażę, zawsze pasuje. Coś w tym, Holender, musi być! – Pan Andrzej zaniósł się głośnym rechotem, a Tomek, który coraz bardziej zaczynał go lubić, zawtórował mu.

Karolinie nie było jednak do śmiechu...

Wiedziała, że to żarty, a jej reakcja jest najzwyczajniej w świecie głupia, ale...

Nie...

Nie w obliczu tych wszystkich wydarzeń i myśli, które nawiedzały ją podczas ostatnich dni. Nie... Zdecydowanie ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, było skojarzenie jej osoby z szatanem, nawet jeżeli był tylko bohaterem miejscowej legendy... Podczas gdy jej towarzysze nie przestawali się śmiać, ona – wciąż milcząc – nie wysiliła się nawet na wymuszony uśmiech.

W końcu pan Andrzej zarządził powrót do żaglówki. Dopiero gdy ostatecznie odbili od brzegu, zapytał:

– Coś się stało, pani Karolino? Przepraszam, jeżeli uraziłem. To były tylko żarty.

– Nie, nic...

– Przecież widzę. Proszę się nie krępować. Jesteście państwo moimi gośćmi.

– Karolina jest bardzo wierząca i jeżeli miałbym zgadywać, to dlatego – palnął Tomek.

„Dzięki, kurwa”.

– Ach, rozumiem. Przepraszam w takim razie. Mój nietakt.

– Nie, nie o to chodzi, po prostu...

„A może i o to?”

– A mogę zapytać, jaki jest pana stosunek do wiary, panie Andrzeju? – Wawrentowicz poczuł nagle dziwny przypływ chęci do dyskusji, tym bardziej że miał przed sobą ewentualnego godnego przeciwnika. A poza tym naprawdę go to ciekawiło. Co na ten temat mógł sądzić tak inteligentny gość jak on.

Nim mężczyzna odpowiedział na pytanie Tomka, po raz kolejny odbił żaglówką w drugą stronę, by znowu zejść z drogi innej łódce z naprzeciwka.

– Powiem szczerze, od pewnego czasu nie zawracam sobie tym głowy. Chyba najbliższa mi jest postawa agnostyczna, czyli „wiem, że się nie dowiem”. Nie zastanawiałem się nad tym od dawna. Krótko mówiąc: nie ma Boga w moim życiu, ale nie wykluczam, że istnieje. Nie mnie to rozstrzygać.

– Z całym szacunkiem, panie Andrzeju, ale agnostycyzm to wbrew pozorom jest określenie się przeciwko istnieniu Boga. – Karolina wciągnęła się w rozmowę. Skoro się już zaczęła...

– Konkretnie?

– Bo według pana Bóg może istnieje, może nie, ale gdyby rzeczywiście dopuszczał pan do siebie jego istnienie, to przejąłby się pan, że wiara i zachowywanie jego przykazań to jeden z podstawowych warunków, jakie postawił ludziom. Na pewno słyszał pan o zakładzie Pascala.

– Tak, słyszałem – odparł uprzejmie, w czasie gdy Tomek ostentacyjnie westchnął.

– A pan, panie Tomaszu?

– Ja nie wierzę. Jawnie to przyznaję i się tego nie wstydzę.

– Tym większy mój podziw, że mimo to zdecydowali się państwo na związek. Na pewno nie jest to łatwe.

– Istotnie... Nie jest – mruknęła Karolina. Była to oczywiście prawda, bo wielokrotnie dawniej w swoich tradycyjnych rozmyślaniach nie unikała zamartwiania się o jej i Tomka przyszłość. Przyszłość w kontekście różnic w poglądach na tak kluczowy temat jak wiara.

Ślub kościelny?



Dzieci?

Chrzest?

Pierwsza komunia?

Choć poświęciła na tego typu rozważania chyba z połowę swojego życia, zawsze kończyły się one jednak tym samym – wygodnym przesunięciem ich w czasie i postanowieniem o powrocie do nich w przyszłości.

– Żeby jednak uczynić to wszystko jasnym, pani Karolino, w pełni szanuję ludzi wierzących i ich poglądy. Uważam, że każdy ma prawo do pewnych przekonań. Dla wszystkich na tym świecie znajdzie się miejsce.

– Szkoda tylko, że chrześcijanie w większości tak nie myślą...

– Ateiści też, panie Tomaszu. – Pan Andrzej się uśmiechnął. – Powiem nawet więcej, o ile postawę chrześcijan, w której próbują nawracać innych, można jeszcze jakoś wyjaśnić, bo taka jest w końcu jedna, że się tak wyrażę, z wytycznych ich wiary, o tyle zatwardziałyach ateistów nie do końca rozumiem. Jaki mają cel w tym, by tak ciągle atakować wierzących?

– Taki, by wreszcie wyszli z drewnianych chatk i zobaczyli, że żyjemy w XXI wieku. By zaczęli samodzielnie myśleć, a nie być ślepo posłusznymi pismu napisanemu przez innych ludzi.

– Jeżeli chcą żyć w drewnianych chatkach, to niech żyją. Póki nie robią nikomu krzywdy, chyba nie jest to nic złego. – Rogucki w dalszym ciągu był oazą spokoju.

– Ale to pójdzie na łatwiznę. Zamiast próbować choćby trochę analizować otaczającą ich rzeczywistość samodzielnie i na tej podstawie wybierać to, co najlepsze, wygodnie idzie się do Biblii i bach: problem rozwiązany. I tak w kółko.

– Ale czy to naprawdę coś złego?

– Niby nie, ale ludzie robią sobie przez to zwyczajnie krzywdę. A do tego nie dopuszczają do siebie, że tak jak każdym tekstem, również tym można było przez wieki bardzo prosto manipulować. Przekazywać, dodawać coś od siebie wedle uznania i wreszcie tłumaczyć.

– Sądzi pan, że Biblia w obecnym kształcie namawia ludzi do złych rzeczy?

– Obecnie pewnie nie. Nie wiem, nie czytałem jej w całości. Ale słyszałem za to i nawet trochę zgłębiałem temat, że wiele niewygodnych wersów z niej usunięto. W imię polityki. Na przykład relacje Jezusa

z kobietami.

– Ponawiam w takim razie pytanie: skoro nie namawia do niczego złego, to co jest z kolei złe w tym, że jacyś ludzie chcą opierać na niej swoje życie? – zapytał pan Andrzej z uśmiechem.

– Na przykład ta hipokryzja w niej zawarta. Weźmy chociażby to podstawowe założenie o wolnej woli człowieka. Sam Bóg o tym mówi, a chrześcijanie jakoś tego nie przestrzegają. Jako człowiek powinienem mieć wolną wolę co do tego, czy wierzę, czy nie. A nie sądzi pan, że to dziwne, że ktoś odgórnie ustalił, że Polska ma być krajem chrześcijańskim i zawarł to nawet w preambule konstytucji? Na pierwszy rzut oka nie wpływa to tak bardzo na nasze życie, ale tylko pozornie.

– Pan dzięki temu ma kilka wolnych dni w roku.

– Tak, ale na przykład nie mogę pójść wtedy do sklepu, bo według prawa muszą być zamknięte, bo jest święto. Albo ulice są zablokowane, bo akurat trwa jakaś procesja. Czy to nie jest decydowanie za niewierzących? Według mnie powinien być wolny wybór. Jeżeli ktoś chce pracować w święta – a na pewno się tacy znajdą – to niech pracuje.

– Trudno się z panem nie zgodzić.

– Poza tym kolejna sprawa to autorytet. Kościół pełni też w dzisiejszych czasach funkcję edukacyjną. Ma umoralniać, zachęcać ludzi do filozoficznych refleksji. Pytam się w takim razie: jakim autorytetem może być dla mnie facet reprezentujący instytucję, którą trawią afery takie jak ta wszechobecna pedofilia u księży? Jeżeli chcą nawracać ludzi, to niech zaczną od siebie.

– Cóż, ma pan rację, ale po pierwsze nie zapominajmy, że wciąż są to tylko ludzie, a po drugie problem z aferami w Kościele jest taki, że nagłaśniane są wyłącznie dlatego, że dotyczą Kościoła, czyli instytucji, od której na jej nieszczęście wymagamy swego rodzaju nieskazitelności. Czy wie pan, że praktycznie dowolna grupa społeczna posiada większy odsetek pedofilów niż duchowni?

– I co z tego?

– Co prawda nie znam jeszcze pana za dobrze, ale na pewno są jacyś ludzie, którzy są dla pana autorytetami. Bez względu na to, kim oni są, mogę się założyć, że reprezentuje ich mimo wszystko większe grono lajdaków niż to od Kościoła. A mimo to w dalszym ciągu są dla pana autorytetami. Widzę więc tu pewną niekonsekwencję.

Karolina, która z początku myślała, że będzie toczyć w tej rozmowie nierówną walkę jednej przeciwko dwóm, teraz z niemałą wewnętrzną satysfakcją obserwowała swojego lekko wytrąconego z rytmu chłopaka.

– Mało tego, panie Tomaszu, pan nie rozumie jednej podstawowej rzeczy i myślę, że pani Karolina się ze mną zgodzi. Ludzie, którzy chodzą do kościoła, nie chodzą tam dla jakiegoś klechy albo żeby rzucić na tacę. Oni chodzą tam spotkać się z Bogiem, w którego wierzą. Cała reszta to tylko otoczka, której mogłoby dla nich nawet nie być.

– Mogłoby nie być, a mimo to z jakiegoś powodu jest.

– Nie da się ukryć i zgodzę się z panem, że istnieją pewne mroczne tajemnice Kościoła, ale bądźmy szczerzy, jaka instytucja ich nie ma? To, że media o czymś nie mówią, nie znaczy wcale, że to coś nie istnieje.

– Dobrze, ale mówimy cały czas o instytucji, która opiera się na domysłach, bez jakiegokolwiek dowodu, że jej istnienie ma jakikolwiek sens.

– Skoro ludzie jej potrzebują, to znaczy, że jest taki sens – powiedziała Karolina.

– Dlatego właśnie trzeba ich uświadamiać, że takiego sensu nie ma. Jest to marnotrawienie publicznych pieniędzy, czyli też moich. I pana. I twoich.

– Ja nie uważam, by moje były marnowane...

– Dobra, no to są marnowane moje!

– A tak wchodząc głębiej w wątek z dowodami, który pan poruszył, dla niektórych takimi dowodami są cuda.

– Takie jak wizerunek Chrystusa na grzance?

– Oj, niech pan nie udaje. Przecież udokumentowano bardzo wiele niewyjaśnionych rzeczy związanych z wiarą chrześcijańską i to o wiele poważniejszych niż grzanki. Nawet ja muszę to przyznać. Uzdrowienia, objawienia...

– Kiedyś pewne oczywiste dzisiaj rzeczy też były niewyjaśnione – przerwał mu Tomek swoją zgraną śpiewką. – W miarę rozwoju nauki obali się również i mity związane z tymi rzekomymi cudami. Albo po prostu znajdzie się odpowiednie, normalne, wytłumaczalne w danym przyszłym poziomie wiedzy wyjaśnienie. Może nawet zbada się tak abstrakcyjne kwestie jak życie pozagrobowe i niewykluczone, że te badania przyniosą nawet jakieś rezultaty. Jeżeli o to chodzi, to jesteśmy wciąż na początku. A przecież już w wielu przypadkach nauka nokautowała Biblię. Na

przykład już przecież dawno temu obalono to, że świat w obecnym kształcie powstał tak, jak jest to opisane w Biblii. Nie powstał w siedem dni, a potrzebował kilku miliardów lat. Są na to dowody. Słowo klucz.

– Klucz w słowie „wiara” to również jego znaczenie. „Wierzymy w coś”, a to coś zupełnie innego niż „wiemy”. Jeżeli znajdziesz na coś jakikolwiek dowód, to już nie wierzysz, a po prostu wiesz. To duża różnica.

– Karolina dalej brnęła w tę dyskusję, choć już dawno przemielili ją z Tomkiem na wszystkie możliwe sposoby. Wiele razy obiecywali sobie również, że nie będą się już na ten temat spierać, ale jak widać, zawsze ten ostatni raz okazywał się co najmniej przedostatnim.

– Proszę cię, naprawdę wierzysz, że świat powstał w siedem dni, a pierwszymi i jedynymi ludźmi na Ziemi byli ci mityczni Adam i Ewa? Wiesz, co by to oznaczało? Że wszyscy ludzie na świecie są owocem jednego wielkiego związku kazirodczego.

– Rozmawiałam kiedyś o tym z jednym księdzem i powiedział mi, z czym się zgadzam, że pierwsze wersy Biblii należy traktować symbolicznie. Ich główny przekaz jest taki, że Bóg stworzył świat i to, co stworzył, było dobre. Potrzebował kilku etapów. Czemu więc nie rozumieć na przykład tych sześciu, siedmiu dni jako kolejnych miliardów lat, które minęły od stworzenia świata?

Tomek prychnął.

– Zdajesz sobie sprawę, że to, delikatnie mówiąc, mocno przesadzona interpretacja? Czemu zatem, idąc tym tokiem rozumowania, nie przyjąć, że zmartwychwstanie Chrystusa to także pewna symbolika, a nie historyczny fakt? Nie przeczę, jako postać literacka Jezus to spoko gość. Nie mówię też, że nie zgadzam się z większością rzeczy, które przekazywał, bo się zgadzam. Ale nie dorabiamy do tego ideologii, bo w żadnym wypadku nie jest to tego warte. Historia świata zna wiele mitów. Dlaczego nie wierzymy w greckie, a z jakiegoś powodu wierzymy w żydowskie?

– A mnie zastanawia jedno, panie Tomaszu, co musiałyby się stać, by uwierzył pan, że Bóg istnieje, i naprawdę zaczął oddawać mu cześć? – zapytał niespodziewanie pan Andrzej.

– Jeżeli zobaczę na to konkretny dowód, to uwierzę.

– Zbyt ogólnikowo. Pytałem o konkrety. Co rozumie pan przez konkretny dowód? Może się mylę, ale wydaje mi się, że nawet gdyby tu i teraz ukazał się nam nad wodą Anioł Stróż braciszka Barnaby

i oświadczył panu, że jego szef naprawdę istnieje, to i tak miałyby pan wątpliwości.

Tomek zamilkł. Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiał... A najgorsze było to, że z tym przykładem z Aniołem Stróżem Rogucki miał chyba rację. Po czymś takim prędzej dałby się zamknąć w psychiatryku, niż miał otwarcie przyznać, że wydarzyło się naprawdę.

– Przyznam, zażył mnie pan teraz. Nie wiem. Ale wiem za to, że nie mam po co rozważać pana pytania, ponieważ istnieją ewidentne dowody na to, że Boga nie ma.

– Słucham zatem.

– Dlaczego na świecie cierpią ludzie, którzy nigdy na to nie zasłużyli? Pomimo tego, że się modlą? Miłosierny Bóg nie zostawia ponoć swoich dzieci. „Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze”. Nie widzę tego. A to tylko jedna z nieścisłości w Biblii.

– Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie przecież. To nie Bóg wyrządza krzywdy tym ludziom, a inni ludzie. Na tym polega, niestety, wolna wola – powiedziała Karolina. Na początku chciał ją zignorować, ale było to silniejsze od niego.

– Wskaż mi zatem, kto ze swojej wolnej woli przyczynił się do mojej choroby, bym mógł go znaleźć i ukrećić mu łeb – wycedził. Dziewczyna odwróciła wzrok. Jak zwykle wytoczył swój sztandarowy argument. Kara od losu, jaka spotkała go w dzieciństwie, a więc okresie, kiedy nawet jeszcze nie zdążył w życiu za wiele nabroić.

Tomek patrzył się na nią teraz z zawziętym wzrokiem. Niemal słyszała jego gorzkie myśli. „Jaki Bóg pozwoliłby na coś takiego?! No powiedz?!” Nie miała już siły z nim dyskutować. Tak, na pewno twoja cukrzyca to wina Boga...

– Wbrew pozorom, panie Tomaszu, tu można tego, jak pan twierdzi, okrutnego Boga trochę usprawiedliwić. W końcu w myśl jego zasad życie doczesne się nie liczy, a ważniejsze jest to, co będzie po nim. Można więc powiedzieć, że mamy tu jednak pewną logiczną konsekwencję. Można żyć te kilkadziesiąt lat w cierpieniu, a potem całą wieczność w radości lub odwrotnie. Oczywiście, że najlepiej by było, jakby oba te etapy były cudowne, ale podejrzewam, że niewielu ludziom się to tak naprawdę udaje. No i oczywiście, podkreślam jeszcze raz, mówię tylko hipotetycznie, bo nie wiem, czy istnieje coś takiego jak niebo albo piekło. Mówię z punktu

widzenia chrześcijanina.

– A ja tego nie kupuję. Zresztą opiera się pan teraz na Piśmie Świętym, więc znowu wracamy do punktu wyjścia. Skoro przyjmować wszystko, co jest tam napisane, za głęboką prawdę objawioną, to z drugiej strony wynika z niego na przykład, że Bóg w Starym Testamencie był okrutny i porywczy, *vide* historia z Noem. Nie był więc taki nieskazitelny, co jest zaprzeczeniem jego doskonałości. Podstawowym problemem chrześcijan jest to, że ślepo wierzą w pismo, które zostało przecież napisane czyjąś ludzką ręką! Strach pomyśleć, co byłoby, gdyby Pismo Święte namawiało ludzi do jihu przeciwko niewiernym. Nie można wszystkiego usprawiedliwiać Pismem. Trzeba mieć swój rozum. Co jak co, ale jedno ateistom trzeba oddać – oni przynajmniej nikogo nie zamordują tylko dlatego, że wierzy. Patrzą trzeźwo na świat, bez zaślepienia fanatyzmem.

– A chrześcijanie mordują niewiernych? – zapytała kpiąco Karolina. Spojrzał na nią z politowaniem i już miał odpowiedzieć, kiedy pan Andrzej wszedł mu w słowo:

– Teraz może i nie, ale panu Tomkowi, jak mniemam, chodziło o dość zamierzchłe czasy krucjat. Pani Karolino, czy zdaje sobie pani sprawę, ilu ludzi wymordowano w trakcie wypraw krzyżowych pod pretekstem nawracania? Nawet tutaj, na Suwalszczyźnie? Jasne, teraz takie praktyki się nie zdarzają i chwala za to współczesnym chrześcijanom, ale nie da się ukryć, że była to czarna karta w historii wiary chrześcijańskiej.

– Nie mówię, że to dobrze, ale w pewien sposób wyrównano rachunki, bo na początku to przecież chrześcijanie byli prześladowani przez Żydów i pogan. Sam pan mówił, że nie można postrzegać żadnej grupy społecznej przez pryzmat kilku fanatycznych oszołomów.

– Oj, chyba było ich więcej niż kilku... – Uśmiechnął się.

– Wie pan, o co mi chodzi.

– Tyczy się to właściwie każdej religii. Każda religia jest złem i głupotą. Ludzie będą za nią ginąć i zabijać, i będzie z tym tylko gorzej. Nie da się inaczej, bo na tym właśnie polega ta polityka. A tak w ogóle, i mówię to z niemałą satysfakcją, z całej tej dyskusji wysnuwa się tylko jeden wniosek: w miarę nieskazitelny wizerunek jako jedyni w całej tej zabawie mają ateści. Koniec. Kropka. Nic nam nie możecie zarzucić poza tym, że od czasu do czasu trochę się z was pośmiejemy, względnie pokrzyczymy – przemówił Tomek.

– Ta... – Karolina miała już szczerze dosyć tej rozmowy.

– To, że ktoś jest ateistą, nie oznacza od razu, że jest złym człowiekiem. Można być dobrym, ale nie wierzyć. A co więcej, mieć weselsze życie. Ateiści nie muszą nakładać na siebie jakichś chorych, ustalonych odgórnie ograniczeń. Hamować się tylko dlatego, że gdzieś jest tak napisane. Traktować czegoś jak największą świętość, choć to nie jest tego warte. Powiedziałbym wręcz, że przez to wiara to największa słabość wierzących. Jakby byli spętani niewidzialnymi kajdanami. Czasem muszą odmawiać sobie przyjemności na rzecz niby wyższych idei. A to przecież prawie jak masochizm. A po co uprawiać masochizm na siłę?

– Po to, by być w zgodzie ze sobą. Jesteś tylko człowiekiem i musisz na czymś opierać swój kodeks moralny.

– No więc ja jestem w zgodzie ze sobą w inny sposób niż ty. Mój kodeks moralny...

– A spinając w końcu tę rozmowę kłamrą, proponuję żyć szczęśliwie i dać tak samo żyć innym – przerwał mu pan Andrzej, za co Karolina była mu bardzo wdzięczna. Zresztą i tak dyskusja ta zakończyła się identycznym wnioskiem jak we wszystkich dotychczasowych rozmowach między nią a Tomkiem na ten temat. Co do jednej.

– Otóż to. *Peace*. – Wawrentowicz po raz kolejny uniósł puszkę, po czym ostatnim łykiem opróżnił ją już do końca.

Wszyscy troje zgodnie uznali, że nie ma sensu dłużej tego ciągnąć, tym bardziej że zupełnie przypadkowo spotkały się ze sobą trzy różne „opcje polityczne”. Aby więc nie psuć sobie tego pięknego (choć z rychłą ulewą w perspektywie, o czym świadczyły nadciągające nad jezioro ciężkie burzowe chmury) popołudnia, bez słów zgodzili się ze sobą, że na dziś wystarczy. Dalsze żeglowanie wypełnił im więc już tylko klimatyczny szum wiatru i jeziora, sporadycznie od czasu do czasu przerywany jedynie przez ich krótkie, zdawkowe dialogi o niczym.

Ani się obejrzeli, a zaczynało powoli zmierzchać. Karolina za późno zreflektowała się, że raczej i tego dnia nie weźmie udziału w wieczornej liturgii. Byli właśnie po przeciwnej stronie jeziora od tej, gdzie zostawili samochód. Nie zdążyłaby więc już nawet na nabożeństwo w klasztorze. Oprócz tego pan Andrzej zaprosił ich do swojego domku letniskowego na kolację. Nie wypadało odmówić.

Jako że jego rzeczona mała posiadłość znajdowała się bardzo niedaleko,

już niedługo potem dobili do pomostu na jego prywatnej plaży i sprawdzwszy, czy zabrali z łódki wszystkie rzeczy, ruszyli za nim po zadbanym trawniku lekko pod górkę. Już sam wygląd jego letniej rezydencji świadczył o tym, że jej właściciel to majątna osoba, a całości tego efektu dopełniało nowiutkie wyścigowe, czarne bmw, które stało obok niej.

– Rozgośćcie się. – Pan Andrzej otworzył drzwi i zaprosił ich do środka. – Tylko jakbym mógł jeszcze prosić, byście przed wejściem zdejmowali państwo buty. Takie moje pedantyczne zboczenie – dodał uprzejmie. Posłuchali go i dopiero po tym weszli głębiej.

Był to bardzo przytulny, mały, wyłożony świeżą boazerią drewniany dom. Tuż na prawo od wejścia znajdowały się drzwi do łazienki, a na wprost duża izba, którą barek dzielił na salon z nowymi, skórzanymi meblami i kominkiem oraz na wykafelkowaną kuchnię. Po lewej zaś stronie – prowadzące na piętro schody, ze służącą najwyraźniej za mały składzik kanciapą pod nimi. Sypialnie w takim razie chyba znajdowały się na górze, gdyż na parterze nie zauważyli pokoju o takim przeznaczeniu.

– Proponuję korzystać jeszcze z pogody i zjeść na zewnątrz. Co państwo na to?

– Jasne.

– Zapraszam zatem na werandę. Za chwilę przyniosę jedzenie.

– Może w czymś panu pomóc?

– Dziękuję, będzie bardzo miło, jeżeli przygotujecie państwo stół.

– Robi się.

Po chwili siedzieli już we trójkę przy suto zastawionym stole, co prawda nie aż tak, jak podczas pamiętnego śniadania u Prusów w Wielki Czwartek, ale teraz też w żadnym wypadku nie mogli narzekać. Nawet Tomek, który przecież przez cały dzień nic nie jadł, zaraz po wstrzyknięciu sobie zabranej na żaglówkę insuliny poczuł nagle dotkliwy głód. Zasoby na stole były jednak na tyle okazałe, że bynajmniej nie musiał się ograniczać.

Przy zajmującej rozmowie czas minął im bardzo szybko, więc gdy skończyli kolację, była już noc. Przyjemny chłód wieczoru przerywany był przez silne podmuchy ciepłego wiatru, który z każdą sekundą coraz bardziej przyciągał nad Wigry ciemne chmury. Coraz głośniejsze były też złowrogie, świadczące o nadchodzącej burzy grzmoty.

Karolina, która straciła poczucie czasu, zdała sobie nagle sprawę, że jest



już dosyć późno, a od samochodu dzieli ich przecież dobrych kilka kilometrów.

– Panie Andrzeju, odwiezie nas pan pod klasztor? Myślę, że dość się już u pana zasiedzieliśmy.

– Absolutnie nie czuję, aby moja gościnność była przez państwa jakkolwiek nadużywana. – Uśmiechnął się. – Oczywiście, podwiozę – dodał.

Pomogli mu sprzątnąć ze stołu, na którym obrus był wciąż intensywnie targany przez wiatr. Gdy nieśli ostatnie talerze, blaszany dach domku zaczął hałasować pod ogromną liczbą kropel deszczu. Atakująca Wigry ulewa nie cackała się i od razu wytoczyła najcięższe działa. Błyskawice z towarzyszącymi im grzmotami raz za razem rozbłyskiwały nad niespokojną teraz taflą jeziora i powodowały dodatkowo, że światła w domu pana Andrzeja zaczęły lekko mrugać. Jako że motyw ten nie kojarzył się Karolinie zbyt przyjemnie, uznała to za wystarczająco wyraźny znak, że już najwyższa pora na powrót do Białodębów.

Mimo że do samochodu mieli bardzo blisko, gospodarz i tak wręczył im parasole, by choć odrobinę ochronić ich przed atakującym ze wszystkich stron żywiołem. Niewiele jednak pomagały, gdyż ten miał silnego sojusznika w postaci wiatru, więc już po kilku sekundach od wyjścia z domu wszyscy troje byli zupełnie mokrzy.

Karolina z niemałą ulgą znalazła się w końcu w suchym wnętrzu wspaniałego auta Roguckiego. Odpalił je i wrzucił wsteczny.

– Kurczę...

Deszcz, choć krótkotrwały, zdążył zamienić już podwórko w jedno wielkie błotniste bajoro. Koła ślizgały się po trawniku, dotkliwie go niszcząc, po czym samochód zgasł. Pan Andrzej spróbował jeszcze raz, teraz starając się ruszyć nieco bardziej delikatnie. Niestety, nic to nie pomogło.

– Może popchamy? – zaproponował Tomek.

– Chyba będziemy musieli tak zrobić. Kurczę, tak czułem, żeby kupić terenówkę...

Wawrentowicz wysiadł i odpychając się nogami od ściany domu, napał całym ciałem na maskę samochodu. W międzyczasie pan Andrzej znowu spróbował ruszyć na wstecznym i z pomocą chłopaka tym razem mu się to udało. Jeden problem został więc rozwiązany. Niestety, pojawił się kolejny,

niedużo poważniejszy. Niezależnie od działań kierowcy bmw zaczęło bowiem zjeżdżać tyłem, jak na płozach sanek po regularnym spadku terenu, który zaczynał się od bramy na posesję, a kończył...

Na jeziorze.

– Stop, stop! – zawołał Tomek, choć w dopełnionym grzmotami szumie burzy i tak nie było go słychać.

Zanim auto wpadło w stojącą pod płotem i wypełnioną drewnem do kominka altanę, szczęśliwie udało się panu Andrzejowi je zatrzymać. Tym razem wrzucił jedynkę i znowu spróbował ruszyć. Koła w dalszym ciągu ślizgały się jednak po błocie, nie pozwalając samochodowi posunąć się naprzód choćby o centymetr. Podjął więc jeszcze jedną próbę z ostatnią nadzieją, jaką było usiłowanie ruszenia z dwójki. Niestety, wciąż bez skutku.

Zgasił auto.

– Wygląda na to, że z wielką radością zaoferuję państwu nocleg u siebie. – Odwrócił się do Karoliny, która siedziała na tylnym siedzeniu. Deszcz bębnił potężnie o blachę, więc jego głos był średnio słyszalny. Dziewczyna nie mogła być więc za bardzo pewna tonu, z jakim to powiedział. Co więcej, w ciemności nie widziała nawet wyrazu jego twarzy.

– Przepraszam. To też trochę nasza wina. Zasiadzieliśmy się...

– Pani Karolino! Proszę nawet tak nie mówić! Zresztą naprawdę to nie jest dla mnie problem. Naprawdę miło mi będzie mieć towarzystwo.

– Skoro pan tak mówi... Dziękujemy.

„A niby co innego miałyby mówić?!”

Otworzyli drzwi w tym samym momencie, w którym przemoczony do suchej nitki Tomek podbiegał do samochodu.

– Nocujemy tu! – zawołała Karolina.

– Co? – Pomimo że stała tuż przy nim, nie dosłyszał.

– Nocujemy!

– Nie słyszę!

– Potem ci powiem! – Wzięła go za ramię i zaczęła ciągnąć z powrotem do domu, więc już po chwili zrozumiał, o co jej chodzi. Rogucki zamknął samochód i przeskakując umiejętnie nad co większymi sunącymi teraz przez jego trawnik strumieniami wody, dołączył do nich, gdy byli już w sieni.

– Pan Andrzej był tak miły, że zaoferował nam nocleg – powiedziała Karolina, kiedy wilk, o którym była mowa, zamknął za sobą drzwi i była wreszcie względnie słyszalna.

– W tej sytuacji niegłupi pomysł. Dziękujemy.

– Nie ma za co. Zaraz przygotuję wam pokój na górze.

– Nie trzeba... Naprawdę... Proszę się nie fatygować. I tak nam głupio...

– Pani Karolino... – Uśmiechnął się szczerze, ale i tak można już było wyczuć w jego głosie lekkie zniecierpliwienie. Podziwiała go za tę siłę spokoju. Sama miała o sobie taką opinię, że z drugą taką Karoliną Górską na bank by nie wytrzymała.

– Dobrze, już nic nie mówię.

Kiedy Rogucki poszedł na piętro, próbowała zadzwonić z komórki do Białodębów. Niestety, albo tradycyjnie znajdowali się w miejscu, gdzie nie było zasięgu, albo ten został skutecznie ograniczony przez burzę. Tak czy inaczej – Karolina miała nadzieję, że za tę niezapowiedzianą, jednonocną dezercję Prusowie nie będą się zbyt gniewać.

Po chwili pan Andrzej wrócił i zaprosił ich na piętro. Karolina jęknęła w duchu, gdy dotarłszy do przestronnej, schludnej sypialni na końcu korytarza, zobaczyła na łóżku świeżutką, ledwo co wymaglowaną pościel, ale zacisnęła zęby i nic nie powiedziała. Podobnie jak wtedy, gdy gospodarz wręczył jej suche ubrania i ręcznik, które należały do jednej z jego córek.

– Dla pana też coś mam, panie Tomaszu, ale niestety, patrząc na nasze rozmiary, może być trochę przyciasne.

– Nic nie szkodzi. Bardzo dziękuję.

– To co? Skoro nie będziecie państwo już dziś prowadzić samochodu, to może zaproponuję coś mocniejszego na rozgrzanie?

Tomek, który już dawno zapomniał o kacu, z chęcią przystał na propozycję. Karolina z wiadomych powodów grzecznie odmówiła, tym bardziej że po całym dniu na słońcu była już dosyć zmęczona, więc najchętniej, nie zważając nawet, że była ledwo dziewiąta, od razu padłaby na łóżko.

– Wykąpię się tylko i lulu, ale bardzo dziękuję za propozycję.

– Jak pani sobie życzy. Proszę nie krępować się i skorzystać z wanny, jeżeli ma pani ochotę.

Autentycznie pokochała go za te słowa.

Zostawiwszy Tomka, który musiał się jeszcze przebrać, wzięła swój ręcznik oraz ubrania i podążyła za Roguckim, który zaprowadził ją do jedynej łazienki na dole. Pokazał jej, gdzie leżą wszystkie potrzebne środki czystości (w tym nieużywana jeszcze szczoteczka do zębów, choć wiedziała, że i tak zarówno jej, jak i wszystkich pozostałych rzeczy dla spokojnego sumienia nie użyje) i zostawił ją samą. Na wszelki wypadek zamknęła drzwi na zasuwkę, rozebrała się i napuściła do wanny rozkosznie ciepłej wody, w której zanurzyła się prawie do końca. Zamknęła oczy. Leżało jej się tym przyjemniej, że na zewnątrz wciąż szalała nawałnica z piorunami, słyszalna nawet pomimo lecącej wody z kranu. Rytmiczny szmer kropel deszczu w połączeniu z pieszczącym każdy centymetr jej ciała ciepłem sprawiał, że stopniowo popadała w coraz większą i większą senność...

\*

– Lepiej wracajmy. Nadchodzi burza.

Zajęty do tej pory naciąganiem szota mężczyzna, jakby czytając w myślach żony, spojrział w tym samym kierunku co ona. Wytrzeszczył oczy, gdyż widok, który zobaczył, robił niemałe wrażenie. Ciężkie burzowe chmury pojawiły się na horyzoncie właściwie znikąd. Co więcej – zbliżały się do nich w zatrważająco szybkim tempie. Paradoksalnie, jak na złość, w miejscu, w którym akurat się znajdowali, na jeziorze panowała niemal idealna cisza, więc siłą rzeczy żaglówka wciąż tkwiła nieruchomo w tym samym punkcie.

Na samym środku Wigier.

– Może powiosłuję trochę? Zmokniemy jak nic – zaproponowała kobieta.

– Ty nie zmokniesz, kochanie, bo schronisz się w bezpiecznej, suchej kajucie. To ja zmoknę. Trzymaj się faktów – zażartował mężczyzna.

– No to ty zmokniesz, ale i tak chcę powiosłować. Ruszmy się stąd.

– Poczekaj. Zobacz, jak te chmury szybko się zbliżają. Zaraz nam zawieje. Nie męcz się.

– To niebezpieczne płynąć na żaglu, gdy zbliża się taka nawałnica. Jak nam zaraz dmuchnie jakiś szkwał...

Jakby w odpowiedzi na jej słowa uderzył ich podmuch silnego wiatru. Mężczyzna złapał czym prędzej za szot, a drugą ręką za ster. Łódź

przechyliła się niebezpiecznie, a fale z głośnym pluskiem zaczęły uderzać o jej burtę. W ułamku sekundy bom przeleciał nad jego głową z prawej strony żaglówki na lewą. W następnej chwili nad jeziorem rozniósł się potężny, poprzedzony ogromną błyskawicą grzmot.

– Wiesz co, Iza, chyba masz rację. Lepiej go ściągnę, bo jeszcze się przewrócimy... – powiedział głośno, ale i tak we wciąż unoszącym się nad wodą pogłosie pioruna ledwo słyszał sam siebie.

– I chyba rzeczywiście będzie dobrze wyciągnąć pagaje. Możesz?

Jego żona, którą od początku szkwału miał za plecami, nie reagowała.

– Iza! Wyciągnij pagaje, proszę! – dodał dwa razy głośniej, by przebić się przez wicher. Odwrócił się.

– Iza...?

Nie było jej tam, gdzie spodziewał się ją zobaczyć. Nie było jej nigdzie... Z początku nic z tego nie rozumiał. Dopiero ta mała plamka krwi, którą dojrzał na białym tworzywie żaglówki, ostatecznie otworzyła mu oczy.

– Iza! – krzyknął i zerwał się na równe nogi. W tym samym momencie wiatr uderzył po raz drugi, tym razem z przeciwnej strony, a żagiel z ogromną szybkością zmierzał z powrotem na prawo. Ledwo zdążył uniknąć uderzenia, ale i tak stracił równowagę i walnął głucho klatką piersiową o pokład. Czuł rozpaczliwą frustrację. Podczas gdy ona... Tam... Nie było teraz czasu na taką zabawę! Czym prędzej przeczołgał się w kierunku lewej burty i spojrzał na wodę. Jako że z gładką jak stół taflą sprzed jeszcze zaledwie kilkadziesiątu sekund jezioro nie miało już właściwie nic wspólnego, nie mógł być pewien, czy bąbelki na nim są wytworem fal, czy może jednak wciąż jeszcze żywych ludzkich płuc...

– Iza! – Nie zastanawiając się ani chwili, rzucił się do wody. Jego noga zaplątała się trochę w cumę, co lekko wytrąciło go z impetu i w trakcie skoku na główkę uderzył boleśnie kolanem o burtę. Instynktownie jęknął z bólu i opił się przy tym wody. Wiedział, że w obliczu tego, co się właśnie działo, każda mijająca sekunda była dosłownie i w przenośni kwestią życia lub śmierci, ale nie miał innego wyboru i musiał od nowa zaczerpnąć powietrza. Krztusząc się i kaszląc, wypłynął z powrotem na powierzchnię, a w jego twarz uderzały już lodowate krople deszczu. Krople, które z każdą chwilą tworzyły na tafli jeziora coraz to większe bruzdy...

\*

Karolina silnie drgnęła, jednocześnie się budząc i wylewając z wanny trochę wody. Musiała przysnąć na całkiem długi czas, gdyż temperatura kąpeli powodowała u niej teraz gęsią skórę.

Chociaż...

Może to od tego snu? Nie pamiętała już, o czym był. Ale jedno o nim wiedziała na pewno – ktoś w nim zginął... Kobieta?

Wstała, wyszła z wanny i tym razem dziękując panu Bogu za swoje dopasowane do niego wymiary, czym prędzej opatuliła się szczelnie ręcznikiem. Po wytarciu ubrała się z powrotem w swoją zużytą bieliznę (nie śmiała nakładać majtek po córkach gospodarza). Na koniec, tocząc przy tym w myślach brutalną walkę z pokusą, czy by jednak z jej dobrodziejstw – udostępnionych przecież dziewczynie przez Roguckiego – nie skorzystać, spojrzała ostatni raz na toaletkę. Ostatecznie stanęło jednak u niej na wcześniejszym postanowieniu. Okręciwszy się ponownie ręcznikiem, z charakterystycznym szcęknięciem zwolniła blokadę drzwi i wyszła na korytarz, w którym teraz panował półmrok. Tomek siedział z panem Andrzejem na kanapie w salonie i rozmowa „na ważne tematy” musiała być chyba nadzwyczaj ciekawa, bowiem stojąca przed nimi na stole ćwiartuszka była już niemal w połowie opróżniona, a chłopak w najlepsze zajadał się chipsami. Przez moment dziewczyna miała ochotę ostrzec go przed wiadomymi ewentualnymi konsekwencjami ponownego pijaństwa, ale była już na to zbyt zmęczona, a poza tym w obliczu jego wiedzy na temat cukrzycy ufała Roguckiemu na tyle, że miała pewność, iż w razie potrzeby będzie wiedział, co robić.

Dzisiaj Marysia miała więc wychodne.

Życzyła obu panom dobrej nocy i powlokła się schodami na górę, gdzie w pokoju paliła się już przy łóżku sympatyczna, niedrażniająca oczu ostrym światłem niebieska lampka. Obiecując sobie w myślach, że już z samego rana go stamtąd zabierze, rzuciła ręcznik na krzesło i zagłębiła się w cudownie wygodnej, świeżej pościeli z kory. Postanowiła na razie nie gasić lampki i zamknęła oczy.

Na zewnątrz wciąż niestrudzenie szalała burza z piorunami. Jeżeli akurat przez ułamek sekundy krople nie uderzały o umieszczone w tym pokoju pod skosem poddasza okna, to wyłącznie dlatego, że akurat w tej krótkiej chwili świszczący wiatr okazywał się silniejszy. Karolina bardzo lubiła zasypiać w czasie deszczu, gdyż w takich okolicznościach –

podobnie jak to zdarzyło się w wannie – tym przyjemniej było leżeć w wygodnym łóżku pod ciepłutką, bezpieczną kołdrą.

Tym dziwniejsze było więc dla niej, że tym razem nie mogła zasnąć.

Zmieniające się z czasem w minuty i kwadransy sekundy mijały i mijały. Uznawszy w końcu, że to bez sensu, otworzyła oczy, przewróciła się na plecy i rozejrzała się po pokoju.

Nie zwróciła na to wcześniej zbytnej uwagi, ale pod ścianą naprzeciwko łóżka stał spory, wypełniony książkami regał. Wyjaśniało to więc najpewniej, skąd u pana Andrzeja taka elokwencja i erudycja, bo patrząc na jego imponujący księgozbiór (a był to przecież zaledwie domek letniskowy, więc nawet ciężko jej było sobie wyobrazić, jak wyglądało to w jego prawdziwym mieszkaniu) i zakładając, że wszystko to już zaliczył, otrzymała jeszcze jeden dowód na to, że niewątpliwie był czytany człowiekiem o bardzo szerokich horyzontach. Postanowiła z braku laku sięgnąć po jakąś książkę, której lektura, choćby pobieżna, pomogłaby jej zasnąć. Wstała, podeszła do regału i nie patrząc przed tym nawet na jej tytuł, wyciągnęła pierwszą z brzegu broszurkę.

*Mitologia Słowian.*

Jak na ślepy strzał – nie było źle. Lampka przy łóżku zapewniała wystarczająco dużo światła, toteż wciąż jeszcze stojąc przy regale, otworzyła książkę na losowo wybranej stronie i zaczęła czytać.

„(...) jeden z najpopularniejszych żeńskich demonów będący personifikacją sił przyrody (...)”.

Zatrzymała się i chcąc przeczytać całe zdanie od początku, przewróciła jedną stronę do tyłu.

„W przedchrześcijańskich wierzeniach Słowian bardzo ważną rolę odgrywała zjawia zwana boginką (w późniejszym czasie przyjęło się nazywać tę postać, używając zapożyczonego terminu „rusałka”), jeden z najpopularniejszych żeńskich demonów będący personifikacją sił przyrody. Boginki były wrogie wobec ludzi. Zamieszkiwały lasy, rzeki, jeziora, bagna i góry. Wyobrażano je sobie jako paskudne, szkaradne kobiety, o wielkich głowach, przeraźliwie krzywych nogach, powykręcanych rękach i obwisłych piersiach lub też jako piękne, młode dziewczyny. Według wierzeń miały stawać się nimi zmarłe przy porodzie niedoszące matki, morderczynie dzieci bądź samobójczynie (...)”.

Karolina zamknęła książkę i odłożyła ją z powrotem na półkę. Jasne,

wiedziała, że na pewno nie zawierała ona tylko takich treści, ale ostatnie, o czym chciałyby czytać do poduszki, to o demonach, a już szczególnie biorąc pod uwagę w dalszym ciągu atakujące dom pana Andrzeja okoliczności przyrody...

Postanowiła jednak dać kolekcji Roguckiego jeszcze jedną szansę, ale tym razem starannie selekcionując tytuły, a następnie zawartość w spisie treści. Wpadł jej w oko oprawiony na twardo tomik z wiele mówiącym napisem na grzbiecie: *Legandy, podania i baśnie Suwalszczyzny*. Wyjęła go i przejrzała pierwsze strony. W spisie treści wpadł jej w oko punkt pod tytułem *Tajemnicze jezioro*. Zawahała się lekko, bo na pierwszy rzut oka to także nie wyglądało jak zapowiedź lekkiej, romantycznej historyjki na dobranoc, ale w końcu uznała, że skoro zaczęli dziś od tajemniczego jeziora, to bez względu na to, o czym ta legenda będzie, do snięcia kłamrą tego – choć nie zawsze pełnego pozytywnych emocji – udanego dnia nadaje się jak ulał.

Wzięła książkę ze sobą, ponownie położyła się do łóżka i pogrążyła w lekturze.

\*



## TAJEMNICZE JEZIORO

W Lesie Poszeszupskim znajduje się małe jezioro. Brzegi jego porasta drżąca osika i szuwały, a jak jest głębokie, to nawet najstarsi ludzie nie zmierzylili jego toni. Woda jeziora jest rdzawa, jakby ktoś dodał do niej krwi, a zapach jej trupi. Nie słycać tutaj wesołego kumkania żab, nie widać w szuwarach przybrzeżnych ptactwa, nawet dziki omijają te brzegi, pomimo że nie brak tu pożywnego żeru. Szczególnie wieczorami jeziorko sprawia upiorne wrażenie. Wznosi się nad nim mgła, niby dym, jak z piekielnego kotła. Jedynymi głosami, o których bają leśnicy, są głosy przypominające jęki ludzkie, modlitwy, może przekleństwa... Miejscowa ludność niechętnie zapuszcza się w te strony. Nie wabią nikogo grzyby ani obfitość orzechów i jagód.

Bardzo dawno temu okolica ta była porośnięta potężnym lasem, tylko nad rzeką Szeszupą leżała mała osada zamieszkaana przez biednych wyrobników. Osada nazywała się Rutka-Tartak, a nazwa jej powstała od tego, iż biedni mieszkańcy kochali jedyny rosnący tu pachnący kwiat – rutę, a na Szeszupie właściciel tych lasów i osady wybudował tartak, w którym dzień i noc cięto grube pnie sosnowe na deski i bale.

Zły był to pan. Służbę traktował gorzej niż bydło, psy myśliwskie miały u niego stokroć lepiej niż ludzie. Nie pozwalał zbierać w lesie jagód ani grzybów. Nie pozwalał nawet zbierać na opał szyszek ani gałązek. Za wszystko kazał sobie płacić, a skądże ci biedacy mogli mieć pieniądze?

W osadzie mieszkała biedna wdowa z czworgiem dzieci. Mąż jej zginął przy pracy w tartaku i od tej pory w domu kobiety stałe gościł głód. Wdowę bolało serce, gdy słyszała cichą skargę swych dzieci:

– Mamo, jeść się nam chce.

Biedna wdowa, pomimo zakazu dziedzica i jego jeszcze gorszych sług, wybrała się do lasu, aby nazbierać trochę poziomek dla swych głodnych dzieci. Na polanie dopadł ją podły dziedzic ze sforą psów i poleciał sługom obić na śmierć. Wówczas zakotłowało się na polanie, zerwał się straszliwy wichur, rozstąpiła się ziemia, a na miejscu polany zakipiała rdzawo-krwawa woda, która pochłonięła złego dziedzica i jego bezmyślną służbę.

Starzy ludzie mówią, że kara będzie trwała tak długo, aż jezioro zarośnie i poryje się znów kobiercem poziomek i kwiatów<sup>[1]</sup>.

\*

Krótką legendą, w dodatku z małym optymizmem i odpowiednio

wprowadzającym w klimat grozy początkiem, ale przynajmniej zakończyła się tak, jak powinna się była zakończyć. Dobro ostatecznie zwyciężyło. I właśnie to podobało się w niej Karolinie najbardziej.

Nie miała pojęcia, o jakim prawdziwym jeziorze jest w niej mowa, ale raczej nie chodziło tu o Gałęziste, bo to znajdowało się w sporej odległości od Rutki-Tartak, którą kojarzyła z ich pierwszej czwartkowej wycieczki do Stańczyk. Niemniej nie przeszkodziło to jej wyobraźni w użyciu podczas czytania obrazka zaliczonego dzisiaj rano przez nią i Tomka miejsca. Zmieniła tylko kolor wodzie – z turkusowego na czerwony... Taaak, jeżeli miała sobie jakkolwiek wyobrazić jezioro z legendy, to wyglądałoby ono dokładnie w ten sposób.

Odłożyła książkę na komodę obok lampki. Krótkie opowiadanie najwyraźniej spełniło swoją powinność, gdyż nagle na powrót poczuła znajomą z niedawnej kąpieli senność i miała już zbyt dużego lenia, by odnieść tomik na miejsce.

Ostatnią myślą, jaka przyszła jej do głowy tuż przed zaśnięciem, było dodanie go do listy rzeczy „do ogarnięcia z rana”, zaraz za ręcznikiem.

---

<sup>[1]</sup> Oryginalna treść legendy, która pochodzi z książki: *Legends, podania i baśnie Suwalszczyzny*, Wydawnictwo Hańcza, Suwałki 1997.

## ROZDZIAŁ XI

Pośród szumu sphywających po liściach drzew kropel i grzmotów potężnych piorunów przez las wędrowała zakapturzona postać. Z zaskakującą jak na jej wiek zręcznością i orientacją w kompletnej, przerywanej jedynie od czasu do czasu przez błyskawice ciemności zgrabnie omijała co większe kałuże na ścieżce. Przemierzała tę drogę już tysiące razy, więc znała ją praktycznie na pamięć. Każdy zakręt, każdy wybój, każdą choćby najmniejszą jej nieregularność. Choć na jej miejscu mało która kobieta zdecydowałaby się o tej porze na podobną samotną wycieczkę, nie oglądała się nerwowo na boki, bo też wiedziała, że (przynajmniej na razie) nie ma się czego obawiać. Noc, las, burza... Wszystko to w zestawieniu z prawdziwym celem jej stosunkowo długiej pieszej eskapady to były naprawdę drobnostki. Skupiła się więc w całości na nim, wciąż wytrwale kuśtykając przed siebie, i to pomimo dokuczliwego bólu wiekowych już kości.

Błyskawica rozświetliła niebo dokładnie w tym samym momencie, w którym stanęła na skraju polany. Przez moment blask pozwolił zobaczyć zarówno kawałek ziemi, jak i te kilka stojących na nim domów.

Westchnęła. Już niedaleko.

Przemierzyła powoli po wijącej się ścieżce całą długość polany. Co ciekawe – szalejący wokół wichur dziwnym trafem zdawał się ją omijać, o czym świadczyła najlepiej jej przez cały czas zwisająca bezwładnie peleryna. Zupełnie jakby nie obowiązywały jej tej nocy żadne prawa fizyki. Uznała to za dobry znak.

Dotarła do ostatniego, górującego lekko nad drogą domu. Tak jak w każdym z pozostałych nie paliło się w nim ani jedno światło. Jego frontowe drzwi nie były zamknięte na zamek, więc z dostaniem się do środka nie miała żadnych problemów. Zarówno w sieni, jak i w korytarzu za nią panowały egipskie ciemności. Poszukała po omacku kontaktu. Niestety – nie działał.

– Chłolera...

Machnęła więc ręką na zdjęcie butów i peleryny i zostawiając za sobą błotniste ślady oraz kałuże przez cały czas skapującej z niej obficie wody, weszła głębiej. Jako że w tym domu również bywała już wielokrotnie, nie miała żadnych problemów ze znalezieniem właściwych drzwi.

Gdy tylko weszła do pokoju, ten został rozświetlony przez piorun i na

krótką chwilę ukazał jej siedzącą bez ruchu w fotelu i najwidoczniej czekającą na nią starszą kobietę. Nie przestraszyła się jej jednak, gdyż właśnie w tamtym miejscu spodziewała się ją zobaczyć.

– Jak widzisz, burza odcięła nam prąd.

– Władzę.

Korzystając z pomocy kolejnej błyskawicy, przybyszka odszukała inny fotel i niezgrabnie walnęła się na niego. W wyrazie ulgi dla swoich starych, wysłużonych stawów głośno wypuściła powietrze.

– Dłomyślasz się płewnie, po co przychodzę?

– Nie jestem głupia.

– Więc wiesz też płewnie, że nie chłodzi tu ło to, że włam nie ufamy. Ufamy. Chcemy tylko dopilnować, by wszystko chłodziło jak w zlegarku.

– O to się nie martw. Skeda sobie poradzi. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Zrozum naszą łoostrożność. Tło jej pierwszy raz...

– Każdy z nich kiedyś zaczynał. Zaufaj jej. Jasne, śmierć Skirmuta wyrzuciła nam wszystko do góry nogami, ale spodziewaliśmy się tego, od jakiegoś czasu wyglądał bardzo niewyraźnie, więc na wszelki wypadek od dawna ją przygotowywaliśmy. Jest zwarta i gotowa. Nie boi się.

– Ja wiem, ale jest młoda. Młodość tło czasem impulsywność i niełokrziesanie. Do tego po tym, cło zrobił niedawno Gintus, musimy być podwłójnie łoostrożni. Ten głupek o mały włos nie ściągnął na nłas niezłych kłopotów... Jeszcze tłego brakowało, byśmy zwracali na siebie w tlen sposób łuwagę. A już tłym bardziej tleraz...

– Wybacz, ale to, co zrobił młody Santor, to nie nasza sprawa. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Trzeba było go pilnować – odparła sucho staruszka.

Przez moment obie milczały, a w tle rozbrzmiewał szum burzy.

– A więc już podjęliście dłeczyszję? – zmieniła temat kobieta w pelerynie.

– Tak.

– Jesteście płewni, że łona jest właściwym wyborem?

– Były pewne wątpliwości, ale może się zdziwisz, zdecydowało to, co ty nam o niej powiedziałaś. Dlatego teraz tak, jesteśmy pewni. Ustalone.

– Jak zamierzacie zacząć część oczyszczenia?

– Z początku planowaliśmy coś innego, ale trochę zepsuli, a raczej, jak mniemam, to burza zepsuła nam koncepcję.

– No i nie wrócili do dłomu na noc... Gdzie łoni w łogóle teraz są?

– Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Giedejtem przed czternastą przez telefon, to byli nad Wigrami. Od tamtej pory nie mogę się jednak do niego dodzwonić.

– Jak tło nie młózesz? I tak spokojnie o tłym młówisz?!

– Może po prostu wyłączył komórkę, by nie wzbudzać podejrzeń? Tak, mówię spokojnie, bo na kim jak na kim, ale na Giedejcie można polegać. To inteligentny facet. Poznał się już z nimi nawet i chyba wzbudził ich zaufanie, co tylko pomoże. Da sobie radę sam. Miał już zresztą plan zastępczy, w razie gdyby zostali tam na noc.

– Jaki?

Opowiedziała jej, na czym miał polegać. Z każdym słowem słuchającą jej kobietę ogarniały coraz większe wątpliwości, które poskutkowały końcowym wybuchem.

– Tło szaleństwo! Tyle rzeczy młóże się tu nie łudać! A płoza tym niepotrzebnie wciągacie w tło jeszcze tłego chłopaka! Tło będzie jeszcze jedna, niepotrzebna śmierć!

– To konieczność! Nie da się tego uniknąć!

– Dlaczego nikt młu nie pomaga?! Gdzie, do cholery, jest Skumat?!

– Jakbyś zapomniała, Skumat ma taką pracę, w której zwłaszcza teraz jest trudno o urlop...

– A Skomand? Gojwet?!

– Oni z kolei zajmują się teraz czymś nie mniej ważnym, bo pomagają zamiatać pod dywan cały ten burdel związany z Gintusem. Uspokój się!

– Mam wrażenie, że nie robicie wszystkiego, cło w właszej młocy, bły tego nie spieprzyć... – wysyczała kobieta w pelerynie.

– Masz lepszy pomysł? Chętnie posłucham.

– Nie mam! – Wstała z taką szybkością, że jej sfatygowane wiekiem kolana aż głośno trzasnęły. Zuchwałość, beztroska i zbytnia pewność siebie tej drugiej zaczęły ją już irytować. Mówiła o tym wszystkim z takim spokojem, jakby chodziło tu o co najwyżej poranne wyjście po bułki. A rozmawiały przecież o czymś znacznie poważniejszym...

Znacznie...

– Wiecznie wymagacie, a już by samemu nam pomóc, to nikt się tak bardzo nie garnie. Zabawne, że po tym, co zrobiliście w piątek, śmiesz jeszcze mówić o czymś takim jak „spieprzenie czegokolwiek”... –

powiedziała zimno staruszka w fotelu.

– Oby was ta płewność siebie nie zgubiła. – Kobieta w pelerynie odwróciła się na pięcie i zaczęła iść w kierunku drzwi. Było to już wszystko, co miała do powiedzenia, i dalsza dyskusja – jak wynikało z podejścia jednej ze stron tego żalostnego dialogu – była stratą czasu. Będąc tuż przy wyjściu z pokoju, usłyszała jeszcze za plecami:

– Nic się nie martw. My też zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji i wiemy, jak wielki zaszczyt od pokoleń spotyka naszą rodzinę. Ale zapewniam cię, wszystko pójdzie zgodnie z planem. To, że to pierwszy raz Skedy, to naprawdę nasz najmniejszy problem. Podobnie jak to, że Giedejt został z nimi sam.

– Skoro tłak twierdzisz... – mruknęła beznamiętnie w odpowiedzi staruszka w progu.

Nie mówiła jednak prawdy.

Nie ufała tamtej ani trochę.

Już miała wyjść, gdy dotarły do niej jeszcze jej ostatnie słowa:

– Jak go znam, część oczyszczenia zacznie się już dziś, teraz, zaraz.

Z początku myślała, że nie dosłyszała, więc się zatrzymała. To nie mogła być prawda... Gdy odwróciła się z powrotem z rysującym się na jej obliczu zaniepokojeniem, pokój – a co za tym idzie, również wciąż niewzruszoną, pomarszczoną twarz staruszki w fotelu – rozświetliła kolejna błyskawica.

\*

Biegła.

Jej płuca boleśnie nie nadążały za szybkimi wdechami i wydechami powietrza. Oczy miała pełne rozpaczliwych łez. Czuła każdą, choćby nawet najmniejszą kosteczkę, każde pojedyncze włókno jej drobnych mięśni. Wewnątrz zaś wypełniało ją przerażenie i uczucie osaczenia.

Zarośla i niskie gałęzie drzew czyniły jej z każdą sekundą coraz to nowe zadrapania. I tak nie mogła nic z tym zrobić, ponieważ otaczająca ją wszechobecna ciemność sprawiała, że nie widziała dosłownie nic. Parę razy o mało co nie skręciła też kostki na nierównym, miękkim podłożu. Nie wspominając już o spróchniałych pniakach, o które raz za razem się potykała.

Nie było to jednak w tej chwili ważne.

W dalszym ciągu słyszała za plecami ten niecichnący, złowrogi

i dochodzący z wielu stron szelest. Wiedziała, że jeżeli to nieokreślone zło ją dogoni, będzie już po wszystkim. Ta desperacka myśl była teraz jedyną rzeczą, która dodawała jej jeszcze jakiegokolwiek siły. Normalnie już dawno padłaby bowiem z wyczerpania.

Nagle dostrzegła w oddali słabe światło. Nie, nie był to wytwór jej zmęczonej i usilnie szukającej ratunku wyobraźni – naprawdę tam było! Czyżby miało to być jej wybawienie? Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale niepostrzeżenie coś utwierdziło ją w przekonaniu, że jeżeli w porę tam dotrze, to będzie już bezpieczna. Będzie mogła wreszcie odetchnąć. Będzie mogła stopniowo się uspokoić, usiąść i dać odpocząć wszystkiemu, co odpowiadało za jej jakikolwiek proces życiowy... Słowem – będzie mogła nareszcie zakończyć cały ten koszmar. Perspektywa ta dodała jej jeszcze większego energetycznego kopa. Nie zwolniła ani trochę.

Podobnie zresztą jak oni.

W miarę mijania kolejnych rzędów drzew światło stawało się coraz jaśniejsze. Coraz bardziej zaczynała też zdawać sobie sprawę, że z tym, co miała przed sobą, wyraźnie coś było nie tak. Była jednak tak zaaferowana ucieczką, że dopiero na ostatnich metrach umiała konkretnie nazwać tę oczywistą z pozoru rzecz.

Mianowicie to, że światło, do którego się zbliżała, miało kolor... czerwony.

Po przebiegnięciu pomiędzy ostatnimi drzewami za późno zauważyła, że wpada z pełnym impetem na strome, prowadzące na dół zbocze. Nie zdążyła wyhamować, potknęła się i zaczęła staczać się w kierunku jeziora z dużą szybkością. Udało jej się zatrzymać dosłownie w ostatniej chwili, tuż zanim wpadłaby do fosforyzującej prawie jak świeża lawa i niesamowicie śmierdzącej trupim odorem czerwonej wody. Zresztą nie wiedziała nawet, czy można było w ogóle nazwać to wodą...

Odczuwając boleśnie na każdym centymetrze kwadratowym ciała wszystko to, co wydarzyło się do tej pory w tę noc, podniosła się z trudnością. Rozejrzała się dookoła, a jej serce, które po przerwaniu biegu powinno było przecież stopniowo wracać do normalnej pracy, z każdą sekundą biło jednak coraz szybciej.

Wyglądało bowiem na to, że nie było już dla niej żadnego ratunku.

Oni.

Byli już na linii drzew i przy założeniu, że w życiu nie zaryzykowałyby

wejścia do tego jeziora, odcięli jej jakąkolwiek drogę ucieczki. Było ich niesamowicie dużo, a ich oczy... Było to czyste wariactwo, ale wydawało jej się, że jaśniały lekko pod narzuconymi na ich głowy kapturami. Jaśniały żółtymi, złowieszczymi parami...

Karolina zaczęła dygotać tak silnie, jakby miała chorobę Parkinsona. Nie miało to nic wspólnego z temperaturą powietrza, bo to dziwnym trafem było bardzo ciepłe. Nie chciała dopuścić do siebie tej myśli, ale była prawie pewna, że to z powodu jeziora, które bulgotało za nią tak, jakby miało pod sobą co najmniej ogromny palnik gazowy. Skupiła się, by za wszelką cenę nie dotknąć stopami jego tafli, na której nawet tuż przy brzegu nie było teraz widać dna. Zważywszy, że w międzyczasie wciąż musiała obserwować zbliżające się do niej zakapturzone postacie, nastroczało jej to jednak niemałej trudności.

Wszystkie one zatrzymały się raptem i wystąpiła z nich jedna osoba. Podeszła do dziewczyny na pewną odległość i bardzo powoli, centymetr po centymetrze, zdjęła kaptur.

W słabym, oświetlającym jej pomarszczoną twarz czerwonym światłem Karolina od razu rozpoznała w niej zaciągającą staruszkę – tę samą, która dwa dni temu razem ze swoim małym oddziałem brutalnie zakończyła imprezę Leszczyńskiej. Kobieta wpatrywała się w nią przez moment z pełnym odrazą wyrazem twarzy. W lesie przez cały czas panowała złowroga cisza, jedynie z wciąż nieprzerwanym odgłosem bulgotania jeziora w tle.

– *Mirtis wisiems miško priesiams!* – zaskrzeczała nagle bez śladu jakiegokolwiek zaciągania staruszka.

– *Mirtis wisiems krikścionims, priesiams leszo!* – zabrzmiało w odpowiedzi w przerażająco zgranym chórze spod wszystkich kilkudziesięciu kapturów za nią.

Karolina nic z tego nie rozumiała, ale nim zdążyła jakkolwiek zastanowić się nad znaczeniem ich słów, usłyszała za sobą pewien odgłos.

Co było w tym wszystkim najstraszniejsze – znajomy. I to od całkiem niedawna.

Niski, gardłowy pomruk w połączeniu z cichym pluskaniem... Jej padający od czerwonego światła na trawę cień zaczął się od dołu stopniowo pogrubiać, a w końcu i wydłużać...

Wreszcie znieruchomiał...



Była tak przerażona, że bała się, a może nawet rzeczywiście nie mogła się ani trochę ruszyć. Spojrzała jeszcze raz na stojącą przed nią kobietę. Jej twarz była nieprzenikniona, o surowym wyrazie.

W następnej sekundzie wydarzyły się prawie równocześnie, choć jednak w określonej kolejności, trzy rzeczy. Pierwszą z nich było wypowiedziane przez staruszkę słowo:

– *Mirk.*

Zupełnie jakby było to jakieś magiczne zaklęcie, Karolina poczuła nagle – co było tym drugim zdarzeniem – że wróciło jej czucie w nogach. Niestety, było już za późno... W kolejnym błyskawicznym momencie otoczyła ją znieńska para grubych jak pniaki, silnych i sinych ramion, które zacisnęły się wokół jej klatki piersiowej jak imadło. Poczuła, jak coś obrzydliwie oślizgłego, zimnego i śmierdzącego przywiera do jej grzbietu, i nim zdążyła choćby pisnąć, to coś rzuciło się plecami z powrotem do czerwonej wody, razem z nią w objęciach.

Było to zdarzenie numer trzy.

\*

W jednej i tej samej sekundzie wydarzyły się prawie równocześnie, choć jednak w określonej kolejności, cztery rzeczy: Karolina odruchowo drgnęła i obudziła się z krzykiem, uderzył piorun, wciąż śpiący Tomek zaczął się hałaśliwie wiercić i... za drzwiami od pokoju, w którym spali, w korytarzu mignęła dziewczynie końcówka czyjegoś cienia. Wciąż jeszcze ogarnięta przerażeniem po tym najstraszniejszym i najbardziej realistycznym w jej życiu koszmarze, w połączeniu z bądź co bądź w dalszym ciągu lekką sennością, z początku kompletnie nie rozumiała tego, gdzie jest ani co się wokół niej dzieje. By względnie oprzytomnieć i wrócić do rzeczywistości, potrzebowała blisko minuty.

– Tomek!

Jej chłopak dalej wił się niespokojnie na łóżku. Wciąż miał zamknięte oczy. W pewnym momencie zaczął też bardzo szybko oddychać przez nos i intensywnie trzeć nogami o materac.

– Tomek! Obudź się! – Potrząsnęła nim.

„Kurwa!”

W słabym świetle bez przerwy palącej się na komodzie lampki nie było to aż nadto widoczne, ale Tomek był tak mokry, jakby ledwo co wrócił z podwórka, gdzie bezustannie, przez cały czas tej nocy szalała ogromna

burza.

– Jezu... Błagam, nie! – jęknęła rozpaczliwie – Panie Andrzeju! Pomocy! – wrzasnęła. – Słyszysz mnie?! – Klepnęła chłopaka po twarzy. – PROSZĘ PANA!!!

Rogucki ani jej nie odpowiedział, ani się nie pojawił. Niewiele myśląc, wyskoczyła więc z łóżka i czym prędzej wybiegła na korytarz. Nagle poślizgnęła się i wylądowała boleśnie kością ogonową na drewnianym parkiecie, którym to wyłożone było całe piętro. Jęknęła, ale wytrwale podniosła się jeszcze raz.

– Panie Andrzeju! Szybko, coś słodkiego! Tomek ma hipoglikemię! – wydzierała się w nieokreślonym kierunku, ale wciąż nikt jej nie odpowiadał. Czym prędzej zbiegła po mokrych schodach na słabo oświetlony kilkoma lampkami parter, tym razem już znacznie ostrożniej stawiając stopy. Dotarła do kuchni i zaczęła pospiesznie przeglądać szafki i lodówkę. Jak na złość nie było w nich teraz niczego, czego mogłaby w tej sytuacji użyć. Rozejrzała się gorączkowo. W jasności umysłu przypomniała sobie o drzwiczkach pod schodami.

Były jej ostatnią nadzieją...

W mig do nich dobiegła, otworzyła je i bacznie zlustrowała zawartość komórki. Z ogromną ulgą dostrzegła stojącą pomiędzy słoikami dwulitrową butelkę fanty. Porwała ją i prędko wróciła na piętro.

– Pij!

Po raz pierwszy otworzony napój rozprysnął się po pościeli i podłodze, ale zbytnio się tym teraz nie przejmowała. Przechyliła ciężką butelkę i zaczęła niezgrabnie wlewać jej zawartość w gardło chłopaka.

Nagle usłyszała dziwny dźwięk i zamarła.

Choć wydawało się to niemożliwe, wydobywające się teraz z jego krztuszącego się przełyku bulgotanie brzmiało jeszcze bardziej upiornie niż to słyszane przez nią za plecami w jej śnie o Gałęzistym...

– Jezu Chryste! Panie Andrzeju! RATUNKU!!!

Byłaby to niezła ironia losu, gdyby w trakcie hipoglikemii Tomek umarł nie przez niedocukrzenie, a przez... zachłyśnięcie się oranżadą. Beka. No kupa czarnego śmiechu normalnie...

W przypływie paniki wpadła szybko na jedyny pomysł, który wydał jej się w tej chwili sensowny, i z całej siły zaczęła pchać bezwładne ciało chłopaka do skraju stosunkowo wysokiego łóżka. Od stresu i tytanicznego

wysiłku zaraz zrobiła się niemal tak samo spocona jak on. Gdy zaczynał zsuwać się z materaca, intensywnie popchnęła go nogami, tak by zamiast na plecach wylądował na brzuchu.

Gdy to potem wspominała, nie miała pojęcia, jakim cudem jej się to ostatecznie udało, ale plan okazał się skuteczny. Tomek walnął klatką piersiową o podłogę, natychmiast wykrztusił zalegający mu w gardle napój i zaczął żałośnie zawodzić z bezsilności i bólu. Poczowała taką ulgę, że prawie zapomniała, iż za nią dopiero połowa nieszczęsnego zadania ratowania mu życia. Doskoczyła do niego, złapała go obiema rękami pod ramieniem i przewróciła na plecy. Następnie stanęła nad nim, chwyciła go pod pachami i silnie szarpnęła do przodu, tak by chociaż trochę oprzeć jego kark o ścianę. Niemal rzeczywiście usłyszała trzaśnięcie w swoim krzyżu podczas tej czynności, ale jak na razie adrenalina skutecznie zagłuszyła jej ból. Jakimś cudem udało jej się chociaż odrobinę sprawić, by nie leżał z głową na ziemi. Znowu porwała butelkę (której zawartość do tej pory przez cały czas rozlewała się po podłodze) i starała się poić swojego chłopaka tym razem z większą dokładnością i skupieniem. Na szczęście chyba zachował jakieś resztki przytomności, gdyż wessał się w butelkę i bardzo powoli, drobnymi łykami, pił.

– Słyszysz mnie?

– Taa... aaak.

– Pij!

Choć wiedziała, że najpewniej i tak zakończy się to u niego wymiotami, postanowiła, że opróżni butelkę do końca. Ostatecznie jednak do tego nie doszło, bo w końcu oderwał od niej usta i już całkiem przytomnie wychrypiął:

– Dobra, już w porządku.

Karolina padła bezwładnie na plecy na mokrą od fanty podłogę i próbowała uspokoić oddech. Dopiero gdy minęło kilkadziesiąt sekund, a jej początkowy strach ustąpił nagłemu napadowi gniewu, odezwała się:

– Podobno jesteś, kurwa, dorosły...

– Ale ja...

– Chyba pobiłeś właśnie swój *personal best*!

– ALE JA PRAWIE NIC NIE WYPIŁEM! – wrzasnął.

– Taaa...

– Przysięgam ci, że tylko jeden kieliszek dla towarzystwa!

– Jak wychodziłam z łazienki, to butelka była już nieźle opróżniona. Nie wciskaj mi kitu!

– To nie ja! To on pociągnął chyba z połowę flaszki. Ja nie! Owszem, namawiał mnie, nawet bardzo, ale odmówiłem. Co ty myślisz, że jestem samobójcą?!

I tak mu nie wierzyła. Kiwnęła z dezaprobatą głową i zamknęła oczy. Stopniowo dochodziła do siebie.

– Gdzie on jest tak w ogóle? Znając ciebie, pewnie wydzierałaś się jak opętana.

W tym samym momencie, w którym Karolina otworzyła oczy, po nocnym niebie ponownie rozniósł się błysk pioruna.

Właśnie... To było dobre pytanie. Wrzeszczała z całej siły, więc Rogucki musiał ją słyszeć, a poza tym – co właśnie sobie przypomniła i czego była stuprocentowo pewna – zaraz po wybudzeniu się widziała w korytarzu jego cień od lampki, więc na pewno był w domu...

– Jak szedłem spać, mówił, że położy się na kanapie na dole, więc...

Karolina podniosła się i wstała. Jeszcze nie wiedząc dlaczego i czy jej ostrożny krok ma jakikolwiek sens, zaczęła skradać się w kierunku korytarza.

– Gdzie idziesz? – zapytał Tomek szeptem, który również dla niego samego był dosyć zaskakujący, ale jednocześnie dziwnie podskórnie czuł, że był on teraz jak najbardziej zasadny. W odpowiedzi przytknęła palec do ust i wyszła na ciemny łącznik. Burza i idące za nią potężnie bębniące o blaszany dach krople były dla jej konspiracyjnego poruszania się po skrzypiących panelach prawdziwym błogosławieństwem. Pokonawszy korytarz, który zdawał się jej w tej chwili mieć całe kilometry długości, ostrożnie wyjrzała zza rogu u szczytu schodów na doskonale widoczny z tego miejsca – oczywiście na tyle, na ile to było w tym słabym świetle możliwe – salon. Jej serce na powrót zaczęło walić jak młotem.

Tak, Rogucki musiał ją słyszeć.

Musiał, gdyż jakby nigdy nic siedział sobie teraz na kanapie, która z perspektywy schodów stała do nich tyłem, a więc miał dziewczynę za plecami i jej nie widział. Na pewno był też zupełnie przytomny i raczej nie obudził się tuż przed chwilą, ponieważ był normalnie ubrany i... popijał sobie piwko. Po chwili odstawił je i zaczął intensywnie ruszać głową z trzaskaniem karku włącznie. Karolinie bardzo nie spodobało się to jego

zachowanie.

Bardzo, bardzo jej się nie spodobało...

Gdy mężczyzna zaczął się powoli ku niej odwracać, uderzył kolejny piorun. Jakby pod jego wpływem w ułamku sekundy wszystkie elementy tej pokręconej układanki niepostrzeżenie ułożyły jej się w jedną całość. Doznała olśnienia. Obudziła się. Słowem, chyba wiedziała już, co się tutaj dzieje... Starając się oddychać jak najciszej, czym prędzej ukryła się za rogiem, by nie znaleźć się w zasięgu jego wzroku. Myślała gorączkowo. Czuła się, jakby wcześniej postępowała pod wpływem tabletki gwałtu, która właśnie teraz przestała działać. Jakby po całych godzinach nieprzytomnego ośpienia nagle odzyskała jasność umysłu...

Ośpienia, które trwało od wczoraj, od kiedy go poznali.

W życiu nie przeszło jej przez głowę, że mężczyzna ten kiedykolwiek będzie wzbudzać w niej tak ogromny strach jak w tej chwili...

Jak mogła być tak głupia? To, co zrobili z Tomkiem, było tak bardzo nie w jej stylu, że było dla niej teraz niepojętym, iż naprawdę się na to zgodziła.

Zgodziła się nocować na jakimś zupełnym odludziu u kompletnie nieznanego jej faceta. Faceta, który już od samego początku był względem nich podejrzanie przesadnie miły.

Do tego takiego, który potrafił w pojedynkę spuścić łomot kilku ulicznym chuliganom naraz. I wiedział o wielu rzeczach...

Na przykład bardzo dużo o cukrzycy...

**NO JAK MOGŁA BYĆ AŻ TAK GŁUPIA?!!!**

Wstrzymała oddech i powoli się odwróciła. Modląc się w duchu, by jego wzrok nie przenikał przez ścianę, zaczęła ostrożnie kroczyć z powrotem do pokoju. Tym razem droga ta wydała jej się jeszcze dłuższa niż poprzednio, a każde skrzypnięcie paneli – dwa razy głośniejsze. Gdy tylko przekroczyła upragniony próg, od razu zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę, w którą były na szczęście wyposażone. Wciąż osłabiony Tomek w dalszym ciągu leżał na ziemi.

– Co jest?

– Gdzie jest twój pen? – Karolina podjęła ostatnią próbę przekonania siebie, że jej nedorzeczna teoria spiskowa jest jednak błędna.

– W plecaku. Tam gdzie go chowałem po kolacji.

Wzięła go i zaczęła przetrząsać. Z każdą sekundą ręce drżały jej coraz

bardziej.

– Kara, co jest?

– Jesteś pewien, że chowałeś go do plecaka? Błagam, przypomnij sobie, że... rzuciłeś go na ziemię? – Dojrzała charakterystyczny piórniczek, który leżał tuż pod regałem. Tomek – z malującym się na twarzy szczerym zdziwieniem – także spojrział w tamtą stronę.

– Nie rzuciłem! Jestem pewien, że go chowałem i potem go nie używałem!

Karolina podniosła futerał i otworzyła go. Aplikator do insuliny wciąż w nim był.

– Kara! Co jest? – zapytał po raz trzeci. Każdy kolejny z nich był coraz głośniejszy.

Włożyła piórniczek z powrotem do plecaka.

– On tam jest.

– Kto?

– Rogucki. Siedzi na dole, w salonie na kanapie i pije piwo. Musiał mnie słyszeć, jak wołam pomocy. Nie ma innej opcji. A mimo to nie przyszedł.

– Nie widziałas go wcześniej?

Zastanowiła się. Nie zarejestrowała, czy był tam również wtedy, gdy w panice szukała na parterze czegoś na ratunek, ale tak naprawdę nie miała podstaw, by to w stu procentach wykluczyć. Sama myśl, że mogło tak w istocie być i jak blisko jej by się wtedy znajdował, mroziła jej krew w żyłach...

– Nie wiem.

– Może gdzie wyszedł i nie słyszał...

– Ale gdzie wyszedł, Tomek?! W środku nocy? W taki deszcz?! Jak tylko się obudziłam, zobaczyłam cień za drzwiami. Był u nas w pokoju, tuż zanim dostałeś hipoglikemii! Rozumiesz? Był u nas w pokoju! Do tego twój pen wala się na podłodze, choć powinien być w plecaku, a ty miałeś niedocukrzenie, choć, jak twierdzisz, wypijeś tylko jeden kieliszek! Jak mam to wszystko rozumieć?!

Tomek momentalnie rozbudził się w stu... no powiedzmy osiemdziesięciu procentach.

– Sugerujesz, że... on mi to wstrzyknął? Ale po co miałby to robić?

– Żeby cię zabić? No bo jaki inny miałby powód? Zresztą nie wiem jaki

i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że chcę stąd spieprzać jak najprędzej. Nie chcę ryzykować i się upewniać, jakie ma naprawdę zamiary. Musimy uciekać.

Fakty i ich znaczenie wciąż docierały do chłopaka z pewnym opóźnieniem i w dalszym ciągu miał spore trudności z sensownym ich przyswojeniem. Ale nawet w tym stanie przedstawiana przez Karolinę wersja wydarzeń wydawała mu się skrajnie nieprawdopodobna. Pan Andrzej? Ten szarmancki, odcytany, obrzydliwie uprzejmy facet miałby być mordercą?

Choć dalej nie potrafił w to uwierzyć, nie mógł jednak zaprzeczyć jednej rzeczy.

Coś tej nocy wyraźnie było nie tak.

Nie miał ani siły, ani głowy na chociażby próbę zanalizowania tego na swój sposób. Krótka piłka. Mieli do wyboru dwie proste możliwości: albo zostać w jednym domu z nieznanym im facetem, który mógł właśnie próbować go w wykwinny, elegancki i bezbolesny sposób zamordować i udawać, że nic się nie stało, albo... zwiewać.

Wykwinny, elegancki i bezbolesny... Jakże pasowało to do mężczyzny, którego znali. Albo inaczej – do jego twarzy, którą znali.

Nie zastanawiał się już nawet chwili i wstał.

Smartfon Karoliny był rozładowany, co zresztą i tak nie miało żadnego znaczenia w obliczu braku zasięgu, o którym stosownie informował telefon Tomka. Szukając wzrokiem czegokolwiek, co mogłoby posłużyć mu teraz za broń, chłopak rozejrzał się po pokoju, ale niczego takiego nie dojrzał. Przypomniawszy sobie o penie, ale zaraz uświadomił też sobie fantastyczne umiejętności walki Roguckiego. Nie było siły, by dali mu radę nawet we dwójkę... Próba wyjścia z tego domu tak, jak do niego weszli, zdecydowanie nie wchodziła więc w rachubę.

– Przez okno – rzucił w końcu.

Wiedział, że to pomysł rodem z kiepskich filmów akcji, ale też nic innego nie przychodziło mu do głowy. Podobnie jak z tym, by do zejścia na dół użyć związanych ze sobą podszewek, prześcieradeł i ubrań. Gdy skończyli przygotowywać tę prowizoryczną linę, i tak nie byli pewni co do jej długości, ale nie mieli innego wyboru. Przywiązali ją mocno do nogi łóżka.

– Ty idziesz pierwsza czy ja?

– Ty. Jeżeli to wytrzyma twój ciężar, to i mój.

Najciszej, jak tylko się dało, wspólnie przestawili łóżko i krzesło tuż pod umieszczone na spadzistym dachu okno. Stawianie mniejszego mebla na większym było średnio dobrym pomysłem, gdyż miękki materac i delikatne szczebelki pod nim bynajmniej nie gwarantowały solidności tej konstrukcji, ale okno było stosunkowo wysoko, więc dla powodzenia ich planu było to niezbędne. Tomek otworzył je, wyrzucił przez nie związane prześcieradła i podszewki, założył swój plecak i wspiął się na chwiejące się niepewnie na łóżku krzesło, podczas gdy do i tak już solidnie zalanego fantą pokoju zaczęła wlewać się ściana deszczu. Chwycił się framugi okna, policzył w myślach do trzech i się podciągnął. W ciemności nocy nie widział, jak stromy jest dach, ale do wytworzenia sobie w głowie tego obrazu wystarczyła mu jedynie jego wyobraźnia.

A w niej ten dach był stromy jak cholera...

Ostrożnie przełożył nagie stopy na mokrą blachę. Oddychał bardzo szybko, bo wiedział, że wystarczy jeden fałszywy ruch i skończy z niejednym pewnie złamaniem zakopany w błocie. W końcu znalazł się w takim położeniu, że mógł chwycić się za framugę okna, ale będąc już na zewnątrz. Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i tym razem złapał się za samą linę. Momentalnie naprężyła się ze złowieszczym trzaskiem, ale wyglądało na to, że wytrzymała. Zaczął więc bardzo powoli zsuwać się centymetr po centymetrze, aż w końcu dotknął stopami rynny. Teraz czekał go w tej eskapadzie najtrudniejszy moment, gdyż przytrzymując się prześcieradła i śliskiego dachu jedynie rękami, musiał zawisnąć nogami w powietrzu. Choć jego pokryte gęsią skórą ciało wciąż atakował przeraźliwy chłód deszczu i nocy, był pewien, że większość wody, którą miał na sobie, stanowi jego własny pot. Wstrzymał oddech, napiął maksymalnie swoje potężne bicepsy i pozwolił swojemu ciału powoli zjechać. Jego genitalia boleśnie otarły się o rynnę.

Nagle usłyszał krótki, ale za to bardzo głośny odgłos rwania i już chwilę po nim czuł, jak jego narządy wewnętrzne przez ułamek sekundy z nieprzyjemnym łaskotaniem unoszą się w powietrzu. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy wylądował brzuchem na szczęśliwie miękkiej teraz jak gąbka i równie jak ten przedmiot nasiąkniętej wodą ziemi. Wysokość była jednak znaczna, więc od tego niespodziewanego, błyskawicznego, bliskiego spotkania ze skorupą ziemską zabrakło mu tchu.



– Tomek! Wszystko OK? – Usłyszał. Jęknął w duchu: „ciszej, kobieto!”. Ta to jest dopiero inteligentna... Co gorsza – musiał jej teraz odpowiedzieć, więc wygramoliwszy się z trudem z błota, z pulsującymi bólem żebrami stanął i – o ile można o tym w ogóle w ten sposób mówić – zawołał najciszej, jak tylko mógł:

– Tak! Lina się porwała. Złaż, złapię cię!

– Co? Nie słyszę!

„Chryste... znaczy: ja jebię”.

– Złaż!!! – wrzasnął, zanim zdążył się powstrzymać. Błogosławił przy tym dwa fakty: że akurat w tym miejscu w domku Roguckiego (o ile – co właśnie przyszło mu do głowy – mężczyzna rzeczywiście tak się nazywał) nie było okien oraz że właśnie uderzył kolejny piorun.

Karolina usłyszała i zrozumiała wrzask Tomka aż nadto. W ciemności nie widziała, jak zleciał, a co za tym idzie, nie wiedziała też nic o porwanej linie. Gdyby było inaczej, to już dawno sparaliżowałby ją strach...

Z trudnością wgramoliła się na okno i drżąc, przełożyła bose stopy na stromy dach. Powtarzając to, co zrobił Tomek, póki go jeszcze widziała, ostrożnie i powoli odwróciła się i złapała za framugę całymi ramionami od zewnątrz. Minęło sporo czasu, zanim odważyła się ją puścić i złapać tylko za przywiązaną do nogi łóżka podszewkę. Przytrzymała się jej kurczowo. Deszcz błyskawicznie zmoczył jej włosy, a spływający ze szczytu dachu strumień w mig sprawił, że całe jej ubranie nasiąknęło ogromną ilością wody. Napięła swoje skromne mięśnie i trwała w tej samej pozycji przez kilka minut, szybko oddychając. Bała się nawet ruszyć.

Tomek patrzył wyczekująco w górę, stojąc jak na szpilkach. Owszem – spodziewał się, że zajmie jej to o wiele dłużej niż jemu, ale w ich sytuacji każda sekunda była teraz dla niego jak minuta. Od czasu do czasu odrywał wzrok od dachu i z duszą na ramieniu rozglądał się wokół. W każdym z okien wciąż paliło się to samo słabe światło i w żadnym z nich nie dojrzał choćby namiastki ruchu. Zimny deszcz i poczucie zagrożenia rozbudziły go już całkowicie.

Niech ona wreszcie zejdzie...

Niech zejdzie i niech wreszcie stąd uciekną...

Karolina zebrała się w sobie i w końcu zaczęła powoli zsuwać się na dół. Po jakimś czasie tej trwającej dla niej nawet dłużej niż przejście przez korytarz w domu Roguckiego wędrówki poczuła wreszcie pod stopami

rynne. Gdy oparła o nią palce u nóg, ta zatrzeszczała pod nimi złowieszczo. Sięgnęła nieco niżej po kolejny fragment liny.

Ta jednak kończyła się zaledwie kilka centymetrów pod miejscem, w którym aktualnie ją trzymała...

Zakręciło jej się w głowie, a jej zmęczone wszystkimi wydarzeniami tej nocy ręce niezależnie od niej osłabiły znacznie uścisk i materiał wyslizgnął jej się z dłoni. Gdy z przeraźliwym piskiem spadała, złapała się jeszcze po omacku za rynnę, ale ta nie wytrzymała jej ciężaru i oderwała się od dachu z niesamowicie głośnym trzaskiem. Oczekiwała na uderzenie, ale to było znacznie mniej bolesne i o coś znacznie mniej twardego, niż się spodziewała.

Trzymający ją Tomek głośno wypuścił powietrze.

Nie było czasu do stracenia, bowiem już po chwili w domu zapaliło się dodatkowe światło. Chłopak czym prędzej postawił Karolinę na ziemi, porwał z błota resztkę ich prowizorycznej liny, by choć trochę opóźnić Roguckiemu trafne zanalizowanie tego, co się właściwie przed chwilą wydarzyło, i obydwójce zaczęli biec na oślep w kierunku – jak im się słusznie zdawało – klasztoru. Dzieliło ich jednak od niego wiele kilometrów przez las, a ostre, walające się po żwirowej drodze i kaleczące ich nagie stopy kamienie i szyszki wcale nie ułatwiały im biegu.

Trzymając się przez cały czas brzegu jeziora, dotarli do samochodu, gdy nad Wigrami zaczęły pojawiać się pierwsze nieśmiałe oznaki świtu. Zgodnie padli na czworaka na ziemię. Karolina poczuła silne mdłości i wymiotowała pod siebie. Jej płuca dosłownie płonęły żywym ogniem. Z Tomkiem wcale nie było lepiej. Próbował wstać, ale nogi ugięły się pod nim bez żadnej jego kontroli i ponownie wylądował tyłkiem na mokrym bruku. Na szczęście – co dopiero zauważyli – burza ustąpiła już lekkiej mżawce.

Po kilkunastu minutach dochodzenia do siebie chłopak podjął kolejną próbę dźwignięcia się na nogi, tym razem jednak przezornie przytrzymując się auta. Czuł się już trochę pewniej, więc ostrożnie podszedł do Karoliny i pomógł jej wstać. A raczej wyglądało to tak, że sam podnosił jej bezwładne ciało jak lalkę.

– W porządku?

Spojrzała na niego żałośnie z trupio bladą twarzą i nieobecny od skrajnego wyczerpania, przekrwionymi oczami. Prawie nie słyszała, co do

niej mówił. Czują, że gdyby przebiegła jeszcze choćby metr więcej, to tu i teraz w jego rękach zesłaby z tego świata.

– Chodź... Jedziemy.

Choć w szaleńczej ucieczce kompletnie zapomnieli o kluczykach od samochodu, szczęśliwie nie miało to żadnych konsekwencji, gdyż te, od kiedy ostatni raz opuścili audi, przez cały czas znajdowały się w małej kieszeni plecaka. Tomek otworzył Karolinie drzwi i pomógł jej usadowić się w fotelu. Następnie sam zajął swoje miejsce i wreszcie mogli wyjechać z brukowanego placu pod wigierskim obiektem, na którym oprócz ich auta znajdowało się jeszcze tylko jedno.

„Dlaczego on to zrobił? A jeżeli nie on, to kto? Ale jeżeli nie on, to dlaczego on mi nie pomógł? Co robił w naszym pokoju? Dlaczego pen leżał na ziemi? Dlaczego...” Gorączkowe myśli kumulowały się w świadomości dziewczyny tak gęsto, że zdała sobie sprawę, iż wymawia je na głos dopiero wtedy, gdy Tomek krzyknął:

– Nie wiem, Kara!

Dręczyły go dokładnie te same pytania i brak jakiegokolwiek logicznej na nie odpowiedzi z każdą kolejną sekundą frustrował go coraz bardziej. W przyпіływie natychmiastowej potrzeby wyładowania bezsilnej złości uderzył pięścią we wciąż wiszącą na lusterku choineczkę zapachową. Zrobił to tak silnie, że podtrzymująca granatowe tworzywo gumka prawie się porwała.

Żadne z nich nie odezwało się już ani słowem do momentu, w którym dojechali do Suwałk. Przejeżdżając przez aleję Pułaskiego, której przedłużeniem była droga krajowa ze skrętem do Białodębów, minęli ogromny budynek siedziby policji. Tomek dostrzegł kątem oka, jak Karolina odwraca się w jego stronę, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, rzekł:

– To nie ma sensu. Nie mamy żadnych dowodów.

– No nie, ale...

– Niezależnie jak wiarygodnie byśmy to opowiedzieli, a tego nie da się opowiedzieć wiarygodnie, nie zajmą się tym. Mogę się założyć. Zresztą co im powiemy? Przecież to same domysły. Założę się, że jeżeli on rzeczywiście to zrobił, to nie był na tyle głupi, by zostawić na penie odciski. Nic więc tak naprawdę na niego nie mamy. Równie dobrze wersja może być taka, że on poszedł do klopa ze słuchawkami na uszach, a w tym czasie

do domu na tym zadupiu, zanim zadzwonili na jutrznię, wślizgnął się sam diabeł z legendy, wstrzyknął mi to i zdążył zwiać, zanim Andrzejek się choćby podtarł. Równie pokręcona historia. A sama słyszysz, jak to brzmi.

Karolina nie miała siły na dalszą dyskusję na ten temat, więc dała za wygraną, choć wewnątrz dosłownie nią trzęsło. Z szoku, niedowierzania, bezradności i frustracji. Nie... Nie, nie przechodzi się tak łatwo do porządku dziennego po czymś takim. I to nawet mimo że w miarę upływu czasu wersja z próbą zabójstwa brzmiała coraz bardziej niedorzecznie.

Nieprawdopodobne...

Co się tam tak naprawdę wydarzyło? O co w tym wszystkim chodzi? Próbowwała wyszukać jakiegokolwiek inne sensowne wytłumaczenie tego, co przeżyli, w obliczu faktów, jakie znali, ale bez skutku. Niewyjaśniona hipoglikemia Tomka, czyjaś obecność w pokoju tuż przed ich przebudzeniem i pen leżący nie w tym miejscu, co trzeba, były skorelowane ze sobą bez żadnej dyskusji. Były to dowody jawnej zbrodni. A skoro mamy zbrodnię, to potrzebujemy już tylko podejrzanych.

A ich krąg był śmiesznie mały. Jednoosobowy.

Mimo to wciąż toczyła ze sobą w myślach rozpaczliwą walkę. Wciąż jakaś jej część nie chciała tak raz na zawsze przesądzić, że to wszystko było tym, na co wyglądało. Raz, że rodziło to wiele pytań o motyw, dwa – w obliczu twarzy Roguckiego, jaką do tej pory znali, czyniło go w oczach dziewczyny jeszcze bardziej przerażającym.

Czy naprawdę przez cały dzień pływali na Wigrach z mordercą?

A może jednocześnie zarazem kimś jeszcze gorszym? Nie można było wykluczyć, że jego jedynym celem tej nocy był Tomek. Jakie w takim razie mógł mieć zamiary wobec niej? Przypomniała sobie niedawne słowa Wawrentowicza.

„Najwyraźniej cię lubi. Próbuj”.

Zadrzała. Nie chciała nawet o tym myśleć.

Tomek przejechał przez wciąż śpiące jeszcze miasto i skierował się w jedyne miejsce, gdzie mogli teraz pojechać – do Białodębów. Przejechali przez jeszcze bardziej gęsty, ożywiony całonocną ulewą las i wjechali w końcu na podwórko pod rezydencją Prusów. Frontowe drzwi tradycyjnie były otwarte (choć gwoli ścisłości już nie na oścież), więc nie mieli żadnych problemów z dostaniem się do domu i po cichu weszli na piętro. Po otwarciu pokoju nie zadali sobie nawet trudu, by zdjąć brudne od błota

ubrania, i obydwójce padli na łóżko tak, jak stali. Pomimo zmęczenia od kotłujących się w ich głowach pytań żadne z nich nie mogło jednak zmrużyć oka.

„Dlaczego...?”

Karolina miała już tych wszystkich dociekań tak serdecznie dość, że postanowiła zająć się czymkolwiek, co pomogłoby jej się od nich oderwać choć na chwilę.

– Idę się kąpać... – Podniosła się z trudem, chcąc zrealizować pierwszy pomysł, który przyszedł jej do głowy.

– Idź. Ja po tobie.

Gdy wstała z łóżka, lekko zakręciło jej się w głowie, ale wytrzymała to. Sięgnęła do walizki po kosmetyczkę i świeże ubrania, po czym wyszła na korytarz. Po wejściu pod prysznic odkręciła wodę na najgorętszy możliwy poziom.

„Dlaczego...?”

W pewnym momencie usiadła bez ruchu w brodziku i pozwoliła wodzie po prostu bezwładnie po niej spływać. Siedziała tak jednak tylko chwilę, gdyż niczym człowiek o zespole niespokojnych nóg nie mogła sobie znaleźć optymalnej pozycji. Stwierdziła w końcu, że czego jak czego, ale wody tego dnia to ma już po dziurki w nosie, i zakręciła ją. Wyszła chwiejnie zza zasłony, wytarła się, niezgrabnie się ubrała i podeszła do lustra. Spuściła głowę, bo poczuła nagle, że słabnie. Oparła się obydwoma rękami o umywalkę.

Lekki ślad po spływającym do wylotu śluzie wciąż się na niej utrzymywał. Walcząc z kolejnymi mdłościami, odwróciła od niego wzrok.

Wtem coś uderzyło o okno łazienki.

Spojrzała w jego stronę, ale nie zauważyła niczego szczególnego poza energicznie poruszonymi wiatrem gałęziami rosnącego tuż przy domu drzewa. Wzięła głęboki oddech i pochyliła się nad umywalką jeszcze raz.

Uderzenie się powtórzyło. Jakby pod jego wpływem w następnej sekundzie ogarnęło ją nagle intensywne uczucie, że jest przez kogoś obserwowana. Rozejrzała się uważnie po łazience, po czym ostrożnie podeszła do okna. Podobnie jak poprzednio nie dostrzegła jednak niczego podejrzanego. Spojrzała w dół. Na podwórku także nie było nikogo. Postanowiwszy nie rozwodzić się nad tą kwestią ani chwili dłużej i w końcu wrócić do Tomka, odwróciła się na pięcie w stronę drzwi od łazienki.

Uderzenie za jej plecami rozległo się po raz trzeci.

Dziewczyna zatrzymała się i bardzo powoli odwróciła się z powrotem do okna. Niepokój narastał w niej z każdą sekundą. Za szybą w dalszym ciągu nie było jednak widać niczego, co mogłoby powodować te odgłosy. Na parapecie nie stał ani ptak, ani żadne inne zwierzę. Chcąc tego ranka znaleźć rozwiązanie przynajmniej tej jednej zagadki, znowu podeszła do okna i tym razem je otworzyła.

Niemal natychmiast uderzył ją podmuch silnego, przypominającego wręcz morską bryzę wiatru. Rosnące tuż przy domu drzewo przechyliło się niebezpiecznie w jego stronę, prawie jej przy tym dotykając.

Wyjaśniło się.

Zamknęła okno z myślą, że Prusowie powinni wreszcie zająć się przynajmniej skróceniem gałęzi tego drzewa. Oczywiście jeżeli nie chcą któregoś dnia takiego jak ten obudzić się z wybitą szybą.

Ponownie skierowała się do wyjścia.

Zaczęło się to wraz z momentem, gdy mijала lustro.

Zatrzymała się po raz kolejny.

Czuła obok siebie czyjąś obecność tak silnie, tak intensywnie, że bała się choćby ruszyć. Tak jakby miało to na tę istotę zadziałać jak płachta na byka albo ucieczka na agresywnego psa... Nie było to już – jakże banalnie i łagodnie teraz brzmiące – wrażenie bycia obserwowanym. Była też pewna, że nie był to żaden wytwór jej zmęczonej nocnymi przygodami wyobraźni. Nie, to było coś znacznie gorszego – ewidentne wewnętrzne przekonanie, że w którąkolwiek stronę by się teraz ruszyła, to natrafiłaby na jakąś niewidzialną, żyjącą swoim życiem przeszkodę... Nie potrafiła nawet powiedzieć, z czego to tak naprawdę wynikało. Czy z nagle jakiegoś takiego innego, cięższego powietrza, czy może z tej wytłumionej ciszy, która przypominała tę panującą przy znikającej ścieżce niedaleko Gałęzistego...

Czy może z tego jej strachu... Paralizującego, żyjącego własnym życiem, niemal fizycznie wypełniającego ją bytu...

Zauważyła to kątem oka w lustrze.

Usilnie powstrzymywała się, by za wszelką cenę na nie nie spojrzeć. Ale jeszcze bardziej lękała się odwrócić, gdzie ten ktoś, a może coś stało. Cholerna, masochistyczna ludzka ciekawość okazała się jednak silniejsza. Nie wykonując choćby nawet najmniejszego gwałtownego ruchu, znowu

stanęła przodem do umywalki, wciągnęła powietrze, przemogła się i w końcu spojrzała w lustro.

Stał tuż za nią, odwrócony do niej plecami.

Gdy zaczął bardzo powoli wykręcać ku niej swoje wychudłe, tak sine, że aż podchodzące pod zieleń ciało i spojrzał jej w oczy swoimi żółtymi, fosforyzującymi ślepiami z pionowymi, gadzimi źrenicami, Karolina wreszcie odzyskała głos.

\*

Dom rozdarł przeraźliwy wrzask, który w mig wybudził na wpół nieprzytomnego Tomka. Niewiele myśląc i wciąż działając jeszcze nie do końca świadomie, zerwał się na równe nogi i wybiegł na korytarz.

– Kara?

Dziewczyna wyskoczyła z łazienki, wciąż opętańczo wrzeszcząc. Uciekała przed czymś tak szybko, że prawie go staranowała. Nie był nawet pewien, czy go w ogóle na swojej drodze zauważyła. Gdy łapał ją w objęcia, zabrakło mu tchu.

– Uspokój się! Co jest? Co się stało?

Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie i to nawet biorąc poprawkę na jej ogólną strachliwość. Drżała tak silnie, że nawet on trzymając ją, nie mógł powstrzymać drgawek. Miała tak nieprzytomny, tak nieobecny, a zarazem tak niesamowicie wypełniony przerażeniem wzrok i oddech tak szybki, że Tomek znowu przestraszył się nie na żarty. Objął ją.

– Już dobrze...

– Nie, nie dobrze!

Wyrwała się z jego objęć.

– Co ci jest?

– Jedźmy stąd!

– Ale o co...?

– Błagam cię, jedźmy stąd! Wracajmy do Warszawy! Już, teraz, zaraz!  
– Z każdym słowem łkała coraz bardziej i w końcu zalała się łzami. Już sam fakt, że tak rzadki u niej na co dzień płacz przydarzył jej się już drugi raz w ciągu trzech dni, był najlepszym dowodem na to, że powinni byli wynieść się z tego miejsca jak najszybciej.

Z tej wioski. Z tego regionu.

Z tego województwa.

Tomek miał wielką ochotę na zadawanie kolejnych pytań, ale w końcu

uznał, że przyjdzie na to jeszcze czas, i na razie z całej siły ją przytulił. Niezależnie od powodów, dla których tak mówiła (a te – patrząc na jej stan – na pewno nie były jakąś tam drobnostką), spełniała tym przecież jego najskrytsze, najbardziej upragnione od czwartkowego wieczoru marzenie. Nie zamierzał jej jakkolwiek tego utrudniać.

– Dobrze... Już dobrze. Wyjeżdżamy.

Pospiesznie wrócili do pokoju. Tomek przebrał się i była to właściwie jedyna rzecz, jaką powinien był zrobić, gdyż tak jak na każdym innym wyjeździe wszystko od początku do końca trzymał w swojej torbie. Był więc praktycznie gotowy do drogi. Z Karoliną sprawa przedstawiała się oczywiście inaczej, więc nie tracąc czasu i nie przejmując się wcale, że robi to na odwal, pomógł jej spakować wszystkie rozparcelowane w różnych częściach pomieszczenia rzeczy.

Zresztą ona i tak miała gdzieś, jak starannie to robi.

Nie sprawdzili nawet drugi raz, czy aby na pewno wszystko wzięli, tylko w pośpiechu wyszli na korytarz. Pomimo osłabienia i porannego głodu jakimś cudem udało im się znieść bagaże za jednym zamachem. Bez zastanawiania się wrzucili je do bagażnika audi, zajęli swoje miejsca i czym prędzej wyjechali z podwórka.

Uff... I po wszystkim.

Karolina ukryła twarz w dłoniach.

„Co się ze mną dzieje?!”

Chłopak spojrzał na nią kątem oka. Wiedział, że nie powinien, że było na to jeszcze za wcześnie, ale nie mógł się powstrzymać. Spróbował zrobić to najdelikatniej, jak tylko mógł.

– Co się stało, skarbie?

Przez moment jakby zastanawiała się nad odpowiedzią i w końcu wystrzeliła z siebie przerywaną jedynie od czasu do czasu przez łkające jękanie salwą jak z karabinu:

– Nie wiem... Ja... Ja nie wiem, co się ze mną dzieje, od kiedy tu przyjechaliśmy... Ja dzi-dziwnie się tu-tutaj czułam już od samego początku. Coś mnie chyba... n-nawiedza. Mam jakieś dziwne lęki bez żadnego ostrzeżenia. A czasem i bez... bez wyraźnego powodu. Mam chyba ja-jakieś halucynacje... Widzę jakieś dziwne rzeczy, twarze w wodzie, zmieniające się zdjęcia, jakieś wi-widma w lesie, znikające i pojawiające się znowu ścieżki, teraz to w łazience... Wyplu-plułam coś,



co wyglądało jak pełzający liść...

– Co?!

– Praktycznie co noc dręczą mnie najstraszniejsze ko-koszmary, jakie tylko kiedykolwiek w życiu mi się przyśniły. Jestem kłębkim nerwów... Do tego mam wrażenie, że po-połowa ludzi, których spotykamy, mijamy na ulicy i tak dalej... Ja mam wrażenie, że oni wszyscy się na nas skupiają, patrzą, g-gapią się... Nie wiem, jakby coś chcieli albo coś o nas wiedzieli. Ktoś mnie wczoraj śledził w Suwałkach...

– Co? – powtórzył Tomek. W dalszym ciągu ignorowała jednak jego pytania.

– Do tego ci dziwni ludzie na ognisku, a teraz fa-facet, któremu naprawdę zaskakująco ufałam i którego lubiłam, okazuje się potencjalnym mo-mordercą. Nic, nic z tego nie rozumiem... Za d-dużo jest już tego jak dla mnie... – Znowu się rozplakała.

Choć o połowie z tych rzeczy Tomek w ogóle nie wiedział, a co za tym szło, bardzo chciał, by rozwijała temat, to zrobiło mu się jej jednak tak okropnie żal, że postanowił odłożyć to w czasie, może nawet w nieskończoność. Zaciskając jak dziecko te swoje malutkie piąstki na zalanych łzami oczach, wyglądała tak niesamowicie żałośnie i rozczulająco, że nie mógł się powstrzymać, by jej jedną ręką czule nie objąć. W wyniku tego gestu najwyraźniej przypomniała sobie o czymś jeszcze, bo już po chwili dodała coś, co go zmroziło:

– Do tego ty-ty też się dziwnie zachowywałeś... Mam... Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz. I to niejedną rzecz. Już od czwartku b-byłeś dziwnie zamyślony... Nieobecny... A jak wróciliśmy w piątek z imprezy, to nie chciałeś w-wejść do domu. Ba-bałeś się czegoś. Mówiłeś „to tam jest” i bym nie wierzyła „w nic, c-co mi powie”. Nie powiedziałeś o ko-kogo chodzi. A po-potem do tego zacząłeś mnie jeszcze za coś przepraszać. Mam już dość tych wszystkich pytań bez odpowiedzi, Tomek! Powiedz mi tu i teraz, co się dzieje! Wydaje mi się, jakbyś wiedział trochę więcej niż ja!

Chłopak głośno przełknął ślinę i powoli się od niej oderwał. Pięknie, jeszcze tego mu do szczęścia brakowało... Chciał zyskać na czasie, by coś wymyślić, ale jednocześnie wiedział, że z nią każda kolejna sekunda milczenia zadziała tylko jeszcze gorzej. Wyglądało więc na to, że chyba naprawdę wpadł właśnie jak śliwka w kompot...

Nagle zdał sobie sprawę, co widzi przed sobą, i zahamował ostro. Jako że żadne z nich nie miało zapiętych pasów, obydwójce polecili do przodu. Karolina uderzyła dłonią o drzwiczki od schowka i syknęła z bólu.

– Co jest...?

Widok ten był tak... ekhem... dziwny, że Tomek aż otworzył drzwi i wysiadł. Jakby w nadziei, że gdy będzie patrzył na to w inny sposób niż przez przednią szybę, sytuacja jakimś cudem wróci do normy. Okazało się to jednak niemożliwe.

Ściana lasu, która piętrzyła się zaledwie kilka metrów przed nimi, w dalszym ciągu nie chciała zniknąć.

Nie byłoby w niej nic dziwnego, gdyby nie fakt, że droga, którą się poruszali, została w tym miejscu ucięta. Dosłownie. Idealnie, jak swoista ogromna, żwirowa wstążka przy pomocy abstrakcyjnych nożyc... Mieli na wprost siebie leśną, kończącą się gęstym, nieprzebytym murem drzew ślepa uliczkę... Ogłupiały Tomek gapił się na to z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami.

– Nie pomyliłeś drogi...? – Karolina również wysiadła. Pytanie to było naturalnie idiotyczne, bowiem przez cały czas jechali prosto. Tak jak zawsze, w stronę cmentarzyska Jaćwingów. Nie spotkali jeszcze ani żadnego rozwidlenia, ani skrzyżowania, na którym mogliby wybrać zły skręt. Co więcej – z czego obydwójce zdali sobie teraz jednocześnie sprawę – nie przypominali sobie, by od wyjazdu z Białodębów w ogóle przecięli drogę pożarową. A przecież powinni. Po jakichś dwustu metrach od miejsca, w którym kończyła się polana...

– Wsiadaj. Zawracamy. Wyjedziemy przez Prudziszki – powiedział nagle Tomek. Podobnie jak ona nie zamierzał rozwodzić się nad tym nawet chwili. Liczyło się tylko to, by stamtąd wyjechać.

Gdy zajęli swoje miejsca, chłopak czym prędzej zawrócił i mając gorącą nadzieję, że to, czego się tak podskórnie obawiał, jednak się nie wydarzy, wcisnął gaz do dechy. Nie było czasu do stracenia.

Niestety – wydarzyło się. I to już po kilkudziesięciu metrach, za zakrętem.

Kiedy znowu zaczął gwałtownie hamować, Karolina pisnęła. Tym razem nie wysiedli od razu, tylko przez jakiś czas obydwójce patrzyli na siebie bez słowa. Jakby w ufności, że drugie będzie w stanie to wszystko jakkolwiek racjonalnie wytłumaczyć. Jakkolwiek. Choćby najgłupiej.

Choćby najbardziej absurdalnie. Niestety, zamiast im pomagać, wzajemny widok ich przestraszonych twarzy tylko pogarszał sprawę.

– Co jest...? – powtórzył Tomek milionowy już raz w ciągu ostatnich kilku dni, a drugi w ciągu ostatnich dwóch minut. Nie mógł się powstrzymać. Znowu otworzył gwałtownie drzwi i wysiadł.

Musiał.

Musiał podejść do tych drzew i ich dotknąć. Musiał postarać się przekonać samego siebie, że jednak nie zwariował. Musiał przekonać się przy pomocy własnych rąk, że naprawdę rosną na wprost od jego samochodu i nie są pozbawionym najmniejszego sensu wytworem jego wyobraźni lub czegokolwiek innego...

Nie były.

Gdy przesuwał powoli po korze dłoni, słyszał odgłos tak chropowaty jak ona sama...

To wszystko działa się naprawdę... Widział to. Słyszał to. Czuł to.

Zakręciło mu się w głowie i oparł się o jeden z pni. Tych samych, których jeszcze kilka minut wcześniej, gdy wyjeżdżali z Białodębów... No kurwa! Których zwyczajnie w tym miejscu wtedy nie było! Ani wtedy, ani nigdy indziej! Chcąc za wszelką cenę uniknąć paniki, próbował zebrać myśli, ale z każdą sekundą te kotłowały mu się w głowie coraz bardziej, już dawno osiągając temperaturę wrzenia.

Karolina także wysiadła z auta. Także podeszła do miejsca, w którym i ten fragment drogi został ucięty, i także dotknęła drzew. W rezultacie także i jej zakręciło się w głowie, ale w odróżnieniu od Tomka nie zdążyła się już o nic oprzeć i padła bezwładnie na ziemię.

Jak jej się wydawało – w miejsce, gdzie powinien być żwir.

Zdziwiła się więc, gdy wylądowała na miękkiej trawie.

Rozejrzała się wokół, nie mogąc w to uwierzyć. Nie mogąc uwierzyć w to, co odbierały jej zmysły... Od wzroku, przez rejestrujący leśną ciszę słuch, aż po dotyk dłoni, którymi przesuwała po zarośniętym trawą podłożu. Podłożu, które jeszcze przed sekundą było w tym miejscu częścią żwirowej drogi.

– Tomek... Co się tu, do cholery, dzieje...?

Chłopak odwrócił się do niej, także zobaczył to, czego do tej pory nie widział, i także padł na ziemię.

W porównaniu z tym, co zastali, gdy po raz drugi wysiedli

z samochodu, szlak został w niewyjaśniony sposób ucięty.

Nie, to było raczej złe słowo.

Tym razem prawie w ogóle go nie było. Po prostu zniknął. Wyparował. Ulotnił się.

Ale nie w całości.

Jedyny pozostały teraz fragment żwiru zaczynał się dokładnie pod tylnymi kołami samochodu.

Kończył się zaś... dokładnie pod kołami przednimi.

## ROZDZIAŁ XII

„Nie panikuj...”

„Nie panikuj...”

„KURWA, NIE PANIKUJ!”

Tomek chodził w tę i z powrotem, trzymając się obiema rękami za głowę tak, jakby miało to jakkolwiek pomóc. Pomóc albo jemu w przywróceniu prawidłowej percepcji świata, albo... światu w przywróceniu logicznego, znanego mu na co dzień ładu i składu. Niestety, nie odnosiło skutku ani w jednym, ani w drugim. Podobnie jak te nieudolne rozkazy samemu sobie, by nie panikować. Na to było już bowiem dawno za późno. Do tego wciąż od nadmiaru myśli i wydarzeń kręciło mu się w głowie i czuł mdłości.

Jakkolwiek by próbował ogarnąć to umysłem, z którego punktu widzenia by na to patrzył, jakiegokolwiek naukowe teorie by wysnuwał – znajdował się właśnie w położeniu, którego – choćby się nawet zesrał z wysiłku – nie potrafił logicznie wytłumaczyć. Nie potrafił. Nie i już. Pierwszy raz w życiu nie miał żadnych wątpliwości, że spotyka się z czymś nadprzyrodzonym. Nawet przy zetknięciu się z całkiem prawdopodobnymi telekinetycznymi zdolnościami Natalii nie był tego pewien tak bardzo jak teraz. To, w czego samym środku właśnie tkwili, było już zupełnie innym rozmiarem kapelusza. Nie był to już ten mityczny piorun, którego genezę zacofany w przeszłości ludzki mózg mógł potem w ramach rozwoju nauki sensownie wyjaśnić. No bo niby jak? Nieodczuwalne, zmieniające ułożenie terenu ruchy tektoniczne...? Przy tym jak idealnie ta ścieżka została ucięta!?

Idiotyzm. Bezsens...

Ot, po prostu – była droga i... jej nie ma.

Nie było drzew i... są.

Znajdowali się teraz w małym, otoczonym przez nie trawiastym kwadracie, najwyżej dziesięć na dziesięć metrów. Niedorzeczność tego obrazka potęgował dodatkowo fakt występowania na nim ich samochodu, który znaleźć się w takim – obramowanym szczelnie przez ten leśny zielony mur – miejscu w normalnych okolicznościach nie miał prawa.

Siedząca przez cały czas na ziemi Karolina wstała i jakby chcąc się dodatkowo upewnić, czy za poprzednim razem zmysł dotyku jej jednak nie oszukał, po raz kolejny podeszła chwiejnie do drzew. Drżała na całym ciele.

– Musimy się stąd wydostać... – Dobiegł ją w końcu za plecami głos Tomka. Spojrzała na niego i na widok tych jego pełnych lęku oczu coś w niej pękło. Panika w całości odebrała jej głowę i zupełnie nie kontrolowała już tego, co mówi.

– Wytłumacz mi to wszystko!

– Co?

– To, panie sceptyku! Wytłumacz mi, kurwa, co się tutaj teraz dzieje! Znajdź mi logiczne, naukowe wytłumaczenie!

– Uspokój się! Twoja panika to ostatnie, co nam jest teraz potrzebne!

– Wytłumacz mi!

– NIE WIEM, KURWA!!! – wrzasnął.

Po lesie rozniosło się szydercze, przedrzeźniające jego słowa echo.

Usłyszawszy to, Karolina w mig podbiegła do niego i przytuliła się najmocniej, jak tylko się dało. Czuła, że i on drży... Obydwoje w napięciu rozglądali się wokół.

– Co się tu dzieje...?

– Nie mam pojęcia...

– Boję się...

– Spo-spokojnie... Uspokójmy się... – wyjąkał i wziął głęboki oddech. Musiał wziąć się w garść. Musiał opanować to napięcie. Musiał uporządkować myśli...

Musieli się stąd wydostać.

– Musimy stąd iść – powtórzył.

Spojrzała mu w oczy.

– Gdzie jest twój telefon?

Karolina wyciągnęła smartfon i dopiero teraz przypomniała sobie, że ten umarł już w nocy.

– Rozładowany. A twój?

Tomek wrócił do samochodu i wyciągnął komórkę z plecaka.

– Mój jeszcze żyje, ale znowu nie ma zasięgu... Kurwa, wiecznie nie ma tu zasięgu.

– Zawsze, kiedy byliśmy w lesie, to nie mieliśmy zasięgu... – mruknęła bardzo cicho Karolina po nagłej myśli, która właśnie teraz przysła jej do głowy. Ni to do siebie, ni to do niego.

– Co? – Nie dosłyszał.

– Zauważyłeś?

– Ale co?

– Gdziekolwiek tutaj byliśmy w lesie, to nie mieliśmy zasięgu...  
W Białodębach, w Puszczy Rominckiej, u Roguckiego...

– Ale jakie to ma teraz znaczenie?

– Nie wiem, Tomek! Staram się pomóc!

Wrzuciwszy do plecaka wszystkie rzeczy, które jego zdaniem mogły się teraz przydać, Wawrentowicz zamknął samochód.

– Musimy stąd wyjść – powtórzył po raz drugi.

– Co chcesz zrobić...?

– WYJŚĆ! Idziemy stąd!

– Chcesz zostawić samochód?

Kurwa, nawet teraz musiała zadawać te swoje durne pytania.

– A jak, według ciebie, mam stąd wyjechać?!

Karolina zamilkła. W sumie teraz jego rozwiązanie wydawało jej się oczywiste, więc tym bardziej nie wiedziała, dlaczego z początku wołała nie opuszczać tego trawiastego, wyciętego w puszczy kwadratu.

Innymi słowy – czemu wołała nie wchodzić w ten dziki, mroczny, gęsty las...

– Chodź, nie traćmy czasu! – pogonił ją.

Nie zastanawiała się już ani chwili dłużej. Podbiegła do niego, chwyciła go mocno za rękę i we dwoje weszli między drzewa. Tomek kierował się w tę stronę, gdzie jak mu się wydawało, zaraz powinny znajdować się Białodęby. Zaskakująco nawet dla niego samego nie zdziwił się jednak, gdy pomimo postępujących minut ich szybkiego marszu znajoma polana w dalszym ciągu nie pojawiała się w zasięgu wzroku...

W całej tej otaczającej ich nielogiczności było to teraz zaskakująco... logiczne.

Karolina nagle się zatrzymała.

– Zobacz...

Nie wiedząc z początku, o co jej chodzi, spojrział w tę samą stronę, co ona, i dopiero po chwili dojrzał rzecz, która do tej zielono-brązowo-szarej iluminacji wokół nich wyraźnie nie pasowała.

Tę znajomą, czerwoną rzecz...

Plecak – ten sam, który dziewczyna zgubiła kilka dni temu podczas ich nocnej ucieczki przed dzikiem – wisiał jakieś pięć metrów nad ziemią, na gałęzi jednego z drzew.

– Co do... – Tomek podszedł do niego z ogłupiałym wzrokiem. Po chwili zaczął trząść pniem i gdy już zaraz plecak spadł na ziemię, podniósł go i zajrzał do środka. Wyglądało, że dalej zawierał wszystkie rzeczy, o których mówiła wcześniej Karolina. Do tego, co najdziwniejsze, zarówno one (w tym przecież i bluza chłopaka), jak i on były zupełnie suche. Nie pasowało to do wciąż mokrej po nocnej nawałnicy ściółki i licznych spadających im raz po raz na głowy pojedynczych kropel.

Tomek oderwał wzrok od wnętrza plecaka i po raz kolejny spojrzął w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą wisiał.

– Jak on się tam, do chuja, znalazł?

Karolina nie odpowiedziała. Wstał i założył znaleziony plecak na drugie ramię.

Były tylko dwie w miarę sensowne możliwości wytłumaczenia tego wszystkiego. Albo ktoś go znalazł i dla żartu tam powiesił, albo...

Nie, tej drugiej zdecydowanie nie można było zaliczyć do zbioru „sensownych”.

– Chodźmy...

Powtórnie podjęli marsz. Na tyle, na ile pozwalała Tomkowi jego orientacja w terenie, był pewien, że już dawno powinni byli dojść do Białodębów. Nie wiedział, czy Karolina też zdawała sobie z tego sprawę, ale nie chciał artykułować tego na głos. Po prostu posuwał się naprzód, gdyż tylko to w ich sytuacji wydawało mu się sensowne. Cisza z delikatnym szumem drzew w tle była irytująca. Do tego nie mógł pozbyć się wrażenia, że szum ten jest... miarowy, rytmiczny? Chcąc za wszelką cenę go nie słyszeć, postanowił się odezwać. Karolina była jednak szybsza i co gorsza zrobiła to w najgorszy z możliwych sposobów:

– Już dawno powinniśmy być w Białodębach, prawda...?

– Nie wiem... – skłamał.

– Ty wiesz i ja wiem...

– Nie wiem, może idziemy w złą stronę...

Nagle padła pośladkami na ściółkę.

– Nigdy się stąd nie wydostaniemy... – załkała i ukryła twarz w dłoniach.

– Co ty mówisz?!

– Ten las... On żyje...

– Przestań!



– Nie pozwoli nam wyjść...

Chwycił ją pod pachami.

– Wstawaj!

Oderwała się od niego i znowu wylądowała na ziemi.

– To nie ma sensu, Tomek... Nigdy stąd nie wyjdziemy! Sam widzisz, że możemy iść naprzód w nieskończoność, a i tak będzie ciągle to samo...

– Jak będziemy siedzieć i rozpaczać, to tak będzie. Wstawaj! Nie możemy się od razu poddać!

Złapał ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak, powinniśmy być już w Białodębach, ale nie jesteśmy. Nieważne. Idźmy, aż gdzieś dojdziemy. Gdziekolwiek!

– On zachowywał się tak już wcześniej... W Botkunach, przy Gałęzistym... Ostrzegał nas...

– Kara, skończ!

– Ostrzegał nas, pokazywał, do czego jest zdolny, a my zamiast stąd uciekać, udawaliśmy, że coś nam się tylko przywidziało...

– Karolina!

– Nie mam siły iść...

– Musisz!

– Jestem głodna.

– Ja też, ale musimy być... Poczekaaj. – Ponownie zdjął z siebie czerwony plecak, pogrzebał w nim i wyciągnął kilka kabanosów wraz z ostatnią, nie pierwszej już świeżości kanapką, które zostały im po środowej podróży.

– Zjedz wszystko – zachęcił ją.

– A ty?

– Ja sobie poradzę. Jedz.

– Ty też zjedz...

– Jedz, nie dyskutuj! – warknął. – Przepraszam – dodał od razu. Kłótnia naprawdę nie była im teraz potrzebna.

Choć i tak jak na czas, który minął od ich ostatniego posiłku, ta resztkę jedzenia to było tyle co nic, po jej błyskawicznym pochłonięciu Karolina poczuła się trochę lepiej. Co prawda dalej uważała, że ich wysiłek na nic się nie zda, ale wzięła go za rękę i ponownie ruszyli naprzód. Bardzo pomógł jej też jego silny, pewny uścisk dłoni. Za to go między innymi kochała – on jeden wystarczył, by w sytuacjach tak skrajnych jak ta dawać im jeszcze

siłę za dwoje.

– Kurwa... – Pomimo dość wysokiej temperatury powietrza Tomek poczuł na plecach zimne palce. Z początku myślał, że byli uratowani. Jego podświadomość słusznie tłumiała w nim jednak wszelkie optymistyczne emocje. Zarówno ona, jak i on zdawali sobie sprawę, że w obliczu tego wszystkiego, co ich właśnie spotyka, byłoby to zbyt piękne, zbyt proste, by było prawdziwe.

Byłoby to zbyt trywialne, gdyby ot tak, zwyczajnie, jakby nigdy nic, się skończyło.

Miał rację, bo na polance, do której się zbliżali, nie znajdowały się Białodęby, a...

– Chodź. – Skreślił nagle ostro w lewo.

Karolina wytrzeszczyła oczy i utkwiała je w audi. Objął ją i zaczął prowadzić bez słowa. Nie było sensu próbować się nad tym zastanawiać. Nie było sensu jakkolwiek starać się analizować faktu, że zbliżali się do auta... od którego początkowo się oddalali.

– Nie wydo-dosta-taniemy s-się stąd... – wybełkotała dziewczyna. Nie odpowiedział. Nie miał już siły jej dalej przekonywać, że jednak się myli.

A może sam już tak naprawdę w to nie wierzył?

Wędrowali w milczeniu przez dłuższy czas. Po takim okresie w normalnej sytuacji powinni byli dotrzeć do jednej z przecinających tę nieszczęsną puszcę dróg – albo do tej na Jeleniewo, albo do krajowej, którą jechało się na Litwę.

Albo gdziekolwiek, kurwa, indziej.

Jako że do tego nie doszło, Tomka opuściła ostatnia isierka nadziei, że jednak da się to wszystko jakkolwiek logicznie wytłumaczyć. Że jednak od początku szli w złym kierunku... Kręcili się w kółko... Że las nie zmieniał swojej struktury według własnego, okrutnego widzimisię. Ich marsz trwał około godziny. W tym tempie spokojnie mogli przejść na przykład Suwałki. Od blachy do blachy.

„Długość Suwałk jest znacznie większa niż długość tego lasu, jeżeli przechodzi się przez niego w linii prostej. Czyli wychodzi na to, że naprawdę mamy przejebane. *We're fucked*. Koniec dowodu”.

– Odpocznijmy trochę. – Karolina się zatrzymała. Nie miał powodu, by ją przekonywać, że to zły pomysł. Teraz tak naprawdę żaden pomysł nie był zły.

Usiedli pod jakimś drzewem, objęli się nawzajem i siedzieli w milczeniu, kołysząc się lekko w przód i w tył.

– Co z nami będzie?

– Nic nie będzie...

– Umrzemy tu?

– Nawet tak nie mów.

– Nie mamy już nic do jedzenia...

– Wiem, Kara, ale nie myślmymy o tym.

– To moja wina... – Nagle zaczęła płakać.

– O czym ty w ogóle mówisz? Żadna twoja!

– To ja chciałam tu przyjechać... Przepraszam cię, tak strasznie cię przepraszam... – Wtuliła mu się w ramię. Po chwili poczuł na nim wilgoć od jej łez. Pogłaskał ją po włosach i policzkach.

– A ja się na to zgodziłem, więc była to nasza wspólna decyzja. Nie powinnaś się obwiniać...

Już miała mu coś odpowiedzieć, gdy momentalnie wlepiła wytrzeszczony wzrok w coś za nim.

– Widziałeś?

– Co? – Rozejrzał się.

– Tam... Tam... Coś przebiegło między drzewami.

– Gdzie?

– Tam. – Wskazała kierunek na wprost od nich.

– Jesteś pewna?

Karolina wstała.

– RATUNKU!!! POMOCY!!! TUTAJ!!! NIECH KTOŚ NAM POMOŻE!!!

Zdarła gardło jak chyba jeszcze nigdy w życiu, ale nie doczekali się żadnej reakcji. Ani nikogo, ani niczego.

– Co widziałeś? – Tomek również się podniósł.

– Nie wiem...

– Skup się!

Złapała się drżącymi rękoma za skronie, próbując zebrać zmęczone myśli.

– To było coś wysokiego, więc raczej nie zwierzę. Wysokiego, chudego...

– Człowiek?

– Na człowieka też mi nie wyglądało...

– Chodź, idziemy. – Tomek objął ją i ruszyli w przeciwnym kierunku niż ten, gdzie to potencjalne coś mogło się znajdować. Niezależnie, czy były to jakieś jej majaki, czy też nie, nie zamierzał ryzykować z tym spotkaniem.

Do czasu kolejnej przerwy szli przez następną godzinę. Krajobraz wokół nich nie zmieniał się ani trochę, jedynie poza słońcem, które jako jedyne, zgodnie z normalnym porządkiem wszechświata, wędrowało leniwie po niebie tak jak każdego dnia.

Tomek usilnie wypatrywał w głowie jakiegokolwiek konkretnego planu działania. Karolina miała rację: wędrowanie przed siebie bez wyraźnego celu nie miało najmniejszego sensu i tylko tracili siły. Było z nim jednak jak z demokracją – było beznadziejnym rozwiązaniem, ale... nie mógł wymyślić lepszego. Ale jeżeli chcieli wyjść z tego żywi, potrzebowali czegoś innego.

Ponownie usiedli pod jakimś drzewem (nie mogli być nawet pewni, czy przypadkiem nie było to to samo, co poprzednio) i po bardzo długim milczeniu Tomek w końcu się odezwał:

– Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Co mam ci powiedzieć?

– Wszystko o lesie, wszystko, co wydało ci się dziwne, od kiedy tu przyjechaliśmy. Nawet nie tylko o lesie. Jeżeli mamy jakkolwiek ten las pokonać, musimy znaleźć jego słaby punkt... O pewnych rzeczach, o których mi powiedziałaś w samochodzie, nie wiedziałem. Powiedz mi wszystko. Musimy próbować.

Karolina zmusiła się całą sobą, by zaprząć do pracy swoją zmęczoną, głodną, przerażoną i pozbawioną już wszelkiej nadziei pamięć. Było tego tyle, że nie wiedziała, od czego zacząć.

Zacząła więc... od początku.

– To coś, co wybiegło nam przed maskę w środę... Jak wracaliśmy z Przełomki...

– No właśnie, co to było?

– Nie jestem pewna, ale z tego, co pamiętam, wyglądało jak ogromna kuna albo kot.

– Nawet jeżeli było jednym z nich, to i tak nie ma siły, by takie zwierzę

przeżyło uderzenie takie jak tamto.

– No tak...

– Wiemy więc, że jeżeli to ma cokolwiek z tym wszystkim wspólnego, to jest na tyle wytrzymałe, by spokojnie przeżyć uderzenie z samochodem.

– No...

– Zawsze coś. Coś jeszcze?

Karolina wyteńczyła pamięć.

Zadrzała.

– Wtedy, w Botkunach... Wydawało mi się, że cię widzę między drzewami. Po prawej stronie od drogi.

– Jesteś pewna, że to byłem ja?

– Nie... Ale byłeś ubrany tego dnia w czerwoną koszulkę, a to coś też było czerwone.

– Dobra, a ja z kolei jestem pewien, że nigdy po prawej stronie tam nie byłem. Jeżeli rzeczywiście to mnie widziałaś, to znaczy, że już wtedy mieliśmy do czynienia z tym czymś, co kontroluje te lasy i zmienia ich ułożenie.

– No i...?

– No i udało nam się stamtąd wyjść! Czyli jednak da się to zrobić! Co jeszcze pamiętasz?

– Znikająca ścieżka przy Gałęzistym...

– OK, tu nie możemy być pewni, czy rzeczywiście zniknęła, ale tak naprawdę niczego nie możemy być teraz pewni. Jeżeli założymy, że rzeczywiście zniknęła, a potem się pojawiła, to jest kolejnym dowodem na to, że jednak da się z tego lasu jakoś wyjść. Co jeszcze?

Karolina zmieniła pozycję i poczuła w kieszeni swój telefon. Automatycznie przypomniała sobie o jeszcze jednej rzeczy.

– Nie mówiłam ci tego, ale... jak robiłam zdjęcia na cmentarzysku Jaćwingów...

– No?

– Potem je przeglądałam i na każdym z nich widziałam jakiś dziwny obiekt.

– Jaki?

– Coś jak drzewo, ale przyglądając się temu, można było nawet powiedzieć, że to człowiek... Z długimi, ciągnącymi się prawie po ziemi rękami.

– Plama na obiektywie?

– Nie, było w różnych punktach każdego zdjęcia, ale kształt był ten sam.

– OK, czyli wiemy, że jeżeli to ma coś z tym wszystkim wspólnego, to wygląda tak, jak to opisałaś, gołym okiem jest niewidoczne, bo tego tam normalnie nie widzieliśmy. A do tego potrafi się bardzo szybko przemieszczać...

„Pięknie, miały być słabe punkty, a wychodzi coraz więcej mocnych stron tego czegoś. Kurwa!”

Karolina poczuła nagle do Tomka ogromny przypływ miłości i objęła go jeszcze silniej. Było dla niej czymś niesamowitym, że nawet w tak beznadziejnym położeniu próbował jeszcze zachowywać spokój i szukać jakichkolwiek rozwiązań.

Chłopak zamilkł i zastanawiał się nad czymś. W końcu wstał.

– Co chcesz zrobić?

– Eksperyment.

Wyciągnął swój telefon, zrobił szybko kilka zdjęć, po czym od razu zaczął je przeglądać.

Pierwsze...

Drugie...

Trzecie...

Czwarte...

Piąte...

Szóste?

Zadrzał.

– Zobacz...

Karolina wstała i spojrzała. Wypełniający las półmrok nie sprzyjał robieniu dobrej jakości fotografii, ale nawet pomimo niego nie dało się tego nie zauważyć... Nie dało się nie zauważyć, że na tym konkretnym zdjęciu (Tomek starał się zrobić po jednym w każdym kierunku świata), w oddali, pomiędzy drzewami majaczy jakiś niewyraźny, ciemny, ludzki kształt... Jednocześnie spojrzeli w tamtą stronę, ale niczego podobnego nie mogli dojrzeć. Tomek podniósł drżącą z emocji rękę z telefonem jeszcze raz i zrobił w tamtym miejscu kolejne zdjęcie. Przy wydatnej pomocy lekkiego, lodowatego wietrzyku, który właśnie teraz przetoczył się przez las, jego ciało pokryło się gęsią skórką.

Kształt pojawił się również i na tym ujęciu.

Tym razem jednak zmienił swoje położenie.

Tym razem był już bowiem znacznie bliżej ich...

Gdy Tomek robił jeszcze jedno zdjęcie, przerażona Karolina złapała się jego potężnego korpusu. Sam nie wiedział, czy naprawdę chce zobaczyć, co tym razem utrwalił w pamięci telefonu, ale przemógł się i po raz kolejny wyszukał odpowiedni folder.

– Kurwa...

Według zdjęcia z czymkolwiek mieli właśnie do czynienia, znajdowało się to teraz zaledwie kilka metrów od nich. Co było jednak najdziwniejsze, choć całe tło fotografii było względnie wyraźne, akurat ten ciemny, ludzki kształt był jakby zamazany.

– Tomek, nie... – wydobyło się cichutkim piśnięciem z ust Karoliny, gdy uniósł rękę z telefonem po raz kolejny.

– Muszę, Kara... – wychrypiął z lękiem, wstrzymał oddech, zagryzł wargi i nacisnął odpowiedni guzik.

Tym razem zdjęcie przedstawiało... czarną kreseczkę na żółtym tle. Dopiero po chwili dotarło do nich, że nie było to żadne niedomaganie aparatu, a uwiecznienie czyjegoś wielkiego oka.

Oka, które Tomek znał z pewnej czwartkowej nocy...

Nagle w swoim najbliższym sąsiedztwie poczuli intensywnie czyjąś obecność... Zaraz potem rozległ się wysoki, krótki i błyskawicznie zbliżający się do nich ryk, tak jakby to coś rzucało się właśnie do ataku. Krzyknęli i choć nie mogli tego nieokreślonego zagrożenia jakkolwiek zobaczyć, instynktownie odskoczyli do tyłu. Ręce drżały Tomkowi tak bardzo, że aż upuścił komórkę.

– To... To... oko... – szepnęła przyklejona do niego i bojąca się nawet ruszyć Karolina. Nawet teraz, w całym swoim napięciu został lekko przez nią zaskoczony, bo myślał, że tylko on rozpoznał, co przedstawiało ostatnie zdjęcie.

– Kim jesteś?! – krzyknął przed siebie. – Czym jesteś? Czego od nas chcesz?

W odpowiedzi po lesie rozniósł się kolejny lekki podmuch wiatru. Co więcej, Karolina dałaby sobie rękę uciąć, że zawierał też w sobie jakby niewyraźne, ledwo słyszalne echo czyjegoś złośliwego śmiechu.

– To-tomek...

– Kim jesteś? – powtórzył rozpaczliwie chłopak. – Pokaż się nam! Czego chcesz?!

Tym razem nic im jednak nie odpowiedziało, a pełna grozy wytłumiona cisza była chyba nawet jeszcze gorsza niż uprzednie echo...

– To-tomek, idźmy stąd... Ja czuję, że to wciąż tutaj jest...

Chłopak zrobił kilka ostrożnych kroków i podniósł telefon. Jego ekran w dalszym ciągu powinien był przedstawiać to upiorne oko, ale tym razem był zupełnie biały. Komórka nie była jednak zepsuta, bo jak się okazało, wszystkie zrobione przez niego przed chwilą zdjęcia stały się teraz białymi, pustymi plikami JPG.

Nagle poczuł na karku czyjś lodowaty oddech i zamarł.

– Biegnij!

Rzucili się przed siebie w panicznej ucieczce. W chwilowej jasności umysłu Tomek zadbał też o to, by nie stracić Karoliny z zasięgu wzroku i słuchu.

Jakby teraz jeszcze zostali rozdzieleni... Nie chciał nawet o tej mrozącej krew w żyłach perspektywie myśleć.

Po kilku minutach biegu zatrzymali się, ciężko oddychając.

– Co... co... to było?

– Nie wiem, ale czułem oddech tego czegoś na plecach.

– Ja... ja... widziałam już wcześniej te oczy.

– Ja te... – Ugryzł się w język. – Gdzie?

Zanim odpowiedziała, wzięła jeszcze kilka głębokich wdechów. Przypomniała sobie nagle, gdzie zobaczyła je pierwszy raz.

– Dwa razy w swoim śnie. Pierwszy jak... jak spałam, gdy jechaliśmy tutaj z Warszawy i dostałam hipoglikemii... Drugi tego samego dnia, w nocy, gdy Natalia próbowała wejść do nas do pokoju. Trzeci...

– O czym były te sny? – przerwał jej.

– Pierwszego już nie... nie... pamiętam... Nie wiem... Był w nim las i była tam postać z takimi oczami... Drugi... Kurde...

– Postaraj się sobie przypomnieć! Musimy wiedzieć o tym jak najwięcej! – Wstrząsnął nią i nie pożałował tego nawet wtedy, gdy jej oczy pokryły się desperackimi łzami.

– W tym śnie... Ja... Ja... Ja poszłam do pokoju pana Jerzego, a on... O... Ożył i nie chciał mnie z niego wypuścić. Trzymał mnie za rękę. Mówił, że tam umrę – załkała.



– To on miał te oczy?

– Nie... W pewnym momencie coś stanęło w oknie... Co... Coś go strasznie przestraszyło. To ono miało te... Te oczy...

– A trzeci raz? Gdzie widziałas je trzeci raz?! – krzyczał już prawie Tomek i wbijał jej paznokcie w ramiona tak boleśnie, że chciała go błagać, by ją wreszcie puścił.

– Trzeci raz był dzisiaj, w łazience... Zobaczyłam go w lustrze... Stał za mną... – Znowu się rozpląkała.

Rozglądając się wokół nerwowym wzrokiem, przytulił ją mocno. Czuł, że nadal są obserwowani... Tak właściwie to nie mógł pozbyć się tego wrażenia już od samego początku, od kiedy tylko opuścili samochód.

– To jest jakiś demon... – Usłyszał jej przytłumione przez jego własne ciało słowa.

– Co ty gad...?

– Demon, Tomek! Zły byt! Niematerialne uosobienie zła! Wszystko się zgadzało, gdy pojawiał się w pobliżu...

– Co się zgadzało?

– Zgadzały się wszystkie oznaki obecności demona... Miałam koszmary, lęki, jakieś widzenia, czułam jego fizyczną obecność koło siebie, wypluwałam jakieś liście tak jak opętani przez szatana wypluwają gwoździe, a teraz to... Ten las...

Starając się ogarnąć to wszystko swoim – o ironio – wciąż sceptycznym umysłem, Tomek spróbował się skupić. Puścił ją.

– Dobra, więc załóżmy, że mamy do czynienia z jakimś demonem... – zaczął ostrożnie. – Ty wiesz na ten temat więcej niż ja. Jak pokonać demona?

– Odprawiając egzorcyzmy...? – odparła cicho i znowu od nagłej fali osłabienia i beznadziei usiadła na trawę.

– Umiesz odprawiać egzorcyzmy? – zapytał, w głębi duszy nie mogąc uwierzyć, że naprawdę rozmawia z nią o takich rzeczach.

– Nie umiem! Do tego potrzebny jest ksiądz! Woda święcona! Odpowiednie modlitwy! – załkała.

Chłopak krążył w tę i we w tę.

Demon...

Nagle przystanął.

Czy naprawdę uprawiał seks z demonem?

Błyskawicznie zebrało mu się na mdłości i zwymiotował. Karolina spojrzała na niego z przestraszonym.

– Co ci jest?!

– Nic, mdli mnie tylko... – Wytarł dłonią usta i usiadł obok niej, ponownie ją obejmując. Oparła mu głowę o klatkę piersiową.

Demon...

Czyżby to ona za tym wszystkim stała? Czy była tak potężna, by władać lasem i umieć sprawić, by ten był nieskończony? Czy potrafiła nie tylko czytać w myślach, ale też decydować, kto może opuścić to miejsce, a kto nie...? To pierwsze brzmiało przy tym jak umiejętność raczkowania przy umiejętności teleportacji...

Czy to, co ich teraz spotykało, było jej zemstą za wydarzenia z czwartkowego wieczoru?

„Ale powiem ci jedno. Jeszcze będziesz mnie szukał i błagał o wybaczenie...”

Drgnął.

W obliczu tego, co już wiedział, hipoteza z odwetem była bardzo prawdopodobna. KUREWSKO prawdziwa... Ale w takim razie... Czy pozostali ludzie w Białodębach wiedzieli, z czym mają do czynienia? Czy zdawali sobie sprawę, kto mieszka obok nich? A jej babcia? Coś tutaj wyraźnie nie pasowało.

„Ja jebię, o co w tym wszystkim chodzi?”

Westchnął i oparł głowę o rękę. Nie miał już siły się nawet skupić, a poza tym na jakiegokolwiek rozważania był zdecydowanie zbyt głodny.

„Jeżeli to ty, szmato, to pewnie mnie teraz słyszysz. Zawsze mnie słyszałaś... Zostaw nas w spokoju. Nic ci nie zrobiliśmy! Wypuść nas stąd!” – pomyślał. Wzdrygnął się, gdy niemal od razu poczuł pod sobą jakby lekkie drgnięcie podłoża. Oho, czyżby kogoś z deczka wkurzył...?

„Pierdol się! Nigdy nas nie złamiesz! Nie boimy się ciebie!” – przytulił do siebie mocniej Karolinę.

Siedzieli tak bez ruchu przez dwie godziny. Już po pierwszej z nich Tomek poczuł równomierny oddech swojej dziewczyny, która jak się okazało, zasnęła z wyczerpania. Uznał, że nie ma sensu jej budzić. Nawet dobrze się stało. Na pewno bardzo jej to pomoże. Ostrożnie położył ją na ziemi, przykrył swoją bluzą z czerwonego plecaka i usiadł tuż przy niej.

Miał wreszcie trochę czasu, by spróbować dokładnie, w spokoju

przeanalizować ich położenie. Podobnie jak poprzednio, pomimo intensywnego główkowania w dalszym ciągu nie dochodził jednak do żadnych konkretnych wniosków.

Starał się nie odrywać od Karoliny wzroku i – co sprawiało mu sporą trudność – jednocześnie dokładnie obserwować otoczenie. Doskonale pamiętał, z jaką pogardą i wstrętem mówiła o Górskiej Natalia, i podskórnie czuł, że jeżeli komuś będzie chciała zrobić krzywdę, to w pierwszej kolejności właśnie jej. Chociażby po to, by jego zaboląło to jeszcze bardziej.

Demon...

Egzorcyzmy...

W swoim życiu obejrzał z nudów już wiele horrorów o tym rytuale, ale zawsze traktował to jako nieszkodliwą bzdurkę, więc nawet nie pamiętał, jak by się to miało właściwie odbywać. Poza tym wszystkie te filmy przedstawiały opętanie człowieka przez demona, a tutaj on (ona?) biegał sobie wolno po świecie, więc to chyba nie było to samo.

No bo nawet zakładając, że umieliby odprawiać egzorcyzmy, to niby na czym mieliby to zrobić? Na lesie?

Nie dokończyli z Karoliną rozmowy na temat wszystkich spotkanych przez nich dziwactw, a sam miał (choć z wiadomych powodów i tak by pewnie tego nie zrobił) całkiem sporo do dodania. A konkretnie jeden ważny szczegół.

Natalia wyraźnie skupiała się na nim, a z jakiegoś powodu nienawidziła Karoliny.

Gdyby rozpatrywało się jej osobę w kontekście człowieczeństwa, można by było pomyśleć, że to po prostu zwykła gorycz po odrzuceniu kobiety przez mężczyznę i chorobliwa niechęć do konkurentki, ale teraz... Teraz miał wrażenie, że rozwikłanie motywów jej takich, a nie innych zachowań było bardzo istotne. Kto wie, czy może nawet nie kluczowe, jeżeli chcieli się stąd wydostać.

A przecież chcieli... I to bardzo.

„Już ja znajdę sposób, żeby cię powstrzymać, kurwo!” – pomyślał zawzięcie i pogłaskał delikatnie Karolinę, czując do niej kolejny nagły przypływ ogromnej miłości. Był w stanie zrobić dla niej wszystko. Wszystko, bez wyjątku! Łącznie z poświęceniem własnego życia, byleby tylko nie stała jej się żadna krzywda. Uda im się! Jeszcze nie wiedział jak,

ale na pewno im się uda. Wyprowadzi ją z tego przeklętego miejsca, wróci do Warszawy i już nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie wejdą do żadnego lasu.

Nagle usłyszał przed sobą szelest i uniósł wzrok.

Zesztywniał. Ostrożnie trącił Karolinę, a gdy ta się obudziła, przytknął swoją dłoń do jej ust.

Ogromny wilk, który ku nim powoli kroczył, zaczął wściekle warczeć. Dziewczyna czym prędzej ukryła się za Tomkiem, podczas gdy ten, najmniej gwałtownie, jak tylko mógł, podniósł się na nogi.

– Spokojnie... Spokojnie... – cofając się, wyciągnął w stronę zwierzęcia obie ręce, tak jakby miało to jakkolwiek pomóc i jakby zapominając, że bynajmniej nie ma przed sobą człowieka. Sądząc jednak po reakcji drapieżnika, tylko pogarszał tym sprawę, gdyż ten z każdą sekundą wyglądał na coraz bardziej rozsierzonego. Co więcej, stroszył sierść i ukazywał ostre kły. Tomek rozejrzał się wokół w poszukiwaniu co solidniejszej, mogącej posłużyć mu za broń gałęzi, ale jak na złość żadnej takiej w pobliżu nie mógł teraz dostrzec, nie wspominając już o jakimkolwiek kamieniu.

Wyglądało więc na to, że najpewniej czekała go walka na śmierć i życie na gołe ręce...

Tu już nie mógł ot tak wziąć Karoliny w ramiona i spieprzyć jak przed dzikiem. Zresztą i tak był na to zbyt osłabiony i głodny.

Zresztą... Dokąd miałby uciec?

Wstrzymał oddech, gdy zwierzę zniecka rzuciło się do ataku. Ledwo zdążył od niego odskoczyć, zanim powaliło go uderzeniem w klatkę piersiową. Karolina, która trzymała się od tyłu jego przepoconej koszulki, zaczęła piszczeć. Wilk, szykując się do kolejnego skoku i przez cały czas głośno warcząc, ponownie stanął do nich przodem. Dopiero w trakcie jego następnego ataku Tomek poczuł za sobą niezauważony przez niego wcześniej korzeń. Potknął się i doskonale wiedząc, że w taki oto właśnie idiotyczny sposób najprawdopodobniej zakończy zaraz życie, padł jak długi plecami na ziemię. Wilk przeskoczył go i był teraz za nim, poza zasięgiem jego wzroku. Czekał na ugryzienie lub szarpnięcie z tyłu głowy.

Do niczego takiego jednak nie doszło. Karolina, która siedziała teraz skulona na ziemi na wprost niego, wpatrywała się z otwartymi ustami w coś, co znajdowało się tuż za nim. Zważywszy, że patrzyła się w górę,

było to też najwyraźniej coś stosunkowo wysokiego...

Błyskawicznie przewrócił się na brzuch i się podniósł.

Istotnie, coś oddzielało ich teraz od wilka. W całym swoim zaaferowaniu dopiero po chwili rozpoznał, że nie było to coś, a ktoś. Ktoś wysoki, szczupły i ubrany w zielony mundur. Momentalnie rozpoznał, kto to był, bo jego znienawidzoną (choć teraz ukochaną) sylwetkę rozpoznałby z każdej perspektywy na świecie.

– Sio! Precz! – syknął do zwierzęcia pan Zdancewicz, a ono w ułamku sekundy przestało być agresywne. Wilk stanął przed nim jak na baczność i obserwował go z potulnymi, prawie że psimi ślepiami.

– Precz! – Mężczyzna machnął ręką. Drapieżnik natychmiast zniknął między drzewami i wkrótce stracili go z oczu.

– Nic ci nie jest? – Karolina pomogła Tomkowi wstać i przytuliła się do niego.

– Nic – odpowiedział. Wciąż buzowała w nim adrenalina, ale ciepło jej ciała działało na niego coraz bardziej kojąco. Pan Zdancewicz chyba nie zamierzał im w tej czulej chwili przeszkadzać, gdyż przez cały czas nie odzywał się ani słowem.

– Dziękujemy... – Tomek odwrócił się w końcu i spojrzał spode łba na leśnika (hobbystę?), którego jeszcze niedawno gotów był rozszarpać gołymi rękami. Teraz był jednak na jego widok najszcześniejszą osobą w całym wszechświecie (*ex aequo* z Karoliną) i nie chodziło tu nawet o to, co przed chwilą zrobił, a o to, co jeszcze mógł dla nich zrobić.

– Drobiazg – odparł z delikatnym uśmiechem.

– Pomoże nam pan?

– W czym?

Tomek zastanowił się, jak dobrać słowa, by to, co zamierzał powiedzieć, zabrzmiało zwięźle i jednocześnie jak najmniej głupio.

– Wyjść z lasu.

– Zabłądzili państwo?

– Tak.

– Nie pierwsi i nie ostatni. Większość ludzi błędzi – odparł z uśmiechem.

– Prosimy pana... Niech pan nas stąd wyprowadzi – załkała Karolina. Spoważniał.

– Co się stało?

– Sami nie wiemy, co się tutaj dzieje... Ten las...

– Ale co miałyby się tu dziać? To tylko las! Bywają tu zwierzęta.

– Nie chodzi o zwierzęta... Zresztą długo by opowiadać. I tak by pan nam pewnie nie uwierzył... Błagam pana... Wyprowadzi nas pan?

– Mamy czas. A ja mam otwarty umysł na różne dziwactwa – odpowiedział spokojnie na jej drugie i trzecie zdanie. Tomka wypełnił nagle jeden wielki niesamowity wkurw, a cała jego sympatia do tego człowieka, która pojawiła się wraz z uratowaniem ich przed wilkiem, pękła w nim jak bańka mydlana.

– Słuchaj no, pajacu! Jesteśmy śmiertelnie przerażeni, bo w tym lesie dzieją się jakieś zjawiska paranormalne! Rozumiesz? Idziemy przez niego już wiele godzin i nie możemy z niego wyjść. Wjechaliśmy samochodem...

– Wjechaliście państwo samochodem do tego lasu? – przerwał mu mężczyzna.

„Ja pierdolę...”

– Tak, wjechaliśmy! I las zatrzymał go sobie w zamian na pamiątkę! Czy to już wystarczająca kara za ten grzech, czy należy nam się jeszcze od ciebie kolejny mandat, którego i tak nie opłacę, bo nie pracujesz w żadnym nadleśnictwie?!

Karolina czuła, że Tomek nie powinien się do ich potencjalnego wybawcy w ten sposób odnosić, ale gwoli ścisłości... Gwoli ścisłości nie to w największym stopniu zajmowało teraz jej głowę.

Zarówno jej głowę, jak i ciało zajmowało bowiem to dziwne, nieokreślone, obudzone w niej zniecka napięcie...

– Skąd pan to wie? – zapytał ze szczerym zdziwieniem pan Zdancewicz.

– Co za różnica, skąd wiem? Ważne, że wiem, a dla ciebie ważne powinno być to, że mnie strasznie tym swoim pajacowaniem wtedy wkurwiłeś oraz że ci zaraz zajebię, jeżeli nas stąd nie wyprowadzisz!

Mężczyzna – wciąż niewzruszony Tomkowymi groźbami – spojrzał tylko w niebo.

– Może to nie być takie proste... – rzekł w końcu.

– Jak to?

– Jeżeli będzie pan dalej dla mnie tak nieuprzejmy...

– Kurwa, zaraz...

– Proszę nas stąd wyprowadzić, panie Leszku. Błagam pana... – powiedziała słabo Karolina.

- Czego się pani tak boi? – zapytał dobrotliwie pan Zdancewicz.
- W tym lesie... Ja uważam, że w tym lesie grasuje jakiś demon...
- Demon, powiada pani...

– Tak. I to potężny... Panuje nad tym lasem, zmienia jego ułożenie. Idziemy przez cały czas prosto i bez przerwy dochodzimy do tych samych miejsc, z których przyszliśmy... Błagam pana... Chcemy tylko stąd wyjść...

– Co też pani mówi? – znowu odpowiedział tylko na jej pierwsze zdania, kompletnie ignorując dwa ostatnie.

– To potężny demon, a my jesteśmy jedynie słabymi ludźmi i nie mamy szans, by z nim jakkolwiek walczyć... – kontynuowała Karolina. W duchu zaś nie wierzyła, że naprawdę to robi.

Nie wierzyła, że naprawdę się przed tym czymś płaszczy. Że to prosi. Że to błaga. Że się wręcz do tego modli o wybawienie...

– Cóż, ludzie rzeczywiście mają to do siebie, że zazwyczaj porywają się z motyką na słońce. Dobrze, że chociaż pani zdaje sobie z tego sprawę.

Tomek patrzył ogłupiały to na jedno, to na drugie, myśląc, że ma jakieś słuchowe omamy. Co to w ogóle było za pierdolenie?

– Bardzo przepraszamy, że wjechaliśmy samochodem do lasu. Obiecujemy, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Proszę dać nam jeszcze jedną szansę.

– No cóż, już raz mi to państwo obiecywali, a jednak powtórzyło się to nie raz i nie dwa, a siedem. Byłem zawiedziony zwłaszcza panią, pani Karolino, bo wcale nie była pani wiele lepsza od pana Tomka. Stosunek kształtuje się tu bowiem jedynie na trzy do czterech w przypadku pani chłopaka.

Czuła, że to nic nie da, ale podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę.

– Wypuść nas stąd... – wychrypiała jak najbardziej uprzejmym tonem, choć wewnątrz gotowała się już z mieszanej ze strachem wściekłości. Jego kolejna odpowiedź wcale jej nie zaskoczyła.

– Niestety, muszę odmówić.

– Co powiedziałaś? – zapytał Tomek.

– Muszę odmówić. Ci, którzy bezczeszczą moje zielone królestwo, muszą ponieść określoną karę. A kara, by była skuteczna, musi mieć charakter edukacyjny – powtórzył swoje niegdysiejsze słowa.

– Jakie twoje zielone królestwo?! Co ty w ogóle chrzanisz, człowieku?

Karolina westchnęła. On dalej nic nie rozumiał...

– Prawdę objawioną – odparł spokojnie pan Zdancewicz.

Tomek wybuchł. Pękł. Eksplodował. Miał już tego całego dialogu serdecznie dość. Ogarnęła go dzika, ślepa furia. Furia, w konfrontacji z którą nie przeżyłby nawet ten śmieszny wilczek sprzed chwili. Nie panował już nad tym ani trochę. O niczym już nie myślał. O żadnych skutkach, o żadnych konsekwencjach, o żadnych pokłosiach swoich decyzji. Nie liczyło się już nic oprócz jednej rzeczy. Jedyne, o czym w tej chwili marzył, to przyjechać temu złamasowi w tę jego odpicowaną brodatą gębę... Raz a dobrze, by raz na zawsze odwrócić wszystko, co mu się w niej nie podobało. By wreszcie zszedł z niej ten głupkowaty uśmiezek. By facet przestał być taki irytująco spokojny. By zachowywał się stosownie do sytuacji. By po prostu odczuł na własnej skórze ich każdy pojedynczy, napięty dzisiaj nerw. By wiedział, jak wielkim jest skurwielem, i został za to należnie ukarany.

„By kara miała charakter edukacyjny”.

Miał już go po dziurki w nosie. Tego, co mówił, tego, jak wyglądał, za barwę jego głosu, za wszystko, co odjebał, od kiedy tylko spotkali go pierwszy raz. Za jebany całokształt. Nim Karolina zdążyła go powstrzymać, w nagłym impulsie rzucił się na mężczyznę z pięściami.

Cios, który otrzymał, był tak szybki, że praktycznie niewidoczny. Do tego tak silny, jakby uderzyła go nie ta chudziutka ręka, a co najmniej ciężarówka. Odleciał na dobre kilkanaście metrów i uderzył plecami o stojący na swoje nieszczęście na drodze jego żałosnego lotu pień drzewa.

– Tomek! – krzyknęła Karolina i podbiegła do niego, podczas gdy pan Zdancewicz odwrócił się do nich plecami.

– Skurwysyn... – syknął Tomek, trzymając się za obolałe plecy. Modlił się... Nie... TAK! Modlił się, by jego kręgosłup był cały.

– Wiecie, jaki jest wasz, ludzi, największy problem?

Wstrzymali oddechy, gdy ze wszystkich stron, jakby z każdej rosnącej w pobliżu rośliny dobiegł ich tubalny głos mężczyzny, który przez cały czas stał przed nimi tyłem. Gdy tylko dostrzegła w półmroku lasu pierwsze oznaki jego transformacji, Karolina rozszerzyła oczy w niemym przerażeniu...

– Porywacie się z motyką na słońce. Jesteście niepokorni. Myślicie, że możecie machać szabelką przeciwko czemuś, co jest od was wielokrotnie



starsze, wielokrotnie potężniejsze i wielokrotnie mądrzejsze. Myślicie, że możecie wszystko ogarnąć swoim malutkim umysłem, podczas gdy tak naprawdę jesteście jedynie pionkami. Znaczący mniej niż mrówki. Nie potraficie przyjąć do wiadomości, że wasza walka jest z góry przegrana, niezależnie od tego, jak ciężkie działa wytoczycie... – gdy to mówił, jego mundur zaczął jakby stopniowo wrastać w jego chude ciało, stając się w końcu jego integralną częścią, włosy stawały się z każdą sekundą coraz dłuższe i coraz bardziej zielone, a jego ręce zaczęły się stopniowo wydłużać... Zarówno Karolina, jak i Tomek wpatrywali się w tę scenę z rosnącym przestraszaniem. Ten drugi z jeszcze większym, gdy tym razem po całym lesie rozniósł się głos Natalii:

– Wydaje wam się, że jesteście najmądrzejsi na świecie, że możecie każdą rzecz zanegować i podać w wątpliwość wedle własnego widzimisię. Zakładacie, że wszystko można opisać, zmierzyć, zbadać, dotknąć, opukać i logicznie wytłumaczyć tego działania. Zapędzić to w kozi róg i powiedzieć: „ha, słuchaj stary, coś mi się tu nie zgadza!”. Macie mylne wrażenie, że nad wszystkim panujecie, że każdą sytuację można rozwiązać, nad wszystkim można mieć kontrolę, wszystko na tym świecie można okiełznać, wszystkim można władać tak, jak się sobie tylko zechce. Jakże się mylicie... Jakże jesteście głupi. Wydaje się wam, że jesteście nieomylni, a tak naprawdę jesteście jedynie pyszni. Dawno zatraciliście jakikolwiek system wartości. Jesteście trądem tej planety. Jesteście tylko nic nieznaczącymi robalami. Bez żadnej szkody dla tej ziemi można was ot tak zdeptać...

Wyglądało na to, że jego przemiana dokonała się już w całości. Stała przed nimi teraz tyłem przeraźliwie chuda postać o skórze tak sinej, że aż o odcieniu podchodzącym pod zieleń, zielonych gęstych włosach i z rękami tak długimi, że sięgającymi praktycznie do ziemi.

– Byłoby to jednak za proste – dodał po chwili las. Znowu jego męskim głosem.

– Kim jesteś...? – wychrypięła z przerażeniem Karolina.

Gdy odwrócił na jej słowa lekko do nich głowę i zobaczyli z profilu jego szpetną, obficie teraz brodatą i przywodzącą wręcz na myśl absurdalny wizerunek Jezusa Chrystusa twarz z naciągniętą maksymalnie na czołwie skórą i żółtymi, gadzimi oczami z pionowymi źrenicami, powiedział:

– A do tego nie potraficie słuchać... Przecież się wam przedstawiałem.

Nim choćby spróbowali pomyśleć, co mogły znaczyć jego słowa, i nim zniknął im z oczu, demon dodał jeszcze, przepelińając każdy kolejny wyraz narastającym, nienawistnym, szalonym gniewem:

– To ja decyduję, kto stąd wychodzi, a kto nie. Dla was nie ma już żadnej nadziei. Nigdy się stąd nie wydostaniecie. Mógłbym was po prostu zabić, ale przygotowałem wam znacznie ciekawsze atrakcje. Dopiero teraz zacznie się prawdziwa zabawa! Zapraszam was i moich przyjaciół. Witajcie w moim zielonym królestwie!

## ROZDZIAŁ XIII

„Nie panikuj...”

„Nie panikuj...”

„KURWA, NIE PANIKUJ!!!”

Tuż po tym, jak demon zniknął im z oczu, w lesie na powrót zapadła martwa, wytłumiona cisza. Cisza przerywana jedynie przez ich szybkie, nieznośne w swoim odgłosie oddechy, które zamiast im pomóc, sprawiały tylko, że lęk narastał w nich jeszcze bardziej. Wychodząc z otępienia, drżąc na całym ciele i chcąc koniecznie pozbyć się tych dźwięków, Tomek dzwignął się w końcu na nogi. Chyba miał szczęście, bo choć kręgosłup bolał go jak diabli (jakże bardzo określenie to pasowało teraz do sytuacji, jakże bardzo!), to prawie na pewno nie był jednak uszkodzony.

– Wstawaj! – Podniósł Karolinę, ale ta miała nogi jak z waty.

– U-umrzemy tu... – głos uwiązał jej w gardle. Od ciężaru w żołądku chciało jej się wymiotować i prawie się dusiła. Jej stanu nie poprawiało też wrażenie, jakoby zieleń wokół rytmicznie zmieniała swój odcień, pulsując i pompując zieloną krew w jedno wielkie serce tego czegoś, co tym wszystkim władało.

– Nie umrzemy! Na pewno istnieje jakiś sposób, by to pokonać! – Ukląkł przed nią i po raz kolejny tego dnia złapał ją za ramiona. Starał się nadać swojemu głosowi jak najbardziej pewny ton, ale sam już chyba nie wierzył w to, co mówił.

Nie, musiał wierzyć!

I wierzył!

No bo też co innego mu tak naprawdę pozostało?

– T-ty nadal n-nic nie rozumiesz... – załkała. – Nie słyszałeś, c-co on m-mówił? Ty nad-dal się łudzisz, że jesteś w stanie pokonać coś, p-przyczym jesteś jak mrówka?

– To jak w takim razie egzorcysta jest w stanie wygrać z szatanem?! – krzyknął, nim zdążył się powstrzymać.

– Egzorcysta w-wypędza złe duchy z p-pomocą Boga... A o-o-on jest jeszcze p-potężniejszy...

– Boga sroga! – Tomek miał już tych bzdur serdecznie dość.

Musieli iść.

– Chodź, idziemy! – Znowu spróbował ją podnieść, ale z podobnym rezultatem jak poprzednio.

– Ale po co...? Po co chcesz iść, skoro to i tak nic nie da...? I tak tu umrzemy... Z głodu, strachu, wyczerpania... Wybierz sobie, co chcesz...

– Dobra, w takim razie, czy tego chcesz, czy nie... – warknął i wziął ją w ramiona jak niemowlę. Gdy się podnosił, plecy trzasnęły mu złowieszczo. Karolina nie miała już siły mu się opierać. Nie miała siły nawet protestować ani prosić, by postawił ją z powrotem. Niosąc ją w ten sposób, przez pewien czas szedł powoli przed siebie. W końcu jednak zmęczył się tak bardzo, że i tak musiał ją postawić. Na szczęście przemogła się i już dalej szła z nim sama, choć w dalszym ciągu jej odmawiające posłuszeństwa nogi bynajmniej nie były godne zaufania.

Już od samego początku, od kiedy tylko opuścili samochód, ich oczy wyraźnie nie mogły przyzwyczać się do tego wypełniającego całą leśną przestrzeń półmroku. Rozglądali się wokół w obsesyjnym skupieniu. Od czasu spotkania z demonem las jak na razie nie wykonał wobec nich żadnego ruchu, co paradoksalnie wzbudzało w nich coraz większy niepokój. Wszechobecny spokój, idylla przyrody znana im ze świata, w którym wszystko działa według określonego porządku i niezmiennych od milionów lat naukowych reguł, nie do końca zgadzały się bowiem z ostatnimi słowami pana Zdancewicza. Obydwoje byli jednak pewni, że była to tylko cisza przed burzą.

Z piorunami.

A właśnie... Pan Zdancewicz...

– Jak myślisz? – ożywił się nagle Tomek. – O co mu chodziło, jak mówił, że się nam przedstawiał?

– Nie wiem... – odpowiedziała zrezygnowana Karolina. Było jej naprawdę wszystko jedno.

– Nawet nie wiemy, z czym mamy do czynienia.

– Mam to w dupie.

– A ja nie mam. Dobrze by było od tego zacząć...

– Tomek, kurwa, to demon! Mistrz kłamstwa. Oszukuje cię. Chce cię zmanipulować, byś sam nie wiedział, co jest prawdą, a co nie. Chce cię zniszczyć od środka, od głowy. O to mu właśnie chodzi. Nie przechytrzysz go. Nawet teraz słyszysz to, co mówisz i myślisz...

– Istotnie, słyszę. Widzę, że przynajmniej pani co nieco rozumie i zna swoje miejsce w szeregu.

Prawie podskoczyli, gdy nad ich głowami niespodziewanie rozległ się

głos.

Znowu ukazał im się pod postacią gajowego i siedział teraz na cieniutkiej, znajdującej się bardzo wysoko gałęzi drzewa, które właśnie mijali. Karolina czym prędzej ukryła się za Tomkiem, a ten spojrzał na postać nad nimi z największą możliwą nienawiścią.

– Oooh tak... Nienawiść... Uwielbiam to. Nic nie jest dla mnie tak pożywne, jak gniew. – Otworzył usta, ukazując im długi, zupełnie niepasujący do jego obecnej ludzkiej formy gadzi jęzor, odetchnął pełną pierś i się roześmiał. Tomek drżał z bezsilności i frustracji.

– To miejsce to gniew. Gniew jest tym miejscem. Wypełnia je. Również dzięki wam. Jakże to było cudowne, gdy kipiał pan z wściekłości podczas naszego pierwszego spotkania tam, niedaleko Hańczy... Ledwo się powstrzymałem, by nie prosić o więcej. Albo pani, pani Karolino, gdy ratowała pani w piątek jego niegodne nawet splunięcia życie i przyłapała tę parkę w waszym samochodzie... Plus wiele, wiele innych sytuacji. A w każdej z nich to samo. Czyste, najwyższej próby, ulatujące z was jak para zło. Tak jak materia krąży po całym wszechświecie, zmieniając po prostu swą formę, tak również zło nie znika, a jedynie wędruje. Czasami jednak skupia się, kumuluje w jednym miejscu. A wtedy nieszczęśnik, który na nie natrafi... No cóż, delikatnie mówiąc, ma pecha. Podziwiam, panie Tomaszu, za wytrwałość i upór, choć gwoli ścisłości znam ludzi, którzy nie załamywali się znacznie dłużej niż pan. Do dziś snują się po lesie w złudnej ufności, że kiedykolwiek się z niego wydostaną. Głupcy... Synowie i córki nadziei, najbardziej zawodnej z matek...

– Przestań! Zamknij się! – wrzasnął Tomek.

– ...która dalej utrzymuje ich przy życiu i daje tę resztkę siły, paliwa dla ich umysłów, podczas gdy ciała są już tylko i wyłącznie chodzącymi roślinami, nieróżniącymi się w żaden sposób od wszystkich moich przyjaciół. Widzę te słabe kreaturki i czerpię z ich strachu, który sprawia tylko, że jestem coraz silniejszy. Kiedyś moja moc polegała jedynie na władzy nad zwierzętami, umiejętności rozmowy z roślinami oraz dezorientowaniu lub wyprowadzaniu z lasu tych, którym się to odpowiednio należało. Teraz zaś... Sam w pewnym momencie byłem zdziwiony, gdy zdałem sobie sprawę, jakie są moje zdolności. Z każdym dniem jestem coraz potężniejszy... Silniejszy... A wszystko dzięki tym, przeciwko którym się obracam... A silniejszy to znaczy bardziej

kreatywny. *Perpetuum mobile* napędza się samo. Doskonałe, niewyczerpalne źródło energii.

– Kłamiesz!

– Panią Karoliną jestem natomiast trochę zawiedziony – kontynuował demon, w dalszym ciągu ani trochę nie zważając na jego słowa. – Załamana się już po parunastu minutach po mojej pierwszej sztuczce ze znikającą drogą. Sądząc po tym, jak wytrwale walczyła o wasz żalosny związek, spodziewałem się po niej znacznie więcej.

– Przestań... Zostaw nas w spokoju... – Karolina czuła, że nawet gdyby zatkała uszy, to i tak słowa tego czegoś docierałyby do niej bardzo dokładnie. Co do każdej pieprzonej literki. Co do każdego pieprzonego przecinka, myślnika czy kropki. Pragnęła, by przestał... By zniknął... By umarł.

By go po prostu nie było.

– Ładna jest, co?

Tomek zeszywniał, gdy byt, który wyglądał jak leśniczy, zwrócił się do niego z szyderczym uśmiechem. Wiedział, o kogo mu chodzi, i w żadnym wypadku nie była to ta mała, ruda, intensywnie ściskająca teraz swoimi małymi piąstkami jego koszulkę dziewczyna.

– Wiem, że to ty... – odparł, aby zyskać na czasie.

– Wie pan? Guzik pan wie. Pan domniemywa, domyśla się. Wierzy. Zabawne, że mówimy o tym w kontekście kogoś, w kogo słowniku nie istnieje takie słowo jak wiara. Kogoś, kto przed wydaniem jakiegokolwiek sądu rozważa wszystko w chłodnych kalkulacjach i nie dopuszcza nawet marginesu błędu. Widzi pan już, jakim jest pan hipokrytą? Jak używa słów, prostych słów, których znaczenia nawet nie zna? Po raz kolejny pana malutki mózdzek pana zawiódł. Ale proszę się nie martwić, nie jest pan pierwszym ani ostatnim. To bowiem jeszcze jeden ogólny problem ludzi. „Słyszysz, ale nie słuchasz” – powiedział głosem Karoliny, po czym ponownie wrócił do swojego. – Patrzą, ale nie widzą. Wąchają, ale nie czują. Kombinuje pan jak koń pod górę. Nieudolnie próbuje pan wyciągać jakieś pokręcone wnioski, formułować teorie spiskowe, jedną ciekawszą od drugiej, a prawda jest zupełnie inna. O wiele prostsza.

– Kłamiesz! – powtórzył Tomek.

– Kiedyś być może pozna pan prawdę... Być może – odrzekł demon i znowu zniknął. Karolina wstrzymała oddech, oczekując ataku z najmniej

spodziewanej strony. Nic się jednak nie wydarzyło.

– Kim ona, do chuja, jest...? – mruknął do siebie Tomek i zagryzł wargi.

– Ona?

– No ona.

– Jaka ona?

– Nie słyszałaś?

– Czego?

– Jej głosu wcześniej? I tego, co teraz mówił?

– Jakiego głosu? I co teraz mówił? O czym ty mówisz?

W mig zrozumiał.

„Nieźle, szmato! A więc potrafisz sprawić, byśmy słyszeli oddzielnie kompletnie różne głosy. A może też i kompletnie różne słowa... Nie doceniłem cię...”

– Tomek, o co chodzi?! Co słyszałeś?

– O ni... – zaczął, ale urwał, gdy wlepił wzrok w coś za nią. – Zobacz!

– Wskazał. Karolina odwróciła się i poczuła w żołądku nagły przypływ przyjemnego uniesienia.

Między drzewami zamajaczyła im bowiem asfaltowa jezdnia.

– Szybko!

Nie tracąc ani chwili, zaczęli biec. Co było w tym wszystkim jeszcze wspanialsze, wyglądało też na to, że właśnie teraz, z daleka, jechał po niej w ich stronę jakiś samochód. Tomek z całej siły przyspieszył i zostawił Karolinę lekko w tyle. Ta mogła więc bardzo dokładnie, z lepszej perspektywy zobaczyć to, co miało się za chwilę wydarzyć... Jakby podświadomie się tego spodziewając, zatrzymała się, podczas gdy jej chłopak dalej biegł w kierunku tych młodych, gęsto rosnących tuż przy samej wypatrzonej przez nich drodze drzew.

Nieoczekiwanie dla niego odbił się od nich klatką piersiową jak od ściany i zaskoczony wylądował na tyłku. Drzewka były twarde niczym wbite w ziemię stalowe pale, a ich cienki mur – czego wcześniej nie zauważyli – porastał całą długość pomiędzy lasem a asfaltem jak okiem sięgnąć. Niewiele myśląc, Tomek czym prędzej się podniósł i gorączkowo próbował je złamać albo chociaż wygiąć, ale bez żadnego skutku. W ostatnim akcie desperacji przypomniał sobie o schowanym w czerwonym plecaku scyzoryku, wygrzebał go i zaczął intensywnie,

najszybciej, jak tylko mógł, piłować jeden z pni, ale stępione ostrze połamało mu się w rękach już po kilku ruchach.

I to nie pozostawiając na korze choćby najmniejszego śladu...

Jęknął, przywarł do drzew ciałem, z trudnością, najdalej, jak tylko się dało, wsadził pomiędzy nie rękę i chcąc zwrócić na siebie uwagę auta, które właśnie teraz przejeżdżało obok nich, zaczął nią energicznie machać.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ten samochód to... ich audi. Co więcej – jechało samo. Nikt nie siedział za kierownicą...

Ocierając się boleśnie brzuchem o chropowate pnie, Tomek stopniowo i bardzo powoli zsunął się na kolana. Jego wciąż wyprostowana i wciąż znajdująca się po drugiej stronie tej drzewiastej klatki ręka drżała. Nieprzytomny, przekrwiony, zrozpaczony i jednocześnie złęczony wzrok miał utkwiony gdzieś przed sobą, a usta otwarte. Nie miał absolutnie żadnych myśli. Gdy samochód widmo zniknął mu z zasięgu wzroku, zupełnie jakby miało być to czynnikiem, który przywracał mu świadomość tego, co przed chwilą przeżył, nie wytrzymał i rozplakał się, uderzając lekko czołem o te cieniutkie, niby drewniane kraty. Te same, które skutecznie i nieprzypadkowo miały odgradzać go od tej nieszczęsnej drogi. Żuchwa dygotała mu identycznie jak w czasach, kiedy miał trzy latka i rodzice nie chcieli kupić mu lodów.

„Tomek, kurwa, to demon! Mistrz kłamstwa. Oszukuje cię. Chce cię zmanipulować, byś sam nie wiedział, co jest prawdą, a co nie. Chce cię zniszczyć od środka, od głowy. O to mu właśnie chodzi...”

Karolina podeszła do niego powoli i bez słowa wtuliła mu się delikatnie w plecy. Oderwał się od drzew, usiadł i przycisnął do mokrych oczu drżące, zaciśnięte pięści. Musiał dać upust swojej bezsilnej, tkwiącej w nim gdzieś głęboko od samego początku rozpacz, która potrzebowała tylko drobnego zapalnika, jednej małej iskry, by niczym metan wybuchnąć i skutecznie wytłumić, wygnać z niego resztki jakiegokolwiek nadziei. Nieobcinane od dawna paznokcie intensywnie wbijały mu się we wnętrza dłoni, ale ból duszy – dziesięć razy mocniejszy niż ten cielesny – skutecznie wypierał ten drugi.

Obydwoje nie zauważyli nawet, w którym konkretnie momencie na zewnątrz ogromnej klatki, w której wciąż byli zamknięci, zniknęła asfaltowa droga.

\*



Podobnie jak na niemowlę, płacz zadziałał na Tomka bardzo kojąco i usypiająco. Jako że przez dłuższy czas leżał z głową na udach ciągle milczącej i głaszczącej go Karoliny, tym razem to on był tym, który zasnął, a ona tą, która przykryła go bluzą i czuwała, starając się jednocześnie dokładnie obserwować ich najbliższą okolicę.

Usilnie starała się skierować swoje myśli na cokolwiek innego niż ich położenie. Doszła do wniosku, że nie było sensu się nad sobą uzalać, bo to i tak nie przyniosłoby nic konstruktywnego, a poza tym i tak nie poczułaby się od tego lepiej. Była to więc czysta strata czasu. Podobnie zresztą jak szukanie jakichkolwiek sposobów na zakończenie ich koszmaru. To, jak brutalnie, bezczelnie demon się przed chwilą z nimi zabawił, i to tuż po tym, jak sama nazwała go mistrzem kłamstwa, to, że udało mu się złamać psychicznie nawet Tomka (i to nie zadając choćby najmniejszego bólu cielesnego), oraz to, jak okrutnie wykorzystywał ich wewnętrznie zakorzenioną ufność w logikę i rzeczywistość do zadawania kolejnych, coraz to bardziej soczystych ciosów w ich świadomości, aż nadto potwierdzało, że nie powinni mieć żadnych złudzeń. Ten las naprawdę był jego królestwem i panował nad nim w każdej sferze. Fizycznej i duchowej. Dosłownie i w przenośni.

W nagłej myśli dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to właśnie dzisiaj wypadła Wielkanoc.

Wielkanoc, czyli w założeniu najpiękniejsze, obchodzone z największą celebracją święto w roku liturgicznym. Dzień zwycięstwa. Dzień radości. Dzień nowego, lepszego początku ludzkich dziejów. Dzień, w którym wszyscy wierzący w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, wspominali ostateczne pokonanie przez niego zła.

Jakże okrutną ironią losu było więc, że dzień ten jednocześnie okazywał się w ich życiu najgorszym, jaki tylko mogli sobie wymyślić?

Zamiast uroczystego śniadania mieli tę tajemniczą historię z panem Andrzejem i kilkukilometrowy sprint podczas ogromnej ulewy. Zamiast wielkanocnej mszy... Najczystsze obcowanie z Bogiem... Mieli spotkanie z totalnym jego przeciwieństwem. Spotkanie z tą piekielną siłą, która bawiła się z nimi jak dzieci przypalające mrówki skupionym przez lupę światłem słonecznym. Zamiast fajnego czasu w gronie najbliższej rodziny, ciepła, radości i wyciszenia od codzienności, mieli strach, smutek, beznadzieję i bezsilny gniew.

Słowem – nic tego dnia nie było tak, jak powinno.

„Jaki Bóg pozwoliłby na coś takiego?” – pomyślała. Nie dałaby głowy, czy była to jej własna myśl, czy może jednak dopowiedzenie czegoś z zewnątrz.

Ale szczerze? Miała to już gdzieś.

Wyciągnęła swój rozładowany telefon i bawiąc się nim w rękach, pomyślała o rodzicach. Na pewno byli już po mszy, ale wątpiła, by spędzali ten dzień w normalnej, świątecznej beztrosce. Nie. Oni także, podobnie jak ona, mieli nawał emocji i także, podobnie jak ona, wyłącznie tych złych. A wszystko dlatego, że nie mogli się do niej dodzwonić i zapewne mocno się niepokoiłi. Czuła to. Co do tego, że próbowali się z nią skontaktować (choćby po to, by złożyć jej życzenia), nie miała żadnych wątpliwości. Dzwonili też pewnie i do Tomka, ale „abonent czasowo niedostępny” również pod jego numerem tylko zwiększył ich obawę o córkę.

Ale i tak to, co się z nią teraz działo, przechodziło ich najśmielsze, nawet najgorsze wyobrażenia...

Wtem przyszło jej do głowy, że skoro nie rozmawiała z mamą od środy, to ta nawet nie wie, że ostatecznie wylądowali nie w Osinkach, a Białodębach. Tak naprawdę, wyłączając Janików, Prusów i być może resztę mieszkańców wioski, jeżeli chodziło ściśle o ich znajomych, to nie wiedział o tym nikt oprócz Krzyśka, Aśki (która i tak nie wiedziała, gdzie to jest, pewnie nawet nie pamiętała już tej nazwy) i Andrzeja Roguckiego, oczywiście przy założeniu, że tego tajemniczego mężczyznę jednak do tych znajomych można zaliczyć.

Nie wiedziała, jak się to wszystko zakończy. A może inaczej – wiedziała, ale nie chciała o tym myśleć. Jasne, można było mieć złudną nadzieję, że Natalia zaniepokoi się jej wrzaskami po przygodzie w łazience (na które – co było dosyć dziwne i co właśnie sobie uświadomiła – w żaden sposób nie zareagowała), ich szybkim odjazdem oraz tym, że nie może się do niej dodzwonić, na tyle, iż domyśli się, że należy ich szukać. A może – co najpewniej się stanie – uzna to po prostu za dziwną osobliwość, machnie na to ręką i – gdy do akcji wkroczą już Górcy oraz rodzice Tomka i gdy będzie już dawno za późno – zgodnie z prawdą powie policji, że para studentów wyjechała bez pożegnania i tyle ich widzieli.

Zadrzała.

A co będzie, jeżeli – nawet jak do poszukiwań ściągnie tu połowa

województwa – nie daj Boże demon zechce wciągnąć w tę swoją chorą grę także i tych ludzi...?

„*Perpetuum mobile* napędza się samo. Czyste, niewyczerpalne źródło energii...”

Co do jednego była dosyć pewna i paradoksalnie czuła, że przynajmniej w tej kwestii pomimo swojej zwodniczej natury pan Zdancewicz (jak z braku laku ochrzciła ten byt w myślach) nie kłamał.

Nie zabije ich.

Nie dlatego, że ostatecznie okaże im łaskę. Nie, zło nie czuje czegoś takiego jak litość.

On po prostu będzie ich deptał... Będzie na nich pluł... Będzie ich łamał i dobijał tak długo, aż sami odbiorą sobie życie. Taki był właśnie jego misterny plan. Tak jak celem każdego zwykłego demona jest zniszczenie człowieka od środka, które rozpoczyna, wchodząc w niego i żerując na nim niczym pasożyt, tak temu uda się to w zupełnie inny sposób. Oryginalniejszy. Autorski. Sama nie wiedziała, który jest gorszy. Czy nie wolałaby jednak stracić świadomości poprzez zwykłe (jakże dziwnie to brzmiało w połączeniu z tym określeniem) opętanie i w końcu umrzeć, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Westchnęła.

Niezależnie od siebie zaczęła przywoływać sobie w głowie różnorakie obrazki z jej przecież wciąż krótkiego jeszcze życia. Nie zdziwiło jej to jednak. W końcu krótko przed śmiercią tak to ma właśnie u ludzi podobno działać.

Jak na złość wszystkie przychodzące jej teraz na myśl wspomnienia były mniej lub bardziej związane z lasem.

Na samym początku przypomniawszy sobie ich wszystkie studenckie wojaże do domków, w których wszyscy oprócz niej budzili się nazajutrz zarzygani.

Przenosząc się w czasie jeszcze wcześniej, przypomniawszy sobie wszystkie wakacyjne wypadki z rodzicami do ich letniej rezydencji w lesie pod Warszawą. W czasach, kiedy jej jedynym zmartwieniem było to, czy mama z tatą pozwolą jej oglądać bajki w telewizji, czy też może jednak postawią veto. Pamiętała ojca, który codziennie wieczorem wychodził wtedy pojeździć na rowerze. Najpierw dzień w dzień niecierpliwie wyglądała go przez okno, ale potem uparła się, by wreszcie nauczył jeździć

również i ją. W rezultacie już w wieku pięciu latek śmigała za nim na rowerku jak stary wyga.

Przypomniała sobie szkolne biwaki. Mecze piłki nożnej, dziewczyny kontra chłopcy (i to nie zawsze wygrane przez tych drugich) na wielkim polu niedaleko ośrodka, do którego corocznie wybierali się klasą. Pamiętała prowadzone wtedy przez klasowego pasjonata muzyki tanecznej dyskoteki (ciekawe, co u niego teraz słyszeć?), na które każda z dziewczyn robiła się na bóstwo, by potem podpierać ścianę, oraz to, jak podczas tych wyjazdów mogła luźno pogadać ze swoją wychowawczynią. Co najmniej jak z cicią.

Piękne czasy...

Przypomniała sobie kolonie żeglarskie w Przerwankach niedaleko Węgorzewa, na którą rodzice wysłali ją, kiedy miała bodajże jedenaście lat. Spotkała tam świetnych ludzi – zarówno wychowawców, jak i inne dzieciaki. Pomimo że nie miała tam z początku żadnych znajomych i od zawsze była z natury nieśmiała, rozpoczęła podczas tego obozu bardzo wiele nowych, sympatycznych przyjaźni. Pamiętała zawody sportowe, chrzest polegający na różnych, często nieprzyjemnych zadaniach, takich jak chodzenie na czworakach po szyszkach albo przejście w krótkich spodenkach przez pokrzywy; przezabawne skecze, które każdy pokój musiał przygotowywać na codzienne wieczorne ognisko, to, że na kolonijnych dyskotekach królowała wówczas piosenka: „A wszystko to... bo ciebie kocham” zespołu Ich Troje, to, jak pływała wtedy na małych, jednoosobowych żaglówkach zwanych optymistami, no i wreszcie – kolonijny ślub z jednym bardzo miłym chłopakiem.

Ach tak, była na tej kolonii jeszcze tak zwana wampiriada...

Według ich najwyższego rangą wychowawcy – jak go nazywali, „szefa wszystkich szefów” – miało to być po prostu zwykłe przejście nocą przez las. Okazało się jednak, że – podobnie jak ten skurwiel tutaj – ich opiekunowie przygotowali im wtedy znacznie więcej niespodzianek.

Zaczynało się tak, że o zmroku wszystkie dzieciaki siadały razem przy ognisku, a jedna pani uroczystym, ale jednocześnie konspiracyjnym szeptem mówiła: „rozpoczynamy wampiriadę...”. Mieszkańcy każdego pokoju tworzyli grupę, która miała wspólnie wędrować i każda następna wyruszała w swoją drogę w zupełnie innym czasie. Do dziś pamiętała dochodzący z oddali wrzask dziewczyn z sąsiedniego pokoju. Wrzask, który rozległ się tuż przed tym, gdy to z kolei jej grupa miała wyruszyć

w nieznane.

Może już wtedy go spotkały?

Chyba jednak nie, bo przynajmniej w przypadku jej drużyny pierwszym straszącym okazał się druh Paluszek – kolonijny trener piłki nożnej. Ukrył się w krzakach tuż przy wejściu na cały ogrodzony teren obozu i gdy przechodziły obok, zaczął chrumkać, udając dzika.

Oj, jakże Karolina się wtedy wydarła...

Ale i tak jako jedyna nie płakała. Był to bowiem dopiero początek i nie dziwiła się, że po tak mocnym otwarciu słabe dziewczęce nerwy mogły rychłych kolejnych atrakcji nie wytrzymać.

Druh Paluszek powiedział im wtedy, by pod żadnym pozorem się nie rozdzielały (no co ty nie powiesz?!), uważnie przysłuchiwały się odgłosom zwierząt i szły zgodnie z wyznaczonym przez palące się świece szlakiem. Gdy skończył, wrócił z powrotem w krzaki w oczekiwaniu na kolejnych śmiałków, a dziewczyny zaś mogły z duszą na ramieniu rozpocząć przygodę ich życia. Całkiem sprytnym i dobrym pomysłem okazało się dogonienie grupy, która wyruszyła do lasu tuż przed nimi i już w dwukrotnie większym gronie było wszystkim znacznie różniej.

Do czasu.

Gdy w swojej wędrówce dotarły już do samego środka nieprzeniknionego boru, nagle, ni stąd, ni zowąd z gęstwiny wyskoczyła grupa uciekających przed czymś nastolatków. Krzyczeli coś o jakimś chorym psychicznie facecie – uciekinierze ze szpitala psychiatrycznego, który – i tu cytat – „odgryzł jednemu chłopakowi rękę”.

Karolina była wtedy tak przerażona, że nie zarejestrowała już tamtej nocy żadnych nowych wspomnień. Nie pamiętała nawet, jak się ta cała wampiriada skończyła. Historia z szaleńcem była chyba jednak jedną wielką bujdą, a tamci nastolatkwie – podstawieni.

No, chyba że był to rzeczywiście jakiś kolejny błądzący po niekończącym się lesie i zdany na jego okrutną łaskę nieszczęśnik, który w końcu zwyczajnie oszalał... Nie można było tego wykluczyć.

Nim zdążyła się powstrzymać, w idiotycznej myśli przyszło jej do głowy pytanie, jak długo jeszcze demon będzie musiał ich psychicznie dobijać, by zwariowali na tyle, że zaczęliby z Tomkiem odgryzać sobie nawzajem ręce...?

STOP!

Aby pozbyć się z głowy tych wszystkich głupot, potrząsnęła nią.  
Zamrugła.

Skupiła się i utkwiała wzrok w miejscu, gdzie kątem oka zarejestrowała przed momentem w lesie ruch, który po chwili się powtórzył.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom, ale nauczona poprzednimi doświadczeniami tego dnia przezornie wzięła też poprawkę, że mogła to być kolejna iluzja. Chcąc wyłapać w tym widoku choćby jeden fałsz, patrzyła uważnie przed siebie.

Naprawdę tam byli!

Ostrożnie zabrała z ud głowę Tomka, wstała i nie chcąc na razie ryzykować oddalania się od niego, zawołała w ich stronę:

– Chiara! Paolo!

Usłyszawszy to, zatrzymali się i także na nią spojrzeli, by po sekundzie zacząć biec. Już ze znacznej odległości widziała, że w porównaniu z ich aktualnym stanem psychofizycznym to, jak wyglądali świeżo po ich środowowej przygodzie na drodze, można było stawiać za wzór normalności. Bardzo bladzi, wychudzeni (Paolo, jakiego poznała, był pociesznym, wyłysiałym, lekko brodatym, tęgim grubaskiem, więc było to aż nadto widoczne), a ich ubrania bardzo brudne. Jakby lekko się czegoś obawiali, jeszcze nie okazywali żadnych typowych dla południowców emocji. Dopiero na ostatnich kilku metrach będącej na czele tego peletonu Chiarze pociekły łzy.

Karolinie zabrakło tchu, gdy dziewczyna prawie ją staranowała, a po chwili objęła i z całej siły przytuliła. Przerażliwie drżała.

„A więc wy też... Ty jebany chuju!”

Wybudzony już Tomek patrzył na tę scenę z nieprzytomnym zdziwieniem.

– *What happened to you?* – zapytała Karolina. Przerażona Chiara w odpowiedzi zaczęła trajkotać coś po włosku, więc siłą rzeczy w ten sposób nie mogły się dogadać. Paolo z kolei – o czym wiedzieli już od środy – nie znał angielskiego.

– *Keep calm. What happened?* – Karolina sama była zdziwiona, z jak wielkim spokojem to powiedziała. Prawie jakby była to tylko kolejna, najzwyklejsza w świecie interakcja z człowiekiem w ramach ćwiczeń na uczelni.

Próbując się stopniowo uspokoić, Chiara powachlowała się dłońmi,

wzięła głęboki oddech i rozpoczęła swoją opowieść, w którą wciąż od czasu do czasu wplatała włoskie słowa.

Czwartkowe rozważania Karoliny, co u nich słyhać, miały mało optymistyczną odpowiedź. Po prostu wyszli tego dnia na spacer po lesie i nie wrócili do swojej kwatery w Przełomce aż do dziś.

Z prozaicznego powodu.

Po prostu nie mogli z tego lasu wyjść.

Dalsza część była bardzo niezrozumiała, gdyż w zdania Włoszki wkradł się spory chaos. Karolina, która w miarę jak ta historia posuwała się naprzód, zaczynała coraz bardziej żałować swojego początkowego pytania, w żadnym wypadku nad tym jednak nie ubolewała. Chiara mówiła coś o drzewach, duchach, pokazywała u siebie i Paola liczne zadrapania i siniaki, a na koniec zapytała, czy nie mają z Tomkiem czegoś do jedzenia.

Tak czy inaczej, ich spotkanie było pewnym powiewem optymizmu i namiastką koloru w beznadziei i szarości, które wypełniały powietrze otaczającej ich mrocznej puszczy. Podobnie jak zdarzyło się to na wspomnianej niedawno przez dziewczynę wampiriadzie, w ich sytuacji w większym gronie zawsze wędrowało się różnie. Im więcej par oczu, tym lepiej.

Karolina mimo wszystko czuła jednak pewien drobny niepokój.

Spotkali ich wyłącznie dlatego, że on tak chciał.

Jakie zatem mógł mieć wobec nich teraz plany?

W rewanżu, gdy cała czwórka wyruszyła już w dalszą drogę, opowiedziała Chiarze wszystko to, co wydarzyło się od chwili, gdy wyjechali z Białodębów. Nie miała już siły i ochoty referować, co zdarzyło się jeszcze wcześniej. Przywołując sobie na powrót wszystkie przerażające wspomnienia z tego dnia, nawet nie zauważyła, że i w jej monolog wkradł się bałagan z wplataniem polskich słów, jękaniem i drzeniem głosu włącznie.

W swojej codziennej wędrówce po niebie słońce minęło już najwyższy punkt, więc z każdą sekundą czyniony przez gęste drzewa półmrok stawał się coraz głębszy i coraz ciemniejszy.

Perspektywa zbliżającej się nocy i rychłego spędzenia jej w tym lesie była porażająca... Podobnie jak fakt, że znowu z każdą mijającą minutą znacznie wydłużał się czas, w którym nie działo się nic szczególnego. „Okres zwykły w ciągu roku” – jak to przemknęło przez myśl Karolinie.

Czyżby demon szykował dla nich coś ekstra właśnie na zmierzch?

Włosi na pewno mieli w tej kwestii wiele do opowiedzenia, ale szczerze mówiąc, zarówno ona, jak i Tomek w zadziwiającej zgodności nie chcieli aż tak bardzo wchodzić w szczegóły.

\*

– Zobaczcie! – Po blisko godzinie marszu, w trakcie którego żadne z nich nie odezwało się choćby słowem, Wawrentowicz przerwał ciszę i wskazał na wprost. Jedyłą rzeczą, która sprawiła, że na ten widok nie puścił się jeszcze raz biegiem przed siebie, było wciąż świeże wspomnienie o jezdni, drzewiastej klatce, samochodzie widmo i... tym, jak się to wszystko skończyło.

Na horyzoncie bowiem drzewa kończyły się i zaczynała się za nimi rozległa niezalesiona przestrzeń. Nie był to znowu ten trawiasty kwadracik, w którym zostawili auto. Nie, tym razem polana była znacznie, znacznie większa. Czyżby więc jednak Białodęby?!

Lepiej późno niż wcale...

Co prawda Karolina i Tomek wyczuwali podskórnie jeszcze jedną sztuczkę lasu, ale mimo wszystko obydwójce po raz kolejny nie potrafili powstrzymać nagłego uczucia rosnącej nadziei. Doszło więc do tego, że tę musiała im dawać każda, choćby nawet najmniejsza krajobrazowa odmiana...

„Głupcy... Synowie i córki nadziei...”

Cała czwórka czym prędzej ruszyła we wskazaną przez Tomka stronę.

Po chwili zarówno Karolina, jak i on poczuli to na plecach i jednocześnie zrozumieli, co się święci.

Że co kurwa?!

„A więc umiesz nie tylko zmieniać ułożenie jednego lasu, ale też... łączyć się z innymi?!”

„Ano umiem! Dobrze, co?” – od razu odpowiedział Tomkowi w głowie głos Natalii. Wzdrygnął się. I to wcale nie z powodu tych cholernych wchodzących mu pod koszulkę i wplątujących się we włosy muszek.

Jeszcze przed minięciem ostatnich rzędów drzew Gałęziste ukazało im się w pełnej krasie. Naturalnie teraz nie prowadził do niego żaden szlak i w całości było otoczone szczelnym leśnym murem.

– Jak... Jak... to jest możliwe...?

Oniemiała Karolina zatrzymała się, a Tomek wraz z nią.



Chiara i Paolo nie rozumieli jeszcze absurdalności tej sytuacji. Włoch podszedł do turkusowej tafli jeziora, nabrał w dłonie trochę wody i przemył nią twarz. Wawrentowicz zaś wciąż walczył z irytującymi owadami, które nagle zaatakowały go ze zdwojoną siłą.

– *We were near that lake in the past... But this was in completely different forest, than this we got lost... I... I... don't understand... There are very many kilometers and several villages between them! It's impossible!* – wytłumaczyła Chiarze Karolina. Gdy ta pierwsza odwróciła się w stronę Paola, chcąc przekazać mu po włosku to, co przed chwilą usłyszała...

Wtedy... Wtedy zobaczyli to wszyscy.

W swojej wędrówce do środka jeziora mężczyzna był już dobrych kilka metrów od brzegu, a woda sięgała mu aż do pasa. Nie zadał sobie trudu, by zdjąć choć część garderoby, o opiętym na jego wydatnym grzbiecie plecaku nie wspominając.

– Paolo? – zawołała Chiara. – *Sei impazzito? Vuoi prendere la polmonite?*

Wprawdzie odwrócił się za jej słowami, ale nie przestawał iść tyłem w coraz większą głębię. Był uśmiechnięty. Nabierając przy tym wody w ręce i pluskając nią wokół siebie, odpowiedział jej coś z entuzjazmem. Z tonu i gestów można było wyciągnąć wniosek, że zachęca do wejścia również i ją. Pomimo kolejnych ostrych wyrzutów, jakie czyniła mu dziewczyna, najwyraźniej nic sobie z nich nie robił, tylko wciąż zachowywał się jak dziecko, będące w samym środku stosu zabawek.

– Co on mówi?! *What does he say?* – zapytała Karolina. Niepokój narastał w niej z każdą sekundą.

– *He says, that this water is warm like in the bath...* – odparła Chiara. – *Paolo! Me che ti succede?*

Nagle Karolina poczuła to i rozejrzała się po jeziorze.

„Kurwa mać!”

– Paolo! *Get back here!* Wyłaź stamtąd! – krzyknęła. Chiara, która już sama miała zrobić krok do wody, ale została w porę zatrzymana przez Górską, spojrzała na nią z lekkim zdziwieniem. Włoch jakby ich nie słyszał. Wydawało się, jakby nie słyszał już niczego, w tym tego silnego wiatru, który nagle, intensywnie kołysząc drzewami, przetoczył się przez las. Zanosząc się przy tym nieprzytomnym, narkotycznym śmiechem, znowu nabrał wody w ręce, uniósł je i wypuścił ciecz z głośnym pluskiem.

Nie widział więc, że tuż za nim, poczynając od samego idealnego środka, jezioro powoli, metr po metrze, zmieniało swój kolor na krwistą czerwień. Dosłownie tak, jakby ktoś tuż przed chwilą wrzucił do niego ogromną kroplę atramentu, którego warstwa zaczynała stopniowo rozprzestrzeniać się po tafli.

Karolina nie mogła już wytrzymać tego trupiego odoru, którym zniecka wypełniło się powietrze, i dostała mdłości. Ledwo powstrzymując się od wymiotów, pochyliła się i głośno kaszlnęła.

– O kurwa... – mruknął Tomek.

– Paolo! – krzyknęła Chiara. – *Esci da li!*

Karolina przemogła się, wyprostowała i po raz kolejny spojrzała na w całości czerwone teraz jezioro. Paolowi jego kolor nie robił chyba jednak żadnej różnicy, bo w dalszym ciągu jego zachowanie ani trochę się nie zmieniło. Sprawiał wrażenie niedostrzegającego, co się wokół niego dzieje. Liczył się tylko on i jego zabawa. On i ta „woda”. Co więcej – dalej szedł tyłem coraz głębiej i teraz sięgała mu już ona do klatki piersiowej.

Wtem Karolina to usłyszała.

– PAOLO!!! UCIEKAJ!!! RUN!!! SZYBKO!!! – wrzeszczała z całej siły, patrząc z przerażeniem na ten nieszczęsny wystający znad tafli fragment jego ciała, wokół którego na czerwonej wodzie raptem zaczęły rozchodzić się kręgi i bąbelki...

I to bynajmniej nie od niego i jego dziecięcej zabawy z wodą...

Choć sam Paolo był słusznej postury, to coś, co z niskim gardłowym pomrukiem zaczęło tuż za nim wyłaniać się z wody, było najwyraźniej jeszcze większe. Doskonale widzieli zarys tego potężnej, sinej i atletycznie umięśnionej sylwetki. Kruczoczarne, zaplątane fragmentami w glony włosy zajaśniały w końcu nad łysiną Włocha. A zaraz po nich te martwe, przerażające oczy, które Karolina dostrzegła nawet pomimo znacznej odległości. Sama nie wiedziała, jak to było możliwe, ale były one jednocześnie czystą kwintesencją zła i... obojętności.

Las, który od początku przemiany jeziora był niezmiennie targany dość silnym wiatrem, natychmiast ucichł.

Dwie długie i grube jak pniaki ręce zacisnęły się błyskawicznie wokół klatki piersiowej Paola, który dopiero po tym przestał się wreszcie uśmiechać. To coś, co za nim stało, przywarło do niego intensywnie i nim zdążył choćby krzyknąć, rzuciło się do tyłu pod wodę razem z nim

w objęciach.

Do samego końca wzrok tego czegoś nie zmienił się ani trochę. Do samego końca też utkwiony był w Karolinie...

– PAAAOOOLOOO!!! – wydarła się Chiara i zalała się rozpaczliwymi łzami. Odruchowo zrobiła krok do przodu. Jako że Tomek w ostatniej chwili ją złapał i silnie pociągnął do siebie, zdążyła jedynie delikatnie dotknąć tafla czubkiem buta. Ta zasyczała pod nim, jakby Gałęziste nie było wypełnione wodą, a co najmniej kwasem solnym. W swoim impecie chłopak stracił równowagę i upadł na plecy, wciąż z całej siły trzymając wyrrywającą się i histerycznie płaczącą dziewczynę.

Karolina ledwo powstrzymywała się, by także się nie rozplakać, a jej oczy również pokryły się łzami. Nie mogąc dłużej patrzeć na rozpacz Chiary, po raz kolejny spojrzała na jezioro i...

Odskoczyła od niego tak gwałtownie, że także straciła równowagę i także wylądowała na ziemi.

Tuż przy samym brzegu, w miejscu, gdzie w normalnym, logicznie działającym świecie od dna do powierzchni czerwonej cieczy powinno być co najwyżej kilka centymetrów, aż do oczu włącznie wystawała ponad lustro wody połowa głowy tego czegoś, co przed chwilą utopiło Paola. Martwy, obojętny wzrok utkwiony był w Karolinie, która leżała teraz w odległości zaledwie jednego metra od miejsca, gdzie to coś się znajdowało. Sparaliżowana strachem i jakby zahipnotyzowana tego złymi do granic możliwości oczami dziewczyna nie mogła oderwać od tego spojrzenia. Podobnie jak Tomek, który wstrzymał oddech, i Chiara, która od razu przestała płakać. Utopiec wpatrywał się w Karolinę bez choćby najdrobniejszego ruchu, bez choćby najmniejszego, pojedynczego tiku... Słyszała, jak jej serce odlicza każdą milisekundę tej przerażającej sceny...

Wreszcie po trwającej dla nich całe godziny chwili wydarzyły się prawie jednocześnie, choć jednak w określonej kolejności trzy rzeczy. Tomek przerwał tę nieznośną ciszę i wydukał gardłowym szeptem:

– Kara... Spieprzaj...

Istota raptownie wyłoniła się z wody ponad pas i jak dzikie zwierzę rzuciła się swoimi potężnymi rękoma do malutkich stópek dziewczyny. Szczęśliwie, nawet sobie nieznanym sposobem Karolina w kapitalnym refleksie zdołała je odrobinę przesunąć. Podczas gdy tego ramiona ciężko walnęły o grunt, zaczęła czołgać się na siedząco do tyłu. Utopiec nie

zamierzał chyba jednak na tym poprzestać, gdyż wypętlzył z jeziora niczym krokodyl, zmierzając powoli w jej stronę na czworakach. Tomek puścił Chiare, doskoczył do Karoliny i jednym ruchem pomógł jej wstać. Niewiele myśląc i nie oglądając się za siebie, w następnym momencie wszyscy troje biegli już pod górkę z powrotem do lasu.

Po kilku minutach rozpaczliwego sprintu Karolina, która przez cały czas skupiona była na plecach Tomka, zauważyła, że Chiara z nimi nie biegnie.

– Tomek!

Zatrzymał się.

– Gdzie jest Chiara?!

Jakby w odpowiedzi usłyszeli gdzieś w oddali jej szybkie kroki w połączeniu z szelestem liści i trzaskaniem gałązek.

– Chiara! – krzyknęła Karolina.

Obydwoje rozejrzeli się gorączkowo.

– Tam! – Dojrzał ją w końcu Tomek. Rzeczywiście, Włoszka mignęła między drzewami jakieś dwieście metrów od nich.

– Chiara! – powtórzyła Karolina i zamieniając się rolami z chłopakiem, jako że tym razem to on oglądał jej plecy, zaczęła biec w tamtą stronę. Dziewczyna zdawała się jej jakby nie słyszeć.

Nie zatrzymała się.

Nie odwróciła głowy.

Nawet nie zwolniła...

Zachowanie to wydało się Karolinie dziwnie znajome, więc tym większe z każdą sekundą miała obawy. Obawy, że tym razem ich grono nie zmniejszy się o jedną czwartą, a aż o jedną trzecią...

– Ej! Wracaj! – Teraz to Tomek krzyknął. Również nie odniosło to żadnego rezultatu, ale przynajmniej miała pewność, że wciąż ma go za plecami.

Niespodziewanie dotarli do miejsca, gdzie zaczynał się znaczny spadek terenu. Karolina wyszukała wzrokiem będącą teraz na wprost od niej Chiare i zamarła. Zatrzymała się tak nagle, że rozpędzony Tomek prawie na nią wpadł.

– Co jest?

Nie tylko zachowanie tamtej dziewczyny wydało jej się znajome.

Oj nie.

To samo mogła powiedzieć o widoku, który miała przed sobą. Choć po

ich sobotniej wycieczce wiedziała, że w pobliżu Gałęzistego również występowały nierówności terenu takie jak ta, to po jednym istotnym szczególe rozpoznała, że znowu w niewyjaśniony sposób znaleźli się w zupełnie innej części Suwalszczyzny niż ta, w której byli jeszcze chwilę wcześniej.

A konkretnie – po tym cieniu...

Po tym przeraźliwie mrocznym cieniu znajdującym się na samym dnie zalesionego koryta doliny w kształcie rozwartej litery V. Tym samym, który w czwartek i każdego innego dnia, w którym tylko sobie o nim przypominała, tak napawał ją lękiem. Tym samym, po wyjeździe z którego po raz pierwszy spotkali demona...

Tym samym, do którego biegła właśnie niczego nieświadoma Chiara.

Choć wspomnienia sprzed paru dni były w tej chwili dla Karoliny czymś niesamowicie mglistym, pamiętała, że nawet wtedy, wieczorową porą cień ten nie był tak bardzo mroczny jak teraz...

– CHIARAAAAA!!! – Choć mogło się to wydawać niemożliwe, wydarła się jeszcze głośniej niż tam, nad Gałęzistym do Paola.

– Kara, gońmy ją! Czemu się zatrzymałaś?! – krzyknął Tomek, podczas gdy Karolina po raz kolejny tego dnia się rozpłakała.

– Co jest, o co chodzi?!

– Zaraz zobaczysz... – wydukała. Gdy jednocześnie zwrócili swoje oczy z powrotem za Chiarą, ta wbiegała właśnie w ten ciemny, utworzony przez liście i gałęzie tunel, zupełnie znikając im z oczu. Choć Karolina nie do końca wiedziała, czego tak naprawdę się spodziewa, przeraźliwy ryk Włoszki, który zaraz rozniósł się po całym lesie, przeszedł jej najśmielsze oczekiwania... Przebił najgorsze wyobrażenia... W swoim rozmachu pobił każde zakończenie tej sytuacji, jakie tylko mogła sobie wymyślić.

Był po prostu makabryczny.

A do tego dochodził jakby z każdej strony, z każdej rośliny, z każdej pojedynczej szparki w każdym otaczającym ich pniu drzewa. Karolina zalała się łzami, zamknęła oczy i z całej siły przycisnęła do uszu ręce, co i tak w niczym jej nie pomagało. Pełen bólu wrzask docierał do niej stopniowo, sekunda po sekundzie, po każdej ze zdwojoną siłą, sprawiając wrażenie, jakby pochodził bezpośrednio z jej głowy, z każdego narządu, z każdej jej komórki, z każdego pieprzonego mitochondrium wewnątrz niej. Z Tomkiem wcale nie było lepiej.

Ten dźwięk był okropny.

Było to gorsze niż szorowanie widelcem po tablicy. Gorsze niż trzask łamanych kości. Gorsze niż odgłos rwania żywego, ludzkiego mięsa... Było to gorsze niż wszystko inne, co obydwójce kiedykolwiek słyszeli...

Słyszeli, jak ta dziewczyna umierała w przerażających katuszach. A najgorsze w tym wszystkim było właśnie to, że nic z tego nie widzieli...

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jej głos momentalnie ucichł.

Było już po wszystkim. Jedno życie ludzkie mniej. W tę czy tamtą... Co to właściwie za różnica? Pikuś.

Pomimo zapadłej ciszy Karolina wciąż przyciskała do uszu dłonie i miała zamknięte oczy. Łzy, które spływały jej po policzkach i nosie jedna za drugą, skapywały na ziemię.

– Kurwa... – Wstrząśnięty Tomek przez cały czas patrzył na cień na samym dole. Choć zmęczony tym dniem wzrok mógł go już lekko zawodzić (odległość od podnóża wzniesienia była wszak spora), wydało mu się, że w tamtej ciemności błyszczą się dwa żółte punkty...

– Chodź... – Objął Karolinę drżącymi rękoma i skierował ją w jedyną stronę, gdzie mogli teraz pójść. Czyli nie w stronę Gałęzistego, czyli nie w stronę muru tych cienkich, młodych, twardych jak stal drzewek, którego i tak nie mieli szans pokonać, a przede wszystkim z dala od tego czegoś tam, na dole...

Czyli tak naprawdę ostatnią, która pozostała im po wyeliminowaniu wszystkich pozostałych...

Pole manewru zmniejszało im się jednak z przerażającą szybkością...

Co więcej – wtedy jeszcze nie wiedzieli, że w obliczu tego, co miało się niedługo wydarzyć, wcale nie wybrali z ich punktu widzenia najlepszej opcji.

„Chryste... Co to z nami będzie...” – pomyślał Tomek.

Do zupełnego zmierzchu brakowało jeszcze zaledwie kilku godzin.

\*

Karolina nie otworzyła oczu i nie oderwała dłoni od uszu jeszcze przez bardzo długi czas. Chciała mieć chociaż namiastkę stanu, w którym nie znajduje się w tym przeklętym lesie, a gdziekolwiek indziej. Mogłaby być nawet w samym środku wojny na Bliskim Wschodzie. Mogłaby być nawet jako jedyna kobieta w celi pełnej wyposzczonych seksualnie mężczyzn.

Mogłaby nawet wygłaszać teraz wykład na temat wiary na zjeździe zatwardziałyach ateistów.

Mogłaby być teraz wszędzie.

Wszędzie, byleby nie tutaj.

Skoro i tak mieli się z tego piekła nie wydostać, udawanie, że się tutaj nie jest, było ostatnią rzeczą, która jej tak naprawdę pozostała. Jedyną sensowną, nawet jeżeli było to złudne, perfidne, oszukańcze zakrzywianie rzeczywistości.

Pardon.

Istniało przecież jeszcze jedno rozwiązanie. Uniwersalne lekarstwo. Coś, po czym wszystkie ich problemy przestałyby mieć znaczenie... Do tego, jakkolwiek na to patrzeć – proste, skuteczne, a przede wszystkim mniej bolesne niż sposoby, w jakie zakończyli swoje istnienia Chiara i Paolo.

Choć w całym swoim życiu nigdy nie zaznała choćby krzty myśli samobójczych, wystarczył tylko ten jeden pieprzony dzień... A nawet nie dzień, a jeden pierdolony jego ułamek, by jej spojrzenie na świat odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Otaczała i wypełniała ją wszechobecna ponurość, szarość i rozpacz. Jej dobry nastrój na wczorajszym żeglowaniu sprzed zaledwie dwudziestu czterech godzin wydawał jej się teraz czymś kompletnie abstrakcyjnym. Niezbadanym. Nieznanym. Nierealnym. Czuła się tak, jakby już nigdy więcej nie miała zaznać radości. Nie była nawet pewna, czy kiedykolwiek byłaby jeszcze w stanie się cieszyć.

„To miejsce to gniew. Gniew jest tym miejscem”.

Jaki był właściwie sens ich dalszej wędrówki? Żaden. Absolutnie. W swojej zabawie w szukanie motywów działań natrafiała na ścianę bez drzwi już w pierwszym pytaniu „dlaczego”. Po co mają to robić? Im dłużej będą szli, tym tylko większą radochę sprawią temu czemuś. Tym tylko bardziej mu się przysłużą. Tym większą przysługę wyświadczą karmiącemu się ich strachem bytowi, który stawał się tylko dzięki temu coraz silniejszy.

„A silniejszy to znaczy bardziej kreatywny”.

Może więc rzeczywiście nadeszła pora, by wybrać mniejsze zło...? Wyłączyć światło? Zakończyć ten koszmar i nie zawracać sobie niczym więcej głowy? Jakże kusząco to teraz brzmiało... I było przecież tak trywialne w realizacji...

Intensywnie nad tym myśląc, nie odzywała się ani słowem, tylko po

prostu pozwoliła się Tomkowi prowadzić. Jak marionetka. Co za różnica, skoro i tak mieli tu umrzeć? Jedyne dającym jeszcze jej nogom jako taką siłę impulsem był już chyba tylko głęboko zakorzeniony ludzki instynkt przetrwania. Tylko on nakazywał jej jeszcze posuwać się naprzód i to niezależnie od niej. Na pewno jednak niechybnie miały nadejść chwile, w których nawet on okazywałby się bezużyteczny...

Za godzinę? Pół? Pięć minut?

W pewnym momencie Tomek zatrzymał się, więc otworzyła oczy. Znowu zbliżali się do małej polanki, na której był uwięziony samochód.

Co ciekawsze – nie było to ich audi.

Z największą ostrożnością podeszli do pojazdu. Zakopane kołami w ziemi auto było w opłakanym stanie, więc wyglądało na to, że znajdowało się w tym lesie wielokrotnie dłużej niż oni. Było tak brudne i pokryte różnego rodzaju fragmentami liści i gałęzi, że Tomek potrzebował trochę czasu, by rozpoznać jego markę.

Renault Mégane...

– No nie pierdol... – mruknął, gdy zobaczył jego rejestrację. Ta była bowiem... poznańska.

Karolina obeszła samochód, zaglądając do środka, podczas gdy chłopak, po upewnieniu się, że jest zamknięty, nie zastanawiając się długo, wyszukał w lesie pokaźny, solidny konar.

– Odsuń się – polecił i nim zdołała zadać jakiegokolwiek pytanie, zamachnął się kilka razy i w końcu wybił w aucie przednią szybę. Następnie wszedł na maskę, ostrożnie dostał się do środka pojazdu i zaczął przeglądać wszystkie schowki. Mapy, guma do żucia, skrobaczka do szyb, jakiś spray do czyszczenia, kilka płyt CD Budki Suflera, Marka Grechuty i Michała Żebrowskiego, kartonowa biała tabliczka z czerwonym krzyżykiem i napisem „lekarz – nagłe wezwanie”... Słowem – nic, co mogłoby im się teraz szczególnie przydać. Odwrócił się i zajrzał na tylne siedzenie.

– Kara! – krzyknął.

– Co?

– Tu jest jedzenie! I to dużo!

Podał jej szybko pakunki. Część rzeczy – jak spleśniałe niektóre owoce, twarde jak kamień chleb czy skwaśniałe jogurty – nie nadawała się już raczej do spożycia, ale na szczęście nie ze wszystkimi sprawa przedstawiała



się aż tak tragicznie. Zapakowane wędlina i kiełbasa jeszcze do końca nie zzieleniały, a niektóre pomarańcze i jabłka, w odróżnieniu od pozostałych, nie były pokryte białym włosiem pleśni. W torbach były też produkty o znacznie późniejszej dacie przydatności do spożycia – jak paczka słonych paluszków, pasztet, słoik ogórków konserwowych, opakowania płatków do mleka i ciasteczek, tabliczka czekolady oraz butelka marchwiowo-brzoskwiniowego napoju.

Nie zastanawiając się nawet chwili i – w przypadku Tomka – nie przejmując się wcale, że nie wzięli ze sobą z audi pena z insuliną, natychmiast zabrali się za jedzenie. Od poprzedniego dnia żołądki skurczyły im się jednak na tyle, że zadziwiająco nie byli w stanie pochłonąć wszystkiego naraz. Całą nadającą się jeszcze do zjedzenia resztę zapakowali więc do plecaka. Choć perspektywa w dalszym ciągu nie rysowała się przed nimi zbyt różowo, zaspokojenie dokuczliwego głodu zadziałało na nich niesamowicie pozytywnie. Nawet nie zdawali sobie sprawy, że właśnie tego potrzebowali teraz, jak chyba niczego innego.

Tomek na nowo poczuł siłę i motywację do działania i na nowo uwierzył też, że uda im się z tego przeklętego miejsca w jakiś sposób wydostać. Gdy Karolina kończyła jeszcze swój posiłek, wstał i ponownie wszedł do samochodu. Znalazłszy się jeszcze raz na tylnym siedzeniu, pomajstrował przy nim, by dostać się od tej strony do bagażnika. Oprócz skrzynki z typowym samochodowym niezbędnikiem z lewarkiem, pompką, kluczem do kół, trójkątem odblaskowym i całą resztą znajdowała się tam też sporych rozmiarów walizka na kółkach. Z niemałym trudem udało mu się w końcu wywlec na zewnątrz również i ją.

Po tym, co w niej znaleźli, nie ulegało już żadnej wątpliwości, że samochód należał do jakiejś kobiety i to najpewniej lekarki, o czym świadczyła nie tylko znaleziona wcześniej przez Tomka tabliczka, ale też kilka medycznych pism w walizce. Wyglądało, że parę rzeczy mogło im się przydać – czyste ubrania i bielizna (Tomek wybrał koszulkę wyglądającą na najmniej damską), pasta do zębów, a już szczególnie mała podróżna apteczka z zestawem pierwszej pomocy. Na przyszłość. Nie rozwiązywało to wszystkich ich problemów, ale i tak było lepsze niż nic.

Po dokładnym przejrzaniu całego samochodu jeszcze jeden ostatni raz Tomek zdecydował się też zabrać ze sobą służący do wymiany kół klucz w kształcie litery L.

Na wszelki wypadek.

\*

W końcu zdecydowali się wyruszyć w dalszą drogę i dzięki nowej dawce energii wyraźnie przyspieszyli kroku. Po krótkim czasie od opuszczenia polanki Karolina odwróciła się, by spojrzeć na nią jeszcze raz. Nie zdziwiła się wcale, że już jej w tamtym miejscu nie było.

Dotarli do tego samochodu i mogli się najeść tylko dlatego, że... on tego chciał.

„Zgrana taktyka. Dajesz nam trochę nadziei, by potem uderzyć ze zdwojoną siłą. Ale to już było. A potem to samo z Włochami. Przejrzałam cię. Jesteś kompletnie przewidywalny. Musisz się bardziej postarać...” – pomyślała z nienawiścią.

Jakby w odpowiedzi przez moment wydało jej się, że niedaleko nich, między drzewami coś się poruszyło.

Przełknęła ślinę i ścisnęła Tomka mocniej za rękę.

\*

Po kolejnych dwóch godzinach bezowocnej wędrówki zrobili sobie przerwę. Zegarek Tomka wskazywał godzinę szesnastą, co oznaczało, że do zmroku mieli jeszcze zaledwie około trzech godzin. Choć było to całkiem sporo czasu, przezornie zaczął już zawczasu myśleć nad taktyką. Nad planem przetrwania walki, która miała rozegrać się między nimi a demonem w nocy.

Rozwiązanie z krótkimi drzemkami jednego z ich dwojga, podczas gdy drugie miałyby stać na warcie, niby brzmiało najlepiej... Niby. Ale nawet jemu bardzo nie podobało się samo wyrażenie „spędzenie kilku samotnych godzin w ciemności bez możliwości odezwania się do drugiego”, więc co dopiero, jakby miało się to urzeczywistnić... Albo co gorsza, to Karolinę trzeba było postawić w identycznej sytuacji... Makabra. Może więc lepiej byłoby, gdyby w czasie, gdy jest jeszcze względnie jasno, to on się trochę przespał, a potem czuwał przez całą noc? Tak, to chyba będzie naj...

– Tomek... – odezwała się cicho Karolina, czym przerwała jego myśli. Złapała go za rękę i ruchem głowy wskazała na coś za nim. Odwrócił się i także zobaczył tę kroczącą prosto ku nim postać.

Hmm... „Kroczącą?”

W jej kontekście określenie to było sporym nadużyciem. Szła bowiem bardzo niezgrabnie, powoli, chwiejnie, zataczając się przy tym, jakby była

kompletnie pijana albo co najmniej pod wpływem środków odurzających. Prawie na pewno był to człowiek i prawie na pewno kobieta. „Prawie” wzięło się stąd, że biorąc pod uwagę jej wygląd, naprawdę można było mieć co do tego spore wątpliwości. Jej ubranie (a konkretnie to coś, co kiedyś było luźną sukienką) było w przeraźliwych strzępach, które aż nadto ukazywały jej śmiertelnie wychudzone, blade oraz pokryte licznymi siniakami i zadrapaniami ciało. Posuwała się naprzód pochylona, ze spuszczonej bezwładnie rękami, a jej obrzydliwie brudne, przetłuszczone, sklezione ze sobą włosy (chyba w kolorze ciemnego blondu) zakrywały jej twarz, więc ze swojej perspektywy nie mogli jej zobaczyć.

Zarówno Karolina, jak i Tomek wstrzymali oddechy i chcąc być w pełnej gotowości, podnieśli się ostrożnie na nogi. Chłopak wyciągnął ponadto z plecaka mogący posłużyć mu teraz za broń klucz. Obawiając się wykonać choćby najmniejszy gwałtowny ruch, oczekiwali w napięciu i patrzyli na zbliżającą się do nich kobietę. Najgorsze w tym wszystkim było właśnie to jej tempo. Każdy powolny krok, każdy metr, który regularnie podwajał ich lęk przed tym, co miał im zaraz przynieść los...

Jakże wielkie było zatem ich zaskoczenie, gdy nieznajoma minęła ich bez słowa w odległości kilku metrów i jakby nigdy nic szła dalej. Nawet na nich nie spojrzała, więc nie mogli być pewni, czy ich w ogóle zauważyła.

– Przepraszam... Wszystko w porządku? – zapytała piskliwie Karolina z błyskawiczną późniejszą myślą, że zadaje właśnie najgłupsze pytanie we wszechświecie.

Aż drgnęli, gdy na jej słowa postać nagle zatrzymała się i powoli odwróciła w ich stronę głowę. W dalszym ciągu trudno było w całości dojrzeć jej twarz, ale teraz, nawet po tym niewielkim dostrzeżonym fragmencie, wydała się ona Karolinie znajoma. I to bardzo. Puściła rękę Tomka i zrobiła krok do przodu.

– Kara... Co ty?! – syknął.

– Spokojnie... Nic pani nie zrobimy... – zwróciła się do kobiety. Ostrożnie szła w jej stronę z wyciągniętymi w uspokajającym geście rękami.

– Jesteśmy prawdziwi... Też tu utknęliśmy... Też chcemy się stąd wydostać... – starała się mówić spokojnie, choć wewnątrz ani trochę nie przestała się bać, a wręcz przeciwnie. Nie mogło być inaczej, skoro stał przed nią właśnie wrak człowieka, którego zdjęcie widziała w gazecie

w Wielki Piątek.

Zdjęcie ze stopki o zaginionych.

Fotografię, której samoistna transformacja była przedmiotem jednego z dziesiątek mnożących się już od samego początku ich pobytu na Suwalszczyźnie pytań bez odpowiedzi.

Anna Żukowska spoglądała na Karolinę spode łba z lekko wygiętym do przodu w pasie ciałem. Miała niesamowicie zmęczony wzrok i wciąż spuszczone bezwładnie ręce. Oddychała w miarę szybko, o czym dobitnie świadczyły jej falujące plecy i delikatnie kołysząca się klatka piersiowa. Dziewczyna przemogła się i zrobiła w jej stronę jeszcze jeden krok.

– Już dobrze... Nic pani nie zrobimy... – powiedziała dobrotliwie.

– Kara! – krzyknął Tomek, gdy kobieta nieoczekiwanie podbiegła do Karoliny i objęła ją z całej siły. Dziewczyna dopiero w ostatniej chwili dostrzegła, że zarówno popękane usta Anny, jak i ich okolice pokryte są zaschniętą krwią. Była jednak pewna, że nic jej z jej strony nie grozi. Czowała to. Żukowska drżała kilka razy mocniej niż Chiara w analogicznej sytuacji, co było dość wiarygodnym dowodem, że wędrowała i walczyła z tym lasem proporcjonalnie dłużej.

– Pomóżcie... mi... – wycharczała i zemdląła Karolinie w rękach, podczas gdy ta szczęśliwie zdążyła ją złapać. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała przed utratą przytomności, był krzyk dziewczyny do Tomka, by ten jej pomógł.

A może było to jakieś zniekształcone echo jej własnych słów...?

\*

– Masz rację... To ta sama kobieta...

– Z tego, co tam było napisane, zaginęła jakieś dwa tygodnie temu.

– Dwa tygodnie... Zobacz, jak ona wygląda... Co on z niej zrobił...

Chwila milczenia.

– Nas też to pewnie spotka...

Anna otworzyła oczy. Leżała na ziemi z jakimś plecakiem pod głową i była przykryta czyjaś męską bluzą. Dwoje młodych ludzi, których z początku wzięła za kolejną sztukę lasu, okazało się chyba rzeczywistością, gdyż w dalszym ciągu tu byli, a co więcej – z pomocą apteczki, którą od razu rozpoznała, zajęli się już opatrywaniem jej licznych ran.

– Znaleźliście samochód? – Dawno nieużywany narząd mowy sprawił,

że jej głos miał już niewiele wspólnego z kobiecym. Kaszlnęła.

– Tak. To pani?

– Nie wiem, ile jeszcze samochodów tu jest...

– Renault mégane na poznańskich numerach.

– To chyba mój... Wzięliście jedzenie?

– Tak, proszę. – Karolina podała jej pozostałą resztkę, za którą mieli się zabrać tuż przed tym, jak ją zobaczyli. Żukowska rzuciła się na jedzenie jak dziki zwierz. Wpychała je sobie chciwie w gardło bez opamiętania, a gdy skończyła, wypila resztkę soku aż do samego dna.

– Jaki dziś mamy dzień? – zapytała.

– Niedzielę. Dwudziesty czwarty kwietna. Wielkanoc.

– A wy? Jak długo?

– Jeden dzień... Właściwie kilkanaście godzin – odparł Tomek.

– Szybcy w takim razie jesteście... Ja potrzebowałam znacznie dłużej, by raz na zawsze przyznać, że z tym lasem jest coś nie tak... Byliście nad tym jeziorem? Też go widzieliście? – zapytała o to coś, co wyglądało jak jej brat, ale oni zrozumieli, że chodzi jej o szefa całego interesu.

– Tak.

– A więc ono naprawdę tu jest... Nigdy go w tym lesie nie widziałam. A zresztą... – Zdawszy sobie sprawę, że poświęca czas na analizowanie czegoś, co i tak było bez sensu, machnęła ręką. – Wielu innych rzeczy, które tu zobaczyłam, także nigdy nie widziałam... I nie zobaczę pewnie nawet po śmierci.

– W jakim lesie pani zaginęła?

– Nie wiem... Chyba gdzieś przy Augustowie. Co za różnica zresztą...

– A my w lesie za Suwałkami, niedaleko cmentarzyska Jaćwingów i Jeleniewa. Inni ludzie, których spotkaliśmy, zgubili się w lesie na południu Suwałk. To jezioro, o którym pani mówi, nazywa się Gałęziste i jest w jeszcze innym lesie, w rezerwacie przy Nowej Wsi za Suwałkami, oddalonym od tych dwóch o wiele kilometrów. A jak spotkaliśmy pani samochód, to serio myślałem, że jesteśmy teraz w jakimś lesie pod Poznaniem – powiedział Tomek.

– Ale po co mi o tym teraz mówisz, dzieciaku? Co za różnica... – powtórzyła.

– Chcę po prostu ułożyć to sobie w głowie i znaleźć sposób, by się stąd jakoś wydostać. Musimy główkować i sobie pomagać. Może nam pani

powiedzieć coś jeszcze? Cokolwiek. Cokolwiek, co mogłoby pomóc? Jest tu pani dłużej.

Nie odpowiedziała.

– Jedno wiemy na pewno. Te lasy w jakiś sposób się ze sobą łączą. – Zanim Wawrentowicz to stwierdził, chcąc upewnić się przed samym sobą, że naprawdę chce wypowiedzieć to na głos, odczekał pauzę. – Nie wiem, zaginają w jakiś sposób czasoprzestrzeń albo coś...

Choć było jej to już wszystko obojętne, z trudnością jednak zaczęła się nad tym zastanawiać. Jeżeli byłoby to prawdą, to tłumaczyłoby, czemu ta puszcza ciągnie się w nieskończoność... Co więcej, wyglądało też na to, że reguła portalu łączącego kilka miejsc tyczyłaby się nie tylko lasów... To by wyjaśniało, czemu Kamil...

A zresztą...

– Jak się tu pani znalazła? – zapytała Karolina.

– Już nawet nie pamiętam... – Zaśmiała się zupełnie niepasującym do jej poprzedniego tonu histerycznym śmiechem. Tomek, który wciąż trzymał w ręku klucz, na wszelki wypadek zacisnął na nim mocniej dłoń.

– Ale szczerze? Nie obchodzi mnie teraz, czy ten las łączy się z innymi, czy nie. Może się łączyć nawet z Księżycem. Nie obchodzi mnie, gdzie się zgubiliście. Nie obchodzi mnie nawet, gdzie ja się zgubiłam. Nie ma to teraz żadnego znaczenia i nie ma sensu o tym gadać. I tak wszyscy tu umrzemy...

Jak grom z jasnego nieba spadły na Tomka jej słowa. Słowa, których miał cichą nadzieję nigdy od niej nie usłyszeć.

– Nie umrzemy! Musimy wierzyć... – zaczął, ale Anna niespodziewanie wychyliła się i złapawszy go obydwoma dłońmi za koszulkę, przyciągnęła do siebie. Spojrzała mu swoim na wpół szalonym wzrokiem prosto w oczy.

– Wierzyć...? – wychrypiąca. – Wierzyć...? W co ty chcesz tu wierzyć? – Zbliżyła swoją twarz do jego i jeszcze bardziej poczuł jej przeraźliwie cuchnący oddech.

– Chcesz wierzyć w to, co widzisz? A może w to, co słyszysz? A może w to, w co wierzyłeś do tej pory? – wycharczała mu prosto w twarz, lekko na nią plując. Milczał.

– Nic nie rozumiesz. Tamtego świata, tego, który znasz i którym cały czas się posiłkujesz, już nie ma... Tu panują inne zasady – dodała. – Jest tylko las. Las i tylko las. On jest tutaj wszystkim i on o wszystkim

decyduje. To jego własny mikroszechświat i to on jest w nim bogiem. My także jesteśmy jego. Ja też wierzyłam w wiele rzeczy. Wierzyłam w pewien porządek. W zasady fizyki. W to, że na świecie nie ma czegoś takiego jak nieskończoność. Wierzyłam też, że istnieje coś w rodzaju wyraźnej granicy między życiem a śmiercią. Nieprzekraczalnej ani dla mieszkańców jednej, ani drugiej strony. Niedowiarek ze mnie. – Zaśmiała się znowu tym ohydny, wariackim rechotem – Jednocześnie nie wierzyłam też, że kiedykolwiek byłabym w stanie zrobić to, co już tu zrobiłam, by przetrwać. Nie chcecie o tym słuchać, wiercie mi. Ale jedno ci powiem, gnojku. Jeszcze się zdziwisz. Zdziwisz się, co jeszcze tutaj zobaczysz i co przeżyjesz. Zdziwisz się, jaka jest tego inwencja. Odwoła się do twoich najgłębszych, najbardziej zakorzenionych lęków, o których nawet nie miałeś pojęcia i przed którymi nie masz żadnych szans się obronić. Zdziwisz się, że można niszczyć w ten sposób twój umysł jeszcze bardziej niż z każdym kolejnym dniem sądziłeś. Pożerać go bez pośpiechu, komórka po komórce, jak nowotwór. A przede wszystkim zdziwisz się jeszcze, do czego będziesz zdolny i jakie bariery będziesz w stanie pokonać. Ani się obejrzyś, a zamienisz się w zwierzę. No, chyba że wcześniej znajdziesz jakiś sposób, by się zabić. O dziwo nie jest to tutaj wcale takie proste... Umrzeć – jeżeli las akurat będzie miał taki kaprys – myślę, że tak, nie wiem. Ale samemu się zabić – nie. Las ci na to nie pozwoli. Myślicie, że nie próbowałam? Próbowałam. Kurwa mać, milion razy... I zawsze to samo. Zawsze... Zawsze mnie powstrzymywał. To on decyduje, komu okaże łaskę i pozwoli umrzeć, a kogo będzie dalej od środka i zewnątrz powoli niszczył. Jeszcze się przekonasz... Wszystko to, co do tej pory tutaj przeżyłeś, to pestka. Jeszcze zobaczysz... Zdziwisz się... – Puściła go.

– Będę walczył do końca... – odpowiedział jej ze łzami w oczach.

– Brawo! Będę trzymać kciuki. O ile dożyję. A mam nadzieję, że to już nie potrwa długo – rzuciła i odwróciwszy się do nich plecami, znowu się położyła. Nie miała już ochoty na kontynuowanie tego pieprzenia o niczym.

Przez dłuższy czas siedzieli w przygnębiającym milczeniu, aż w końcu Anna zasnęła. Gdy tylko Tomek to zauważył, nabrał przeogromnej ochoty zaproponować Karolinie, by zostawili tę kobietę swojemu losowi i po prostu ruszyli w dalszą drogę. Był jednak jednocześnie dziwnie pewien, że jego dziewczyna w życiu się na to nie zgodzi, więc zaniechał tego pomysłu.

Ech, to jej dobre serce...

Przekazał jej więc tylko po cichu swój niezmienny plan o jego wieczornej drzemce i późniejszym całonocnym czuwaniu, na który przystała, po czym wziął drugi plecak i położył go sobie pod głowę.

Zadziwiające, aby zapaść w sen, potrzebował zaledwie kilku minut.

\*

„Aniuś...”

„Aniuś...”

„Aniuś, obudź się!”

Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Zarówno chłopak, jak i dziewczyna spali.

„A to cham... Sobie wziął plecak pod głowę, a jej kazał spać bez niczego...? Egoistyczny, szowinistyczny gówniarz! Wszyscy faceci są tacy sa...”

– Aniu... Kochanie...

Wzdrygnęła się i dalej rozglądała się za głosem, który tak dobrze знаła, i którego od tak wielu lat jej brakowało.

– Tutaj!

Stał między drzewami, kilka metrów za nią. Nawet pomimo postępującego zmierzchu doskonale widziała jego dobrotliwą twarz i pełen życzliwości uśmiech. Na razie jednak powściągała emocje. Nie chciała do siebie dopuścić, że to co widzi, jest prawdziwe.

Nie tutaj. Była tu już zbyt długo, by dać się zwieść byle iluzji.

Ale...

– To niemożliwe...

– Możliwe. Naprawdę tu jestem. Jeszcze nie zdałaś sobie sprawy, że tutaj wszystko jest możliwe...?

– Ty nie żyjesz...

– Kamil też miał nie żyć, a przecież sama go widziałaś. Pływa sobie w tym jeziorcu jak rybka. A do tego nawet nie musi nabierać oddechu! To nawet lepsze niż normalne życie! Taki bajer! – Zarechotał.

– To nie Kamil...

– Kamil, Kamil, czy tego chcesz, czy nie. Z nim też rozmawiałem. Jest w bardzo dobrej formie jak na czterdziestoletniego nieboszczyka, nie sądzisz?

– Jak w takim razie...

– Tu nie ma rzeczy niemożliwych – powtórzył.



Nerwowo spojrzała jeszcze raz na Karolinę i Tomka.

– Nic się nie martw. Nie słyszą ani mnie, ani ciebie. Zapewnił mnie co do tego.

– Kto? Las?

Nie odpowiedział, ale też znowu zdała sobie sprawę, że nie powinno to mieć dla niej żadnego znaczenia.

Podobnie jak to, czy Edward Żukowski był zwidem, czy też nie. Czy to naprawdę było aż tak ważne?

– Tato... – załamał jej się głos, a z oczu pociekły łzy.

– Nic się nie martw, skarbie – powtórzył. – Jestem tutaj po to, by ci pomóc.

– Pomożesz mi stąd wyjść? – Mimo wszystko wciąż podchodziła do niego nieufnie. Brzmiało to dla niej zbyt pięknie, by było prawdziwe.

– Lepiej.

– Lepiej?

– Chcę ci pomóc tak samo, jak to pomogło Kamilowi.

– W jaki sposób?

– Zaraz ci powiem, ale na razie chodź tutaj do mnie. Moja ulubiona córeczko! – Rozłożył ręce w zapraszającym geście.

– Ulubiona, bo jedyna... – Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wstała, podbiegła do niego i zagłębiła się w jego pełnym miłości uścisku. Nie było już żadnych wątpliwości, on także musiał być prawdziwy. Wyraźnie czuła ten jego charakterystyczny, niezapomniany zapach: połączenie papierosów i jego ulubionej wody kolońskiej. Tak bardzo tego teraz potrzebowała... Nie, nie teraz. Potrzebowała go już od pierwszej minuty po godzinie zero, w której opuścił ten świat. Od kiedy tylko po raz ostatni zamknął oczy i zasnął na zawsze. Nigdy potem nie ukazał jej się nawet w snach... Nigdy...

No i miała go teraz... Dla siebie i tylko dla siebie.

Nie zastanawiała się w ogóle nad abstrakcją tej sceny, aktualnie nie liczyło się już nic innego, tylko jego obecność. Czerpała z tej chwili tyle, ile tylko się dało. Chciała, by trwała wiecznie...

– I będzie trwała wiecznie, jeżeli zrobisz to, co ci zaraz powiem. Nie mamy wiele czasu, Aniu... – odpowiedział jej myślom.

– Co mam zrobić?

– Jeżeli zrobisz to, co ci powiem, już na zawsze będziemy razem. Jeżeli

nie, będę musiał odejść i nie zobaczymy się już najpewniej nigdy. Dał mi tylko dziesięć minut, by ci się ukazać i ci to powiedzieć.

– Co mam zrobić?! Powiedz!

W odpowiedzi sięgnął za plecy i wyciągnął skądś wisielczy sznur.

– Ja... Ja... mam to...?

– Nie mamy innego wyboru – odparł stanowczo.

– Nie mogę, tato... – W obliczu kończących niegdysiejszą rozmowę z Tomkiem jej własnych słów sama była zaskoczona, że to mówi.

– Możesz. W innym wypadku *status quo* zostanie zachowany. Dalej będziesz chodzić po lesie. Na zawsze. Z tego co wiem, on nie da ci tak łatwo umrzeć. To twoja jedyna szansa, by to zakończyć.

– Nie ma innego sposobu...?

– Nie ma! – krzyknął ostro. Przez moment wydało jej się, jakby głos zmienił mu się na bardziej piskliwy, ale już po chwili wrócił do normalnego tonu. – Obserwowałem cię z góry przez cały czas. I byłem z ciebie dumny! Zawsze brałaś życie w swoje ręce. Byłaś przewidująca, samodzielna, obowiązkowa. Twardo stąpałaś po ziemi i wiedziałaś, czego chcesz. Wytrwale dążyłaś do realizacji celów i zawsze je osiągałaś. Zawsze, pomimo przeciwności, potrafiłaś sobie poradzić. Byłaś po prostu konkretna. Jak moja prawdziwa córka! Tym bardziej więc cię teraz nie poznaję.

Milczała, wciąż wpatrując się w sznur.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? – zapytał. – Czy kiedykolwiek moja rada dla ciebie nie zadziałała?

– Nie...

– Więc nad czym się jeszcze zastanawiasz?

– Ja... Ja... Ja sama już nie wiem...

– Nie myśl tylko o sobie. Pomyśl też o mnie. Ja też chcę mieć cię już zawsze przy sobie. Spełnij swoje i jednocześnie moje marzenie. W końcu o czym, jak nie o tym przez całe życie marzyłaś?

– Masz rację, ale...

– Miałem ci tego nie mówić, ale jeżeli pomoże ci to w podjęciu decyzji, to twoja matka na wieść o twoim zaginięciu i ze zgrzyoty po bezskutecznych poszukiwaniach zmarła w tym tygodniu. Ona także jest tam, skąd przychodzę... Także chce cię zobaczyć. Tęskni za tobą...

– Mama...?

– Mama i Kamil... I ja... Będziemy prawie wszyscy... Tylko po prostu

to zrób.

– Tato...

– Pomogę ci... – powiedział i jednym ruchem ręki sprawił, że rosnące obok nich drzewo przechyliło się tak silnie, że jedna z jego solidnych, wysokich gałęzi znajdowała się teraz na wysokości ich głów. Przywiązał do niej sznur i podał Annie pętlę na jego końcu.

– Załóż to... Została nam już tylko minuta! Szybko!

Od nawału myśli kręciło jej się w głowie. Ale nie miała już siły mu się opierać. Zresztą miał rację! Nie miała tak naprawdę nic do stracenia. A ile do zyskania... Przecież chciała umrzeć! Pragnęła tego od dawna! Las jej do tej pory na to nie pozwalał, ale otrzymała od losu niepowtarzalną szansę i należało z niej skorzystać. Skorzystać i nie żałować odwrotnej decyzji przez być może całą wieczność. Tata nigdy by jej nie okłamał. Zawsze miał na względzie jej dobro, więc na pewno wiedział, co robi. Nie mógł się mylić. Nigdy się nie mylił.

Wyzbywając się już wszelkich wątpliwości, założyła pętlę na szyję, zamknęła oczy, wstrzymała oddech i drżąc na całym ciele, powiedziała:

– Jezu, ufam tobie...

– Nie ufaj Jezusowi, tylko mi! – powiedział i ponownie jednym ruchem ręki przywrócił drzewo z powrotem do pionu. Dodał jeszcze:

– Do zobaczenia w twoim życiu wiecznym. W lesie umarłaś, w las się obrócisz... – Jego oczy zmieniły się w żółte.

Z pionowymi czarnymi kresczkami zamiast normalnych, okrągłych źrenic.

\*

– TOOOOOMEEEEEK!!!

AAAAAAA!!!

O KURWAAAAAAAAAAAAAAAAA!!! NIIIIIIIIIIII!!!

Brutalnie wyrwany ze snu Wawrentowicz z początku nawet nie wiedział, gdzie jest, i by przeładować swoją podręczną pamięć, potrzebował trochę czasu. Dostrzegł zszokowaną, siedzącą na ziemi Karolinę. Wierzgając nogami i zalewając się łzami, wpatrywała się w coś nad sobą.

Anna Żukowska wisiała na grubym sznurze przywiązanym do niesamowicie wysokiej gałęzi pobliskiego drzewa. Pomimo że lekko oślepiały ich promienie zachodzącego słońca, na których tle unosiła się w powietrzu, doskonale widzieli, iż jej nieobecna twarz jest już trupio sina, a nabrzmiałe żyły tworzą na jej tle obrzydliwe, granatowe kreski. Lekki

wiatr, który przetoczył się właśnie teraz przez las, zakołysał trochę jej bezwładnym ciałem i spowodował delikatny trzask liny.

– Ja pierdołę... – Tomek wstał, czym prędzej podbiegł do Karoliny i objął ją, odgradzając ją własnym ciałem od tego widoku.

– P-p-przepraszam ja... ja... zasnęłam. M-m-miałam was pilnow-wać... O-o-obudziłam się i ona...

– Chodź! – Podniósł ją, porwał z ziemi ich wszystkie rzeczy i zaczęli iść marszobiegami przed siebie. Nie kontrolował już nawet kierunku, w którym zmierzają. Liczyło się tylko to, by znaleźć się jak najdalej stąd. Jak najdalej od niej. Jak najdalej od jej widoku i tego pieprzonego dźwięku naprężającego się sznura...

Karolina była w tak wielkim szoku, że nie docierało do niej teraz absolutnie nic. Paradoksalnie jednak to ona była pierwszą, która zobaczyła, do czego się teraz zbliżali.

– To-to-tom-mek...

Spojrzał i przeszył go dreszcz. I nie chodziło wcale o to, że znowu idąc prosto przed siebie, docierali do miejsca, które zaledwie kilka minut wcześniej opuścili.

Nie...

Nie chodziło też nawet o to, że na tym drzewie w dalszym ciągu był zawieszony sznur.

Nie...

Chodziło o to, że w porównaniu z poprzednim stanem w tym wciąż mrozącym krew w żyłach widoku brakowało teraz pewnego szczegółu. I prawdę mówiąc, czyniło go to jeszcze bardziej przerażającym. Brakowało jednego, jedyne, malutkiego obiektu. Drobnostki, motywu. Dosłownie detalu, elementu, pierwiastka, podstawy, składnika, substratu, niuansu. Czegoś, bez czego obrazek wiszącej na tle zachodu słońca na sznurze kobiety był wyraźnie niepełny.

Mianowicie – brakowało na nim... ciała wisielca.

Nie kontrolując już prawie zupełnie swojego strachu i trzymając Karolinę kurczowo za rękę, Tomek odwrócił się w lewo i znowu zaczął biec. Po dosłownie dwustu metrach sprintu ten sam sznur ponownie zadyndał im przed oczami. Nie chciał się jednak poddać i tym razem skręcił w prawo.

Sto metrów...

Puścił dziewczynę i trzymając się za głowę, zaczął chwiejnie kręcić się wokół. Było tego dla niego zdecydowanie za wiele. Czuł, że zaraz oszaleje.

– RATUNKU!!! NIECH KTOŚ NAM POMOŻE!!! RATUNKU!!!  
BŁAGAM!!! – wrzeszczał. – POMOOOCYYYYY!!!

Intensywnie powstrzymując mdłości, Karolina oparła się plecami o jakieś drzewo, także złapała się za głowę i z całej siły szarpiąc swe ciemnorude włosy, zaczęła się powoli zsuwać na ziemię. Świat wokół jakby trząsał się, wirował i na przemian zmieniał kolory. Nie potrafiła już tego wszystkiego ogarnąć. Miała dosyć... Dosyć każdego procesu życiowego, który zwyczajnie sprawiał jej cierpienie... Dosyć wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z jej istnieniem... Każdego palącego jej płuca oddechu, każdego boleśnie rozsadzającego jej uszy dźwięku, każdego drażniącego jej oczy widoku, każdego, choćby nawet najpiękniejszego zapachu, który był teraz dla niej obrzydliwym odorem, i każdego aktualnie kłującego jej skórę dotyku. Każdego wspomnienia, czy to z tego dnia, czy to z każdego innego z ponad dwudziestu trzech lat jej życia. Każdego napiętego nerwu i każdego przechodzącego teraz przez niego impulsu. Każdego włókna jej przemęczonych do granic mięśni...

Wszystkiego...

Jedyne, czego teraz chciała, to umrzeć. Pragnęła tego z całego serca. Jak jeszcze nigdy niczego w życiu. Umrzeć, umrzeć, umrzeć... Umrzeć, to znaczy ulżyć... Po prostu zasnąć i się już nigdy więcej nie obudzić.

Nagle zrozumiała.

Ten sznur nie był tym samym, na którym zawisała ta kobieta...

On był dla nich...

„Wiecie, co macie zrobić...?”

Usłyszała ciche klapnięcie. Z początku nie zwróciła na nie większej uwagi, ale po chwili to się powtórzyło. I jeszcze jedno. I następne. Zdała sobie nagle sprawę, że coś zbliża się do niej z nieokreślonej strony. Zesztywniała i bała się nawet ruszyć. Spuściła wzrok, skuliła się w sobie, założyła ręce na głowę i zacisnęła zęby.

Dotarło do niej, że były to kroki śmierci.

Będące muzyką dla jej uszu kroki tej upragnionej, tak wypatrywanej przez nią śmierci. Choć właśnie to końcowe na nią oczekiwanie było nieznośne, była pewna, że sam jej moment okaże się cudowny i kojący. Jeżeli to, co mówiła Żukowska o braku możliwości popełnienia

samobójstwa w tym lesie, było prawdą, to właśnie spotykało ją niebywałe szczęście. Nazajutrz wszystko stanie się prostsze. Nieskomplikowane. Bezproblemowe. W mig znikną wszelkie troski i każdy rodzaj bólu. Tylko niech to się wreszcie stanie. Niech ona wreszcie nadejdzie... No, dawaj! Unieś tę kosę i tnij!

Tomek zatrzymał się i z rozszerzonymi oczami oraz drżącą z przerażenia szczęką patrzył na dziewczynę i to coś w jej pobliżu. Pokazując na to palcem, próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić choćby jednego słowa... Z każdą przeraźliwie długą sekundą przypominające klaskanie odgłosy stopniowo się do niej zbliżały. Gdy były już wystarczająco blisko, w oczekiwaniu na definitywny koniec zamknęła oczy.

Wtem klapnięcia ustały. Drżąc, wyczekiwała na pierwszy cios. Sekundy zamieniające się w końcu w minuty mijały i mijały... Wreszcie ostrożnie otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Tomek stał ciągle w tym samym miejscu i wciąż wskazywał na coś palcem, tylko że tym razem ręka dygotała mu tak bardzo, iż nie można się było nawet zorientować, w którym konkretnie kierunku wskazuje. Podobnie jak poprzednio próbował też coś powiedzieć i wreszcie, krztusząc się, to zrobił.

– K-k-kaaaraaa!

Karolina przemogła się, wzięła głęboki oddech i powoli odwróciła się w lewo. Jej sztywny do granic możliwości kark aż trzasnął.

Nic.

Z duszą na ramieniu spokojnie odwróciła więc tym razem głowę w prawo.

Także nic.

Już wiedziała. W tym samym momencie coś skapnęło jej na głowę.

Najwolniej, jak tylko mogła, skierowała głowę z powrotem na wprost, by po chwili ją unieść.

Anna Żukowska, a raczej to coś, co jeszcze jakiś, naprawdę niedaleki czas wcześniej nią było, znajdowała się tuż nad nią. Niczym ogromny pełzający owad, pajak albo jaszczurka, była przyklejona do góry nogami na czworakach do drzewa, pod którym siedziała Karolina. Jej nieruchoma, unosząca się zaledwie kilka centymetrów nad głową dziewczyny twarz była prawie identyczna jak tuż po jej śmierci (?).

Prawie.

Wciąż była trupio blada i pokryta wstrętnymi, granatowymi kreskami jej pompujących (?) krew żył. Wciąż nie wyrażała żadnych emocji. Wciąż miała też wokół ust zaschnięte ślady krwi.

Podobnie jednak jak w przypadku jej umarłego (?) czterdzieści lat temu brata jej oczy – jedyna rzecz, która zmieniła się, od kiedy widzieli ją ostatni raz – te dwie mroczne, czarne kropki były... po prostu złe.

Karolina poczuła nagle pod sobą wilgoć. Nie kontrolowała już swojego ciała i układ wydalniczy odmówił jej posłuszeństwa. Zapach jej moczu wypełnił powietrze.

Poczwara nad nią otworzyła usta i rozwarła je tak szeroko, że normalnie (?) już dawno zakończyłoby się to złamaniem szczęki. Wraz z unoszącym się z nich odorem, który od razu wyparł woń fekaliów Karoliny, oraz skapującą na twarz dziewczyny śliną wydobył się z nich też wysoki, piskliwy, przeraźliwie głośny, wściekły, ochryply, drapieżny ryk...

Instynktownie odskoczyła, gdy demon zamachnął się, by zadać jej cios swą szponiastą, zakończoną teraz niespotykane powykręcanyimi palcami ręką. W ostatniej chwili uniknęła makabrycznych ran i skończyło się jedynie na trzech dość głębokich i obficie teraz krwawiących zadrapaniach na policzku. Przetoczyła się po ściółce i się obejrzała.

Miejsce na pniu, w którym jeszcze przed sekundą znajdowała się Anna Żukowska (?), było w tej chwili puste.

Obydwoje drgnęli, gdy ich uszu dobiegły odległe szelesty liści wraz z odgłosami skoków z jednego drzewa na drugie.

A jeszcze bardziej, gdy zaraz potem przez las przetoczył się echem ten sam wysoki ryk...

Niczym rzucający się na niczego nieświadomą ofiarę jastrzęb z nienacka wylądowała pomiędzy nimi na ziemi na swoich czterech odnóżach (naprawdę ciężko było je teraz odróżnić). Gdy w gwałtownym ruchu wyprostowała głowę i spojrzała na nich, usłyszeli trzaśnięcie jej zniszczonych kręgów. Zobaczyli też, że jej obojętne, czarne oczy pragnęły krwi...

– UCIEKAJ!!! – wrzasnął Tomek i rzucili się do ucieczki.

Stało się najgorsze, co w tym momencie mogło się stać, gdyż w panicznym biegu żadne z nich już zupełnie nie kontrolowało drugiego, przez co się rozdzielili.

W postępującym zmierzchu Karolina dopiero na ostatnich metrach

rozpoznała miejsce, do którego właśnie dobiegła. Zatrzymała się.

– Nie... Nie! NIE!!! Nie, błagam, tylko nie to! Nie! TOOOMEEEEEK!!!  
– krzyczała z całych sił. – TOOOMEEEEEK!!!

Cienka ściana drzew skutecznie odgradzała jej jakąkolwiek dalszą drogę ucieczki. Próbowwała je z całej siły szarpać, ale ich dziwne właściwości nie zmieniły się ani trochę i wciąż były twarde jak stal. Usłyszawszy za sobą kolejną serię klapnięć i końcowe uderzenie o podłogę, odwróciła się szybko i przywarła plecami do drzewiastych krat. Krat, które zapewne znowu nieprzypadkowo znalazły się akurat tutaj...

To był już koniec.

Śmierć pod postacią tej kobiety stała naprzeciwko niej. Jej podarte łachmany aż nadto ukazywały jej okropnie teraz krzywe i równie sine jak reszta jej ciała bosc nogi. Wydawało się też, że jej głowa miała lekkie problemy z utrzymaniem równowagi.

Zrobiła krok do przodu.

Potem kolejny.

I jeszcze jeden.

I następny.

Gdy zaczęła biec i powtórnie nienaturalnie szeroko otworzyła swoje martwe usta w wysokim ryku, przerażona Karolina skuliła się na ziemi, zasłoniła ramionami głowę i zamknęła oczy.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...”

Pomimo że kolejne słowa tej przedśmiertnej namiastki spowiedzi przewijały jej się w myślach, atak i ostateczny śmiertelny cios w dalszym ciągu nie następowały. Kroki zjawy także ucichły. Bała się jednak otworzyć oczy. Bała się myśleć o czymkolwiek innym poza jej ostatnią rozmową z Bogiem. Po przerobieniu kolejnych wersów kilku innych modlitw przemogła się jednak i spojrzała nad siebie.

I znowu o mało nie wrzasnęła.

Stała bowiem tuż przy niej. Dosłownie dwadzieścia, trzydzieści centymetrów. Zastygła w bezruchu jak posąg w pozycji atakującego drapieżnika, tuż przed samym zadaniem ciosu swą powykręcaną, szponiastą ręką. Nie dało się też nie zauważyć, że jej wciąż zły wzrok jest jednocześnie jakby dodatkowo lekko zdziwiony.

Karolina już miała powiedzieć sobie w myślach, że nic z tego nie



rozumie, gdy wtem doznała olśnienia.

„Egzorcysta wypędza złe duchy z pomocą Boga. A on jest jeszcze potężniejszy...”

Jakby próbując się bezskutecznie wydostać z krępujących ją niewidzialnych więzów, Anna poruszyła się niespokojnie. Wciąż nie odrywała od Karoliny nienawistnego wzroku. Gdy w myślach dziewczyny rozbrzmiały teraz pierwsze wersy „Aniele Boże, strózu mój...”, Anna po raz kolejny ryknęła. Tym razem jakby z bólu.

Karolina wstała i usilnie starając się jej nie dotknąć oraz nie przerywając modlitw, które nawet w jej myślach były teraz maksymalnie głośne, minęła ją.

– TOMEK!!! – krzyknęła. – GDZIE JESTEŚ?!!!

– Tutaj!

Odetchnęła z ulgą, gdy gdzieś niedaleko rozległ się jego głos.

– Chyba wiem, jak to pokonać! Wiem, jak pokonać las!

Po chwili znowu usłyszała za sobą ruch. Ochrona, jaką zapewniała jej modlitwa, miała najwyraźniej ograniczony zasięg, gdyż wyglądało na to, że demon nie miał już niczego, co mogłoby go jakkolwiek blokować. Odzyskawszy zdolność ruchu, gonił ją teraz i w zawrotnej szybkości przeskakiwał poziomo z pnia na pień dzielących ich drzew jak niesamowicie sprawna małpa.

Karolina dojrzała Tomka i zaczęła biec w jego stronę. Słyszała kolejne, coraz bardziej zbliżające się do niej od tyłu kłapnięcie. Nie śmiała spojrzeć za siebie. Próbowwała znowu odmawiać w myślach modlitwy, ale panika odebrała jej głowę. Wypełniał ją teraz wyłącznie ten podążający za nią, wściekły, piskliwy, roznoszący się echem po lesie gardłowy ryk...

Ostatkiem sił wpadła w objęcia chłopaka. Drżała ze strachu i wyczerpania.

– Już dobrze! Zobacz! – zapiał rozentuzjasmowany. Spojrzała nieprzytomnie za siebie. Zjawą chyba znowu natrafiła na niewidzialną przeszkodę, gdyż ewidentnie nie mogła przekroczyć pewnej linii drzew. Próbuąc dostać się do polany, na której właśnie byli, wściekle uderzała o powietrze jak o szybę pancerną, ale bez żadnego rezultatu. Podobne skutki odnosiły też jej próby obejścia i przeskoczenia tej niewidocznej bariery. Z jakiegoś powodu nie mogła jej przebyć. Po prostu nie i już. W końcu jakby zdawszy sobie sprawę ze swojej bezsilności i patrząc na

obydwoje z największą nienawiścią, ryknęła po raz ostatni i bezpowrotnie zniknęła im z oczu. Nie było wiadomo, czy przestała być widzialna, czy zwyczajnie poruszała się tak szybko, że nawet nie zdążyli jej ulotnienia się zarejestrować.

Przez długi moment stali w silnym wzajemnym uścisku.

– Wszystko w porządku? – zapytał w końcu Tomek. Karolina dotknęła obficie krwawiącego policzka.

– Chyba tak... Ale ja... Ja chyba wiem, jak stąd wyjść!

– Ja też wiem! – odparł żywo.

– Musimy... Wiesz?

– Rozejrzyj się! Chyba nam się udało!

Nie zwróciła na to wcześniej uwagi, a poza tym i tak nie ułatwiał jej tego zbytnio fakt zapadającego zmierzchu, podobnie zresztą jak paniczna ucieczka przed tym czymś sprzed chwili. Jako że znała już jednak tę scenerię, i to do tego w tej samej gamie prawie że już nocnych kolorów, nie miała najmniejszych problemów, by po chwili rozpoznać miejsce, w którym nieopatrznie się znaleźli.

Cmentarzysko Jaćwingów...

Mało tego! Entuzjazm Tomka był jak najbardziej uzasadniony, bo w przeciwieństwie chociażby do Gałęzistego, przy którym nie było szlaku, cmentarzysko wyglądało normalnie. Dokładnie tak jak poprzednio. Ze wszystkim – kurhanami, tablicą informacyjną na jego temat oraz ścieżką biegnącą przez całą jego długość. Nie wspominając już o kończącym się na nim lesie i domach znajdujących się u podnóża wzgórza, na którym się mieściło.

A jak się do tego dodało widok drogi krajowej numer osiem, po której w swojej codziennej pracy posuwały się doskonale widzialne i słyszalne teraz tiry...

– Nie wierzę... – Karolinie zakręciło się w głowie i poczuła, że słabnie. Złapał ją i po raz kolejny silnie przytulił.

– Ale to prawda! Jesteśmy uratowani!

– To na pewno kolejna jego sztuczka...

– Żadna sztuczka! Tam, gdzie kończy się las, on nie ma już żadnej mocy! Kara! Jesteśmy uratowani! Jakimś cudem udało nam się dotrzeć do granicy lasu! Pokonaliśmy go!

Wciąż nie mogąc w to uwierzyć i na wszelki wypadek nie okazując na

razie żadnych emocji, Karolina po raz kolejny tego dnia pozwoliła mu się prowadzić. W pewnym momencie rzuciła okiem w nieokreślonym kierunku i... nagle się zatrzymała.

– Co znowu? O co chodzi? – zdziwił się, tym bardziej że sam nie widział już nic niepokojącego.

Nie zastanawiając się ani przez chwilę, uwolniła się z jego uścisku i zaczęła iść w tamtym kierunku. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to robi. Nie potrafiła jakkolwiek nazwać kierujących nią wtedy pobudek. Ani wtedy, ani kiedykolwiek później. Po prostu czuła, że musi. Nie myślała o niczym innym, tylko o tym. Nie słyszała za sobą lekko zirytowanego głosu Tomka ani szeleszczącej pod ich krokami ściółki. Tak właściwie to nie słyszała niczego poza tym wewnętrznym głosem wydającym jej polecenia. A ten mówił jej właśnie, że powinna się tam udać. Udać się tam, a pozna odpowiedzi na wszelkie dręczące ją pytania.

Było to w sumie zadziwiające, że zdołała zauważyć na cmentarzysku ten nowy, dodatkowy kurhan, którego wcześniej, w środę, tam nie było. Na polanie z porozrzucanymi tu i ówdzie drzewami było ich wszak całkiem sporo. Jak do tego dodać zapadającą już właściwie noc i fakt, że wcześniej byli tu zaledwie raz w życiu i to przez dosłownie piętnaście minut...

Choć nie myślała do końca trzeźwo, już teraz wiedziała, że COŚ kazało jej go znaleźć. I miało w tym swój określony cel. Nie wiedziała, czy był dobry, czy zły. Nie miało to teraz znaczenia. Niczym w perwersyjnej zabawie Paola z czerwoną wodą w tym momencie liczyły się tylko dwie rzeczy – ona i ten płaski, świeży kopiec.

– Gdzie ty leziesz? – wołał za nią Tomek. O dziwo jednak nie zdołał jej dogonić w czasie marszu. Dołączył do niej dopiero wtedy, gdy już stała nad tym nowym, ledwo co skopanym kurhanem.

– Tu jest nowy grób... – powiedziała nie do końca przytomnie i też nie do końca do niego, lecz do siebie.

– Skąd wiesz, że nowy?

– Wiem.

– Może był tutaj już w środę. Ja nie pamiętam.

– Po prostu to wiem... – powtórzyła, błyskawicznie uklękła i zaczęła energicznie rozkopywać go gołymi rękami.

– Co ty wyrabiasz?! Zostaw to! Idźmy stąd po prostu!

Zignorowała go.

– Kara!

– Zamiast gadać, pomógłbyś mi! Byłoby szybciej! – odparła ostro.

– Ale po co?!

– Czuję, że musimy go rozkopać. Nie wiem... Czuję, że właśnie tutaj tkwią odpowiedzi na wszystkie nasze pytania... Nie wiem, nie potrafię tego wyjaśnić! Po prostu mi pomóż!

Tomek jęknął, ale ostatecznie ukląkł i także zaczął odgarniać ziemię. Miała rację – ten kopiec był świeży. Bardzo łatwo dało się go rozkopać.

Po jakimś czasie natrafili w końcu na drewnianą przedpotopową trumnę.

– O kurwa...

– Musimy ją otworzyć – powiedziała mocnym, pewnym siebie tonem Karolina.

– Jeżeli mogę coś powiedzieć, to uważam, że to nie jest za dobry pomysł. Choć nie wierzę, to bezczeszczenie zwłok o zachodzie słońca i to w nawiedzonym lesie to chyba jednak lekka przesada...

– Otwieraj, nie pierdol! – warknęła.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale już nic więcej nie powiedział. Odgarnął z drewnianego pojemnika ostatnie resztki ziemi i ze słyszalnym chyba nawet w Jeleniewie upiornym skrzypieniem uchylił jego wieko.

Gdy to ukazało im obydwójgu znajdujące się w trumnie ciało, do Karoliny wróciła jej normalna świadomość.

– Jezu Chryste... – wyszeptała i aż się lekko odsunęła do tyłu. Z perspektywy kogoś, kto właśnie ich obserwował, musiało to wyglądać naprawdę komicznie, bo w zadziwiającym z nią zgraniu Tomek także wykonał dokładnie identyczny ruch. Jego przekleństwo brzmiało jednak trochę inaczej:

– Co to, kurwa, ma być...? Co to wszystko znaczy?!

Karolina miała mętlik w głowie. Czuła się identycznie tak jak wtedy, kiedy patrzyła na babcię Natalii, gdy ta po czwartkowym śniadaniu wychodziła z kuchni. Wychodziła wyjściem, nad którym w odróżnieniu od typowego wiejskiego domu nie wisiał żaden krzyż. Dokładnie tak samo jak teraz przyszła wtedy dziewczynie do głowy jakaś myśl, która natychmiast jej z niej uleciała. Dosłownie przez sekundę wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, by już po chwili na nowo zastanawiać się, co ma właściwie znaczyć pochowanie na cmentarzysku Jaćwingów pana

Jerzego... Przez jeden jedyny moment widziała w całym tym szaleństwie metodę, której obecnie na nowo intensywnie poszukiwała w zakamarkach swojego umysłu...

Umysłu wyczerpanego do granic po wszystkich wydarzeniach z tego przeklętego dnia.

To nie był jeszcze jednak jego koniec...

Jak na złość Tomek nie pozwolił jej już się skupić:

– Kara... O kurwa...

Gdy także to zobaczyła i po raz kolejny w ciągu tych feralnych dwudziestu czterech godzin wytrzeszczyła oczy w niemym przerażeniu, obydwójce wstali i wzięli się mocno za ręce, które z każdą sekundą zaczynały im się coraz bardziej pocić i drżeć.

Dla Tomka obrazek ten mógł być pewną nowością, ale dla Karoliny – już nie. Tym bardziej że widziała go już dwukrotnie.

Zresztą naprawdę ciężko byłoby coś takiego zapomnieć... Niezależnie, czy widziało się to na jawie, czy też we śnie.

Podczas gdy szczelny i otaczający ich z każdej strony mur zakapturzonych postaci powoli się do nich zbliżał, słońce już zupełnie zniknęło za horyzontem.

Zapadła noc.

## ROZDZIAŁ XIV

Tak jak Karolina z jakiegoś powodu się spodziewała, gdy idący ku nim ludzie byli już wystarczająco blisko, zatrzymali się w niezmiennym – czy to na jawie, czy to w jej nocnych koszmarach – idealnym zgraniu.

Tak jak też się spodziewała, tuż po tym z ich kołowego szeregu wystąpiła jedna osoba.

Tak jak się z kolei NIE spodziewała, nie zdjęła ona jednak kaptura.

Tak jak się z kolei NIE spodziewała, głos, który wydobył się spod jej peleryny, bynajmniej nie należał do zaciągającej staruszki, a do...

Natalii.

– *Jau laikas...* – powiedziała.

Na jej słowa z szeregu wystąpili inni i sądząc po ich rozmiarach, można było stwierdzić, że byli to sami mężczyźni. Co gorsza – niektórzy nawet więksi od Tomka...

On i Karolina obserwowali w napięciu, jak co najmniej dziesięć osób podchodzi do nich z każdej strony. Wawrentowicz ścisnął dłoń dziewczyny tak mocno, że jeszcze moment, a dosłownie połamałby w niej wszystkie możliwe kosteczki. Zakapturzone, ubrane w wełniane peleryny postacie krążyły wokół nich i jakby wyczekując na odpowiedni moment do ataku, wyciągały ku nim ręce. Tomek doznał swoistego *déjà vu* i poczuł się prawie tak jak podczas piątkowej bójki na suwalskiej ulicy. Nie było jednak powodu, by wierzyć, że skoro wtedy nie potrafił poradzić sobie z siódmką, to teraz będzie miał jakiegokolwiek szanse w starciu z jeszcze większą liczbą jeszcze większych facetów...

Niepostrzeżenie jeden z napastników błyskawicznie doskoczył do nich i jednym ruchem wyrwał przyklejoną do niego Karolinę.

– Nie! Nie! NIEEE!!! ZOSTAWCIE MNIE!!! TOMEK!!! RATUNKU!!! TOOOOMEK!!! – zaczęła wrzeszczeć i po raz kolejny płakać, gdy wierzgając po ziemi nogami, próbowała bezskutecznie wyrwać się z tego silnego uścisku. Chcąc odebrać im ją siłą, zrozpaczony chłopak bez zastanowienia ruszył za jej krzykiem, ale zarobił z nieokreślonej strony solidny cios w żebra i padł bez tchu na ziemię. Słyszając jej pełen lęku i bóleści wrzask, który brzmiał w jego uszach nawet gorzej niż niegdysiejszy ryk umierającej w straszliwych mękach Aśki, z trudnością podniósł się na czworaka. Drżał i toczył na trawę łązy bezsilnej, desperackiej złości.

Za późno zauważył przed sobą parę potężnych żołnierskich buciorów. Jeden z nich wymierzył mu kolejnego potężnego kopniaka w klatkę piersiową. Padł na plecy.

– TOOOOMEEEEEEK!!!

Obolały spojrział nad sobą na ogromną, niezamierzającą na tym wyraźnie poprzestać postać, która już zaraz zamachnęła się do jeszcze jednego ciosu.

Nagle zauważył jakby lekkie jej zawahanie. Nie był chyba jedynym, gdyż gdzieś w tle ponownie rozniósł się głos Natalii:

– Skumat, zabij go, nie zastanawiaj się! On nie jest jednym z nas!

Było już jednak za późno. Korzystając z tej krótkiej ofiarowanej mu przez los chwili i przez cały czas leżąc na ziemi, Tomek z całej siły kopnął swojego prześladowcę w genitalia. Choć spodziewał się, że tamten nie wstanie po tym co najmniej przez tydzień, uderzenie to powstrzymało go jedynie na krótki moment.

Niewiele myśląc, błyskawicznie dźwignął się na nogi i po staranowaniu w najbliższym mu fragmencie tego ludzkiego żywopłotu najdrobniej wyglądającej na oko postaci puścił się sprintem do lasu. Wciąż słyszał za sobą okropny płacz Karoliny i poniekąd przez to zupełnie zapominał, dokąd właściwie biegnie i jakie mogą być tego konsekwencje...

Paradoksalnie w zaaferowaniu ucieczką nie zauważył nawet, w którym konkretnie momencie jej głos ucichł i kiedy Natalia powiedziała:

– Chodźmy!

Słyszał za to za sobą ciężkie kroki faceta, z którym uprzednio walczył (a konkretniej – od którego dostawał tęgiego łupnia), i tylko one były teraz tym, co w stu procentach zajmowało mu głowę. Odwróciwszy się na chwilę, dostrzegł, że ten go goni i co gorsza – z każdą sekundą zbliża się do niego w zatrważającym tempie. Zważywszy na jego rozmiary oraz fakt, że tak jak reszta ich tajemniczych oprawców był ubrany w długą pelerynę, jego sprawność w poruszaniu się mogła zadziwiać. W połączeniu z ciemnością ledwo co zapadłej nocy jakikolwiek wgląd w jego twarz uniemożliwiał duży kaptur, który w dalszym ciągu miał na głowie.

Pomimo że Tomek biegł najszybciej, jak tylko mógł, napastnik w końcu go dogonił i podciął od tyłu. Nie zdążył się nawet odrobinę przetoczyć, gdy tym razem zarobił silnego kopniaka we wciąż bolący go po spotkaniu z panem Zdancewiczem kręgosłup i wrzasnął z bólu.

Mężczyzna nie próżnował, tylko jedną ręką podniósł go od tyłu za fraki i odrzucił na sporą odległość. Nie po raz pierwszy tego dnia Tomek uderzył głucho klatką piersiową o ziemię. Zdołał się jeszcze przewrócić na plecy, ale widząc pędzącego ku niemu niczym rozjuszony nosorożec napastnika, już wiedział, że nie ma dla niego żadnego ratunku. Czekał na nieunikniony cios, zdążył jedynie słabo krzyknąć:

– Kim w-wy, kurwa, je-jesteście?! O co w-wam chodzi?! Czego wy o-o-od nas chcecie?!

Tamten w dalszym ciągu nie uważał jednak za wybitnie konieczne się odezwać. Rozpędziwszy się w milczeniu, kopnął chłopaka w twarz, po czym znowu go chwycił, tym razem pod pachami, i znowu, niczym zapaśnik, rzucił nim gdzieś w dal. Powietrze zaświszczało pod ciałem Tomka. Zamroczony po wcześniejszym ciosie, już prawie nie czuł tego pulsującego bólu pleców, gdy tym razem to nimi uderzył o podłoże.

Gdy stopniowo odpływał, na tle księżycy widział idącego ku niemu olbrzyma. Tuż przed tym jak urwał się mu film, zdążył zarejestrować jeszcze jedynie trzy rzeczy.

Lekkie drzenie ziemi, następnie ciche pluśnięcie, a po nim... przeraźliwy wrzask mężczyzny o głosie, którego nigdy w życiu nie słyszał. Po tym w lesie na nowo zapadła cisza.

A może była to już po prostu jego najzwyczajniejsza utrata świadomości...?

\*

„Panie Tomku!”

„Panie Tomku, żyje pan?!”

„Niech pan się, do jasnej cholery, obudzi!”

„PANIE TOMKU!!!”

Po otrzymaniu lekkiego ciosu otwartą dłonią w twarz Wawrentowicz z trudem otworzył oczy. Jedno z nich było teraz solidnie opuchnięte i dałby sobie rękę uciąć, że nie widzi przez nie do końca wyraźnie. Nawet to, plus wszechobecna ciemność z przebijającym się przez nią dość jaskrawym blaskiem księżycy, nie przeszkodziło mu jednak w rozpoznaniu mężczyzny, który właśnie teraz się nad nim pochylał.

– Zostaw mnie! – Błyskawicznie się rozbudził, odepchnął go lekko i odskoczył od niego jak oparzony. Tym razem poczuł ten dotkliwy ból na grzbiecie i skrzywił się pod jego wpływem. Oprócz tego pękała mu głowa. A zresztą niełatwo było tak naprawdę teraz wskazać choć jedną część ciała,



która go nie bolała...

– Spokojnie! – Andrzej Rogucki wyprostował się i wyciągnął do niego ręce w uspokajającym geście.

– Zostaw mnie, powiedziałem ci! – odkrzyknął rozpaczliwie Tomek. Podczas gdy czołgał się na siedząco do tyłu, po lesie rozniosło się echo jego słów. Zwyczajne, nie szydercze.

– Panie Tomku, co się tutaj dzieje?! Dlaczego jest pan tak pobity?!

Łzy frustracji ponownie pociekły po brudnej, poranej krwią twarzy chłopaka.

– Ty mi powiedz!

– Ja? Ale co...

– Myślisz, że nie wiem, że jesteś z nimi w zмовie?!

– O czym pan mówi, do cholery?! Z jakimi „nimi”?

– Karolina czasami przesadza z tą jej manią prześladowczą, ale wtedy rozgryzła cię po mistrzowsku!

– O co chodzi?!

– Myślisz, że, kurwa, nie wiem, że chciałeś mnie zabić?! Nie udawaj głupiego! Zostaw mnie w spokoju! Albo zabij wreszcie! Zarżnij mnie i to wreszcie skończ. No, dalej! Dokończ to, co nie udało ci się poprzedniej nocy! No już, dawaj! – krzyczał jak nakręcony. I tak było mu już wszystko jedno, więc taka błahostka jak liczenie się ze słowami nawet nie przeszła mu przez myśl.

Rogucki wyglądał nadzwyczaj dziwnie z tą miną człowieka kompletnie zbitego z tropu. Nie pasowała ona do niego ani trochę.

– Panie Tomku... Proszę się uspokoić...

– Zabij mnie wreszcie! A potem wracaj do swoich kumpli, którzy ją porwali!

– Uspokój się!!! – wrzasnął mężczyzna, co również do niego nie pasowało. Podobnie to, jak zgrabnie przeszedł z Tomkiem na ty. – Nie wiem, o czym mówisz! Nie chcę cię zabić!

– Kłamiesz! Nie wierzę ci!

– Słuchaj no! Gdybym chciał cię zabić, to nie rozmawiałbym tu z tobą teraz! Ba, nawet bym cię nie budził, tylko od razu to zrobił. Czemu w takim razie jednak tego nie zrobiłem?!

Tomek zamilkł. Choć łeb napieprzał go jak sto pięćdziesiąt, jakimś cudem udało mu się jeszcze raz zaprząć do roboty swoje matematyczne,

analityczne myślenie. Przynajmniej na moment.

Miał rację...

– To... To... – głos mu drżał. – To co w takim razie stało się wtedy, w nocy, w tym twoim domku?

– Sam chciałem to wiedzieć... Obudził mnie jakiś trzask. Myślałem z początku, że to może piorun trafił w dach, więc wybiegłem na zewnątrz i zobaczyłem, że rynna jest połamana. Widziałem też, że wasze okno jest otwarte na oścież i że wciąż pali się w nim światło...

– Ty jebany kłamco... – przerwał mu Tomek.

– Nie kłamię!

– Karolina widziała, że nie śpisz. Siedziałeś sobie na kanapie i piłeś piwko! Podczas gdy ona ratowała mi życie po tym, jak próbowałeś mnie zająbać, siedziałeś sobie i świętowałeś swój niedoszły sukces. Nie pierdol mi więc, że spałeś, bo to nieprawda!

Rogucki milczał przez moment, po czym zrobił minę wyrażającą coś w rodzaju... poczucia winy? I to także było kompletnie nie w jego stylu. Westchnął głęboko i uniósł ręce w przeproszającym geście.

– Dobrze... Nie będę dłużej kłamał. Tak, nie spałem wtedy. Tak, piłem piwo. Ale cała reszta jest prawdą...

– Nie wierzę ci!

– Dobrze, to pozwól mi chociaż opowiedzieć moją wersję. A czy mi potem uwierzysz, czy nie, twój wybór.

Tomek miał wielką ochotę dalej na niego wrzeszczeć, ale przyszło mu nagle do głowy, że jeżeli chce jakimś cudem wyjść z tej przygody żywy, dobrze byłoby, gdyby miał trochę czasu na obmyślenie odpowiedniego planu. Skoro więc tamten sam mu to proponował...

– Dobra, mów.

– W środku nocy musiałem gdzieś wyjść. Nie jest to teraz ważne gdzie. Musiałem. Wyszedłem z domu na jakiś czas i...

– Gdzie wyszedłeś?

– ...gdy wróciłem, rzeczywiście usiadłem na kanapie, otworzyłem piwo...

– Gdzie wyszedłeś?

– ...i w pewnym momencie usłyszałem ten trzask.

– Gdzie, kurwa, wyszedłeś?! – wrzasnął Tomek.

Pan Andrzej westchnął i w jeszcze jednym geście, który dopełnił tej

nocy ciągu tych kompletnie do niego niepasujących, spuścił głowę. Wyglądał jak uczeń podstawówki przyłapany przez wychowawcę na paleniu papierosów.

– Nie mogę powiedzieć. Naprawdę nie mogę...

– I ty chcesz, żebym ci uwierzył?! Gadaj! Albo wszystko, albo nic!

– Kiedyś ci to wszystko opowiem... Przysięgam... To dosyć długa historia. Wziąłbyś mnie teraz za wariata.

– I tak mam cię za wariata i mordercę, więc co za różnica...

– W każdym razie – podjął swoją opowieść Rogucki, na powrót swoim typowym, normalnym, mocnym tonem – zobaczyłem tę połamaną rynnę i wasze otwarte okno. Czułem, że działo się coś niedobrego, więc czym prędzej poszedłem na górę, by sprawdzić, czy wszystko z wami w porządku. Już na schodach coś było nie tak i byłem na siebie wściekły, że nie zauważyłem tego już wtedy, jak wróciłem do domu z... mniejsza z tym. Od drzwi wejściowych aż do samego waszego pokoju ciągnęła się jedna wielka kałuża wody i błotniste ślady. I to w obie strony!

– Twoje... – mruknął Tomek. Mężczyzna zignorował go.

– Zrozumiałem, że pod moją nieobecność ktoś wszedł do domu i najwidoczniej tak mu się spieszyło, że nawet nie zdjął ani butów, ani kurtki, czy co tam miał. Byłem przerażony! Uderzałem w wasze drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Od razu pobiegłem po narzędzia, a potem nawet po siekiere, by dostać się do środka.

Choć Tomek pierwotnie planował nawet go nie słuchać i poświęcić ten czas na szczegółowe dopracowanie strategii, jak go ogłuszyć, mimowolnie wciągnął się w jego opowieść. A wszystko przez to, że dwie rzeczy wyraźnie tu do siebie nie pasowały. Andrzej Rogucki proszący ich o zdjęcie butów przed wejściem do jego domu i Andrzej Rogucki, który w zamiarze zamordowania go idzie na górę, zostawiając błotniste ślady... Wstał. Fakt, że mężczyzna mu na to pozwolił, również mógł nieco dziwić.

– Czyli sugerujesz, że... ktoś inny wszedł do domu, jak cię nie było, i to on próbował mnie zabić?

– Tak... Na to wygląda. Ale jak zabić?! Co się tam u was na górze, do cholery, wydarzyło, bo dalej nie wiem, o czym mówisz, i nie mogę w to uwierzyć! Ktoś próbował cię zamordować?! W moim domu?!

Choć dalej trudno było powiedzieć, by mu ufał, Tomek z niewyjaśnionego powodu postanowił powiedzieć prawdę. I to nawet przy

założeniu, że tamten i tak ją znał, więc w sumie nie miało to najmniejszego sensu.

– Dostałem hipoglikemii, choć wypłem tylko raz... – zaczął.

– No fakt, nie powinno ci się to zdarzyć. Nie po jednym kieliszku...

– Karolina widziała, jak ktoś tuż przed tym wyszedł z naszego pokoju.

A co więcej – mój pen zamiast w plecaku, gdzie go zostawiłem, leżał na ziemi.

Jakby dopasowując do siebie wszystkie fakty, pan Andrzej milczał przez moment.

– A więc... W taki sposób?! Poprzez insulinę?! Dobry Boże... Nigdy bym na to nie wpadł, a to... Jasna cholera, przecież to jest morderstwo doskonałe! Nie jestem nawet pewien, czy można to potem w ogóle wykryć... – wydusił z siebie w końcu. Wyglądał na będącego w niemałym szoku.

– Udało jej się mnie uratować. Myśleliśmy, że to pan... – niepostrzeżenie wrócił do starej formy – ...bo choć Karolina spanikowana darła się jak zwykle, nie przyszedł pan z pomocą. Jak do tego zobaczyła, że jakby nigdy nic pije pan sobie na dole piwo... Wniosek nasuwał się tylko jeden.

Pan Andrzej znowu milczał przez chwilę.

– Wszystko już rozumiem... W ogóle się wam nie dziwię, że tak pomyśleliście... Niech to szlag! Nieprawdopodobna historia... Tyle cholernych zbiegów okoliczności...

– Gdy potem pana zobaczyła, zamknęliśmy się w pokoju i zdecydowaliśmy się cichaczem uciec przez okno.

– No tak, czyli stąd te prześcieradła przywiązane do nogi łóżka... Ale... Panie Tomaszu, kto to zrobił?! Kto pana sobie obrał za cel? I z jakiego powodu? Komuś pan aż tak bardzo zalażł za skórę? – zamilkł, a po chwili pauzy, jakby coś jeszcze sobie przypomniał, dodał: – I gdzie jest pani Karolina?! Mówił pan coś o jakimś porwaniu! Kto ją porwał?

Tomek nagle mu uwierzył.

Nie wiedział dlaczego. Czy to dzięki jego naprawdę szczerze brzmiącemu głosowi, czy może od widoku tych złęczonych oczu? I to nadal przy założeniu, że w przypadku Andrzeja Roguckiego był on czymś niesamowicie dziwnym... Po prostu uwierzył. Do tego poczuł się nagle niesamowicie samotny, prześladowany i osaczony... Z każdej strony, tak

jak w piątek w Suwałkach albo dzisiaj na tym nieszczęsnym cmentarzysku. Osaczony przez ludzi, demony, zwierzęta, rośliny i wszystko inne. Czy chciał tego, czy nie, ten facet był teraz tak naprawdę jego jedyną nadzieją, jedyną potencjalną bratnią duszą, która mogła mu w tej chwili pomóc, jedynym ewentualnym sprzymierzeńcem... Musiał mu zaufać. Nie miał innego wyboru. Tym bardziej że miał rację – gdyby chciał go zabić, to nie patyczkowałyby się i już dawno by to zrobił.

– Panie Andrzeju... – Po policzkach znowu pociekły mu łzy. – Niech mi pan przysięgnie, że pan naprawdę nie ma z tym nic wspólnego... Ja... Ja sam już nie wiem, komu mam ufać... Ci ludzie... Oni...

– Nie mam! Naprawdę! Przysięgam. Sam jestem na siebie wściekły, bo częściowo to była moja wina. Nie zamknąłem drzwi na klucz, jak wtedy wyszedłem. No bo skąd mogłem wiedzieć, że na tym moim odludziu ktoś na was czatuje?

– Ja pierdołę... – Tomek pociągnął nosem.

– Musieli i mnie obserwować jakiś czas, skoro wiedzieli, że co noc wychodzę z domu... Gdy potem dostałem się do waszego pokoju i zobaczyłem to wszystko... Jezu. Próbowałem się przez cały dzień do pana dodzwonić, ale ciągle słyszałem, że abonent czasowo niedostępny. A gdy potem przypomniałem sobie te pogłoski o jakichś satanistach, którzy ponoć w tych lasach odprawiają swoje rytuały...

– Satanistach?!

– Panie Tomku! Nie chciałem państwa niepokoić tam na łódce, ale jak mi powiedzieliście, że mieszkacie w jakiejś wiosce w lesie, obok cmentarzyska Jaćwingów... Toż ten las ma tak ponurą historię, że głowa mała! Te plotki o satanistach, do tego wielu znalezionych samobójców, a jeszcze na przełomie tysiącleci było to ulubione miejsce mafijnych egzekucji! Znalezione chociażby wiele ciał bez głów...

„To miejsce to gniew. Gniew jest tym miejscem”.

– ...po tym, co się wydarzyło, od razu pomyślałem, że również i wy możecie być wciągnięci w jakąś tego typu pokręconą historię... A może nawet w coś o wiele gorszego. Tym bardziej, na co wpadłem z rana, że jak mówiliście, mieliście z początku mieszkać gdzie indziej, ale was przenieśli. To by pasowało, bo jak się domyślam – nikomu z waszych bliskich nie powiedzieliście szczegółowo, gdzie znajdują się te całe Białodęby.

– Nie powiedzieliśmy... – Tomek stał jak ogłupiały.

– Tak też myślałem. Czyli gdybyście państwo zaginęli bez wieści, to poszukiwania zaczęłyby się i najpewniej jednocześnie zakończyły na Osinkach... Diabelnie prosty i jednocześnie diabelnie genialny plan. Jakbym miał strzelać, to powiedziałbym nawet, że ta wioska, w której mieszkaliście, wcale nie nazywa się tak, jak wam mówiono, więc nawet użycie samej jej nazwy nic by policji nie dało. Już od początku coś mi mówiło, że coś tu z nią nie gra, bo znam tę okolicę dość dobrze i powinienem kojarzyć ją chociaż z nazwy. Szukałem dziś w internecie jakiegokolwiek o niej wzmianki, przejrzałem nawet wszystkie mapy, jakie tylko dałem radę. Nic nie znalazłem! Zero! Ani jednych Białodębów na północ od Suwałk!

Tomek próbował to wszystko zrozumieć. Ale z każdym kolejnym słowem mężczyzny coraz bardziej bolała go głowa.

– Ale... Po co to wszystko? O co tu chodzi?

– Coś mnie naszło i skojarzyłem, że niemal równo rok temu, świeżo po Wielkanocy, czytałem na jakimś naszym lokalnym portalu wzmiankę o niewyjaśnionym zaginięciu turystów. Przez cały dzień szukałem więc w internecie informacji na temat innych zaginięć w tej okolicy w ostatnim czasie i rzuciła mi się w oczy jedna prawidłowość – co roku w okolicach Wielkanocy ginie tu zawsze co najmniej jedna osoba i nigdy nie udaje się jej odnaleźć. Co jeszcze ważniejsze, nigdy nie jest to miejscowy, a zawsze turysta... Mamy więc tu chyba do czynienia z jakimś rokrocznym procederem. Czymś naprawdę dużym i całkiem możliwe, że teraz to wy jesteście w to wplątani... W każdym razie już za dnia zgłosiłem wasze zaginięcie na policję, ale przez pieprzone procedury, abyście zostali uznani za zaginionych, musi minąć czterdzieści osiem godzin... Łaskawcy nie chcieli nawet ruszyć tyłków ze swoich prześmierdłych od pierdzenia stołków i przyjechać do mnie do domu, by zobaczyć te wszystkie ślady i tak dalej... Po prostu ręce mi opadły! Uznałem więc, że ich – za przeproszeniem – serdecznie chrzanię i muszę radzić sobie sam. Przyjechałem więc tutaj i by nie wzbudzać podejrzeń, na wszelki wypadek zostawiłem samochód aż pod Swiss Barem, a potem sam zacząłem was szukać. A gdy zobaczyłem wasze porzucone audi...

– Znalazł pan nasze audi?! – Tomek był coraz bardziej dezorientowany.

– No... – Rogucki znowu został wytrącony z rytmu. – Wasze audi stoi

porzucone. Normalnie, na drodze, w lesie...

Dopiero po tych słowach Tomek zdał sobie sprawę, gdzie od dobrych kilkunastu minut sobie gawędzą. Brakowało jeszcze tylko herbatki i ciasteczek... Przypomniawszy też sobie o porzuconym na cmentarzysku plecaku. A potem o jeszcze jednej ważnej rzeczy. A nawet dwóch.

– Musimy iść – powiedział i ruszył przed siebie.

– Dokąd?

– Musimy ratować Karolinę. Oni ją mają i nie wiem, co chcą z nią zrobić, ale na pewno nic dobrego. A tak w ogóle to pan załatwił tego faceta, który mnie pobił?

– Nie, nikogo więcej nie widziałem...

– To gdzie on, kurwa, jest...? – Tomek zagryzł wargi i rozejrzał się uważnie. W pobliżu nie było żadnego ciała, czy to leżącego, czy to stojącego, czy to wiszącego. Przypomniawszy sobie ostatni obrazek tuż przed utratą przytomności. Przecież tamten szedł wtedy na niego jak wściekły byk... Był tak nakręcony, że pod jego ciężkimi krokami aż drżała ziemia! I co, w ostatniej chwili zmienił zdanie?!

Nagle skojarzył.

No tak... Las.

– Nikogo nie widziałem. Gdy znalazłem wasz samochód, wszedłem w las obok niego i szedłem po prostu przed siebie. No i wciąż próbowałem się do pana dodzwonić. I to właśnie dzięki pana dzwonkowi i świecącemu się wyświetlaczowi w ogóle pana zauważyłem...

Tomek podniósł z ziemi swój telefon, który wcześniej przez cały czas miał w kieszeni. Bateria była prawie rozładowana, ale... miał zasięg! Farsa! Absolutnie nic z tego nie rozumiał...

W tym samym momencie w zaskakującym zbiegu okoliczności zadzwoniła jego komórka. Była to pani Górka... Nie zastanawiał się ani sekundy.

– Proszę pani, niech pani natychmiast zadzwoni na policję! – Nie wysilił się nawet na powitanie. – Karolina jest w niebezpieczeństwie! Porwali ją! Niech pani zadzwoni na policję i powie, że w lesie przy Suwałkach, przy cmentarzysku Jaćwingów coś się dzieje. Niech tu jak najszybciej przyjadą... Kurwa mać! – Padła mu bateria. Nie pamiętał jej numeru, więc skorzystanie z iPhone'a Roguckiego odpadało. Tym bardziej że... jego aparat z kolei nie miał teraz zasięgu.

No tak. Las... A to ci niespodzianka...

– Co się z wami działo przez cały dzień? – zapytał pan Andrzej, podczas gdy żwawo ruszyli z powrotem w kierunku drogi, gdzie – jak twierdził mężczyzna – stało audi.

– Jak panu opowiem, to uzna mnie pan za wariata...

– Proszę opowiedzieć. Musimy wiedzieć, co się tu dzieje. Znam Suwalszczyznę lepiej niż wy, więc może w czymś pomogę i będę umiał cokolwiek wytłumaczyć.

Tomek opowiedział mu więc pokrótce wszystko to, co wydarzyło się tego dnia. Nie wdawał się zbyt w szczegóły, ale też starał się niczego nie pominąć. Zaczął od tego, jak ich samochód został uwięziony przez las, jak spotkali demona pod postacią leśnika, a potem tych dwoje i Annę Żukowską. Opowieść skończył na znalezieniu grobu pana Jerzego i spotkaniu tej tajemniczej grupy ludzi z Natalią na czele. Choć starał się opowiadać to wszystko najrozsądniej, jak tylko mógł, nawet dla niego samego brzmiało to teraz jak majaki szaleńca. Tego po prostu nie dało się opowiedzieć „normalnie” i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Rogucki nie dawał jednak po sobie poznać, czy mu wierzył, czy też nie, tylko słuchał w skupieniu i potakiwał głową. Dokładnie w tym samym momencie, w którym Tomek zakończył swój monolog słowami: „nie wiem więc, czy się w ogóle z tego lasu teraz wydostaniemy...”, dojrzał w oddali znajomy kształt swojego samochodu. Istotnie, tak jak twierdził wcześniej pan Andrzej, stał normalnie, na samym środku ścieżki, od strony wyrębów, tuż przed drogą pożarową...

„Kurwa... Wariactwo... Co się tu dzieje?! Skąd nagle ta normalność?! Co ci chodzi po głowie, ty brodaty chuju?”

Wciąż mając w kieszeni klucz, otworzył i odpalił auto. Działało. Wszystko było w najlepszym porządku.

– Niech pan wjedzie na te wyręby i gdzieś go tam ukryje. Jeżeli chcemy, by nas nie słyszeli, musimy iść piechotą.

Miał rację. Mogli co prawda jechać od razu na policję, ale w obliczu niepewności, czy las w ogóle ich wypuści, nie było sensu ryzykować i ewentualnie tracić czasu. Gdy po postąpieniu zgodnie z jego radą powtórnie do niego dołączył, Rogucki bardzo się nad czymś intensywnie zastanawiał. A gdy ostrożnie i rozglądając się na boki, ruszyli ścieżką w kierunku Białodębów, zapytał w końcu przyciszonym głosem:



– Mówił pan coś, że ta dziewczyna, Natalia, gdy was otoczyli, powiedziała coś w jakimś dziwnym języku. Pamięta pan może, co to było?

Tomek wyteżył pamięć. Choć lekko kręciło mu się w głowie (nie było siły, by po takim ciosie, jaki zarobił, nie miał co najmniej lekkiego wstrząśnienia mózgu), udało mu się to sobie przypomnieć.

– Powiedziała: *jau laikas*, czy coś w tym stylu...

– To po litewsku... – odpowiedział po chwili milczenia mężczyzna. – Znam trochę litewski, bo z wieloma Litwinami robię interesy...

– Co to znaczy?

– *Jau laikas* to po litewsku „już czas”...

– Ale co Litwini mają z tym wspólnego?! – Tomek naprawdę szczerze pragnął jakkolwiek to wszystko zrozumieć, poskładać, złożyć w jedną całość, ale ani trochę mu się to nie udawało. Sataniści, demony, niekończące się, zaginające czasoprzestrzeń lasy, które nagle ni stąd, ni zowąd zaczynały zachowywać się normalnie, grzebiący swoich przodków na cmentarzysku Jaćwingów Litwini... O co w tym wszystkim, do cholery, chodziło?!

Rogucki w dalszym ciągu był zamyślony.

– Mówił też pan, że jeden z nich miał już pana zabić, ale wyglądało, że lekko się zawahał, na co ta Natalia powiedziała...

– „Skumat, zabij go, nie zastanawiaj się! On nie jest jednym z nas!” – wyrecytował Tomek co do słowa.

Pan Andrzej zatrzymał się nagle.

– Wszystko już rozumiem...

– Co pan rozumie?!

– Panie Tomku, czy wie pan, jakiego pochodzenia jest imię Skumat? Albo nazwisko Prus?

– Nie mam pojęcia! – warknął zniecierpliwiony. Zdecydowanie nie była to teraz pora na quiz z genezy językowej dziwnych imion i nazwisk.

– Oba są pochodzenia jaćwieskiego...

– Jaćwies... Co?!

– Niech pan pomyśli... Ludzie, którzy grzebią członka swojej rodziny na cmentarzysku Jaćwingów... Posługują się, przynajmniej nieoficjalnie, jaćwieskimi imionami i nazwiskami... Do tego używają litewskiego języka, a jaćwieski był w niektórych miejscach bardzo do niego podobny... Nie wiem jak panu, ale mnie wniosek nasuwa się tylko jeden...

– Że oni to... że oni to niby...?

– A jeżeli nie oni, to pewnie jacyś ich bardzo konserwatywni potomkowie...

– A Natalia to też imię jaćwieskie?

– Nie, ale jakbym miał strzelać, to tutaj też zwyczajnie was okłamali. Zresztą byłoby to dziwne i ryzykowne z ich strony, jakby tego nie zrobili. Ta Natalia w rzeczywistości nazywa się pewnie zupełnie inaczej. Albo jeszcze inaczej – oficjalnie w dowodzie osobistym nazywa się Natalia, ale jej prawdziwe, używane w jej kręgach imię jest inne...

– Ale po co to wszystko? Po co? O co w tym wszystkim chodzi? Po co ta cała maskarada z fałszywą wioską, fałszywymi imionami i tak dalej? Po co te coroczne porwania? – Przełknął ślinę. – I po co im Karolina?

Jakby zastanawiając się, jak to, co chce powiedzieć, ubrać w takie słowa, by nie zabrzmiało to zbyt szokująco, pan Andrzej milczał. W końcu rzekł:

– Wydaje mi się, że na te wszystkie pytania może, choć nie musi, odpowiadać rozwiązanie zagadki, dlaczego ten Skumat wahał się co do pana zabicia...

– Mianowicie?

– Jakbym miał strzelać... – mówił bardzo powoli, ostrożnie dobierając słowa – ...to dlatego, że nosi pan na szyi Ankh. Ankh, który w niektórych kręgach kulturowych jest uważany za symbol neopogański...

– I co z tego?

– Ano to, że Jaćwingowie nigdy nie byli chrześcijanami...

Tomek otworzył usta w odruchowej chęci odpowiedzi, ale tym razem to on się zapowietrzył. Nie pomogło mu też to, co Rogucki dodał po kolejnej chwili pauzy:

– I jakbym miał strzelać, dalej nimi nie są...

\*

Karolina otworzyła oczy.

Wrażenia zmysłowe docierały do niej z pewną trudnością, jakby w zwolnionym tempie i w określonej kolejności.

Najpierw poczuła dość osobliwy, świeży, ładny, przemieszany z rześkim leśnym powietrzem zapach.

Potem usłyszała szum drzew spowodowany przez lekki przemieszczający się przez puszcę wietrzyk.

Następnie poczuła obrzydliwą brudną szmatę, którą miała zakneblowane usta.

Gdy lekko się poruszyła, zmysł dotyku poinformował ją, że leży właśnie na czymś twardym. Co więcej, że jest spętana jakimiś mocnymi, krępującymi jej jakiegokolwiek ruchy więzami.

Wreszcie zobaczyła, że tuż nad nią stoi postać w wełnianej pelerynie...

Gwałtownie drgnęła, ale sznury, którymi była uwiązana, boleśnie wbijały jej się w nadgarstki i okolice kostek. Próbując wołać o pomoc, jęknęła gardłowo, ale śmierdzący knebel przyprawiał ją tylko o coraz to większe mdłości. Starła się też wiercić i siłą wydostać z więzów, ale bez żadnego skutku.

Ten, kto przy niej stał, miał najwidoczniej pewność, że nie ma żadnych szans się uwolnić, bowiem wciąż był oazą spokoju i ani trochę nie przejął się jej rozbudzeniem. Nie przejął się ani trochę, że odzyskała przytomność po ogłuszeniu, które dla jej uspokojenia zaaplikowali jej na cmentarzysku. Ba, nawet na nią nie spojrział. Miał uniesione ręce i wpatrywał się na coś na wprost od niego. Karolina rozejrzała się nerwowo. Wyglądało na to, że leżała na jakimś sporym, starym, na wpół spróchniałym polowym stole. Wokół niej zostały rozstawione na nim grube, ale krótkie świece i to najprawdopodobniej z nich unosił się ten ładny zapach, który poczuła na początku. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się już trochę do lekko zakłócanej przez ich wątle światło ciemności, zdała sobie sprawę, że jest na skraju dużej, idealnie prostokątnej polany, która niewątpliwie nie powstała w naturalny sposób.

– *Broliai!*<sup>[4]</sup> – niespodziewanie wydobyło się spod kaptura postaci, która stała tuż przy stole. Wydobyło się pewnym, mocnym, agresywnym tonem. Zupełnie niepasującym do głosu Natalii, któremu towarzyszył...

– *Brangus Jotvingiai!*

Zamilkła na moment.

– *Praejo dar vieni metai. Sunkios kovos metai. Tarnystes metai. O kartu ir dideliu maloniui metai. Kaip ir kasmė, susitinkame pavasari, pirmąjį sekmadienį po pirmosios menulio pilnaties, noredami pagerbti galingiausiąjį, padėkoti jam už gautas dovanas ir nuolankiai maldauti ju sulaukti ir ateityje. Šlove Lešui! Miško ir visko, kas jame yra, ponui. Galingiausiam iš visu pagoniu demonu!*

– *Šlove!* – z polany rozległ się głośny chór innych głosów. Karolina aż

podskoczyła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w ciemności czai się jeszcze kilkaset osób. Co było dosyć charakterystyczne: o różnym wzroście, od dziecięcego aż po koszykarski. Co więcej, choć na cmentarzysku nie mogła tego zobaczyć, teraz mogła być już pewna – wszystkie one były identycznie ubrane. Tak jak Natalia.

– *Nors ir stengiames rupestingai tęsti tradicijas, metai iš metu musu vis mažeja. Prieš šimtmečius negaletume sutilpti i šią šventą laukymę. Šiandien musu tik saujele. Liko ištikimiausi ir labiausiai atsidavę. Kiti arba mus paliko, arba baige gyvenimą kankinio mirtimi. Žiaurus krikščioniu Dievas ir jo pasekejai iškele sau tikslą mus sunaikinti. Sunaikinti musu tapatybę, musu gyvenimo prasmę, musu egzistencijos pagrindą. Prieš daugeli šimtmečiu turejome gedingai pasirinkti – ju Dievas arba mirtis. Išgyvenome! Išgyvenome, bet tik musu pono deka! Pono ir isitikinimo, kad jis niekada musu neapleis, jegos deka. Už ši isitikinimą verta mirti, nes Rojuje musu laukia didelis atlygis.*

– *Šlove Lešui!* – odpowiedzieli jej po raz kolejny tamci ludzie. Choć Karolina i tak nie miała żadnych szans na rozpoznanie choćby słowa w tym tajemniczym, kompletnie nieznanym jej języku, mimowolnie próbowała cokolwiek z tego zrozumieć.

– *Tie kvailiai gali iki begalybes bandyti nertis iš kailio, mums grasinti, bandyti mus žudyti, prievartauti, perpirkti, gali stvertis dar žiauresniu metodu. Gali daryti ką tik išmanydami, bet niekada musu nepalauš. Nes musu ponas šioje žemeje atsirado gerokai anksčiau negu ju. Jis vyresnis už Jezu Kristu, protingesnis, galingesnis ir maloningesnis. Priešingai nei jis, musu ponas niekada nepalieka musu sunkioje situacijoje ir visuomet vykdo musu nuolankius prašymus. Krikščionys niekada neturejo ir neturi teises mums ką nors primesti. Sieke itikinti, kad musu tikejimas Lešui yra blogis, tuo tarpu savo tikejimo vardan jie ilgus amžius žude musu brolius per Kryžiaus karus. Tai jie nustate, kad ju švente, vadinama Velykomis, bus švenčiama tą pačią dieną, kaip ir musu, kad palaipsniui, stveriantis melo ir veidmainystes, pritraukti i savo pusę tokius kaip mes. Nori mus apgauti. Mus ir visus kitus. Nori išplauti musu smegenis ir atitraukti nuo to, kas svarbu. Atitraukti nuo tikruju vertybiu ir ilgamečiu tradiciju, kuriomis remiasi visa musu visuomene. Privalome buti stiprus. Tik nuo musu priklausu, ar bus išsaugotas musu pono kultas. Nuo musu priklausu, ar ir toliau galesime patirti jo malonių, ar busime – panašiai, kaip ta kale –*

wskazała na Karolinę – ...*pasmerkti jo pykčiui.*

– *Mirtis visiems Krykščioniams! Mirtis visiems žiauriems kankintojams!*

– *Ilgus šimtmečius kovojome drąsiai, brangus jotvingiai. Galime tuo didžiuotis. Mus pavyko išgyventi visus persekiojimus del musu tikejimo. Ne kartą ir patys savo pasišventimu ir drąsa irodeme, kad galime sekmingai pasipriešinti krikščioniškajam blogiui, kuris vis labiau užpildo šią žemę. Iki šiol prisimename didvyrišką ju kulto vietos prie Vigru padegimą ir meldžiamės už šio pagyros verto veiksmo atlikeju sielas. Bet tai dar ne pabaiga! Musu laukia dar daugybe darbu! Dar sulauksime tinkamo laiko, kai viskas sugriš i savo vežes, Jotvingija vel bus galinga, o kartu ir Lešui, ir kiti pagoniu demonai atgaus tai, kas jiems priklauso. Mums nevalia pasiduoti!*

Tym razem ludzie nic jej nie odpowiedzieli. Była to chyba jednak reakcja, której się spodziewała, bo bez cienia skrepowania kontynuowała dalej, tym razem skierowawszy głowę ku niebu:

– *Lešai! Musu pone, kuris čia buvai nuo amžiu amžinuju ir viešpatauji miške bei valdai visa, kas jame yra. Protingiausia, galingiausia šio pasaulio butybe! Tu, kuris negalima darai galimu, prikeli žmones iš mirusiuju, rupiniesi musu derliumi, suteiki mums neišsenkančiu energijos šaltiniu, duodi medienos musu namams, gydai...*

– *Naaaliaaaa...!*

Zrozpaczona Karolina, choć nie rozumiała z jej monologu absolutnie niczego, nie mogła znieść już nawet samego tonu jej głosu. Wiercąc się, próbowała usilnie zwrócić na siebie jej uwagę. Natalia, udając, że tego nie zauważyła, posuwała się w swojej mowie naprzód.

– *Bijome tavęs, aukščiausiasis! Bijo tavęs kiekvienas, net tas, kuris apie tai dar nenutuokia! Apsaugok mus nuo savo bauginančio pykčio! Pasigailek musu ir suteik mums savo maloniui. Esame tik pestininkai, kurie tavo visagalybes akivaizdoje tegali paklusniai nuleisti galvas ir maldauti, kad pasidalintum su mumis viena maža šios visagalybes dalelyte. Niekada tavęs neapleisime ir neleisime, kad tavo kultas kada nors išnyktu! Niekada, valdove! Kaip ir kasmė, ant švento qžuolo medienos aukojame tau vieną didžiausiu tavo priešu. Tegu dar vieno krikščionio, teršiančio tavo žalumos karalystę, mirtis ir teisingame reikale kiekvieno kito krikščionio pralietas kraujas padaro tave dar stipresniu, dar galingesniu. Nubausk ir tinkamai atlygink tiems, kurie to nusipelne... – Stojąca w pierwszym rzędzie*

uczestniczących w tej uroczystości Jaćwingów Windyka Gedymin dyskretnie pokiwała pod swoim kapturem głową.

Z uznaniem.

Jednak się myliła. Retuna Norbut wiedziała, co mówi.

Jak na swój pierwszy raz w zaszczytnym odprawianiu rytuału krwi Skeda radziła sobie po prostu koncertowo.

\*

Tomek i pan Andrzej postanowili rozpocząć poszukiwania Karoliny od pierwszego nasuwającego się na myśl miejsca, czyli Białodębów. Zdając sobie sprawę z naglącego ich czasu, bardzo szybko i pobieżnie obeszlili wszystkie gospodarstwa, ale nawet ten brak dokładności w zupełności wystarczył, by być pewnym, że w wiosce nie ma żywej duszy.

Co do martwych dusz nie mogli być już tego tak pewni, ale...

– Kurwa...

– Nie ma pan pomysłu, gdzie indziej mogli ją zabrać? To na pewno musi być gdzieś w tym lesie... Proszę się skupić!

– Przychodzi mi do głowy tylko cmentarzysko...

– Na pewno nikogo tam nie ma. Jak pana szukałem, to je mijałem. Było puste i niczego nie słyszałem.

– Nie wiem w takim ra... – zaczął Tomek i nagle sobie przypomniał.

– Wiem! – ruszył energicznie w kierunku prowadzącej do lasu bramki.

Bramki w otaczającym gospodarstwo Prusów ogrodzeniu.

Tej samej, którą w nocy ze środy na czwartek przekroczyła pewna naga blond piękność.

Tej samej, którą swego czasu przekroczył również i on. Już w następnym wieczór całując się z nią namiętnie...

Rogucki nie zadawał już żadnych pytań, tylko pospiesznie maszerował za nim.

Przezucie Tomka okazało się trafne. Już po jakimś czasie bezszelestnego wędrowania po omacku w ciemności do miejsca, gdzie jak mu się wydawało, powinna znajdować się prostokątna polana, dostrzegli ją w końcu w świetle księżyca. Od razu zauważyli też, że coś się na niej dzieje. Gdy byli już ryzykownie blisko, obydwaj padli na ziemię i obserwowali.

Dziwny był to widok...

Kilkaset ustawionych w kilkanaście idealnie prostych rzędów i równie

zgodnie ubranych w identyczne wełniane peleryny osób. Pomimo tak dużej ich liczby i tak wyglądali dosyć skromnie na polanie, która mogła pomieścić pewnie i kilka tysięcy takich jak oni. Wszyscy, niczym groteskowi widzowie jakiegoś polnego teatru, niczym sterowane czymś z zewnątrz zimne, bezuczuciowe, stojące dosłownie w nazistowskim, perfekcyjnym porządku marionetki, byli skupieni na przedstawieniu przed sobą. A konkretnie – na tym cholernie znajomym Tomkowi stole, za którym stała jeszcze jedna, również zakapturzona postać. W powietrzu unosił się jej głośny, zawzięty, pewny siebie, mentorski głos. Natalia znowu mówiła coś po litewsku.

Gdy Tomek dostrzegł, że na tym stole leży Karolina, nerwowo drgnął i odruchowo prawie się podniósł. Pan Andrzej złapał go jednak za ramię w uspokajającym geście i przyciągnął z powrotem na dół.

– Spokojnie. Nie możemy panikować. Musimy obmyślić plan... – wyszeptał.

– Co ona mówi? – zrozpaczony Wawrentowicz drżał. Widział w blasku świec na stole ruch, więc tyle było przynajmniej w tym okropnym widoku dobrego, że miał pewność, iż Karolina jeszcze żyje. Choć nie mógł dojrzeć nic więcej, wiedział i czuł, że jest śmiertelnie przerażona. Obrazek ten był tak bolesny w odbiorze, że nie mógł na niego patrzeć nawet w swojej wyobraźni.

Rogucki wyteżył słuch.

– Coś o jakiejś posłudze... Jakiemuś demonowi... Cholera, więc jednak się nie myliłem... Tak... Zwraca się do nich „Jaćwingowie”... I teraz o chrześcijanach... Bardzo źle o nich mówi... Z nienawiścią. Nakręca przeciwko nim resztę. Teraz chyba coś o wyprawach krzyżowych... Zwraca się do tego ich bóstwa... Mówi, że to coś jest władcą lasu... Potężnym demonem. I wygląda na to, że to jakiś pogański rytuał na jego cześć... Zaraz... Jak ona go nazwała? Leszai? Leszy?

Tomek znowu drgnął.

„A do tego nie potraficie słuchać... Przecież się wam przedstawiałem...”

A więc ten kutas nie kłamał... W pewnym sensie.

Leszek... Leszy... On nie przedstawił się nam jako Leszek, a Leszy!

– O kurwa... – mruknął pan Andrzej, czym błyskawicznie przywrócił go do rzeczywistości. Choć niewątpliwie nie było na takie rozważania teraz

czasu, chłopaka mimowolnie tknęło, że po raz pierwszy usłyszał z ust tego mężczyzny przekleństwo mocniejsze niż „cholera”.

I fakt ten, a konkretnie jego przyczyna, o której miał zaraz usłyszeć, już teraz bardzo mu się nie podobał.

– Co jest?

– Jeżeli dobrze zrozumiałem tę wariatkę tam, za tym ołtarzem... No bo wygląda, że to jest jakiś ołtarz... To... To oni mają właśnie zamiar złożyć pana dziewczynę w krwawej ofierze temu demonowi...

– Zróbmy coś! – Tomek ponownie się podniósł. Miał szczęście, bo akurat wtedy, kiedy wyrwał mu się ten krzyk, ludzie na polanie znowu wołali coś w zgodnym chórze.

Rogucki po raz kolejny przyciągnął go do ziemi. Widać było, że stara się zachowywać spokój, ale jednocześnie gorączkowo nad czymś myśli. Nie było czasu do stracenia.

– Nawet ja sobie z nimi nie poradzę, jak jest ich tak dużo... – mruknął wreszcie.

– To oczywista oczywistość! Streszczaj się! – prawie zapiszczał nerwowo chłopak. Z wszystkich tych emocji aż go nosiło i nie mógł uleżeć w jednym miejscu.

– Myślę jednak – kontynuował spokojnie mężczyzna – że nie będę mieć żadnych problemów z unieszkodliwieniem tej Natalii. Nikt przy niej nie stoi, a reszta jest w sporej od niej odległości i to jest nasza szansa. Są trochę zbyt pewni siebie, ale też w sumie i mają powody, no bo kto normalny w nocy, i to do tego w Wielkanoc, włóczy się po lesie? A już w ogóle nie wspominając o schodzeniu ze ścieżki...

– Streszczaj się! Co robimy? – niecierpliwił się Tomek.

– Musi pan odwrócić ich uwagę. Porządnie. Tak, by wszyscy oni przez jakiś czas nie patrzyli na ten ołtarz, a im dłużej tego nie będą robić, tym lepiej. Wtedy wkroczę do akcji ja. A najlepiej, jakby w ogóle nie widzieli, że to pan. Wtedy możemy mieć nadzieję, że nam wszystkim uda się uciec.

– Ale jak ja mam to zrobić?!

– Ależ pan zadaje durne pytania! Nie wiem! Niech pan coś wymyśli. Zdaję się na pana młodzieńczą wyobraźnię! – warknął zniecierpliwiony Rogucki, wstał i zaczął powoli skradać się w stronę skraju polany, tam, gdzie znajdował się stół.

Tomek walnął czołem o ziemię, próbując zebrać myśli, ale im bardziej



starał się zagonić swoją łepetynę do pracy, tym tylko bardziej odwrotny skutek to odnosiło. „Myśl! Myśl! Myśl! Myśl, durniu!”

Nagle, nie wiedząc czemu, przypomniał sobie ich sobotnią rozmowę na łódce. Ich agresywną dyskusję o wierze... O wierze i o ludziach wierzących. Czczących jakiś nadprzyrodzony byt. A konkretnie – te kilka zdań, które sam wtedy wypowiedział...

Już wiedział, co musi zrobić.

Podniósł się czym prędzej i zaczął biec... z powrotem do Białodębów. Był tak nakręcony, że nie odczuwał choćby najmniejszego zmęczenia, a adrenalina buzowała w nim jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Z zadziwiającą szybkością już po kilku minutach powtórnie znalazł się w wiosce. Tym razem drzwi od domu Prusów były jednak zamknięte, ale nie przejął się tym zbyt, tylko chwyciwszy stojący samotnie na podwórku spory drewniany pień, wybił nim szybę w oknie od kuchni. Wgramolił się do niej, szybko znalazł i porwał leżącą tuż przy starym, wykafelkowanym piecu elektryczną zapalniczkę. Następnie wyskoczył z powrotem na zewnątrz i nie zważając ani trochę na wszelkie dokuczające mu bóle, staranował barkiem drewniane drzwi od stodoły. Od jego impetu aż uderzyły z głośnym łoskotem obydwoma ich skrzydłami o ściany.

Oświetlając sobie widok nikłym światełkiem zapalniczki, gorączkowo rozejrzał się po budynku i wreszcie dojrzał ten upragniony metalowy kanister z benzyną, który miał nadzieję w nim znaleźć... Stał bardzo niedaleko od wejścia, tuż pod ścianą.

Wziął go i ruszył pospiesznie z powrotem do lasu. Podczas biegu do polany w niewyjaśniony sposób napotykał znacznie więcej trudności niż w przeciwną stronę. Raz za razem się potykał, uderzał głową i ocierał kończynami o gałęzie i pnie, wpadał w gęste zarośla, przez które bez ich obejścia nie był w stanie się przemieścić. Nie poddawał się jednak.

„Nie zatrzyma mnie pan w żaden sposób, panie Leszku!”

Nie zastanawiał się. Cel, na którym się skupiał, dawał mu tak ogromną siłę i zawziętość, że nie wyobrażał sobie, by mógł się jej przeciwstawić nawet najpotężniejszy pogański demon, i to nawet jakby do tego dodać w pakiecie jego martwych funfli. Nie dopuszczał do siebie możliwości, by cokolwiek mogło go teraz powstrzymać. Choćby nie wiadomo co. Choćby las na powrót miał się ciągnąć w nieskończoność... I tak by tę nieskończoność pokonał. Choćby na jego drodze znowu miał pojawić się

płot z twardych jak stal drzewek – zrównałby go z ziemią. Choćby miał przebyć wpław jezioro, w którym mieszkają nieumarli. Nieumarli, których jedynym celem egzystencjalnym jest wciągać ludzi pod wodę... Przepłynąłby! Kurwa, przepłynąłby!

Wiedział, że mu się uda.

Nie: wierzył, nie: łudził się. Wiedział.

Dobiegłszy wreszcie do polany, po cichu obszedł ją tak, by być na przeciwnym jej końcu niż ten, w którym znajdowały się Karolina i Natalia.

Wziął głęboki oddech.

„To, że ktoś jest ateistą, nie oznacza od razu, że jest złym człowiekiem. Można być dobrym, ale nie wierzyć. A co więcej – mieć weselsze życie. Ateiści nie muszą nakładać na siebie jakichś chorych, ustalonych odgórnie ograniczeń. Hamować się tylko dlatego, że gdzieś jest tak napisane. Traktować czegoś jak największą świętość, choć to nie jest tego warte. Powiedziałbym wręcz, że przez to wiara to największa słabość wierzących. Jakby byli spętani niewidzialnymi kajdanami. Czasem muszą odmawiać sobie przyjemności na rzecz niby wyższych idei. A to przecież prawie jak masochizm. A po co uprawiać masochizm na siłę?”

– Otóż to... – szepnął i zaczął po cichu rozlewać wkoło benzynę na ściółkę i pnie pobliskich drzew.

Gdy to robił, nie mógł pozbyć się wrażenia, że czuje pod stopami lekkie drżenie.

Zupełnie jakby coś bało się tego, co miał zamiar zaraz zrobić.

\*

– Naaaliaaa... – zajęczała żałośnie Karolina. Łzy ciekły z jej oczu tak gęsto, że miała problemy z wyraźnym widzeniem. W dalszym ciągu próbowała wydostać się z więzów, ale z każdą nieudaną próbą traciła tylko coraz bardziej siły.

Wyglądało na to, że naprawdę nie było już dla niej żadnej nadziei.

Rytuał, którego była przedmiotem i który jak się spodziewała, miał się dla niej skończyć wybitnie niewesoło, zmierzał już chyba ku końcowi. Natalia skończyła swoją długą przemowę, którą niesamowicie nakręciła zebrany w ciemności tłum, i zabrała się za jakieś dziwne czynności. Najpierw na nowo rozdrapała nożykiem wciąż świeżą ranę na policzku Karoliny i pozyskała z niej do małego naczynia trochę krwi. Następnie wymieszała ją szpatułką z jakimś nieokreślonym olejkiem, po czym nabrała

odrobinę na palec i narysowała nim na czole dziewczyny jakiś znak.

Gdy po ruchach jej ręki Karolina zdała sobie sprawę, że Natalia rysuje jej tam teraz liść, zaczęła jeszcze mocniej się wiercić.

To było chore... Obłąkane... Nienormalne...

– Naaaliaaa... O y obisz?! Ypuś me! – płakała rozpaczliwie. Piękna dziewczyna, która wciąż miała na głowę narzucony kaptur, w dalszym ciągu nic sobie jednak nie robiła z jej jęków.

Robiła za to po prostu swoje.

Gdy skończyła ze znakiem, wsadziła rękę do innego naczynia i rozlała nad nosem Karoliny kilka kropel jakiejś innej, bezwonnej cieczy.

Tuż po tym wyprostowała się i zdjęła wreszcie kaptur. Jej niespotykane doskonała twarz wybitnie kontrastowała teraz z obojętnym złem, które w blasku świateł było z jej prześlicznych oczu...

Kiedy pozostali ludzie na polanie zaczęli rytmicznie krzyknąć: „Le-szai! Le-szai!”, wyjęła skądś ogromny, przedpotopowy nóż, chwyciła go obiema rękami za uchwyt i z zimną, jednocześnie zawziętą i pustą twarzą uniosła nad głowę.

Karolina oddychała tak szybko, była tak przerażona, wyniszczona psychicznie i miała wzrok tak tłumiony przez łzy, że nie była pewna, czy ma znowu jakieś chore widzenie, czy też oczy tamtej rzeczywiście stały się nagle fosforyzująco żółte, z czarnymi gadzimi kreskami zamiast źrenic... Czy skóra na jej twarzy rzeczywiście naciągnęła się teraz na czaszce i pokryła się obrzydliwymi wrzodami i liszajami z trądem...

Le-szai! Le-szai! Le-szai! Le-szai! Le-szai! Le-szai! Le-szai! LE-SZAI! LE-SZAI! LE-SZAI!!! LE-SZAI!!! LE-SZAI...

Zamknęła oczy i próbowała odmówić w myślach jakąkolwiek modlitwę, ale nie potrafiła przywołać sobie teraz w umyśle choćby nawet jednego słowa. Jej głowę wypełniało bowiem tylko to krzyczane przez wszystkich tych fanatyków imię... Niezależnie od siebie powtarzała je sobie w podświadomości razem z nimi.

Wreszcie jej organizm nie wytrzymał i zemdląca.

Nie usłyszała więc, jak wszyscy nagle zamilkli...

Nie zobaczyła, jak Natalia – już wyglądając normalnie – zastyga bez ruchu w tej samej pozycji, z wciąż uniesionym nad głowę nożem. Że jej wcześniej obojętne i zimne oczy wypełnione są teraz bezgranicznym strachem... Co więcej – że patrzy nie na Karolinę, a przed siebie.

Nie poczuła więc tego zapachu spalenizny, którym momentalnie wypełniło się powietrze...

Nie widziała, jak w następnej sekundzie piękna dziewczyna o blond włosach boleśnie przekonuje się co do mocy uderzenia pana Andrzeja.

Nie poczuła językiem, jak ten pozbywa się z jej ust knebla.

Nie zarejestrowała, jak jest wyswobodzana z więzów i zarzucona na ramię mężczyzny, który w ogóle się nie zastanawiając, od razu zaczyna biec w kierunku drogi krajowej numer osiem.

W uznaniu dla rozmachu pomysłu Tomka Rogucki aż się lekko uśmiechnął.

Wyglądało na to, że plan się powiódł.

Ludzie na polanie nawet nie zauważyli, że ich ogłuszona niesamowicie silnym ciosem w twarz kapłanka leży właśnie bez świadomości na ziemi.

Zresztą... Pewnie nawet gdyby to dostrzegli, to i tak byłby to teraz ich najmniejszy problem. Całą leśną przestrzeń rozdarł przeraźliwy, złękniiony i pełen bóleści chór wrzasków. Wypełnił ją wszechobecny zamęt, rozgardiasz i panika. Gdzieniegdzie przebijał się też płacz co poniektórych... Milcząca, ale tylko dlatego, że zszokowana, reszta stała zaś sztywno bez ruchu. Pomimo różnych reakcji wszystkich ich łączyło za to jedno. Nie mogli uwierzyć w to, co właśnie odbywało się na ich oczach.

W to, że na ich oczach płonęło właśnie zielone królestwo ich pana...

Nie bardzo wiedząc, co robić, część Jaćwingów po prostu biegła ze swoimi pelerynami w rękach w stronę ognia, w nadziei, że zdołają go nimi choć trochę zdusić. Było to jednak nierealne... Pozostali, co bardziej przytomni, czym prędzej pobiegli do Białodębów po cokolwiek, co mogłoby im teraz pomóc. Gwar ich nerwowych głosów roznosił się echem po całym lesie...

Tomka to już jednak nie obchodziło.

Nie obchodziło go już nic oprócz tego, że tak jak to sobie wymyślił, żaden z tych obłąkanych fanatyków nie zajmował już się ani nim, ani Karoliną, ani panem Andrzejem. Gdy tylko zobaczył, że i Roguckiemu się powiodło, nie zastanawiał się ani chwili dłużej, tylko zaczął biec w tę samą stronę co on.

Gdy wkrótce dobiegł do asfaltowej drogi, z wyczerpania zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zdażył jedynie w błagalnym geście unieść ręce w stronę samochodu, który właśnie w tym momencie tamtędy jechał, i padł

jak długi na ziemię.

Stracił świadomość.

\*

Obudziły go jakieś głosy.

Nie był pewien, czy słyszał je naprawdę, czy też były jakimś echem, jakimś niematerialnym odbiciem rzeczy, które trawiły jego podświadomość. Jako że jeden z nich na pewno należał do Karoliny, gorąco pragnął, by była to jednak rzeczywistość. Drugi głos na pewno należał do Roguckiego. Trzeci zaś... Również brzmiał znajomo, choć nie potrafił sobie teraz przypomnieć, skąd go właściwie kojarzy. Dla ułatwienia sobie tego zadania otworzył oczy, a konkretnie to jedno, które nie było teraz zabandażowane.

Właścicielem trzeciego głosu okazał się doskonale im znajomy sierżant Roszkowski, policjant, którego poznali w środę. W największym skupieniu słuchał i notował to, co ma mu do przekazania roztrzęsiona i jękająca się Karolina. Zarówno ona, jak i Tomek leżeli w dwóch sąsiadujących ze sobą szpitalnych łóżkach. Byli w sali, gdzie oprócz nich i dwóch wymienionych mężczyzn nie było nikogo innego.

„Uratowani...” – pomyślał w duchu Tomek i zagłębiając się w przyjemnie chłodnej i rozkosznie miękkiej pościeli, z ulgą jeszcze raz zamknął oczy. Choć zaledwie dobę temu spał w nawet lepszej, wydawało mu się to teraz czymś równie odległym jak jego narodziny albo czasy przedszkolne.

Bolało go wszystko. Każda kosteczka, każdy mięsień, każdy fragment płuca. Nie mógł jednak pozbyć się pewnego osobliwego wrażenia, że nawet biorąc poprawkę na swój fizyczny stan, czuje się na swój sposób zupełnie inaczej niż podczas tego całego wielkanocnego dnia, który był już za nimi. Nie potrafił tego do końca wytłumaczyć. Chodziło o ogólną percepcję świata. Jak gdyby miał teraz zdjęte... hmm... zielone okulary. Było to jak uczucie wybudzenia się z koszmarnego snu albo wręcz wytrzeźwienia po upojeniu alkoholowym, z którego wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Wyraźnie było mu teraz jakoś tak... odmiennie, normalniej. Inaczej odbierał kolory, inaczej słyszał, inaczej czuł, był bardziej przytomny.

Wtedy jeszcze nie wiedział, jak duże będzie to miało dla nich znaczenie, i rzucił to po prostu na karb zmęczenia oraz faktu, że wszystko to, co dzisiaj przeżyli, było tak nieprawdopodobne, iż naprawdę ciężko to

było uznać za prawdziwe.

I to nawet jeżeli samemu się w tym uczestniczyło i na każdym centymetrze ciała czuło teraz tego skutki...

Wciąż jednak pamiętał, że coś mu w tym wszystkim nie grało. Jeden drobny, kluczowy szczegół. Mianowicie z jakiegoś powodu od pewnego momentu las znowu zachowywał się normalnie. Co prawda dalej był tym dzikim i gęstym zbiorem drzew, ale jednak najzwyczajniejszym na świecie, tak jak każdy inny mu podobny. Kończył się jak co dzień na obu przecinających go jezdniach. Nie działał już jak portal i nie przenosił ich w tajemniczy sposób w inne miejsca. Nie biegały już po nim demony pod postacią leśniczego, na wpół umarłe kobiety ani topielce, drogi w nim nie znikwały. Co więcej – dało się go nawet podpalić!

I zaczęło się to, gdy tylko dotarli do cmentarzyska Jaćwingów.

Z początku myślał, że to właśnie dlatego. Że zdołali osiągnąć granicę lasu, punkt, w którym się kończył. Jako że ten zachowywał się identycznie, nawet jak Tomek potem do niego wrócił, wyglądało na to, że chyba jednak się mylił.

Ale dlaczego...? I co w takim razie stało się z tym olbrzymem, który miał go zabić?

Jęknął. Jego zbolący mózg nie był jeszcze gotowy na aż tak ciężkie rozważania.

Roszkowski zakończył rozmowę z Karoliną i dopiero wtedy wszyscy zauważyli, że i Tomek odzyskał przytomność. Dziewczyna czym prędzej podniosła się ze swojego łóżka i przytuliła się do niego, silnie się trzęsąc. Skrzywił się od ponownego ukłucia na plecach, ale i tak jej bliskość była teraz dla niego jednym z najpiękniejszych uczuć w życiu. Nie mogło być inaczej, skoro zaledwie kilka minut wcześniej nie było nawet wiadomo, czy kiedykolwiek będzie jej w stanie jeszcze choćby dotknąć... Nawet martwej...

Roszkowski odchrząknął. Spojrzeli na niego.

– Rozumiem państwa i naprawdę nie chcę przerywać, ale niestety muszę wysłuchać również pana Tomka. Z tego, co pani mówiła, nie mamy czasu do stracenia.

Karolina pokiwała ze zrozumieniem głową i puściwszy chłopaka, ponownie położyła się na swoim łóżku. Wyraźnie było po niej widać, że wciąż nie może się uspokoić.

– Jest pan w ogóle w stanie rozmawiać? – Policjant spojrział z troską na Tomka.

– Tak... Miejmy to już za sobą. Musicie złapać tych skurwieli... O ile starczy dla nich wszystkich miejsca w kiciu...

Tomek, wspomagany dodatkowymi pytaniami Roszkowskiego, rozpoczął swoją długą opowieść. Choć przez stan, w którym aktualnie się znajdował, i ten wciąż dziwny, odmienny ogólny sposób postrzegania świata wszystkie dzisiejsze wspomnienia zacierały się w jego pamięci z zadziwiającą szybkością, nie pominął absolutnie niczego. Zbyt nie spiesząc, wyczerpująco i bardzo dokładnie oddał ze swojej perspektywy każdą pojedynczą minutę tego koszmarnego dnia. Nie oszczędził żadnego, choćby nawet najmniejszego przerażającego szczegółu. Parokrotnie, na przykład gdy na powrót przywoływał sobie w wyobraźni obrazy topielca albo tego czegoś, w co zamieniła się Anna Żukowska, po karku przechodziły mu ciarki. Wprawdzie podobnie jak w rozmowie z panem Andrzejem, zdawał sobie sprawę, że opowiada niestworzone rzeczy, więc Roszkowski i tak mu pewnie nie uwierzy, ale miał to w dupie. Wiedział, że mówi prawdę.

Wiedział...

Niemniej jednak, w miarę jak ich rozmowa posuwała się naprzód, zaczynała mu się coraz bardziej nie podobać. A konkretnie zaniepokoiły go dwie rzeczy.

Pierwszą z nich były pewne dziwne pytania policjanta o – z jego punktu widzenia – mało istotne dla sprawy detale. Mimo to odpowiadał na nie bardzo cierpliwie.

Drugą – fakt, że z każdą jego na nie odpowiedzią to z kolei Karolina miała coraz bardziej zaniepokojoną minę. Próbowwała nawet parę razy coś powiedzieć, ale policjant powstrzymywał ją wtedy ruchem ręki i pozwalał chłopakowi spokojnie mówić. Wreszcie, z racji, że bardzo zaciekawilo go, o co jej chodzi, przyspieszył trochę swój wywód, by go wreszcie zakończyć.

Na szpitalnej sali zapadła cisza. Oparty od samego początku o ścianę pan Andrzej przysłuchiwał się temu wszystkiemu gdzieś z boku, z twarzą niewyrażającą absolutnie żadnych emocji.

Roszkowski przejrzał pobieżnie swoje notatki, westchnął i w końcu się odezwał:

– Mamy problem...

Karolina spodziewała się z jego ust czegoś podobnego. Wstrzymała oddech.

– A co się panu nie podoba? – zapytał zaczepnie Tomek, choć i tak wiedział, o co mu zapewne chodzi. Był gotowy do dyskusji.

– Mianowicie to, że państwa zeznania w pewnych miejscach się różnią i to znacznie, i nie wiem, co o tym myśleć... A jeszcze biorąc pod uwagę, jak bardzo to wszystko, co opisujecie, jest, że się tak wyrażę, metafizyczne...

– Różnią?! Jak to różnią...? Kara...?

Dziewczyna patrzyła na niego z lekkim przestraszeniem w oczach. Ona także nie spodziewała się problemów z akurat tego powodu. Policjant wyrwał z notesu kilka kartek i rozłożył je obok siebie w dwóch rzędach na stojącym pod ścianą stoliku.

– Mówię o tym, że zeznania się nie pokrywają.

– Ale co konkretnie się nie pokrywa?!

– Spokojnie, panie Tomaszu – odparł stanowczo mężczyzna. – Już mówię. Zaraz to wszystko wyjaśnimy.

Usiadł i wziął w ręce dwie pierwsze kartki.

– Proszę mnie zrozumieć. Opowiedzieli mi państwo tak nieprawdopodobną historię, że wypada mi się najpierw upewnić, czy...

– Czy co?! Czy nie jesteśmy wariatami?! – wrzasnął Tomek.

– Spokojnie, panie Tomaszu – powtórzył facet. – Niekoniecznie. Ale do tego jeszcze dojdziemy. Na razie proszę mnie posłuchać. Nieprzypadkowo wypytywałem pana o szczegóły i zaraz się pan przekona dlaczego.

– Słucham, kurwa...

– Tomek... – szepnęła Karolina.

– Dobrze, przepraszam. Niech pan mówi.

– No więc powiedzieliście państwo, że wasz samochód w niewyjaśnionych okolicznościach utknął w lesie... Że droga zniknęła.

– Tak. A potem, gdy spotkałem pana Roguckiego, on zaprowadził mnie do niego i samochód stał normalnie na ścieżce, która znowu była tam tak jak zawsze. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale tak właśnie było.

– Dobrze, ale pomijam na razie fakt, że jak twierdzicie, ścieżka w niewyjaśniony sposób została w pewnym miejscu ucięta... Panie Tomku, powiedział pan, że pani Karolina wtedy nagle spanikowała i krzyczała coś



do pana, a pan jej odkrzyknął.

– Tak, bo tak było.

– Czy słyszał pan po swoim krzyku cokolwiek w lesie? – powtórzył zadane podczas pierwszego przesłuchania pytanie Roszkowski.

– Nie, już mówiłem.

– No to mamy pierwszą drobną niezgodność, bowiem pani Karolina twierdzi, że wtedy w lesie doskonale słyszalne było jakieś echo. Jakby przedrzeźniające pana krzyk. Więc jest pan pewien, że nic pan takiego nie słyszał?

– Nie... – odparł zgodnie z prawdą Tomek.

– Dobrze. – Roszkowski odłożył kartki i wziął kolejne.

– Twierdzi pan, że w pewnym momencie zaatakował was wilk.

– Dokładnie.

– I jest pan tego pewien?

– W stu procentach, przecież jak się na mnie rzucił, to ledwo zdążyłem odskoczyć! Ogromne, wściekłe bydlę. A potem ni stąd, ni zowąd pojawił się...

– To dziwne, bo pani Karolina mówiła o ogromnym dziku... – przerwał mu policjant. – No chyba te zwierzęta mimo wszystko nie są do siebie aż tak podobne, by je pomylić?

Tomek zamilkł i spojrzał na Karolinę.

– Kara... no wilk... Wielki, szary wilk to przecież...

Nie odpowiedziała, tylko spuściła wzrok. Też nic z tego nie rozumiała. Przecież mówiła wszystko zgodnie z prawdą, tak jak to widziała... Tak jak to przeżyła... A prawda była taka, że zaatakował ich dzik, i była tego pewna najbardziej na świecie.

– Idźmy dalej. – Policjant wziął do ręki kolejne kartki. Po ich liczbie można było sądzić, że będzie ich jeszcze czekać sporo niekoniecznie miłych niespodzianek.

– Mówił pan, że ten rzekomy demon...

– Rzekomy?!

– ...używał różnych głosów. Między innymi tej dziewczyny, Natalii.

– Tak.

– Pani Karolina nawet słowem się o tym nie zająknęła. Mówiła cały czas o jednym i tym samym głosie... Pani Karolino, czy ten dem... Czy też słyszała pani różne głosy?

– A nie przyszło panu do głowy, że ten kutas mógł sprawić, byśmy słyszeli różne? Na pewno było go na to stać! – Tomek coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Spodziewał się, że Roszkowski mu nie uwierzy, ale nie przypuszczał, że z akurat tak durnych powodów.

– Proszę się uspokoić. Staram się tylko pomóc – odparł spokojnie sierżant i wziął kolejne kartki. – Mówił pan, że w pewnym momencie zobaczyliście państwo w tym lesie jezdnię i zaczęliście do niej biec, ale odgradzały was od niej jakieś gęsto rosnące drzewa, które okazały się twarde jak stal.

– Tak. – Tym razem Tomek przezornie nie dodał nic od siebie. Czekał. Roszkowski nie dał się jednak zwieść.

– I co było potem?

– Jechał po niej mój samochód. Sam, bez kierowcy – odpowiedział ostrożnie.

– Tomek... – Karolinie zaczęły cieknać łzy. – Po tej drodze nie jechał żaden samochód...

– Co ty gadasz?! Jechał! No nasze audi jechało! Przecież widziałem! I ty też musiałaś widzieć! Jechało! Silnik warczał...

– No i teraz nasza wisienka na torcie, czyli to, kogo jeszcze spotkaliście w tym lesie. – Roszkowski nie próżnował, tylko drażył dalej. Dopiero teraz do nich dotarło, że najwyraźniej bawi się przednio, ale też i zastanawiało ich, do czego zmierza.

– Tak, spotkaliśmy naszą koleżankę Joannę Leszczyńską i jej kolegę Krzyśka – powiedział Tomek tonem, jakby był tego pewien nawet bardziej niż na przykład swojego imienia.

– Doprawdy? – Policjant już nawet nie silił się na ukrywanie w swoim głosie kpiącej nuty. – Tymczasem pani Karolina mówiła o dwójce włoskich autostopowiczów, których sam nawet miałem przyjemność spotkać, gdy państwa poznałem w środę i – co za zbieg okoliczności – których widziałem dzisiaj w okolicach południa na drodze między Suwałkami a Augustowem, jak znowu poszukiwali okazji, tym razem w przeciwną stronę. No chyba sam pan przyzna, że coś nam tutaj nie gra?

– To niemożliwe... – Tomek był tak ogłupiały, że aż na powrót zakręciło mu się w głowie. To było niemożliwe... Niemożliwe... Nawet dla tego demona, przy całym uznaniu dla jego zdolności... Naprawdę pamiętał to wszystko, tak jak powiedział. Nie mogło mu się zdawać i nic mu się nie

pomieszało! Przecież opowiedzieli im, że zaginęli w tamtym miejscu, gdzie była piątkowa impreza! Na południe od Suwałk – tak powiedzieli. A Włosi mieszkali przecież w Przełomce, na północ od tego miasta! Przecież nad Gałęzistym trzymał Aśkę w objęciach! Mało tego! Widział nawet ten jej charakterystyczny duży pieprzyk na karku! Jak to w takim razie możliwe, że...

Głowa rozboleła go ze zdwojoną siłą. Nie... To niemożliwe! Nie oszalał! Nie mógł oszaleć! Czuł się zupełnie zdrowy na umyśle. Był zupełnie zdrowy na umyśle! Był normalny! Co się tu działo, do cholery?!

Patrzył w milczeniu, jak Karolina płacze i z błagalnym wzrokiem kręci lekko głową. Jakby go prosząc, by już nic więcej nie mówił.

– To, kurwa, niemożliwe! No przecież to Krzysiek zginął w tym jeziorze, a Aśka...

– O! Tu się zeznania co do sposobu śmierci nawet pokrywają – znowu piejącym tonem przerwał mu Roszkowski. – To teraz proszę mi zatem powiedzieć jeszcze raz. Czy to jezioro, tak jak twierdzi pani Karolina, a jak nie twierdził z kolei pan, zmieniło kolor?

– Co ty nam, kurwa, sugerujesz?! – wrzasnął Tomek i aż się podniósł. Funkcjonariusz mimowolnie lekko drgnął. Bądź co bądź różnica rozmiarów między nimi była znaczna.

– Spokojnie. – Wyciągnął ręce po raz kolejny. – Chcę państwu pomóc, ale muszę też zachować zdrowy rozsądek. Dopuszczam do siebie wszystkie możliwe scenariusze...

– My nie oszaleliśmy... – załkała Karolina. – To... To... To to coś w tym lesie. To ono sprawiało, że widzieliśmy i słyszeliśmy różne rzeczy... To ono chce, byśmy byli niewiarygodni... Chciało nas doprowadzić do szaleństwa. Ale... Ale... Proszę nam uwierzyć... My naprawdę tego nie wymyśliliśmy... To nie są żadne nasze...

– Nie mówię, że wymyśliliście. Na pierwszy rzut oka wydajecie się państwo poczytalni i prawdomówni, ale to tak naprawdę mogą potwierdzić jedynie stosowne badania. A nawet jak nic nie wykażą, to i tak już nie takich ewentualnych aktorów jak wy w życiu przesłuchiwałem. Ale intuicja i tak mi podpowiada, że wytłumaczenie tego wszystkiego jest zupełnie inne.

– No to niech nas pan wreszcie oświeci i się nim z nami podzieli! – warknął z jadowitym przekąsem Tomek.

W odpowiedzi Roszkowski wstał, wyszedł bez słowa z zamkniętej sali

i wrócił z dyżurującym tej nocy lekarzem.

– Panie doktorze, oddaję panu głos – polecił zmęczonym tonem i usiadł w tym samym miejscu co poprzednio.

Zadbany, podchodzący lekko pod sześćdziesiątkę mężczyzna w białym fartuchu, o zmarszczonym czole, wyłusiał i z okularami na nosie, niósł ze sobą małą teczkę, którą otworzył i z której wyciągnął dwie kartki papieru.

– Mamy wyniki państwa badań krwi, które jak tylko państwa przywieziono, zostały zrobione na wniosek pana z policji. Na szczęście na dyżurze mamy też jednego diagnostę, który mógł je szybko sprawdzić.

– I? – niecierpliwiał się zirytowany Tomek.

– I chyba potwierdziło się to, co pan władza przypuszczał. Od razu zwróciliśmy uwagę na dość dużą zawartość środków odurzających w państwa krwi... U obydwójga.

– Że co proszę?

– Wykryliśmy u państwa dosyć spore ilości jakiejś dziwnej substancji, która jest pochodną DMT. Szczerze mówiąc, pierwszy raz się z czymś takim spotkałem...

– Co to, kurwa, jest DMT?!

– DMT, czyli dimetylotryptamina to z kolei pochodna tryptaminy, ale nie będę wdawał się już w niewątpliwie fascynujące chemiczne szczegóły. DMT to jedna z najsilniejszych, jak nie najsilniejsza, substancji psychoaktywnych na świecie, powodująca intensywne efekty wizualne, halucynacje słuchowe, ośpienie, dezorientację w terenie, mdłości, nierzadko nawet zaburzenie poczucia czasu...

– I – wszedł mu w słowo Roszkowski – jako że jest traktowana jak narkotyk, jest zakazana w Polsce.

Potężny kamień spadł prosto na dna ich żołądków idealnie w tym samym czasie. Zarówno Karolina, jak i Tomek jednocześnie sięgnęli rękami do określonych części swojego ciała – ona do policzka, gdzie pod grubym plastrem wciąż widniały trzy szramy po szponach pewnej powykręcanej ręki, on zaś – do swoich pleców.

– A więc pan, panie władzo – wycedził w końcu chłopak – sugeruje, że z Karoliną się zwyczajnie naćpaliśmy i...

– Nic nie sugeruję, ja tak twierdzę, bo dowód tego mamy na tych dwóch papierkach. Zbyt długo pracuję w tym biznesie i zbyt dużo takich historii się nasłuchałem, by od tego nie zacząć. Tak jak już mówiłem, muszę

dopuszczać różne scenariusze. A w pierwszej kolejności te najbardziej prawdopodobne. Obecność tej substancji w państwa krwi tłumaczyłaby bardzo wiarygodnie te wszystkie pokręcone wizje oraz fakt, że bardzo dużo zeznań się nie pokrywa... No i do tego przecież obydwójce twierdziliście państwo, że mieliście mdłości, czasem wymioty, zawroty głowy, chwile osłabienia, a niekiedy nawet jakieś nienaturalne iluminacje kolorów... Wszystko się zgadza. Jak dla mnie wszystko składa się teraz w jedną całość.

Karolina i Tomek milczeli. Dolna warga dziewczyny drżała, gdy ta ledwo powstrzymywała się od płaczu.

– To skąd, kurwa, w takim razie nasze rany?! Skąd w takim razie nasze obra...?! – Wawrentowicz złapał się ostatniej deski ratunku, ale Roszkowski znowu nie dał mu nawet dokończyć.

– Proszę ważyć słowa. Tu również mam wiele logicznych hipotez. Mówił pan chociażby, że został pan w tym lesie ciężko przez kogoś pobity. Że otrzymał również silny cios w plecy, więc dziwnym trafem pokrywa się to z pana aktualnym stanem. Co zaś się tyczy na przykład policzka pani Górskiej, to mówiła pani, że ta dziewczyna na tej polanie nacięła go pani nożem?

– Tak, ale to nie tak... – Karolina schowała twarz w dłoniach. Czowała się jak podczas czwartkowej kłótni z Tomkiem. Roszkowski nie miał racji, ale... jak mu to do cholery wytłumaczyć? Jak go przekonać?

– Proszę mnie zrozumieć. W pierwszej kolejności łapię przestępców, fizycznych zakapiorów, a dopiero w ostatniej rezultaty majaków będących w ekstazie umysłów...

Milczeli.

– To jak? Może jednak? Może jednak przyznalibyście się państwo? Eksperymenty? Czy może stałe praktyki? To jest dobry moment na powiedzenie prawdy. Może też wtedy, w środę, te ewolucje na drodze pana Tomka to też z tego powodu? Ja naprawdę wszystko rozumiem i nie potępiam. Ludzka rzecz. Ciekawość, smak wolności, młodość...

– Myślę jednak... – odezwał się Rogucki po raz pierwszy, od kiedy Tomek się obudził – ...że z racji faktu, iż ja również byłem świadkiem praktyk tej pogańskiej sekty, o której ci obydwójce mówili, i tu zupełnie przypadkowo ich zeznania się z kolei pokrywają, z dużą dozą prawdopodobieństwa może pan założyć, że przynajmniej ona była

stuprocentowo prawdziwa.

Jakby dopiero teraz przypominając sobie o jego obecności, Roszkowski spojrzął na pana Andrzeja z lekkim zaskoczeniem.

– No niby tak, ale...

– Co więcej, jakbym miał strzelać, zważywszy, że ci państwo mieszkali w domu tych szaleńców od samej środy, ci mieli wystarczająco dużo okazji, by im taki środek jakoś podać. Od tego bym zaczął.

Karolina znowu poczuła w stosunku do pana Andrzeja uczucie szczerej, niczym córki do ojca, miłości. Jeszcze nie zdążyła go przeprosić za całe to zamieszanie z posądzeniem go o próbę morderstwa. Do tego przecież zawdzięczała mu życie, a teraz to... Nazywając rzeczy po imieniu, ratował im dupę na każdym kroku.

– Możliwe, że tak było... Ale z jakiego powodu mieliby to robić? – Roszkowski chyba w końcu zdał sobie sprawę, że natrafił w gadce na godnego przeciwnika.

– Nie mam pojęcia i to nie moje zadanie, by to ustalić. Może to była część ich rytuału? W wielu pradawnych kulturach, a może nawet i obecnie w ramach obrządków odurzano i odurza się różnymi świństwami czy to kapłanów, czy to przyszłe ofiary.

– W XXI wieku...

– No więc, panie władzo... – przerwał mu ostro Rogucki – ...nie rozumiem, dlaczego w swoim przesłuchaniu skupia się pan na ich wizjach, a nie na najważniejszym, czyli tym, co wydarzyło się później i było prawdziwe, z czym, jak mam nadzieję, zgadzamy się wszyscy. Czy nie uważa pan, że póki co sprawę rzekomego używania przez tych młodych ludzi zakazanych środków odurzających wypadałoby odłożyć trochę na bok, a zająć się grupą blisko kilkuset osób, które, na co wiele wskazuje, corocznie porywają niewinnych turystów, by ich potem z zimną krwią zabijać w jakimś swoim chorym rytuale?! – wrzasnął.

– Panie... – policjant zerknął do swojego notesu – Rogucki. Bądźmy poważni i nie dajmy się zwariować. To niedorzeczne. Naprawdę pan wierzy, że żyją wśród nas jacyś ortodoksyjni potomkowie Jaćwingów, którzy czczą pogańskiego demona... – jak mu tam było?

– Leszy! – warknął Tomek.

– No więc właśnie... I jeszcze składają mu ludzi w ofierze? Przecież to...

– Nie, ja w to nie wierzę. JA TO PO PROSTU WIEM! Wiem, bo sam na własne oczy to widziałem i gdybym nie widział, to pewnie podobnie jak pan miałbym wątpliwości, bo nie da się ukryć, brzmi to wariacko i to nawet nie podlega dyskusji. Ale chodzi mi teraz o coś innego. O ile wydarzenia i wizje, które od rana przeżyli w lesie, albo te sprzeczności w zeznaniach rzeczywiście można próbować tłumaczyć obecnością w ich organizmach narkotyku, o tyle w kwestii chodzących sobie jakby nigdy nic po świecie morderców, a najpewniej zarazem posiadaczy, nie wiem, może nawet producentów tych substancji, twoim zasranym obowiązkiem jest zajęcie się tą sprawą w pierwszej kolejności!

Ani Karolina, ani Tomek nie dziwili się już nienaturalnemu dla Roguckiego napadowi szału. Czuli bowiem dokładnie to samo. On jednak w przeciwieństwie do nich potrafił to wyrazić słowami.

– Nie wspominając już, że najprawdopodobniej jeden z nich poprzedniej nocy przekroczył bez mojej zgody i wiedzy próg mojego domu nad Wigrami i za pomocą pena do insuliny pana Tomka próbował zaszkodzić mu już wcześniej. Choć to wszystko zgłosiłem, nie raczyliście wtedy nawet ruszyć tyłków, aby chociaż zobaczyć ślady. Gdybyście to zrobili, to może by nawet do tego wszystkiego nie doszło i nie siedziałby pan tu teraz jak debil, tylko przesłuchiwałby osoby, które powinien. Jeżeli zatem to, co tych dwoje śmiertelnie przerażonych ludzi dzisiaj przeżyło i o czym opowiedziało, nie jest dobrym powodem, by się tym wreszcie zająć, to naprawdę nie wiem, co mogłoby nim być! Niech pan spojrzy chociażby, jak ten chłopak jest pobity, na litość boską!

– Dobrze! – Roszkowski poddał się i machnął ręką w zrezygnowanym geście. – Dobrze. Czy możemy się zatem umówić, że wstępnie przyjmę wersję o sekcie, na którą i tak poza waszymi słowami nie mamy na razie żadnych dowodów ale jednocześnie, bądźmy poważni, kwestię pogańskich demonów, czy też błędzenia po niekończącym się lesie wytłumaczymy halucynacjami i zaburzeniem percepcji w wyniku narkotyku we krwi, na którego obecność mamy z kolei niezbity dowód? – Wskazał na kartki, trzymane przez wciąż obecnego przy tej wymianie zdań doktora.

– Jak dla mnie może być. Sam uważam, że taka wersja jest prawdziwa. Oczywiście pod warunkiem, że założymy, iż to świństwo podano im bez ich zgody i wiedzy – odparł Rogucki.

– Do tego jeszcze dojdziemy i na wyjaśnienie tego przyjdzie czas.

Karolina nagle coś sobie przypomniała.

– A czy ten znak, który narysowała mi na czole, nie jest dowodem?

Roszkowski spojrzał na nią dziwnie. Wzrok Tomka i pana Andrzeja również jej się nie podobał.

– Nie ma pani na czole żadnego znaku... – odpowiedział z lekkim już zmęczeniem policjant.

Bardzo dokładnie zbadła ręką całą skórę nad swoimi oczami.

Cholera, czy on zawsze musi mieć rację...?

Pan Andrzej westchnął z niecierpliwością.

– A może to też była jakaś jej wizja? Chryste, przypieprza się pan do takich szczegółów...

– To nie ja się przypieprzam, pani Karolina sama rozpoczęła ten temat... – odparł spokojnie i nim Rogucki zdążył mu cokolwiek odpowiedzieć, znowu powstrzymał go ruchem ręki. – Dobra, nie ma co się o to teraz spierać. Nie mam na to czasu – dodał, po czym powtórnie zwrócił się do leżących na łózkach:

– No więc mówili państwo, że gdzie konkretnie leży ta wioska?

– W lesie... Niedaleko cmentarzyska Jaćwingów. Na północ od Suwałk.

– Karolina miała już szczerze dość tej rozmowy i jedyne, o czym teraz marzyła, to by się po prostu przespać. A już tym bardziej, jak pomyślała o wszystkich tych koniecznych procedurach, jakie miały ich jeszcze w związku z tą sprawą niechybnie czekać...

Państwo prawa... Śmiechu warte.

– A konkretnie?

– Jezu, człowieku, jedziesz prosto przed siebie obok tej pieprzonej polany z kurhanami, aż dojedziesz, i tyle! – warknął Tomek.

– Dobra. Nie kojarzę co prawda, by cokolwiek tam było, ale, tak jak szanowny pan – skinął do Roguckiego – mówi, moim obowiązkiem jest to natychmiast sprawdzić, co niniejszym uczynię. Dość na dzisiaj. Proszę się przespać. Już wystarczająco dużo mieli państwo wrażeń. Może rzeczywiście przesłuchanie świeżo po tych wydarzeniach, jakiegokolwiek by one były, prawdziwe albo nie, to był zły pomysł. Powinienem był to odłożyć na jutro. Przepraszam.

– Nie ma za co. – Karolina cieszyła się w duchu, że ich dzisiejsze spotkanie zakończy się mimo wszystko względnie uprzejmie. W końcu, nawet pomimo jego sceptycyzmu, który w obliczu tego, co opowiadali, ani



trochę nie powinien dziwić, byli po tej samej stronie.

– I ja przepraszam za swoje zachowanie. Niech pan jedzie i... uważa na siebie – mruknął Tomek.

Roszkowski uśmiechnął się i dotknął czule swojej przypiętej do pasa giwery.

– O to niech się pan nie martwi. Zawsze w gotowości. OK, jadę. Jak tylko stamtąd wrócę, to natychmiast dam państwu znać, co tam znalazłem. Dobranoc. – Zasalutował i wyszedł z sali.

„O ile wrócisz...” – pomyślał chłopak.

\*

– Jak się państwo czujecie? – zapytał lekarz.

– Obolali i przerażeni, ale będziemy żyć. Dziękuję – odrzekła Karolina.

– Proszę się przespać.

– Panie doktorze, z tym narkotykiem to naprawdę nie ściema?! – wyrwało się Tomkowi. Mężczyzna spojrział na niego poważnie i nawet z lekką namiastką surowości.

– Tak. A teraz proszę mi powiedzieć szczerze, bawiliście się nim państwo? Proszę powiedzieć prawdę. Nie będę was osądzać. To nie moja działka.

– Nie! W życiu!

– Może to i szkoda w takim razie, bo w dalszym ciągu zachodzę w głowę, skąd się to cholerstwo wzięło, i liczyłem, że mi powiecie... Tak jak mówiłem, sam do końca nie wiem, co to jest. Jest to coś bardzo podobnego do DMT, ale pewne elementy składu chemicznego się różnią... Naprawdę nic państwo nie zauważyli? Nie czujecie teraz różnicy?

– Tak... Muszę przyznać, że czuję się teraz trochę inaczej niż podczas tego dnia... Jakbym... Nie wiem... Nagle odzyskał jasność umysłu, a wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że coś jest nie tak. Też tak masz? – zwrócił się do dziewczyny Tomek.

Karolina skinęła głową. Jak tylko wybudziła się w szpitalu, odniosła dokładnie to samo wrażenie, co on.

– Miejmy zatem nadzieję, że nie będziecie mieć państwo przez to żadnych kłopotów... – Lekarz zamknął teczkę. – Co złego, to nie ja. Dobranoc. Proszę wypocząć – dodał i wyszedł.

Tomek patrzył tępo w sufit.

Jaja... Takiego rozwiązania tej sprawy to się nie spodziewał...

A przecież w sumie powinien! Powinien, jeżeli chciał to wszystko jakkolwiek logicznie wytłumaczyć. Narkotyk. Środek odurzający... Jakieś gówno działające jak tabletkę gwałtu, po przyjęciu której też się nawet nie wie, że coś jest nie tak. Ale jednocześnie, o dziwo, pozwalające na w miarę normalne funkcjonowanie, oczywiście z pominięciem występowania tych wszystkich okropieństw... Rogucki miał rację – mieli wiele okazji, by im go podać. Na przykład podczas śniadania we czwartek! Albo dołożyli im go do ich jedzenia, które od piątku leżało w lodówce... A może w jakiś jeszcze inny sposób... Kto wie, ile razy byli w ten sposób stopniowo truci. Masakra.

No właśnie, tylko po co?

„Kurrrwa, moja głowa... Nie... Dość już tych pytań na dzisiaj...”

Gwoli ścisłości, pomimo że wydarł się na Roszkowskiego za to, iż ten nie chciał im uwierzyć, z każdą mijającą sekundą takie wytłumaczenie wszystkich leśnych wydarzeń z tego dnia zaczynało mu się coraz bardziej podobać, a niepokój ulatywał z niego coraz szybciej.

Bo choć nieprawdopodobne... było racjonalne.

Rzeczywiste. Logiczne. Z dowodem czarno na białym. Czyli w jego stylu... I to pomimo bólu pleców, który mógł stanowić pewną przesłankę do skłonienia się ku drugiej wersji. Znowu okazało się, że rzekome zjawiska paranormalne, których byli świadkami, da się normalnie, naukowo wyjaśnić. Co prawda w maksymalnie pokręcony sposób, ale jednak... Aż sam zaczynał siebie w myślach pytać, dlaczego rozwiązanie to nie przyszło mu do głowy już wtedy, na samym początku, by po chwili przypomnieć sobie, że właśnie w tamtym czasie był pod wpływem tej substancji i że w swoim mniemaniu czuł się zupełnie normalnie...

Nie pamiętał już nawet jej nazwy...

Niemal już zupełnie rozluźniony, choć z wciąż drobną dawką adrenaliny we krwi, zagłębił się w pościeli i zaczął stopniowo odpływać.

– Panie Andrzeju... Dziękujemy... Już po raz kolejny nas pan uratował... – powiedziała ze szczerą wdzięcznością Karolina tuż przed tym, gdy po raz kolejny załamał jej się głos. Przeżyła tego dnia już chyba wszystkie możliwe emocje, jakie tylko ludzka świadomość może wykształcić.

Rogucki się uśmiechnął.

– Nie ma za co.

– I naprawdę przepraszam, że wzięłam pana za mordercę...

– Nie musi pani przepraszać. Naprawdę. Po tym, co opowiedział mi pan Tomek, wcale się nie dziwię, że tak pani pomyślała. Teraz to już jest jednak nieważne i nie wracajmy do tego. Grunt, że jesteście już państwo bezpieczni. Miejmy nadzieję, że nasz wymiar sprawiedliwości odpowiednio się tymi delikwentami zajmie.

Po chwili pauzy, w której ziewnął i po której zdał chyba sobie wreszcie sprawę z godziny, dodał:

– Dobrze, nie będę już państwa dłużej niepokoił. Proszę odpocząć i się wyspać. Należy się to państwu. Jutro także postaram się być w pobliżu i w miarę możliwości pomagać. Życzę dobrej nocy i do zobaczenia!

Gdy wychodził, Tomek przypomniał sobie o czymś jeszcze i momentalnie się rozbudził.

– Panie Andrzeju!

Mężczyzna się zatrzymał.

– Tak?

– Obiecał mi pan tam, w lesie, że opowie mi całą historię związaną z pana wyjściem z domu poprzedniej nocy.

Rogucki patrzył na niego przez chwilę beznamiętnym wzrokiem.

– Czy to aby na pewno odpowiedni moment? Nie lepiej, byście się państwo przespali?

– Odpowiedni. Niezależnie, jak to się skończy, i tak mam zamiar spierniczyć z tego miasta, gdzie pieprz rośnie, jak tylko nas wypuszczą, więc...

– Dobrze – zawrócił i usiadł na zajmowanym poprzednio przez Roszkowskiego krześle.

Na Karolinę także podziałało to jak dobra kawa, gdyż to pytanie bez odpowiedzi, na które mieli ją właśnie poznać, kompletnie wyleciało jej z głowy. Pan Andrzej przez moment patrzył w skupieniu na podłogę, bawiąc się przy tym swoimi dłońmi. Wreszcie się odezwał:

– No więc... Jak wiecie państwo, jestem wdowcem. Widzieliście państwo na telefonie zdjęcie mojej zmarłej żony. Pomimo że powiedziałem „zmarłej”, tak naprawdę nie wiem, czy rzeczywiście nie żyje. A to dlatego, że po tym, jak utopiła się w Wigrach, gdy zaskoczyła nas na łódce nawałnica, jej ciała nigdy nie znaleziono. Byłem odwrócony do niej tyłem, gdy to się stało. Nagły podmuch wiatru sprawił, że najprawdopodobniej

bom z całej siły uderzył ją w głowę. Jako że od razu uderzyły nas też wysokie fale, a po niebie rozniósł się niesamowicie głośny grzmot, nie usłyszałem, jak wpada do wody, i dopiero po kilkunastu sekundach zdałem sobie sprawę, co się dzieje. Oczywiście od razu rzuciłem się do jeziora i zanurkowałem tak głęboko, jak tylko mogłem, ale było już za późno. Nie mogłem jej znaleźć.

Pan Andrzej przerwał, a Tomek żałował swojej nachalnej ciekawości już od pierwszego jego zdania. Rogucki znowu wyglądał i zachowywał się jak nie on. Na wspomnienie tych bolesnych chwil jego oczy pokryły się łzami i spuścił głowę.

– Bardzo to przeżyłem, bo byliśmy ze sobą niesamowicie zżyci. Iza to była cudowna kobieta. Inteligentna, wygadana, wesoła, atrakcyjna... Była moim ideałem, bo dawała też bardzo wiele od siebie. Razem z naszymi dwiema córami tworzyliśmy naprawdę szczęśliwą rodzinę i nie powinno państwa dziwić, że nie mogłem się z jej stratą pogodzić. Z racji, że nasze bliźniaczki akurat szły na studia, można było powiedzieć, że po jej odejściu zostałem na tym świecie zupełnie sam... Myślę, że warto w tym miejscu dodać, że właśnie przez to wydarzenie utraciłem wiarę w Boga... Nie mogłem mu wybaczyć, że zrobił mi coś takiego. Ani ona, ani ja, nikt z nas na to nie zasłużył. Nienawidziłem go za to. Bo choć mówi się, że wedle jego zasad ludzie mają wolną wolę, to jednak na takie rzeczy jak zesłanie burzy na jezioro nie mają wpływu. Wyrzucałem mu to cały czas. Byłem niesamowicie przybity, załamany... Nie było w tym żadnej sprawiedliwości. Wynagradzania za dobre i karania za złe. Z czasem... Jak to śpiewało Stare Dobre Małżeństwo, „czas płynie i zabija rany, tylko dajcie mu czas”... Z czasem moja postawa zmieniła się na agnostyczną. Po prostu nie zwracałem sobie nim głowy. Nie obchodziło i nie obchodzi mnie już, czy on istnieje, czy nie. Nigdy go w moim życiu nie było, a jeżeli ma mnie po nim osądzać, to chyba nic poważnego nie znajdzie, bo zawsze starałem się być dobrym człowiekiem...

– Panie Andrzeju, może rzeczywiście... – zaczęła Karolina, ale przerwał jej ruchem ręki.

– Nie, jak już zacząłem, to dokończę. W końcu obiecałem.

Wstał i podszedł do okna, za którym wciąż panowała ciemność nocy.

– Pewnej nocy wydarzyło się coś dziwnego. Nie mogę być nawet pewien, czy to był sen, czy też może jednak działo się to naprawdę, ale nie

ma to teraz dla mnie żadnego znaczenia. Grunt, że się stało. Pewnej nocy, gdy nocowałem sam w znanym wam już domku nad Wigrami, obudziłem się znienacka i zobaczyłem ją w ciemności. Stała na wprost ode mnie, tuż nad moim łóżkiem... Księżyc oświetlał wtedy pokój, więc mogłem zobaczyć, jak wygląda, i ją rozpoznać, ale wierzcie mi, nie był to przyjemny widok. Był tak przerażający, że nigdy go nie zapomnę. Moja żona Iza, która wyglądała jak żywcem wyjęty z jakiegoś horroru, powstała z martwych pieprzony topielec, jakby nigdy nic stała sobie nad moim łóżkiem.

Gdy Rogucki drżącym głosem kontynuował swoją opowieść, zarówno Karolina, jak i Tomek wstrzymali oddechy.

– Zamarłem w tym swoim łóżku, ale ona uśmiechnęła się tylko i swoim własnym, choć obrzydliwie bulgotliwym głosem powiedziała mi wtedy, żebym się nie martwił, że jest w porządku, że on zapewnił jej nowe życie wieczne. Kiedy odzyskałem wtedy zdolność mówienia i zapytałem, o kim mówi, odpowiedziała mi tylko, że wszystko mi wyjaśni, ale nie teraz, że ma niewiele czasu, że on dał jej tylko moment. A potem dodała, bym następnej nocy o trzeciej nad ranem przyszedł na plażę w Złotych Piaskach, a wtedy znowu się spotkamy i ona mi wszystko opowie. Gdy tylko to powiedziała, odwróciła się i wyszła z pokoju. Chciałem ją gonić, ale... Nie wiem, nie potrafię tego wyjaśnić. Nie mogłem zrobić nawet ruchu i wciąż leżałem pod kołdrą jak skamieniały. Po jakimś czasie wreszcie zasnęłam i obudziłem się dopiero rano. Gdy tylko wstałem, od razu spojrzałem na podłogę i szukałem na niej jakichkolwiek dowodów, że rzeczywiście mnie tej nocy odwiedziła. Na panelach nie znalazłem jednak absolutnie nic... Choćby nawet najmniejszej grudki błota lub kropli wody. Tak samo w drodze z tamtego pokoju do drzwi.

Wciąż odwrócony do nich plecami pan Andrzej wyjął z kieszeni chusteczkę i dyskretnie przetarł nią oczy.

– Nie zapominałem jednak o tym, co mi powiedziała. Byłem zdesperowany. Pełen bólu. Przeraźliwie samotny i przybity po jej stracie. Marzyłem, by zobaczyć ją jeszcze raz. Choćby na ten jeden jedyny krótki moment i to nawet jeżeli miałyby być jeszcze bardziej szkaradna niż wtedy. Już nawet nie chodziło o to, by cokolwiek mi wyjaśniała, bo... szczerze? Nie obchodziło mnie to. Ważniejsza była ta możliwość ponownego spotkania się z nią, porozmawiania... Potrzebowałem... I powiem szczerze,

nadal potrzebuję tego jak chyba niczego innego na tym świecie. W oczekiwaniu na tę upragnioną trzecią w nocy przez cały tamten dzień chodziłem jak na szpilkach. W końcu nadeszła i zgodnie z instrukcją poszedłem na Złote Piaski.

Karolina miała ogromną ochotę zapytać, co wydarzyło się dalej, ale na szczęście w porę ugryzła się w język. Werbalne wyartykułowanie tego pytania było jednak zbędne, bo pan Andrzej i tak jej w końcu na nie odpowiedział.

– I nic. Nie pojawiła się. Siedziałem jak głupi na tej plaży aż do samego rana, ale nic z tego. Jakże byłem wtedy rozczarowany! Rozczarowany i jednocześnie wściekły. Byłem na siebie zły, że w ogóle dałem się wciągnąć w tę gierkę ze swoją wyobraźnią i sennymi fantazjami. Że dałem się na swój sposób opętać swojej nadziei, która kontrolowała wszystko to, co tamtego dnia robiłem. Ale co jest w tym wszystkim najbardziej idiotyczne... Od tamtej pory, czyli od jakichś trzech lat, chodzę tam co noc. Sam nie wiem dlaczego, zdaję sobie sprawę, że to głupie, bezcelowe, ale... idę. Nie wiem, może gdzieś tam w głębi wciąż tli się we mnie jakaś iskierka ufności, że mimo wszystko naprawdę spotkam ją jeszcze raz. Tak jak mi obiecała... Zawsze dotrzymywała dawanych mi obietnic... Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by było inaczej...

Gdy Tomek to potem wspominał, nie mógł uwierzyć, jak mógł w następnej chwili wypowiedzieć pewne zdanie. Zdanie, które w tych okolicznościach zajmowało pierwsze miejsce wśród wszystkich najgłupszych, jakie kiedykolwiek w życiu wymówił. Z całą pewnością. I to z zerową szansą istnienia jakiegokolwiek innego, by je z tego zaszczytnego szczytu podium ewentualnie w przyszłości zepchnąć.

A już tym bardziej w obliczu tego, co miało wydarzyć się później...

– Panie Andrzeju, taki inteligentny, czytany, twardo stąpający po ziemi facet jak pan i naprawdę uwierzył pan, że...?

Przerwał, gdy Rogucki błyskawicznie się do niego odwrócił. Tak pełnego furii wyrazu twarzy nie miał nawet wtedy, kiedy na ich oczach soczyście rugał sierżanta Roszkowskiego. Tym bardziej złowieszczo zabrzmiał więc ten w miarę spokojny ton, z którym odpowiedział chłopakowi:

– Z całym szacunkiem, panie Tomaszu, ale jeszcze przed chwilą sam był pan gotów uwierzyć, że naprawdę istnieje pogański demon zwany

Leszym... Demon, który – nie wiem nawet, czy pan o tym wiedział – w bajkach dla dzieci jest zwany po prostu zgrabnie dziadem borowym albo Borutą. No chyba sam pan przyzna, że naraził się pan na śmieszność?

Po zdaniu sobie sprawy ze swojej głupoty Tomek próbował szybko znaleźć w myślach cokolwiek, co pomogłoby mu teraz załagodzić sytuację, ale ani się obejrżeli, jak mężczyzna, rzuciwszy w ich stronę tylko krótkie „dobranoc”, wyszedł z pomieszczenia. Chłopak spojrzał na Karolinę. Dostrzegłszy jej wiele mówiący wzrok (a konkretnie mówiący: „brawo, kurwa!”), westchnął ciężko i przewrócił się na bok. Próbując zasnąć, walcząc z wyrzutami sumienia i wymawiając bezgłośnie „przepraszam”, zamknął oczy.

\*

Będący w niesamowicie podłym nastroju Andrzej Rogucki pożegnał się z ochroniarzami szpitala i wyszedł przez automatyczne drzwi na zewnątrz. Całą przestrzeń wypełniała cisza wciąż śpiących Suwałk. Była o tyle irytująca, że umożliwiała mu bezproblemowe skupienie się na jego myślach, o których... nie chciał myśleć.

Jezu... Jak on za nią tęsknił... Zupełnie jakby na nowo przeżył teraz jej śmierć... Ledwo się powstrzymywał, by nie wybuchnąć płaczem.

Nie był już na tego chłopaka zły. Był to tylko chwilowy wybuch, którego bardzo teraz żałował. Na ogół nad sobą panował, ale po tak wypełnionej wrażeniami nocy i dodatkowym, nadprogramowym rozdrapaniu starych ran nie należało się dziwić, że emocje musiały w końcu znaleźć gdzieś swoje ujście. Pech chciał, że stało się to akurat w tamtym feralnym momencie. Nie żeby próbował się usprawiedliwiać, ale był tylko człowiekiem i nie wszystko mogło spływać po nim jak woda po kacze. Stało się, trudno, ale tak czy inaczej nic go nie tłumaczyło. Zaczęło mu się nawet robić trochę głupio, ale nie miał jeszcze na tyle odwagi, by tam do nich wrócić i przeprosić za swoje zachowanie. Obiecał sobie, że zrobi to jutro.

Problem ciężaru w żołądku wciąż jednak pozostawał nierozwiązany. Uznał, że najlepiej będzie, jak się z tym teraz po prostu prześpi. Przypomniał sobie, że tuż po wyjściu policjanta ziewał, i na wspomnienie o tym zrobił to po raz kolejny.

Gdy powoli ruszył przez parking w kierunku swojego bmw, usłyszał, jak ktoś go woła.

– Panie Rogucki!

Odwrócił się i zobaczył sierżanta Roszkowskiego, który kroczył pospiesznie w jego stronę.

– Już pan wrócił?

– Nie, jeszcze tam nawet nie dotarłem, bo w połowie drogi, cholera jasna, przypomniałem sobie jeszcze kilka kluczowych pytań, które mam do pana odnośnie do tej sprawy, a których nie zadałem w szpitalu. Dobrze, że pana złapałem, bo to bardzo ważne.

– Mianowicie?

– Wolałbym, byśmy nie rozmawiali tak na zewnątrz. Czy mogę pana prosić, byśmy poszli do mnie do radiowozu? Tak będzie dyskretniej.

– Jasne, rozumiem.

Gdy szli we dwójkę do zaparkowanego na skraju parkingu policyjnego forda, Rogucki niepostrzeżenie sięgnął do kieszeni.

\*

Coś sprawiło, że Karolina się obudziła. Nie wiedziała, co to było. Czy jakiś odgłos, czy niespokojny ruch śpiącego Tomka, czy też może sen, którego nie pamiętała.

Czy może leśna ściółka, na której leżała...

Anna Żukowska zwisała nad nią przyklejona do sufitu szpitalnej sali. Wykrzywiała tę swoją obrzydliwie bladą, pooraną granatowymi kreskami gębę w pełnym nienawiści, drapieżnym grymasie... Wtem rozwarła też swoje okropnie zniekształcone, zakończone ostrymi szponami dłonie... Po czym rzuciła się na nią jak dziki zwierz...

– AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!

– Co... Co jest...? – Tomek obudził się i natychmiast doskoczył do jej łóżka.

– Jezu, znowu mi się coś śniło... – Karolina usiadła i czym prędzej się do niego przytuliła. Wiedział, że jego bliskości tak naprawdę nigdy nie będzie jej teraz dość. Pod wpływem dotyku jej przeraźliwie dygoczącego ciała, po tym, jak niczym bezbronne dziecko ścisnęła z całej siły jego klatkę piersiową, w nagłym impulsie podjął decyzję i wstał.

– Jedziemy stąd!

– Co?

– Wypisujemy się na żądanie ze szpitala i wyjeżdżamy. Nie zamierzam tu spędzić ani chwili dłużej! Dość tego! Wracamy do Warszawy! Choćby



piechotą!

Wstał i żwawo wyszedł z sali, po czym już po chwili wrócił ze szczerze zaskoczonym lekarzem, który dał im do podpisania historię choroby oraz specjalne oświadczenie, że opuszczają szpital na własną odpowiedzialność i są poinformowani o zagrożeniach w związku z tą decyzją (ale też, zważywszy na ich niewymagający skomplikowanej hospitalizacji stan, jakoś szczególnie nie naciskał, by zostali). Po dopełnieniu wszystkich formalności i ubraniu się w swoje stare, zniszczone, brudne ubrania, opuścili salę. Windami dotarli na parter szpitala, po czym, gdy nad Suwałkami zaczęły pokazywać się już pierwsze promienie wschodzącego słońca, wyszli na zewnątrz.

Karolina stanęła na szczycie schodów i odetchnęła pełną piersią, a rześkie powietrze poranka bardzo jej pomogło. Choć dalej była bardzo zmęczona i – z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę – niesamowicie głodna (nie jedli nic od czasu tamtego znalezionego w samochodzie Żukowskiej posiłku – czy on też był halucynacją?!), to jednak podzielała zdanie Tomka. Pomysł natychmiastowego wymeldowania się z tego miejsca był rewelacyjny i tak naprawdę tylko faktyczna jego realizacja mogła ją w stu procentach uspokoić.

Tutaj po prostu... Śmierć i atmosfera zagrożenia unosiły się w powietrzu.

– Pani Karolino! Panie Tomku! – rozległo się niespodziewanie z nieokreślonej strony. Po chwili dostrzegli, że przez parking idzie w ich kierunku sierżant Roszkowski. Wyglądał żałośnie – niewyspany, zmęczony, z nieuporządkowaną resztką włosów, które jeszcze posiadał, workami pod oczami oraz plamami potu pod pachami. Widać było, że i jego ta intensywna noc mocno doświadczyła.

– Dzień dobry. – Zasalutował im.

– Dzień dobry. Nieźle pan wygląda. Jakieś ciekawe odkrycia lub przygody? – zapytał Tomek lekko kpiącym tonem.

– Eeeem... No... Jakby to powiedzieć... Mamy mały problem...

– Jaki znowu?

– Byłem w tym lesie. Pojechałem, zgodnie z państwa instrukcjami, ale... No niech mnie szlag trafi, ale... tam nie ma żadnej wioski! Nic, tylko las.

– Jak to nie ma? Przecież...

– No tak jak mówię. Jechałem przez cały las przed siebie i wyjechałem po prostu z drugiej strony. Żadnej polany z domami, o której mówiliście...

Kiedy mówił, Karolinę automatycznie uderzyła pewna myśl. Zapaliła się momentalnie w jej głowie jak miniaturowa lampka, jak przestająca odbijać się na czerepie kuleczka z bajki o pomysłowym Dobromirze. Jako osoba wierząca niesamowicie poważnie traktowała pewne znaki. Znaki, które mogły oznaczać, że Bóg chce jej coś powiedzieć, zwrócić na coś uwagę. Wierzyła też w pewne prawidłowości. A było już tych przesłanek zdecydowanie zbyt dużo, by w dalszym ciągu mówić o przypadku.

Aśka, Krzysiek, pan Andrzej, teraz on... Ba, a wcześniej nawet Google! Choć i ona (ale gwoli ścisłości nieco wolniej i ostrożniej niż Tomek) z każdą mijającą minutą coraz śmieiej dopuszczała do siebie wytłumaczenie ich wczorajszych przeżyć tym narkotykiem, to jednak w kwestii tego, co działo się jeszcze wcześniej, wyraźnie coś jej tutaj nie grało. Jeden drobny szczegół, na który dopiero teraz zwróciła uwagę.

Czemu absolutnie nikt nigdy nie słyszał o Białodębach? I to nawet mieszkańcy Suwałk? Bo taka nazwa najpewniej nie istnieje. To jasne, oszukiwali ich.

Ale nieznamość nazwy to jedno, a chroniczne niekojarzenie nawet istnienia i umiejscowienia tej wioski to drugie. I to niekojarzenie nawet przez serwisy internetowe... Nikt oprócz nich o niej nigdy nie słyszał, nikt oprócz nich jej nigdy nie widział... Zupełnie jakby jej fizycznie na tej przeklętej polanie nigdy nie było. Zupełnie jakby TEJ POLANY nigdy w tym lesie nie było! Czyżby więc...

Rany boskie...

Czyżby więc za każdym razem, gdy tylko jechali do Białodębów lub z nich wyjeżdżali, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, przenosili się w czasoprzestrzeni? Tunel czasoprzestrzenny otwarty jedynie dla wybranych? Albo (zadrzała) otwarty jedynie wtedy, gdy coś, co go kontroluje, tego zechce? Tajne przejście do jakiejś wioski, która w rzeczywistości leży zupełnie gdzie indziej? Dlaczego jak w środe gonił ich dzik, to nawet nie zauważyli, kiedy zniknął? Zrezygnował? Czy może po prostu nie mógł tam wejść...? Brzmiało to wszystko kompletnie nieprawdopodobnie, ale... Skoro mogło być tak z Gałęzistym, to czemu nie z... Ale zaraz... Gałęziste mogło być przecież samo w sobie narkotyczną iluzją... Jezu Chryste, jakie to wszystko popieprzone!

A gdyby tak założyć, że jednak nie wszystkie niewyjaśnione rzeczy, jakie widzieli i słyszeli, wzięły się z powodu tego gówna w ich krwi...? A te jej wizje? Czwartek? Piątek? Sobota? Już wtedy była pod wpływem tej substancji? A co jeżeli...

Kurwa mać...

Absolutnie nie wiedziała już, co jest prawdą, a co nie... Miała milion myśli na sekundę, a w głowie jeden wielki mętlik. Niczego nie była już pewna, nawet tego, czy dom Prusów, Natalia i jej babcia rzeczywiście istnieją. Czy istnieje reszta domów. Czy w ogóle istnieje ta polana... Czy istnieje cmentarzysko. Nie była pewna, czy w trakcie swojego objazdu rzeczywiście byli tam, gdzie byli, czy spotkali Aśkę, czy poznali pana Andrzeja, czy pływali żaglówką po Wigrach. Czy to wszystko nie było jednym wielkim majakiem... Jednym wielkim snem na jawie, wytworem najgłębszych, najtrudniej dostępnych zakamarków jej umysłu...

Dostała mdłości. Zakręciło jej się w głowie i zachwiała się lekko. To, co odpowiadał Tomek policjantowi, docierało do niej z lekkimi zakłóceniami.

– Dobra, w takim razie zamykamy śledztwo. Nam jest już naprawdę wszystko jedno. Proszę nas podwieźć na dworzec autobusowy. Chcemy po prostu wrócić do Warszawy. Nic więcej – powiedział zmęczonym głosem.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste... – odparł policjant.

– Nic już od pana nie chcemy, panie władzo. Proszę nas tylko odwieźć na dworzec i jest pan wolny. Chcemy tylko stąd wyjechać...

– Ja wszystko rozumiem, ale mimo tego... Jesteście państwo jedynymi osobami, które mogą nam pomóc w rozwikłaniu tej sprawy, a z tego, co mówicie, to jest jakaś grubsza afera... Na razie nie mogę więc pozwolić wam wyjechać. Nie mamy czasu do stracenia. Ja wiem, że to trudne i naprawdę was rozumiem, ale... Przepraszam, ale muszę was jeszcze raz prosić o pomoc.

– Jaką znowu pomoc?

– Musicie ze mną pojechać i pokazać mi, gdzie dokładnie leży ta wioska.

Karolina i Tomek zeszywnieli.

Wrócić? Tam?

– W życiu! Nigdzie nie jedziemy! Nigdy w życiu nie wejdem już do żadnego lasu, a już tym bardziej do tamtego! Zapomnij. Chodź, idziemy! – Wziął Karolinę za rękę, ale policjant zagroził im drogę. Pomimo swojego

niskiego wzrostu wyglądał teraz dosyć złowieszczo.

– Chciałbym tylko państwu przypomnieć, że na razie jedyne rzeczywiste dowody w państwa sprawie to wyniki badań na obecność narkotyków we krwi. Do tego sam się pan przyznał do podpalenia lasu, nad którym istotnie unosi się teraz lekki dym. Cała reszta to poszlaki albo, miejmy nadzieję, że nie, wasz wymysł, a potrzebne są dowody. DOWODY! Takie są procedury. To nie ja ustalałem prawo w tym państwie.

– Nic mnie to nie obchodzi – warknął Tomek. Policjant w dalszym ciągu nie schodził im jednak z drogi.

– Mogą wyjść z tego małe problemy i to niekoniecznie z mojej inicjatywy... Dla państwa dobra zalecałbym więc współpracę. Tylko rzeczywiste istnienie tej wioski i to, co w niej ewentualnie znajdziemy, konkretnie oczyści państwa z jakichkolwiek podejrzeń, że cała ta historia nie jest mimo wszystko jedną wielką demagogią.

– No ale...

– Chcę pomóc. Naprawdę chcę pomóc i naprawdę chcę, by wasza wersja się sprawdziła. Też chcę oczyścić ten świat z szaleńców. Ale musimy wiedzieć i przede wszystkim mieć kogo łapać!

Karolina i Tomek spojrzeli na siebie.

– Zaręczam, że nie musicie się państwo niczego bać. Ze mną będziecie bezpieczni. Gwarantuję to. Mam pistolet.

Dziewczyna poczuła, jak bardzo drżą Wawrentowiczowi dłonie, gdy przez zaciśnięte zęby wycedził:

– Dobra, jedziemy z tym koksem... Tylko byle szybko! Byśmy mogli raz na zawsze stąd wyjechać!

\*

Gdy obydwoje zajęli miejsca na tylnym siedzeniu radiowozu, Roszkowski wykręcił i bez włączania mogącego wzbudzać zbytnią uwagę koguta wyjechał na drogę. Kiedy znalazł się już na ulicach, które Karolina i Tomek znali z widzenia, by być bardzo precyzyjnym, pytał ich o kierunek przed każdym możliwym skrętem lub skrzyżowaniem. W końcu, gdy już po dziesięciu minutach od wyjazdu spod szpitala dotarli przed to znajome rozwidlenie drogi, tuż przy tabliczce obok cmentarzyska Jaćwingów, policjant zatrzymał wóz. Nad polaną z kurhanami i u podnóża wzgórza pod nią unosiła się lekka mgła.

– No i tu pojechałem w lewo. Zero jakichkolwiek wiosek.

Tomek złapał się za twarz i ledwo się powstrzymał, by znowu nie powiedzieć kilku słów za dużo.

Idiota.

– No nic dziwnego, bo miał pan, panie władzo, jechać w prawo!

Roszkowski zbladł i zamilkł z zażenowaną, zdeorientowaną miną. Zgasił auto.

– A... No to wiele tłumaczy w takim razie...

Wysiadł z samochodu i powoli, jakby lekko się czegoś obawiając, wyszedł przed maskę. Przez cały czas nie odrywał wzroku od niknącej w gęstwinie, prowadzącej do Białodębów ścieżki. W lesie słychać było leciutki, niezagłuszany teraz przez żadnego tira szum.

W końcu policjant odwrócił się do nich i powiedział:

– I mówicie państwo, że tutaj w prawo i co dalej?

– Nic. Prosto przed siebie.

– Pójdziecie ze mną państwo? Dla bezpieczeństwa powinniśmy trzymać się razem.

– Nie!

– Zaręczam, że nie musicie się niczego obawiać. Zachowamy wszelką ostrożność...

– Zapomnij! – warknął Tomek i jeszcze mocniej przycisnął do siebie silnie dygoczącą Karolinę. A może to on tak drżał? Sama obecność tam, sam widok tej tabliczki po lewej albo tej znikającej za zakrętem ścieżki były z niewyjaśnionych przyczyn czymś tak przerażającym, że nie wyobrażał sobie, by mógł wyściubić poza auto choćby nos.

Jakby się lekko nad czymś zastanawiając, policjant spuścił wzrok i w końcu, z ledwo zauważalnymi kroplami spływającego po jego czole potu, powiedział:

– W porządku. Rozumiem. Dobra, pójdę sam, choć powiem szczerze, sam nie wiem, dlaczego mam teraz niemałego pietra... Nawet w nocy, jak wtedy jechałem, jakoś się tak nie bałem...

Karolina spojrzała na niego. Jakże bardzo go teraz rozumiała, jakże bardzo!

– Zaraz wracam... – powiedział niewyraźnie i ruszył ostrożnym krokiem przed siebie po ścieżce, rozglądając się intensywnie na boki.

Gdy zniknął za zakrętem, Tomek objął dziewczynę jeszcze silniej i dyskretnie wypatrując między drzewami czegokolwiek podejrzanego,

przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu.

\*

Znajoma im z poprzedniego dnia cisza była nieznośna. Byli pewni, że gdyby właśnie teraz w lesie rozległ się na przykład jakiś nieokreślony trzask, to obydwójce zeszliby na zawał. Jakby tego było mało, każda mijająca minuta nieobecności policjanta wzbudzała w nich coraz większy niepokój, choć ten zniknął im z zasięgu wzroku zaledwie chwilę wcześniej. Czuli, że jeżeli chcieli uniknąć popadnięcia w paranoję, to nie powinni rozglądać się po lesie, ale robili to wbrew sobie. Szczególnie za siebie, już nawet nie do końca wiedząc, czy to dla upewnienia się, że nikt nie zakrada się do nich od tyłu, czy też... sprawdzenia, czy puszcza w dalszym ciągu kończy się tam, gdzie zawsze. Choć na zewnątrz wciąż mieli rześki, wiosenny poranek, w miarę upływu czasu obydwójce zaczęli się też coraz bardziej pocić.

Nie mogąc już dłużej wytrzymać tego napięcia, Tomek podjął w końcu męską decyzję i otworzył drzwi. Wstał i podszedł do siedzenia kierowcy.

– Pierdolę...

– Co robisz?

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem tak zdygany, że już dłużej nie wytrzymam. Poszukam, czy nie ma tu jakiegoś pistoletu albo czegoś innego na wszelki wypadek. Pieprzę konsekwencje. Wolę już pójść siedzieć za zabójstwo w obronie własnej niż umrzeć.

Usiadł za kierownicą i najpierw obszukał wszystkie możliwe schowki oraz przestrzeń pod fotelem, ale nie znalazł tam niczego przydatnego. W ostatniej nadziei przesiadł się zatem na siedzenie obok i otworzył schowek.

Dalej nic.

Dla czystej konsekwencji włożył rękę do kieszonki w drzwiach po lewej i wyczuł rękami cienki, prostokątny przedmiot, który niewątpliwie nie był pistoletem, ale tak czy inaczej, wyjął go.

– Kara...

Spojrzała nad jego ramieniem i... zamarła.

Tomek trzymał bowiem w ręku bajerancki telefon. Być może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że skądś go już doskonale znali i że pracownika policji raczej nie byłoby na niego stać...

Ale nawet jeśli ten jakimś cudem uciułałby na niego ze swoich

skromnych oszczędności, to i tak w żaden sposób nie tłumaczyło to, dlaczego na jego tapecie widnieje zdjęcie niejakiej Izabeli Roguckiej...

iPhone pana Andrzeja był odblokowany i od dobrych kilku godzin miał włączony dyktafon.

---

<sup>1</sup> Pełne tłumaczenie tekstu znajduje się na końcu książki [red.].

## ROZDZIAŁ XV

Idioci.

Tchórze.

Egoiści.

Niewdzięcznicy...

I wszystkie inne inwektywy, jakie tylko można sobie, kurwa, wymyślić...

Racja... Przez tyle wieków nie było żadnych większych problemów... Przez tyle lat wszystko rokrocznie szło zgodnie z planem. Jeszcze NIGDY nie zdarzyło się, by tradycyjny rytuał przelania krwi chrześcijanina się nie udał. NIGDY, kurwa!

Aż do tego roku...

Brawo, zaszczytny pierwszy raz stał się faktem. Zapiszą się w historii, nie ma co! I to bynajmniej nie w tej chwalebnej.

Giedejt był szczerze wkurzony. A już tym bardziej, że to na jego barkach spoczęło odkręcanie tego wszystkiego. Na jego i tylko jego. Był sam jak palec. Jak palec albo coś tam. A nie było przecież w tej wpadce (bardzo delikatnie powiedziane) żadnej jego winy. I tak zrobił już o wiele więcej, niż mogłoby się od niego przez te ostatnie dni wymagać.

Z bezsilnej frustracji aż zacisnął pięści.

Skumat...

Nie dało się opisać, jakże by się teraz przydał! Jakże to wszystko byłoby łatwiejsze... Skumat, czyli jego przyjaciel i jednocześnie partner na służbie, z którym prawie codziennie wykonywał obowiązki zawodowe ku chwale fałszywej ojczyzny. On na pewno wiedziałby, co robić. Na pewno by coś wymyślił. Gdyby tu był, sprawa już dawno byłaby załatwiona.

Problem tylko w tym, że... go nie ma i nikt nie ma zielonego pojęcia, gdzie go mogło wywiać. A co gorsza – jego telefon wciąż pozostaje głuchy.

Od kiedy tylko ostatniego wieczora pobiegł za tym gówniarzem, już nigdy więcej go nie widzieli. Po prostu przepadł bez wieści, jak kamień w wodę. Jakim cudem temu chłopakowi udało się go pokonać?! Jak to możliwe? Skumat to bysior. Kumaty, inteligentny, kipiący wprost od świetnych pomysłów strateg, a do tego doskonale wyszkolony w walce wojownik. Maszyna do zadawania bólu z krwi i kości. Czysta kwintesencja idealnego policjanta. Spokojnie zrobiłby karierę w MMA albo innej tego typu bzdurze. Był niepokonany.



Do wczoraj. Najpewniej.

Jakim cudem temu Tomkowi udało się go unieszkodliwić, a może nawet zabić? Musiało dojść do czegoś w tym stylu. Innego wytłumaczenia faktu, że jeden z nich żyje, a drugi zaginął (ale w złym podziale tych ról), Giedejt nie widział.

Wszak nie mógł go zabić las... Ta wersja zdarzeń odpadała już na samym początku. Las nie zabija swoich czcicieli... A przynajmniej nie wtedy, gdy jeszcze nie było wiadomo, że rytuał się nie powiedzie.

Giedejt nie miał nawet jeszcze czasu go szukać. Znamienne, że był teraz na jego długiej jak papier toaletowy liście zadań do wykonania najważniejszą rzeczą z najmniej w tej chwili ważnych. A był potrzebny... Jak cholera.

Pytanie, czy podobnie jak reszta nie bałby się teraz wyjść z domu, w dalszym ciągu było jednak otwarte... W końcu on także się go bał. Jak każdy jeszcze żyjący Jaćwing.

Przez krótki moment Giedejt nawet rozważał, czy się po prostu nie ujawnić i najzwyczajniej w świecie nie sterroryzować tej dwójki w radiowozie pistoletem, ale w końcu uznał to za zbyt ryzykowne. Bądź co bądź ich było dwoje, a on jeden. Bądź co bądź ten chłopak był od niego większy. No i nie zapominajmy, że najprawdopodobniej pokonał Skumata... Ale najważniejsze i tak było co innego. Coś, co ucinało wszelkie dyskusje.

Nie mógł ryzykować, że przypadkiem zastrzeli tę dziewczynę. Jakby do tego doszło... Zadrzał. Wtedy to by go chyba dosłownie zabili. Oczywiście o ile wcześniej nie zrobiliby tego on...

A tak? Sam fakt, że mógł sobie spokojnie wędrować po lesie, chyba najlepiej świadczył o tym, iż dawał im on jeszcze jedną szansę. Szansę na naprawienie błędów. Na odpuszczenie grzechu partactwa. Tak należało tłumaczyć ten spokój w puszczy. Nie było jednak wiadomo, jak wiele czasu im daje, więc należało się spieszyć. Giedejt potrzebował pomocy. Walcząc z myślami i wspomnieniami z ostatnich dni, które niczym spakowany plik RAR wypełniały mu głowę i bolały od wewnątrz, przyspieszył kroku.

Reszta tych tchórzy nie chciała im w żaden sposób pomóc.

„Spieprzyliście to, to teraz to sami naprawcie!”, „i tak możecie się cieszyć, że udało nam się ugasić las!”, „zaufaliśmy wam, a wy nas zawiedliście...”, „a tłaka byłaś pływna siebie Rłetuno...” – na samo

wspomnienie tych ostatnich, wypowiedzianych z charakterystycznym, irytującym wiejskim zaciąganiem słów tej starej zgrzybiałej szmaty z Płociczna, Windyki Gedymin, wściekłość wezbrała w nim jeszcze bardziej.

Nie miał do niej żadnego szacunku i jej przynależność do starszyny nie zmieniała tego choćby w najmniejszym stopniu. Okropne, zrzędzące babsko... Nienawidził jej już od pierwszego spotkania, gdy miał kilka lat. Zrobiła na nim złe pierwsze, złe drugie i złe każde kolejne wrażenie. A przyczynę jej permanentnego narzekania każdy doskonale znał, choć nikt nigdy nie powiedział tego głośno. Od dawna było wiadomo, że zazdrości szlachetnemu jaćwieskiemu rodowi Norbutów, że to w nim od kilku pokoleń rodzą się godni pełnienia posługi *krewe*<sup>[1]</sup> wybrańcy.

Zawistne próchno...

Nadzwyczajne zdolności Skedy objawiły się już wtedy, gdy była dzieckiem, i nie było żadnych wątpliwości, że to ona będzie następczynią Skirmuta. Funkcja więc po raz kolejny zostawała w rodzinie. Peszek. A może i przeznaczenie. Może ON chciał, by tak było, a z jego wolą nie należy się spierać. Jasne – służba ta od zawsze wiązała się z dużą odpowiedzialnością, ale też i z wielkimi łaskami. Nie wspominając już o tym, jak była ważna. Kluczowa wręcz. Stanowiła fundament podtrzymujący wszystko. Była spoiwem jaćwieskiej społeczności. Nie mogła ona przecież funkcjonować bez swojego kapłana. Ba, przez moment istniała nawet obawa, czy w obliczu stale malejącej liczby Jaćwingów będzie można kiedykolwiek znaleźć nowego.

Zamiast więc cieszyć się, że tak naprawdę nie musieli się już martwić o najbliższą przyszłość (pomijając na razie fakt, jak bardzo wszystko w tym roku zostało spieprzone) i objawiła im się nowa, młoda *krewe*, która będzie mogła świadczyć swą posługę jeszcze przez wiele dziesięcioleci, ta stara pipa bez przerwy szukała dziury w całym. Wiecznie się czegoś czepiała. Ciągle jej się coś nie podobało. Krakąła, krakała i...

No i wykrakała.

Skeda nie zawiodła. Nie przypominał sobie, by Skirmut – jej dziadek (pokój jego duszy, mam nadzieję, że wylądowałaś w Raju, stary druhu!), który od kiedy tylko Giedejt pamiętał, aż do tego roku przeprowadzał ten coroczny obrzęd – kiedykolwiek wygłosił tak świetną mowę jak ona. Jej dokonanie było godne podziwu tym bardziej, że stary Norbut oszedł od

nich tak niespodziewanie i od razu musiała go z miejsca zastąpić. Jego śmierć to było czyste wariactwo. Normalnie położył się spać, by już następnego dnia się nie obudzić. Kilka dni przed samym najważniejszym świętem w roku! Niejeden w obliczu tak dużej odpowiedzialności zesrałby się w majtki, ale nie Skeda. Zuch dziewczyna. Jakby nigdy nic podjęła się tego zadania i wywiązała się z niego świetnie. W przeciwieństwie do niektórych tych niewdzięczników, którzy śmieli jej wypominać zdrzenie ręki w kluczowym momencie, Giedejt nie miał do niej żadnych pretensji.

No bo jak mając przed sobą tak przerażający widok, mogłaby w ogóle o tym myśleć?

Tchórze...

W sumie im się nie dziwił, że prawie wszyscy wzięli nogi za pas, nawet jeżeli nie z Suwalszczyzny, to przynajmniej ze swoich domów w lasach lub w ich pobliżu. Wszyscy ci mieszkający u nich turyści musieli się nieźle zdziwić, gdy obudzili się dziś rano i nie zastali nikogo z gospodarzy. Zwiali... Zniknęli... Nie chcieli ryzykować stania się celem jego gniewu. Choć nigdy go nie doświadczyli (oczywiście dlatego, że corocznie rytuały krwi się powodziły), starszyzna od zawsze wpajała im, że gniew lasu jest straszny. Straszniejszy niż cokolwiek, co tylko mogą sobie wyobrazić. Wierzyli jej na słowo. Wystarczyła więc taka wpadka, by wszyscy wyjechali stąd gdzie pieprz rośnie. I zostawili ich na pastwę losu.

I lasu. Z dwojga złego każdy Jaćwing wolał chyba los...

Norbutowie musieli więc radzić sobie sami. Zresztą podobnie było w przygotowaniach do corocznej uroczystości. Od A do... hmmm w sumie Y.

Zatrząśł się z wściekłości.

Jaćwingowie to jednak mają coś z Polaków. Przesiąknęli tą irytującą cechą, że chcą przyjść na gotowe. Uważają, że coś im się ciągle należy. Czy się stoi, czy się leży. Wiecznie wymagają, narzekają, ale już by samemu pomóc, wziąć sprawy w swoje ręce, to już nigdy nie ma komu.

A jak już się zdarzy, że jednak się za coś zabiorą (*vide* piątek), to tylko unieść głowę ku niebu i wyć...

Główny problem obecnie polegał na tym, że wielowiekowa zasada musi zostać zachowana. W tradycyjnym rytuale krwi na cześć Leszego – potężnego pogańskiego demona, pana lasu i wszystkiego, co w nim zawarte – bezczeszczący las chrześcijanin, największy wróg pogan, spadkobierca

hańby krucjat, musi zostać zabity na świętym dębowym drewnie. Musi zostać zabity tym niezmiennym, przechodzącym z dziada pradziada, z rąk do rąk, ostrzem... Co było w tym wszystkim najgorsze, ta suka została już wybrana, wzięła udział w części obrządku, więc nawet nie było możliwości wybrania na jej miejsce kogoś innego... Księgi nie mówiły na ten temat absolutnie nic.

Była to pieprzona komplikacja, której nie dało się ominąć... Pat. Szach i mat.

Tak czy inaczej – paradoksalnie nawet teraz nie żalowali jej wyboru ani trochę. Wyboru, który już od samego początku niósł za sobą pewne utrudnienia na ich własne życzenie. Normalnie co roku w rytuale ginęły zazwyczaj całe rodziny lub przynajmniej pary, bo też zawsze było tak, że jakakolwiek grupka do nich w te strony przyjeżdżała, to wszyscy w niej byli albo w komplecie chrześcijanami, albo w komplecie ateistami. Co zaskakujące – dopiero teraz po raz pierwszy przydarzyła im się sytuacja, w której dziewczyna wierzyła w Jezusa Chrystusa, a jej chłopak nie, i pojawiła się zagwozodka, jak go w to nie wciągać.

W końcu w żadnym wypadku nie zasłużył na śmierć...

Co prawda w ich historii bywało różnie, ale wiele się zmieniło. Jaćwingowie nie są i już nigdy nie będą mordercami. Nie zabijają bez wyraźnego, niedającego innego wyboru powodu. To od zawsze była domena chrześcijan i niech już na zawsze tak pozostanie.

Śmierć wyznawcy Jezusa Chrystusa podczas ich corocznego święta to co innego, to nie zabójstwo. To część ich tradycji i oddanie czci ich panu, chwalebna konieczność, coś dobrego. Każda inna, niezwiązana z rytuałem, jawiła im się jako niepotrzebna i była dla ich dumnego, już obecnie wyłącznie pokojowo nastawionego ludu ogromnym dyshonorem. Podjęcia aż tak drastycznych kroków wymagały jedynie skrajne przypadki, jak na przykład ostatniej nocy na cmentarzysku, gdy ten chłopak ich wszystkich zobaczył. Tutaj już nie mogli pozwolić sobie na puszczenie go wolno. Musiał zginąć.

Podobnie jak facet, który pomagał tym dwojgu...

Tak, to było morderstwo. Ale nie mieli innego wyboru. Jedynie ich pan mógł ich tak naprawdę rozliczać. Wiedzieli, że wszystko to, co robią, jest dobre. I warte zachodu. Ta mała ruda suka była idealną kandydatką do poświęcenia. W księgach wyraźnie jest napisane:

*Coroczne krwi przelanie wyznawcy chrześcijańskiego zła pomnoży moc pana twego, który cię karmi, chroni i obdarza darami zielonego królestwa swego. Krwi przelanie tego, który nienawidzi i uciska cię za pewność potęgi opiekuna twojego, łask niezliczonych tobie oraz braciom twoim udzieli. Krwi przelanie tego, który plugawi zielony dom jego, chwalebny odporem wrogom twoim i pana twojego! Nienawiść ich obróci się przeciwko nim ze stukrotną siłą po śmierci nędznika na czcigodnym dębie.*

Karolina była chrześcijanką – to raz (choć mieli pewne wątpliwości co do siły oddania jej niegodnej splunięcia wierze, gdy na przykład nie wzięła udziału ani w piątkowej, ani w sobotniej liturgii oraz gdy nie przestrzegała postu w piątek, ale już z kolei fakt, że w sobotni poranek uciekła przed śledzącym ją Jedutem do kościoła, był nadzwyczaj wymowny); bezczęściła las, a więc plugawiła ich największą świętość, królestwo ich pana – to dwa.

No i te jej ogniste włosy... To nie mógł być przypadek. Symbol zniszczenia. Symbol ognia, drugiego największego wroga lasu...

Pierwsze miejsce zawsze będzie zajmować człowiek. Człowiek, który świadomie, z premedytacją profanuje las, człowiek hańbiący miejsce, które od zawsze dawało mu schronienie, pożywienie, surowce i czyste powietrze. I ona takim człowiekiem jest. Pluła im w twarz. Robiła to tak często, że zakrawało to wręcz na bezczelność, jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkali. Nie dałoby się chyba znaleźć nikogo lepszego. Dlatego więc zdecydowali się na nią, a nie kogoś z pozostałych, goszczących w innych częściach Jaćwieży turystów, i to nawet pomimo konieczności poświęcenia w tej sytuacji życia tego niewinnego chłopaka.

Trudno. Są rzeczy ważne i ważniejsze.

To, że to akurat ona okazała się w ich parze skrajnie beztroska w kwestii poszanowania lasu, było dosyć zaskakujące. Na tyle, na ile Giedejt zdążył ich w środe poznać, oraz sądząc po opowieściach Skedy, prędzej spodziewałby się tego raczej po Tomku...

Tymczasem ona... Pomijając już te niezliczone wjazdy samochodem do Dębiszk, pomimo znaku zakazu, który bynajmniej nie stał tam, gdzie stał, dla ozdoby...

Swoją drogą niepojęte, jak oni mogli nie zauważyć, że w tej wiosce nie stał nawet jeden samochód! Niepojęte, że nikt, kto u nich rokrocznie przebywa, nigdy nie zwraca na to uwagi.

Głupcy...

W każdym razie oprócz tych wjazdów pierwszy poważny zgrzyt zdarzył się już w środę po ich przyjeździe. Retuna przyłapała ją, jak niechlujnie wyrzuciła do kosza plastikową butelkę, przez co ta wylądowała nie w nim, a na ziemi. Co prawda nie widziała samego momentu rzutu, ale całą resztę potem – a i owszem. Był to już dobry punkt zaczepienia. Drugi i trzeci raz – następnego dnia. By nie wzbudzać podejrzeń, już od samego początku musieli podążać za nimi w pewnej odległości, więc przez cały czas obserwowali ich przez lornetkę. Nie mogli zatem dokładnie widzieć, co się działo, ale jedna rzecz nie ulegała wątpliwości. No jak wół, pod Górą Zamkową, która także od zawsze była dla Jaćwingów szczególnym miejscem kultu, ta suka jakby nigdy nic wrzuciła do jeziora jakiś śmieć. A potem? Przejechała przez ten las przy Hańczy (nie mogli za nią wtedy jechać – nigdy nie wjeżdżali samochodem do tego królestwa, to było prawie jak świętokradztwo), a jeszcze później – już w puszczy przy Dębiszkach – wyrzuciła przez okno puszkę po piwie. Wyleciała po lewej stronie, widzieli to jeszcze z miejsca, gdzie zaczynała się linia drzew, a to na pewno ona prowadziła wtedy auto. Potwierdziła to Skeda, która widziała, jak odstawia tego swojego chłopaka pod dom Norbutów, by potem samotnie jechać do kościoła.

Trzy niezbite dowody... Czwarty, niejako potwierdzający, zauważyła Windyka wraz z częścią ich braci, gdy nagle w piątek uparła się, by śledzić tę dwójkę do samego końca. Brawo... Superodpowiedni moment na gotowość do pomocy! Dwa dni bezczynności, a potem z dupy takie coś... I to pod jakim pretekstem! Jak to mówiła „przeczuwała, że młóże dziać się coś grubego”, ale to i tak zdaniem Giedejta było za mało sensownym powodem, by robić aż tak dużą aferę. A jednak dała się do niego przekonać jeszcze blisko pięćdziesiątka Jaćwingów z Płociczna, a co gorsza – równie fanatycznych i oddanych demonowi jak ona. Reszta starszyny czuła, że może się to skończyć kłopotami, i to nawet poważniejszymi niż te, w które wpakował ich Gintus (ten pieprzony półgłówek z Augustowa!), więc zabroniła jej tam iść. Windyka – jak to Windyka – oczywiście ich nie posłuchała i wraz z resztą ruszyła na tę nieszczęsną polanę...

Jasne, las to największa świętość i w miarę możliwości należy go chronić, ale równie ważne jest pozostawanie w cieniu i unikanie kłopotów. A dać tej dewotce tak dużą liczbę ludzi... I wysłać na młodzieżową imprezę w lesie... To jak wpuścić wyposzczonego lwa do klatki z antylopami.

Samobójstwo konspiracji. Wiadomo było, że istotnie „zdarzy się coś grubego”, ale niekoniecznie z inicjatywy tych dzieciaków.

No i co?

No i zgodnie z przewidywaniami się zesrało, ale na szczęście, o dziwo, bez konsekwencji. A przynajmniej poważniejszych.

Wtedy właśnie ta chrześcijańska pinda zrobiła to po raz czwarty i tyle było tego dobrego w ich tam obecności, że Windyka i reszta mogli to zobaczyć. Już nie wspominając o samym jej udziale w tej imprezie, dodatkowo z kompletnym brakiem poszanowania miejsca, w którym ówczasie się znajdowała, w którymś momencie cisnęła za jakąś parą butelką po piwie.

Po tym incydencie starszyzna nie miała już żadnych wątpliwości. Postanowiono. Były to już dla niej wystarczające, twarde jak skała argumenty, by to właśnie Karolinę wyznaczyć do zaszczytnej śmierci na dębowym ołtarzu. Cztery razy to jednak za dużo, by uznać to za przypadek.

Po wybryku Windyki i jej małej armii starszyzna błogosławiła opatrność, że choć ci zwrócili na siebie niepotrzebną uwagę, tamte dzieciaki nie wezwały policji. Jaćwingowie uniknęli więc kolejnej komplikacji na własne życzenie. Nie zawsze Giedejt, Skumat i pracująca w centrali Bełdyka byli w stanie to wszystko tuszować. Pewnie, w kwestii corocznych zaginięć turystów szło im to perfekcyjnie, ale wtedy też tak naprawdę każdy z dziedziców Jaćwieży bardzo dobrze odgrywał swoją rolę, więc nie wymagało to z ich strony zbyt dużego wysiłku.

Stary numer z rzekomo pustym gospodarstwem agroturystycznym zawsze zdawał egzamin. Potem przeniesienie niczego nieświadomych ludzi do innego miejsca, wraz z podaniem jego fałszywej nazwy, i jazda. Jeszcze nigdy żaden z tych idiotów nie opisał swojej rodzinie, jak do niego trafić. Nigdy! Kiedy więc po wszystkich sprawami ich zaginięć zajmowała się prawdziwa policja, to i tak zawsze trafiała w końcu na ślepą uliczkę i śledztwa ostatecznie zamykano.

W tym roku los naprawdę im sprzyjał, bo z racji świetnej pogody Wielkanoc na Suwalszczyźnie zdecydowało się spędzić sporo ludzi z innych stron Polski. Mieli więc w kim wybierać.

I właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że i tym razem wszystko pójdzie jak z płatka, jak filip z konopi musiał jeszcze wyrwać się on.

Gintus Santor.

Bałwan.

Ćwierćinteligent.

Kompletny tępak, i naprawdę ciężko jest i kiedykolwiek będzie o jeszcze większego.

Od początku Giedejt był zdania, że wtajemniczenie go w jakiegokolwiek poważniejszą sprawę Jaćwingów było bardzo ryzykowne i jak się miało wkrótce okazać – miał rację.

Oczywiście znalezienie odpowiedniego kandydata do rytuału krwi to ogromne wyróżnienie i zapisanie się w annałach, ale tak jak w każdej dziedzinie życia do tego trzeba używać mózgu. MÓZ-GU! A żeby używać mózgu, trzeba go mieć. Gintus zaś – jak powszechnie wiadomo – nie ma w tej swojej łepetyncie nawet jednej szarej komórki.

No więc ten idiota, nie zważając nawet, że zwraca na siebie zbyt dużą uwagę, dzień w dzień zaczepiał w tym swoim sklepie, w którym pracuje (absolutny szczyt jego możliwości intelektualnych – nosiwoda, magazynier i sprzątacznik w jednym), prawie każdą napotkaną osobę. „Jak się pani ma, jak mija dzień, dokąd szanowny pan jedzie” i tak dalej. Przyzwyczajeni do tego nieszkodliwego palanta okoliczni ludzie go zlewali, ale przydarzyła się jedna nieszczęśnica (jak się miało później okazać – nietutejsza, bo aż z Poznania), która odburknęła mu, że jedzie na cmentarz. Jakże on się wtedy zapalił! No bo w końcu jak na cmentarz, to na pewno chrześcijanka! To nic, że nie sprawdził innych kryteriów, jakie musi spełnić osoba wybrana do rytuału krwi. O nie... A jak jeszcze się do tego dodało, że tamta kobieta kupiła papierosy... Nie wytrzymał. W jego wypełnionej powietrzem główce narodził się jakże genialny pomysł! To ona będzie złożona w ofierze, a on spije całą śmietankę.

Debil.

Nawet nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, że zgodnie z tradycją będący pod wpływem Jaćwinki wybraniec ma być...

A swoją drogą fajnie było się dzisiaj dowiedzieć, jak oficjalnie, w naukowym bełkocie nazywa się ta ciecz, której od wieków używają, by odurzać tych mających wkrótce umrzeć ludzi. Jak to szło? Dimetylocośtam?

Nieważne.

Jeśli chodzi o wydarzenia sprzed dwóch tygodni, ten półdebil skądś ją wytrzasnął i nasączył nią całe opakowanie papierosów, które trzymał,



czekając na okazję taką jak ta. Ta kobieta rzeczywiście pojechała potem na cmentarz do Studzienicznej i nieroztropnie nie zamknęła samochodu, czym tylko ułatwiła mu zadanie. Śledził ją przez cały czas i gdy poszła odwiedzić grób, podmienił jej w aucie papierosy. No a potem, jak jeszcze na parkingu pod tym cmentarzem zapaliła pierwszego, zaczęło się...

Jaćwinka jest o tyle genialną substancją, że nie wydziela żadnego zapachu, nie ma żadnego smaku i działa tylko w określonych warunkach, podczas gdy w pozostałych w ogóle nie daje objawów. Te „określone warunki” to... leśne, czyste powietrze. W połączeniu z nim daje dosyć nieprzyjemne efekty. Tak przynajmniej wynikało od zawsze z opowieści starszyzny, gdyż ani Giedejt, ani cała reszta Jaćwingów nigdy nie mieli okazji przekonać się co do jej działania na własnych płucach.

No więc właśnie...

Gintus za nic miał sobie fakt (o ile w ogóle o nim wiedział), że wedle ksiąg część oczyszczenia rytuału krwi, czyli przerażające wizje, które pojawiają się po zażyciu Jaćwinki przez przyszłą ofiarę, a które mają być w ich tradycji symbolem gniewu lasu wobec chrześcijan, jego swego rodzaju pierwszą zemstą, karą, czyścicem przed właściwą śmiercią, muszą zacząć się najwcześniej dzień przed obrzędem, czyli dzień przed pierwszą niedzielą po wiosennej pełni księżyca oraz w jednym, określonym miejscu – lesie ze świętą polaną i cmentarzyskiem ich przodków. Dzień! I ani sekundy wcześniej. Jeden jedyny las! Sztywne, proste, niezmiennie od wieków, zgodne z ich tradycją zasady. Jakże niewielkie pole manewru, by cokolwiek spieprzyć! Tymczasem on nie dość, że podał Jaćwinkę jakiejś przypadkowej babie z ulicy, to jeszcze zrobił to dobre dwa tygodnie przed terminem oraz – co gorsza – w zupełnie innym miejscu.

Zepsuł więc wszystko, co tylko się dało. Masakra. Z tego też powodu nie mogli dla świętego spokoju to jej uczynić wybraną do obrządku. W końcu rytuał nie został przeprowadzony w należyty, staranny sposób.

Jakimś zrzędzeniem losu ta kobieta utknęła potem samochodem w błocie w samym środku Puszczy Augustowskiej. Oczywiście wyszła z niego na zewnątrz i nie było przebaczeń. Wydawało jej się, że wędruje przez cały czas przed siebie, a tymczasem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, kręciła się w kółko. Do tego zrobiła najgorszą rzecz, jaką tylko w tamtym momencie mogła zrobić.

Zapaliła kolejnego papierosa.

A potem jeszcze jednego. I następnego. Aż wreszcie wypaliła całą paczkę. Na samą myśl o przyjęciu w tak krótkim czasie tak dużej dawki Jaćwinki resztki włosów Giedejta aż zjeżyły mu się na głowie. W normalnych okolicznościach po wypaleniu jednego papierosa powinna była wrócić do normalnego stanu już po mniej więcej kilkunastu godzinach, podobnie jak ta dwójka dzieciaków dzisiaj. Ta jednak paliła dalej. Coraz więcej i więcej... I najprawdopodobniej wyniszczyło jej to komórki mózgowe tak bardzo, że miała te wszystkie wizje już na stałe. Tak przynajmniej sądzili, bo utrzymywały się one aż do jej śmierci, przez bite dwa tygodnie. Nikt tego nigdy do końca nie zbadał, ale zdaniem starszyny było mało prawdopodobne, by kiedykolwiek się od nich uwolniła, i to nawet gdyby opuściła las...

Zmuszenie jej do tego samobójstwa było więc koniecznością.

Nie odróżniała już jawy od snu. Wędrowała przez całą długość Puszczy Augustowskiej i wydawało jej się, że nie może się z niej wydostać. Gintus oczywiście się wygadał i został należnie ukarany. Choć odnalezienie jej trochę im zajęło, wreszcie się to udało. Co też ona wyczyniała... Makabra. Polowała na zwierzęta, by mieć co jeść... Walczyła ze spokojnie sobie stojącymi drzewami i sama zwyczajnie się wtedy okaleczała. Widzieli jej stan, widzieli, że miała halucynacje, ale nic nie mogli zrobić. Zachowywała się jak wariatka. Rozmawiała z powietrzem, wrzeszczała, uciekała, turlała i wiła się po ziemi jak opętana... Była śmiertelnie przerażona. Parę razy też kilku z nich znalazło się w zasięgu jej wzroku, ale chyba nawet wtedy nie rozpoznawała, że ma do czynienia z ludźmi.

Chociaż nie, rozpoznawała. Ale za to na pewno nie widziała ich normalnie, bo ciągle używała imienia Kamil...

Tak czy inaczej, jako że nikt zbytnio nie kwapił się do ugoszczenia jej w swojej piwnicy, nie mając na razie lepszego pomysłu, śledzili ją. Śledzili i pilnowali, by nikt postronny jej nie znalazł. Zważywszy, że o jej zaginięciu mówiono nawet w lokalnym radiu, gdyby się znalazła i ktoś zacząłby to głębiej drążyć... Nie, nie można było ryzykować, że powiąże się to z Gintusem, a potem z nimi.

Mogli ją oczywiście zabić, ale...

Tak, Jaćwingowie nie są i już nigdy nie będą mordercami.

W końcu Skomand wybuchnął, że ma serdecznie dość jej niańczenia, i ponownie jej się pokazał. Nie wiedzieli, za kogo tym razem go wzięła, ale

chyba ta osoba miała dla niej na tyle dużą siłę perswazji, że w miarę bezproblemowo przekonał ją do samobójstwa. Wcisnął jej do ręki sznur, lekko się jeszcze wahała, ale koniec końców się powiesiła. Nie czekali nawet chwili, tylko od razu zdjęli ją potem z powrozu i zakopali. Z czystym sumieniem.

Samobójstwo to w końcu nie morderstwo, prawda? I tak by ze swojego ówczesnego stanu nigdy nie wyszła, więc śmierć była dla niej najlepszym możliwym rozwiązaniem.

\*

Nie było łatwo działać jednocześnie na kilka frontów, ale wydawało się do ostatniej nocy, że wszystko zakończy się dla Jaćwingów szczęśliwie. Co prawda wciąż pojawiały się coraz to nowe problemy, czasami z dość nieoczekiwanej strony, ale zawsze albo udawało się jakoś znaleźć odpowiednie ich obejście, albo też dopisywała im fura szczęścia.

Ta ruda suka...

Już na samym początku spostrzegli dość ciekawą rzecz, która świadczyła o tym, że jest na swój sposób wyjątkowa, co tylko utwierdzało ich w słuszności wyboru. Mianowicie z jakiegoś powodu Skeda nie potrafiła przeczytać jej myśli i to był jeden z tych drobnych problemów. Zdarzyło jej się to pierwszy raz w życiu i strasznie ją to frustrowało. Próbowwała to robić tak jak zawsze, zgodnie z konwencją – czyli przy pomocy kontaktu wzrokowego (do przekazania myśli pomiędzy Skedą a innym człowiekiem wystarczało, by przynajmniej jedno z nich patrzyło się na drugie), ale nie. Cisza jak makiem zasiał. Oznaczało to też, że nie mogła się w ten sposób upewnić, jak silna jest wiara tej dziewczyny. Dlatego więc dla dalszego działania potrzebne było trochę ryzyka. Jak się miało później okazać – ryzyka niepotrzebnego, bo Karolina pośrednio sama przyznała się do praktykowania religii już w czwartek, gdy zadzwoniła do Dębiszk i spytała Skedę o godzinę czwartkowej liturgii.

No ale kto mógł w środę to przewidzieć?

W czasie, gdy oni w tamten wieczór poszli na spacer, Gojwet – brat Giedejta – użył zapasowego klucza i dostał się do ich pokoju. Chciał przeszukać bagaże w celu znalezienia jakichkolwiek dewocjonaliów, które byłyby dowodem na to, że mieli do czynienia z chrześcijanami. Przetrzęsnał wszystko bardzo dokładnie i kłął pod nosem, gdy zdał sobie sprawę, że rzeczy tej dziewczyny rozparcelowane są po całym pomieszczeniu.

W wyniku tego wszystko zajęło mu bardzo dużo czasu. Kiedy usłyszał, że wrócili, spanikował. Tak bardzo, że gdy czym prędzej uciekał do pokoju Skedy, upuścił klucz, który wylądował chyba gdzieś w okolicach łóżka.

Szczyściem w nieszczęściu – oni chyba strasznie przejęli się tym, że są w jednym domu ze zmarłym. Zrobiło to na nich tak duże wrażenie, że nawet nie zauważyli, iż drzwi, które wcześniej były zamknięte na klucz, teraz zakluczone nie są. Jak się miało też następnego dnia okazać, dziewczyna znalazła jego zgubę, ale również nie uznała tego za coś podejrzanego.

Gojwet o tym oczywiście nie wiedział i przejął się swoją wpadką na tyle, że chciał ją jak najszybciej naprawić. Z tego też powodu, gorąco licząc, że śladów jego obecności jeszcze po prostu nie zauważyli, w nocy próbował tam wejść i cichaczem się ich pozbyć. Tamta dwójka nie była jednak tak głupia, na jaką wyglądała, i zamknęła się od środka, więc plan brata Giedeja spalił na panewce.

A co najgorsze, Gojwet nie potrzebował nawet wejść do pokoju, by i tak ich obudzić...

Szczyśliwie zdołał coś usłyszeć i ledwo zdążył się ulotnić, zanim po otwarciu drzwi mogli go zobaczyć. Z rana Skeda wzięła całą winę na siebie (nieprawdopodobne, że udało jej się strzelić i zarazem trafić, jak stwierdziła w rozmowie z nimi, iż usłyszała krzyk tej małej pindy i chciała po prostu sprawdzić, czy wszystko jest w porządku), a oni to kupili.

Zabawne też, że jeszcze tego samego dnia Gojwet zapoznał się twarzą w twarz z tym chłopakiem, który wypytał go o swój zaginiony plecak... Gdyby on wiedział... Gdyby ten głupiec tylko wiedział, z kim właśnie rozmawia...

I pomyśleć, że całe to zamieszanie w środę wynikło wyłącznie z faktu, że Skeda nie potrafiła czytać myśli tej dziewczyny... Nieprzychylna do takiego stanu rzeczy była przez nią niejednokrotnie nieco zaskoczona, co poskutkowało kilkoma niebezpiecznymi sytuacjami z podaniem z rozpędu jaćwieskiego nazwiska jako ich fałszywego na czele.

Głupcy – jak to głupcy – nie domyślili się jednak niczego. Nawet nie podejrzewali, że coś się święci...

Następna komplikacja pojawiła się w sobotę, a więc na dzień przed tradycyjną częścią oczyszczenia, kiedy to rzeczona dwójka musiała nocować u tego faceta nad Wigrami, a nie normalnie – w Dębiszkach. Jak

na złość Skumat został tego dnia awaryjnie wezwany na służbę, a Skomand i Gojwet dalej pilnowali tamtej kobiety w lesie. Skeda z Retuną zaś były zajęte przygotowaniami do rytuału krwi... Wszystko to oznaczało, że Giedejt był zdany tylko na siebie, i w swojej misji napotykał coraz więcej trudności. Z początku miało to być tylko normalne śledzenie. By to sobie ułatwić, wypożyczył nawet małą łódź, ale nie miał na temat żeglowania najmniejszego pojęcia. Starał się na jeziorze trzymać blisko nich, ale niosło to za sobą pewne zagrożenia. Jak choćby takie, że parę razy o mało co ich nie staranował.

Jak oni mogli nie zwrócić na to uwagi...?

Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej zgubił w jeziorze telefon. Nie mógł więc się z nikim skontaktować. Nikt z Jaćwingów nie miał pojęcia, gdzie on jest. Nikt poza nim nie wiedział, że przez burzę młodzi będą nocować u tego faceta ani gdzie jest jego domek... Ironia losu... Że też na ostatniej prostej coś musiało zepsuć się przez... naturę.

Tymczasem moment rozpoczęcia części oczyszczenia zbliżał się z każdą pieprzoną sekundą... Należało najpóźniej z samego rana w jakiś sposób podać tej dziewczynie Jaćwinę.

Ba.

Podać...

Nie dość, że podać, to jeszcze w zupełnie innym lesie! Oczywiście w razie gdyby tamci nie wrócili na noc do Dębiszk, Giedejt już od samego początku miał brutalny plan B, ale pierwotnie zakładał on obecność Skumata. Cholerne utopienie telefonu wszystko zatem dodatkowo utrudniło.

Sfrustrowany obserwował tamten dom całą noc i gorączkowo myślał, jak to wszystko rozegrać. Nie wiedział, co robić. Bał się wracać po posiłki, by pod żadnym pozorem nie spuścić Karoliny i Tomka z oczu i by nie okazało się potem, że nagle gdzieś w niewyjaśniony sposób się ulotnili. Z drugiej strony bał się wkraczać do akcji. Widział popis tego faceta w piątek na suwalskiej ulicy i to właśnie jego obawiał się najbardziej. Nawet Skumat pewnie miałyby z nim niemałe problemy.

Słowem – siedział w tej łódce jak debil i w walce z zagwozdkami przerobił wszystkie możliwe konstelacje swoich dłoni.

Nagle zwrócił uwagę, że o około trzeciej Rogucki wyszedł z domu

i poszedł w nieokreślonym kierunku. Pod wpływem tego zajścia podjął błyskawiczną decyzję. Jak na tak krótki czas jego obmyślenia był to zaskakująco dobry plan. Postanowił, że koncepcja planu B się nie zmieni i zabije tego chłopaka (trudno, musieli go poświęcić) za pomocą jego pena do insuliny, a potem porwie tę dziewczynę. Cała wina za morderstwo miała spaść na Andrzeja, a on zaś dzięki temu przez cały czas mógł pozostać w cieniu. W końcu kto mógłby go podejrzewać?

Rogucki nie zamknął za sobą drzwi, więc z dostaniem się do domu Giedejt nie miał najmniejszych problemów. Był tak zaaferowany, że nie zdjął ani butów, ani kurtki, co poskutkowało zostawieniem po sobie śladów, ale już nawet o tym wtedy nie myślał. Czym prędzej wbiegł na piętro, po cichu wszedł do ich pokoju i zaczął szukać w plecaku Tomka narzędzia przyszłej zbrodni, co mu się w końcu udało. Już miał wyjąć z tego piórniczka pena, gdy wtem wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Karolinie najprawdopodobniej przyśnił się jakiś koszmar i obudziła się z krzykiem, a to oczywiście spowodowało, że obudził się również i jej chłopak.

Giedejt spanikował... Porzucił pena i czym prędzej stamtąd spieprzył.

Plan się nie powiódł.

Tym bardziej był więc dla siebie pełen podziwu, że tak szybko udało mu się potem wymyślić plan C. Plan tak szalony, tak abstrakcyjny, że w teorii niemożliwy do wykonania. Mianowicie – błagając w duchu opatrność, by Karolina i Tomek z samego rana wracali do Dębisk, ulepszył im w samochodzie choineczkę zapachową. Po prostu nasączył ją Jaćwinką tak obficie, że niemal nią ociekała. Ileż wymagało to od niego wysiłku! Ileż to on się musiał nabiegać, by czym prędzej dotrzeć pod klasztor, gdzie było zaparkowane również i jego cywilne auto... Wilgotny od tego świństwa odświeżacz zmienił nieco kolor, co mogło stanowić pewne ryzyko. Nie był to jednak najlepszy moment na wybrzydzenie. Giedejt skorzystał z policyjnego doświadczenia z autami, włamał się do audi i w porę zrobił, co trzeba. W porę, bo gdy z ciężkim oddechem odpoczywał po akcji na tylnym siedzeniu swojego pojazdu, dostrzegł ich dwoje wybiegających z nienacka zza klasztoru. Byli przeraźliwie mokrzy, przerażeni i nie mieli nawet na nogach butów. Wyglądało to, jakby tuż po jego wizycie w domku Roguckiego także w popłochu z niego uciekli. Zapewne odkryli jego błotniste ślady i bałagan w pokoju. Mogli się przestraszyć. Tym bardziej więc powodzenie akcji Giedejta było godne

uznania. Jak to się w ogóle mogło udać?! Niesamowite!

A jednak się udało. Przebiegli przez las przy Wigrach nieodurzeni, dotarli do swojego samochodu, wrócili do Dębisk i dopiero tam Jaćwinka zaczęła działać. We właściwym miejscu.

Niewiarygodne...

Pierwsze wizje nawiedziły tę dziewczynę już świeżo po powrocie do domu Norbutów, więc – z tego, co opowiadała Skeda – zdecydowali się stamtąd uciekać. Uciekać samochodem, w którym w dalszym ciągu wisiała ta choineczka.

Efekt tego mógł być więc tylko jeden...

I z tego, co Giedejt usłyszał podczas ich przesłuchania w szpitalu, był on całkiem ciekawy. Mocniejszy, niż mógłby się spodziewać po obserwowaniu ich leśnych poczynąń przez cały ten wielkanocny dzień...

Jak to dobrze, że gdy po uratowaniu ich Rogucki wezwał policję, to zgłoszenie przyjęła Bełdyka... Jak to dobrze, że to on mógł się tym natychmiast zająć... Jak to dobrze, że jakimś cudem miał krótką chwilę, w której był z tym nieprzytomnym dwojgiem na szpitalnej sali zupełnie sam i mógł błyskawicznie zmyć z czoła tej dziewczyny pozostałość po narysowanym jej przez Skedę znaku...

\*

Tomek przerwał nagrywanie w aplikacji i czym prędzej odtworzył plik od samego początku. Musiał się spieszyć, gdyż bateria telefonu była już na skraju wyczerpania. Nagranie zaczynało się od lekkiego szurania, co najpewniej odpowiadało pocieraniu telefonu o kieszeń Roguckiego. W końcu dały się słyszeć dwa trzaśnięcia drzwiami, a po nich na moment zapadła cisza.

– Słucham zatem. – Z telefonu dobył się głos pana Andrzeja. Wstrzymali oddechy.

– Tak w zasadzie to mam do pana tylko jedno pytanie. Ale bardzo ważne. Czy ktokolwiek jeszcze oprócz pana wie o tym, co wydarzyło się tej nocy? Czy jest jeszcze ktoś, kogo mógłbym przesłuchać?

– Nie – skłamał Rogucki. Na pewno doskonale pamiętał i zdawał sobie wtedy sprawę, że wiedziała o tym, co prawda bardzo niewiele, ale jednak, chociażby pani Górka.

– Dobrze, wybornie – odparł Roszkowski i już po chwili rozległo się na nagraniu ciche pyknięcie, po którym nastąpił lekki trzask.

Jeszcze zanim w iPhone padła bateria, usłyszeli z niego ryk silnika radiowozu.

Z początku jeszcze nie rozumieli, o co w tym wszystkim chodzi, ale nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, obydwój w tym samym momencie pojęli wszystko i jednocześnie zakrzyknęli:

– Ten Roszkowski jest krewnym jednego gościa z tej wioski! – wrzasnął Tomek.

– Od kiedy to wysyła się funkcjonariusza drogówki do takich spraw?! – zawołała Karolina.

Jakby tego było mało, dokładnie tuż po ich chóralnym krzyku po lesie rozniósł się echem pewien piskliwy, przerażająco znajomy im krzyk...

Tomek czym prędzej sięgnął po mikrofon od policyjnego radia, ale Karolina złapała go za ramię.

– Zostaw! Skąd możesz wiedzieć, ilu jeszcze jest z nimi w zmowie?!

Miała rację.

– Ja pierdolę... Musimy spieprzać...

Czym prędzej otworzył drzwi, pomógł jej wysiąść, wymontował jeszcze z auta akumulator, który porzucił potem niedaleko jednego ze znajdujących się w pobliżu płaskowyzu z cmentarzyskiem domów (wszystkie wyglądały na dziwnie porzucone, jakby opuszczone z dnia na dzień) i po raz kolejny zaczęli biec w kierunku drogi krajowej numer osiem. Nie zapomnieli też o wzięciu ze sobą iPhone'a Roguckiego. Gdy mijali ostatnie rzędy drzew, nie mogli pozbyć się wrażenia, że te – pomimo braku wiatru – przechylają się trochę w ich stronę.

Zupełnie tak, jakby coś chciało ich w tym miejscu zatrzymać...

\*

Dotarłszy w końcu do Dębisk, Giedejt rozejrzał się nerwowo. Sobotnia burza, która odcięła im prąd, oraz brak zasięgu sieci komórkowej w tym lesie sprawiły, że nikt z tej pozostałej garstki ukrytych w piwnicy domu Norbutów Jaćwingów nawet nie wiedział, że tu teraz jest, i nie był w gotowości.

No tak, ale ich świadomość o jego obecności tutaj to jedno, potrzebna była jeszcze ich odwaga do wyjścia na zewnątrz, która wcale nie była teraz taka oczywista.

Tuż po tym, jak zakopał ciało tego faceta i wyczyścił samochód ze śladów jego krwi, przeczuwając, że młodzi bardzo szybko opuszczą szpital,



od razu wrócił pod niego i bez przerwy czatował, więc siłą rzeczy nie miał jak skontaktować się z resztą. Pewnie, że ich jeszcze wcześniej namawiał, by wyszli i pomagali mu w terenie, ale po pożarze lasu zachowywali się jak autystyczne dzieci i obsesyjnie bali się opuścić piwnicę. Po raz kolejny na myśl o tych pozostałych kilkuset tchórzach, którzy uciekli, a którzy uczyniliby to wszystko o wiele prostszym, się zagotował.

Dobiegł do ostatniego, zamkniętego teraz na cztery spusty domu i z trudnością wgramolił się do środka przez wybite okno od kuchni. Wyszukał w sekretnym schowku klucz od piwnicy i ruszył przed siebie korytarzem na parterze, aż w końcu dotarł do obranych sobie wcześniej za cel drzwi.

Dalej tam byli.

Pomimo panującego w piwnicy półmroku zrezygnowanie, przybicie i przestraszanie na ich twarzach były aż nadto widoczne. Retuna siedziała przy polowym łóżku, na którym leżała Skeda. Giedejt z całej siły starał się nie spojrzeć teraz na młodą Norbutównę. Jej obecne, makabrycznie okaleczone przez Andrzeja Roguckiego oblicze nie miało już za wiele wspólnego z jej uprzednim, pięknym wizerunkiem. Rozejrzył się dalej. Siedzący na ziemi pod ścianą Gojwet z całej siły przytulał do siebie swoją żonę i dzieci, które – na co dzień nieznośne – były już chyba na tyle duże, by rozumieć powagę sytuacji. Jego szwagier – Skomand – postawny, pocieszny grubas – miał nieobecny wzrok i niebezpiecznie się chwiało. Niewątpliwie wyglądał na takiego, który od dawna topił swoje smutki w wódce.

– Mam ich – wychrypiał Giedejt, czym od razu zwrócił na siebie uwagę pozostałych. Milczeli.

– Siedzą w samochodzie i czekają na mnie, myślą, że poszedłem na zwiady. Musimy iść tam wszyscy i to dokończyć!

Wciąż się wahali.

– Musicie mi pomóc! On daje nam jeszcze jedną szansę! Szedłem normalnie przez las i nic się nie działo... Jeszcze możemy to naprawić... Zróbmy to!

Przerwał, gdy Retuna w końcu wstała, a za nią wszyscy pozostali – z wyjątkiem Skedy.

\*

Gdy Karolina dostrzegła dwoje znajomych Włochów, którzy istotnie stali na poboczu drogi pomiędzy Augustowem a Grajewem i machali rękami w poszukiwaniu okazji, odwróciła wzrok.

Pomimo że popadła w paranoję i nie zamierzała ufać już nikomu dopóty, dopóki ostatecznie nie znajdą się w Warszawie, Tomek zdołał ją przekonać, by próbowali złapać autostop, co udało im się niemal natychmiast. Uprzejmy kierowca tira (o zgrozo – Litwin), jak twierdził, jechał właśnie do stolicy i szczęśliwie zgodził się ich zabrać. Wszystkie trzy telefony, które mieli przy sobie, były rozładowane, zresztą i tak zgodnie uznali dzwonenie na policję za zbyt ryzykowne. Postanowili, że zgłoszą się z tą niesamowitą historią osobiście na posterunek dopiero w Warszawie. Tata Karoliny miał tam kilkoro przyjaciół, którym siłą rzeczy mogli zaufać.

Poprosili o skorzystanie z komórki kierowcy tylko na dwa krótkie połączenia. Karolina w życiu się nie spodziewała, że jej pierwsza rozmowa z matką po jej środowym perfidnym daniu jej do zrozumienia, by ta lekko poluzowała, odbędzie się w takich okolicznościach i w takiej wciąż pełnej przygnębienia i zagrożenia atmosferze. W życiu nie spodziewała się też, że jej głos kiedykolwiek będzie dla jej uszu czymś tak cudownym. Tym boleśniesz było więc dla niej przekazanie pani Górskiej, że na razie nie może gadać i o wszystkim porozmawiają, jak tylko spotkają się w drodze (jej rodzice natychmiast wyruszyli w trasę, by ich jak najszybciej przejąć). Zresztą wątpiła, by bateria telefonu Litwina wytrzymała długość tej ewentualnej rozmowy. I to nawet naładowana do pełna.

Drugie połączenie wykonał z kolei Tomek. Jakże to było dziwne, że gdyby nie fakt, iż skontaktowali się z nimi Górcy, jego rodzice ani trochę by się nie martwili i niczego by się nawet nie domyślili. Jedynie mieliby do niego tylko drobne pretensje, że w Wielkanoc nie można się było do niego dodzwonić. A gdyby akurat teraz nie wyczekiwali z niecierpliwością od niego wieści, byliby szczerze zdziwieni tym, iż sam wykonuje do nich telefon. Słuchając pretensjonalnego jęczenia swojej mamusi, uśmiechnął się pod nosem.

Kochał ją.

Już w trakcie podróży dowiedzieli się, że znalezienie któregośkolwiek ze sprawców całego zamieszenia może się okazać trudniejsze, niż początkowo sądzili. W ogólnopolskim radiu podano bowiem informację o ogromnym pożarze, który wybuchł w lesie za Suwałkami, i bynajmniej nie chodziło o ten nocny. Już godzinę później komunikat rozszerzono o dość ciekawą informację, że doszczętnie spłonęła wioska, ale co było najdziwniejsze, wyglądało to tak, jakby starannie zadbano, by ogień nie objął puszczy, która

ją otaczała. Nie znaleziono żadnych ciał.

Rodzice Karoliny pędzili na spotkanie z nimi jak na złamanie karku, więc pożegnali się z Litwinem już w Łomży.

Gdy po raz kolejny zalewając się łzami, Karolina padła w ramiona mamy, nie mogła wykrztusić z siebie ani jednego słowa, więc obiecaną rozmowę trzeba było odłożyć na później. Trwała w silnym uścisku w matczynych objęciach na tylnym siedzeniu nawet wtedy, gdy dojechali już do apartamentu Górskich w Warszawie. Tomek, który usiadł z przodu i referował ojcu dziewczyny wszystko to, co wydarzyło się od środy, nie dotarł w swojej opowieści nawet do połowy. Kontynuował ją już w mieszkaniu, najpierw w towarzystwie samego mężczyzny, a potem, gdy Karolina z pomocą pani Górskiej zdołała zapaść w końcu w tak bardzo jej teraz potrzebny, kojący sen, już obydwójga rodziców. Choć nie miał ani apetytu, ani insuliny, która została gdzieś tam w porzuconym w suwalskim lesie samochodzie, dali mu też coś do zjedzenia.

Zszokowani Górscy bez żadnej dyskusji zarządzili, że należało się z tym wszystkim czym prędzej zgłosić na policję. Słusznie uznali jednak, że w tej chwili najważniejsze jest, by młodzi odpoczęli. Postanowili zatem zrobić to następnego dnia i zaproponowali Tomkowi, by także się położył, i to do jednego łóżka z Karoliną. Bardzo im wdzięczny, ale rzeczywiście znużony i przeraźliwie zmęczony zasnął niemal natychmiast i spał przez cały dzień. Nie obudził się ani razu aż do nadejścia nocy.

\*

Coś sprawiło, że Tomek się obudził. Nie wiedział, co to było. Czy jakiś hałas, czy niespokojny ruch śpiącej Karoliny, czy może sen, którego nie pamiętał. Wciąż czując na ciele trudy ich niedawnych przygód, z największą ostrożnością podniósł się, wstał i podszedł do okna.

Spokojna noc na warszawskich Bielanych trwała w najlepsze, a przez osiedle przetaczał się delikatny szum – teraz już dla odmiany nie lasu, a wciąż dosyć intensywnego ruchu samochodów po stolicy.

Nie skupiał się jednak na nim.

Niesamowita historia...

A jednocześnie tak przerażająca, tak mroząca krew w żyłach... I bynajmniej nie było w niej najstraszniejsze to, co podczas tego narkotycznego upojenia spotkało ich w tym nieszczęsnym lesie. Nie, to nie dziady borowe, topielce czy żeńskie demony pozostałe po samobójczyniach

były elementami, które mogły w niej wzbudzać największy strach.

Nie.

Najstraszniejszy był ten ludzki fanatyzm.

Zimny, bezwzględny. Sprawiający, że nie liczyła się już tak podstawowa, niepodlegająca dyskusji wartość jak ludzkie życie. Jasne, tak jak dyskutowali wtedy w sobotę na łódce, chrześcijanie też mieli wiele na sumieniu, ale była to już przeszłość. Ktoś przejrzał na oczy i słusznie uznał, że nie tędy droga. Jasne też, że ci fanatycy z Białodębów i okolic to nie była jedyna sekta na świecie, która składała krwawe ofiary z ludzi. Ale czym innym jest czytanie o tym wzmianek albo patrzenie przez szkło telewizora na dżihadystów na Bliskim Wschodzie, a czym innym fizyczne spotkanie im podobnych, a co gorsza – jednoczesne bycie ich celem.

Do czego są zdolni tak śmiertelnie zaciętrzewieni ludzie jak oni... Co są w stanie zrobić w imię jakichś idei. Z pozoru normalni, z pozoru sympatyczni, niewzbudzający żadnych podejrzeń, a jedynie zaufanie. Wyglądający jak typowi przedstawiciele gatunku homo sapiens, jakich codziennie mija się na ulicy tysiące. To tak jak z górą lodową – najstraszniejsze i najniebezpieczniejsze jest w nich jednak to, co jest pod wodą. To, czego nie widać. To, co mają w skażonych przez zakłamanie i religię głowach.

Zabijać w imię wiary...

A więc w imię czegoś, czego tak naprawdę się nie wie. W imię czegoś, czego się domyśla. W imię czegoś, co tak naprawdę jest ułudą. Jaki jest w tym sens? Po co to? Czy oni naprawdę wierzą, że dzięki corocznie wykonywanemu okrutnemu rytuałowi będzie im się żyło lepiej? Że doznają jakichś dodatkowych, niespodziewanych łask? Że będą mieli lepsze plony? Że drzewo nie zwali im się na dom, a wichura nie pozrywa kabli? Przecież jedno nie ma z drugim nic wspólnego! Jak można wierzyć, że czyjaś śmierć na polowym stole może na to wpływać? Jak można być aż tak szalonym i głupim? Jak można opierać swoje działania na czymś takim? Jak można być tak pozbawionym trzeźwego, samodzielnego myślenia?

Można... I gdyby nie to, że ta w ich mniemaniu siła była jednocześnie ich największą słabością, zakończyłoby się to tragicznie.

Świat jest jak matematyka... Tak jak w wielu jej poddziedzinach pewne toki myślenia są analogiczne, tak w każdej grupie ludzi wszystko działa w identyczny sposób. Tomek był pewien, że na bank istniało w tej sekcje

coś w rodzaju starszyny, która już od samego narodzenia robiła Jaćwingom swoiste pranie mózgu. Zaślepiła, mamiała i od dziecka wpajała im to chore spojrzenie na świat. Pewnie nawet nie zdawali sobie sprawy, że dla normalnego człowieka to, co robią, to, w co wierzą, brzmi jak jedno wielkie wariactwo. Obłąd. Macie nienawidzić chrześcijan. Macie wierzyć, że rzeczywiście istnieje leśny demon, i oddawać mu cześć. Macie zabijać w imię wiary.

Dlaczego?

A kto by się tam przejmował takimi szczegółami. Po prostu to zróbcie. Zróbcie, a będziecie bardziej wartościowi. Pełniejsi. Przysłużycie się światu. Być może doznacie też przy okazji jakichś łask, ale nie obiecujemy.

Nie różniło się to niczym od propagandy serwowanej przez chrześcijaństwo, ale z dwojga złego Tomek wolał już Jezusa Chrystusa. W jego kulcie obrządku przynajmniej sprowadzały się jedynie do takich drobnostek jak skrapianie wiernych wodą albo kadzenie ołtarza. Jasne – ma to równie wielki sens jak zabijanie ludzi na spróchniałym stole w środku lasu, ale przynajmniej w jednym jest lepsze. Nie czyni nikomu krzywdy.

Jeżeli coś, co sprowadza się finalnie do morderstw, jest sensem czyjegoś życia, to do czego tak naprawdę zmierza ten świat? Dokąd dążymy? Czy aby na pewno jeszcze wiemy, o co w tej całej zabawie chodzi? Czy jakiegokolwiek praktykowanie wiary nie ma przede wszystkim na celu ukierunkowywania ludzi na właściwe tory? By wiedzieli, co jest dobre, a co nie? By mieli punkty zaczepienia? Nawet jeżeli jest to pewne pójdzie na łatwiznę, lenistwo, to – tak jak mówił pan Andrzej – w gruncie rzeczy nie powinno to być nic złego. A jednak...

Jak można było dopuścić, by doszło do takiej sytuacji, w której zabójstwo uważane jest za coś dobrego? Jak można było dopuścić, by czyjeś istnienie opierało się *de facto* na nienawiści za przeszłość?

Jak można było dopuścić, by czyjeś istnienie opierało się w ogóle na jakiegokolwiek nienawiści?

Makabra...

A najgorsze w tym wszystkim było to, że cały ten proceder tak naprawdę nie został przerwany. Ktoś jednak zginął. Choć Karolinę udało się szczęśliwie ocalić, Andrzej Rogucki, ten niesamowicie szlachetny, dobry, sympatyczny, pomocny, altruistyczny człowiek, został zamordowany. Zastrzelony z zimną krwią, na co dowód mieli na jego

bezpiecznie leżącym teraz na biurku telefonie. To był piekielnie inteligentny facet. Przeczuwał, że nagranie tej rozmowy z policjantem może mu się potem do czegoś przydać, na pewno czuł, że coś tu nie gra. Ale na pewno nie spodziewał się, że od razu dostanie kulkę w łeb. Ot tak, po prostu. Pstryk i już go nie było. Zginął, bo podobnie jak oni znalazł się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Zginął, choć na to nie zasłużył, postępował tylko w zgodzie ze sobą, ze swoimi zasadami. Mógł olać ich nocną ucieczkę i dalej żyć. Mógł czekać, aż za sprawę weźmie się policja. Mógł zrobić wszystko inne niż to, co finalnie postanowił. Mógł, ale tego nie uczynił. Nie czekał, tylko działał. Zdecydował się bezinteresownie wystawić na talerz tym chorym psychicznie ludziom i pomóc dwójce studentów, których poznał zaledwie dwa dni wcześniej. Jakże okrutnym zrzędzeniem losu jest, że w istocie zdecydował o tym tylko jeden życiowy wybór, w którym Karolina postanowiła zaprosić go na obiad, czego rezultatem była ich znajomość. Efekt motyla, który poskutkował śmiercią. Gdyby nie to, nadal by żył. Dalej, jakby nigdy nic. Dalej żyłby w błogiej nieświadomości tego, co się wokół niego corocznie wyprawia. W dalszym ciągu codziennie o trzeciej w nocy chodziłby sobie nad jezioro i wypatrywał swojej żony, a za dnia prowadziłby jak zawsze udane interesy.

A oni z kolei obydwójce leżeliby już w piachu...

Gdy po raz kolejny przypominał sobie, co mu powiedział, kiedy rozstawali się po raz ostatni, Tomek zacisnął pięści, a jego oczy pokryły się łzami. Nie było sprawiedliwe to, że on nie żył, a ci, którzy odpowiadali za jego śmierć, dalej łazili sobie po ziemskim padole i śmiali się pozostałym w twarz...

„Boże... Dlaczego uczyniłeś ten świat właśnie takim?” – pomyślał i drgnął, gdy zdał sobie sprawę, do kogo właśnie się zwraca.

„Mam nadzieję, że pan wie, panie Andrzeju... Pan wie, że bardzo żałuję tego, co powiedziałem, i zrobię wszystko, by ci skurwiele odpowiedzieli za każdą zbrodnię. ZA KAŻDĄ ZBRODNIĘ, jakiej tylko kiedykolwiek się dopuścili...” – pomyślał i znowu dopiero po chwili do niego dotarło, że zważywszy na jego brak wiary w życie pozagrobowe, myśl ta była bardzo głupia...

Niemniej, w obliczu tego, jak się czuł, lepiej byłoby, gdyby to życie jednak istniało... Wiedział, że wtedy Rogucki przyjąłby jego przeprosiny.

„Dziękuję panu...” – dodał w myślach. – „Wieczny odpoczynek...” –

przerwał, by po chwili machnąć ręką i dokończyć: „...racz mu dać, Panie”.

Z zamyślenia wyrwał go widok, w który przez cały czas nieświadomie wpatrywał się od momentu podejścia do okna. Choć początkowo wydawało mu się, że o tak późnej porze blokowisko było zupełnie puste, mylił się jednak. Na małym skwerku na ogrodzonym osiedlu wyraźnie majaczył bowiem jakiś nieruchomy, ludzki kształt i wyglądało to tak, jakby ten ktoś niezmiennie wpatrywał się w okno, za którym Tomek obecnie stał...

Nim chłopaka na nowo ogarnął przestrasz, wziął się w garść, gdyż zdał sobie sprawę, że był to po prostu pień jednego z drzew.

Mogło jednak zadziwiać, jak wiarygodnie jego kształt w połączeniu z grą światła blasku księżyca i latarni oraz bujną wyobraźnią mógł zamienić go w mężczyznę...

Tomek zasunął szczelnie zasłony, odszedł od okna i wsunawszy się do łóżka, po raz kolejny objął Karolinę. Przywarł do niej tak intensywnie, że już po chwili ciała obydwójga pokryły się potem.

Nie zasnął jednak. Wyczekiwał upragnionego poranka.

\*

Otworzyła oczy.

Nie zrobiło to jednak w zasadzie żadnej różnicy, bo i tak wokół panowała gęsta, nieprzenikniona ciemność. Gęsta i nieprzenikniona jak las, w którym aktualnie się znajdowała.

Z początku nie pamiętała nawet, gdzie jest ani co konkretnie się dzieje. Ba, nie była nawet pewna, kim jest ani jak się nazywa. Wspomnienia i świadomość zaczynały do niej wracać dopiero wtedy, gdy uczyniła pierwszy ruch i poczuła, że coś blokuje jej nadgarstki i kostki u stóp.

Była zawieszona pionowo tuż nad ziemią jak jakaś kuriozalna imitacja człowieka witruińskiego Leonarda da Vinci. Jak jakaś pieprzona uwiązana sznurkami do rąk i nóg marionetka. Jej kończyny były rozciągnięte maksymalnie na boki i przyczepione do czegoś z zewnątrz. Próbowwała się ruszyć albo chociaż dotknąć tego czegoś, co ostro wbijało jej się w skórę dłoni i stóp, ale ani w jednym, ani w drugim przypadku nie dała rady.

Dopiero po chwili jej zmęczony, wyniszczony tymi wielodniowymi, wypełniającymi ją napięciem i strachem umysł zdał sobie sprawę, że to coś to giętkie, cienkie, szorstkie, uwiązane wokół jej kończyn gałęzie drzew. Drgnęła na tę myśl jeszcze mocniej, gdyż w jej wyniku przypomniała sobie

prawie wszystko.

Prawie...

Na pewno przypomniała sobie, od czego to się zaczęło...

Od tej imprezy w piątek... Od tej imprezy w lesie, którą urządziła razem ze swoim kumplem i fuckfriendem w jednym. Jak on się nazywał...? No kurwa, przecież powinna to pamiętać! O! Krzysiek! Tak... Przyjechała do niego z Warszawy. Trochę poimprezowali, ale znudził im się zwykły melanz w domu, więc zdecydowali się na coś o wiele większego. Na bibę w amerykańskim stylu, na którą mógł wpadać, kto tylko chciał.

Przyszła nawet Karolina... Z Tomkiem... Przypomniała sobie, że spotkała ich przecież na mieście. Niepojęte, że po tylu latach spotkali się właśnie tutaj.

Na tej imprezie coś się wydarzyło... Tak, coś niedobrego.

Ach tak, w pewnym momencie, nie wiadomo skąd, wparowali na nią jacyś dziwni, agresywni ludzie z zewnątrz i zrobili awanturę. Że niby palenie ognisk w parku narodowym jest zabronione i tak dalej... Przypomniała sobie, że jeden facet wymierzył jej potężny cios w twarz. Cios, który nawet teraz wciąż czuła na policzku... Wciąż, pomimo wielu innych nowych ran, które od tamtego czasu wytworzyły się na jej ciele.

Pamiętała, że wywiązała się regularna bijatyka, którą ci ludzie z lasu bez problemu wygrali. Było wśród nich wielu ogromnych mężczyzn, więc taki jej wynik nie był raczej zbytnim zaskoczeniem. Złali ich i zmusili, by się stamtąd natychmiast wynieśli. Aśka i reszta dali im się sterroryzować, porzucili wszystko i czym prędzej uciekli z tej polany samochodami.

Z rana, gdy wytrzeźwieli i dotarło do nich, co się właściwie wydarzyło, Krzysiek zarządził, że tam wrócą. Co prawda Leszczyńska miała pomysł, by zgłosić to wszystko na policję, ale w tamtej chwili ważniejsze było sprawdzenie, czy cokolwiek z tego, co porzucili, dało się jeszcze odzyskać. A zresztą i tak wiedziała, że chłopak chce to załatwić po swojemu. Po męsku. Psy nie były mu do niczego potrzebne. Zebrał więc wielu kumpli i w kilka samochodów od razu tam pojechali.

Co było potem?

Trudno to wytłumaczyć.

Na tej polanie nie znaleźli niczego, co mogłoby świadczyć o ich wczorajszym tam pobycie. Żadnych namiotów, resztek jedzenia, butelek ani innych śmieci. Mało tego – nie było nawet śladu ogniska! Pamiętała, że



Krzysiek szczerze się wtedy wkurzył, bo bądź co bądź należało słusznie uznać, że ich zwyczajnie okradziono. Zamierzał więc wrócić na główną żwirówkę w tym lesie i w dość logicznym przeczuciu, że ci skurwiele mieszkali gdzieś w okolicy, jechać prosto, aż dojadą do jakichś zabudowań.

No i wtedy...

No i wtedy pojawił się problem. Mianowicie...

Ech, no kurde...

Brzmiało to idiotycznie, ale po prostu nie mogli wyjechać z tej polany. Wspomnienia z soboty były już w jej głowie tak zatarte, że nawet nie do końca pamiętała dlaczego. Przez ułamki sekund migał jej jedynie motyw, że droga wtedy po prostu...

Zniknęła...?

Ale jak to w ogóle było możliwe?!

Z początku myśleli, że być może jeszcze do końca nie wytrzeźwieli, ale otaczające ich z każdej strony drzewa okazały się prawdziwe. Naprawdę wystawały z ziemi, jakby były tam od zawsze. Pamiętała, że ich dotykali. Pamiętała, że obeszli całe tworzone przez nie kółeczko. Nic, zero ścieżek, przez które mógłby przejechać samochód... Czy to teraz, czy to tę chwilę wcześniej. Ogłupiały Krzysiek zarządził w końcu, że na razie zostawią fury i pójdą w poszukiwaniu pomocy piechotą.

No i wtedy...

No i wtedy pojawił się kolejny problem. Mianowicie... Szli cały czas w stronę drogi krajowej...

Szli...

Szli...

I szli.

I nie mogli do niej dojść. Las zdawał się ciągnąć w nieskończoność. A co jeszcze dziwniejsze – wszystkie inne ścieżki i tory kolejowe, choć jeszcze kilkanaście minut wcześniej były na swoich miejscach, również wyparowały. Podobnie jak cała reszta, Aśka próbowała sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie wzięła dzień wcześniej jakiegoś zioła, ale chyba nic takiego się nie wydarzyło.

Nie potrafili więc w żaden sposób tego wytłumaczyć.

Nie wiedząc, co robić, zdecydowali się iść po prostu przed siebie, aż gdzieś dotrą. Z coraz bardziej rosnącym wraz z każdym pokonanym metrem przestrachem.

No i wtedy...

No i wtedy pojawiły się kolejne problemy... Tak, nie bez powodu użyła liczby mnogiej. Było ich bardzo dużo. Coraz to nowe... Na przykład... Zaraz... Co to było? Usilnie próbowała to sobie przypomnieć, ale nie potrafiła. Nic, pusto, żadnych wspomnień. Jedyne, co była w stanie teraz stwierdzić, to oczywisty fakt, że wszyscy jej towarzysze, co do jednego, już nie żyli...

Drgnęła, gdy usłyszała za sobą kroki.

– Ratunku! Niech ktoś mi pomoże! Jestem tu uwiązana! Błagam... Niech ktoś mnie uwolni! – krzyknęła ochryplym głosem. To jej z kolei przypomniało, że w ciągu ostatnich dni używała w tym celu swojego sfatygowanego gardła bardzo wiele razy.

Nagle poczuła dziwny niepokój, a początkowa spowodowana tym nieoczekiwanym spotkaniem ulga ustąpiła coraz większemu napięciu.

Było w nim bowiem coś dziwnego... Coś, co z jakiegoś powodu mroziło jej krew w żyłach. Z początku nawet nie potrafiła powiedzieć, co to takiego, ale już po chwili ten oczywisty fakt wreszcie do niej dotarł.

Na swój sposób przerażające w tajemniczym, krocącym za nią powoli osobniku było właśnie to, że... po jej krzyku nie przyspieszył kroku. W dalszym ciągu szedł tym samym, przeraźliwie wolnym tempem.

Zupełnie jakby to, co się z nią działo, w żaden sposób go nie zaskoczyło...

Albo – co gorsza – był za to odpowiedzialny...

Skrzywiła się, gdy wtem powietrze wokół wypełnił obrzydliwy, trupi odór. Skupiła się na tym tak bardzo, że nawet nie zauważyła, iż kroki niepostrzeżenie ucichły. Dopiero gdy zdała sobie z tego sprawę, zeszywniała.

Czuła za sobą czyjąś obecność. Czuła jak jasna cholera. Najbardziej nieznośna była ta martwa cisza, w której nie dało się słyszeć nawet oddechu tego kogoś, więc tym większe miała obawy, co może za nią stać.

Nie kto.

Co.

Wtem to usłyszała. Ten makabryczny, bulgotliwy głos, który rozległ się tuż przy niej. Co było w nim najstraszniejsze – jednocześnie kwiecisty i szarmancki, jakby jakiś mężczyzna szeptał jej właśnie czule do ucha.

– Witaj Joanno... Podobno lubisz się bzykać... Podobno lubisz duże

kutasy... A przede wszystkim podobno lubisz eksperymenty...

Nie zdążyła nawet drgnąć. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Nie zdążyła zrobić nic, gdy ogromna, oślizgła łapa zacisnęła się na jej ustach, a druga jednym krótkim ruchem porwała jej w kroku spodnie.

Gdy to coś przywarło do niej swoim wilgotnym, śluzowatym ciałem, a potem w nią weszło, próbowała jeszcze rozpaczliwie wrzeszczeć. Jej przytłumiony, płaczliwy jęk był bardzo głośny i doskonale słyszalny. I to nawet pomimo tej martwej dłoni, która w dalszym ciągu zatykała jej usta.

\*

Noc nad Wigrami była nad wyraz spokojna i bardzo kontrastowała z tą niesamowitą nawałnicą, która przetoczyła się nad jeziorem dwa dni wcześniej. Powietrze stało w miejscu i nie powodowało nawet najmniejszego szumu otaczających rozlewisko drzew. Piękny srebrny półksiężyc odbijał się na gładkiej jak stół tafli.

Nagle jego perfekcyjne odbicie zostało lekko zniekształcone przez drobne bąbelki, które pojawiły się niedaleko plaży przy Żółtych Piaskach. Nie były to bynajmniej pęcherzyki powietrza wydobyte przez jakiegokolwiek żywe płuca. Nie, była to zwykła reakcja wody na lekkie zaburzenie tuż pod jej powierzchnią.

Stopniowo zaczęły wylaniać się spod niej długie, splątane włosy; sina, przegniła twarz; wciąż jędrne, ładne kobiece piersi i cała reszta. Nieobecne, wydawałoby się, oczy od samego początku utkwione były na brzegu jeziora.

Poczwara chyba nie zastała tam osoby, którą spodziewała się w tym miejscu zobaczyć (oczywiście o ile można mówić o „spodziewaniu się” w kontekście osoby, która nie żyje), bowiem gdy była już wystarczająco blisko, otworzyła usta i zupełnie normalnym, jakby żywym, zupełnie niepasującym do jej obecnego wyglądu kobiecym głosem szepnęła:

– Andrzej...?

– Andrzej nie żyje. – Niespodziewanie rozległo się w odpowiedzi z leśnej ciemności. Był to głos składający się jednocześnie z dwóch barw: męskiej i żeńskiej. Co więcej, dochodził jakby z każdej strony.

Gdyby zjawa, która właśnie wyszła z jeziora, jeszcze żyła, można by było powiedzieć, że właśnie teraz odczuła coś w rodzaju szoku. I to w żadnym wypadku nie z powodu obecności tego głosu.

– Ale... Ale... jak to?

– Nie żyje. Został zamordowany.

Gdyby zjawa, która właśnie wyszła z jeziora, jeszcze żyła, można by było powiedzieć, że właśnie teraz wykrzywiła twarz w pełnym bóleści i smutku grymasie. Wpatrywała się z milczeniem w gadającą ciemność, a jej sine usta drżały. Wydawało się też, jakby jej oczy stały się jeszcze bardziej wilgotne niż te, które siłą rzeczy od kilku już lat miała wilgotne przez cały czas.

Nie rozpłakała się jednak. Już w następnej chwili jej smutek ustąpił nagłemu napadowi nieokiełznanego gniewu.

Tuż po tym, jak makabrycznie szeroko rozwarła szczękę, nad Wigrami rozniósł się wysoki, wściekły, piskliwy, gardłowy i niesamowicie głośny wrzask.

---

<sup>[1]</sup> *Krewe* – pogański kapłan.

## EPILOG

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Prawda?

\*

NIEPRAWDA.

\*

Minął rok.

\*

Mniej więcej w jego połowie całą Polskę na moment zelektryzowała wiadomość, jakoby w Tatrach, niedaleko samego środka stromego, leśnego szlaku... znaleziono uwięzione między drzewami czarne audi A3. Nie miało jednak tablic rejestracyjnych, więc tożsamość jego właściciela w dalszym ciągu pozostaje nieznana.

Niemniej opinię publiczną interesował najbardziej sposób, w jaki pojazd się tam właściwie znalazł. Bez żadnej logicznej odpowiedzi na to pytanie dochodzenie w tej sprawie ostatecznie zamknięto.

\*

Powoli, bez mogącego wzbudzać niepotrzebną uwagę pośpiechu, samochód posuwał się naprzód pośród nocnej ciemności rozświetlonej iluminacją przydrożnych świateł. Siedzący za jego kierownicą młody mężczyzna miał oczy pełne rozpaczliwych łez, a ręce mu drżały. Nie mógł skupić się na drodze i parę razy o mało co nie przejechał na czerwonym świetle. Na szczęście policja zajmowała się teraz zabezpieczaniem strefy kibica i wszystkiego innego ściśle związanego z meczem Polska – Rosja w ramach Euro 2012, więc raczej nie musiał się obawiać, że ktoś go na tym przyłapie i wlepi mandat. Albo – co gorsza – zacznie zadawać inne niewygodne pytania... W obliczu zamieszek, jakie wybuchły w stolicy podczas przemarszu rosyjskich kibiców przez most Poniatowskiego, dodatkowa mobilizacja sił policyjnych w sumie nie dziwiła.

Siedząca w fotelu obok niego jego teraz już żona najpierw delikatnie poklepała go po plecach i lekko go po nich pomasowała, a następnie wtuliła mu się czule w ramię.

– Zrobiłeś dobrą rzecz... Naprawdę, Tomek... – powiedziała ostrożnie i z najbardziej szczerym możliwym współczuciem. Wiedziała, jak się czuł. Z racji posiadanej wiedzy i umiejętności zrozumienie, wczucie się w czyjś stan było czymś normalnym.

Trochę mu to pomogło, ale zaraz też pod tego wpływem od razu

przypomniawszy sobie po raz kolejny, co się niedawno stało. Nie było siły, by od tego uciekć. Gdy ledwo powstrzymywał się od płaczu, ponownie zadrzęła mu zuchwa.

\*

I. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.

\*

To miał być wyjątkowy dzień. I był.

Od kiedy tylko niespodziewanie powiedział jej, że zaprasza ją na romantyczną kolację przy świecach (co prawda w domu, ale jednak), Karolina przez cały czas chodziła z ogromnym bananem na twarzy. Zwróciła uwagę, że od jakiegoś czasu chodził bardzo zamyślony, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiając. W pełni go rozumiała, bo decyzja, by wreszcie poprosić ją o rękę, na pewno nie była łatwa do podjęcia. Nie dlatego, że się nie kochali. Co to, to nie. Po prostu, tak jak to zawsze w tego typu kluczowych życiowych wyborach bywa, trzeba się było na nie w końcu kiedyś zdecydować.

To, co wydarzyło się przed rokiem, tam, na Suwalszczyźnie (nie pamiętała już, co to było, wyrzuciła to z pamięci), bardzo ich do siebie zbliżyło. Odkryli się nawzajem na nowo, a łączące ich uczucie było chyba nawet dwa razy mocniejsze niż na samym początku. Można więc było powiedzieć, że pod tym względem ta nieszczęsna wycieczka zdała egzamin.

Tomek stał się wzorem mężczyzny. Wydawało się, że dojrzał. Zupełnie zmienił swoje podejście do życia, stał się mniej opryskliwy, wybuchowy i uparty. Zaczął z nią na powrót więcej rozmawiać i starał się ją lepiej zrozumieć. Niemal codziennie starał się ją też obdarzać niesamowitą dawką czułości, co tak naprawdę nigdy jej nie powszedniało. Wszelkie wątpliwości, podobnie jak koszmary senne, zniknęły. Wiedziała, że to ten jedyny, wiedziała też, że on myśli o niej identycznie i to magiczne pytanie, które miał jej wkrótce zadać, było już czystą formalnością.

I wyglądało na to, że stanie się to właśnie dzisiaj.

Powiedział tajemniczo, że przygotowuje im na wieczór coś wyjątkowego, i wysłał ją z koleżankami na miasto. Nie chciała psuć zabawy ani jemu, ani sobie, więc posłusznie opuściła ich mieszkanie na Woli, ale od tematu rychłych zaręczyn nie można było uciec i wypełnił on rozmowy między dziewczynami przez cały mijający czas. Każda przybliżająca ją do tego uroczystego, upragnionego momentu sekunda mijała przez to dwa razy

dłużej.

Wreszcie nadszedł.

Gdy z pełnym szczęścia uśmiechem weszła do pogrążonego w półmroku mieszkania, ubrany w elegancki garnitur Tomek przywitał ją szarmancko i całując jej drobną, drżącą z emocji i uczuć rękę, skłonił się w pas. Pomógł jej zdjąć kurtkę i zaprowadził do salonu, gdzie na samym środku ustawił ich mały, okrągły stół z sypialni – teraz elegancko udekorowany, z czyściutkim, sięgającym ziemi obrusem, dwoma nakryciami i świecami. Oczywiście gdy siadali do kolacji, nie zapomniał odpowiednio dosunąć jej krzesła.

Kiedy wyszedł w celu przyniesienia potraw, które – jak twierdził – sam przygotował, Karolina wsłuchiwała się w cichą muzykę, która wydobywała się z ich starej wieży. Naprawdę zadbał, by wszystko tego dnia było zrobione na fest, bowiem leciały z niej jej ulubione piosenki z gatunku poezji śpiewanej.

Przygotował też same jej ulubione dania... I naprawdę tego dnia smakowały jej najlepiej na świecie...

Nie spieszyli się. Czerpali z tej wyjątkowej chwili tak wiele, jak tylko się dało. Cieszyli się sobą nawzajem. Spędzili przy stole wiele godzin i wspominali, jak od samego początku rozwijał się ich związek. To, jak się poznali, jak się stopniowo docierali, oraz całą resztę wszystkich szczęśliwych, spędzonych razem chwil. Tylko takich. Tego wieczora złe wspomnienia nie miały tam wstępu. Ani jedno.

Gdy Tomek w końcu wstał od stołu, Karolina poczuła w brzuchu przyjemne uniesienie. Tak ogromne, jak chyba jeszcze nigdy w życiu... Podeszedł do niej z dyskretnym uśmiechem, delikatnie ujął za rękę i pomógł jej wstać. Jako że właśnie teraz (na pewno nie było to przypadkowe) z wieży zabrzmiała jej ulubiona piosenka *Syn miasta* zespołu T-Love, ostatnie trzy minuty przed tą wiekopomną chwilą spędzili w pełnym uczucia i najczystszej miłości tańcu. Po nim podprowadził ją z powrotem do stołu, objął ją w pasie i nie przestając jej czule całować, posadził na blacie. Podobało jej się to jak nigdy i przez moment naprawdę miała ochotę całkowicie mu się oddać... Przez moment naprawdę chciała wyrzucić do kosza swoje postanowienie o przedślubnej czystości. Pragnęła go całym sercem, duszą i ciałem.

Wreszcie, po najdłuższym i najwspanialszym pocałunku, jakiego

kiedykolwiek w życiu zaznała (jego oddech był perfekcyjnie świeżutki), odkleił się od niej i bez przerwy głaszcząc ją po policzkach i głowie, westchnął głęboko. Czuła, że drży, podobnie jak ona. Uśmiechnęła się do niego szeroko i spojrzała mu prosto w oczy.

– Karolinko... – zaczął.

– Wal, tygrysie... – odpowiedziała, także odwdzięczając się mu pieścizotami.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia...

– Słucham cię.

– Wydarzyło się w naszym życiu tak wiele... Tak wiele, że można by tym obdzielić wiele innych żyć. Niektórzy twierdzą, że nie ma lepszej szkoły niż szkoła życia. To ona uczy nas najwięcej. I najwięcej nas doświadcza. Wykształca nasze poglądy i otwiera oczy na pewne sprawy. I ja się z tym zgadzam... Różnie z nami bywało. Czasem dobrze, czasem źle, ale wiadomo, że w stu procentach sielankowo nigdy nie będzie i grunt to nauczyć się sztuki kompromisów. Grunt to czerpać z lekcji na przyszłość i wyciągać wnioski, by nie popełniać poprzednich błędów.

– Masz rację, kochanie. – Pocałowała go.

– W pewnym momencie poczułem się, jakbym na nowo zaczął widzieć. Jakbym odzyskał wzrok po ślepcocie...

– Dojrzałeś, skarbie... – Uśmiechnęła się.

– Też. Ale nie mówię teraz tylko o takich rzeczach jak nowe podejście do życia czy szacunek do każdej mijającej chwili. Nie mówię nawet o tym, że na nowo odkryłem, jak wielkie spotkało mnie szczęście, że mam przy boku tak cudowną osobę jak ty...

– To o czym jeszcze?

– Wtedy, rok temu...

Karolina poczuła lekkie ukłucie w żołądku. Nie rozmawiali o tym od wielu miesięcy.

– Nie mówmy o tym... Starajmy się to wyrzucić z pamięci.

– Ale...

– Tomuś... Na świecie jest równowaga, skoro są dobrzy ludzie, to muszą być też i źli. Zawsze znajdą się tacy, którzy będą chcieli nam zrobić krzywdę bez powodu. Ale wtedy przynajmniej możemy być pewni, że możemy zawsze na siebie liczyć, prawda...?

– Nie o to mi chodzi...



– To o co w takim razie?

Tomek westchnął po raz kolejny. Widać było, że bardzo się krępuje i coś mu niesamowicie ciąży.

– Wtedy, rok temu... Byliśmy świadkami nieprawdopodobnych wydarzeń... To co wydarzyło się w tym lesie...

– Skarbie, czy to aby na pewno odpowiedni moment...? – zapytała najdelikatniej, jak tylko mogła, choć wewnątrz czuła lekką irytację. Oczywiście, że nie był to dobry moment! Żaden nie był na to odpowiedni.

– Musisz mnie wysłuchać, bo to naprawdę bardzo ważne... Muszę ci to powiedzieć, zanim... Ja... Ja nie wiem, jak to ubrać w słowa, ale...

– No, wykrztuś to z siebie.

– To, co wydarzyło się w tym lesie... To, co widzieliśmy, słyszeliśmy... To, co przeżyliśmy, można by uznać za nadprzyrodzone, ale zostało to potem racjonalnie wytłumaczone, choć żadne z nas ani przez moment nie dopuszczało wtedy takiego rozwiązania pod uwagę... No więc... Niby zostało wytłumaczone... Ale... Ja... Ech... Ty miałaś rację...

– Z czym?

– Pamiętasz, jak już po wszystkim rozmawialiśmy i mówiłaś, że w twojej wizji przed tą kobietą uratowała cię modlitwa? Albo jak mówiłaś, że miałaś jeden z tych swoich stanów lękowych... Tak silny, że prawie się dusiłaś i też uspokoiłaś się dopiero po modlitwie... Mówiłaś też, że na początku myślałaś... Myślałaś, że to ta modlitwa sprawiła... No, że mogliśmy wreszcie wyjść z tego lasu...

– Tak, ale teraz wiem i jestem tego pewna, że zarówno to, jak i cała reszta tego, co tam przeżyliśmy, to było działanie tego narkotyku. Tylko i wyłącznie. To były halucynacje, Tomek... Bardzo wiarygodne zwidy. Przerażające, ale wciąż zwidy. To nie działo się naprawdę.

– No więc... Ja... Ja myślę inaczej...

– O czym myślisz? – Wciąż nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Wiem, że to zupełnie nie w moim stylu, wiem też, że cię pewnie ogromnie zaskoczę... Ale... Kara... Ja nawet pomimo tego dowodu, że byliśmy naćpani, odurzeni... Ja nie wierzę, że wszystko to, co się tam wydarzyło... w lesie, a wcześniej jeszcze w wiosce... Ja nie wierzę, że to w stu procentach przez to chemiczne świństwo.

Karolina miała lekki mętlik w głowie. Bardzo ją zaskoczył mówieniem w takim momencie akurat o tym, ale też była bardzo ciekawa, do czego

zmierza.

– Co chcesz mi powiedzieć, skarbie?

– Ja... Ja chcę ci powiedzieć, że... Chodzi o to, że... Kurde... Chodzi o to, że ja... Kara... Ja... u-u-uwierzyłem...

Karolina spojrzała mu w oczy i dopiero gdy dotarł do niej sens jego słów, ten nieprzyjemny supeł wewnątrz niej rozwiązał się sam. Zniknął. Rozluźnił się w cudownym uczuciu. Było tak wspaniałe, tak silne, że dosłownie zapierało jej dech w piersiach. Coś wspaniałego! Piękniejszego rozwiązania tego dziwnego dialogu nie mogła sobie wymarzyć. W życiu by się tego nie spodziewała! Był to niesamowity dzień! Fenomenalny, wyśniony... Najwspanialszy w jej życiu.

Oświadczyny...

A dodatkowo jeszcze nawrócenie jej ukochanego mężczyzny!

Nawrócenie... Powrót syna marnotrawnego, który tak naprawdę nigdy nie poznał swojego ojca... Niewiarygodna historia!

Tomasz Wawrentowicz, jej ukochany skrajny sceptyk, uwierzył w Boga!

Nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek mogła go kochać bardziej niż w tej chwili. Miała ochotę rzucić mu się na szyję, ale szok, jaki wywołało w niej to wyznanie, wciąż sprawiał, że nie mogła się ruszyć. Wzruszenie wręcz odbierało jej oddech.

Coraz bardziej i bardziej...

Spojrzała w dół.

Nóż, który trzymał, był wbity tuż pod jej mostkiem na długość już jakichś dziesięciu centymetrów. Nie miała nawet czasu nad tym myśleć. Nie miała nawet czasu się tym zdziwić, gdy napał na nią lekko całym ciałem i wbił go jeszcze głębiej. Jej pełen szczęścia szok powoli zmieniał się w szok pełen niedowierzania i niemego strachu. Próbowwała coś powiedzieć, krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle, choć nie mogła teraz z całą pewnością stwierdzić, czy zwyczajnie nie krztusi się już własną krwią. Plamy, które zniemacka pojawiły jej się przed oczami, stawały się z każdą sekundą coraz większe i większe. Nawet pomimo nich widziała jednak, jak Tomek zalewa się łzami.

W końcu długie ostrze przedpotopowego noża, który rozpoznała resztkami swojej świadomości, przebiło ją na wylot tuż przy kręgosłupie.

Ostatnimi spazmami próbowała jeszcze z nim rozpaczliwie walczyć,

sięgnąć dłońmi jego twarzy i ramion, ale kolejne próby oddechów i niemych pytań „dlaczego?” kosztowały ją już zbyt wiele sił. Gdy, choć jeszcze żyła, jej ciało stało się bezwładne, a źrenice zaczęły się stopniowo rozszerzać, położył ją pomiędzy pachnącymi, stojącymi tam od samego początku świecami na stole, przy którym jedli kolację, i zadawał jej kolejne ciosy. Płakał jak małe dziecko.

Liść, który narysował jej niepostrzeżenie tłustym, przemieszonym z jej zeszlóroczną krwią olejkiem na czole podczas jej wcześniejszego głaskania, błyszczał w słabym, drgającym świetle ogników. Podobnie jak purpurowa krew, która zaczęła spływać z jej ciała po przykrytym obrusem dębowym drewnie.

Dębowym drewnie, z którego od zawsze wykonany był ten stół.

\*

Natalia nie kłamała.

Wciąż wolał ją tak nazywać. Nawet mimo że poznał jej prawdziwe imię. Nie kłamała i ani razu się nie pomyliła. Cokolwiek mu powiedziała przez tych parę wielkanocnych dni, spełniło się co do joty.

Tak, szukał jej.

Tak, błagał ją o wybaczenie.

Tak, robił to na kolanach.

Nie było łatwo ją znaleźć. Wiele go to kosztowało. Dosłownie i w przenośni. Ale jeszcze trudniej było przekonać do siebie ją i resztę Jaćwingów. Istniało w końcu ryzyko, że w ogóle tego pierwszego spotkania z nimi nie przeżyje. W końcu po tym, co zrobił w tamtą noc, on także jawił się im już jako wróg.

W końcu podpalił las...

Tuż po tym, jak odkrył szokującą prawdę, zaczął się uważnie rozglądać. Niepojęte, że to właśnie on zauważył, iż Karolina jest ponownie śledzona, a nie udało się to ani jej, ani tej dwójce policjantów w cywilu, którzy od kiedy tylko rozpoczęło się śledztwo, mieli nad nimi z oddali bezustannie czuwać. Korzystając z policyjnych znajomości, pan Górski załatwił im bowiem taką oto ochronę. Przynajmniej do czasu, aż coś się wyjaśni. Warszawska komenda wciąż musiała być w kontaktach z suwalską niesamowicie ostrożna, gdyż w dalszym ciągu nie było wiadomo, ilu jeszcze Jaćwingów może w niej pracować. Jedno za to mogło być sprawdzone od ręki, w tamten wielkanocny poniedziałek zniknęło troje

funkcjonariuszy – dwóch mężczyzn z drogówki i jedna kobieta z centrali.

Po pewnym czasie Tomek mógł być już pewien, że ta historia się jeszcze nie zakończyła. Łazili za Karoliną. Co prawda zmieniali się, byli ostrożniejsi i cierpliwszi, ale zaczynał ich już w końcu nawet rozpoznawać. Nie znał nikogo z nich nawet z widzenia, ale wiedział, że intuicja go nie myli. Dałby sobie za to rękę uciąć.

Czekali na odpowiedni moment.

Tym dziwniejsze było więc z początku dla niego samego, że swoje odkrycie przemilczał. Sam nie wiedział dlaczego. Ani wtedy, ani nawet do końca teraz. Z perspektywy czasu nie wiedział też, czy tego żałuje, czy też nie.

Teraz wiedział tak naprawdę tylko jedno.

Jaka jest odpowiedź na pewne pytanie pana Andrzeja. Pytanie, które ten zadał mu na łódce podczas ich dyskusji o wierze. Pytanie kluczowe. Podstawowe. Bardzo ważne.

„A mnie zastanawia jedno, panie Tomaszu, co musiałoby się stać, by uwierzył pan, że Bóg istnieje, i naprawdę zaczął oddawać mu cześć?”

Tak gwoli ścisłości, choć nie odpowiedział mu wtedy jednoznacznie, to jednak... odpowiedział. „Jeżeli zobaczę na to konkretny dowód, to uwierzę”. Siłą rzeczy w tej sytuacji nasuwało się zatem kolejne pytanie.

Co jest takim dowodem?

Teraz już wiedział. Wiedział, co jest dowodem.

Zastanawiające, że w całej tej wojnie pomiędzy ateistami a wierzącymi rozważa się tylko dwie możliwości – Bóg istnieje albo nie.

A co jeżeli jest trzecia...? I to taka, na którą można otrzymać jawne potwierdzenie?

Może dlatego, że pewność to coś zupełnie innego niż wiara... Oddzielny temat. Coś, co nie podlega dyskusji; coś, nad czym nie ma sensu dywagować.

Tomek nie był głupi i w żadnym wypadku nie miał problemów z kojarzeniem faktów i wyciąganiem wniosków. Gdy przychodziło co do czego, przyjmował do wiadomości, co potrzeba. Nie szedł zawsze w zaparte, jak inni mogliby o nim myśleć. Nie był zacietrzewiony. Można go było przekonać do swoich racji. Z trudnością, ale jednak. Lubił i umiał dyskutować, ale przeciwko pewnym zjawiskom nie miał żadnych argumentów. I to nawet jeżeli byłyby... nadprzyrodzone.

To Karolina była głupia. To ona była zaślepiona, zawzięta, zamknięta w swojej idei, która wyprała jej mózg. To ona była hipokrytką. To ona próbowała nawracać go na wiarę w Jezusa Chrystusa, choć tak naprawdę nigdy nie doświadczyła z jego strony żadnej, choćby nawet pojedynczej łaski. Choć nigdy go nie spotkała, czy to na jawie, czy to we śnie, czy to w narkotycznych majakach. To ona nie dopuszczała do siebie, że to, co przeżyła, mogło być prawdziwe. To ona, zamiast się na chwilę zatrzymać i pewne kwestie przemyśleć, tłumaczyła to, co widziała i słyszała...

Halucynacjami... Dobrze sobie.

Słowem – paradoksalnie to ona była w ich parze większym sceptykiem. Sceptykiem wobec wszystkiego, co było niezwiązane z chrześcijaństwem. Znamienne, że gdyby była w analogicznej sytuacji, ale nie w kontekście boga pogańskiego, a chrześcijańskiego, to jej postawa byłaby dokładnie odwrotna.

A Tomek? Cóż... W gruncie rzeczy nie można było powiedzieć, by jakkolwiek odwrócił się od wyznawanych od zawsze przez siebie zasad. Nie, pod tym względem to wciąż był ten sam stary, dobry Tomasz Wawrentowicz. Matematyk. Rozkminiacz. Analitik, który niezmiennie potrzebował logicznej odpowiedzi na (prawie) każde pojawiające się pytanie. A już tym bardziej tak kluczowe dla jego dalszego życia.

Jego zastanawiające, przeplatane napadami niekontrolowanego apetytu hipoglikemie powtarzały się raz za razem nawet po powrocie do Warszawy. Nie były więc spowodowane tym rzekomo popsutym w tamtej suwalskiej restauracji w Wielki Piątek penem, który i tak został w porzuconym w lesie audi. Nie były nawet spowodowane tym, że jak to lubił powtarzać: „organizm różnie reagował”. Nie, były spowodowane czymś zupełnie innym... Tą samą przyczyną, dla której od pewnego momentu jego oddech nie miał już woni acetonu. Czyli czymś tak niesamowitym, że do tej pory nie mógł w to uwierzyć.

Zgodnie ze swoim postanowieniem zaraz po powrocie do Warszawy potajemnie zbadał krew pod kątem chorób wenerycznych. Coś go jednak tknęło i przy tamtej okazji poprosił o jeszcze jedno dodatkowe badanie.

Gdy podobnie jak w pozostałych i ono miało wynik negatywny... nie wytrzymał i zemdlał z wrażenia. Tuż przy samej recepcji tego prywatnego laboratorium diagnostycznego, w którym oddawał krew. Zemdlał z wrażenia, emocji, szoku oraz gdy do niego dotarło, jak blisko śmierci był

każdego dnia. Blisko śmierci za każdym razem, gdy niczego nieświadomy wstrzykiwał sobie nową dawkę insuliny...

Pojawiło się kolejne proste pytanie.

„Dlaczego?”

Co prawda miał pewne podejrzenia co do tego, co się wydarzyło, ale potrzebował potwierdzenia. Było to silniejsze od niego.

Chyba to więc było powodem, dla którego nie podzielił się z nikim swoim spostrzeżeniem, że Jaćwingowie wrócili. Wiedział bowiem, że jeżeli ktoś miałby go do niej doprowadzić, to tylko oni.

W końcu podjął decyzję i w tajemnicy przed Karoliną zapłacił ciężkie pieniądze jednemu taksówkarzowi, by ten w cywilu śledził śledzących jego dziewczynę i potem powiedział mu, gdzie mieszkają. W zasadzie odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama – w lesie – ale w jakim? Nieźle się więc zdziwił, gdy okazało się, że ludzie z Białodębów i okolic zamieszkali na jednym z nowych warszawskich osiedli. Dopiero potem dowiedział się, że to ze strachu.

Ale wcale im się już nie dziwił.

Nie była to jedyna zmiana jego poglądów. Ciekawe, że po zaledwie roku jego zdanie na temat różnego rodzaju dziwnych obrządków zmieniło się na kompletnie przeciwne. Oczywiście pod warunkiem, że mają one jakikolwiek sens. A sens poznaje się po ich skutku. O ile w dalszym ciągu uważał, że obrządki chrześcijańskie nie mają żadnego, o tyle...

Kurwa, nie potrafił wytłumaczyć, jakim cudem wystarczył dębowy stół, kilka pachnących świec, namaszczenie go jakimś olejkim pod pretekstem używania go do masażu, a na koniec rytualny seks z piękną *krewe*, by został uzdrowiony. Z pozoru nie było w tym żadnej logiki. Najmniejszej! Nie widział żadnych związków przyczynowo-skutkowych. Nigdy o czymś takim nie słyszał, nigdy o czymś takim nie czytał.

Ale logika nie była w tamtej chwili ważna...

Liczył się wyłącznie skutek. A ten był taki, że po tamtej nocy nie miał już cukrzycy... Te parę czynności i akcesoriów wystarczyło, by pogański demon zechciał użyć swojej mocy i obdarzyć go łaską uzdrowienia.

Dlaczego akurat takich, a nie innych? Nie wiedział. Ale też się już nad tym nie zastanawiał. Podobnie jak nie zastanawiał się już nad coroczną koniecznością czyjejs śmierci na dębowym stole albo nad nielogicznym z ludzkiego punktu widzenia zachowaniem demona w tamtą wielkanocną

niedzielę, kiedy najpierw mogli wyjść z lasu, a potem go podpalić. Na zdrowy rozsądek – nie zgadzało się to ani trochę. I co z tego? Widocznie miał takie widzimisie. Może była to część jego wielkiego planu, który miał skończyć się, tak jak się skończył – ostatecznym dokończeniem obrządku i nawróceniem. Pokazaniem światła niewidomemu... A może miał jakiś zupełnie inny powód? Kto wie...

Nieważne.

Tomek nie próbował już w żaden sposób ogarniać umysłem czegoś, czego z definicji nie dało się zawrzeć w naukowych ramach. Było to nieracjonalne wykorzystywanie zasobów czasu. A on był na to zbyt małym pionkiem. Nie był godzien podskakiwać tak potężnej i tak mądrej istocie jak ten byt. Po prostu przyjął to do wiadomości.

Natalia nie okłamała go ani razu. Racja – czasem zgrabnie obchodziła powiedzenie mu prawdy wprost, ale uczciwie nigdy go nie okłamała. Ani wtedy, kiedy zapytał, co robiła w tym lesie w nocy ze środy na czwartek, ani wtedy, kiedy mu powiedziała, że w kwestii zdrowia o nic nie musi się już martwić...

Kto wie, czy przeżyłby tamten dzień, w którym znowu znalazł się wśród nich, gdyby nie opowiedział wszystkiego, co wydarzyło się między nim a tą dziewczyną w Wielki Czwartek, i gdyby cała złość Jaćwingów nie skupiła się wtedy na niej. Okazało się, że nie wiedział o tym nikt oprócz ich dwojga. Byli na nią wściekli. Wszyscy, bez wyjątku. Wrzeszczeli, naskakiwali na nią i pytali, dlaczego to zrobiła. Zrobiło mu się jej bardzo szkoda, gdy patrzył, jak z płaczem odpowiada jednocześnie im i jemu. Jemu – na jedno z pytań, które zadawał sobie już od pierwszego dnia od ich przyjazdu na Suwalszczyznę.

Przystawiała się do niego nie dlatego, że był taki przystojny. Nie dlatego, że jakoś wybitnie oczarowała ją jego inteligencja i zaradność. Nawet nie dlatego, że była dziewczyną ze wsi, a on z wielkiego miasta.

Nie.

Zrobiła to przede wszystkim dlatego, że... był ateistą.

Liczba czcicieli Leszego i reszty pogańskich demonów malała z każdym rokiem. Mogło to trochę dziwić, zważywszy, że w ich kontekście nie mówiło się już o wierze, a o pewności, ale taki był właśnie fakt. Co prawda neopogański Ankh Tomka nie okazał się tym, na co naiwnie liczyła, ale i tak od razu w środę wieczorem podjęła spontaniczną decyzję.

Chciała go nawrócić. I przypomniawszy sobie o jego chorobie, o której już wtedy dzięki Giedejtowi wiedziała, wpadła na pomysł jak.

Rozmawiała z nim krótko przed tym o swoim bogu, a on był głuchy. Nakierowywała go, dawała mu znaki co do swoich przekonań, używając na przykład takich określeń jak „Raj” zamiast „Niebo” w trakcie mówienia, gdzie mógł trafić jej dziadek Skirmut. Nie podchwycił tematu. Niczego nie zauważył. Słyszał, ale nie słuchał. Był głupi, ograniczony. Nie dopuszczał do siebie innych możliwości niż te sztywne dwie. Uznała więc, że pokaże temu niedowiarkowi, jaki jest maluczki, zacofany i zaślepiony. Postanowiła, że pokaże mu moc istoty, której potęga w żaden sposób nie ustępowała tej opisanej w Nowym Testamencie jako przynależnej Jezusowi Chrystusowi.

No i pokazała...

Pogański demon go uzdrowił. Pogański demon panował nad przyrodą. Pogański demon sprawiał, że ludzie powstawali z martwych. Ba, dawał im nawet swego rodzaju nieśmiertelność.

Czyż nie to samo rzekomo czynił Chrystus dwa tysiące lat temu?

Oczywiście, że tak. Ale na to Tomek nie miał żadnego dowodu. Nie mógł mieć pewności, że to, co zostało napisane, jest prawdą.

A tu wiedział. Wiedział, bo był tego świadkiem. Wiedział, bo doświadczył jego łaski. Wiedział, że Leszy naprawdę istnieje. Użył złego słowa w trakcie swojej ostatniej rozmowy z Karoliną. Nie wierzył. Wiedział. W przeciwieństwie do chrześcijan i ich Boga miał pewność.

\*

Cała ta sytuacja kosztowała go bardzo wiele emocji. Zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie wił się jak gąsienica, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Był między młotem a kowadłem. Chciał i jednocześnie nie chciał z tymi ludźmi zostać. Nie wyobrażał sobie, jak po tym, co odkrył, mógłby żyć tak jak do tej pory. Płakał każdego dnia, gdy Natalia – przekazując mu tajemną wiedzę z ksiąg – podkreślała raz za razem, że zabicie Karoliny jest konieczne nie tyle po to, by udowodnić Jaćwingom lojalność, a przede wszystkim dlatego, że musi odkupić swoje winy.

W końcu podpalił las...

Prawie codziennie spotykał się z nią potajemnie w jej mieszkaniu. Opuszczał zajęcia na uczelni i miał coraz gorsze wyniki. Przekonywała go jednak, że nie powinno to być w jego życiu ważne, i była coraz bardziej



wiarygodna. Stopniowo przestawiała mu system wartości na jaćwieski. Wyścig szczurów? Konsumpcjonizm? Polityka? Gospodarka? Globalizacja? Technologia?

A po co to komu? Im mniej potrzeb i informacji, tym mniej problemów. A im mniej problemów, tym więcej szczęścia. Jakże prosty związek przyczynowo-skutkowy. Twierdzenie matematyczne z najprostszym dowodem na świecie.

Była stanowcza, brutalnie szczerą, ale jednocześnie paradoksalnie bardzo czułą i troskliwą. W pełni rozumiała jego rozterki i za każdym razem wspierała go z całych sił. Nie mogło więc skończyć się to inaczej, jak tym, że w końcu naprawdę się do siebie zbliżyli.

A to z kolei oznaczało tak naprawdę tylko jedno. Wóz albo przewóz.

W noc po ich „ślubie” (kiedy to Tomek skłamał Karolinie, że jedzie na weekend do Pruszkowa) obiecał jej w końcu, że pomoże im dokończyć rytuał.

\*

Skeda wiedziała, że na powrót przypomniał sobie wszystkie wydarzenia z ostatniego roku. Choć prosił ją, by starała się go jednak nie czytać, czasem robiła to niezależnie od siebie.

Tomek spojrzał na nią przez łzy. Wciąż była na swój sposób piękna, nawet pomimo okropnie oszpeconej przez Andrzeja Roguckiego twarzy. Chyba ją kochał... Chyba. W tej chwili był w tak fatalnej kondycji psychicznej, że z całą pewnością mógł to stwierdzić dopiero za jakiś czas.

Gdy wziął ostry zakręt, ciało Karoliny w bagażniku przesunęło się i uderzyło z głośnym łoskotem o jego ścianki.

Wreszcie wyjechali z Warszawy. Wreszcie, podobnie jak reszta Jaćwingów, mogli też udać się do swojego nowego domu, na powrót pod opiekę bytu, który czcili. Poprzez dokończenie rytuału krwi odkupione zostały winy zarówno Tomka, jak i ich.

Pociągnął nosem i przetarł oczy.

To nie było zabójstwo... Nie... To była tylko część obrządku, konieczność... Nic złego... Musiał to zrobić. Musiał to sobie wmawiać. Pomimo dowodu musiał mieć jakiś nowy aksjomat, na którym mógłby się oprzeć.

Księgi! Tak...

Musiał im zawierzyć. Musiał im zaufać. Te w końcu mówiły... Zaraz,

jak to szło?

*Błogosławieni ci, którzy oddają mu cześć... albowiem do nich należy królestwo zielone.*

\*

*Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: „Widzieliśmy Pana!”. Ale on rzekł do nich: „Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę”. A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz [domu] i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł mimo drzwi zamkniętych, stanął pośrodku i rzekł: „Pokój wam!”. Następnie rzekł do Tomasza: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włoż [ją] do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym!”. Tomasz Mu odpowiedział: „Pan mój i Bóg mój!”. Powiedział mu Jezus: „Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.*

(J 20, 24–29)

## POSŁOWIE

1. Tak, jestem chrześcijaninem.
2. Wszystkie opisane w powieści miejsca (poza Białodębami) istnieją naprawdę, ale zamieszkujący je źli ludzie są oczywiście czystą fikcją. Co do demonów – takiej pewności mieć już niestety nie mogę...
3. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób i zdarzeń są przypadkowe.

Bracia!

Drodzy Jaćwingowie!

Minął kolejny rok. Kolejny rok trudnej walki. Kolejny rok posługi. A zarazem kolejny rok wielkich łask. Jak co roku spotykamy się w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca, by oddać cześć najpotężniejszemu z potężnych, dziękować mu za otrzymane dary i uniesienie błagać o kolejne. Chwała Leszemu! Panu lasu i wszystkiego, co w nim zawarte. Najpotężniejszemu z pogańskich demonów!

Chwała!

Pomimo tego, że staramy się kultywować tradycję z największą troską, z roku na rok jest nas coraz mniej. Przed wiekami nie potrafilibyśmy zmieścić się na tej świętej polanie. Dziś jest nas garstka. Pozostali najwierniejsi i najbardziej oddani. Inni albo nas zostawili, albo ponieśli męczeńską śmierć. Chrześcijański okrutny Bóg i jego wyznawcy postawili sobie za cel, by nas zniszczyć. Zniszczyć naszą tożsamość, nasz sens życia, podstawę naszej egzystencji. Wiele stuleci temu dostaliśmy haniebną wybióć – ich Bóg albo śmierć. Przetrwaliśmy! Przetrwaliśmy, ale tylko i wyłącznie dzięki naszemu panu! Panu i sile, jaką jest nasza pewność, że nigdy nas nie zostawi! Warto za nią umierać, a wielka będzie nasza nagroda w Raju.

Chwała Leszemu!

Ci głupcy mogą próbować w nieskończoność, mogą wychodzić z siebie, mogą nam grozić, mogą próbować nas zabijać, gwałcić, przekupywać, mogą imać się nawet jeszcze bardziej okrutnych metod. Mogą robić, co chcą, a i tak nigdy nas nie złamią. Bowiem nasz pan był na tej ziemi znacznie wcześniej niż ich. Jest od Jezusa Chrystusa starszy, mądrzejszy, potężniejszy i łaskawszy. W przeciwieństwie do niego nigdy nie zostawia nas w potrzebie i zawsze spełnia nasze pokorne prośby. Chrześcijanie nigdy nie mieli i nie mają prawa nam czegokolwiek narzucać. Chcieli nam wmówić, że nasza pewność istnienia Leszego jest złem, podczas gdy to oni w imię swojej wiary przez wieki mordowali naszych braci podczas krucjat. To oni kłamią i manipulują. To oni ustalili, że ich święto zwane Wielkanocą będzie tego samego dnia, co nasze, by stopniowo, poprzez kłamstwo i obłudę przenosić takich jak my na ich stronę. Chcą nas omamić. Nas i całą

resztę. Chcą nam zrobić pranie mózgu i odwrócić od tego, co ważne. Odwrócić od prawdziwych wartości i wielowiekowych tradycji, na których opiera się cała nasza społeczność. Musimy być silni. Tylko od nas zależy, czy kult naszego pana przetrwa. To od nas zależy, czy dalej będziemy doświadczać jego łask, czy też będziemy – podobnie jak ta suka tutaj – skazani na jego gniew.

Śmierć wszystkim chrześcijanom! Śmierć wszystkim okrutnym oprawcom!

Przez stulecia walczyliśmy dzielnie, drodzy Jaćwingowie. Możemy być z siebie dumni. Nie tylko udało nam się przetrwać wszystkie prześladowania za naszą pewność. Niejednokrotnie sami też dawaliśmy dowód swojemu poświęceniu i odwadze, dając skuteczny odpór chrześcijańskiemu złu, które coraz zuchwalej wypełniało te ziemie. Do dziś wspominamy bohaterskie podpalenie miejsca ich kultu nad Wigrami i modlimy się za dusze tych, którzy dokonali tego godnego chwały czynu. Ale to jeszcze nie koniec! Jeszcze wiele przed nami! Jeszcze nadejdzie odpowiednia pora i wszystko wróci na swoje miejsce, Jaćwież ponownie będzie potęgą, a zarówno Leszy, jak i reszta pogańskich demonów odzyska należną im cześć! Nie wolno nam się poddać!

Leszy! Panie nasz, który byłeś tu od zawsze, ty, który panujesz nad lasem i wszystkim, co w nim zawarte. Najmądrzejsza, najbardziej wszechmocna istota tego świata! Ty, który sprawiasz, że niemożliwe staje się możliwe, wskrzeszasz umarłych, dbasz o nasze plony, dajesz nam niewyczerpalne źródła energii i budulca naszych domów, uzdrawiasz...

Boimy się ciebie, najwyższy! Boi się ciebie każdy, nawet ten, kto jeszcze o tym nie wie! Uchron nas przed twoim przerażającym gniewem! Zlituj się nad nami i obdarz nas swoimi łaskami. Jesteśmy przy tobie tylko pionkami, które w obliczu twojej wszechmocy mogą jedynie pokornie spuścić głowy i błagać o podzielenie się z nami choć drobną jej cząstką. Nigdy cię nie opuścimy i nigdy nie pozwolimy, by twój kult kiedykolwiek zginął! Nigdy, panie! Jak co roku na świętym dębowym drewnie składamy ci w ofierze jednego z twoich największych wrogów. Niech każda śmierć jeszcze jednego plugawiącego twoje zielone królestwo chrześcijanina, niech każde kolejne przelanie jego krwi w słusznej sprawie sprawia, że będziesz jeszcze silniejszy, jeszcze bardziej potężny. Ukarz i nagródź należnie tych, którzy na to zasłużyli...

*Gałęziste*

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-078-3

© Artur Urbanowicz i Novae Res s.c. 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Ewelina Ambroziak

KOREKTA: Hubert Korczyc

OKŁADKA: Krystian Żelazo

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zacytani.pl](http://zacytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

